

ARCHIWUM EMIGRACJI

W poprzednich zeszytach m.in.:

Zdzisław Kudelski, *O Herlingu-Grudzińskim w „drugim obiegu”*

Włodzimierz M. Drzewieniecki, *32 lata działalności Polskiej Fundacji Kulturalnej w Buffalo: batalia o dobre imię Polaków w Ameryce*

Listy Andrzeja Bobkowskiego i Konstantego A. Jeleńskiego do Mieczysława Grydzewskiego, Jerzego Kosińskiego do Józefa Chałasińskiego oraz korespondencja Michała Chmielowca z Henrykiem Elzenbergiem

Czesław Miłosz, *Bieliński i jednorożec*

Danuta Mostwin, *Rodzina przeszczepiona z perspektywy trzydziestu lat*

Jan K. Kapera, *Od Guggenheim Museum do Currier Gallery. Jan Lebenstein — Kronika Amerykańska*

Nina Taylor, *O trzech zrzeszeniach pisarskich*

Irena Szypowska, *Nagle urodzona miłość (J. Łobodowski w Hiszpanii)*

Rozmowy z Zygmuntem Michałowskim, Stanisławem Frenklem, Józefem Czapskim, Witoldem Gombrowiczem i Janem Nowakiem-Jeziorańskim

Wspomnienia i recenzje

Redakcja:

Janusz Kryszak (red. naczelny), Mirosław Adam Supruniuk (z-ca red. naczelnego)

Andrzej Kłossowski, Jarosław Koźmiński, Wacław Lewandowski, Wojciech Ligęza, Krzysztof Pomian, Dobrochna Ratajczakowa, Anna Supruniuk

ARCHIWUM EMIGRACJI

STUDIA * SZKICE * DOKUMENTY

ROK 2000

ZESZYT 3

Zeszyt poświęcamy Pamięci
Redaktora Jerzego Giedroycia

UNIWERSYTET MIKOŁAJA KOPERNIKA
TORUŃ 2000

ARCHIWUM EMIGRACJI
ŹRÓDŁA I MATERIAŁY DO DZIEJÓW EMIGRACJI POLSKIEJ PO 1939 ROKU

IX

Pod redakcją
Stefanii Kossowskiej i Mirosława A. Supruniuka

Projekt okładki: Mirosław A. Supruniuk
Rysunek na okładce: Stanisław Frenkiel

Artykuły przeznaczone do kolejnych numerów pisma powinny być przesyłane w dwóch egzemplarzach wraz z krótkim streszczeniem (w miarę możliwości w j. angielskim) (oraz na HD) na adres:
Archiwum Emigracji, Biblioteka UMK, Toruń 87-100, ul. Gagarina 13, p. 225, Poland
tel. (48-56) 611-43-91, 611-43-98, tel./fax (48-56) 652-04-19
e-mail Archiwum@bu.uni.torun.pl
http://www.bu.uni.torun.pl/Archiwum_Emigracji

Recenzenci tomu: Marian Kisiel, Jerzy Z. Maciejewski

Kolegium Doradcze:

Zofia Bobowicz (Francja), Anna Frajlich (USA), Maja E. Cybulska (Anglia),
Stefania Kossowska (Anglia), Ryszard Lów (Izrael), Krzysztof Muszkowski (Anglia),
Lech Paszkowski (Australia), Jerzy Pietrkiewicz (Anglia)

© Copyright by Archiwum Emigracji
© Copyright by Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2000

ISBN 83-231-1245-2

Skład: Joanna Krasnodębska
Książki serii „Archiwum Emigracji” sprzedaje Księgarnia Uniwersytecka
Toruń 87-100, ul. Reja 25
tel./fax (056) 6114298; e-mail ksiazki@cc.uni.torun.pl
Druk i oprawa: Zakład Poligraficzno-Wydawniczy POZKAL, Inowrocław, ul. Ceglana 10/12

SPIS TREŚCI

STUDIA

Krzysztof Ćwikliński, <i>Emigracyjne dzienniki podróży — próba rekonesansu</i>	7
Wojciech Ligęza, <i>Metafory moralisty — o poezji Tadeusza Sułkowskiego</i>	21
Mirosław Adam Supruniuk, „Kultura” w Ameryce: „Fragments” (1973–1979).....	35
Dobrochna Ratajczakowa, <i>O teatrze Bronisława Przyłuskiego</i>	57
Marta Mroczkowska, <i>Bronisław Przyłuski</i>	75
<i>Pisarz na wygnaniu a styl (cz. 2)</i>	85

SZKICE I PRZYCZYNKI

Ryszard Löw, <i>Literatura polska w przekładach hebrajskich</i>	93
Natan Gross, <i>W drodze i po drodze — polskie korzenie hebrajskiego kabaretu</i>	103

KORESPONDENCJE — DOKUMENTY — ROZMOWY

Jan Kott, <i>Maria Wertenstein do Kazimierzy Kott — Listy z lat 1946–1949</i>	113
Jerzy Stempowski	
Wacław Lewandowski, <i>Listy Jerzego Stempowskiego do Janiny i Wacława Kościatkowskich</i>	131
Janina Kościalkowska, <i>O Jerzym Stempowskim</i>	169
Wacław Zyndram-Kościalkowski, <i>Na śladach nieśpiesznego przechodnia</i>	175
Andrzej Stanisław Kowalczyk, <i>Z archiwum Jerzego Stempowskiego</i>	177
Jerzy Stempowski, <i>W szpitalu starozakonnych w Czystym</i>	178
Jerzy Stempowski, <i>Sytuacja moralna kontynentu</i>	182
Maja Elżbieta Cybulska, <i>Wyspa — uwagi o dodatkach do archiwów Stefanii Zahorskiej</i>	191
Czesław Miłosz, „ <i>Samotności nikt nie wybiera...</i> ”. Rozmowa z Anną Frajlich.....	197
Bolesław Taborski, <i>Życie, praca, zadania twórcy na emigracji — rozmowa z Beatą Tarnowską</i>	207
Jerzy Giedroyc, <i>Bardzo luźne wspomnienia z wczesnego dzieciństwa. Fragment rozmowy z Mirosławem A. Supruniukiem</i>	221

WSPOMNIENIA — BIOGRAFIE

Agata Tuszyńska, <i>Kazimierz Brandys</i>	233
Stefania Kossowska, <i>Jerzy Giedroyc</i>	237
Krzysztof Muszkowski, <i>Wczesne lata warszawskie. Gustaw Herling-Grudziński</i>	239
Florian Śmieja, <i>Swoje jednak trzeba robić. Benedykt Heydenkorn</i>	241
Anna Mieszkowska, <i>Starszy pan z St. Andrews czyli Stanisław Kotwicz</i>	248
Anna Mieszkowska, <i>Spełnione powołanie. Regina Kowalewska</i>	255
Jerzy R. Krzyżanowski, <i>W.S. Kuniczak</i>	258
Jan Winczakiewicz, <i>Wspomnienie o Bronisławie Mazowieckim</i>	260
Anna Mieszkowska, <i>Alfred Schütz</i>	261
Ryszard Löw, <i>Beniamin Tenenbaum-Tene</i>	267
Jan Winczakiewicz, <i>Audycje polskie z Paryża</i>	269
Wiesław Jędrzejczak, <i>W polskiej szkole DP w Niemczech po drugiej wojnie światowej. Wspomnienia ucznia z lat 1945–1949</i>	278
Zdzisław Kosiński, <i>Bez męczeńskiej aureoli. Wspomnienia czasu emigracji</i>	285

Jerzy R. Krzyżanowski, <i>Jak powstawała książka „Janta. Człowiek i pisarz”</i>	292
Kazimierz Zamorski, <i>Ze wspomnień asesora sądu polowego</i>	295

NOTY

Krzysztof Ćwikliński, <i>Życie i dzieło Szymona Konarskiego — wystawa w Sandomierzu</i>	299
---	-----

RECENZJE — OMÓWIENIA — POLEMIKI

Paweł Tański, <i>„Kontury” — izraelskie pismo literackie</i>	301
Rafał Moczkoan, <i>„World Literature Today” — ku czci Czesława Miłosza</i>	307
Wacław Lewandowski, <i>„...w sposób zbyt uproszczony, a na dodatek tendencyjny...”</i> (Rafał Habielski, <i>Życie społeczne i kulturalne emigracji</i> . Warszawa 1999)	312
Jan Wolski, <i>Opowieść rozumiejąca</i> (Andrzej Stanisław Kowalczyk, <i>Giedroyc i „Kultura”</i> . Wrocław 1999)	316
Barbara Czarnecka, <i>Szkice do różnych obrazów</i> (W kręgu twórczości pisarzy emigracyjnych. Studia i szkice. Rzeszów 1999)	318
Rafał Moczkoan, <i>Rozczarowujące „Emigracje...”</i> (Józef Olejniczak, <i>Emigracje. Szkice — studia — sylwetki</i> . Katowice 1999)	321
Jan Wolski, <i>Krajobrazy Czesława Miłosza</i> (Beata Tarnowska, <i>Geografia poetycka w powojennej twórczości Czesława Miłosza</i> . Olsztyn 1996)	322
Mikołaj Tyrchan, <i>Książka o „Kulturze”</i> (Janusz Korek, <i>Paradoksy paryskiej „Kultury”</i> . Ewolucja myśli politycznej w latach 1947–1980. Stockholm 1998) ..	324
Regulamin Nagrody „Archiwum Emigracji”	332

STUDIA

EMIGRACYJNE DZIENNIKI PODRÓŻY — PRÓBA REKONESANSU

Krzysztof ĆWIKLIŃSKI (Toruń)

W swoim eseju „Sztuka podróżowania” Gustaw Herling-Grudziński, zastanawiając się czym jest podróż i kim podróżnik, zauważył że jest „dużo osób, które przenosząc się z miejsca na miejsce — wcale nie podróżują. I jest równie sporo ludzi, którzy odbywają najbardziej egzotyczne i zawrotne wędrówki nie wydalając się z czterech ścian swego pokoju”¹.

Podróż, jakkolwiek pojmowana, jest odzwierciedleniem losu ludzkiego, wzorcem istnienia zawierającym najistotniejszy wątek ludzkich doświadczeń, ujmującym życie jako drogę, a człowieka jako wędrowca, nie tylko w życiu doczesnym, ale i po śmierci². Jest też nie tylko elementarną praktyką w każdej epoce i każdej kulturze, ale i uniwersalną formułą ludzkiego doświadczenia, w którą wpisują się najrozmaitsze sensy³.

Z kategorią podróży wiąże się nierozzerwalnie pojęcie drogi, którą należy przebyć, aby dotrzeć w określone miejsce. Nie znaczy to naturalnie, że owo miejsce istnieje, ani że dotarcie doń jest w ogóle możliwe, niemniej droga ograniczona jest zasadniczo punktami wyjścia i dojścia. Kategoria podróży konotuje takie pojęcia jak: ruch, zmiana; dalej — nieznanne, nowe; te z kolei — ryzyko i przygodę — a więc aspekty wyłącznie dynamiczne, które wyznaczają jej kontekst.

Zajmując się przestrzenią drogi — pisze Janina Abramowska — a więc przestrzenią zorganizowaną zasadniczo w sposób linearny, a zarazem kierunkowy (...), nie można przeoczyć faktu, że jest to zawsze przestrzeń wirtualnie przeznaczona do mającego się

¹ G. Herling-Grudziński, *Sztuka podróżowania*, [w:] tegoż, *Żywi i umarli*. Lublin [br.] s. 56.

² Por.: *Leksykon symboli*, oprac. M. Oesterreicher-Mollvo, przeł. J. Prokopiuk. Warszawa 1992 s. 125–126.

³ Por.: J. Kamionka-Straszakowa, „*Do ziemi naszej*”. *Podróże romantyków*. Kraków 1988 s. 7–9.

w niej odbywać ruchu. Opis ruchu (...) musi się równocześnie odwoływać do kategorii (i jednostek) przestrzeni i czasu; tak więc przestrzeń drogi jest w szczególności sposób sprzężona z porządkiem czasowym. Droga — nawet pusta — niejako oczekuje i domaga się kogoś, kto będzie nią szedł; tak więc literacki opis drogi implikuje obecność postaci, a także zdarzeń, wobec których wędrownik spełnia rolę bohatera (spotkania, rozstania, ucieczki i pogonie) lub obserwatora⁴.

Podróż jako typ doświadczenia, jako przeżycie i jego konsekwencje, w końcu jako potrzeba odmiany, przygody, doznania autentyczności miejsc i prawdy czasu, a więc jako swego rodzaju atawizm, jako instynkt i pasja wędrowki, starsza od samej literatury, domagała się utrwalenia w słowie pisanym, którego charakter i przeznaczenie mogły być różne. Wtedy dopiero podróż może stać się faktem kulturowym⁵. Ów fakt w swych rozmaitych realizacjach interesuje literaturoznawcę jako pewien typ wypowiedzi paraliterackiej, zaś badacza kultury jako źródło wiedzy o jakimś etapie procesu kulturowego⁶.

To, co interesuje literaturoznawcę, określane bywa mianem „podróżopisarstwa” bądź krócej — „podróż”. Jest to kategoria szeroka, mieszcząca zarówno relacje faktograficzne o charakterze wyłącznie dokumentarnym, afikcjonalne zapisy literackie w rozmaitych konwencjach, jak i utwory fikcyjne lub zgoła fantastyczne. Literatura i dokument mieszają się tu w rozmaitych proporcjach.

Zarówno wybór gatunku, jak i charakter utworu są domeną indywidualnej decyzji twórcy. Jednakże rodzaj podróży, zazwyczaj zaopatrzonej w perspektywę powrotu⁷, nie jest tu bez znaczenia. Kolejne epoki rozmaicie traktowały podróż, różne wiązały z nią sensy, niejako odmiennie programowały i różne też miejsca zajmowała ona w ich historycznej i społecznej świadomości⁸. Zależało to od stosunku do podróży jako przedsięwzięcia komunikacyjno-społeczno-kulturowego i preferowania określonego jej modelu. Jerzy Stempowski wyróżnił trzy takie modele: podróż po własnym pokoju, podróż „domową” (tzn. odbywaną we własnym kręgu kulturowym) i podróż w sferę rzeczy nieznanych⁹. Korzystając z tego rozróżnienia można by następująco określić trzy zasadnicze typy podróży, wynikające nie z przestrzeni, lecz z okoliczności i przyczyn; będą to podróż praktyczna czyli celowa (np. poznawcza, badawcza, edukacyjna, naukowa), bezcelowa (np. wrażliwość) i podejmowana z konieczności bądź pod przymusem. Sformułowana przez Goethego w liście do Eckermanna supozycja, że „nie podróżuje się po to, aby dojechać, ale raczej aby podróżować”¹⁰ jest jedynie po części i pod pewnymi warunkami słuszna, tzn. wtedy, gdy do ryzyka i pasji poznawczej dopiszemy i poczucie bezinteresowności, a podróżnikami nazwiemy tych, dla których istotny jest fakt przemieszczania się w przestrzeni i towarzyszące mu okoliczności, nie samo miejsce, do którego dążą, i oczekujące ich tam sprawy i atrakcje. Zatem nie sam fakt komunikacyjny jest podróżą, ile raczej skomplikowany proces i jego konsekwencje. Słusznie zatem zauważa Herling-Grudziński, że „sztuka podróżowania jest jak poezja, malarstwo lub muzyka radosną próbą zawarcia nigdy nie wyczerpanej przyjaźni ze światem. I każdy prawdziwy podróż-

⁴ J. Abramowska, *Peregrynacja*, [w:] *Przestrzeń i literatura*, studia pod red. M. Głowińskiego i A. Okopień-Sławińskiej. Wrocław 1978 s. 125.

⁵ Por.: S. Burkot, *Polskie podróżopisarstwo romantyczne*. Warszawa 1988 s. 6.

⁶ Por.: J. Abramowska, *Peregrynacja*, s. 126.

⁷ Por. tamże, s. 144.

⁸ Kwestię tę wyczerpująco omawia Cz. Niedzielski, *O teoretycznoliterackich tradycjach prozy dokumentarnej. (Podróż-powieść-reportaż)*. Toruń 1966 s. 11–76.

⁹ Zob.: J. Stempowski, *Śpiew podróżnego*, [w:] tegoż, *Klimat życia i klimat literatury*, wybór i oprac. J. Timoszewicz. Warszawa 1988 s. 322.

¹⁰ Cyt. za: T. Mann, *Goethe jako przedstawiciel wieku mieszczaństwa*, przeł. Z. Kubiak, [w:] tegoż, *Eseje*. Warszawa 1964 s. 258.

nik ukrywa gdzieś w głębi duszy swój własny nie pisany atlas; nie kolorowy atlas lądów, oceanów i mórz, ale arcyłudzki atlas woli, serca i rozumu”¹¹.

Pośród wielości form podróżopisarstwa, od starożytnych itinerariów, periegez i hoedoporiconów po współczesne reportaże i relacje wspomnieniowe, szczególne miejsce zajmuje dziennik podróży. Jako forma wykształcił się on stosunkowo późno, bo dopiero na przełomie XVIII i XIX wieku, choć dzienniki podróży prowadzono już wcześniej¹². Co prawda nigdy nie wytworzył on swojej poetyki i charakteryzuje się brakiem rygorów formalnych, stąd może zbliżać się do różnych form gatunkowych i mieszać reguły rozmaitych poetyk. Jego definicja z oczywistych względów jest ogólna i mówi nam, że to zespół codziennych zapisków z podróży o charakterze bardziej literackim niż dokumentarnym, ogłoszony jako osobna pozycja¹³. Można podjąć próbę uściślenia tej definicji dodając, że w dzienniku podróży dominuje przestrzeń, co różni go od dziennika, pamiętnika czy relacji wspomnieniowej, w których dominuje czas, a która to dominacja uniemożliwia inwersję przestrzenną. Kategoria przestrzeni jest dla dziennika podróży fundamentalna: porządkuje narrację, której zasadniczą perspektywą jest oddająca bezpośredniość wrażeń teraźniejszość, wyznacza przebieg narracji, jej początek i koniec, określa kierunek oraz inne punkty orientacyjne¹⁴. Inną ważną kategorią jest autobiografizm, w dzienniku podróży bowiem manifestacyjna obecność podmiotu mówiącego, który jest jednocześnie autorem, narratorem i bohaterem, a którego uwaga skoncentrowana jest na świecie zewnętrznym, służy uwydatnieniu autentyczności relacjonowanych zdarzeń i silniejszemu narzuceniu się odbiorcy, odczuwającemu relację jako „historię rzeczywistości”¹⁵. Stąd też usytuowanie dziennika podróży w obrębie literatury faktu¹⁶, której wyznacznikiem jest obecność „zdarzeń identycznych (...) z faktami fizycznymi, które urzeczywistniły się, zdarzeniami nieodwracalnymi i niepowtarzalnymi”¹⁷, a zatem zdarzeń prawdziwych.

Kwalifikacja dziennika podróży jako zjawiska paraliterackiego opiera się więc na kryterium prawdy. Dzieła literackie zawierają tzw. prawdę czy też *quasi*-prawdę tzn. przedmioty nabierają charakteru rzeczywistego rzeczywistymi nie będąc¹⁸, natomiast w tekstach paraliterackich występuje lub może występować prawda w sensie logicznym, jednakże weryfikacja sądów w nich zawartych może się okazać niemożliwa. Prawda zatem, powtarzając za Jerzym Ziomkiem, jest w dziele literackim rozpoznawana, zaś w paraliterackim poznawana, nie będąc jednocześnie tożsamą z wartościami poznawczymi dzieła¹⁹. Na to, że relację modelowało życie, nie fantazja, mamy jedynie słowo autora. Co wtedy, gdy okaże się, że relacja, jak w przypadku *Podróży do Ameryki* Chateaubrianda, jest w całości lub części zmyślona? Czy tracąc przez swą nieprawdziwość wy-

¹¹ G. Herling-Grudziński, *Sztuka podróżowania*, s. 59.

¹² Polskie relacje z podróży w XVI i XVII wieku obszernie omawia H. Dziechcińska, *O staropolskich dziennikach podróży*. Warszawa 1991.

¹³ Por.: M. Głowiński, T. Kostkiewiczowa, A. Okopień-Sławińska, J. Sławiński, *Słownik terminów literackich*. Wrocław 1988 s. 109.

¹⁴ Por.: S. Burkot, *Polskie podróżopisarstwo...*, s. 14.

¹⁵ Por.: Cz. Niedzielski, *O teoretycznoliterackich tradycjach...*, s. 13–14.

¹⁶ Zob.: A. Hutnikiewicz, *Od czystej formy do literatury faktu*. Toruń 1965 s. 193–194.

¹⁷ K. Kąkolewski, *Wokół estetyki faktu*, [w:] tegoż, *Genologia polska*. Warszawa 1983 s. 502–503.

¹⁸ Zob.: R. Ingarden, *O tak zwanej „prawdzie” w literaturze*, [w:] tegoż, *Studia z estetyki*. T. 1, Warszawa 1957 s. 393.

¹⁹ Por.: J. Ziomek, *Prawda jako problem poetyki*, [w:] *Problemy teorii literatury*. Seria 3. Wrocław 1988 s. 333.

miar faktu, traci zarazem charakter autobiograficzny?²⁰ Naturalnie, nie — gdyż wartość artystyczna, o ile konkretny dziennik podróży ją posiada, pozostaje rzeczywista i wiarygodna, i prezentuje pewną prawdę o człowieku.

Zatem przypisanie dziennika podróży wyłącznie do literatury faktu, nie wydaje się słuszne, podobnie jak przypisanie go do nieokreślonej strefy pogranicza, bowiem dziennik podróży może ową dzielącą dokument i literaturę granicę przekraczać. Nie tylko może, ale i nader często swobodnie to czyni.

Wiele więc zależy od wiary czytelnika, zwłaszcza w przypadku podróży egzotycznych, gdyż nie ma on ani chęci, ani możliwości zbadania wiarygodności przekazu. Wiemy, że Teodor Trippin nie podróżował po księżycu, jednakże gdyby reakcją taką — w całości lub części fikcyjną — spisał Neil Armstrong, gotowi byłibyśmy mu uwierzyć. W niczym, naturalnie, nie zmienia to wcześniejszych ustaleń dotyczących gatunkowych wyznaczników dziennika podróży, wskazuje jedynie, że fizyczny akt przemieszczania się w przestrzeni nie jest niezbędny dla faktu literackiego, choć w istotny sposób go określa. Wszak Herling-Grudziński wybrał się do Pragi, ani na krok nie opuszczając swej willi w Neapolu.

Opisy podróży są w piśmiennictwie emigracyjnym, niejako *ex definitione* opatrzoną stałą cechą nomadyczną — jak zauważył Tomasz Burek — „czymś świętym i sytuującym się na szczytach literatury”²¹. Podróżopisarstwo, szczególnie to poznawczo i artystycznie wartościowe, a w nim dzienniki podróży, jest jednak — w stosunku do innych uprawianych na obczyźnie gatunków — zjawiskiem rzadkim i w potocznej świadomości jakby nieobecnym. Skądinąd to nic dziwnego; w połowie lat sześćdziesiątych Jerzy Stempowski narzekał: „Podróżujących jest dziś więcej niż kiedykolwiek. Wielu z nich notuje w kalendarzyku, gdzie byli i co widzieli. Niektórzy próbują wieczorami spisywać dzienniki podróży, lecz porzucają je spostrzegwszy, że nie oddalają się od tego, co czytali w przewodniku. Po powrocie jedni opowiadają o swych podróżach, inni, doświadczeni, nie mówią nic. Literatura podróżnicza jest dziś uboga” — a przecież — „Najskromniejsza z podróży — choćby tylko do Wilanowa — zawiera w sobie możliwość przygody, spotkania z nieznanym i nowym”²².

Emigracyjne podróże, z których ledwie minimalna część stała się faktem kulturowym, to w okresie wojennym wymuszone strategią działań zbrojnych przemieszczanie się mas żołnierskich przez rozmaite miejsca, także te historycznie ważne i kulturowo atrakcyjne, przemieszczanie — dodajmy — pozbawione jakichkolwiek cech wolnego, jednostkowego wyboru²³. Natomiast w okresie tuż powojennym były to masowe migracje w poszukiwaniu miejsca osiedlenia, a więc indywidualne bądź zbiorowe podróże o celu praktycznym, aczkolwiek spowodowane raczej zewnętrznym niż wewnętrznym przymusem, były życiową koniecznością, próbą określenia się w nowej sytuacji, nie zaś efektem pasji zmieniania klimatu i typowego dla podróżnika niepokoju ogarniającego go na dłuższych postojach.

Podróżopisarstwo emigracyjne to w przytłaczającej większości twórczość reportażowa. Uprawiających ten publicystyczno-literacki gatunek było na uchodźstwie wielu; wymienimy tylko Aleksandra Jantę-Polczyńskiego, Aleksandra Grobickiego, Jadwigę Jurkszus-Tomaszewską i Adama Tomaszewskiego, Tadeusza Nowakowskiego i Tadeusza

²⁰ Por.: G. Gusdorf, *Warunki i ograniczenia autobiografii*, przeł. J. Barczyński, *Pamiętnik Literacki* 1979 z. 1 s. 274.

²¹ T. Burek (głos w dyskusji), [w:] *W podróży. Rozważania o eseju*, Więź 1986 nr 2–3.

²² J. Stempowski, *Śpiew podróżnego*, s. 319–320.

²³ Por.: R. K. Przybylski, *Być i pisać. O prozie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego*. Poznań 1991 s. 44.

Zajączkowskiego, Jana Wójcika, Wojciecha Trojanowskiego czy Marka Świącickiego. Podróżników-diarystów zdołamy wymienić zaledwie kilku: Andrzeja Bobkowskiego, Witolda Gombrowicza, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Jerzego Stempowskiego, Tymona Terleckiego i Ryszarda Krygiera²⁴. Poza ostatnim z wymienionych, jest to jednak dość ścisła czołówka pisarzy emigracyjnych.

W twórczości Witolda Gombrowicza dziennikami podróży są dwa fragmenty *Dziennika*: z tomu pierwszego „Diariusz Rio Parana”²⁵ i z tomu trzeciego „Dziennik transatlantyczny”²⁶. Oba te teksty, choć skonstruowane według diarystycznego schematu, są szczególnego rodzaju realizacjami gatunku. W pierwszym z nich fakt podróży jest istotny o tyle tylko, że pozwala wnieść konstrukcję literacką: różnorodność stanów rzeczy, wydarzeń, działań nawet przedmiotów oddana z ogromnym pietyzmem dla szczegółu, służy ukazaniu sytuacji izolowanej grupy ludzi, którzy oddają się banalnym czynnościom podczas podróży statkiem. Ta wyraźnie pozbawiona oryginalności i nudna podróż, a więc przemieszczanie się w przestrzeni, sygnalizowana jest jednym tylko słowem „płyniemy”. Gdyby nie ono, dynamika podróży — i tak już zdecydowanie zredukowana — zostałaby wyeliminowana całkowicie, zaś gdyby nie poetyckie wizerunki natury nabierające walorów symboliczno-metafizycznych, spekulacje doszukującego się w banalności i monotonii czegoś niezwykłego i tajemniczego narratora, mogłyby równie dobrze dotyczyć grupy osób przebywających w sanatorium, a nie na statku²⁷.

„Dziennik transatlantyczny” jest relacją z podróży pisarza do Europy w kwietniu 1963 roku, a więc powrotu po dwudziestu czterech latach spędzonych w Argentynie, relacją — jak i poprzednia — zdominowaną przez fantazmat ruchu pozornego. Fakt podróży jest nieistotny; Gombrowicz informuje tylko: „trzeba dodać, że w tym czasie statek poruszał się bez przerwy”²⁸; mijane miejsca są nieatrakcyjne i nie wzbudzają żadnych reakcji poza obojętnością: „Wczoraj Santos. Dziś Rio de Janeiro. Do diabła pejzaże! Pejzaże są szalenie głupie!”²⁹; zdarzenia, z wyjątkiem fikcyjnego, będącego prawie dokładnym przytoczeniem opowieści o marynarzu Dicku Hartiesie ze *Zdarzeń na brygu Banbury*³⁰, są nużące i pozbawione znaczenia: „(...) za nami smuga bulgocząca, rozpieniony ogon, oni się zabawiają, gry i zabawy, leżaki i wylegiwanie, aparat w buciku, blask boli, unieruchomiono basen, skaczą, wyłażą prychając, skaczą, pogawędki, rozmówki, przemysłowiec ha, ha, ha (tubalnie), wyjęła notes, tamten się skrobie, ja *bitte sehr, buen giorno*, obraziła się chyba, odeszła, może nie, machnął, czyje to, połyskuje mosiądz, dobrze skończył, która godzina, och nie, jak to było wtedy z tym... kto w końcu... kuropatwa (...)”³¹ itd. Zdarzenia, w których pisarz uczestniczy na prawach obserwatora, układają się w rejestr, ale są wyliczeniem także i te, w których bierze bezpośredni udział: „*Charge d'affaires* zaprasza na drinka. (...) Koniak. Spotkanie z multimilionerką i z *charge d'affaires* napełnia otuchą odnośnie do 250. Kawa. Korespondencja. Szachy z lotni-

²⁴ R. Krygier, *Dziennik podróży na północ*, Kultura 1965 nr 4.

²⁵ W. Gombrowicz, *Diariusz Rio Parana*, [w:] tegoż, *Dziennik 1953–1956*. Paryż 1957 s. 291–297.

²⁶ W. Gombrowicz, *Dziennik transatlantyczny*, Kultura 1963 nr 10; także w: tegoż, *Dziennik 1961–1966*. Kraków 1989 s. 99–111.

²⁷ Zob.: J. Pawłowski, *Gombrowicz i lęk. Uwagi o „Diariuszu Rio Parana”*, Pamiętnik Literacki 1977 z. 4 s. 151–164.

²⁸ W. Gombrowicz, *Dziennik 1961–1966*, s. 104.

²⁹ Tamże, s. 100.

³⁰ Por. tamże, s. 103–104; także: W. Gombrowicz, *Zdarzenia na brygu Banbury*. Gdańsk 1982 s. 55–56.

³¹ W. Gombrowicz, *Dziennik 1961–1966*, s. 100.

kiem”³². „Dziennik transatlantycki”, realizujący w zasadzie formalny paradygmat dziennika podróży, jest egocentryczną opowieścią narratora o sobie samym; nie o Argentynie, nie o Europie, lecz o własnej twórczości i jej nowych, europejskich perspektywach. Podobnie jak w „Diariuszu Rio Parana” fakt, że notatki prowadzone są podczas podróży morskiej, że statek przybija do Las Palmas i Barcelony, że narrator schodzi na ląd i coś robi, coś ogląda, nie ma tu żadnych konsekwencji. Autor nie jest ciekaw świata, jest nieustannie ciekaw siebie, ani przez chwilę nie przestaje być obiektem własnej obserwacji.

Podróż jest jednym z bardziej znaczących motywów w pisarstwie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Ryszard Kazimierz Przybylski zauważa, że „w czterech tomach *Dziennika* znaleźć można (...)wiele notatek związanych z podróżami po Italii. Herling-Grudziński wędruje szlakami opisywanymi i zmitologizowanymi przez innych (...), ma jednak swoje ulubione miejsca (najpiękniejszym rejonem Włoch pozostaje dla niego Umbria). W tym samym stopniu zajmują go walory krajobrazowe, kulturowe specyfika społeczności lokalnych, co arcydzieła architektury i klasycznego malarstwa. Kiedyś Herling-Grudziński wędrował po Włoszech zaopatrzonej w bedekery; dziś jego *Dziennik* może być doskonałym przewodnikiem po Półwyspie Apenińskim, bogatym w niekonwencjonalne spostrzeżenia i informacje”³³. Poza obecnością opisów *peregrinatio domestica* w *Dzienniku* *pisanym nocą*, opisów które stanowią integralną jego część, jeden tylko tekst publikowany jako osobna całość jest dziennikiem podróży — to *Podróż do Burmy*, całkowite przeciwieństwo wspomnianych wyżej diariuszy Gombrowicza.

Pisarz wyjechał do Birmy wiosną 1952 roku na zaproszenie redaktora ranguńskiego dziennika „Bama Khit” U On Kona i Kongresu Wolności Kultury w Paryżu, aby — jako ekspert od spraw sowieckich i komunistycznych — wygłosić cykl wykładów. „Podczas trzytygodniowego pobytu — pisze Anna Nasalska — wygłaszał odczyty w kilku większych miastach, prezentując znane sobie oblicze «innego świata», mającego właśnie na politycznym horyzoncie kraju”³⁴. Przybylski dodaje, że prelekcje Grudzińskiego „wychodziły naprzeciw oczekiwaniom, znajdującej się u władzy federacji stronnictw lewicowych, przeciwko którym ugrupowania prosowieckich komunistów prowadziły wojnę partyzancką. Jego doświadczenie miało rozwiązać złudzenia części miejscowej inteligencji, sprzyjającej radykalnym rozwiązaniom”³⁵.

Efektem tej podróży był dziennik prowadzony od 13 maja tj. od momentu odlotu z Londynu, do 8 czerwca, tj. do chwili powrotu samolotem z New Delhi. Został on opublikowany w siedmiu odcinkach na łamach „Wiadomości” na przełomie 1952 i 1953 roku, zaś w formie książkowej dopiero trzydzieści lat później³⁶.

Dziennik podróży do Burmy — pisze Herling Grudziński — prowadziłem na gorąco i niemal codziennie. Podaję go tutaj bez większych zmian — jedynie po oszlifowaniu stylistycznym i uzupełnieniu rzeczowym. Pierwsze okazało się konieczne ze względu na warunki w jakich powstawały te szkicowe notatki, pisane często dosłownie na kolanie, w samolocie, w poczekalniach dworców lotniczych, w przygodnych herbaciarniach burmeńskich, w krótkich przerwach między rozjazdami lub jeszcze krótszych interludiach porannego i wieczornego powiewu chłodu; drugie było nie do uniknięcia, kiedy po powrocie do Londynu zacząłem przeglądać książki o Burmie i materiały, w które mnie za-

³² Tamże, s. 99.

³³ R. K. Przybylski, *Być i pisać*, s. 111.

³⁴ A. Nasalska, *Śladami Orwella. O „Podróż do Burmy” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego*, [w:] *Etos i artyzm. Rzecz o Herlingu-Grudzińskim*, pod red. S. Wysłouch i R. K. Przybylskiego. Poznań 1991 s. 186.

³⁵ R. K. Przybylski, *Być i pisać*, s. 43.

³⁶ G. Herling-Grudziński, *Podróż do Burmy*. Londyn 1983. Okoliczności wydania książki przedstawia pisarz we wstępie „Od autora”.

opatrzyli moi burmeńscy przyjaciele. Mimo tych nieuniknionych zabiegów, pierwotny charakter i styl dziennika został tu wiernie zachowany³⁷.

Podróż pisarza miała charakter celowy, a cel jej był, rzecz można, praktyczny, warunkowany przez kontekst polityczny; w cel ten wpisana była perspektywa powrotu po spełnieniu określonego w zaproszeniu zadania. Była to podróż egzotyczna — pisarz miał tam zetknąć się z czymś dotąd całkowicie obcym, a więc nowym i nieznanym. Świadom tej ważkiej okoliczności zakłada sobie prowadzenie dziennika. Jak już wspomniałem, ma on charakter diametralnie różny od zapisków Gombrowicza. Przede wszystkim autor *Skrzydła ołtarza* do minimum redukuje w obrębie dziennika swoją obecność jako podmiot wypowiadający — jest to szczególnie przypadek postawy autobiograficznej, fundowany przez samodyscyplinę pisarską, nieufność wobec wyznań stricte osobistych, a przede wszystkim świadomość charakteru dziennika podróży jako typu wypowiedzi. Pisarz jest obserwatorem, wnikliwym i bezstronnym, choć nie zawsze wewnętrzna potrzeba interpretacji pozwala na bezstronność; obserwatorem, a więc dominuje nastawienie na zewnątrz; postrzegane elementy rzeczywistości wywołują refleksję, ta z kolei komentarz. Przestrzeń i czas wyznaczają kierunek zrównoważonej i zazwyczaj chłodnej w tonie narracji. Przenikliwe rozpoznanie skomplikowanej sytuacji społeczno-politycznej Birmy, konfrontowanej z polskimi doświadczeniami i przez ich pryzmat odczytywanej, budzi w pisarzu odczucia pesymistyczne. Czuje się moralnie zobowiązany dać świadectwo, rozwiać złudzenia, uratować w dalekim kraju to, czego nie dało się utrzymać w Polsce, a jednocześnie świadom jest nieprzewycięzalnych różnic w mentalności, która — jak w przypadku Birmańczyków — łatwo chłonie komunistyczną indoktrynację i demagogię, choćby paradoksalnie już przez to tylko, że trwa w niej ciągle brytyjski porządek — jego granice wyznaczają granice możliwego, reszta jest abstrakcją.

Podróż do Burmy to nie tylko relacja o ludziach, miejscach, zdarzeniach i ich okolicznościach, lecz także przejmująca opowieść o odpowiedzialności pisarza za ład moralny i oblicze świata, wreszcie za wizerunek samego siebie jako Polaka, Europejczyka i artysty. Na jedno jeszcze warto zwrócić uwagę — na obecność silnie wyeksponowanej w zapisach sylwetki George'a Orwella, który niejako patronuje wędrowce i działaniom Herlinga, na świadome wkroczenie na „szlak orwellowski”, nie tylko geograficzny, ale i duchowy, bowiem tam, gdzie oficer brytyjskiej policji kolonialnej Eric Blair stał się Georgem Orwellem, polski pisarz-emigrant demaskuje totalitaryzm, a więc w jakiejś mierze wypełnia testament autora *Hołdu Katalonii*.

Kolejny wielki podróżopisarz emigracyjny to Jerzy Stempowski. Dzienniki jego licznych wędrowek, niekiedy przekorne i dziennikami będące jedynie z nazwy, stanowią ważną, najważniejszą obok esejów i listów, część literackiej spuścizny autora *Ziemi berneńskiej*. On sam traktował ją powściągliwie i ze skromnością. „Próbowałem sam pisać dzienniki podróży — stwierdzał — i poznałem granice tego rodzaju literackiego. Łatwo jest spisywać wrażenia wyniesione z tzw. *peregrinatio domestica*, podróży po krajach śródziemnomorskich, gdzie każdy przedmiot miał swą nazwę grecką i łacińską, zanim znalazł się w słownikach języków nowożytnych. Lecz czy te peregrynacje domowe są prawdziwą podróżą, zmianą klimatu? Wspomnienia i słownictwo kultury klasycznej są domem, który nosimy na plecach jak zółwie i ślimaki. Wystarczy zeń wyjść, aby poczuć się zgubionym wśród rzeczy nowych, nie mających nazwy i nie poddających się opisowi lub tłumaczeniu”³⁸.

Jego pierwszy dziennik podróży *Pielgrzym* (Wrażenia z pobytu w Holandii i Niemczech zimą 1923/1924) został opublikowany pod pseudonimem i w niskim nakładzie

³⁷ Tamże, s. 4.

³⁸ J. Stempowski, *Śpiew podróżnego*, s. 321.

w 1924 roku; następne pochodzą już z okresu powojennego, z lat 1945–1965, i zostały zebrane w pośmiertnie wydanym tomie *Od Berdyczowa do Rzymu*³⁹. Są to: *Dziennik podróży do Austrii i Niemiec* (1945), *Corona turrita* (Z dzienników podróży do Włoch, listopad 1947 – styczeń 1948), *Nowy dziennik podróży do Niemiec* (1948–1949), *Dziennik podróży do Niemiec* (1951), *Dziennik podróży do Westfalii* (1954), raczej esej niż dziennik *Sulmona* (1958), *Niemcy–Austria* (1962), *Holandia* (1962), *Frankfurt* (1962), *Bonn* (1963), *W Turynie* (1963) i ostatni *Słońce jesieni* (Jugosławia 1965).

Jak widać topografia podróży Stempowskiego kwalifikuje je do grupy tzw. podróży domowych. Niechętny dalekim i egzotycznym wyprawom, swoje zainteresowania ograniczył do duchowej ojczyzny, do starego kontynentu, wyłączając zeń Anglię. Jan Tomkowski zauważa, że „Stempowski nie należał do gatunku literatów, którym wystarczają podróże w marzeniach albo dobrze zaopatrzonej bibliotece. Poznając nowy kraj przyjrzeć się musiał jego drzewom i ogrodom, wybrać się na wieś, zaznajomić dokładnie z rytmem języka. Zdaje się, że w poszukiwaniu książek do swej kolekcji zaglądał chętniej do księgniarni niż bibliotek. Bukiniści są zwykle rozmowniejsi od bibliotekarzy, a zawarte znajomości Stempowski umiał wykorzystywać”⁴⁰.

Nie lubił powracać do tych samych miejsc, zazwyczaj wybierał inną niż poprzednia trasę. Chętnie natomiast powracał do przeszłości, szukając w niej punktów stałych, które stanowiłyby odniesienie do współczesności. Jak imaginacyjny podróżnik Stanisław Vincenz, był pewien, że podróż wskrzesza pamięć i utwierdza w jedynie słusznym przekonaniu, że istnieją „sprawy trwałe a piękne, wzniesione ponad zmartwienia, a nawet ponad cierpienia jednego czy dwóch pokoleń”⁴¹. Jest świadkiem, a pielgrzymem i myślicielem zarazem; nie zapomina też, że jest emigrantem i świadomość tego uzewnętrznia w licznych dygresjach. Pamięć podsuwa mu zamierchłe, ale wciąż żywe obrazy. W ciszy na pół zburzonego Innsbrucku notuje: „Myślę, że w takiej ciszy emigranci słyszą szum swoich rzek. Wystarczy skupić się w pamięci, aby wśród setek innych poznać szum swojej rzeki. (...) Zdaje się, że gdybym ociemniały, stary, trawiony gorączką i obłędem, posłyszał znów ten szum, lata błędzenia po manowcach spadłyby ze mnie jak łachmany niedoli i stałbym się znów sobą”⁴².

Jednakże mimo wszelkie obrazy podpowiadane przez pamięć i mimo historyczno-symbolicznego nacechowania zwiedzanych miejsc, dzienniki podróży nakierowane są ku przyszłości. Poznając ludzi, krajobrazy, zabytki architektury i sztuki, a nawet prozaiczne sprzęty, meble i naczynia, stara się wyczytać z nich jutro Europy, poszukuje zapowiedzi jej odrodzenia po katastrofie, którą sama przygotowała; pyta, czy pozostanie zdegradowana, otepiała i bezwolna, czy też duch jej na nowo porwie się ku tworzeniu rzeczy wspaniałych i wielkich?

Pytanie to, jako problem zasadniczy, będący przejawem osobistego zaangażowania pisarza, właściwe jest wczesnym dziennikom. Te pisane w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych coraz mniej mają w sobie osobistego tonu autora, coraz mniej liryzmu, a nawet ironii — są czystymi relacjami. Jak twierdzi Andrzej Stanisław Kowalczyk „są to dzienniki podróży epoki stabilizacji; zewnętrzny spokój i dystans ukrywają być może gorycz. Zdegradowana Europa zaakceptowała swój los”⁴³.

³⁹ J. Stempowski, *Dzienniki podróży*, [w:] tegoż, *Od Berdyczowa do Rzymu*. Paryż 1971 s. 103–395.

⁴⁰ J. Tomkowski, *Jerzy Stempowski*. Warszawa 1992 s. 10.

⁴¹ S. Vincenz, *Z perspektywy podróży*, [w:] tegoż, *Z perspektywy podróży*. Kraków 1980 s. 15.

⁴² J. Stempowski, *Dziennik podróży do Austrii i Niemiec*, [w:] tegoż, *Od Berdyczowa do Rzymu*. Paryż 1971 s. 111–112.

⁴³ A. S. Kowalczyk, *Podróż do Europy. Dzienniki Jerzego Stempowskiego*, Znak 1986 nr 11–12.

Ten sam autor, charakteryzując diarystykę Stempowskiego, zauważa:

W swych dziennikach podróży (...) Stempowski modyfikuje właściwą esejowi formę dyskursu, nawiązuje do gatunku peryferyjnego, z XIX-wiecznego lamusa, gatunku, którego rozkwit w literaturze polskiej przyniesie dopiero druga połowa naszego stulecia. Jest pierwszym autorem, który traktuje dziennik, dziennik podróży przede wszystkim jako konwencję artystyczną, na drugi plan odsuwając jego funkcję ekspresyjną, dokumentalną i kronikarską. (...)Ważniejszym dla dzienników podróży Stempowskiego punktem odniesienia pozostaje tzw. literatura faktu, a zwłaszcza najważniejszy jej gatunek — reportaż. (...) Odwołując się do pewnych cech poetyki reportażu (...) dystansował się Stempowski wobec formuły gatunku. Diarysta jest podróżnikiem, a nie reporterem. W dziennikach wyeksponowana zostaje równowaga między głównym bohaterem a rzeczywistością; nie bada on jej ani nie studiuje, nie liczba ani doniosłość zebranych faktów decydują o jej zrozumieniu. Jakkolwiek podróżnik chętnie utrwała swe bezpośrednie obserwacje, to tworzą one przede wszystkim koloryt lokalny, pozbawione samoistnej wartości. Dopiero wojażer-eseista potrafi zdarzeniom, gestom, wypowiedziom nadać znaczenie przez umieszczenie ich we właściwym kontekście historycznym, etycznym czy obyczajowym (...) Właściwa dziennikowi fragmentaryzacja uwydatnia rolę podmiotu oraz skłania do intelektualizacji prozy, czyniąc z poszczególnych zapisów niemal autonomiczne całości. Podróżnik Stempowski broni się więc skutecznie przed taką częstą cechą reportaży, jak zaangażowanie. Nie reprezentuje bowiem żadnej partii, ideologii czy programu. Reprezentuje sam siebie. Jego credo odwołuje się do rozmaitych wartości, jego filozofią jest podróż, programem — eseizm⁴⁴.

Ta filozofia łączy Stempowskiego z innym emigracyjnym pisarzem, znakomitym diarystą i epistolografem, Andrzejem Bobkowskim, łączy także wychylenie w przyszłość, bezkompromisowość diagnoz i krytycyzm wobec powojennej Europy, dzieli natomiast zasadnicza różnica, naturalnie poza indywidualnymi cechami stylu i zewnętrznymi okolicznościami tych peregrynacji, jaką jest witalizm nieustannie manifestowany przez Bobkowskiego, jego nienasycona żądza poznania i nastawienie ekstrawertywne, ale przede wszystkim fakt, że podróż autora *Szkiców piórkami* z Francji do Gwatemali była wyjątkowa i pod tym względem, że była jedyną podróżą bez powrotu. Jeśli użyć porównania Stempowskiego, który pisał, że „mieszkańcy Europy są dziś w położeniu szczura w wannie, szukającego na próżno wyjścia po gładkich ścianach”⁴⁵, to Bobkowski wy dostał się z wanny i nie chciał do niej wrócić.

Bobkowski należał do tego rodzaju podróżników, którzy włączając się (to najodpowiedniejsze słowo) pozornie bez celu, najchętniej mało uczęszczanymi i trudnymi trasami wymagającymi odporności fizycznej i psychicznej, kolekcjonują myśli i wrażenia, układając z nich swoistą mozaikę doświadczeń i wzruszeń, będącą świadectwem ich pasji poznawania samych siebie i świata, na który wyrażają zgodę, i który darzą głębokim uczuciem, także świadectwem dialogu, jaki podróżując nawiązali z ludźmi, miejscami i czasem. Bobkowski dysponował własną „filozofią podróży”, oryginalną, choć po części zaczerpniętą od Keyserlinga i Schelera, jej streszczeniem jest notatka z 10 sierpnia 1943 roku. W drodze z l'Étre Clement do Sable Bobkowski zapisał:

Czy można powiedzieć, że się „podróżowało”, gdy człowiek pokrywa setki kilometrów w kilku godzinach, zatrzymując się — albo i nie — w pewnych punktach? Jestem przekonany, że przejechawszy z Angers do Le Mans na rowerze, będę miał więcej praw do twierdzenia, że odbyłem prawdziwą podróż, aniżeli osobnik przebywający przestrzeń Paryż-Sajgon w trzy dni. Kto z nas dwóch więcej przeżyje? Moja podróż pozwala mi na

⁴⁴ Tegoż, *Nieśpieszny przechodzień i paradoksy. Rzecz o Jerzym Stempowskim*. Wrocław 1997 s. 247–248.

⁴⁵ J. Stempowski, *Corona turrita*, [w:] tegoż, *Od Berdyczowa do Rzymu*, s. 155.

prze-życie, zbliżając wolno do celu. Cel zaciera się, nie stanowi rzeczy samej w sobie, przestrzeń staje się nie wrogiem, ale przyjacielem, z którym rozmowa wzbogaca, rozbudowuje. Jest to jak z zagadkami na pierwszej stronie i z odpowiedziami na ostatniej. Przeskoczyć z Paryża do Sajgonu, to spojrzeć na zagadkę i, nie zadając sobie trudu, przeczytać rozwiązanie. To przejście od pytania do gotowej odpowiedzi. System ten nie wzbogaca, nie rozwija, nie zmusza do myślenia. Człowiek staje się wówczas istotą najbardziej podobną do pchły (...); żadna pchła nie skakałaby beztrąsko, bez pomyłki, co do punktu, w jakim ma wylądować, gdyby skacząc, musiała się jeszcze poświęcać kulturze swego życia wewnętrznego. To, co tworzy jedność człowieka, to właśnie jego otwartość na świat (...) Ale jak można utrzymać swą otwartość na świat, jeżeli nie jest się w stanie zauważyć nic innego, jak tylko to, co możliwe jest do zobaczenia przy szybkości 500 km na godzinę? Człowiek zamyka się, staje się pchłą⁴⁶.

Jego przedwojenne, nieutralone literacko podróże, kiedy to — jak stwierdza: „rodzice wysyłali mnie za granicę dla wyszlifowania francuskiego i niemieckiego”⁴⁷, można zakwalifikować jako podróże celowe o charakterze edukacyjnym, natomiast opisaną w pierwszym tomie *Szkiców piórkem* podróż rowerem po południowej Francji jako bezplanową i bezcelową (choć cel poznawczy o wyraźnie sentymentalnym wydźwięku nie był tu bez znaczenia), z wpisaną w nią bardzo odległą i nie do końca pewną perspektywą powrotu do Paryża. Podróż dla przyjemności podróżowania, nawet w najmniej sprzyjających warunkach, a więc zaspokojenie pragnień serca, woli rozumu, pozbawiona celu pragmatycznego, lecz nie całkiem „bezcelowa”, jest charakterystyczna dla wszystkich opisanych w wojennym dzienniku i powojennych reportażach rowerowej wędrówki. Właśnie rower jako środek lokomocji wart jest tu szczególnego podkreślenia. Roman Zimand nazwał go „narzędziem poznania”⁴⁸. Rower uniezależnił pisarza od pociągów i autobusów, których rozkład narzucał określony czas i trasę, stwarzał realną perspektywę wolności wyboru i dawał możliwość samotnego przeżycia; był przy tym sprawdzianem inwencji i kondycji fizycznej. Można nawet powiedzieć, że był „instrumentem wolności” — podlegał podróżnikowi całkowicie i poniekąd pozwalał kreować jego indywidualność; bez niego doznania wędrowca byłyby znacznie zredukowane i, kto wie, czy Bobkowski poznałby tak dogłębnie uroki francuskiej prowincji, a przez to Francję samą, jej wielką przeszłość i żalosną teraźniejszość, gdyby nie owa posłuszna jego woli maszyna, mająca tę przewagę nad innymi, że w terenie była bez mała uniwersalna, a dodatkowo zapewniała odpowiednie warunki kontemplatywne, będąc przeznaczoną zasadniczo dla jednej osoby. Pisarz traktował ją w sposób, w jaki zazwyczaj nie traktuje się przedmiotów i wytworów techniki — jak istotę żywą i przyjazną, która oddaje człowiekowi to, co on dla niej robi; stosunek do maszyny był dla niego, podobnie jak sposób jedzenia i korzystania z wynalazków i udogodnień cywilizacji, probierzem kultury człowieka.

Jedynym stricte podróżopisarskim dziełem Bobkowskiego jest diarystyczny zapis wyjazdu z Francji do Gwatemali w czerwcu 1948 roku na pokładzie statku s/s „Jagiełło”, któremu autor nadał tytuł *Z dziennika podróży*. Notatki te były najpierw publikowane na łamach „Tygodnika Powszechnego”⁴⁹, a później weszły w skład opublikowanego w kraju wyboru jego prozy⁵⁰.

O motywach, które legły u podstaw decyzji porzucenia starego kontynentu i szukania swego miejsca w odległym, egzotycznym kraju, pisano wiele i w rozmaitych kontek-

⁴⁶ A. Bobkowski, *Szkice piórkem*, t. 2. Paryż 1957 s. 296.

⁴⁷ List A. Bobkowskiego do T. Terleckiego z 20 lutego 1958 roku, *Kresy* 1992 nr 12.

⁴⁸ R. Zimand, *Wojna i spokój*, [w:] tegoż, *Wojna i spokój. Szkice trzecie*. Londyn 1984 s. 13.

⁴⁹ Zob.: A. Bobkowski, *Z dziennika podróży*, *Tygodnik Powszechny* 1949, nr 25, 36, 40, 48, 50–51; 1950 nr 2, 7.

⁵⁰ Por.: A. Bobkowski, *Opowiadania i szkice*. Warszawa 1994 s. 115–183.

stach⁵¹. Sam pisarz poświęcił temu problemowi, obok licznych zapisków w *Szkicach piórkim* i obszernej korespondencji, osobny, by tak rzec — aklimatyzacyjny esej „Na tyłach”⁵². Poza wszelkimi możliwymi wyjaśnieniami przyczyn takiej właśnie decyzji pisarza, jedno jest niewątpliwie — w Bobkowskim domagał się wyżycia instynkt przygody. Podróż egzotyczna wpisana była niejako z góry w jego biografię, zresztą planował taką podróż już przed wojną. Indywidualizm, nadzwyczajna witalność i bujny temperament zmuszały do podjęcia ryzyka, do mierzenia się z nowym i nieznanym. Pasja poznawcza i głód wrażeń kierowały uwagę pisarza ku krajom i kulturom młodym, wzrastającym, dynamicznym, a nawet nieprzewidywalnym: najpierw myślał o Argentynie, ostatecznie wybrał maleńką Gwatemalę, o której mało co wiedział. Jego stosunek do Europy, stosunek do tradycyjnie pojmowanej polskości, do konwenansu, do instytucjonalizmu i etatyzmu, do wszelkich ideologii ograniczających suwerenność jednostki i przejawów masowości na każdej płaszczyźnie był z biegiem lat coraz bardziej krytyczny i w końcu przerodził się w otwarty bunt. Niezależnie od dziejowych wstrząsów Bobkowski tak czy inaczej opuściłby Europę.

25 czerwca 1948 roku Bobkowski wraz z żoną zaokrętował się na „Jagielle”, w trzeciej klasie, w kabinie stuosobowej (!) i wypłynął do Gwatemali, do tego — według własnego jego określenia — „Affenlandu”, aby odnaleźć tam dawną Europę i pełnię życia. Od chwili opuszczenia Paryża prowadził codzienne zapiski, której to czynności nie zaniedbał i na pokładzie statku, a zakończył ją w momencie, gdy wiozący go z Panamy samolot wylądował na gwatemalskim lotnisku „La Aurora”. Jednakże trwająca trzy tygodnie podróż oceaniczna była w większym stopniu podróżą celową o charakterze praktycznym niż romantyczną eskapadą z conradowskiej inspiracji, gdyż była koniecznym etapem w radykalnej odmianie sytuacji życiowej, była wynikiem decyzji świadomej i uzasadnionej, wiązała się też z wyraźnie określonym planem, organizacją, celem oraz warunkami i środkami jego realizacji.

Podróż Bobkowskiego zaczęła się jednak nie w momencie zaokrętowania w Cannes, ani nawet w chwili opuszczenia Paryża, lecz jeszcze wcześniej, wtedy gdy naruszony i w końcu zburzony został tworzony przez osiem lat porządek domu, porządek miejsca i układu przedmiotów. Wtedy właśnie pisarz zaczął prowadzić dziennik, bo zrozumiał i odczuł, że podróż bez powrotu właśnie się rozpoczęła.

Publikując go po upływie roku na łamach „Tygodnika Powszechnego” podzielił tekst na siedem części, z których każda była relacją z określonego etapu podróży, stąd też dziennik odczytać można jako cykl reportaży. Kryterium podziału jest w zasadzie geograficzne np. pięć z siedmiu części zajmuje rejs, którego etapami są nie postoje statku, lecz przepływane akweny: Morze Śródziemne, Atlantyk przed i za Zwrotnikiem Raka, Morze Karaibskie.

Warto tu zwrócić uwagę na jeden jeszcze aspekt podróży, a mianowicie środek lokomocji. Bobkowski, wielki entuzjasta lotnictwa i specjalista w zakresie aeromodelarstwa, wybiera okręt. Z pewnością jakieś znaczenie miał tu wzgląd finansowy, ale nie on przede wszystkim zadecydował. Nie zadecydowała też pasja przygody, gdyż pisarz nie płynął dotąd zarówno statkiem oceanicznym, jak i nie leciał samolotem. Łatwość przemieszczania się i towarzyszący rejsowi samolotem luksus, także luksus czasowy, są za-

⁵¹ Por.: T. Terlecki, *Andrzej Bobkowski*, Wiadomości 1962 nr 32/33; Z. Grabowski, *Do redaktora „Wiadomości”*, Wiadomości 1962 nr 35; K. Wierzyński, *Andrzej Bobkowski*, [w:] tegoż, *Szki-ce i portrety literackie*. Warszawa 1990 s. 195–196; A. Fiut, *Ucieczka z Europy*, Kresy 1992 nr 12; M. Pieczara, *Latarnik, Więź* 1983 nr 7; S. Stabro, *Europa odrzucona*, Twórczość 1991 nr 9.

⁵² Zob.: A. Bobkowski, *Na tyłach*, [w:] tegoż, *Coco de Oro. Szkice i opowiadania*. Paryż 1970 s. 74–86.

przeczeniem najistotniejszych cech podróży. Rejs statkiem, choćby i w komfortowych warunkach, nie odbiera podróżnikowi większości wiążących się z pokonywaniem przestrzeni doznań — daje możliwość przeżywania i wymaga odporności.

Okręt ma coś w sobie — zapisał już na pokładzie autor *Szkiców piórkiem* — ma coś ludzkiego. Jakby osoba. Poza tym kawałek ziemi, a na „Jagielle” własnej. Do lokomotyw i okrętów czułem zawsze wielki sentyment, bo uważam je za twory techniki już zupełnie oswojone. I lokomotywa, i okręt pozwalają jeszcze w tej epoce szybkości supersonicznych na stopniowe przestawienie się. Mówiąc muzycznie, na całą frazę. W wypadku zmieniania świata, życia, w ogóle wszystkiego, przelot samolotem byłby dla mnie gwałtem, zniszczeniem tkanki. Bałbym się, że zacznę to nowe życie rozwiązywać źle albo wcale go nie rozwiążę. Miałbym „dziurę”, jak człowiek zabierający się do równania drugiego stopnia bez znajomości równań pierwszego⁵³.

Co ciekawe, szybkość kilkunastu węzłów na godzinę, z jaką płynął „Jagiello”, była dla Bobkowskiego jednak zbyt wielka. Następne podróże planował odbywać żaglowcem. Transoceaniczny parowiec nie miał w sobie niczego z uroku conradowskich brygów, barków, fregat i szkunerów, a przecież trasa, którą miał pokonać „Jagiello”, niewiele różniła się od tej, którą dwukrotnie, najpierw na „Mont Blanc”, później na „Saint-Antoine”, przemierzył autor *Zwierciadła morza*. Patronat Conrada, tylko raz jeden wymienionego w tekście, wydaje się oczywisty i nieprzypadkowy. Im bliżej Morza Karaibskiego, tym częściej Bobkowski myślał ilustracjami z *Robinsona Crusoe* i scenami z *Korsarza* i *Nostromo*.

Bobkowski prowadził swoje zapiski „na gorąco”, wprost na pokładzie, regularnie co dnia. To niezwykle zajęcie wzbudzało zainteresowanie współpasażerów, wyróżniało go z bezimiennego tłumu — dla jednych stał się osobliwością, dla innych obiektem pełnego szacunku i sympatii zainteresowania. Czynność pisania wyniosła w końcu pasażera III klasy do kategorii ludzi najbardziej na statku uprzywilejowanych: pisarz uzyskał zmianę menu i miejsce do pracy w barze I klasy.

Z *dziennika podróży*, podobnie jak *Szkice piórkiem*, choć w mniejszym zakresie, posiada charakter sylwiczny. Różnorodności tematyki i różnorodności form podawczych i gatunkowych towarzyszy w tym przypadku ograniczona otwartość. Dziennik podróży kończy się wtedy, gdy kończy się podróż; w przeciwieństwie do dziennika suwerenna decyzja autora podlega tu z definicji presji kategorii, której podporządkowany jest zapis: nie można bowiem kontynuować dziennika podróży, gdy przestało się podróżować. Zarazem ograniczona do ściśle określonej przestrzeni swoboda podmiotu postrzegającego wpływa na charakter zapisów i repertuar obserwacji.

Z *dziennika podróży* jest tym utworem, na który krytycy i badacze twórczości Bobkowskiego zwracali najmniej uwagi, a który zarówno w jego dorobku literackim, jak i w biografii odgrywa znaczącą rolę. Już wybór tytułu wart jest bliższego zainteresowania, gdyż i tu — swoim zwyczajem — Bobkowski łamie konwencję, eksponując w nim element selekcji i zacierając precyzję informacji. Tekst, być może istotnie fragmentaryczny i przepracowany z myślą o publikacji, podlega wyraźnej eseizacji, co zbliża go do dzienników Stempowskiego, eseizacji zanikającej w ostatniej części. W planie treści przeważa tematyka aktualna, zdominowana przez fakt podróży, zapisy mają charakter momentalny, ale — wypada podkreślić — zorganizowany przez świadomość okoliczności wyjątkowej, świadomość oderwania się ostatecznego od tego, co znane i zbliżania do tego, co nowe i jakby jeszcze niepewne. „Czuję się teraz — notował pisarz — jak pocisk,

⁵³ A. Bobkowski, *Z dziennika podróży*, [w:] tegoż, *Opowiadania i szkice*. Warszawa 1994 s. 129.

który już opuścił lufę, a jeszcze nie trafił w cel.”⁵⁴ W planie wyrażania natomiast przeważają opowiadanie, opis i dialog. Charakter zapisów jest zdecydowanie osobisty i subiektywny: refleksje i wyznania, wspomnienia i przewidywania, analizy i relacje, pytania i diagnozy stanowią portret konkretnej osobowości, bogatej i złożonej, godzącej emocje z wewnętrzną dyscypliną, ironiczną i dowcipną. Scenki rodzajowe, obrazki, anegdoty stanowią wspaniały materiał do literackiej obróbki, opinie o dziełach literackich i cytaty z nich zdradzają nieprzeciętną, niezależną i wnikliwą osobowość, styl i potoczność narracji świadczą o dużym talencie. A jednak ów materiał nie został przez pisarza wykorzystany. Jedynie opowiadanie *Coco de Oro*⁵⁵ nosi pewne ślady obserwacji i charakterystyk zawartych w *Z dziennika podróży*, a bohater opowiadania, kapitan Świdkiewicz, ma pewne rysy dowódcy „Jagiełły”, kapitana R. Tekst dziennika uległ po publikacji zapomnieniu i chyba nawet zapomniał o nim pisarz, traktując go jak utwór o mniejszym ciężarze gatunkowym niż zabrane z Francji czerwone zeszyty okupacyjnego dziennika, które po kilku latach przynieść mu miały rozgłos i zapewnić jedną z czołowych pozycji w polskiej literaturze. Zresztą nie tylko dziennik podróży do Gwatemali, ale i cała spuścizna pisarska Bobkowskiego znalazła się i po dziś dzień znajduje w cieniu tego jedyne-go, zachwycającego dzieła, jakim są dwa tomy *Szkiców piórkami*. Wymownym jest tu fakt, że *Z dziennika podróży* nie zostało nawet wymienione w *Literaturze polskiej na obczyźnie 1940–1960* ani przez Józefa Bujnowskiego⁵⁶, ani Zygmunta Markiewicza⁵⁷.

Na marginesie diarystyki podróżniczej Stempowskiego i Bobkowskiego, Herlinga-Grudzińskiego i Gombrowicza sytuują się mało znane dzienniki podróżującego ze Stanów Zjednoczonych do Ghany Tymona Terleckiego⁵⁸, znakomitego krytyka, eseisty i teatrologa, oraz zwiedzającego Chiny polonijnego dziennikarza z Australii Ryszarda Krygiera, obydwaj pozostające poza głównym nurtem działalności autorów i obydwaj pozbawione jakiegokolwiek literatury przedmiotu, obydwaj też niezmiernie ciekawe jako konkretne realizacje paradygmatu gatunkowego, jako swoiste aneksy do typologii przeżycia egzystencjalnego jakim jest podróż, przeżycia rozszerzającego pojęcie rzeczywistości i konfrontującego postrzegający podmiot z otwierającą się nań tajemnicą innych ludzi, innych pejzaży i innych kultur, zintensyfikowanego przez specyfikę kondycji emigranta.

⁵⁴ Tamże, s. 125.

⁵⁵ Por.: A. Bobkowski, *Coco de Oro*, s. 97–136.

⁵⁶ Zob.: J. Bujnowski, *Eseje krajoznawczo-podróżnicze*, [w:] *Literatura polska na obczyźnie 1940–1960, t. 1*. Londyn 1964 s. 222–227.

⁵⁷ Zob.: Z. Markiewicz, *Literatura dokumentarna. Egzotyczne kraje*, [w:] tamże, t. 2 s. 26–27.

⁵⁸ T. Terlecki, *Dziennik z Ghany*, Kultura (Paryż) 1967 nr 11, 12; 1968 nr 1–2.

METAFORY MORALISTY — O POEZJI TADEUSZA SUŁKOWSKIEGO

Wojciech LIGEŹA (Kraków)

Istnieją poeci, którzy nie chcą się zmieniać. Ten gatunek artystów pozostaje wierny jednemu tematowi rozwijanemu od młodości do lat dojrzałych. Temat przybiera wiele postaci, obrasta w poboczne wątki, powraca w licznych wariacjach i przetworzeniach. Poeta poszukujący słowa wyrażającego moralną istotę istnienia, nie zważa na przelotne mody literackie, nie zajmuje się zamętem epoki, poniekąd lekceważy historię. Zjawiska przemijające nie są warte wyteżonej uwagi. Sprawy światowe, lecz w długiej perspektywie lat pozbawione znaczenia, należy pozostawić na uboczu. Jeżeli w refleksji poetyckiej pojawia się biografia, to składające się nań fakty umieszczone zostają w przestrzeni duchowej. Do takich poetów, którzy stąpają po raz obranej drodze, należy Tadeusz Sułkowski.

Radykalny poszukiwacz prawdy programowo izoluje się od literackiej giełdy. Nie bierze udziału w grze o fantomy sławy. Skupienie wewnętrzne wymaga bowiem odsunięcia się od destrukcyjnych mocy kulturalnego centrum. Prywatna wolność manifestuje się w geście odrzucenia przyjętych zachowań społecznych poetów, którzy, lękając się literackiej nicości, wciąż zabiegają o druk. Sułkowski publikował niewiele i dość niechętnie. Lubił żywot prowincjusza. Przed drugą wojną światową najbardziej był związany z rodzinnymi Skierniewicami. W czasie wojny aktywną działalność krytyczną rozwijał w oflagu w Murnau (niewielkie i zamknięte środowisko kulturalne — to jeszcze było do ogarnięcia). Kiedy osiadł w Londynie, wybrał podrzędną pracę administratora i dozorczy Domu Pisarza polskiego przy Finchley Road. W „straszonym dworze na Finczlejowie”¹ — jak Tadeusz Nowakowski żartobliwie nazwał to schronienie powojennych polskich pisarzy-emigrantów — powstało silne mikrośrodowisko artystyczne². Jednakże Wielki Londyn niewiele wiedział o tym skupisku talentów.

Obwarowany w rozpadających się murach, zdegradowany, praktykujący pokorę (która miała też odcień dumy), na co dzień Sułkowski z zapamiętaniem i ostentacją oddawał

¹ T. Nowakowski, *Hausekeeper Sułek*, [w:] *O Tadeuszu Sułkowskim*, red. K. Sowiński, T. Terlecki. Londyn 1967 s. 141.

² Zob.: J. Bielatowicz, *U drzwi finczlejowskich*, tamże.

się trywiom pracy fizycznej, zaś od święta obcował z kulturą metropolii, w przez siebie tylko wytyczonych granicach. Jak zaświadczyają wspomnienia, pisarz uczynił głównym przedmiotem swoich fascynacji muzykę, malarstwo i teatr.

Pozycja marginalna miała swoje cienie i blaski. Świadomość, że człowiek ubrany w roboczy kombinezon jest wybitnym polskim poetą, stała się udziałem niewielu przyjaciół. Dla szerszego kręgu czytelników, nawet w Londynie, Sułkowski pozostawał nieznanym. Co znamienne, najważniejsze jego zbiory poetyckie *Dom Złoty* oraz *Tarcza* (1961) ukazały się w londyńskiej Oficynie Poetów i Malarzy Krystyny i Czesława Bednarczyków — rok po śmierci autora. Do czytelników w kraju twórczość Sułkowskiego dotarła dwadzieścia lat później: tom *Tarcza. Wiersze i poematy* — z posłowiem i w wyborze Michała Sprusinskiego — ukazał się w wydawnictwie „Czytelnik” w roku 1980. W 1997 r., w dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin Skierniewice uhonorowały poetę uroczystymi obchodami oraz odsłonięciem tablicy pamiątkowej. Z tej okazji opublikowane zostały *Poezje* Tadeusza Sułkowskiego w opracowaniu Krzysztofa Ćwiklińskiego i Janusza Kryszaka. Jest to, jak dotąd, najobszerniejsza prezentacja twórczości samotnika z Londynu.

Wieczne *work in progress* Sułkowskiego mogło rozwijać się i doskonalić w sytuacji względnego spokoju i relatywnej wolności. Ponaglany jedynie przez życzliwych przyjaciół-wydawców poeta oddawał się cyzelowaniu formy, które graniczyło z szaleństwami akrybii. Pisarz prowadził osobliwe życie dla dzieła: kontemplacyjne, pustelnicze, ascetyczne. Osoba twórcy przestawała być ważna, liczył się wyłącznie pełny blask metafory, obrazu, frazy. Problematyka powstającego w takich warunkach dzieła z natury swojej musi być zwrócona ku doświadczeniu wewnętrznemu. Zatem pisarstwo Tadeusza Sułkowskiego w niewielkim stopniu odnosi się do aktualności historycznej, w znikomej mierze nastawione zostało na kronikarskie realia oraz przeżycia zbiorowe. Ideałem biografii artysty był w tym przypadku, jak już napomknąłem na wstępie, brak zdarzeń, jednostajność zatrudnień, niechęć do zmiany miejsca.

Poetę medytującego interesują etyczne uwarunkowania słowa poetyckiego. Składnia artystyczna wiersza, która dąży do formy doskonałej, winna odzwierciedlać ład wewnętrzny. Z każdej wypowiedzi mają wynikać nauki dla piszącego i czytelników. Namysł nad słowem i dobór słów u Sułkowskiego zawsze przekraczają problematykę *stricte* literacką, gdyż sztuka pisania, traktowana z niezmierną powagą, według poety przywraca utracony związek piękna i prawdy.

Moralistyka poetycka Tadeusza Sułkowskiego — tylekroć zauważana przez badaczy jego dzieła — posiada odrębne sposoby wyrażania. W omawianych wierszach ważną rolę pełnią słowa-klucze zaczerpnięte ze słownika aksjologii. Wciąż powtarzają się pojęcia piękna, dobra, prawdy, ładu, doskonałości, czystości, szczęścia a w drugim przeciwstawnym znaczeniowo szeregu poeta umieszcza kategorie mądrości, żalu, klęski, rozpacz. Od razu zauważmy, że *spectrum* opisywanych stanów psychicznych, doznań i doświadczeń rozciąga się u Sułkowskiego między afirmacją a negacją, nadzieją a zwątpieniem, radosnym, zmysłowym tańcem życia a gorzkim poczuciem zmyy i winy. Bohater liryczny Sułkowskiego jest człowiekiem paradoksalnym — rozdwojonym, rozdzieranym przez sprzeczne uczucia, nawiedzany przez ekstazy i zwątpienia. Sakralność rzeczy stworzonych graniczy z grzesznym, niedoskonałym wymiarem życia. W lirycznych wypowiedziach Sułkowskiego wzory moralne przybliżają nieosiągalny ideał, podnoszą zwykle istnienie ku obszarom doskonałości. Tak Sułkowski opisuje krainy marzenia konfrontowane z ludzką niedolą i nędzą.

Lirykę hipostaz, a hipostazy, jak wiemy, to ucieleśnione, uprzedmiotowione abstrakcje, w przypadku autora *Tarczy* nie należy wcale łączyć z logicznym błędem. W poezji Sułkowskiego pojęcia nie istnieją realnie, lecz rzeczywistość przedstawiona zostaje poddana próbie porządkowania wedle etycznych kategorii. Świat rzeczy istniejących ma

niejako dorosnąć do idealnych kształtów. Pojęcia ogólne nie są interesujące w sensie artystycznym. Spełniają swą właściwą funkcję poetycką dopiero wówczas, kiedy powstaje gra znaczeniowa pomiędzy abstrakcją a konkretem³, pomiędzy rzeczą a metaforą. Mowa metafor moralisty składa się z zapośredniczonych perswazji, z zaszyfrowanych olśnień i przerażeń. Jednakże sporo jakości formalnych w liryce Tadeusza Sułkowskiego ogranicza zakres oddziaływania metafory. Można wymienić dla przykładu poetycką opisowość złożoną z katalogów rzeczy zdobnych i zwykłych, a także, jak w eposie, ekspansję porównań. Ta stara tradycja zaznacza się bardzo wyraźnie w poemacie *Tarcza*.

Oczywiście poetyckie rozważania o wartościach oraz zmetaforyzowane wizje dopełniają się nawzajem. Sułkowski to poeta sytuacji moralnych, który wypowiedzi liryczne konstruuje w ten sposób, żeby czytelne stały się dylematy oraz wybory życiowe, określony — kierunek przemiany duchowej, nazwany — krąg destruktywnych właściwości istnienia ludzkiego. Mówić światu „tak” i powtarzać temu światu uporczywie „nie” to najważniejsza powinność poety. Monolog liryczny Sułkowskiego często przypomina formę wyznań lub spowiedzi. Szczerość jest bowiem miarą prawdy. Stałą regułą liryki Tadeusza Sułkowskiego skłonny byłbym określić metaforyzowaniem sytuacji moralnych albo inaczej: metaforyką podporządkowaną etyce.

Spróbuję rzecz rozpatrzeć na kilku przykładach. Wskazana postawa twórcza Sułkowskiego ujawnia się w obrazach wzrastania, dojrzewania, przemiany, lotu. Język kultury — muzyki, rzeźby i teatru — w tej poezji zostaje zaangażowany w tworzenie metafor moralisty. I jeszcze: piękno całego świata, bogactwa i klejnoty, wszelka zdobność i ozdobność rzeczy przeciwstawione zostają prawdzie słowa i poszukiwaniu dobra.

1. Wzrastanie

W otwierającym debiutancki tom *List do dnia* (1933) wierszu *Słowo* odnajdziemy początek poetyckiej księgi stwarzania samego siebie, jak gdyby prywatne *genesis*:

Rozkopię całe życie, zapłonę od nowa,
Podzielę mozól niemy na sprawy i rzeczy,
Bym tak zwielokrotniony i bardziej człowieczy,
Mógł ziemię chłonać, chłonać, choć nie znajdę słowa. (P 21)⁴

Zapewne wybaczyć należy poecie młodzieńczą egzaltację. Ekstazy powtarzane czasowniki ujawniają zachłanną pogoń za tym, co niewyraźne w mowie poetyckiej. Potrzeba poznania ma tu charakter sensualno-intelektualny⁵. Chłonać świat i świat rozumieć — te wskazania pojawią się w wielu lirykach (np. *Zapach świata*, *Noce majowe*, *Cokolwiek przyjdzie*). W wierszach Tadeusza Sułkowskiego żywioły biorą udział w doskonaleniu człowieczeństwa. W rozkopywanej jak ziemia świadomości należy zasiać ziarno moralnych norm i nauk. Od ziemi uczyć się cierpliwego oczekiwania. Natomiast święty i niszczący płomień — wedle żarliwych wyznań poety — pochłonać ma egotyczne złe postępy. Ogień stworzy człowieka wrażliwego, a tajemna więź z ziemią obdarzy

³ K. Ćwikliński posługuje się terminem „obrazowanie grawitujące”: *Idea i rzecz*. Londyn 1987 s. 84.

⁴ W tym szkicu cytuję utwory poetyckie według wydania: T. Sułkowski, *Poezje*, oprac. i posłowie K. Ćwikliński, wstęp J. Kryszak. Skierniewice 1997, stosując skrót P i podając numer strony bezpośrednio po tekście.

⁵ Jak pisał Krzysztof Kłosiński: „U Sułkowskiego [...] zachłanność wyrażona biologizującą metaforą zostaje sprzęgnięta z imperatywem poznawczym” (*Poezja Tadeusza Sułkowskiego*, [w:] *Poezja i nostalgia. Szkice o literaturze polskiej na obczyźnie*, red. W. Wójcik. Katowice 1987 s. 113).

go wieczną, niezmienną mądrością. Wszelako przeczuwana prawda wymyka się nazwie, dlatego transowi wzrastania towarzyszy niecierpliwa modlitwa o słowo. Zamach na tajemnicę wszechrzeczy w młodzieńczej liryce Sułkowskiego wydać się może naiwny, jednakże określa od razu ambitne założenia wierszy dojrzałych. Zapowiada dalsze realizacje z wpisaniem weń imperatywem doskonalenia formy wypowiedzi w ścisłym związku z refleksją etyczną.

Powtórzmy, iż przekraczanie własnych ograniczeń, transcendowanie, kierunek ku górze, wiążą się u Sułkowskiego z samorozwojem, z dążeniem ku prawdzie, doskonałości, czystości ludzkiego życia. Metafizycznym ciemnościom, które nie ujawniając drogowskazów, wibrują niepokojem, domenie ludzkiego zła, które jest niejako przyrodzone, przeciwstawić należy spokojną mądrość trwania natury w niezmiennych, wiecznych rytmach przemiany. Ładu moralnego nie da się wcale łatwo osiągnąć. Dlatego poeta opatruje swe idee znakami zapytania. Jak choćby w wierszu *List do dnia* marzenie o poznaniu triumfu poranków i klęski zmierzchów, które mogą być przekładane na poetyckie gatunki ody oraz elegii, towarzyszą sygnały wątpienia. Bliskość i obcość określają równocześnie relację pomiędzy widzialnymi, lecz tajemniczymi obrotami przemian natury a doświadczeniami ludzkiego życia. Apostrofy do dnia tak ten dość przytłaczający związek określają:

Wznoszę twą pychę w słowach, więc choć porównaj nas obu,
Bym jak ty gaś ciemnością i jak ty ogromiał światłem,
Którym aby wyblysnąć człowiek nie znajdzie sposobu?
Piszę ten list i myślę, że go odnajdę tak łatwiej.

(*List do dnia* P 7)

Sułkowski, parafrazując Norwida, „ludzkie ciemności” umieszcza po stronie dylematów moralno-egzystencjalnych. Człowiek niestety nie może stać się istotą świetlistą. Mowa nadchodzącej nocy jest „kamienna”, jak kroki Komandora, jak ledwie przeczuwalna groza przeznaczeń. Pomimo odczuwalnej obcości „istnienie poszczególne” utożsamiać się powinno z przyrodniczym ładem, dorosnąć do niepokojącej oczywistości trwania, a wreszcie przystać na peryferyjne położenie w świecie:

U traw uczyć się szumu, cierpkości dojrzałej,
Drzew potrzebie wzrastania dorównać nareszcie.

(*Wszystko już teraz ważne* P 27)

Natura jest nauczycielką ładu. Pełna przytomność bycia w świecie, cudowna i zarazem okrutna jasność poznawcza, ujawnia prostą wiedzę o przemijaniu. Radość umysłu, który pragnie dostąpić wtajemniczeń, integralnie wiąże się z klęską poszczególnej osoby — nie tak znowu ważnej w całym planie istnienia. Najtrudniejsza jest właśnie akceptacja tego, co nieodwołalne: „Pochwalam to mijanie za to, że dojrzewam” (*Strumień i ozimina*, P 33). Lub jeszcze inaczej: „słodko uczyć się będę śmierci / W ludzkich niebieskościach” (*Ratunek*, P 51)

Metafory rozwoju spotykają się z metaforami uczenia się — egzystencjalnej auto-edukacji. Zaklinanie dojrzałości, otamowanie zmysłów refleksją moralną i tak wyraziste u Sułkowskiego wzrastanie ponad stan intelektu nie jest wcale wyjątkiem w poezji debiutantów lat trzydziestych. Dodajmy na marginesie, iż kultura dwudziestolecia międzywojennego nie schlebiała magmowatej młodości, nie chwaliła myślowego nieopierzenia. Traktowana awansem dojrzałość była jedynym biletem wstępu na pokoje literatury.

Życie ludzkie uszlachetnia się w pisaniu. W bardzo konceptualnym wierszu Sułkowskiego *28 kwietnia padał deszcz* świat tekstowy — czysty i prosty jak wiosenna przyroda — wzlatuje ku niebu, zostaje wydzwignięty „na końcu stalówki”. Pisanie to zatem lepsza strona istnienia. Bliska niebu, wyrastająca ponad codzienne udręki i niepewności. To

przekonanie poety wypowiedziane również zostaje w lirykach *Żebyś podolał szybie, Elegia, O tym wierszu*. Potrzeba wzrastania w wierszach Sułkowskiego od samego początku ujawnia dialektykę klęski i nadziei, bólu i radości, choć jasna tonacja zdecydowanie przeważa w tomie *List do dnia*. Podobnie w *Żalu niedoskonałym* krajobrazy wiosenne, które wiążą się z apologią młodości, przytłumiają — choć nie tak już skutecznie — przerażenie, zwątpienie i rozpacz.

W omawianej liryce spontaniczne poznanie ma postać epifanii. Sakralizacja natury, święto istnienia, adoracje rzeczy stworzonych, a także nieustające poetyckie rytuały oczyszczenia wyprzedzają refleksję moralną. Wiele fragmentów, w których dochodzi do głosu beztroski witalizm, można by przypisać Kazimierzowi Wierzyńskiemu z okresu wczesnego Skamandra (np. pojedyncze frazy z wierszy *Błoto pociesz, Lotnik, Biała Czortkowska, Egotyzm*)⁶, wszelako wymowa całości jest zupełnie inna. Po pierwsze w młodzieńczej liryce Sułkowskiego temat wzrastania nie zostaje pozbawiony udręki trudnych wyborów, czujności i wrażliwości na dobro i zło, po wtóre — radość zmysłów koresponduje z metafizycznym wtajemniczeniem. Sułkowski uskarża się wprost: „O, jak trudno człowiekowi rosnać” (*Egotyzm*, P 50). Marzenia kontroluje samodyscypliną, wreszcie w połączeniach precyzyjnej opisowości z ekstatyczną modlitwą tropi niepoznawalne w poznawalnym. W detalach i konkretach codziennej rzeczywistości pragnie dostrzec „esencję istnienia”⁷. Oto kilka przykładów: „Owiała mnie oddechem rzeczywistość wszystka” (*Tężeje światłem...*, P 37); „Wieczność ziele i bryzga mokrą płachtą na dół” (*Nad wodospadem w Jaremczu*, P 39); „za domami doczesność dzwoni” (*Razem z nami ląka się kołysze...*, P 66). Dochodzimy tutaj do paradoksu zmysłowej obecności pojęć abstrakcyjnych, które można niemal zobaczyć, niemal dotknąć.

Zwrócić też należy uwagę na symbolikę kolorów w poezji Sułkowskiego. Czerń to brud i marność ludzkiego istnienia, natomiast biel kojarzy się tu z ideałem moralnej czystości. Sakralność bieli ujawnia się wprost w naturze. W apostrofach z wiersza *Śniegu, śniegu biały* dopatrzeć się można nawiązania do znanej frazy z *Psalmu 50* „ponad śnieg bielszy się stanę” (*Księga Psalmów* L, 9). Owo uświęcające marzenie polega na tym, żeby:

Wyogromnieć, odnowić
I natrzeć śniegiem trwanie,
żeby było śnieżyciej,
Mozolniej, wspaniałej. (T 10)

Gramatyka przychodzi w sukurs metaforom wzrastania. Po stopniach przymiotników poeta wstępuje ku doskonałości. Jeszcze wyraźniejsze realizacje tej reguły znajdziemy we fragmentach liryku *Co dzień się mnożę*. Metafory moralisty wspiera bowiem poetyckie słowotwórstwo. Wyjątkowość duchowego zamierzenia sugerują niezwykle użycia języka. Sułkowski powiada: „co dzień się mnożę, suciej hardziej” (P 59). Program przemiany psyche czerpie wzory z natury. Należy bowiem: „spakowieć zmysłem każdym, / Szumieć tak drzewnie, gałęziście” (P 59). Rzeczy widzialne kuszą piszącego, lecz pod ich pięknymi kształtami kryje się coś więcej: strefa tajemnicy, nieprzeniknione prawa i prawdy, które dopiero należy odkryć.

Sułkowski często powołuje się na świętego Franciszka zbratanie z naturą. „Niebo ogromne” uświadamia też ludzką, Pascalowską nędzę. Chodzi jednak o to, by poprzez akt pisania oraz kontemplacji przemijająca marność stała się dobra i piękna. Jak w mo-

⁶ „Śród palców będę trzymał / Ziemię, powietrze, niebo” (P 29); „Przecież nareszcie już umiem / Całować, całować powietrze.” (P 38); „Pyszny z tego, zem poznał świat wrzący, / Przecież szedłbym, tak sobie, raz nocą / Nie pytany i nic nie wiedzący” (P 50).

⁷ Por.: J. Kryszak, wstęp do: T. Sułkowski, *Poezje...*, s. 12.

dlitwie panteisty w jednym z najpiękniejszych liryków Tadeusza Sułkowskiego *Jaskółki* (z tomu *Dom Złoty*):

Od złego skrzydłami uchowaj,
Jaskóleczko, kochaneczko hebanowa.
Naucz nędzna stać w nędzy mojej
Jak w muzyce i łasce wesolej. (P 111)

2. Harmonia sfer poetyckich

Tymon Terlecki wskazywał istotne tropy w lekturze Sułkowskiego: „gdy się go znacznie badać z bliska, wyjdzie na jaw, ile w nim jest z ducha muzyki i plastyki, jak wielki jest stopień jego kulturalnego nasycenia”⁸. Jan Bielatowicz dodawał, „że można by poezję Sułkowskiego określić jako kontemplację obrazów, gestów i muzyki”⁹. Ograniczę się w tym miejscu do muzycznych fascynacji autora *Tarczy*. W tej poezji, a szczególnie w dokonaniach z okresu dojrzałego, muzyka jest inkarnacją ładu świata. W utworach lirycznych i w poemacie *Tarcza* poeta sięga po pitagorejskie wyobrażenie muzyki sfer, przy czym owe kosmiczne brzmienia dostępne są na wyciągnięcie ręki: krąg ziemskich rzeczy zawiera w sobie cudowną konfigurację dźwięków, rezonuje muzyką. Natura odpowiada muzycznym formom, których doskonałość może się równać z przedustawnym, wiecznym i mądrym ładem istnienia. Rzeczy są instrumentami, a ich akustyczna mowa — objawieniem piękna muzyki sławiącej Pana. Więcej jeszcze: stwarzając świat poetycki na podobieństwo muzycznego kosmosu, poeta wskrzesza dawny paradygmat harmonijnego usytuowania wszelkich rzeczy w świecie. Wielkie przestrzenie mogą zostać odwzorowane w małym oswojonym obszarze. Tak poeta buduje dom ze słów. Oznacza to także schronienie w muzyce przed lękiem i niepewnością:

Możemy tu z drewna dom zrobić z gwiazdy zarannej piórem,
deski ułożyć w harmonie i okna zawiesić jak cytry —
drzewo gałęzią wieczorną trąca o szklany instrument
i dom jest świerszczem pasterskim, przy którym nie zbłądzisz nigdy.
(*Koncert P 168*)

Dom symboliczny Sułkowskiego wykreowany zostaje według porządku kompozycji muzycznej. Owo wrażenie koniecznego piękna wzmacniają skojarzenia z kształtami i dźwiękami instrumentów. Idiofon w tym wierszu to oczywiście szyby wymaginowanego domu, lecz także, skoro w grze bierze udział cały kosmos, Mickiewiczowska „szklana harmonika” (utwory na ten instrument pisał Mozart). Światy muzyczne umieszczone są poza sferą zniszczenia i przerażenia. W domu muzyki zamieszkują dobro oraz bezpieczeństwo. Muzyka to sztuczny świat idylli, enklawa bukolicznego spokoju. Dodajmy, że poeta powraca wielokrotnie do wyobrażeń arkadyjskich. *Musica mundana* — ta dawna kategoria ustanawiająca identyczność muzycznych harmonii z budową kosmosu, ale także z ładem ziemskim — oznacza u Sułkowskiego nie tyle stan istniejący świata, co pewien porządek, który należy dopiero zdobyć, posługując się słowem poetyckim. Flet, ten instrument pasterski, najczęściej występuje w wierszach Sułkowskiego. Jak pisze Jamie James o pitagorejskiej tożsamości muzyki z duszą ludzką oraz — całym wszechświatem: „fletnista i kosmos mogli grać tę samą nutę”¹⁰.

⁸ T. Terlecki, *Dramat doskonałości*, [w:] *O Tadeuszu Sułkowskim...*, s. 21.

⁹ J. Bielatowicz, *Tadeusz Sułkowski*, [w:] tegoż, *Literatura na emigracji*. Londyn 1970 s. 232.

¹⁰ J. James, *Muzyka sfer. O muzyce, nauce i naturalnym porządku wszechświata*, przeł. M. Go-dyń. Kraków 1996 s. 37.

Głosy rozpaczy, nicości, grozy uciszyć potrafi jedynie muzyka, która jest ucieczką strapiionych i marzących o ładzie istnienia. W poezji Sułkowskiego pitagorejski koncert posiada orkiestrację bardzo bogatą, gdyż zaangażowana tu została cała natura. Tylko człowiek, twór skażony zwątpieniem, postrzega siebie jako wirtuoza o wątpliwych kwalifikacjach. Piękne i celowe „brzmienia” świata stają się dostępne w wyniku determinacji oraz — pracy moralnej:

Smyczek jak gałąź uchwycić w dłonie
i smyczkiem w serce pustki krzycz —
nic Cię, mój drogi, nie obroni
i prócz muzyki nie ma nic.

(*Muzyka* P 162)

W muzyce syntetyzuje się całe doświadczenie świata. Nie ma nic godniejszego uważnych studiów i wrażliwego przeżycia. Wszelki ład świata ma przede wszystkim naturę muzyczną. Harmonia czyli zgoda, zestrojenie, współdziałanie elementów, dobre współbrzmienia różnaitości dźwięków, tak jak u dawnych myślicieli i teoretyków, w liryce Sułkowskiego łączy się w kosmologią, etyką oraz sztukami pięknym. Muzyka jest również źródłem prywatnej mitologii. Własne życie należy zbudować od podstaw w oparciu o żywioły najbardziej elementarne. Oto przykład modlitewnej inwokacji do muzyki roślinnej — uosobienia niezmiennego porządku istnienia:

Muzyko w trawie różowa,
wołamy i przez pustkę idziemy —
wszystko dobre jak w krzak we mnie wprowadź,
niech też będę instrumentem u warg ziemi.

(*Do róż* P 188)

Muzyka może być mową Boga. Krzak, który skrywa w sobie dobro i piękno, pochodzi więc z Biblii. Pejzaże i krajobrazy poetyckie Tadeusza Sułkowskiego zaopatrzone zostają w muzyczne wykładniki ładu. Rzeczy, chciałoby się powiedzieć, to instrumenty harmonii. Muzyka byłaby więc według poety najdoskonalszym językiem porządkowania. Znajdziemy tu wiele przykładów takiego artystycznego myślenia. Wybieram zaledwie kilka z cyklu wierszy rozproszonych: „to była ziemia od muzyki węgierskiej srebrna / i srebrne miała struny” ; „w harmoniach zapluskaly gaje cytryn / i przebiegło po klawiszach stado ptaków złotowłosych” (*Skarbiec*, P 171–172); „Złotymi stopami pod jej stopy — niech się tulają / klawisze owocowe” (*Tango*, P 178); „nad koniem śniegu kokoszki / a w dole smyczki płóz” (*Koncert*, P 169). Spontaniczny koncert istnienia oprawiony zostaje przez Sułkowskiego w ramy gatunków muzycznych. Dopiero w ten sposób wrażenia słuchowe i wzrokowe uchwycone zostają w wyrazistej formie. Ważny jest przekład na język kultury muzycznej:

a w trzcin piszczalce w wodzie czarnej
mówi muzyka gregoriańska.

(*Październikowy* P 82)

Czarne świerszcze, czarne klawisze
urządzają wieczór Chopina

(*Razem z nami tąka się kołysz...*, P 66)

Nie istnieje chyba godniejsze uszlachetnienie i uświęcenie przyrody, niż powaga liturgicznego śpiewu Kościoła. Melodyka ornamentalna i zarazem wzniosła, przebieg niespieszny i szlachetny ewokują nadziejską, skupioną, spokojną, radość. Jakby natura, sławiąc samą siebie, odzywała się do człowieka w hymnach, antyfonach, responsoriach. Wyrafinowane jest porównanie świerszczy z czarnymi klawiszami. Nie wydaje się wcale

pozbawiony podstaw domysł, iż Tadeusz Sułkowski aluzyjnie odwołuje się do gatunku muzycznego i konkretnego utworu Chopina. Mam na myśli napisaną wyłącznie na czarne klawisze, błyskotliwą i brawurową *Etiudę Ges-dur* op.10 nr 5.

Metaforom muzycznym poeta przypisuje szczególną rolę. Muzyka zaklina doskonałość. Ręka artysty — poety, kompozytora, także oko teatralnego wizjonera tworzą dzieła przyrównywane do ogrodów Edenu, do idealnych wnętrz, w których człowiek może zamieszkać i cieszyć się tam pełnią istnienia. Są to: „Sale muzyczne grające jak morza” (*Pióro*, P 120). Nie sposób frazie Sułkowskiego odmówić perfekcji. Retoryka poetycka służy wrażeniu harmonii, przeciwstawia się rozprzęganiu dźwięków, słów, znaczeń. Dobra sztuka jest jak dobry uczynek. Doskonalenie wyrazu przebiega równoległe z podnoszeniem życia na wyższy moralny poziom. Zwróćmy uwagę na dopowiedzenie-zaklęcie w wierszu *Pióro*:

Porządek pracy, harmonia surowa,
Co domem strofy włada, niech mną włada, (P 120)

W lirykach Sułkowskiego muzyka sprzyja poetyckiemu tworzeniu, uszlachetnia egzystencję. Budzi spontaniczną radość zmysłów, porusza intelekt mądrością formy. Muzyka jest jak komunika, którą należy się dzielić z innymi. W omawianych lirykach świat wyobrażeń, terminów i aluzji muzycznych składa się z sygnałów wysyłanych do czytelnika. Można mówić o apelu do określonych predyspozycji odbiorczych. W ten sposób powstaje wspólnota ludzi wrażliwych i nieco wyobcowanych z obszarów zdarzeń zwykłych, ludzi umieszczonych poza działaniem sił historii.

Obietnice muzyki — o niewyraźnych znaczeniach, o złudnie ostatecznym wymiarze przesłań, sporych możliwościach poruszania emocji — mają też wyraźny aspekt terapeutyczny. Arcydzieła Jana Sebastiana Bacha bytujące w uniwersum kultury, a przeto sprzeczne z przemijającym ludzkim życiem, udzielają słuchaczowi, choćby tylko przez mgnienie doskonałych fraz, okruszków nieśmiertelności. Łudzą estetycznym zbawieniem:

energia tlenu melodyjna
to obca siła, nie nasz żywot,
o niebo ciepłe zleć i bij nas
nieśmiertelnością przeraźliwą

(Z *Bacha* P 86)

Nie zajmuję się w tym szkicu dokładnie „feerią muzyczną”¹¹ w poemacie Sułkowskiego *Tarcza*. Wypadnie tylko stwierdzić, że używając nazw instrumentów i gatunków muzycznych, przywołując jakości stylistyczne bądź konkretne utwory Bacha, Beethovena, Mozarta, poeta kreuje świat osobny harmonii oraz zgody. Każdemu z tych kompozytorów przypisana zostaje określona rola w kształtowaniu refleksji i uczuć. Bach otwiera mówiącego na transcendencję, mistykę przeżywania świata, na łaskę i groźbę wieczności (Z *Bacha*). Ale również motto z kantaty świeckiej *Tönet, ihr Pauken! Erschallet, Trompeten. Drama per mucica* BWV 214, której najpiękniejsze partie jako „parodia” czyli przeniesienie muzyki w obręb innego dzieła i podłożenie doń nowego tekstu, znalazły się w Bachowskim *Oratorium na Boże Narodzenie*¹², wzbudza i podtrzymuje nieco uroczystą, zdecydowaną radosną aurę poematu. Nawiasem mówiąc, układ i tematyka arii w drugiej części poematu *Tarcza*, nie odpowiadają uszeregowaniu materii muzycznej w *Tönet ihr Pauken*, zaś cytat z otwierającego dzieło Bacha chóru znalazł się w chórze zamykającym utwór Sułkowskiego.

¹¹ Określenie M. Sprusińskiego: *Tadeusz Sułkowski czyli poezja jako tarcza życia*, [w:] T. Sułkowski, *Tarcza. Wiersze i poematy*. Warszawa 1980 s. 130.

¹² Zob.: E. Zavorský, *J. S. Bach*, przeł. M Erhardt-Gronowska. Warszawa 1973 s. 339–346.

W wierszu *Noc*, ta pora właśnie: „zasmuca sama siebie, / Jakby adagio z «księżycowej»” (P 49). Ścisłej: *Adagio sostenuto*. Odwołując się do pierwszej części *Sonaty cis-moll*, op. 27 nr 2 („Księżycowej”) — osłuchanego szlagieru muzyki, Tadeusz Sułkowski precyzyjnie wyzyskuje dla własnych poetyckich celów jej melancholijną śpiewność. W wierszu *Szczęście* żal ukryty zostaje w głębi przeżyć podmiotu. Dobry świat obecny w poetyckim marzeniu wyrażają dwa słowa spięte eufoniczną klamrą: „spokój i Mozart” (P 177). Z kolei w *Obrączkach* „wiosenny ptak [...] ma na łebku wianek z arii Mozarta” (P 194). Metafora muzyczna pseudonimuje chwilę radości i pewnego, spokojnego szczęścia. Jeśli przyjrzymy się motywowi „słowika i panny” u Sułkowskiego (*Muzyka*), w którym jednoczy się wyrafinowany kunszt artystyczny (śpiewaczy) i sielska prostota, to okaże się, iż aluzja do dzieł Mozarta będzie obejmować sporą ilość arii pastorałnych oraz koloraturowych. Właściwość, o której wspomniałem, może przywoływać na myśl sielankę pasterską — młodzieńczy „singspiel” Mozarta *Bastien i Bastienne*. Pasterska, arkadyjska naiwność pejzażu poetyckiego wpisana w formę możliwie najbardziej doskonałą mówi też wiele o odruchach serca człowieka bezbronnego. I jeszcze na koniec wyliczenia: w liryku *Moment muzyczny* serią obrazów oscylujących pomiędzy radością a smutkiem, widzialnym pięknem świata a doznaniem przemijania — dotknięciem losu, Sułkowski łączy zapewne z cyklem romantycznych miniatur fortepianowych Schuberta *Moments musicaux*, op. 94. Liryczna metoda zmiennych nastrojów, nieco Czechowiczowska aura łagodnego wieczoru i sielankowej apokalipsy zyskuje gatunkową nazwę z dziedziny muzyki. Elegijna chwila zostaje wyrażona w apostrofie: „Dobranoc, / najsmutniejsza muzyko” (P 156).

Muzyka chroni przed lękiem, smutkiem i katastrofą. Czy skutecznie? Wprawdzie klęska nie jest nigdy przez Tadeusza Sułkowskiego nazywana z imienia, jednakże poeta nie zapomina o przeżytych czasach grozy. Znamienne słowa świadka zostaną wypowiedziane w wierszu *Dom złoty*:

Pod ręką układającą poemat i dzieło muzyczne
Leżą straszne jaszczury, a mówię, bom widział. (P 148)

3. Świat zmarmurzony

Dajmy jeszcze przykład rzeźby. Tadeusz Sułkowski pragnie wykreować pomnikowy wizerunek człowieka, ale również forma rzeźbiarska pozwala zrozumieć wieloraki, umykający nazwaniu świat. Dłuto artysty odkuwa z powoływanych do istnienia przedstawień to, co incydentalne i niepotrzebne. Sprowadza amorficzną bryłę materii do kształtów koniecznych. Autor *Tarczy wielokrotnie* posługuje się „chwytym unieruchomienia”. Na przykład: „niebo nagie przesuwają/ jaskółek czarne posążki” (*O świcie*, P 83). Albo: „nad winiarnią wieczność, w której są już tylko statuy/ i głowa pełni jak odlew w gipsie (*Skarbiec*, P 172). Zjawiska natury zostają sprowadzone do artefaktów. Wówczas przypadkowa wielość zostaje opracowana, gdy wciela się w postać figur i pomników. Tylko rzeczom ukończonym, zatrzymanym w ruchu, zabezpieczonym przed rozpadem, można się przyjrzeć dokładnie. Zwykle pomnikowa wersja kształtów rzeczywistości — zbyt upozowanych i odświętnych — bywa przyjmowana ze sporą dozą podejrzliwości. Szczególnie w ironicznej poezji współczesnej — na przykład u Zbigniewa Herberta, Mieczysława Jastruna, Jerzego Stanisława Leca. Inaczej dzieje się w przypadku Tadeusza Sułkowskiego. Wieczna, kosmiczna wystawa rzeźb nieustannie udziela poecie lekcji doskonałości.

Przedstawienia „zmarmurzone”¹³ — jakby powiedział Norwid — to rzecz jasna moralistyczne idealizacje. Małżeństwo i macierzyństwo w poezji Sułkowskiego otaczane są

¹³ Zob. paralelę Norwid — Sułkowski [w:] K. Ćwikliński, *Idea i rzecz*, s. 140–142.

wyjatkową czcią. Kobieta i mężczyzna, pozbawieni indywidualnych cech i biografii, zastygają w wystudiowanych pozach. Przemieniają się w emblematy rodzaju ludzkiego. Nowożeńcy w balecie z drugiej części poematu *Tarcza*:

przy koncercie trąbek stoją nieruchomi
W godnym stylu wykuci na małżeński pomnik (P 104)

Rzeźbiarskie postrzeganie tańca jest w ogóle cechą znamioną w cytowanym utworze. Oznacza też pochwałę wykonawczego kunsztu: „tors w złotym trykocie [...] U ramion roście w bryły, u krtani się wgłębia, / Jakby postać łucznika tworzył wielki rzeźbiarz” (*Tarcza*, P 99). Natomiast w *Utworze pastoralnym* „nowe plemień” ludzi pracowitych i prostych przypomina „figury z kamienia / O rękach i profilach mistrzowskiej roboty” (P 125). Analizując poemat *Scena balowa*, Krzysztof Cwikliński trafnie stwierdza: „posąg jest ukrytą alegorią godnego życia”¹⁴. Nieskomplikowany świat rzetelnej pracy, prostoty serca, szlachetnego umiaru, prawdy szczerego postępowania to oczywiście program przyszłości. Utopia robotniczej Arkadii, bez żadnych ideologicznych akcentów, najpierw zostaje zrealizowana w poezji. I może na tym, myśląc już realistycznie, artysta pragnie poprzestać.

Każdy solenny gest domaga się rzeźbiarskiego dłuta. Na przykład scena nakładania na palce małżeńskich obrączek: „w rzeźbę zastyga, w doskonały kształt” (*Obrączki*, P 194). Owo uwiecznienie ma podkreślić wartość zobowiązania. W istocie bowiem rzeźbiarskie metafory ukazują piękno moralne, przyoblekają w kształt widzialny wzory cnót. Najlepszym uwieńczeniem drogi życiowej jest pomnik — alegoria mądrości, równowagi, olimpijskiego spokoju: „Na starość mieć oblicze pomnika w zieleni, / Gdzie pokazano mędrca w surducie kamiennym” (*Do burzy*, P 142). Wszelkie uczciwe: „Prace ludzkie wołają jak chóry ogromne, / że z surowego porządku rośnie kamienny tors” (*Na chór*, P 195). Uczynki ulegają monumentalizacji. Każdy może zobaczyć alegorię. Kamienny moralitet jest niezniszczalny. Spokój rzeźby pozwala uniknąć przykrych utarczek z aktualnością. Świat kreowany uzyskuje stałe podstawy. Ideałem dla poezji jest tu nieporuszona, klasyczna doskonałość.

W poezji Tadeusza Sułkowskiego powtarza się mit o pięknych, nowych ludziach. Piękny człowiek uosabia wartość etyczną. Jak pisze Władysław Stróżewski: „piękny, bo posiadający szlachetny, wypróbowany charakter, bo promieniejący głębokimi wartościami duchowymi, bo po prostu «dzielny». Piękno w tym [...] znaczeniu traci swój swoiście estetyczny sens, jawi się natomiast jako kwalifikacja etyczna”. I dalej filozof rozważa kwestię „harmonijności wewnętrznego rozwoju”. Przypomina też greckie słowo *kalon*, które „oznacza w tym samym stopniu to, co wyodrębniamy dziś jako dobro i piękno”¹⁵.

Wyobrażeniom rzeźb figuralnych, pełnoplastycznych towarzyszą w omawianych lirykach reliefy i wytwory rzemiosła artystycznego. Ostentacyjna obecność rzeczy pięknych, wytworzonych z drogocennych materiałów, ze złota, z miedzi lub brązu, nie jest podporządkowana kategoriom estetycznym. Czysto ornamentacyjne piękno to rzecz podrzędna. Służy chwilowym przyjemnościom oka. Co najwyżej może być uznane za płochy, przelotny żart poetycki. Jak w porównaniu bucików damy do małych arcydzieł złotnictwa Celliniego: „o wzorze cacek płytkie pantofelki / jakby je wykuł w żarcie Benvenuto Wielki” (*Scena balowa*, P 130). Niemal barokowe upodobanie Sułkowskiego do klejnotów, drogich tkanin, przepychu świata ma przywoływać na myśl wewnętrzne

¹⁴ Tamże, s. 115.

¹⁵ Wszystkie cytaty w tej sekwencji: W. Stróżewski, *O pojęciach piękna*, [w:] *Istnienie i wartość*. Kraków 1981 s. 322, 319. Zob. także tegoż: *Problematyka piękna*, [w:] *W kręgu wartości*. Kraków 1992 s. 158–160.

przymioty ludzkie. Poetyckie złotnictwo, sztukatorstwo, snycerstwo to metaforyczne nazwania sztuki kreacji — świata idealnego i szczęśliwej, rozświetlonej od wewnątrz światłem prawdy, istoty ludzkiej. Wszakże, jak głosi prawie-że-aforyzm Sułkowskiego: „życie proste, rozumne i wielkie / Pustą ozdobę zwała z kart pisarza” (*Pióro*, P 120).

Nawet domorosły, prowincjonalny rzemieślnik — garncarz czy rymarz, może być znakomitym mistrzem, jeśli powodują nim dobre intencje i dążenie do prawdy wyrazu. W interpretowanych przez poetę wytworach mistrzów ze skierniewickiego jarmarku bardzo istotna jest ambicja przedstawienia rzeczywistości kompletnej, gdyż dzieło ma reprezentować cały kosmos. Podobnie pojmowaną cechę mistrzostwa posiadają dzieła cierpliwych, pokornych, anonimowych artystów książki — iluminatorów oraz introligatorów (*Biblioteka*). Sama zdobność jest dla Sułkowskiego formą pustą, bezużyteczną. Tak jak poezja bez uzasadnień moralnych staje się zbiorem brzmień głuchych. Ten program najprościej został sformułowany w stylizowanym na oświeceniową (klasycystyczną) prostotę fragmencie z *Arii na bas i trąbkę* (z poematu *Tarcza*):

Arcydzieła się potłuka,
Gdy są cackiem, nie nauką. (P 102)

Jednak dystych z aluzją do sarkastycznych cacek Norwida Sułkowski opatrzył tragicznym kontrapunktem. Zadał mianowicie pytanie: „Z cackiem schodzić do przepaści?” (P 102). Pod rygiem sprzeniewierzenia się moralnym zobowiązaniom sztuki nie wolno wypowiadać słów efektownie brzmiących, lecz beztreściowych¹⁶, nie należy też wyrzekać się wymiaru spraw ostatecznych.

Obsesja doskonałości u Sułkowskiego wykracza poza uprawiane z upodobaniem cyzelatorstwo formy. Twórczość poetycka jest równoległa do pracy nad własnym charakterem i do próby przymnożenia ludzkiego dobra. To zajęcie mozolne i trudne: „obmyślać pracę nad sobą jak nad rzemiosłem” (*Utwór pastoralny*, P 124) Podobieństwo przechodzi niepostrzeżenie w tożsamość obu dziedzin. Wielka sztuka, czy skromne rzemiosło — bez różnicy — to rzeźbienie, modelowanie wizerunku ludzkiego, który zdolny byłby zwalczyć zło i nędzę istnienia, przezwyciężyć chaos i bezsens, marność i wszechobecny lęk.

Pouczone jest zestawienie dystychów brzmiących jak manifesty poetyckie:

...tylko jedno nad nami skinienie
ręki artysty, a będziemy lepsi.
(*Pióro* P 120)

Każdym wierszem jak ręką ufną
jasność w sobie od gnicia bronię
(*O tym wierszu* P 63)

Od razu dostrzegalny jest splót nastawień: mitologicznej wszechmocy sztuki, heroicznego działania, sceptycznej trzeźwości. Mówiąc najkrócej: ręka artysty wiele potrafi, niewiele może.

Z zarysowanego sposobu ujęcia istotnych dla poezji Tadeusza Sułkowskiego problemów etycznych wynika szereg konsekwencji. Zwrócić należy uwagę na wyidealizowane obrazy świata i człowieka. Rajski archetyp, ziemia jako królestwo dobra i piękna, mity arkadyjskie, dzieła sztuki oraz wytwory rzemiosła, które przejrzystość porządkują chaos życia — te wszystkie składniki wyobraźni poetyckiej autora *Tarczy* świadczą o potrzebie ustanowienia niekwestionowanych wzorów twórczej aktywności człowieka, a także wyrazistych i bardzo rygorystycznych norm postępowania. Starajmy się jednak nie pomylić opisywanej tendencji z rojeniami naiwnego ekstatyka, z kaznodziejstwem, czy z zawie-

¹⁶ Por.: J. Wittlin, *Poeta czysty*, [w:] *O Tadeuszu Sułkowskim...*, s. 14–15.

szonym w aksjologicznym eterze estetyzowaniem. Moralistyka poetycka Sułkowskiego obejmuje wszelkie dziedziny kreacji: jest studiowaniem zachwycających dzieł natury, próbą odgadnięcia milczącej obecności Boga-Stworzyciela, namysłem nad arcydziełami sztuki i spontanicznym odbiorem tych najwybitniejszych świadectw ludzkiego demiurgizmu, wreszcie nobilitującą i zarazem udręczającą wiernością wobec najlepszych, jak to tylko możliwe, artystycznych składników własnego dzieła.

W rozpatrywanych utworach ogólne mniemania na temat natury ludzkiej, charakterów oraz życiowej praktyki oswajającej dramat istnienia, pozytywne wzory osobowe, potępiane style zachowań w wierszach Sułkowskiego nie zostają ułożone w spójny układ sądów. Artysta nie wygłasza pouczeń ze spokojną pewnością, nie posiada recept na zwycięstwo dobra i piękna, lecz ujawnia rozterki, wskazuje paradoksy wywyższenia oraz upadku, włącza siebie do grona grzesznych, poniżonych, cierpiących. Nie jest mentorem, lecz pokornym poszukiwaczem prawdy. Ujawnienie ładu moralnego Tadeusz Sułkowski traktuje jako proces i projekt. *Ergo* lepsza rzeczywistość, niż rzeczywistość aktualna, dana w bezpośrednim doświadczeniu, znajduje się zawsze przed pisarzem. Jest przeczuwana oraz przybliżana, ale nigdy w pełni obecna w kształcie zamkniętym, doskonałym. Poeta ściga umykającą doskonałość, ale nie może jej przeciwieństwo w pełni osiągnąć. To jeden z podstawowych paradoksów doskonałości, że zakłada ona ulepszanie świata, wypełnianie braków, tworzenie nowych form i wartości. A zatem to, co doskonałe w punkcie wyjścia, jest niedoskonałe i na odwrót: doskonały wynik działań ludzkich musi pozostać niedoskonały¹⁷. Wszakże, powiada Tadeusz Sułkowski, „W każdym kształcie wyrób świetlistego warsztatu, / Choć wszystko zawiera skazę” (*Oda*, P 129). Myśl ta zostaje wyrażona jeszcze dobitniej. Oto w zestawieniu z przymiotami Boga ludzka doskonałość może być tylko zaprzeczeniem tej idei absolutnej:

W świetle straszliwym boskiego dobra
cóż ci zostało?
Siła cierpliwa i piękność mądra —
niedoskonałość.

(*Prawem rozumnym, coraz mocniejszym... P 73*)

Przewycięzać oczywiście należy grzech oraz słabość, pokonywać zabrudzoną materię ludzkiej pospolitości. Jednakże pokonywanie kolejnych progów rozwoju moralnego oraz moralnej samoświadomości naznaczone jest poczuciem klęski. Miraż moralnej doskonałości widoczny staje się tylko na tle występku, złączonego na stałe z naturą ludzką. Analizę „wczesnych pism chrześcijańskich” Władysław Tatarkiewicz kwituje stwierdzeniem: „Dość że doskonałość weszła do chrześcijańskiej religii i filozofii ze znakiem zapytania: jest celem najwyższym, ale czy osiągalnym? *Perfectio vera in coelestibus*, tylko w niebie, jak pisał św. Hieronim”¹⁸. Kategorie indywidualnej religijności Sułkowskiego w tym przypadku dokładnie spotykają się z podejściem ortodoksyjnym.

Znikliwą naturę posiada również dojrzałość — przyzywana i tworzona przez poetę: „Dojrzałość za daleko, przemienić się trudno / a w wargach zapęczniałych słodycz wielkiej winy” (*Deszczowe*, P 75). Wreszcie muzyczne brzmienia wszechświata umykają skażonemu zmazą człowiekowi. Sztuka poetycka łudzi bowiem wszechmocą i ujawnia zwykłą bezsilność: „ładem wieczystym / niebo otwiera szerzej, jak wielki instrument, / za daleki — czystością dla palców nieczystych” (*Muza*, P 72). Wskazaliśmy oto kontr punkty w układzie metafor moralisty: wzrastania, kosmicznej muzyki, doskonałej sztuki-rzemiosła. Ich istota musi pozostać antynomiczna.

¹⁷ Zob.: W. Tatarkiewicz, *O doskonałości*. Warszawa 1976 s. 16–22.

¹⁸ Tamże, s. 32.

Moralista nie może udawać, iż nie istnieje ciemna strona naszego życia. Przy śmiało zakrojonym programie poetyckim, gdzie słowa mają przemieniać człowieka oraz praktycznie wpływać na kształt rzeczywistości, nie sposób wywikłać się ze sprzecznych nastawień. Blask i ciemność, biel i czerń wciąż w tej liryce się przeplatają. Słowo oraz myśl Sułkowskiego stale oscylują pomiędzy cnotą i grzechem, wielkością i marnością istnienia, pięknem ładu rzeczy stworzonych oraz brzydotą rozpadania się materii. Człowiek w opisywanej poezji godzi się na własną dwoistość i zarazem buntuje przeciwko „rozdwójeniu w sobie”. Musi znieść na co dzień: „jasne anielstwo w podłym ścierwie” (*Doskonłość*, P 160). Moralistyczne kategorie, o których pisałem, zabarwiają się ironią. Na modłę barokową Sułkowski układa paradoksy oczyszczenia przez winę, dobrodziejstwa cierpień, doskonalenia opartego na błędzie, czy piękna zrastającego się z rozpaczą. Wskażmy kilka przykładów:

nasza rozpacz jak kij proroka
budzi źródła mądre i jasne.
(*Rzeczy* P 69)

Nie ciszę daj, ale zwątpieniem zatruj,
Aby z żalu nowy kształt powstał.
(*Do sumienia* P 116)

gdy mówię wina, moja wielka wina,
wiem, że i przez nią także jestem doskonalszy
(*Żal niedoskonały* P 65)

ale i trwogę mam za łaskę,
którą mądrzeję, w której śpiewam.
(*Doskonłość* P 160)

Istnienie ludzkie wypełnia metafizyczny lęk. Otoczeni jesteśmy przez zło, osaczeni — przez czas, który nas unicestwia. Po drugiej stronie tych ciemnych doświadczeń poeta umieszcza krąg wartości pozytywnych: piękno, sztukę i pracę, wkraczając na drogę twórczą Norwida i Brzozowskiego¹⁹. W omawianej poezji wartości te równocześnie zyskują odrębne oświetlenia oraz uszczegółowienia. Dość wspomnieć o aliansach umysłu twórczego z biologiczną rozrodznością lub o przymierzu mądrości z bezrefleksyjnym trwaniem.

Wieloraki jest kształt stylistyczny oraz gatunkowy wypowiedzi poetyckich Tadeusza Sułkowskiego. Zdania aforystyczne ułożone z pojęć przerywa tok bezpośrednich wyznań lirycznych, komentujący dyskurs graniczy z rytmem obrazów, a opisy rzeczy realnych przechodzą w serie metafor. Skala wrażliwości Sułkowskiego rozciąga się pomiędzy elegią a eklogą. Pierwszy ze wzorów wyraża żal za odchodzącym pięknem świata, drugi — zatrzymuje i wskrzesza zmysłowo doznawane, obecne w najdrobniejszych detalach, wyobrażenia pięknej prowincji, arkadyjskiej ojczyzny harmonii oraz ładu. Pomiedzy elegią a eklogą (sielanką) znajdzie się w omawianej poezji miejsce dla przypowieści, ody, nawet — dla poematu opisowego.

W poezji Tadeusza Sułkowskiego dominują formy inwokacyjno-apelatywne — modlitwy²⁰, apostrofy, wezwania, zaklęcia i prośby, a także apologie i akty strzeliste kierowane do Boga, do muzy-robotnicy, do wielkich artystów z przeszłości, do całego świata, umiłowanej okolicy, alegoryzowanych cnót, rzeczy stworzonych — ptaka czy drzewa, do bliźniego i samego siebie. Jakby poeta potrzebował tak wielu potwierdzeń, że proceder

¹⁹ Zob.: A. Czerniawski, *Ciężar popiołu*, [w:] *O Tadeuszu Sułkowskim...*, s. 198; K. Ćwikliński, *Idea i rzecz*, s. 145–151.

²⁰ Zob.: K. Kłosiński, *Poezja Tadeusza Sułkowskiego*, s. 121 i n.

układania pięknych zdań jest potrzebny i sensowny, starał się o liczne audytorium i oczekiwał od razu rezonansów własnego głosu, jakby pustka wokół piszącego musiała być szczerze wypełniona.

Uprawianie poezji Sułkowski łączy z ascetyczną samotnością, z nieustającym poprawianiem wierszy, z utopią kształtu ostatecznego²¹, lecz wyniki pojedynków pisarza z białą kartką są kierowane poza literaturę, gdyż wspólnocie odbiorców mają przynieść duchowe i moralne korzyści, natomiast wzruszenie estetyczne schodzi tutaj na plan dalszy. Dyspozycja do wytwarzania dzieła ma zostać rozdysponowana pomiędzy innych ludzi — zmieniać jakość etyczną życia oraz obdarzać wszelkie działania pierwiastkami twórczymi. Poetyckie idee dobra, jak marzy poeta, powinny przejść w sferę, gdzie czyni się dobro.

Mała antologię apostrof i apeli poetyckich Tadeusza Sułkowskiego mogłaby zawierać zdania i uwagi z poematu *Tarcza*, z wierszy *Do burzy*, *Z serca wiotkiej materii uczuń*, *Nowa ziemia*, *Nuty*, *Pióro*, *Tabor*, *Twarz*. Zwrócić należy uwagę na różnorodność tej poezji inwokacyjnej. Odnosimy wrażenie, iż nieustannie rozpoczyna się wielki poemat epicki i poemat metafizyczny o całym istnieniu — rozbity jednak na poszczególne wiersze, zaniechany po pierwszych szkicach, wybrzmiewający w odpryskach obrazów oraz metafor. W poezji Sułkowskiego trwa spowiedź generalna: ciągle sumowanie, podliczanie uczynków, nieustający rozrachunek moralny. Wołanie o życie godne i uczciwe. Tylko tyle, aż tyle.

²¹ Por.: T. Terlecki, *Dramat doskonałości*, s. 19–20.

„KULTURA” W AMERYCE: „FRAGMENTS” (1973–1979)

Mirosław Adam SUPRUNIUK (Toruń)

„Niemal jedyna celowa akcja na rzecz niepodległości, stojąca do dyspozycji emigracji politycznej i Polonii, to naświetlenie sytuacji panującej w kraju — w prasie państw naszego osiedlenia, oddziaływanie na opinię publiczną społeczeństw, wśród których żyjemy, przedstawianie rzeczywistości Polski obecnej, dementowanie kłamstw reżymu, prostowanie mylnych reportaży dziennikarzy obcych”¹. Zdanie to, wydrukowane w liście Henryka Czajkowskiego do redakcji „Kultury”, najpełniej oddaje jedną z najważniejszych w polityce Instytutu Literackiego koncepcji niesienia pomocy Polsce.

Pomysły i próby zorganizowania podobnej akcji na szeroką skalę w prasie amerykańskiej czy któregoś z krajów Europy Zachodniej pojawiały się na łamach prasy i publikacji emigracyjnych, w tym również w „Kulturze”, od końca lat 50., ale nie dały pozytywnych wyników. Ukazywały się, co prawda, sporadyczne artykuły, sprostowania czy listy do redakcji nawet głównych pism w niektórych krajach osiedlenia Polaków, ale dotyczyły najczęściej korygowania fałszów propagandy komunistycznej w telewizji czy radiu we Francji i Anglii (rzadziej w Niemczech), wydarzeń politycznych głośnych i spektakularnych np. „poznańskiego czerwca”, czy października 1956, lub akcji prowadzonych na emigracji, np. różne wydarzenia związane z rozliczeniem zbrodni katyńskiej, a później akcją niesienia pomocy emigrantom z 1968 i 1981 roku. Do tego typu programów zaliczyć można również audycję o powstaniu warszawskim w radio Canberra, czy głosy polskie na temat wizyty Edwarda Gierka w prasie w Stanach Zjednoczonych. Polacy pojawiali się też w prasie zachodniej przy okazji wydarzeń politycznych w krajach bloku sowieckiego — najczęściej jako sygnatariusze apeli lub memoriałów, rzadziej jako komentatorzy — oraz w roli udziałowców organizacji zrzeszających emigracje narodów spod supremacji sowieckiej, np. memoriały składane w Genewie, Helsinkach, udział w Komitecie „Przesłuchania im. Sacharowa” lub sporadycznych akcji antysowieckich np. proces Davida Rousseta, protest z okazji wizyty Chruszczowa w Londynie czy akcje poparcia dla walczących Węgrów. Jednak — przytoczmy raz jeszcze słowa listu H. Czajkowskiego z 1977 roku — „rezultaty tych poczynań na przestrzeni 30 lat — jak na wielkość naszej emigracji i ilość ośrodków polskich w świecie zachodnim — nie są zadawalające”.

¹ H. Czajkowski, *Akcja propagandowa na własnym odcinku*, *Kultura* 1977 nr 1/2 s. 224–225.

Emigracji polskiej, poza wydarzeniami lat 80., nie udało się dotrzeć do społeczeństw krajów osiedlenia, ani ukształtować ich opinii. Powodów takiego stanu rzeczy dopatrywał się Czajkowski w swoistej ksenofobii emigracyjnej i braku pomysłów:

Naszyc zorganizowanych skupisk jest w wielu krajach dużo. Na ogół tkwią one w polskich gettach, obchodzą rocznice narodowe, na których są wygłaszane bardzo podniosłe przemówienia, i to jest właściwie wszystko. A mogłoby więcej: w każdej większej miejscowości wychodzi miejscowy dziennik. Czy były próby umieszczania jakiejś wzmianki w formie krótkiego artykułu, czy listu do redakcji o tym czy innym wypadku zaistniałym w Kraju? [...]. Ukazują się czasem w prasie obcej wypowiedzi nam przychylnie, jak ostatnio w londyńskim *Times*'ie Bernarda Levina, w lutym, na temat zmian konstytucji PRL, w lecie tegoż autora o Pomniku Katyńskim i o zjściach grudniowych w roku 1970 w Szczecinie. Publicystów „swoich” prawdopodobnie umieszczą z mniejszymi oporami — należy się starać o przedruk.

W dalszej części listu Czajkowski postulował, by w akcji propagandowej współpracować z innymi narodowościami bloku sowieckiego i wykorzystywać ich możliwości wejścia na łamy prasy. Uważał ponadto, że działania prowadzone wspólnie powinny być sygnowane wspólnym „szylde” np. polsko-ukraińsko-litewskim i dotyczyć powinny też obszarów pozornie odległych od polityki, tj. propagować polski dorobek kulturalny. Jednym ze sposobów miała być akcja, w której Polacy domagaliby się w publicznych bibliotekach w miejscu zamieszkania książek i prasy w językach obcych o polskiej tematyce. Kończąc list Czajkowski zauważył: „Ofiarowanie miejscowej radiostacji kompletu płyt naszych kompozytorów też spełni swoje zadanie”².

Jakkolwiek możliwości bezpośredniego docierania do opinii publicznej Europy Zachodniej, Stanów Zjednoczonych, Kanady, Brazylii czy Australii (wymieńmy jedynie kraje największego osiedlenia Polaków) były ograniczone choćby ze względów finansowych, „Kultura” — samodzielnie oraz we współpracy z innymi organizacjami i instytucjami emigracyjnymi — wielokrotnie podejmowała próby informowania obywateli państw odgrywających kluczową rolę w polityce światowej o sytuacji politycznej, społecznej i kulturalnej Europy Środkowo-Wschodniej. Dotyczyło to również emigracji z państw zza „żelaznej kurtyny”: rosyjskiej, ukraińskiej czy czeskiej.

Wydawanie na Zachodzie czasopisma i książek objętych zakazem debitu w Polsce, w mało znanym języku kraju Europy Środkowo-Wschodniej, ograniczało znacznie zasięg odbioru do wąskiego kręgu osób władających tym językiem na świecie. Dodatkowo, ważnym ograniczeniem była też cena pisma, niewielki zasięg sprzedaży bezpośredniej zawężony do polskich księgarni i klubów, oraz konieczność prenumeraty. Czasopismo wysyłane było co prawda do najważniejszych bibliotek i instytutów naukowych na świecie, ale ani redaktor, ani autorzy „Kultury” nie mieli wpływu na liczbę wypożyczeń czy zainteresowanie. W kwietniu 1948 roku Jerzy Giedroyc nosił się z zamiarem wydawania „Kultury” w języku francuskim. Miała to być edycja skompilowana z najważniejszych artykułów literackich miesięcznika, choć Jerzy Stempowski sugerował, by redakcja omówiła politykę rządu francuskiego wobec Europy Środkowej³. Krótco, w latach 1950–1955, „Kultura” zamieszczała streszczenie najważniejszych artykułów w języku francuskim, a od 1953 roku również w angielskim, których autorem był Konstanty A. Jeleński. *Résumé* robione były pod naciskiem czytelników ze Stanów Zjednoczonych: „Masę instytucji czy ośrodków wykorzystuje «Kulturę» i takie resume ułatwia im orientację” — pisał Giedroyc do Jeleńskiego⁴. Z pomysłu tego z czasem zrezygnowano, gdy okazało

² Tamże.

³ J. Giedroyc, J. Stempowski, *Listy 1946–1969*, wybrał, wstępem i przypisami opatrzył A. S. Kowalczyk, T. 1. Warszawa 1998 s. 44, 50.

⁴ J. Giedroyc, K. A. Jeleński, *Listy 1950–1987*, wybrał, oprac. i wstępem opatrzył W. Karpiń-

się, że nie wpływa to ani na zwiększenie sprzedaży, ani wzrost liczby niepolskich czytelników.

Najważniejsi autorzy i publicyści „Kultury” (J. Mieroszewski, K.A. Jeleński, G. Herling-Grudziński, Cz. Miłosz, B. Osadczuk, L. Unger czy M. Heller) pisali i publikowali w czasopismach niepolskich, głównie w elitarnej prasie Kongresu Wolności Kultury, czasopismach Free Europe Committee i periodykach emigracji wschodnioeuropejskich; wielu uczestniczyło ponadto w międzynarodowych konferencjach i seminariach z udziałem najwybitniejszych intelektualistów europejskich. Wymiana doświadczeń, rozmowy oraz możliwość przekazywania tą drogą, wąskiej najczęściej publiczności, poglądów „Kultury” na bieżące wydarzenia na świecie, tylko w niewielkim stopniu zaspokajała ambicje redaktora Jerzego Giedroycia. Dzięki bliskiej współpracy z głównym czasopiśmie Kongresu — „Preuves”, którego redaktorem naczelnym był François Bondy, wielki przyjaciel „Kultury”, a w redakcji zasiadał K.A. Jeleński, „Kultura” zawsze mogła opublikować po francusku tekst, który wydawał się mieć znaczenie dla propagowania „sprawy polskiej”. Dotyczyło to zarówno literatury (teksty W. Gombrowicza, J. Stempowskiego, G. Herlinga-Grudzińskiego, Cz. Miłosza), sztuki (J. Czapski) czy polityki (np. pierwodruk obszernych fragmentów *Zniewolonego umysłu*, czy teksty Jeleńskiego o polskim Październiku). W latach 50., na prośbę Bondy’ego, Jeleński robił w „Preuves” co jakiś czas streszczenie „Kultury”⁵. I, jakkolwiek zarówno Jerzy Giedroyc jak i inni współpracownicy „Kultury” nie wykorzystywali tego środka przekazu zbyt często, wydaje się, że taki stan rzeczy sprawił, że po roku 1950 jedynie sporadycznie pojawiał się w korespondencji redaktora „Kultury” pomysł wydawania książek czy pisma po francusku. Dostęp do innych czasopism Kongresu, angielskich („Encounter”, „Soviet Survey”, „Survey”), niemieckich („Der Monat”), amerykańskich („Minerva”), włoskich („Tempo Presente”) czy innych, wydawanych na całym świecie, był już mniej komfortowy i znacznie trudniejszy, stąd przekonanie wśród głównych współpracowników „Kultury”, że chęć dotarcia do czytelników anglo-, czy niemieckojęzycznych musi być poparta własnym pismem w języku angielskim czy niemieckim. Podobne opinie dotyczyły ogromnej prasy wschodnioeuropejskich emigracji (rosyjskiej, ukraińskiej, czeskiej, słowackiej, litewskiej i rumuńskiej), która z reguły aż do lat 70., z wielką ostrożnością odnosiła się do inicjatyw „Kultury”⁶. Co prawda, wprowadzenie w środowisko rosyjskie — tzn. rosyjskiej emigracji — zawdzięczała „Kultura” Józefowi Czapskiemu i jego, sięgającym lat międzywojennych, znajomościom, jednak przyjaźń Czapskiego z Romanem Gulem — wydawcą „Nowego Żurnała” w USA, i stosunki z Iriną Hłowajską oraz jej gazetą „Ruskaja Mysl”, dawały jedynie szansę na sporadyczne kontakty z czytelnikami rosyjskimi. Stosunki te ułożyły się naprawdę dobrze dopiero, gdy w redakcji „Russkoj Mysli” pojawiła się Natalia Gorbaniewska i kiedy w 1974 roku Władimir Maksimow założył „Kontinent”, czasopismo emigracji rosyjskiej wzorowane na „Kulturze”, w którego redakcji znaleźli się m.in. Jerzy Giedroyc, Gustaw Herling-Grudziński i Józef Czapski. Wspierając starania Rosjan o dotację z Fundacji Forda, K. A. Jeleński pisał do Giedroycia:

Rolą tego pisma jest przemawianie do Rosjan. Nawet jeśli trudności przenikania pisma do Rosji będą jeszcze większe niż w wypadku „Kultury”, jest radio, które będzie trąbić jego artykuły, jest wciąż rosnąca liczba obywateli sowieckich wyjeżdżających za granicę.

ski. Warszawa 1995 s. 184–185.

⁵ Tamże, s. 120.

⁶ Jednym z nielicznych przejawów zainteresowania poprawą np. stosunków polsko-ukraińskich ze strony ukraińskiej było wydawane w Kanadzie czasopismo „The Ukrainian Quarterly”. Por.: *For a durable understanding between Ukraine and its neighbours*, The Ukrainian Quarterly 1977 vol. 33 no 3 s. 229–235 — który odnosi się do *Deklaracji w sprawie ukraińskiej*, Kultura 1977 nr 5.

Modelem tego nowego pisma powinna być „Kultura”. Pan sam wie najlepiej, że inaczej przemawia się do rodaków, inaczej do cudzoziemców. Różnica tonu, różnica argumentów jest jeszcze większa w wypadku Związku Sowieckiego niż Polski. Poza tym wiemy dobrze, że nikt już na Zachodzie nie ma na temat Rosji żadnej iluzji (nawet sami zachodni komuniści). [...] Pismo wydawane w języku rosyjskim jedynie jest o wiele poważniejszym instrumentem niż „propaganda” na zagranicę. Ostatecznie wiemy dobrze, że cokolwiek się w tym piśmie ukaże ciekawego i nowego — dostanie się i tak zaraz do zachodniej prasy w większej jeszcze mierze niż w wypadku „Kultury”, po prostu dlatego, że Rosja jest innej stawki miarą niż Polska⁷.

Inicjatywa wydania tekstów „Kultury” po rosyjsku, przy całkowitej obojętności środowisk polskiego wychodźstwa⁸, związana była jednak nie tyle z zamiarem dotarcia do rosyjskiej emigracji (choć liczone, że kupi ona część nakładu), co z rosnącą po 1956 roku pewnością, że „Kultura” znajdzie czytelników w Związku Sowieckim. „«Kultura» ma niezwykłą pozycję i wyjątkowe możliwości oddziaływania na intelektualistów zarówno w Polsce jak w Związku Sowieckim” — napisał Jerzy Giedroyc w 1964 roku w projekcie serii „Archiwum Rewolucji”. Projekt ten zakładał pozyskanie funduszy z amerykańskiej Fundacji Forda na druk przekładów kilkunastu pozycji ze światowej literatury politologicznej, w tym m.in. prace A. Weissberga, M. Sperbera, A. Koestlera, czy B. Lewitzkiego. Ponadto, w obliczu możliwości dotarcia do czytelników w Sowietach, „Kultura” wyszła z pomysłem przełożenia na język rosyjski czterech książek wydanych wcześniej w Bibliotece „Kultury”: *Ferdydurke* W. Gombrowicza, *Cmentarze* oraz *Pierwszy krok w chmurach* M. Hłaski, opowiadania L. Lipskiego i *Dziennik podróży* P. Hostowca⁹. Starania o przemycanie „Kultury” do Związku Sowieckiego przynosiły rezultaty. Dowodem była np. dyskusja na Plenum Związku Literatów Ukraińskich w Kijowie w 1956 roku, gdzie atakowano stanowisko „Kultury” w sprawie węgierskiej i wpływ „Kultury” wywierany na społeczeństwo w Polsce. Również Instytut w Tübingen w Niemczech zbierał relacje, przesyłane później do Maisons-Laffitte, od jeńców niemieckich, że stykali się oni w łagrach w Potmie z krążącymi odpisami ważniejszych artykułów „Kultury”¹⁰.

Ze wszystkich pomysłów wydawania miesięcznika w językach obcych udało się Jerzemu Giedroycowi zrealizować jedynie okazjonalne zeszyty: niemiecki i czeski, oraz trzy, świadczące o pewnej systematyczności, zeszyty rosyjskie.

*

Projekt wydawania „czegoś” z „Kultury” w języku angielskim pojawił się po raz pierwszy wkrótce po roku 1950 i był bez wątpienia pomysłem Juliusz Mieroszewskiego, który znalazłszy zainteresowanie u redaktora Giedroycia wracał do niego uparcie co kilka miesięcy. W „Kulturze” od jakiegoś czasu zdawano sobie sprawę z tego, że ponieważ pismo krytykuje wschodnią politykę Stanów Zjednoczonych, szczególnie zaś działania Free Europe Committee w Nowym Jorku, każdy zeszyt „Kultury” był streszczany dla potrzeb szeregu instytucji amerykańskich. Już wcześniej szczególnie ważne, z punktu widzenia polityki Maisons-Laffitte, teksty z „Kultury” były tłumaczone na język francuski, angielski lub niemiecki i rozsyłane do niektórych osób i instytucji. Zasięg odbioru

⁷ J. Giedroyc, K. A. Jeleński, *Listy*, s. 406.

⁸ J. Giedroyc, J. Stempowski, *Listy*, T. 2, s. 42.

⁹ „Kultura” and its influence in Eastern Europe, [w:] M. A. Supruniuk, „Kultura”: materiały do dziejów Instytutu Literackiego w Paryżu. Bibliografia działalności wydawniczej 1946–1990 (*Uzupełnienia*). Toruń 1994 s. 91. Pomysł ten nie został nigdy zrealizowany.

¹⁰ Notatka Juliusza Mieroszewskiego pt. „Działalność Kultury” — Archiwum Instytutu Literackiego (dalej: AIL). Por. też: J. Giedroyc, J. Stempowski, *Listy*, T. 1, s. 405.

był jednak niewielki¹¹. W koncepcji Mieroszewskiego, pierwotnie mowa była o biuletynie pisanym, tłumaczonym i przygotowywanym na woskówkach w Londynie, a następnie przesyłanym do Paryża, gdzie wykonany miał być druk:

Po odbiciu wysyłałoby się z Paryża — do Anglii na adresy, które bym Panu podał. Najważniejsze jednak byłoby mieć kogoś w Ameryce, który by wprowadził nasz biuletyn do Głosu Ameryki i do pism amerykańskich. Można by posyłać bezpośrednio, ale byłoby lepiej mieć na miejscu swojego przedstawiciela. Nie wiem jakie szanse miałyby wersja francuska w Paryżu, bo nie znam zupełnie tamtejszych warunków. Co do rynku amerykańskiego, nie mam najmniejszych wątpliwości, że rzecz by poszła. Agencję można rozpocząć dosłownie z 10 funtami. Więcej Pan nie ryzykuje. Gdyby taka rzecz się rozwinęła, można by robić serwis co dwa tygodnie¹².

Z czasem, wobec trudności finansowych „Kultury”, Mieroszewski i Giedroyc wpadli na pomysł by wydawaniem biuletynu, czy raczej angielskiej wersji czasopisma, zainteresować władze amerykańskie. Projekt pt. „Możliwości zużytkowania «Kultury» jako narzędzia akcji antysowieckiej” zakładał, że „Kultura” spełniałaby swe zadanie jako pismo antysowieckie dopiero wtedy, gdyby posiadała drugą edycję w języku angielskim. Edycja ta byłaby propagandą materiałów informacyjnych, studiów i tez, drukowanych w „Kulturze” w stosunku do narodów bloku sowieckiego, których emigracje opierały się na narodach anglosaskich, a przede wszystkim na Stanach Zjednoczonych. Projektodawcy przyjęli, że tylko pismo, poświęcone wspólnemu celowi, na łamach którego mogliby się wypowiedzieć w sposób nieskrępowany, pisarze, publicyści i politycy poszczególnych narodów, może się stać łącznikiem, wiążącym przedstawicieli poszczególnych narodów i wprowadzającym wspólnotę myśli politycznej ich emigracji. W „Kulturze” zdawano sobie sprawę, że edycja angielska mogłaby służyć doskonale jako materiał studiów nastroju kierunków politycznych i źródło informacji dla USA. Dałaby ona rzeczowe materiały do wyciągnięcia wniosków odnośnie konkretnych możliwości poszczególnych ugrupowań emigracyjnych, realności oddzielnych programów politycznych, a także konkretnych możliwości pracy politycznej na terenach okupowanych. Angielska „Kultura” byłaby sama przez się materiałem informacyjnym dla społeczeństw anglosaskich i inteligencji francuskiej, niemieckiej, włoskiej i hiszpańskiej, odnośnie sytuacji na poszczególnych terenach okupowanych i wśród poszczególnych emigracji politycznych. Tylko obie edycje razem, polska i angielska, byłyby w stanie wspólnie, skutecznie realizować program propagowania antykomunizmu na terenie Polski, emigracji polskiej, emigracji innych narodów okupowanych.

Propagowany w tym czasie przez Mieroszewskiego, niezależnie od pomysłu angielskiej „Kultury”, zamysł utworzenia w Londynie agencji prasowej i informacyjnej o Europie Środkowej na bazie autorów „Kultury”, jako rodzaju konkurencji dla serwisów sowieckich, czy amerykańskich, kompilowanych przez instytucje zajmujące się Europą, był nowatorski i niezwykle kuszący, lecz w roku 1950 trudny do zrealizowania. Przyczyny powołania agencji Mieroszewski motywował faktem, że wielkie międzynarodowe serwisy prasowe odwołały swoich korespondentów w stolicach państw wschodniej Europy i zdobywanie informacji o wydarzeniach za „żelazną kurtyną” odbywa się drogą pozadziennikarską. Sytuacja ta stworzyła specjalną koniunkturę, którą „Kultura” mogłaby wykorzystać z punktu widzenia politycznego, zwłaszcza że niewielka rola emigracji spychała ją na margines życia politycznego. Poza tym zaistniała potrzeba stałego komentowania i analizy informacji nadchodzących oficjalnie zza „żelaznej kurtyny” nastą-

¹¹ J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, wybrał i wstępem opatrzył K. Pomian, T. 2. Warszawa 1999 s. 57 p. 2.

¹² Tamże, T. 1, s. 96–97.

wionych wyłącznie na propagandę. Celem agencji i ambicją Mieroszewskiego było stworzenie ośrodka zbierającego informacje o Polsce oraz, w miarę możliwości, w innych krajach bloku sowieckiego, w państwach leżących najbliżej Polski: Niemczech, Austrii, Szwecji, i wydawanie biuletynu, który mógłby służyć prasie anglojęzycznej. Z zebranych informacji, trzy razy w miesiącu, pisany byłby 4–5 stronicowy serwis wydawany na papierze „Kultury”, firmowany przez Giedroycia i Czapskiego (z tytułami). „Istnieje w chwili obecnej wielkie zapotrzebowanie na informacje dotyczące wydarzeń w krajach za «żelazną kurtyną»” — napisał w liście do redaktora „Kultury” Mieroszewski¹³.

Pomimo daleko zaawansowanych prac nad treścią nie udało się też zrealizować ani pomysłu wydania szesnastostronicowego dodatku do „Kultury” w języku angielskim, który miał być finansowany przez Polskie Kluby Artystyczne w Stanach Zjednoczonych, ani amerykańskiego numeru specjalnego „Kultury”, którego konspekt redaktor i londyński korespondent omawiali w latach 1950–1952 szukając jednocześnie źródła finansowania w fundacjach amerykańskich.

W 1952 roku Konstanty A. Jeleński, zostawszy kierownikiem sekcji wschodnioeuropejskiej KWK, przedstawił redaktorowi „Kultury” projekt działalności sekcji, którego jednym z punktów było utworzenie jakiegoś międzynarodowego biuletynu w języku angielskim na wzór wydawanych przez Kongres „Kontakte” (niemiecki) czy „Amis de la Liberté” (francuski)¹⁴. W tym samym czasie, być może za namową Giedroycia, który dostrzegł możliwość pomocy finansowej Kongresu, Mieroszewski opracował na nowo koncepcję czasopisma wydawanego w języku angielskim¹⁵. Czasopismo miało nosić tytuł „Culture”. We wstępie do pierwszego projektowanego numeru Mieroszewski pisał, że „Culture” ma być angielskojęzycznym bliźniaczym wydawnictwem „Kultury”.

Interesują nas współczesne poglądy polityczne, społeczne i kulturalne — natomiast nie interesuje nas propaganda. W pierwszym rządzie pragniemy służyć sprawie ujarzmionych przez Sowietów narodów Europy środkowo-wschodniej. [...] piszemy i drukujemy przeważnie w językach, które są znane jedynie garstce specjalistów. Sądzymy również, że ci z pośród Amerykanów, którzy interesują się Europą wschodnią poszerzą swój pogląd i wiedzę przez bezpośredni kontakt z niezależną opinią, która nie ma nic wspólnego ani z frazeologią propagandzistów.

Szansę „Culture” dopatrywano w fakcie, że pismo nie będzie związane z żadną partią czy emigracyjnym ugrupowaniem politycznym i reprezentować będzie poglądy wszystkich wolnych ludzi¹⁶. Mieroszewski zakładał, że pismo wydawane dla Amerykanów, których ani historia Polski, ani „Kultura” nic nie obchodzą, musi mieć wyraźne ramy tematyczne, których najważniejszym elementem powinno być konsekwentne zajmowanie się Europą Środkowo-Wschodnią. Wszelkie podejrzenie o propagandę propolską natychmiast zniweczyłoby starania i ograniczyło zasięg czytelników do minimum. Zauważał też, że „Culture” nie spodoba się w RWE, która nie ma żadnej polityki ani własnej myśli, prócz tej „by na pierwszego wziąć pensję”. Wierzył, że pismo może przekonać Amerykanów, że prócz amerykanofobów i „yes-manów” istnieje grupa emigrantów z Europy Środkowej, którzy nadają się na przyjaciół i sojuszników, ale nie na satelitów¹⁷.

¹³ Tamże, s. 100–102 — tam pełny „Projekt agencji prasowej przy «Kulturze»” oraz koncepcja biuletynu (list J. Mieroszewskiego z 18.10.1950).

¹⁴ J. Giedroyc, K. A. Jeleński, *Listy*, s. 110.

¹⁵ Por. też: J. Korek, *Paradoksy paryskiej „Kultury”. Ewolucja myśli politycznej w latach 1947–1980*. Stockholm 1998 s. 73–74. Korek dostrzegł tu jednak szerszy aspekt, który tłumaczy koncepcją stworzenia w Ameryce przez Zygmunta Nagórskiego jra ośrodka politycznego skupiającego wszystkich Polaków — emigrantów w Ameryce.

¹⁶ „Co to jest Culture?” — maszynopis — AIL.

¹⁷ J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy, T. 1*, s. 247–250.

W początkach 1953 roku opracowana została przez Juliusza Mieroszewskiego szczegółowa „Notatka w sprawie kwartalnika KULTURY po angielsku”. Mieroszewski napisał, iż doszedł do przekonania, że angielskie wydanie „Kultury” w formie kwartalnika nie mogłoby liczyć ani na szeroki krąg czytelników ani na zbyt. Czytelnik anglosaski podchodziłby do takiego kwartalnika jako do propagandy i łatwo dostrzegłby emigrancki stempel na tej inicjatywie. Jego zdaniem, zamiast robić jeszcze jeden polski emigrancki kwartalnik po angielsku, „Kultura” powinna zrobić prawdziwy międzynarodowy periodyk, który byłby atrakcyjny dla każdego, kto zna angielski. Bez cienia „emigranckości” i bez cienia „propagandy”. W tytule byłoby to zaznaczone pod słowem „Culture — International Review”. Pismo to miałoby poruszać sprawy w taki sposób w jaki nie mogą ich poruszać periodyki angielskie i amerykańskie, które są „narodowe” i ich punkt widzenia jest zdeterminowany polityką takiej czy innej grupy finansowej.

Pieprzem naszego pisma, któryby się uwypukliło, byłby fakt, że bylibyśmy miejscem spotkań autorów reprezentujących różne narodowości, a którzy nie tworzyliby Free Europe i nie byliby drylowani przez p. Nowaka. (Myślę, że w podtytule dalibyśmy: Independent International Review.) Ta niewątpliwa potrzeba internacjonalizmu została może i bez złej woli — pogrzebana przez Free Europe. W Anglii Free Europe i jej sub-twory są uważane za agencje propagandy amerykańskiej, którą nikt z olejem w głowie się nie interesuje. My bylibyśmy autentycznie międzynarodowi i niezależni. [...] Zdaję sobie sprawę, że to jest zamierzenie niezmiernie ambitne. Ale w moim rozumieniu tylko ambitne zamierzenia mają w ogóle sens. Gdyby taka impreza się powiodła — byłoby to wspaniałe osiągnięcie i prawdziwe wyjście z ghetta. Z wszystkich polskich redaktorów wydaje mi się, że Pan jeden ma dane do realizacji tego projektu. Bo jeżeli chodzi o forszę to wyknocenie polskiej emigranckiej propagandówki po angielsku kosztowałoby tyle samo co wydanie pierwszego numeru międzynarodowego pisma.

Nie sposób na podstawie samych korespondencji stwierdzić, czy Juliusz Mieroszewski rzeczywiście nie zdawał sobie sprawy z niewielkich możliwości finansowych Instytutu Literackiego, zwłaszcza w obliczu wydatków na Dom „Kultury”, czy też liczył, lub był przekonany, że „Culture” będzie w całości finansowana przez Kongres Wolności Kultury lub jakąś fundację? Plany i projekty jakie rozpościerał w „Notatce” zakładały nie tyle wydawanie „Culture” w miejsce „Kultury”, ile wydawanie dwóch pism jednocześnie, dla różnych odbiorców. Kto miałby to robić? — tego Mieroszewski nie wyjaśnił, jakkolwiek zamierzenia były bardzo ambitne i zakładały szybką realizację pomysłu.

Szukając własnego miejsca w „Kulturze” i mając świadomość niewielkiego znaczenia miesięcznika poza emigracją oraz izolacji w emigracyjnych sferach politycznych i „Kulturalnych”, w 1955 roku Mieroszewski raz jeszcze powrócił do pomysłu drukowania „Kultury” po angielsku, tym razem tylko dla Anglii. Proponował by pismo wydawane było nie periodycznie (tylko wtedy, gdy zjawi się tekst istotny dla odbiorcy brytyjskiego) na cienkim biblijnym papierze w nakładzie 200 egz. (format „Kultury”, a wygląd zbliżony do „biblijnych” nadbitek robionych „na kraj”), a następnie rozsyłane lotniczo i bezpłatnie, według wcześniej ustalonych adresów, czołowym czasopismom angielskim i francuskim oraz pewnej grupie osobistości w zachodnim świecie polityki. Publikowane teksty miałyby być anonimowe, a biuletyn, poza możliwością prezentowania poglądów „Kultury”, dawałby szansę prostowania fałszów i polemizowania błędnych twierdzeń w prasie i mediach na Zachodzie. W sensie propagandowym, miałby to być „bilet wizytowy” „Kultury” w świecie¹⁸.

Jerzy Giedroyc zawsze doceniał rolę i znaczenie Ameryki, uważając ponadto, że jest ona gwarantem jakichkolwiek poważnych działań w „sprawie Europy Środkowej”. Wydaje się jednak, że wskutek niemożności najluźniejszego choćby skoordynowania działań

¹⁸ Tamże, T. 2, s. 84–85.

całej emigracji w Stanach Zjednoczonych, a tym samym stworzenia politycznego gremium skutecznie oddziałującego na rząd amerykański, zależało mu przede wszystkim na akceptacji amerykańskich środowisk literackich i uniwersyteckich¹⁹. Przez pewien okres wydawało się, że nawiązane dzięki Jamesowi Burnhamowi kontakty z amerykańską antykomunistyczną lewicą, tą samą która współtworzyła Kongres Wolności Kultury, pozwolą „Kulturze” docierać ze swymi koncepcjami czy raczej ocenami i prognozami do amerykańskiej opinii publicznej, lub choćby tylko do kręgów intelektualnych i elit politycznych. Tymczasem, jednym z nielicznych efektów tych prób stała się antologia *What Europa thinks of America* (New York 1953), opracowana przez Burnhama, w której zamieszczone zostały teksty Czapskiego i Mieroszewskiego.

W latach 60. „Kultura” podjęła udane, lecz niezwykle trudne do oceny w sferze propagandowej, próby opublikowania antologii tekstów literackich i politycznych reprezentatywnych dla „Kultury” po angielsku, przeznaczone dla czytelnika amerykańskiego. Janusz Korek zwrócił uwagę na związek antologii z powstałym przy State University of New York amerykańskim Komitetem „Kultury”, którego inicjatorem była Alicja Iwańska. Pierwsze spotkanie organizacyjne Komitetu odbyło się 25 listopada 1966 roku, a w skład jego władz weszli, prócz wspomnianej Iwańskiej, Leopold Tyrmand, Janusz Zawodny i Stanisław Mroczkowski. „Celem tych zamierzeń jest poparcie interesów «Kultury» na terenie Stanów Zjednoczonych” — napisał L. Tyrmand w liście do Giedroycia²⁰. Wśród pomysłów i projektów Komitetu była publikacja amerykańskiej wersji miesięcznika oraz utworzenie wydawnictwa i uruchomienie „Programu Badań nad Europą Wschodnią”. Jerzy Giedroyc — co wynika z korespondencji redaktora „Kultury” z Leopoldem Tyrmandem — przyjął inicjatywę Alicji Iwańskiej z zadowoleniem, obawiając się jednak, że Uniwersytet w Albany nie będzie w stanie pogodzić własnego profilu z koncepcjami politycznymi „Kultury”. „[Pismo to] musi mieć bardzo wyraźne oblicze polityczne, chociażby dzisiaj popieranie wszystkich tendencji rewizjonistyczno-rewolucyjnych w Europie Wschodniej, jak Siniawski, Daniel, Mihajlov, Kuroń, Modzelewski i Kołakowski. Nie wiem czy Uniwersytet zdecydowałby się na wydawanie pisma o tak wyraźnym obliczu, tym bardziej, że mogłoby to kolidować z polityką Stanów Zjednoczonych” — artykułował Giedroyc zastrzeżenia w listach do Komitetu „Kultury”²¹.

Ze wszystkich pomysłów udało się zrealizować wydanie dwóch tomów amerykańskiej antologii, głównie dzięki staraniom Alicji Iwańskiej i pomocy finansowej Uniwersytetu Stanowego w Albany. W lipcu 1967 roku doszło do podpisania umowy, w której strona amerykańska zobowiązywała się zapewnić Leopoldowi Tyrmandowi, autorowi opracowania, warunki niezbędne do pracy²². Dla Tyrmanda miała to być pomoc finansowa w pierwszych miesiącach adaptacji w Stanach Zjednoczonych. Jednak pisarz pracę zaniedbał i ostatecznie autorem wyboru został Jerzy Giedroyc²³: „Nie zrobił nawet planu antologii. Skończyło się na tym, że choć nie znam publiczności amerykańskiej, musiałem sam zrobić wybór. A rzecz została wykonana tak niechlujnie, że są tam rażące błędy” — napisał we wspomnieniach redaktor „Kultury”²⁴.

¹⁹ Wypadnie przypomnieć tu koncepcję, lansowaną zwłaszcza przez Zygmunta Nagórskiego jra, utworzenia w USA „centrali ideologicznej dla Polaków — emigrantów w Ameryce”. Por.: Z. Nagórski jr, *Sprawa polska*, Kultura 1952 nr 11(61) s. 4.

²⁰ Cyt. za: J. Korek, *Paradoksy*, s. 238.

²¹ Tamże, s. 239.

²² J. Giedroyc, J. Stempowski, *Listy*, T. 2, s. 400–403.

²³ Pisze o tym również J. Korek, *Paradoksy*, s. 282.

²⁴ J. Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, oprac. i posłowiem opatrzył K. Pomian. Warszawa 1994 s. 197. O tym, że antologie są źle zrobione pisał szczegółowo m.in. K.A. Jeleński w liście J. Giedroycia w kwietniu 1970 roku: J. Giedroyc, K. A. Jeleński, *Listy*, s. 401–403.

Głównym autorem układu oraz pomysłodawcą wydania pierwszej antologii w dwóch osobnych tomach był jednak najpewniej Jerzy Stempowski. List Stempowskiego do Giedroycia z 17 lipca 1967 roku tłumaczy też wspólne oczekiwania związane z edycją antologii:

Wydaje mi się, że należałoby podzielić ją na dwie części, zaopatrzone jednostronnym wstępem. Bez pewnego wprowadzenia antologia byłaby dla obcego czytelnika niezrozumiała. Jedna z tych części miałaby tytuł: „Kultura” jako pismo polityczne. [...] W myśli politycznej „Kultury” na uwagę zasługują dwa punkty. Pierwszym z nich jest stosunek do Ukrainy, Białorusi i krajów bałtyckich. „Kultura” propagowała myśl pogodzenia się z utratą wschodniej części kraju na rzecz Ukrainy, Białorusi i Litwy, poszukujących również dróg do niepodległości, i nawiązania z nimi, przynajmniej na emigracji, ściślejszej współpracy. [...] Część literacką poprzedziłbym notatką o roli literatury w krajach, gdzie obywatele nie mają głosu. W Ameryce nikt nie może sobie wyobrazić, aby literatura posiadała jakieś znaczenie polityczne. To jest nawet podstawą wolności słowa, która byłaby zagrożona bez tych wariackich papierów. [...] Do tego wstępu dodałbym wyliczenie kilku nazwisk pisarzy, którzy wyszli z „Kultury” na szerokie wody, Gombrowicz, Miłosz, Hłasko, Grudziński... Być może warto by odróżnić dział wspomnień. [...] Im dłużej myślę o antologii, tym lepiej widzę trudności jej przygotowania. Trzeba by całą „Kulturę” na nowo przeczytać, z nowego punktu widzenia, o którym pewnie nikt z nas nie myślał²⁵.

Dodajmy jeszcze uwagę Jerzego Giedroycia z listu z 2 marca 1968 roku: „Muszę pamiętać, że to jest dla Amerykanów, że musi ona być reprezentatywna nie tylko dla Polski, ale w pierwszym rzędzie dla wschodniej Europy, bo to Amerykanów najbardziej interesuje”²⁶.

Tom zatytułowany *Kultura Essays* zawierał siedemnaście szkiców napisanych przez emigrantów i pisarzy z krajów zza „żelaznej kurtyny”, w tym m.in. Jerzego Stempowskiego, Aleksandra Wata, George Gömöri, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Jurija Ławrynenko, Juliusza Mieroszewskiego, Konstantego A. Jeleńskiego i Józefa Czapskiego. Wszystkie poświęcone były analizie społecznych, kulturalnych i politycznych wydarzeń w krajach komunistycznych. Tom drugi, noszący tytuł *Explorations in Freedom. Prose, Narrative, and Poetry from Kultura*, zawierał teksty literackie wszystkich najważniejszych autorów Instytutu Literackiego, w tym również dysydentów i emigrantów z innych krajów bloku sowieckiego: Aleksandra Remizova, Josifa Brodskiego czy Istvana Örkény. Obie książki zawierały identyczną *Przedmowę*, napisaną przez Leopolda Tyrmanda, która w zwięzły sposób przedstawiała historię Instytutu Literackiego i główne poglądy jego twórców.

Nie sposób powiedzieć jaką rolę odegrały obie antologie w promowaniu „Kultury” i „sprawy polskiej” na rynku amerykańskim. Giedroyc uznał — w autobiografii — realizację pomysłu za chybioną i przez dwadzieścia lat jej nie ponawiał. Do pomysłu wrócił dopiero w roku 1990, za namową Roberta Kostrzewy. *Between East and West* było zbiorem piętnastu artykułów z lat 1971–1990 i zawierało teksty autorów takich jak Czesław Miłosz, Leszek Kołakowski, Sławomir Mrożek, Gustaw Herling-Grudziński, Juliusz Mieroszewski czy Marek Nowakowski. Układ szkiców odpowiadał na pytania o program „Kultury”, jej usytuowanie na mapie politycznej oraz realnych możliwościach oddziaływania na kulturę i społeczeństwo w Polsce. Był podsumowaniem działalności, która doprowadziła do odzyskania przez Polskę niepodległości.

²⁵ J. Giedroyc, J. Stempowski, *Listy*, T. 2, s. 406–408.

²⁶ Tamże, s. 432.

„FRAGMENTS”

Jedyna udana inicjatywa „wydawania «Kultury» po angielsku” została zrealizowana poza Instytutem Literackim, poza Juliuszem Mieroszewskim i — w gruncie rzeczy — poza Jerzym Giedroyciem.

Pierwszy numer, pierwszego woluminu „Fragments” ukazał się w grudniu 1973 roku. Wydawcą zaznaczonym na karcie redakcyjnej periodyku było Correspondence Home Study of Languages w Sutter Creek w Kalifornii. W rzeczywistości, za nazwą tą kryła się prywatna inicjatywa Józefa Lubańskiego, byłego żołnierza Brygady Podhalańskiej, uczestnika walk o Narwik i Monte Cassino, który pod pseudonimem Charles Joel, zaczął tłumaczyć i wydawać czasopismo bez pomocy i bez dotacji zewnętrznych. Przyjęcie pseudonimu wynikało z jednej strony z przekonania, że ułatwi to dostęp do czytelnika amerykańskiego, z drugiej — z obawy o losy rodziny mieszkającej w Polsce²⁷. „Fragments”, w odróżnieniu od licznych czasopism Kongresu Wolności Kultury, w których pojawiały się teksty zaczerpnięte z wydawnictw Instytutu Literackiego, zawierały wyłącznie przekłady tekstów publikowanych wcześniej w „Kulturze” Jerzego Giedroycia. Lubański założył, że przedrukowywane będą teksty najświeższe, możliwie najbardziej aktualne, dlatego, z powodu trudności z regularnym dopływem „Kultury” do Stanów Zjednoczonych, zmuszony był drukować jedynie 10 zeszytów rocznie. Tylko raz wydany został numer podwójny (9–10 z 1976 roku). Zeszyty „Fragments” zawierały średnio 1–3 teksty, co dawało około 24–26 stron, bez ilustracji. Każdy zaopatrzone był w kartonową okładkę, co miesiąc w innym kolorze (podobnie jak „Kultura”). Lubański unikał wszelkich ozdób, dodatków i komentarzy do tekstów, zaledwie w kilku wypadkach zamieścił notę edyorską i niewielkie przypisy, które wyjaśniały treść pominiętą w przedrukowanym fragmencie. Każdorazowo podpisywane były inicjałami J.C. Niewielka objętość czasopisma spowodowała, że wiele tekstów, np. „W prasie sowieckiej” czy „Dziennik pisany nocą” zamieszczonych zostało z dużymi skrótami. Wydaje się, że sam tytuł zakładał, iż mają to być fragmenty — wstęp do pełniejszej lektury lub (być może) kolejnych tłumaczeń, albo przedruków. Zamykający działalność numer czasopisma nosił datę: grudzień 1979, lecz z powodów finansowych ostatnie trzy zeszyty z vol. 6 wysyłane były do czytelników już w początkach roku 1980.

Lubański był zarówno wydawcą, ponoszącym koszty edycji, redaktorem czasopisma jak i tłumaczem wszystkich zamieszczanych w nim tekstów. Nie było żadnego „zespołu”, jedynie najbliższy przyjaciel — Amerykanin Robert Miller, który drukował pismo we własnej drukarni. Przy okazji pożegnania z „Fragments” w „Kulturze” — Lubański napisał jednak:

Pragnę w tym miejscu podziękować tym kilku osobom, aktywnym i znanym w życiu emigracji: p. Alicji Iwańskiej, p. Zbigniewowi Byrskiemu, p. Jerzemu Bonieckiemu (z dalekiej Australii), p. Halszce Vincenz, red. Jackowi Przygodzie, p. Jabłońskiemu z Union of Poles in America, a nade wszystko tym zwykłym prenumeratorom [...]. Już specjalne dzięki należą się p. A. Jaskiewiczowi z Ann Arbor, który (pisząc po angielsku) przesłał mi małą donację w uznaniu mojej *noble work!* Oraz p. George Bajorowi z Kongmeadow,

²⁷ J. Lubański, „Materiały dla profesora Brzeskiego”, maszynopis, wrzesień 1980, 11 k. — AIL. W 1980 roku, po likwidacji czasopisma, Andrzej Brzeski na prośbę Giedroycia zwrócił się do Lubańskiego z prośbą o informacje na temat „Fragments” i Charlesa Joela. W odpowiedzi otrzymał tekst pt. „Materiały...”, w którym Lubański nie krył żalu, że musiał zarzucić wydawanie i rozgoryczenia, że podobny artykuł nie ukazał się w „Kulturze” wcześniej, w czasie gdy, pomimo trudności finansowych, wydawał czasopismo. „Pański artykuł mógł być bardzo pożyteczny w akcji przedłużenia życia «Fragments»”. Tekst Brzeskiego, bardzo słaby, znajduje się w archiwum I.L. Nigdy się nie ukazał. Na temat „Fragments” pisała Alicja Iwańska.

Mass., który (również pisząc po angielsku) wyraża głęboki żal z powodu zakończenia mojej działalności, dodając, że nie ma ważniejszej publikacji do przekazania amerykańskim współobywatelom jak ta, którą usiłowałem wydawać, i kończy, że jeżeli jest jakaś szansa na kontynuowanie mojej pracy, to będzie się starał pomóc mi w granicach 50–100 dolarów rocznie. Wymieniam te nazwiska, bo są to nazwiska ludzi, o których nie słyszy się na wielkich uroczystościach, zjazdach czy w wielkich instytucjach. Ponadto chciałbym wyrazić podziękowanie nieznanym mi z nazwisk ludziom, którzy spowodowali subskrypcję zagranicznych bibliotek, jak The British Library, Biblioteka w Goteborgu (Szwecja) i in. Oraz tym rdzennym Amerykanom, dla których „Fragments” stały się ważną lekturą²⁸.

Ujmując działalność „Fragments” statystycznie: w ciągu sześciu lat wydanych zostało 60 numerów, co daje ponad 1200 stron druku. Lubański przetłumaczył i przedrukował prawie 100 tekstów ponad 30 autorów: Polaków, Rosjan i Ukraińców. Najczęściej drukowanymi autorami byli: Michał Heller (Adam Kruczek — 21 razy), Leopold Unger (Brukselczyk — 16), Zbigniew Byrski (9), Juliusz Mieroszewski i Gustaw Herling-Grudziński (po 6), Stefan Kisielewski (Kisiel — 5) i Dominik Morawski (4). Inni autorzy, w tym Bohdan Osadczyk, Jan Nowak-Jeziorański, Tymon Terlecki, Józef Czapski czy Leszek Kołakowski, zamieścili we „Fragments” 1–3 teksty.

„Fragments” ukazywały się początkowo w 500 egzemplarzach, choć pierwszy zeszyt (z artykułem Brukselczyka o potajemnych sowieckich zakupach zboża w USA) wydrukowany został w nakładzie 2000 egzemplarzy. Było to uwarunkowane koniecznością darmowego rozsyłania okazowych zeszytów do kilkuset osobistości, głównie w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie: polityków, dziennikarzy i publicystów politycznych, ale też redakcji czasopism i przede wszystkim inteligencji uniwersyteckiej. Tak wysoki nakład był niezwykle osiągnięciem dla pisma wydawanego bez jakichkolwiek subsydiów, a jedynie dzięki ofiarności wydawcy żyjącego z minimalnej amerykańskiej emerytury²⁹. Później liczba drukowanych egzemplarzy zmalała do 300 i stan ten utrzymywał się do końca. „Fragments” rozsyłane były głównie w Ameryce, ale docierały również do czytelników w Europie (głównie w Skandynawii), Afryce Zachodniej i Australii. Liczba stałych prenumeratorów pisma nigdy nie przekroczyła 200, reszta była sprzedawana lub rozsyłana darmo. Prenumerata była stosunkowo droga³⁰: \$ 8–11 i zawierała wydawany w latach 1974–1977, pod koniec roku, zbiorczy indeks treści, wysyłany również w celach reklamowych i na zamówienie. Ze względów finansowych i z braku zainteresowania działalność ta została przerwana. Po likwidacji czasopisma Józef Lubański sprzedał pewną liczbę kompletów (po \$ 40,00) do bibliotek i instytucji naukowych na świecie. „Fragments” nigdy jednak nie dotarły do Polski.

O wartości „Fragments” decydowała jednak nie forma graficzna (nie odbiegająca specjalnie od podobnych amerykańskich czasopism paranaukowych, lecz daleka od atrakcyjnych pism zajmujących się podobną tematyką, np. „Newsweek”, „The Reporter”, czy „The New Yorker”), lecz zamieszczane teksty: ich jakość merytoryczna, oryginalność ujęcia tematu, głośne (na ile było to możliwe) nazwiska, oraz przekład. Pomysłodawcą wydawania przedruków w angielskim przekładzie był Józef Lubański, on też wymyślił tytuł — „Fragments”. Inicjatywa została natychmiast „entuzjastycznie przyjęta przez Giedroycia”. Jednak czasopismo było całkowicie niezależne od „Kultury”, a jedynym wsparciem było zakupienie przez Instytut Literacki 12 prenumerat dla sympatyków pary-

²⁸ [J. Lubański] Charles Joel, „Fragments” zakończyły swą 6-letnią działalność, *Kultura* 1980 nr 4(391) s. 98–99.

²⁹ A. Iwańska, „Fragments” Józefa Lubańskiego, *Kultura* 1981 nr 5(404) s. 60.

³⁰ Dane na podstawie: A. Iwańska, „Fragments”, s. 62 p. 5 — „Fragments” kosztowały 75 centów, drożej od „Time Magazine” czy „Newsweek” i ten argument wysuwali potencjalni polscy abonenci.

skiego miesięcznika oraz reklama w „Kulturze” i w korespondencji z autorami i czytelnikami³¹. Wybór tekstów do druku odbywał się najpewniej za wiedzą i zgodą Jerzego Giedroycia, choć wydaje się, że Józef Lubański, lepiej orientując się w możliwościach rynku amerykańskiego i korzystając z pomocy publicystów „Kultury”, np. mieszkających w USA Zbigniewa Byrskiego i Alicji Iwańskiej, samodzielnie decydował o układzie poszczególnych numerów. Notatka na marginesie maszynopisu indeksu omawianego czasopisma, którego egzemplarz znajduje się w archiwum Instytutu Literackiego: „Niektóre — przekłady poematów Galicza były recytowane przeze mnie na zebraniu lokalnych «intellectuals»” — sugeruje także inne, niezależne od druku, życie przekładów dokonanych przez Lubańskiego.

„Fragments” zamieszczały przede wszystkim publicystykę sowietologiczną oraz teksty literackie i filozoficzne autorów z krajów Związku Sowieckiego: dysydentów i emigrantów. Podstawę przedruków stanowiła rubryka Adama Kruczka „W sowieckiej prasie”, w której autor, 10 razy w roku, przygotowywał przegląd bieżących zagadnień politycznych, społecznych, ekonomicznych i kulturalnych na temat ZSSR, bloku sowieckiego i wydarzeń znajdujących się w obszarze zainteresowań Moskwy na całym świecie. Rządziej Lubański korzystał z innej rubryki Kruczka — „Krótko o książkach”. W obu rubrykach Heller pisał m.in. o sowieckiej kulturze i prasie, o poezji Jewtuszenki, pamiętnikach Nikity Chruszczowa, książce Lidii Czukowskiej, kłopotach Władimira Wojnowicza w ZSSR, nagrodzie Nobla dla A. Sacharowa, o A. Sołżenicynie, ale też o wojnie ideologicznej między Wschodem a Zachodem, konferencji w Banff w Kanadzie, paszportach sowieckich, szefie KGB Andropowie, locie kosmicznym Sojuz-Apollo, alkoholizmie w sowietach, rosyjskim pilocie, który porwał MIGa-25 do Japonii, nowej konstytucji sowieckiej czy wizycie Breżniewa w Moskwie. We „Fragments” ukazywały się też inne, samodzielne teksty Hellera z „Kultury”, np. omówienie *Archipelagu GUL-ag* A. Sołżenicyna, szkic z pogranicza lingwistyki i polityki „Język sowiecki a język rosyjski”, czy „Rok życia — rok walki” o Andrieju Sacharowie.

Tekstami sowietologicznymi były też artykuły Leopolda Ungera (Brukselczyka), zarówno w cyklu „Widziane z Brukseli”, jak i liczne inne pisane poza cyklem. Unger pisał o kubańskiej „interwencji pokojowej” w Angoli, o trudnościach z emigracją Żydów z ZSSR, o nieoficjalnych zakupach amerykańskiego zboża przez Moskwę, o XI Zjeździe KP Chin oraz przede wszystkim o wynikach Konferencji Pokojowej w Helsinkach i echach Konferencji w krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Teksty Brukselczyka dotyczyły ponadto ekonomicznych i politycznych aspektów sowieckiego imperializmu i szczególnie oznak słabości Zachodu wobec ZSSR. Również praw człowieka na Zachodzie i w bloku sowieckim.

W kontekst sowietologiczny wpisują się także wszystkie przedrukowane we „Fragments” teksty Zbigniewa Byrskiego, Bohdana Brodzińskiego, Leszka Kołakowskiego, Edwarda Możejki, Dominika Morawskiego, Wojciecha Skalmowskiego, Bohdana Osadczuka, Lucjana Perzanowskiego oraz przede wszystkim artykuły Juliusza Mieroszewskiego. Tych samych zagadnień dotyczą apele, protesty i teksty literackie pisarzy i dysydentów sowieckich, np. Jefiema Etkinsa, Aleksandra Galicza, Hilija Sniehirova czy Aleksandra Zinowiewa. Nawet artykuły, noty i fragmenty opracowań dotyczące kondycji społecznej i politycznej świata zachodniego (USA, Afryki czy krajów Europy Zachodniej), np. Zbigniewa Byrskiego „O amerykańskim neoegalitaryzmie”, czy tegoż teksty o polityce prezydenta Cartera; Włodzimierza Ledóchowskiego o afrykańskich perspektywach, Tymona Terleckiego na temat „Amerykańskiego eksperymentu wielokultu-

³¹ J. Lubański, „Materiały”, k. 1–2.

rowego” czy wreszcie krytyczna ocena działalności amerykańskiego ambasadora przy ONZ, wyraźnie wskazują na sowieckie implikacje opisywanych wydarzeń.

Nie inny charakter mają też fragmenty „Dziennika pisanego nocą” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, przedrukowane we „Fragments” sześć razy. Dokonany przez Lubańskiego wybór zawiera niemal wyłącznie tematy „sowieckie”.

Drugim tematem szkiców publikowanych w czasopiśmie Józefa Lubańskiego, obok ogólnie i szeroko rozumianej sowietologii, była teraźniejszość historii Polski ostatniego wieku, życie polityczne w PRL lat 70. oraz perspektywy zmian społeczno-politycznych w Polsce, postrzegane w globalnym systemie polityki światowej i współzależność pomiędzy wydarzeniami w ZSSR i na Zachodzie. Tym zagadnieniom poświęcony jest np. apel „Kultury” w sprawie wolności Europy Wschodniej, relacja Józefa Czapskiego z uroczystości odsłonięcia pomnika katyńskiego na londyńskim cmentarzu oraz zainicjowana przez Jerzego Giedroycia wspólna deklaracja dysydentów rosyjskich w sprawie sowieckiej odpowiedzialności za Katyń. „Fragments” informowały też czytelnika amerykańskiego o poszerzaniu się obszaru wolności w Polsce drugiej połowy lat 70. Widoczne to jest w tekście Adama Michnika „Vive la Pologne” (jedynym przedrukowanym nie z „Kultury” lecz z wydawnictwa książkowego Instytutu Literackiego) na temat sytuacji politycznej w PRL, prawie wszystkich tekstach Stefana Kisielewskiego (Kisiela) opisujących codzienność życia w Polsce na granicy oficjalności i nielegalności, a także szkicach: Aleksandra Wirpsy „Życie codzienne w PRL”, Antoniego Powolnego „List z Warszawy” oraz Andrzeja Micewskiego „Optymizm pesymizmu”. Swój „łącznikiem” pomiędzy Polską a Związkiem Sowieckim są teksty Jana Nowaka-Jeziorańskiego pt. „Trzecia Wojna Światowa” (w trzech częściach) na temat wojny ideologicznej i udziału w niej stacji radiowych: Radio Wolna Europa i Voice of America. Podobny charakter mają też wszystkie opracowania na temat Konferencji w Helsinkach i jej znaczenia dla Polski.

Jedynie kilka tekstów wykracza poza zakres wyżej ramy tematyczne, są to Józefa Czapskiego wspomnienie o Malraux oraz wiersze Henryka Grynberga z Ameryki. Oba jednak mają wyraźne polskie konotacje.

Lektura spisu treści „Fragments” nie ułatwia odpowiedzi na podstawowe pytanie: jaki był cel lub cele powołania i wydawania tego bardzo specyficznego periodyku? Wybór zamieszczonych w czasopiśmie szkiców, artykułów, not i fragmentów literackich nie może być traktowany jako angielskojęzyczna antologia tekstów „Kultury”, na równi z wyborami, których dokonali Leopold Tyrmand w 1970 roku czy Robert Kostrzewa w 1990. Daro by szukać w indeksie nazwisk autorów tak ważnych dla miesięcznika w latach 70., jak: Konstanty A. Jeleński, Jakub Karpiński, Stefan Korboński, Zdzisław Najder, Jacek Kuroń, Józef Lewandowski, Czesław Miłosz, Wiktor Sukiennicki czy Witold Wirpsza. Ale też drobne fragmenty tekstów Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Aleksandra Wirpsy, Wojciecha Skalmowskiego, Leszka Kołakowskiego czy Stefana Kisielewskiego, zamieszczone we „Fragments” nie oddają roli i znaczenia tych autorów dla „Kultury”. Czasopismo Józefa Lubańskiego nie spełnia też podstawowych reguł reprezentatywnej antologii tekstów politycznych. Z wielu tematów poruszanych w latach 70. przez Juliusza Mieroszewskiego, szczególnie istotnego dla „Kultury”, Lubański wybrał zaledwie sześć, wszystkie poświęcone tematyce sowieckiej lub eurokomunizmowi, jakkolwiek zawarte w nich problemy dotyczyły również komunizmu w Polsce, lub moralności w polityce światowej bez specjalnych odniesień do „sprawy polskiej”.

„Fragments”, adresowane przede wszystkim do czytelnika amerykańskiego, miały przynajmniej dwa zadania do spełnienia. Pierwszy, oczywisty, to konieczność informowania o wydarzeniach w Polsce, Europie Środkowo-Wschodniej i ogólnie — bloku komunistycznym. Informacje zawierać miały rzetelne i aktualne dane o zakresie wolności

człowieka, poziomie i stanie nauki, oświaty i gospodarki, powstawaniu i poglądach organizacji opozycyjnych, emigracji i dysydentów, miały przedstawiać opinie krajów bloku komunistycznego o inicjatywach pokojowych Moskwy (w tym głównie bardzo głośnej Konferencji w Helsinkach — jednego z najważniejszych wydarzeń w polityce międzynarodowej połowy lat 70.). Czytelnik amerykański miał otrzymać materiały trudno dostępne w Stanach Zjednoczonych, opinie rzadko artykułowane i poglądy często sprzeczne z polityką rządu amerykańskiego.

W kontekście postawionej wyżej tezy zastanawiać musi jednak dobór przedrukowanych we „Fragments” artykułów, mało reprezentatywnych dla całej publicystyki politycznej „Kultury”, przede wszystkim zaś dla publicystyki polskiej i dotyczącej polskich zagadnień. „Kultura”, od końca roku 1976, zamieszczała na swoich łamach oryginalne i prawie nieznanne w Stanach Zjednoczonych dokumenty rodzącej się opozycji demokratycznej w Polsce, w tym niemal *in extenso* treść pierwszych biuletynów i komunikatów Komitetu Obrony Robotników (KOR) i KSS „KOR”, Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO), Konfederacji Polski Niepodległej (KPN) oraz szczegółowy przegląd czasopism: „Robotnik”, „Droga”, „Bratniak”, „Głos”, „Krytyka”, „Zapis”, „Placówka” i innych. Instytut Literacki, w miesięczniku i wydawnictwach książkowych, drukował też opracowania Polskiego Porozumienia Niepodległościowego (PPN), rezolucje, dokumenty, deklaracje, apele, listy otwarte i oświadczenia polityczne różnych klubów dyskusyjnych, stowarzyszeń, grup studenckich i samokształceniowych (np. Ruchu Młodej Polski, Towarzystwa Kursów Naukowych) oraz teksty literackie (poezję i prozę) pisarzy, których utwory ukazywały się w podziemnych oficynach wydawniczych, np. Kazimierza Brandysa, Stanisława Barańczaka, Wiktora Woroszyńskiego i Ryszarda Krynickiego. Wiedza o tych wydarzeniach, a zwłaszcza znajomość źródeł była — poza prasą polonijną i emigracyjną — w Stanach Zjednoczonych niemal niedostępna. Jedyna publikacja książkowa na ten temat: *Polish dissident publications: An annotated bibliography* za lata 1976–1980, wydana przez Joannę M. Preibisz, autorkę artykułów na temat inteligencji polskiej w latach 1979–1981, wydana została dopiero w 1982 roku.

Żaden z tych tekstów nie został jednak przedrukowany we „Fragments”, żaden nie został nawet streszczony. Czytelnik czasopisma w Stanach Zjednoczonych otrzymał w zamian interesujące, lecz wtórne w porównaniu z dokumentami, felietony Stefana Kisielewskiego. Poza może wypowiedzią Adama Michnika (pierwotnie drukowaną w prasie francuskiej, zatem znaną w USA). Tymczasem, wykorzystując jedynie teksty stałych autorów „Kultury” na temat opozycji w Polsce, Lubański mógł przedrukować znacznie istotniejsze i ciekawsze artykuły Zdzisława Najdera (Socjusza), Zbigniewa Florczaka (Pelikana) czy choćby Jana Nowaka „Trzy lata ruchu oporu w Polsce” (K. 3/1979).

Jednocześnie, teksty poświęcone zagadnieniom ogólnie nazwanym „sowieologicznymi”, przedrukowane we „Fragments”, są daleko bardziej interesujące i różnorodne. Wydawca wykorzystał tu zarówno publicystykę dysydentów i emigrantów sowieckich czy ukraińskich: Michała Hellera, Bohdana Osadczyka, Andrieja Sacharowa, Aleksandra Sołżenicyna i Aleksandra Zinowiewa, jak i teksty autorów polskich — głównych publicystów „Kultury”: Juliusza Mieroszewskiego, Leopolda Ungera, Dominika Morawskiego, Zbigniewa Byrskiego czy Leszka Kołakowskiego i Wojciecha Skalmowskiego.

Wróćmy do postawionego wyżej pytania o cel wydawania „Fragments”. Lubański motywował to przekonaniem, że każdy z czytelników „Kultury” żyjących w społeczeństwie obcojęzycznym odczuwał nieraz potrzebę przekazywania myśli „polskich” otoczeniu. Szczególnie odczuwane to było na amerykańskiej prowincji:

Kiedy o Pasternaku zaczęto nieśmiało pisać, kiedy *Dr. Zhivago* został potraktowany jako materiał do filmu (zresztą całkiem dobrego jako entertainment i propaganda dla Sowie-
tów), wtedy to lokalni „intellectuals” zaczęli zadawać mi pytania. Doszło do tego, że
miałem 2 odczyty o Pasternaku (na materiale z „Kultury”), i zacząłem uczyć języka rosyj-
skiego. [...] Czasu jednak na jakieś plany publicystyczne nie było. Dopiero w 1973 (a było
to już w kilka lat po śmierci mojej żony, po moim przejściu na emeryturę) [...] kiedy za-
jąłem się [...] prywatną szkołą języka (stąd Correspondence Home Study of Languages
— oficjalny publisher of „Fragments”), tak sobie „na próbę” przetłumaczyłem Bruksel-
czyka artykuł o aferze zbożowej, i w kilkunastu odbitkach rozesłałem go moim okolicz-
nym znajomym amerykańskim. Wrażenie było ogromne [...]. Artykuł Brukselczyka uka-
zał się jako 1-wszy numer „Fragments”³².

Periodyk miał spełnić dwa zadania, oba jak się wydaje równie istotne: informować
oraz zainteresować. Zwrócić uwagę nie tylko na zagadnienia i wydarzenia polityczne
w Polsce lub ZSSR czy problemy Europy Środkowo-Wschodniej, ale też na „Kulturę”.
A dokładniej — na środowisko polityczne miesięcznika. Czytelnik amerykański, bardzo
szczególny — bo przecież czasopismo adresowane było do środowisk inteligencji aka-
demickiej, do kręgów w pewnym sensie opiniotwórczych oraz mediów — miał otrzymać
różnorodne materiały na tematy interesujące Zachód, których wspólnym mianownikiem
było zarówno to, że naświetlały inaczej niż prasa amerykańska aktualne, palące wydarze-
nia międzynarodowe, związane pośrednio lub bezpośrednio z sowiecką ekspansją i so-
wieckim zagrożeniem na świecie, jak i fakt, że zostały przygotowane w Paryżu, wśród
polskich, rosyjskich i ukraińskich emigrantów. „Jakże lepiej — napisała po zamknięciu
pisma Alicja Iwańska — można było pomóc Polsce w Ameryce, niż zwracać uwagę
opinii publicznej w Stanach Zjednoczonych na wciąż niesłabnące zagrożenie sowiec-
kie?”³³ A jednak cel ten osiągnięty został jedynie połowicznie i tu, obok najważniejszych
problemów finansowych, szukać należy przyczyn zamknięcia pisma, chociaż we wspo-
mnianych „Materiałach” z 1980 roku Lubański zaznaczał, że dopiero po upływie kilku lat
od druku tekstów, „Fragments” zaczynają być odkrywane przez amerykańskich kome-
ntatorów, pisarzy i polityków.

Początek lat 70. zaznaczył się marginalizacją, malejącego wkrótce po sowieckiej
interwencji w Czechosłowacji, znaczenia emigracji z krajów Europy Środkowo-Wscho-
dniej w polityce międzynarodowej³⁴. Promocja „Fragments” skierowana była głównie do
uniwersyteckich środowisk w Ameryce Północnej, poza Ameryką prenumeratorami byli
głównie Polacy lub osoby pochodzenia polskiego bez znajomości języka starego kraju,
najprawdopodobniej nie związani z uniwersytetami. Wśród prenumeratorów amery-
kańskich również przeważali Polacy (wielu z nich miało jednak związku z ośrodkami
akademickimi), ale poważną część stanowili tak zwani „przeciętni Amerykanie” —
urzędnicy, mali przedsiębiorcy, dla których „Fragments” były jedynym źródłem informa-
cji o Polsce i krajach bloku sowieckiego. Przez tych właśnie „przeciętnych Ameryka-
nów” — ich związki zawodowe, polityczne i towarzyskie, często o ogólnopństwowym,
a nawet międzynarodowym zasięgu — myśl polityczna „Kultury” przenikała do środo-
wisk amerykańskich, a tym samym do elit ekonomicznych i politycznych. Z drugiej jed-
nak strony, stosunek amerykańskich elit uniwersyteckich do czasopisma Józefa Lu-
bańskiego, był — zdaniem Alicji Iwańskiej — „podejrzliwie-pobłażliwy”. To, co w za-
łożeniu powinno było podnieść wartość poznawczą i dokumentacyjną tekstów, tzn. ich
emigracyjne, środkowo-europejskie pochodzenie, dla lewicowych studentów i profeso-

³² Tamże, k. 3.

³³ A. Iwańska, „Fragments”, s. 59.

³⁴ Pisze o tym m.in. P. Machcewicz, *Emigracja w polityce międzynarodowej*. Warszawa 1999
s. 223.

rów oznaczało „reakcję” i asocjacje z Białymi Rosjanami. Świadcstwo Alicji Iwańskiej, socjologa pracującego na amerykańskim uniwersytecie, ma tu szczególne znaczenie. Jej zarzut, iż Lubański nazbyt zabiegał o akceptację inteligencji akademickiej, miał poświęcić więcej uwagi organizacjom i środowiskom pozauniwersyteckim, wydaje się wart uwagi. Pisała:

[...] dla ludzi, którzy Stanów Zjednoczonych nie znają [...] Stany Zjednoczone są krajem-gigantem, w którym wszystko to, co się liczy, robione jest na wielką skalę: fachowo, efektywnie, zbiorowo. [...] Równie ważnym jednak aspektem tej kultury i tego społeczeństwa jest odwrotność tej gigantyczności. Istnieją tu tysiące mikro-grupek najróżniejszego typu, do których społeczeństwo odnosi się poważnie, a często z uznaniem i podziwem dla inicjatywy i odwagi ich założycieli i współpracowników. Obok ogromnych wydawniczych koncernów i pism-gigantów ofiarowujących abonentom nie tylko tanie, grube i świecące *magazines* [...] istnieją tu liczne jedno-pokojowe wydawnictwa i setki, o ile nie tysiące najróżniejszych pism i pisemek powstaje, znika, odradza się, znowu znika. [...] „Fragments” należą naturalnie do kategorii tych bardzo tu licznych, ciągle powstających, znikających, czasem odradzających się pisemek. Na ich tle wyglądają naprawdę bardzo dobrze [...] przede wszystkim dzięki solidności i rozwadze z jaką ich wydawca umiał wybierać z „Kultury” te artykuły krajowych i emigracyjnych pisarzy, które najszerzej i najostrzej naświetlały aktualne problemy polityki zagranicznej, omawiane w prasie amerykańskiej³⁵.

Józef Lubański zdecydował o zamknięciu „Fragments” mając 74 lata i w obliczu rosnących kosztów opieki lekarskiej. Zdawał sobie sprawę, że nikt po nim wydawania czasopisma nie podejmie. Pisząc o powodach likwidacji „Fragments” po 6-ciu latach wyznał z żalem:

Przyczyny: 1) inicjatywa jednego człowieka — praktycznie bez żadnego zaplecza finansowego — nie wytrzymała presji obecnych warunków ekonomicznych w USA; 2) ta inicjatywa nie znalazła poparcia finansowego i zrozumienia olbrzymiej rzeszy polskiej emigracyjnej inteligencji, zajętej „zbawianiem ojczyzny” wewnątrz polskiej diaspory, żyjącej ciągle na pożywcę *Polish joke*, Koperników, Pułaskich, polskiego Papieża etc. i ciągle omalże ślepej na fakt, że cokolwiek (bez względu na polski polityczny odcień) z twórczości i publicystyki polskiej emigracji ukazuje się w językach społeczeństw, w których emigracja żyje, jest *budowaniem zrozumienia dla Sprawy Polskiej na Świecie*³⁶.

„Fragments” przestały wychodzić głównie dlatego, że inicjatywa Lubańskiego nie znalazła zrozumienia, ani poparcia wśród polskiej inteligencji emigracyjnej, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. Wydawca czasopisma liczył na pomoc nie tyle finansową (choć to przecież największy polski „rynek zbytu” na Zachodzie), co na wsparcie działań i pomoc promocyjną. Inteligencja zawiodła nie dlatego, że nie rozumiała i nie aprobowała misji wydawniczej wśród Amerykanów, ale wskutek niezrozumienia amerykańskiej kultury i struktury społecznej oraz szansy, jaką daje prowadzenie takiej misji poza dużymi mediami i wielkimi strukturami opiniotwórczymi. Jednakże, we wspomnianych wyżej „Materiałach dla profesora Brzeskiego”, Lubański konstatował: „Eksperyment «Fragments» dowodzi, moim zdaniem, że cała idea jest całkiem możliwa do urzeczywistnienia, i to pomimo fiaska zainteresowania i poparcia patriotów polskich”.

Zauważał dalej, że w wypadku podjęcia kiedykolwiek podobnej inicjatywy, konieczna jest solidna baza finansowa. Poza tym — dodawał — „Fragments” a faktycznie „Kultura” stały się ważnym „kursem nauk politycznych” — różnym od stereotypów myślenia amerykańskich *intellectuals*. Ponadto, przetrwały szlaki i wytworzyła się grupa ludzi, którzy podzielają myśl o konieczności wydawania przekładów artykułów z „Kultury”.

³⁵ A. Iwańska, „*Fragments*”, s. 59–60.

³⁶ [J. Lubański] Charles Joel, „*Fragments*”, s. 98.

Likwidacja „Fragments” odbyła się niemal równie niedostrzegalnie jak ich powstanie. Lubański do pomysłu wydawania przekładów z „Kultury” nigdy później nie wrócił, nie została też zrealizowana — najpewniej z powodów finansowych — sugestia Alicji Iwańskiej, by zużytkować doświadczenia „Fragments” oraz umiejętności i kontakty Lubańskiego na amerykańskim rynku dla rozpoczęcia „jeszcze jednej partyzantki wydawniczej” lub opublikowania tekstów z pisma w wydaniu książkowym. Pomysłem tym nie była zainteresowana żadna polska, polonijna czy emigracyjna instytucja naukowa, żaden dom wydawniczy czy czasopismo. Wydaje się, że również redaktor „Kultury” nie zabiegał o prolongatę inicjatywy Charlesa Joela, zwłaszcza, że rok 1980 przyniósł w Polsce wydarzenia, dzięki którym wzrosła rola i znaczenie emigracji polskiej w polityce międzynarodowej.

Józef Lubański zmarł w Kalifornii 12 stycznia 1993 roku. Zapowiedziany w „Kulturze” (3/1999 s. 159) większy artykuł wspomnieniowy na jego temat nigdy się nie ukazał.

FRAGMENTS (1973–1979)

Bibliografia zawartości treści

Boniecki Jerzy, *The ball on the „Titanic” still goes on...*, 1975: 2/6, 1–22 (3/1975)

Dot. raportów Klubu Rzymskiego na temat perspektyw rozwoju ludzkości. Pogląd różny od opinii A. Gutowskiego.

Boniecki Jerzy, *What’s going to fill the void?* 1977: 4/7, 3–13 (7–8/1977)

Eurokomunizm. Problemy i atrakcyjność lewicy europejskiej.

Brodziński Bohdan, *In search for bread*, 1975: 2/10, 3–8 (9/1975)

Dot. braku zboża w Sowietach.

Byrski Zbigniew, *About detente*, 1974: 1/9–10, 3–33 (9/1974)

Dot. problemu zjednoczenia Niemiec.

Byrski Zbigniew, *About the American neo-egalitarianism (excerpt)*, 1976: 3/3, 1–22 (1–2/1976)

Zmiany społeczne w USA.

Byrski Zbigniew, *The nuclear fears of America (slightly abridged)*, 1979: 6/7, 3–13 (7–8/1979)

Byrski Zbigniew, *The Sino-American rapprochement*, 1978: 5/9, 3–11 (9/1978)

Dot. zbliżenia chińsko-amerykańskiego.

Byrski Zbigniew, *The Soviet imperialism and transmutations in the international communist movement*, 1976: 3/6, 1–19 (6/1976)

Byrski Zbigniew, *Technological revolution and ethico-cultural changes*, 1977: 4/7, 13–21 (7–8/1977)

Etyczne i moralne bariery rewolucji technologicznej i ich znaczenie w polityce sowieckiej.

Byrski Zbigniew, *Technological revolution and ethico-cultural changes (Continuation)*, 1977: 4/8, 1–21 (7–8/1977)

Byrski Zbigniew, *The USA Today*, 1975: 2/8, 3–12 (7–8/1975)

Byrski Zbigniew, *A year of Carter and what next?* 1978: 5/4, 3–16 (3/1978)

Commission on Helsinki Control (A communique from „Kultura”), 1977: 4/6, 3–4 (6/1977)

Raport komisji Kongresu USA w sprawie konferencji w Helsinkach.

Czapski Józef, *Just a strip of a foreign soil*, 1976: 3/9–10, 5–9 (11/1976)

Dot. pomnika katyńskiego w Londynie.

Czapski Józef, *Malraux*, 1977: 4/2, 3–9 (1–2/1977)

Po śmierci A. Malraux. Zawiera list A. M. do „Kultury”.

Eastern Europe „Free”, 1976: 3/9–10, 3–5 (11/1976)

Dot. wypowiedzi prez. G. Forda „Nie ma dominacji sowieckiej w Europie Wschodniej”. Protest z podpisami przedstawicieli narodów ujarzmionych: J. Giedroyc, V. Mincevicus, P. Tigrid, V. Maksimov, E. Ionesco, I. Koszeliwec, T. Merai.

Etkins Jefiem, *„Notes of non-conspirator” and „Digression on immigration” (excerpts)*, 1976: 3/9–10, 9–14 (10/1976)

Dot. życia codziennego w Związku Sowieckim i rosyjskiej emigracji.

Fedotov Sergey, *The politics of Radio Liberty management*, 1978: 5/10, 3–18 (10/1978)

G. H., *From The Czechoslovakian Chronicle*, 1975: 2/8, 16–19 (7–8/1975)

Pogląd Czechów na konferencję pokojową w Helsinkach.

[Giedroyc Jerzy] Editor, *The Seal*, 1975: 2/9, 3–8 (9/1975)

Dot. Konferencji w Sprawie Bezpieczeństwa i Współpracy w Helsinkach.

- The ghost of Katyn*, 1978: 5/9, 11–16 (9/1978)
- Grynberg Henryk, *Verses from America*, 1979: 6/9, 16–20 (11/1979)
Wiersze.
- Gutowski Antoni, *Mankind at the turning point*, 1975: 2/5, 3–11 (1–2/1975)
Dot. „Drugiego Raportu” oprac. przez Klub Rzymski na temat perspektyw rozwoju ludzkości.
- Heller Michał, *Are the Russian and the Soviet languages identical?* 1979: 6/10, 3–10 (12/1979)
- Heller Michał, „*The Gulag Archipelago*” of Aleksandr Solzhenitsyn, 1974: 1/3, 5–22 (3/1974)
- [Heller Michał], *In The Soviet Press (excerpt)*, 1975: 2/5, 11–23 (1–2/1975)
- [Heller Michał] Kruczek Adam, *Briefly about books*, 1976: 3/2, 13–20 (12/1975)
- [Heller Michał] Kruczek Adam, *In and around Soviet Press*, 1974: 1/4, 5–18 (wybór z 9/1973–3/1974)
- [Heller Michał] Kruczek Adam, *In and around Soviet Press (2)*, 1975: 2/2, 3–24 (wybór z 9–11/1974)
- [Heller Michał] Kruczek Adam, *In The Soviet Press*, 1975: 2/9, 10–21 (9/1975)
- [Heller Michał] Kruczek Adam, *In The Soviet Press*, 1975: 2/10, 9–23 (9/1975)
- [Heller Michał] Kruczek Adam, *In The Soviet Press*, 1976: 3/2, 3–13 (12/75)
- [Heller Michał] Kruczek Adam, *In The Soviet Press*, 1976: 3/9–10, 14–26 (11/1976)
- [Heller Michał] Kruczek Adam, *In The Soviet Press*, 1978: 5/2, 3–13 (1–2/1978)
- [Heller Michał] Kruczek Adam, *In The Soviet Press (an excerpt)*, 1978: 5/4, 16–18 (3/1978)
- [Heller Michał] Kruczek Adam, *In The Soviet Press (excerpt)*, 1974: 1/6, 19–22 (4/1974)
- [Heller Michał] Kruczek Adam, *In The Soviet Press (excerpt)*, 1974: 1/7, 18–20 (6/1974)
- [Heller Michał] Kruczek Adam, *In The Soviet Press (excerpts)*, 1975: 2/4, 20–26 (1–2/1975)
- [Heller Michał] Kruczek Adam, *In The Soviet Press (excerpts)*, 1977: 4/2, 12–22 (1–2/1977)
- [Heller Michał] Kruczek Adam, *In The Soviet Press (excerpts)*, 1977: 4/10, 1–20 (wybór 7–10/1977)
- [Heller Michał] Kruczek Adam, *In The Soviet Press (excerpts)*, 1978: 5/1, 10–17 (wybór 9, 11/1977)
- [Heller Michał] Kruczek Adam, *In The Soviet Press (excerpts)*, 1979: 6/1, 3–12 (10/1978)
- [Heller Michał] Kruczek Adam, *In The Soviet Press (excerpts)*, 1979: 6/7, 13–19 (7–8/1979)
- [Heller Michał] Kruczek Adam, *One year of life — one year of fight*, 1978: 5/2, 13–19 (1–2/1978)
Dot. Andrieja Sacharowa.
- Herling-Grudziński Gustaw, *Diary written at night (an excerpt)*, 1978: 5/6, 15–18 (4/1978)
Dot. m.in. Vincenzo Mario Palmieri, członka Międzynarodowej Komisji Medycznej w Katyniu w 1943 roku.
- Herling-Grudziński Gustaw, *Diary written at night (an excerpt)*, 1978: 5/10, 18–20 (10/1978)
Dot. m.in. Aleksandra Zinowiewa i Aleksandra Sołżenicyna.
- Herling-Grudziński Gustaw, *Diary written at night (excerpts)*, 1976: 3/1, 17–19 (11/1975)
Dot. m.in. żony A. Sacharowa we Włoszech; Sacharowa i Orwella.
- Herling-Grudziński Gustaw, *Diary written at night (excerpts)*, 1978: 5/8, 9–10 (7–8/1978)

Herling-Grudziński Gustaw, *Diary written at night (excerpts)*, 1979: 6/2, 17–20 (1–2/1979)

Dot. m.in. Karola Wojtyły.

Herling-Grudziński Gustaw, *Diary written at night (excerpts)*, 1979: 6/4, 13–16 (1–2/1979)

[Kisielewski Stefan] Kisiel, *A cry in the wilderness (an excerpt)*, 1979: 6/2, 15–17 (12/1978)

[Kisielewski Stefan] Kisiel, *A cry in the wilderness (an excerpt)*, 1979: 6/8, 13–18 (9/1979)

[Kisielewski Stefan] Kisiel, *A cry in the wilderness (excerpt)*, 1979: 6/4, 16–20 (1–2/1979)

[Kisielewski Stefan] Kisiel, *Cry in the wilderness (magic words of the New Middle Ages)*, 1979: 6/10, 11–17 (12/1979)

[Kisielewski Stefan] Kisiel, *My prophecy*, 1978: 5/1, 3–10 (11/1977)

Losy Europy Wschodniej za 30–50 lat. W odpowiedzi na artykuł S.T. Cohena w „Der Stern”.

Kořakowski Leszek, *On the margin of the latest A. Sakharov's book*, 1976: 3/1, 3–14 (12/1975)

Ledóchowski Włodzimierz, *African perspectives*, 1976: 3/8, 3–15 (7–8/1976)

Ledóchowski Włodzimierz, *A light at the end of a tunnel*, 1979: 6/5, 3–20 (5/1979)

Sytuacja światowa pod kątem zbrojeń.

Lichten Józef, *A letter to Gerald Green*, 1978: 5/9, 16–20 (9/1978)

Łobodowski Józef, *Alexandr Galicz*, 1978: 5/7, 4–9 (5/1978)

Zawiera fragmenty tekstów poetyckich Galicza.

The measure of responsibility, 1975: 2/9, 8–10 (9/1975)

List rosyjskich dysydentów na temat odpowiedzialności sowieckiej za 17.IX.1939 roku i Katyń. Podpisali: J. Brodski, A. Wokoński, A. Galicz, N. Korzawin, W. Maksimow, W. Niekrasow, A. Siniawski, A. Sacharow.

[Micewski Andrzej] Jagła Ryszard, *Optimism of a pessimist (excerpt)*, 1979: 6/2, 3–15 (12/1978)

Dot. sytuacji politycznej w Polsce.

Michnik Adam, „Vive la Pologne!”, 1977: 4/6, 4–13 (*Ruch oporu*, Paryż 1977, Bibl. „K” 276)

Artykuł dla „Le Monde” na temat powstania opozycji w Polsce i jej oczekiwań wobec Zachodu.

Mieroszewski Juliusz, *Bygones & expectations*, 1975: 2/4, 3–20 (1–2/1975)

Perspektywy wojny nuklearnej.

Mieroszewski Juliusz, *Clausewitz or „Big Brother”?*, 1976: 3/7, 1–21 (4/1955*)

Artykuł sprzed 21 lat przewidujący przyszły świat w konfrontacji nuklearnej.

Mieroszewski Juliusz, *Food for thought*, 1974: 1/8, 3–22 (6/1974)

Chrześcijaństwo-socjalizm. Problemy sprawiedliwości społecznej. Sowiecka odmiana komunizmu.

Mieroszewski Juliusz, *Food for thought* (2), 1975: 2/1, 3–21 (6/1974)

Kryzys naftowy. Stosunki amerykańsko-sowieckie. Moralność w polityce — Watergate.

Mieroszewski Juliusz, *Food for thought* (3) (*excerpts*), 1975: 2/7, 1–25 (5–6/1975)

Sowiecka ekonomia. Perspektywy rozwoju gospodarczego Europy Środkowo-Wschodniej. Wietnam, USA, Chiny.

Mieroszewski Juliusz, *Silence is not always golden*, 1974: 1/5, 5–21 (11/1973)

Stanowisko świata zachodniego wobec problemu praw człowieka w Związku Sowieckim.

Morawski Dominik, *Correspondence from Rome (an excerpt)*, 1978: 5/8, 3–8 (7–8/1978)

Dot. przepowiedni Lenina z 1924 roku na temat katolicyzmu.

Morawski Dominik, *Correspondence from Rome (excerpt)*, 1976: 3/2, 20–22 (1–2/1976)

Dot. m.in. Eleny Sacharow i wyrzutów sumienia zachodnich demokratów.

* Jedyny tekst sprzed roku 1973. Warto zauważyć, że tłumaczenie na angielski tego właśnie artykułu Mieroszewskiego postulował J. Giedroyc już w 1955 roku — patrz: J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy*, T. 2, s. 57.

- Morawski Dominik, *Correspondence from Rome (excerpts)*, 1977: 4/2, 9–12 (1–2/1977)
Powstanie i rozpad ugrupowania „Znak”.
- [Morawski Dominik], D. M., *America and Balts*, 1975: 2/8, 14–16 (7–8/1975)
Amerykańska polityka wobec krajów bałtyckich.
- Możejko Edward, *Sketches relating to the physiology of contemporary despotism*, 1978: 5/7, 10–18 (5/1978)
Dot. książki Efima Etkinda *Zapiski niezagoworszczyka* (London 1977).
- Nowak Jan, *The Third World War (Excerpts)*, 1977: 4/3, 1–19 (3/1977)
Globalna wojna ideologiczna i rola rozgłośni radiowych RWE i Głosu Ameryki.
- Nowak Jan, *The Third World War (Conclusion)*, 1977: 4/4, 1–18 (3/1977)
- Nowak Jan, *Third World War — A continuation*, 1979: 6/9, 3–16 (11/1979)
- Osadczyk Bohdan, *A letter from Shanghai (slightly abridged)*, 1979: 6/1, 3–12 (12/1978)
- Osadczyk Bohdan, *News from The Ukraina*, 1976: 3/8, 15–20 (7–8/1976)
- Osadczyk Bohdan, *What's happening in Germany*, 1978: 5/6, 3–15 (3/1978)
- Perzanowski Lucjan, *The Cuban Phenomenon*, 1977: 4/6, 14–23 (6/1977)
Kontrowersyjna ocena perspektyw normalizacji w stosunkach USA-Kuba.
- Powolny Antoni, *A letter from Warsaw (an excerpt)*, 1979: 6/10, 18–20 (12/1979)
- [Skalmowski Wojciech] Broński M., *The travel of De Custine to Russia*, 1976: 3/5, 3–10 (3/1976)
- Sniehirov Hilij, *An Open letter to the USSR Government*, 1978: 5/1, 17–20 (9/1977)
Zrzeczenie się obywatelstwa sowieckiego przez pisarza ukraińskiego.
- Terlecki Tymon, *American experiment of „multiculture”*, 1979: 6/3, 3–20 (1–2/1979)
Dot. dyskusji na temat „Cultural Pluralism and Education” zorganizowanej przez The Center for the Study of Democratic Institutions w Chicago.
- Terlecki Tymon, *American experiment of „multiculture” (conclusion)*, 1979: 6/4, 3–13 (1–2/1979)
- [Unger Leopold] B., *From Malthus to Mansholt*, 1974: 1/7, 3–17 (6/1974)
Problemy przeludnienia i nędzy na świecie.
- [Unger Leopold] Brukselczyk, *Angola*, 1976: 3/4, 1–22 (3/1976)
Obecność Kubańczyków w Angoli.
- [Unger Leopold] Brukselczyk, *As seen from Brussels*, 1976: 3/5, 10–20 (4/1976)
Dot. m.in. premiera Francji J. Chiraca.
- [Unger Leopold] Brukselczyk, *As seen from Brussels*, 1977: 4/5, 1–22 (4/1977)
Dot. m.in. stosunku Zachodu do Sowietów.
- [Unger Leopold] Brukselczyk, *As seen from Brussels (excerpts)*, 1978: 5/8, 11–20 (7–8/1978)
Dot. Argentyny.
- [Unger Leopold] Brukselczyk, *As seen from Brussels and from... Belgrade*, 1978: 5/5, 3–22 (4/1978)
Dot. konferencji belgradzkiej.
- [Unger Leopold] Brukselczyk, *As seen from Brussels and Washington*, 1978: 5/3, 3–20 (1–2/1978)
Dot. stosunków sowiecko-amerykańskich.
- [Unger Leopold] Brukselczyk, *Bitter corn*, 1973: 1/1, 1–15 (12/1972)
Dot. m.in. sowieckich zakupów zboża w USA.
- [Unger Leopold] Brukselczyk, *An episode from... „Kissynin and Dobrynsinger”*, 1975: 2/8, 13 (3/1975)
Dot. stosunków politycznych ZSSR-USA.
- [Unger Leopold] Brukselczyk, *The hundred first flower*, 1977: 4/1, 1–25 (11/1976)
Dot. XI. Zjazdu Komunistycznej Partii Chin.
- [Unger Leopold] Brukselczyk, *The orphans of Helsinki (an excerpt from Brukselczyk's „As seen from Brussels”)*, 1979: 6/8, 18–20 (9/1979)
Europa po Konferencji w Helsinkach.

[Unger Leopold] Brukselczyk, *Mirages and phantoms*, 1974: 1/6, 5–18 (4/1974)
Dot. m.in. handlu bronią.

[Unger Leopold] Brukselczyk, *S — 2620 and SU — 1974*, 1975: 2/3, 3–21 (1–2/1975)
Dot. m.in. emigracji Żydów z ZSSR.

[Unger Leopold] Brukselczyk, *Tete a tete with a mummy (excerpts)*, 1976: 3/1, 14–17 (12/1975)
Dot. m.in. Konferencji w Helsinkach i wizyty prezydenta Francji w Moskwie.

[Unger Leopold] Brukselczyk, *White nights in Helsinki*, 1974: 1/2, 1–20, I–III (9/1973)
Dot. Konferencji 35 ministrów Spraw Zagranicznych w sprawie Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.

[Unger Leopold] Brukselczyk, *White, black and red*, 1977: 4/9, 1–18 (7–8/1977)

Dot. krytycznej oceny działalności amerykańskiego ambasadora przy ONZ Andrew Jacksona Younga jr.

[Wirpsza Aleksander] Kwiatkowska Jadwiga, *Daily life in the Polish People's Republic*, 1979: 6/8, 3–13 (9/1979)

WK [Spectator], *From diplomatic circles*, 1978: 5/6, 18–20 (4/1978)

Dot. odwołania z Warszawy amb. Richarda T. Daviesa.

Zinoviev Aleksander, *Opposition in the communistic society*, 1979: 6/6, 3–20 (6/1979)

O TEATRZE BRONISŁAWA PRZYŁUSKIEGO

Dobrochna RATAJCZAKOWA (Poznań)

Wprowadzenie

Zachowane utwory dramatyczne Bronisława Przyłuskiego łączy wspólny mianownik. Wyznacza go obecność wielkiego wzoru z kręgu nieklasycznej dramaturgii, o mniej lub bardziej epizodycznej konstrukcji i związkach z epiką. Wszystkie sztuki tak czy inaczej znajdują się na osi czasu niewoli, którą kapitan artylerii, Bronisław Przyłuski przeżywał w obozie jenieckim w Murnau, dokąd trafił po kampanii wrześniowej: albo tam zostały napisane, z przeznaczeniem dla najsłynniejszej ze scen jenieckich, działającej w oflagu VII A, albo są rozwinięciem zrodzonych wówczas pomysłów i projektów. Dorobek dramatyczny Przyłuskiego rozpada się na dwie części: w pierwszej znajdziemy swoiste wprawki dramatopisarskie, próby (tak zresztą sam je oceniał) o zdecydowanie rozrywkowym charakterze, zrodzone z żywego teatralnego zapotrzebowania. Przyłuski wchodził w skład stałego zespołu aktorskiego obozowego teatru i pisał dla niego teksty. Były to głównie rewie — m.in. *Sen* (według pomysłu C. Szpakowicza, wrzesień 1940), *Żona Maharadży* (lato 1940), *Kłopoty babuni* (przeróbka z Prusa, luty 1941), w niektórych wypełniał jedynie część scenariusza (*I to minie*, grudzień 1940, *Kapryśna Afrodyta*, luty 1941, *Rewia sportowa*, wrzesień 1942), do innych pisał tylko piosenki (*Kochaj i tańcz*, grudzień 1941). Jedynym ambitniejszym zadaniem serii była przeróbka *Ptaków* Arystofanesa. Okres pierwszy kończy się z chwilą przybycia do Murnau Leona Schillera, który w obozie znalazł się po powstaniu warszawskim.

Drugą część dorobku Przyłuskiego należy zlokalizować na przeciwległym biegunie twórczym, w kręgu teatru ogromnego Schillera. Kluczową tradycję tworzy tu dramaturgia romantyczno-modernistyczna i idea teatru-świątyni. To Schiller sprawił, że poeta i stawiający pierwsze kroki dramatopisarz, autor lekkich scenariuszy rozrywkowych widowisk, przestał służyć Talii, zaczął Melpomenie.

Z jego twórczości pozostało pięć utworów dramatycznych i wspomniana przeróbka Arystofanesa. Pięć sztuk, zrodzonych w krótkotrwałym wybuchu pasji dramatopisarskiej, marzeń o wielkiej sztuce i scenicznego talentu. Jeśli uznać za wprawki rewiowe scenariusze, przypadające na lata 1940–1944 (pierwsza rewia pochodzi z grudnia 1939), to ciąg

dalszy, kiedy powstały dzieła dla tego dorobku zasadnicze, obejmuje zaledwie dziesięć lat i zamyka się publikacją *Hioba* (1952) oraz fragmentu *Leona I* pt. *Honorio i Velio* („Wiadomości” 1954 nr 43). Dziesięć lat, może nawet mniej. Wszak w ankiecie Instytutu Sikorskiego z 1957 roku podał, że już w 1950 miał gotowe dwa największe i najważniejsze dramaty, *Czas pojednany* i *Leona I*. *Hioba* napisał jeszcze w Murnau. Lata następne będą wprawdzie wypełnione pracą nad doskonaleniem dwóch pierwszych sztuk, ale zarazem jest to w jakimś sensie czas rujnowania teatralnych złudzeń, przygotowanie do odejścia, do rezygnacji. Jego wizja teatru okazała się przecież niemożliwa do przyjęcia na spętanej wieloma ograniczeniami emigracyjnej scenie. Poznał je na własnej skórze jako aktor i autor. W 1957 roku przestał ostatecznie grać, nie ulegając naciskom, by wystąpił w sztuce Ryszarda Kiersnowskiego *Pan*. Nie mógł przyjąć w niej roli, skoro bardzo źle ją oceniał. Zresztą tak samo źle oceniał teatr emigracyjny, na który — jako autor — nie mógł liczyć. Spektakle czytane — to jedyne, co polski Londyn mógł mu oferować. I na co zresztą się zdobył.

Lata pięćdziesiąte wydają się zatem czasem cyzelacji. Poprawia *Czas Pojednany* (Teatr Czytany 1955) i *Leona I* (Teatr Czytany 1954), przepracowuje *Pastorałkę Małoszowską* (wyd. 1951) dla potrzeb teatru w Mabledon Park Hospital, gdzie był pielęgniarzem — w ten sposób powstają *Kukielki Bożonarodzeniowe* (1954). To wszystko. I zarazem nie wszystko. Przyłuski pisze, wydaje kolejne tomy poetyckie (wybór *Obrona mgieł*, 1949, *Akord*, 1951, *Strofy o malarstwie*, 1953, *Uprosiłem ciemności*, 1957), wiele czyta, chodzi do teatru, zastanawia się nad Eliotem, nad Brechtem, nad sztukami Jarry’ego, Becketta, Ionesco, Geneta. Zastanawia się, jak pisać na scenę w czasie, w którym żyje. „Terazniejszość, bo najbliższa, najtrudniejsza jest do rozszyfrowania — Najtrudniej zdać sobie sprawę z tego, co się dziś właśnie dzieje — W sztuce — w literaturze — w poezji — (...)” Zanurzony w tradycji, świadomy jej znaczenia, walorów, funkcji uważał, że dawność winniśmy zawsze odnieść do terażniejszości. „Wtedy wyjaśni nam naszą postawę i pozwoli z dawniej spisanych spięć i roztrząsań wyciągnąć i zastosować w światopoglądzie te istotne sprawy, które pomogą nam w wyciąganiu właściwych (najlepszych) wniosków w naszej twórczości.” Chciał korzystać z doświadczeń starych mistrzów, by „zdać sobie sprawę z celu, z początku i końca naszego bytowania — żeby znaleźć te punkty, na których można się oprzeć i te prawa, które trzymają sklepienie.” Jednostka, jej przyszłość i jej przeznaczenie — to zastanawia go przede wszystkim. I relacje między wiedzą, religią i sztuką, której materię określa słowo trywialne, acz rzeczywiste i nieodzowne — „Niepojęte”¹.

Przy takim nastawieniu i tego rodzaju przekonaniach jasne się staje, że drugim czynnikiem powstrzymującym jego pióro stał się kierunek rozwoju światowego dramatu. A kierunek ten trudno mu było zaakceptować. Był w pierwszym rzędzie poetą i pozostał nim do końca życia, uprawiał dramat poetycki, wyrastający z rudy archetypów, zanurzony w sferze wielkich symboli, opierający swój kształt na formach z przełomu wieków. Nowość była dla niego pojęciem względnym. „Ludzie próbują czegoś nowego, ale zapominają, że nie można wymyślić ani nowego powietrza — ani nowej wody — ani nawet nowego człowieka, a tym bardziej nosorożca.” — pisał w 1960 roku po obejrzeniu sztuki Ionesco. „Nowe mogą być tylko reakcje, albo spięcia — nawet nie nowe, ale tylko świe-

¹ Wszystkie cytaty pochodzą z listów do Barbary Gaździk. Ten był pisany jesienią 1956. Przytaczając fragmenty listów Przyłuskiego zachowuję ich specyficzną, „myślnikową” formę. Przyłuski zamiast znaków przestankowych kreśli często myślники (niezależnie od tego, że pojawiają się też one w swej właściwej funkcji). Zostawiam je, oddają najlepiej nerwowy rytm tych listów, wyrażają pasję twórczą, są często pospieszną notatką, na gorąco chwytającą ulotną refleksję i przekazującą ją bez troski o styl.

zo pokazane — czy inaczej zobaczone, z innego punktu widzenia. W teatrze musi być człowiek i jego konflikt ze światem, a nie rzut tego człowieka na płaszczyznę chorej wyobraźni czy atrakcyjnego, niespodziewanego postawienia jakiejś tezy spoza uczuć czy doznań.” A po spektaklu *Kaukaskiego kredowego koła* zanotował: „To właśnie świetna robota poetycka — Na starym wątku budować nowy wyraz”. (1956).

Odwieczny tekst, stary wątek, dawni mistrzowie... Przyłuski wznosił swoją twórczość dramatyczną na fundamencie wielkich wzorów z przeszłości. W tym kręgu znajdzie się także zachowana przeróbka Arystofanejska, a takie podejście pisarskie scala utwory utrzymane w wielkim serio z jedynym zachowanym tekstem w tonie buffo.

Ustawmy wszystko zgodnie z chronologią: pierwsze miejsce zajmie parafraza *Ptaków* Arystofanesa, wystawiona w Murnau w marcu 1941 roku. Drugi jest *Hiob*, we wspomnieniach nazwany „misterium wielkopostnym”. Powstał w Murnau; Schiller przeczytał, zrobił oprawę muzyczną, może nawet zaczął próby... Nastąpił jednak koniec wojny i sztukę wydrukowało „*Życie*” dopiero w 1952 roku. Dwa kolejne utwory, które wymieniam teraz ze względu na czas ich publikacji, aktualizują teatr polskiej szopki, gatunkowo to pastorałki dramatyczne, oparte o schemat misterium narodzenia Pańskiego: *Pastorałka Małozowska* z 1951 oraz *Kukielki Bożonarodzeniowe na podstawie tekstów oryginalnych Glogera i Kolberga, Pastorałki małozowskiej i wspomnień z lat dziecińczych Bronisława Przyłuskiego ułożone* z 1954. Z dwu dalszych sztuk, pierwsza stanowi mikst repliki moralitetu, misterium pasyjnego i dramatu rodzinnego, to *Czas pojednany*, ukończony w 1950, zaprezentowany w Teatrze Czytany w 1955, wydany przez Veritas w 1985, razem z kolejnym dziełem, nawiązującym do tradycji wielkiego dramatu romantycznego i neoromantycznego, *Leon I* (powstały w 1950, ukończony w latach sześćdziesiątych).

Każdy z tych dramatów inaczej projektuje swój stosunek do pierwowzoru, inaczej też określa miejsce autora, renowatora i konserwatora form i wartości, inaczej rozwiązuje problem dramatycznej struktury. We wszystkich jednak przypadkach Przyłuski dąży do dotknięcia tajemnicy, wyrażenia „niepojętego”, zawsze „na starym wątku buduje nowy wyraz”. Komedia Arystofanesa, *Księga Hioba*, scenariusz polskiej szopki, opartej na nowotestamentowym obrazie Bożego Narodzenia, pasja, relacjonująca mękę i śmierć Chrystusa, fakt historyczny — spotkanie papieża Leona z wodzem Hunów, Attylą — zawsze u podłoża dramatu znajduje się jakaś opowieść, zawsze jego dzieło pozostaje palimpsestem, każde odnosi się do istniejącego poza nim wielkiego źródła, a poprzez nie — do wielu innych źródeł. Można wręcz sądzić, że najważniejszy w tej twórczości jest akt zakorzenienia.

Arystofanes

Nie był wdzięcznym partnerem autorskiego dialogu (bo czymże innym jest przecież parafraza czy przeróbka?). Działo się tak przynajmniej z kilku powodów. Po pierwsze — jego komedie są bardzo starą (choć wcale nie najstarszą) postacią gatunku, wywodzącą się zarówno z folkloru, z ludowych fars obyczajowych i parodii mitologicznych, jak z archaicznych śpiewów obrzędowych o dwuznacznym charakterze, parodyjnym, satyrycznym, zabawowym i współtworzy je pierwotny żywioł muzyczny, stanowiący wyraz wspólnoty, zbiorowego święta, urzeczywistniający się w kształcie komedii. Jeżeli w pierwszej masce, w tragedii, do głosu dochodziła jednostka i gatunek na nią był ukierunkowany, zarówno w planie autorskim, jak w planie świata przedstawionego czy odbioru (katharsis jest zawsze indywidualnym przeżyciem), to druga maska, komedia, od początku akcentowała swój wspólnotowy charakter, zachowaną na całe stulecia właści-

wość gatunku². Po drugie — taka genealogia pociągała za sobą specyficzną strukturę, luźną konstrukcję o numerycznym charakterze, epizodycznej kompozycji (Stefan Srebrny nazywa ją kompozycją szopkową³), zdominowaną przez aspekt wykonawczy, przez teatr, w pełni wykorzystujący efekty nieprawdopodobieństwa, fabularną beztroskę zabawy, umieszczającą realistyczny detal w fantastycznej ramie, rozbudowującą karykatury, zakotwiczone w tradycji komediowej maski — to teatr pozostaje przecież w komedii miejscem akcji.

Trzecia przyczyna wiąże się z zagubieniem, zapomnieniem starego wzoru. Komedia poszła inną drogą, wyznaczoną przez tzw. komedią średnią i nową (Menander), w stronę sztuk obyczajowych, w stronę konstrukcji bardziej zwartych, zwartych nawet wówczas, gdy rozluźniały je wymogi teatru. Literacką postać gatunku zdominował model po-Terencjuszowski, na drugim planie trwał model po-Plautowski, silniej złączony ze sceną, bardziej aktorski niż autorski. Oba jednak zadecydowały o kierunku rozwoju gatunku. Wskutek tego obecność Arystofanesa miała walor nieobecności. Do takiego stanu rzeczy przyczynił się (po czwarte) współtworzący te komedie splot fantastyki, polityczności, parodyjności, szyderstwa i obsceniczności. Nikłą wiedzę na ich temat posiadali jeszcze oświeceni, ostrożnie wypowiadający się o ich „nieprzyzwoitościach”. Pierwsze polskie przekłady powstają w drugiej połowie XIX wieku — pomijając zaginione tłumaczenia Feliksa Kólakowskiego, będą to teksty Zygmunta Węclawskiego (*Pokój*, 1864), Marcellego Mottego (*Chmury*, 1866), Józefa Szujskiego (*Acharnejczycy*, *Rycerze*, 1867, *Ptaki* 1891). Na scenie było jeszcze gorzej: jedyna premiera — *Rycerzy*, w teatrze Stanisława Koźmiana (1873) — poniosła klępkę — okazała się po prostu nudna⁴.

Był to „wykastrowany” Arystofanes, pozbawiony siły komicznej, przyrządzony zresztą zgodnie z recepturą biedermeieru. Pierwsi bowiem poznali się na nim autorzy spod tego właśnie znaku, wcale nie romantycy, choć to romantyzm otworzył oficjalne sceny przed nieklasyczną formą. Biedermeier posłużył się jednak Arystofanesem czysto instrumentalnie, adaptując do swoich potrzeb wzór epizodycznej komedii z wątkiem fantastycznym o polityczno-satyrycznym charakterze i użytkowym przeznaczeniu. Wielki satyryk i wspaniały polemista w randze klasyka — oto czego szukali niemieccy dramatopisarze biedermeieru⁵. Ale w Europie Świętego Przymierza trudno było nowym Arystofanidom, choć przypomnieli oni zapomniany kształt komedii, choć jej stary wzór zaczął oddziaływać w różnych kierunkach, np. na wiedeńską komedię ludową lub francuski wodewil. Dlatego musiał pojawić się twórca, który z lokalnego zamknięcia wyprowadzi żywioł arystofaniczny na szerokie wody kosmopolityczne. I taki twórca się zjawił i wykorzystał w tym celu „gatunek prymitywny i pogodny” — operetkę, zmieniając ją w numeryczną bufonerie o prowokacyjnym, satyryczno-politycznym, fantastycznym i zarazem frywolnym charakterze. Nazywał się Jacques Offenbach⁶.

On sprawił, że widownia mieszczańska zaakceptowała arystofanizm w stanie czystym, odnalezioną po raz wtóry, ahistoryczną, ponadczasową recepturę komiczną, w do-

² Zob.: T.G. Georgiades, *Das Musikalische Theater* (1965), [w:] *Kleine Schriften*. Tutzing 1977.

³ S. Srebrny, *Teatr grecki i polski*, wybór i oprac. S. Gąssowski, wstęp J. Łanowski. Warszawa 1984 s. 416.

⁴ Zob.: J. Starnawski, M. Wichrowa, A. Obrębski, *Antyk w Polsce*. Część I. Łódź 1992 (rozdz. *O dziejach Arystofanesa w Polsce*).

⁵ Zob.: F. Sengle, „Biedermeierzeit. Deutsche Literatur im Spannungsfeld Zwischen Restauration und Revolution 1815–1848”, t. 1–3 Stuttgart 1971–1980, zwłaszcza rozdz. „Wzorzec Arystofanesa” w t. 1 (tłum. J. Kubiak, maszynopis).

⁶ Zob.: S. Krakauer, *Jacques Offenbach i Paryż jego czasów*, przeł. A. Sądoliński. Warszawa 1992.

datku zdominowaną przez żywioł muzyczny. Rzec trzeba, iż właśnie dzięki temu żywiołowi arystofanizm wrócił do teatru. Teraz mogli się nim zainteresować autorzy bulwarowi, którzy nagminnie stosowali praktykę adaptacji. Przeróbka *Lizystraty* Maurice Donnay'a, reprzyzta starszej przeróbki F.-B. Hoffmanna, otworzyła przed odnowionym Arystofanem drogę na mieszczańskie sceny (1892). W 1895 roku teatr krakowski wystawił sztukę Donnay'a w opracowaniu Koźmiana, a premiera wywołała burzę. Była to adaptacja piętrowa, również doskonale znana komercyjnej scenie. Taki sam charakter miały *Ptaki* Bernarda Zimmera, zaadaptowane przez Tuwima w 1933 roku. Wcześniej Adolf Nowaczyński napisał na wątkach trzech komedii swą antysanacyjną satyrę *Warchoł i Miroluba* (1928), wykorzystując inną drogę Arystofanidów, drogę arystofanejskich collage⁷. Kolejną wskazały spektakle Akademickiego Koła Miłośników Dramatu Klasycznego przy Uniwersytecie Jagiellońskim — wystawienia przekładów sztuk oryginalnych, torujące im drogę na sceny (tu m.in. zagrano *Ptaki* w przekł. Butrymowicza, w 1907 roku).

Można powiedzieć, że dla dwudziestowiecznego teatru ocaliły Arystofanesa trzy czynniki. Pierwszym okazała się literackość przekładów (u nas początkowo głównie Cięglewicz, Butrymowicz, potem Srebrnego i in.), utrwalająca jego kanoniczną pozycję w literaturze dramatycznej. Było to zresztą swoistym paradoksem — wszak z teatralnego punktu widzenia, jeśli uwzględnimy dominujące wykonawcze nastawienie tych komedii, kanoniczność pochodzić będzie z innej — właśnie literackiej — rzeczywistości. Czynnikiem drugim było dążenie reformatorów teatru do zbudowania świadomości autonomicznej tradycji sztuki scenicznej, w której Arystofanes mieścił się doskonale; trzeci czynnik — to osoba reżysera. On bowiem, podpisując afisz, brał na siebie odpowiedzialność za teatralny kształt Arystofanejskiej adaptacji. On też dawał gwarancję zachowania artystycznego charakteru przedsięwzięcia. A tego właśnie wymagała pozycja Arystofanesa jako klasyka komedii, klasyka jakże nieklasycznego. Wszak stanowił on „żywy” dowód na to, że w klasycznym okresie greckiej sztuki komedia była tworem dalekim od tego, co przywykło się uważać za klasyczny ideał. Zajmując odrębne, zaszczytne miejsce w dramatyczno-teatralnym Panteonie, nobilitował nieklasyczną tradycję teatru, choć warto zdać sobie sprawę z tego, że był niezwykle kłopotliwym klasykiem/nieklasykiem, oferującym współczesności atrakcyjną w swej odmienności, acz wcale niełatwą do podjęcia, szansę repertuarową.

Zainteresowanie Przyłuskiego Arystofanem objawiło się w specyficznych warunkach, w których jednak można dopatrzeć się pewnych analogii do trudnych okoliczności powstania pierwowzoru. Wojna, oflag, teatr obozowy, który stanowił jeden z możliwych farmakonów na lęki i frustracje osadzonych tu jeńców i zarazem sposób zabicia czasu — stwarzały sprzyjający moment dla takich aktów renowacji, premiując czystą zabawę teatralną. Z drugiej strony rzecz biorąc Arystofanes nie oferował nikomu niewinnej rozrywki. Polityczność jego komedii wydaje się niemal ponadczasowa, mimo iż polityka to właściwość jedynie chwili teraźniejszej. W tym względzie *Ptaki* stwarzały pewne możliwości. Jest to bowiem komedia o dwóch takich, którzy poszukiwali w chmurach idealnego państwa. I tworząc je — spreparowali kopię tego, z którego uciekli. Ale Przyłuski tych możliwości nie wykorzystał.

Jego przeróbka w żadnym wypadku nie udaje przekładu oryginalnego tekstu. Być może zresztą jej autor został przypadkowo uwikłany w Arystofanejskie sprzeczności, (nie znamy wszak okoliczności powstania parafrazy), czynnikiem decydującym o wyborze mogła się okazać numeryczność i rewiowa struktura komedii.

⁷ Inaczej wyznacza typy działań A. Szastyńska-Siemion, zob.: *Adaptacje tekstów Arystofanesa. Polska: wiek XX*, [w:] *Siew Dionizosa. Inspiracje Grecji antycznej w teatrze i dramacie w Europie Środkowej i Wschodniej. Rekonesans*, pod red. J. Axera i Z. Osińskiego. Warszawa 1997.

Haft Przyłuskiego na kanwie Arystofanesa jest haftem współczesniającym i likwidatorskim zarazem. Wszystko już się zdarzyło. Istnieje Rzym, „miasto gęsie”, umierają bogowie, choć wciąż żądają od ludzi należnych im ofiar, a dwaj główni bohaterowie to sympatyczne łotrzyki, spotykane w każdym miejscu i czasie. Konstrukcja sztuki uległa poważniej zmianie, chór pojawia się tylko czasami, zniknął agon, szereg scen tworzy dwie części komedii, która stała się zabawnym, fantastycznym obrazkiem, o wymowie uniwersalnej fantastycznej przypowieści. Pozbawionej ostrości, budzącej śmiech, czystej bufonerii. Przyłuski nie zwraca sobie głowy oryginalnym rytmem wiersza, bez ceremonii wyrzuca szereg ustępów, skraca, wydaje się wręcz, że chciał być niewierny wobec oryginału, chciał pokazać, jak niewiele zostało nam dziś z prawdziwego Arystofanesa. Przeplata wiersz i prozę, wprowadza piosenki, jego przeróbka nie ukrywa swych odstępstw od starego wzoru, proponuje działania transgeniczne i transpozycyjne, zmierza w stronę współczesnej, kostiumowej, muzycznej rewii.

Hiob

Hiob został w druku przez autora nazwany misterium, we wspomnieniach — misterium wielkopostnym. Taka kwalifikacja gatunkowa pociągała za sobą istotne konsekwencje. Wiadomo bowiem, że misteria — w swej najbardziej klasycznej spośród nieklasycznych postaci gatunku, tj. w misteriach średniowiecznych — to sztuki tematyzujące tajemnice wiary i w tym celu wykorzystujące materiał biblijny lub apokryficzny. Termin w użyciu modernistów posiadał niejedno znaczenie i niejedną pełnił funkcję. Po pierwsze stanowił znak historycznej formy epicko-dramatycznej, po drugie był ahistoryczną nazwą widowiska religijnego⁸, po trzecie przekształcał się wtedy w kategorię estetyczną, stabilizowaną światopoglądowo. Samo zjawisko natomiast zmieniło się w mit teatru, a w dramatopisarstwie praktyce moderny i lat dwudziestych stało się krzyżówką różnogatunkowych elementów: misteryjnych, moralitetowych, tragediowych, farsowych. Wyjaśniam, że chodzi mi o tzw. starą, więc przedmieszkańską farsę, fenomen wielogatunkowy, obejmujący takie średniowieczne odmiany „wesołego teatru”, jak *les dits*, wesołe kazania czy *sotties*, potem rozmaite bufonerie, parodie, burliski, jednoaktówki, tzw. małe sztuki etc.

Czas chyba przyjąć do wiadomości, że *de facto* na przełomie wieków na dawnych fundamentach powstał nowy gatunek, zachowujący stare nazwy, znamieny dla dwudziestowiecznych form dramatyczno-teatralnych wieloskładnikowy mikst, umożliwiający autorom wybór elementów z martwych już gatunków epok minionych oraz jednego, u nas wciąż uprawianego — szopki (jasełek). Często autorski splot jest tak ciasny, że trudno się zdecydować na jedną gatunkową etykietę. Składniki wielu gatunków występują na różnych planach utworu, przecinają się, łączą, dopełniają.

Z historycznej postaci i funkcji misterium Młoda Polska zachowała obecność w dziele tajemnicy Boga (wiary), rozważanej wobec widowni i przedstawianej na trójkondygnacyjnej scenie, w przynależnym mu obramowaniu estetycznym, z zachowaniem *decorum*, przy użyciu odpowiednich *modi*. Tajemnica wymagała przecież specyficznego podejścia nie tylko dla ułatwienia jej dotknięcia, także dla utrudnienia tego dotknięcia. Przecież musiała zostać tajemnicą, co więcej — świętą tajemnicą, na którą trzeba było narzucić przesłonę wysokiego stylu, patosu, archaizowanego słowa, alegoryczno-symbolicznego sposobu przedstawiania, metaforyczności sytuacji, przypowieści traktowanej jako jeden z możliwych typów organizacji fabuły, ironii tragicznej. Wszystko winno tu

⁸ A. Ziółowicz, „Misteria polskie”. Z problemów misteryjności w dramacie romantycznym i młodopolskim. Kraków 1996 s. 9.

podnosić duchowy walor słowa, stylizowanego na słowo objawione. Także w tym sensie teatr świecki przemienić się miał w świątynię.

Kreacja bohatera ujawnia moralitetowy rodowód Hioba Przyłuskiego; jest on wciele- niem Każdego (można go nawet zobaczyć poprzez Iwaszkiewiczowskiego *Quidama*). Ale ten Każdy ma za sobą doświadczenia współczesności. Jego dialog z Bogiem pisany jest z perspektywy tyleż uniwersalnej co partykularnej, to człowiek ciężko doświadczony i cierpiący. A funkcję cierpienia pojmował Przyłuski w sposób szczególny, wszak „tylko dzięki cierpieniom ziemia uszlachetnia się lub inaczej rządzi się swoimi prawami” (list z 1956 roku). W utworze pobrzmiewają echa Jungowskie — *Aiona* (1951) i opublikowa- nej wkrótce potem *Odpowiedzi Hiobowi* (1952). Co znamienne — są to echa prawie gnostyckiego moralitetu, pytającego o zagadkę istnienia zła.

W biblijnej przypowieści, którą Przyłuski modyfikuje, Hiob stoi na scenie świata niejako w sposób naturalny. W jego utworze ta naturalność przekłada się na trójkondy- gnacyjną scenę misteryjną, znak teatru-świata, tak doskonale zakorzeniony w dramacie różnych epok, tak częsty w epoce modernizmu. Nośność teatralnej metafory wykorzy- stywało wielu autorów. Przyłuski konstruuje jednak swą sztukę niczym oratorium, gdy liczy się przede wszystkim usytuowanie głosów-instrumentów, a wielopoziomowość teatrum sygnalizuje przestrzenne rozłożenie dźwięków. Głos Boga nie płynie z nieba, wypełnia cały stworzony na scenie świat, pozostając znakiem wszechobecności i wszechmocy Jahwe. Z nieba (z najwyższej kondygnacji) dochodzą głosy aniołów; Szatan (tradycyjnie) odzywa się z dołu. Znaczenie takiego usytuowania postaci wyraziście dookreśla ich funkcja; w tym planie najistotniejsza okaże się konfrontacja głosu Hioba i głosu Boga. Projekt ogranicza znaczenie wzroku widza, przenosi większą część odbioru na sferę audialną. Bóg przecież jest Logosem, jego moc objawia się tu poprzez wypowie- dziane słowo, poddanie się jej wyrażają psalmy i litanie.

Teatralność zostaje ujęta w epicką ramę; przekaz biblijny jest wszak pierwotny, a realizacja dramatyczna posiada walor kopii; misterium realizuje się więc w 12 epi- zodach-*Sprawach*, a partie narracyjne prowadzą nas konsekwentnie do dramatycznego starcia między ludźmi oraz między Hiobem i Bogiem. Finał ma walor skondensowanej relacji z przeszłego szczęśliwego życia bohatera.

Pod piórem Przyłuskiego dramatyczna (w podwójnym sensie) opowieść o Hiobie ma charakter nieludzkiego eksperymentu, który trudno zracjonalizować. Odpowiedź na pyta- nie o jego sens zostaje zawieszona (należy przecież do odbiorcy), choć można uchwycić jej przesłanki, zbliżone do gnostyckiego rozwiązania Junga: w historii Hioba brzmi za- powiedź odkupienia. Ale odbiorca ma nie tyle obejrzeć tragedię Hioba, ile musi ją w pierwszym rzędzie usłyszeć. Narracja (Opowiadacz, pojawiający się w kilku *Sprawach* — w 5, 6, 9 i 12, w innych zastąpiony przez Chór Aniołów — *Sprawa* 1,2,4,8,10,11 lub relacje Posłów — *Sprawa* 7) przesuwa tę tragedię poza scenę. Na scenie zaś znajduje się przede wszystkim miejsce dla słów wyrażających wielkość Boga, dla sytuacji kuszenia Boga przez Szatana i dwóch ważnych dyskursów — pomiędzy ludźmi i między Hiobem a Bogiem.

Przyłuski wyostrza przypadek Hioba: Bóg ulega Szatańskiej pokusie; w jej wyniku Hiob (niczym u Junga) pozna na własnej skórze niewyjaśnialną rozumowo antynomicz- ność Jahwe⁹ („pokaż, czemu mnie tak sądzisz”); jego optymistyczna, naiwna wiara w Boską sprawiedliwość legnie w gruzach, zawali się uporządkowany i piękny świat człowieka, który z pełną ufnością oczekiwał od Boga pomocy przeciwko niemu same- mu¹⁰. Hiob Przyłuskiego nie toczy zwykłego sporu z Bogiem — on go pozywa na sąd

⁹ C. G. Jung, *Odpowiedź Hiobowi*, przeł. J. Prokopiuk. Warszawa 1995 s. 194.

¹⁰ Tamże, s. 192.

i — przegrywa. Niezasłużona kara okazuje się ceną za szczęśliwą przeszłość i równie szczęśliwą przyszłość. Ta ostatnia będzie możliwa jedynie po uiszczeniu zapłaty w pokorze i pokucie, dzięki wycofaniu się bohatera na pozycję grzesznego prochu.

Historia Hioba współbrzmi z tragediami niedawnej wojny, z osobistymi dramataми uchodźców. Przyłuski publikuje ją w sytuacji, gdy trwa zimna wojna, gdy od dwu lat toczą się walki w Korei, a polscy emigranci, którzy stracili przecież wszystko, wyszli z wojny okaleczeni fizycznie i duchowo, usiłują znaleźć jakieś miejsce w „nowym, wspaniałym świecie” Zachodu, wywalczyć sobie w nim przyszłość. W tym kontekście zapowiedź zbawienia, Boskiej ochrony i opieki mogłaby zyskać wydźwięk niemal optymistyczny, jeśliby nie brać pod uwagę ostatecznej przegranej Hioba, to jest po prostu przegranej Człowieka.

Żadne dostatki i dobra nie wrócą mu tego, co utracił, nie dowie się, dlaczego tak został potraktowany, czemu służyło jego cierpienie; pytanie o Boską sprawiedliwość nie tylko pozostaje bez odpowiedzi, więcej — wydaje się wysoce niestosowne. Hiob może uczynić jedno: ukorzyć się przed Bogiem i uznać swą grzeszność. W przeciwieństwie do Hioba Junga daleko mu do zwycięstwa¹¹. Hiob Przyłuskiego wychodzi z konfrontacji pokonany. Bóg go „nierównym sądem utrafił”, potraktował niczym przedmiot, cóż stąd, że był on w Jego ręku „złotem w ogniu”. Człowiek przyjmuje jednak w pokorze boski wyrok, by doznać rekompensaty w wielbłądach, owcach, wołach, osłach i czeladzi. W synach i córkach, w pełni swych przyszłych dni. Tak właśnie przedstawia się przesłanie sztuki. Z perspektywy Hioba widać, że współtworzy ją *modus* tragiczny i można ją potraktować jako tragedię ujętą w kształt misterium, tragedię ukazującą niewolnikowi boskiej mocy — jego miejsce i jego kondycję. Jeśli jednak spojrzymy na utwór z perspektywy finału, zamykającego Hiobowe doświadczenia, okaże się, że działa tu jeszcze jeden *modus* — melodramatyczny. Zgodnie z nim dobro zostaje nagrodzone, zło ukarane. Oba *modi* współpracują ze sobą i nie jest to — w literaturze dramatycznej — rzecz wyjątkowa. *Modus* jako czynnik estetyczny jest tu (jak zwykle) pomostem między sceną a literaturą, wcieleniem-wykonaniem a dramatycznym scenariuszem spektaklu, charakteryzuje tonację i stopień harmonii dzieła, określa relacje między tematem i realizującą go formą. Tyle że to jeszcze nie wszystko. Na boku pozostaje bowiem czynnik dla misterium najważniejszy, zapewniający gatunkowi rację bytu — tajemnica wiary, tajemnica Boga i zarazem tajemnica Człowieka. W ostatecznym efekcie okaże się ona niepoznawalna, słowo dramatu nie oferuje nam szansy jej przeniknięcia, nie niesie żadnej wiedzy — wszystko zaciemnia.

Jeśli jednak przyjrzymy się tekstowi z konstrukcyjnego punktu widzenia, rzecz okaże się wcale inna. Oto bowiem *Hiob* Przyłuskiego spełnia niektóre uwarunkowania ponadczasowego modelu bohatera¹²; cechuje go zatem boskość urodzenia (należy wszak do grona dzieci Bożych), poddany zostaje coraz dotkliwszym próbom wytrzymałości, przeżywa swoistą konfrontację ze śmiercią — wprawdzie nie zstępuje fizycznie do otchłani (np. jak Odyseusz), niemniej czyni to duchowo — musi wszak przeżyć utratę rodziny, samotność, alienację ze swego środowiska, zagrożenie własnego życia; po konfrontacji z przyjaciółmi czeka go konfrontacja z Bogiem i wreszcie finałowa apoteoza, gdy znów rozkwita, ożywając niczym feniks, który przecież należy do symboli solarnych.

Zawarta w słowach Jahwe zapowiedź odkupienia nie tylko anonsuje nadejście Chrystusa, w równie istotnym stopniu każe zwrócić uwagę na posiadaną przezeń moc — motywowaną aktem stworzenia moc odebrania życia i moc jego przywrócenia, więc to, cze-

¹¹ Tamże, s. 90.

¹² Zob.: *Companion to Literary Myths, Heroes and Archetypes*, ed. by P. Brunel. London–New York 1992 s. 557 nn.

go doznał Hiob. Jego los, los Każdego, jest przecież swoistą prefiguracją losu Chrystusa. Zarazem jednak w zapowiedzi Jahwe pojawia się szczególnie, tajemna więź między Bogiem a człowiekiem, stanowiąca najwyższy punkt chrześcijańskiej duchowości.

Hiob jest postacią poruszającą się w jednym kierunku — w kierunku poznania prawdy a razem z nim podążają tam także widzowie. Dzieje się tak wszakże do pewnego momentu, do chwili, w której tajemnica Boga okaże się nieprzenikalna. I żądać będzie od człowieka wyłącznie wiary; tak wiele — i zarazem tak mało. Tylko bowiem wiara stanowi może odpowiedź na tajemnicę. Jediną możliwą odpowiedź.

Istotnym czynnikiem dramatotwórczym pozostaje dla Przyłuskiego niezmiennosc opowiadanej historii, schemat ludzkiego losu wypełnia się zawsze tak samo, niezależnie od uczuć, refleksji, dążeń, które objawia się podczas drogi, wiodącej do ostatecznego poddania. Intencją autora jest podporządkowanie się przypowieści, zakładającej paradoksalny tryumf Boga i jednocześnie dwuznaczny tryumf człowieka. *Hiob* Przyłuskiego zamyka się dwoistym, wewnętrznie sprzecznym rozwiązaniem, szczęśliwym i nieszczęśliwym zarazem, optymistycznym i pesymistycznym, pozytywnym i negatywnym. W akcie jego poddania zawiera się jakże ludzka dwoistość dążenia do rozpoznania i niemożności rozpoznania. Akt ufności i wiary staje się jedynym rozwiązaniem. Dla każdego wcielenia Każdego.

Pastorałki

W analogiczny krąg inspiracji wiodą nas pastorałki Przyłuskiego. Pastorałka — pieśń pasterska sławiąca Boże Narodzenie, to forma wywodząca się zapewne z dramatyzowanych dialogów Bożonarodzeniowych XVI i XVII wieku¹³, w polskiej tradycji ściśle związana z bogatym nurtem pieśniowym skoncentrowanym na Bożym Narodzeniu i szopkową prezentacją tych narodzin, która od XIII wieku powoli wchodziła w krąg religijnych widowisk. Scalenie tych dwu linii, literackiej i widowiskowej, zrodziło pastorałkę dramatyczną, dookreśloną w wieku XVIII przez sentymentalizm, w XIX przez idyllizm, właśnie wtedy stający się kategorią estetyczną.

Tematyczne centrum nie-dramatycznych pastorałek stanowił (jak w pokrewnych kolędach) tryptyk zdarzeń, zaczerpniętych z Nowego Testamentu, więc narodzenie, powitanie, objawienie, choć punkt widzenia i typ obrazowania różnił się w sposób istotny od ujęć kolędowych. W kolędach-hymnach bowiem opiewano wielkość Boga, w kolędach-kołysankach — niemowlęstwo człowieka, zaś pastorałki — realistyczne i świeckie, koncentrowały się na okolicznościach świętych narodzin, na biednym macierzyństwie, lokalnym wymiarze czasoprzestrzeni, na radości i darach zwykłych ludzi, kontrastowanych ze wspaniałymi darami tych niezwykłych. Formowały je antytezy — wielkości i małości, boskości i człowieczeństwa, nieskończoności i skończoności, ujęć lirycznych i komicznych, realistycznych i mistycznych. Wszystko to przejęła z dobrodziejstwem inwentarza pastorałka dramatyczna.

Rozproszone w wielu tekstach elementy połączyła w całość linią akcji, opartej na niezmiennym schemacie, zamkniętym w układzie trójkowym. Otwierało ją uzasadnienie konieczności odkupienia (grzech Adama i Ewy), oczekiwanie odkupienia i zwiastowanie (to pierwsza trójka zdarzeń), potem następowała droga do Betlejem, narodziny i pokłon pasterzy (trójka druga), epizod z Herodem i rzezią niewiniątek, hołd Trzech Króli i ucieczka do Egiptu Świętej Rodziny (trójka trzecia). Powstawał szereg zdarzeń motywowanych nie dramatycznie lecz epicko (źródłem był Nowy Testament) i transcenden-

¹³ J. Lewański, *Dramat i teatr średniowiecza i renesansu w Polsce*. Warszawa 1981 s. 154 nn; J. Smosarski, *Dialog na Boże Narodzenie (Problemy ewolucji)*, Roczniki Humanistyczne 1964 z. 1.

talnie, a w tym szeregu szczególnie rola przypadała zwykle częście Herodowej. Można ją było potraktować jako swoistą perypetię, ale i jako grę (*spiel*), nawet rodzaj barwnego intermedium. Fabuła wypełniająca schemat posiadała strukturę klockową (epizodyczną), a poszczególne jej fragmenty poddawały się nader ograniczonej modyfikacji: prezentowana historia miała wszak walor niezmienności, choć pozostawała powtarzalna. O trwałości układu decydowały stałe elementy formalno-treściowe.

Pastorałka wchodzi w skład wielokształtnego teatru polskiej szopki, stanowi scenariusz widowiska zwanego wymiennie kolędowym przedstawieniem dramatycznym, Bożonarodzeniową szopką kolędową, jasełkami, misterium Bożonarodzeniowym¹⁴. Przybierała postać literacką (utrzymywaną w różnych odcieniach tematyczno-estetycznych, takich jak szopka patriotyczna czy satyryczna) lub folklorystyczną, chociaż na dobrą sprawę spośród wszystkich źródeł i wpływów kolęd i pastorałek, takich jak Stary i Nowy Testament, rok liturgiczny, poezja pasterska, komedioopera — najsłabiej w sferze słowa (w muzyce jest wręcz przeciwnie) reprezentowany jest właśnie folklor¹⁵, dopiero wtórnie tu powracający.

Wiek XIX zmitologizował teatr polskiej szopki. Podłoże mitu stanowiła *Literatura Słowiańska* Mickiewicza, który uznał tę „starożytną poezję polską” za „świętość narodową, przez swą wzniosłość niedostępną krytyce”. Autorytet literacki wsparł autorytet duchowny biskupa mohylewskiego, Ignacego Hołowińskiego, który stwierdził wyższość tych „dzikich polnych kwiatów” wyrosłych z narodowości i wiary nad całą literaturą Oświecenia. „Kanonizacji” dopełnił Stanisław Tarnowski, traktując teatr polskiej szopki jako pierwotne, naiwne i narodowe widowisko, równe greckim początkom tragedii, prawdziwe „drzewo życia”, narodowego i religijnego¹⁶. Literacki wzór zjawiska stworzył Teofil Lenartowicz (*Szopka* 1849) i był to zarazem wzór patriotyczny. Młoda Polska wykorzystywała go zarówno bezpośrednio (w obrosłej szeregiem replik najpopularniejszej spośród realizacji, w *Betlejem polskim* Rydla, 1904) i pośrednio (jako narodowy, wysokoartystyczny, odnowiony wzór formalny, zastosowany w sposób nowatorski w *Weselu* Wyspiańskiego czy *Królewnie Orlicy* Micińskiego).

Młodopolska fascynacja obrosłymi mitologią, ludowymi źródłami narodowej kultury dookreśla obie szopki Przyłuskiego, tekstowo i formalnie zachodzące na siebie (druga pozostaje uproszczonym wariantem pierwszej, tj. *Pastorałki Małoszowskiej*, wykorzystując część wchodzących w jej skład tekstów). *Kukielki Bożonarodzeniowe*, bo o nich tu mowa, miały szczególne przeznaczenie. Powstały dla teatru pacjentów szpitala psychiatrycznego w Mabledon Park, gdzie pracował Przyłuski w latach pięćdziesiątych. Mabledon Park był nowoczesnym szpitalem otwartym. Pacjenci nie tylko przygotowywali spektakle (np. *Zemstę* Fredry), także składali własną gazetę, pracowali w różnych warsztatach, uczestniczyli w odczytach, wieczorach autorskich, koncertach, imprezach, dyskusjach¹⁷.

¹⁴ Misterium i szopka rozdzieliły się w ciągu stuleci nie tyle jako gatunki, lecz kategorie filozoficzno-estetyczne, zob.: M. Jankowski, *Misterium Dionizosa. Ironiczny dialog Wyspiańskiego z romantyzmem*. Bydgoszcz 1991 s. 20.

¹⁵ M. Bokszański, *Kantyczka Chybińskiego. Z tradycji biblijnych i literackich kolędy ludowej*, [w:] *Literatura, komparatystyka, folklor. Księga poświęcona Julianowi Krzyżanowskiemu*. Warszawa 1968 s. 741–743.

¹⁶ A. Mickiewicz, *Lekcja XXX* (wtorek 18 maja 1841), [w:] *Literatura słowiańska wykładana w Kolegium Francuskim przez...*, przekł. F. Wrotnowski. Poznań 1865, t. 1 s. 310–311; I. Hołowiński, *Pielgrzymka do Ziemi Świętej*. Petersburg 1853 s. 506 nn; S. Tarnowski, *O kolędach*. Kraków 1894 s. 47.

¹⁷ Zob.: M. E. Cybulska, *Urywki kroniki szpitalnej Mabledon Park Hospital*. Londyn 1992.

Szukając prostej formuły teatralnej Przyłuski sprowadził swą wcześniejszą pastorałkę do statusu kukielki, eliminując jej trudniejsze partie. *Kukielki* dzieją się w teatrze, *Pastorałka* — w chłopskiej kuchni; w pierwszym przypadku wystarczyło być — tańcząc, recytując, śpiewając; w drugim — należało grać. Utwory spajają kunsztowne poetyckie leitmotywy, wierszowana opowieść łączy śpiewki ludowe i teksty literackie, stare kolędy i pieśni kościelne. Powstaje quasi-religijny przekaz szopkowy w stanie „czystym”, maksymalnie stężonym, wydestylowany z nad-wyrazistych związków z folklorem, patriotyzmem, historią. Tego wszystkiego, co tak bardzo znaczyło na emigracji. Autor redukuje tu swoją rolę do „głosu z tamtego świata” — świata archaicznych tekstów, odwiecznej opowieści, znanych wszystkim pieśni i dialogów, własnych wspomnień z lat dziecińczych, niemierzalnej, trudno uchwytniej, ale jakże wyraźnej naiwnej żarliwości, która jako rzecz oczywistą traktuje realistyczną w detalach ekspresję świętości, przy całkowicie aliterackim podejściu do ikon-klisz Nowotestamentowej opowieści. Tym samym czystym tonem brzmi otwierająca *Pastorałkę* kolęda jego pióra *Przylecieli z nieba biali anieli...*

Oba dzieła pozostają w kręgu „chrześcijaństwa Bożonarodzeniowego”, w którym „chodzi o doznanie Bezpieczeństwa Życia, a nie Tajemnicy Istnienia”¹⁸. Szopkowe obrazy niosą wytchnienie, spokój, radość, przemawiają w imieniu niewzruszonych i oczywistych wartości, pod każdym względem wiecznotrwałych, czytelnych na pierwszy rzut oka w budzącym nadzieję, prostym przesłaniu moralnym. Dominuje tu etyka, nie estetyka i taka właśnie jest cena trwania mitu, który od dawna stanowił jedną z kruchych opok polskości, utożsamionej z chrześcijańską prawdą. Przyłuskiemu udało się utrzymać oba swe teksty na chwiejnej, delikatnej granicy religijności i świeckości, radość człowieka dopełniając o radość Boga.

Szopki Przyłuskiego wchodzą w różne związki z trzema podstawowymi wariantami formy, jakie zostały ukształtowane w latach dwudziestych: z rozwiązaniem awangardowym, któremu zawdzięczamy tak piękne dzieło, jak *Pastorałki* Tytusa Czyżewskiego, z pełną staroświeckiego uroku *Pastorałką* Leona Schillera, w swej świadomej konwencjonalności i teatralności kojarzącej się z reformą teatru oraz z wzorem trzecim, którego najpełniejszą realizacją stanowi *Szopka krakowska* Leona Cierniaka. Sięga ona do źródeł etnograficznych, do przekazów kulturowych, które wtedy stymulowały scenariusze widowisk o charakterze regionalnym (szopki kresowe, śląskie, pomorskie...) oraz środowiskowo-obyczajowym (szopki górnicze, żołnierskie, harcercykie...).

Międzywojnie — postępując szlakiem wydeptanym przez dziewiętnastowiecznych poprzedników — wpisało teatr polskiej szopki w krąg odrodzonego misterium. Miało ono prosto i zwyczajnie, poświadczając obecność i konieczność transcendencji w życiu człowieka, zapowiadać jego moralne odrodzenie. Przywoływany w szopkach *ordo universalis* w planie ludzkich zdarzeń potwierdzał istnienie metafizycznego ładu świata, w planie historycznym sygnalizował boski plan zbawienia. A religijność i obrzędowość szopek miała podkreślać ich funkcję świeckiego substytutu nabożeństwa.

Czas pojednany

Pięć części niczym pięć stacji tworzy ten dramat: *Maria, Rodzice, Sen Nikodema, Ewa, Wielka Noc*. Stacje mają walor w pół-moralitetowej, w pół-misteryjno-pasyjnej repliki. Moralitet należy do pierwszego planu dzieła, misterium wypełnia plan drugi. Przyłuski rozwiązuje moralitet przy pomocy dramatu rodzinnego, formy o skomplikowanej historii, która niezależność gatunkową zyskała dopiero w teatrze mieszczańskim XVIII wieku. W tym dramacie rodzinnym trójkąt z teraźniejszości nakłada się na trójkąt z prze-

¹⁸ J. Sosnowski, *Chrześcijaństwo Bożonarodzeniowe*, Dialog 1992 nr 12 s. 106.

szłości, a układ: jeden mężczyzna — dwie kobiety posiada walor powtarzalności. Ojciec bohatera, pragnąc powstrzymać syna przez związek z Marią, nieślubną córką swej dawnej ukochanej, podsuwa mu Ewę, przyrodną siostrę Marii, z ojcem której pragnie wejść w spółkę. Ukryte i jawne więzi rodzinne, uczucia i pieniądze mieszają się ze sobą, tworząc splot, który można jedynie gwałtownie rozerwać.

Moralitetowa rama obrysowuje Ibsenowski wzór dramatu rodzinnego, który pojawia się tu w funkcji całościowego, współczesnego znaku egzemplarycznej sytuacji człowieka, muszącego rozpoznać granice moralne, dostosować do nich potrzeby serca i duszy i dokonać ostatecznego wyboru własnej drogi życiowej. Wzór Ibsena wspiera odnowiona przez niego, retrospektywna technika dramatopwórcza, obserwowana przecież już u Sofoklesa, wykorzystywana potem przez Schillera czy Hebbła, gdy na scenie widzimy tylko konsekwencje minionych zdarzeń, a same zdarzenia należą do pozascenicznej przeszłości. Przyłuski wprowadza podtekstowy typ dialogu, spod którego dopiero trzeba wydobyć skryte motywy ludzkich działań, przyczyny, o których się nawet myśleć nie chce. Akcja koncentruje się na osobliwej chwili w życiu bohaterów, chwili w swoisty sposób gwiazdzistej. W niej zbiega się minione i obecne, rozświetlają się wszystkie wydarzenia, przecucia i przemyślenia, rodzą się ostateczne decyzje. Ponosi klęskę dumny protagonista (w tej roli ojciec Nikodema), nieuleczalnie zarażony *hybris* (pychą), nie widzący błędu w swoim życiu (*hamartia*), co gorsza — powtarzający go raz jeszcze w życiu syna. „Przeznaczenie psychologiczne”¹⁹, immanentne wobec postaci, tak idealnie spełniające się u Szekspira, działa w *Czasie* (podobnie jak u Ibsena) z miażdżącą siłą. Odejście Nikodema, wybranie przez niego (wbrew ojcu) wiary, nie pieniądza, przełożenie życia wiecznego nad doczesne, dokonuje się etapami, w kolejnych obrazach. Mogłyby one nosić inne tytuły, takie jak „Złudzenie” (*Maria*), „Upadek” (*Rodzice*), „Zrozumienie” (*Ewa*), „Odrodzenie” (*Wielka-noc*). Drogę w dół oddziela od drogi pod górę (zarazem je łącząc) *Sen Nikodema*. A na Ibsenowską chwilę osobliwą można spojrzeć już nie z perspektywy techniki dramatycznej, lecz potraktować ją — za Kierkegaardem — jako „współmierną z wiecznością”, wręcz „atom wieczności”. „W dwuznaczności «chwili» czas styka się z wiecznością, ustanawiając pojęcie *czasowości*, w której czas nieustannie rozcina wieczność, ta zaś bez przerwy wnika w czas.”²⁰ Sztuka stanowi zapis procesu przejścia od niewiedzy do wiedzy poprzez ucieczkę, lęk i sen. I lęk i sen potraktujmy — znów za Kierkegaardem — jako fazę wolności usidlonej, schwytej w pułapkę, z której jednak może się ona wydostać, znajdując własne miejsce w rzeczywistości. Tak widzę dramat Przyłuskiego — dramat o przezwyciężaniu lęku, o zdobywaniu wolności, ocaleniu jednostki. Myślę, że zamknął w nim osobiste, intymne doświadczenie swego życia.

Analogicznie jak w Ibsenowskim wzorze przeszłość oświetla tu teraźniejszość i w końcu dopada bohaterów. Na scenie mamy wąski krąg rodzinny — niemal jak z Ibsena. Nawet ci, którzy pozornie pozostają obok niego, są częścią całości. Ojciec Ewy, baron Totz, jest jednocześnie ojcem Marii. Pojawia się Doktor, przyjaciel domu, zarazem swoiste echo demonicznej postaci z *Kordiana*, tradycyjny komentator wypadków, potem rezoner, wreszcie Ibsenowski obserwator wydarzeń, tych wewnętrznych i tych zewnętrznych. Te ostatnie zaś są co najmniej zastanawiające.

Dom bohatera stoi nad jeziorem Genezaret, jednym z całej linii jezior: Zielone, Sine, Żółte, Modre. Nad brzegiem rozsiadła się wioska rybacka, obecnie wół opuszczona.

¹⁹ T. Zieliński, *Elementy dramatyki w tragedii greckiej*, [w:] *Szkice antyczne*, wybór A. Bieracki, wstęp J. Parandowski. Kraków 1971 s. 460–461.

²⁰ S. Kierkegaard, *Pojęcie lęku. Psychologicznie orientujące proste rozważanie o dogmatycznym problemie grzechu pierwotnego*. Przez Vigilusa Haufniensis, przeł. A. Djakowska. Warszawa 1996 s. 106–107.

Rybacy poszli w świat „za słowem żywym”, za Nauczycielem, który na nich zarzucił swą sieć. Pozostał stary Jakób, który czuwa nad Nikodemem tak, jak dawniej czuwał nad nim w dzieciństwie. Nauczyciel — to Chrystus, wioska nazywa się Emaus, a Doktor prowadzi badania sekty religijnej. „Rzecz dzieje się współcześnie i za czasów Chrystusa” — podają didaskalia. I ta równoległość zostaje zachowana. Z jednej strony zachowuje moc stary cesarski ukaz: „czyj brzeg, tego woda”; z drugiej — ojciec Nikodema nie bez powodu dąży do osuszenia jezior — góry, z których wypływa łącząca je rzeka kryją kobalt; z jednej strony gdzieś tam odbywa się sąd nad Nauczycielem, zapada wyrok, za murem przesuwają się krzyż, potem ciało spocznie w grobowcu rodzinnym w ogrodzie i na scenę wejdą trzy Marie; z drugiej strony rzecz dzieje się współcześnie — działa telefon, Ewa przyjeżdża samochodem... Powstaje wrażenie jedności czasu. Nie tylko dlatego, że „teraz” pozostaje zawsze w cieniu wieczności, również ze względu na podwojenie powtórzenia — w planie ludzkim i transcendentnym. Według Kierkegaarda to właśnie wieczność jest „prawdziwym Powtórzeniem”²¹.

Przyłuski nasyca sztukę metaforą, wprowadza wyraziste, powracające symbole; łącząc banalną współczesną codzienność rodzinnego dramatu z metafizycznym, misteryjnym planem dzieła, sygnalizuje temat wtajemniczenia. Pojawia się sieć, w którą Nauczyciel chwyta ludzi, w którą zaplątuje się bohater podczas połowu, którą naprawia Jakub we śnie Nikodema i którą w rzeczywistości okryje go niczym płaszczem; wiatr, który burzy jezioro, by mogło rozbić tamę pod urwiskiem; różany ogród, będący zarówno miejscem zdrady, jak miejscem wiecznego spoczynku; woda, oczyszczająca, dająca życie, ale też przynosząca klęskę i śmierć²².

Dwie akcje, dwa czasy, dwa finały. Pierwszy jest realistyczny i ekologiczny, pokazuje, jak nadmierna pycha, pieniądz, żądza bogactwa niszczy nie tylko duszę i życie człowieka, ale także przyrodę. Ta na szczęście sama się broni: pęka tama, woda zalewa kopalnię, jezioro wraca w osuszoną dolinę, niweczając wszystkie ludzkie plany. Wraz z tą „reakcją” natury pojawia się w dramacie trzeci typ czasu — po chwili (punktowej) i wieczności (bezgranicznej) — toczący się po kole i trwający zarazem, czas natury. Wszak „u podstaw bezpieczeństwa przyrody — pisze Kierkegaard — leży fakt, że czas nie ma dla niej żadnego znaczenia”²³. Finał drugi jest metafizyczny. Ostatnie słowo należy do starego rybaka: kiedy wchodzi trzy Marie, on, niczym Nowotestamentowy anioł, pyta: „Niewiasty, kogo szukacie.” I oświadcza: „Nie ma Go tu — Zmartwychwstał.”

Współczesna przypowieść Przyłuskiego jest zarazem relacją pasywną. Zaczyna się w niedzielę i w niedzielę zamyka. Sąd nad Nauczycielem odbywa się w (wielki) czwartek, ukrzyżowanie — w (wielki) piątek. Noc z części piątej jest nocą zmartwychwstania. Trwa zatem Wielki Tydzień, powtarzająca się każdego roku święta chwila osobliwa, wypełniająca Ibsenowską chwilę. Punkt niezwyklej kondensacji czasu. Podczas tego tygodnia bohater dojrzewa, definiuje pojęcie lęku, odpowiedzialności i winy, poznaje tajemnice rodzinnej przeszłości, z osobistej klęski wyprowadza nową drogę życia, by w końcu pójść za Chrystusem.

Na mieszanym, niejednorodnym wzorze formalnym, w którym na tle pasywno-misteryjnych odniesień, izolowanych znaków Męki Pańskiej, pojawia się moralitet,

²¹ S. Kierkegaard, *Powtórzenie. Próba psychologii eksperymentalnej przez Constantina Constantinusa*, przeł. B. Świdorski. Warszawa 1992 s. 41.

²² Kilka uwag na temat tej symboliki zawiera artykuł M.A. Derdowskiego *Dwa utwory dramatyczne Bronisława Przyłuskiego. Propozycja dla współczesnego teatru polskiego*, [w:] *Wokół współczesnego dramatu i teatru religijnego w Polsce (1979–1989)*, pod red. I. Sławińskiej i W. Kaczmarka. Wrocław 1993 s. 294–295.

²³ S. Kierkegaard, *Pojęcie lęku*, s. 107.

zrealizowany przy współudziale Ibsenowskiego dramatu rodzinnego, Przyłuski buduje paradoksalną konstrukcję jednego czasu, scala powtarzalny, kolisty beczas natury ze świętą wiecznością, ujawniającą się (w planie ludzkim) w powtarzalności Wielkiego Tygodnia i rzutuje je na linearność czasu świeckiego, ludzkiego. Świeckość zdarzeń jest incydentalna, mogło być tak, mogło być inaczej. Ale nad jeziorem Genezaret trwa jedność czasów. Z wieczności przemawia do bohaterów i widzów Bóg, To on jest przeszłością i przyszłością, on schwyta bohatera w sieć — we śnie i w życiu, on wypowiada się przez przyrodę, mówi głosem gór, głosem wody, głosem burzy. Mówi wszystkim — by usłyszał i zrozumiał człowiek, o którego mu chodzi, ale który tylko może (nie musi) go usłyszeć i pojąć przekaz.

Misterium pasyjne jest tu delikatnie zaznaczonym, pozornie drugoplanowym czynnikiem, w istocie jednak ono — w całości — pozostaje znakiem losu świata i losu bohaterów. *Czas pojednany* jest dramatem wielowarstwowym i wieloznaczeniowym. Nie tylko chodzi w nim o kategorię czasu, czy raczej — nie tyle chodzi w nim o kategorię czasu — ale o jedność świata, uzyskiwaną dzięki syntezy planu fizycznego i metafizycznego, terażniejszości i przeszłości, cielesności i duchowości bohaterów, powtarzalności i zmienności, rzeczywistości boskiej, ludzkiej i rzeczywistości natury. Inteligencja, wiedza, technika na nic się nie zdadzą, jeśli złamane zostaną podstawowe i wielkie zasady, swoista mega-etyka wszechświata. Dramat Przyłuskiego ponad świadomością jednostkową stawia bowiem świadomość moralną o obiektywnym charakterze, rozległą, uniwersalną, ponad-ludzką. Jedność wszechrzeczy znosi z piedestału człowieka, niejako roztopia go, wpisuje w ład o kosmicznym, ponadziemskim charakterze, którego gwarantem jest Bóg.

Ład ten określa także dramatyczną formę. Podtrzymuje ją — zda się mówić Przyłuski-moralista — nie tyle poetyka, ile wiara. Wiara w to, że pokazana przy jej pomocy opowieść zyska walor przypowieści o tym, że bez Boga i wbrew Niemu wszystko obróci się wniwecz.

Leon I

Ostatni dramat Przyłuskiego podejmuje raz jeszcze ten sam wielki temat: znikomości człowieka i marności jego wysiłków w obliczu transcendencji.

Autor nazwał go poematem scenicznym w 5 obrazach (*Ravenna, Honoria, Rzym, Attyla, Powrót Leona*), projektując pełen rozmachu fresk epicki z połowy piątego wieku (452 rok), z lat zmierzchu cesarstwa rzymskiego. Podstawą inscenizacji jest wielki obraz w stylu *à grand spectacle*. Jeśli w ten sposób spojrzeć na dzieło Przyłuskiego, przypomną się wielkie romantyczne widowiska w typie *Ruy Blas* czy *Lukrecji Borgii* Hugo, późniejsze spektakle historyczne w rodzaju *Fedory* Sardou, *Córki Rolanda* Borniera, *Orlątko* Rostanda, wystawne i drogie. Odnajdziemy w *Leonie* wysmakowane obrazy wnętrza pałacowych Ravenny i Rzymu, których świetność ma posmak dekadencji, barbarzyńską prostotę obozu Hunów, barwność rzymskich ulic, wypełnionych tłumem statystów i brzmieniem wielu głosów. W istocie jednak rację bytu tej sztuki wyznacza jeden niezbyt długi dialog — rozmowa papieża Leona z wodzem Hunów.

Naprawdę nie wiadomo, o czym ze sobą rozmawiali. Nie wiemy, dlaczego Hunowie, stojący u bram Rzymu, z łatwością mogący opanować bezbronną stolicę, wycofali się za Dunaj. Czy zdecydował o tym okup? przecież zdobywając miasto zagarnęliby znacznie więcej. Ta jedna, króciutka, z historycznego punktu widzenia wręcz niema chwila, stanowiąca w potoku dziejów drobną białą plamę, zafascynowała autora. W jaki sposób papież przekonał Atyllę? Stary, nieuzbrojony człowiek, stający naprzeciw wodza potężnego wojska. Jak krzyż pokonał miecz? Jeszcze w 1961 roku, gdy dramat jest już wła-

ściwie gotowy, Przyłuski zastanawia się w listach nad tą kluczową sceną. Co powiedział? „Nie może to być lęk — ani żadne straszenie go — ani chyba nawet prorocstwa — Coś bardzo prostego i oczywistego, ale co? — Nie wiem.” „Myślę nad *Leonem*.” Te słowa wracają jak leitmotiv, poszukiwanie zadowalającego rozwiązania wygląda niemal na obsesję. Scena wydaje mu się zła, nie wie, co robić, wciąż nie wie. „To najważniejszy moment w sztuce i nie chciałbym osłabić tego wrażenia przez płaskość podania.”

Są także problemy techniczne, wcale zresztą nie najmniej ważne. Czy rozmowę poprowadzić jawnie czy utaić ją za sceną, czyniąc ją dla odbiorcy niewidzialną i niesłyszalną? Wtedy nadal pozostałaby tajemnicą, tajemnicą ulokowaną w samym sercu sztuki. Czy tak? „Myślałem, żeby ich obu usunąć na tę chwilę, (pisze Przyłuski) ale nie — Oni muszą zostać i powiedzieć sobie coś takiego, co jest i było konieczne, żeby Hunowie zawrócili. — Co to było? — Nie wiem. — Jakiego argumentu użył Leon, nie wiem — ale muszę wiedzieć, zanim dam do druku. — Ot, co — to jest zagadnienie. Jak nie znaleźć, spać *Leona* i już. Bo teraz czytałem na nowo całość i całość jest bardzo dobra — tylko ten jeden moment szwankuje szalenie. — To jest pięta achillesowa sztuki. Co robić? Jak szukać tego argumentu i gdzie? (...) to powinno być zmienione (...)” Przyłuski mógłby wprowadzić cud, nie chce jednak tego uczynić, nie chce też wykorzystać technicznych możliwości teatru — odrzuca więc pomysł otwarcia dachu namiotu i zjawienia się św. Piotra wraz ze św. Pawłem.

Wątpliwości i rozterki autorskie są znamienne dla tak wielkiego zamiaru, ambicji, twórczej intencji, artystycznego projektu spektaklu. Przyłuski wszak pisze dramat przeznaczony dla teatru ogromnego Leona Schillera, odpowiedni dla idei i wielkiego inscenizatora, wręcz zgodny z *decorum*. Pisze go jednak w pustce. Teatru ogromnego nie ma i nie będzie, należy już do historii. Schiller nie żyje, monumentalista Radulski został zniszczony przez emigracyjne warunki, mała scenka Ogniska Polskiego w Londynie nie jest w stanie zagrać dramatu, a teatry krajowe są przed nim zamknięte, nie tylko ze względów politycznych, lecz również artystycznych — podążają już w innym kierunku. *Leon I* wznosi się przy drodze zarastającej trawą.

W tych warunkach wspomniane problemy wydawać się mogłyby bez znaczenia. A jednak... Pisarza dręczy jeszcze inna zmora: czy nie należałoby skrócić tekstu. Tak radzi mu po lekturze Kazimierz Sowiński, choć mimochodem zauważa, że niczego takiego nie czytał od czasu Wyspiańskiego. Herling-Grudziński zarzuca mu zbyt dużą liczbę osób i nadmiar wątków. W marcu 1961 Przyłuski podejmuje decyzję: skraca. Ale tego nie uczyni. Wiosną 1963 pisze do Barbary Gaździk z Monachium, gdzie pracuje w RWE: „Moim zdaniem skrócić to może tylko człowiek teatru — reżyser — na przykład, gdyby żył Schiller, to bym mu to dał. Nikomu innemu. Zresztą każda sztuka musi przejść próbę sceny. Czytanie samo nie wystarcza. Trzeba to zagrać. A ponieważ nie będzie grane, niech leży”.

Na pierwszy rzut oka widać, że ten poemat sceniczny aktualizuje dwie tradycje: romantyczną, której zawdzięcza powstanie poemat dramatyczny i neoromantyczną, która w latach Młodej Polski wprowadziła poemat sceniczny. Jeżeli romantycy wysuwali na plan pierwszy literackość dzieła — wtedy bowiem różnicowano odmiany poematów ze względu na ich nasycenie żywiołem lirycznym, epickim bądź dramatycznym, tj. wymagającym udramatyzowanej akcji, to moderniści wyakcentowali dominantę wykonawczą. Sceniczność oznaczała tu jednak nie tylko sposób realizacji, również — a może przede wszystkim — sposób ukształtowania dramatycznej materii.

Przyłuski myśli i pisze obrazami, które w dramacie pełniły inną funkcję niż akty. Dramat w aktach i dramat w obrazach stanowiły odmienne systemy konstrukcyjne, kontrastowe pod względem literackim i teatralnym, w stopniu i sposobie łączenia tekstu i spektaklu. Jedność działania (dramat w aktach) przeciwstawiała się tu jedności tematu

(dramat w obrazach). W pierwszym kondensacja czasu prowokowała kondensację przestrzeni, w drugim rozproszenie czasu wymagało chwilowej tylko jedności przestrzeni, pozwalającej na prezentację zmiennego światooobrazu. Konstrukcja w aktach, skoncentrowana na momencie przesilenia i kryzysu, dawała widzowi złudzenie ciągłości i trwania, określały ją finalne cele dramatu; konstrukcja w obrazach wyzwalała narrację nieciągłą, skupioną na wybranych kadrach z powodu ich typowości lub znaczenia dla tematu bądź problemu utworu. Codziennosc stanowiła ważny składnik obrazu, zarówno jako fragment współczesności, jak cząstka historii, chwytanej w najprostszych przejawach, działaniach i skutkach.

Dramat w obrazach prowadził do rozluźnienia toku akcji, rozbudowania tła środowiskowego i czasowego, przy umiejętnym, efektownym wykorzystaniu kontrastowego detalu o realistycznym lub symbolicznym charakterze. *Leon I* powstał jako taki właśnie dramat, z akcją osadzoną jeszcze przed decydującym momentem dziejów, tuż przed katastrofą, której tym razem udało się uniknąć. Trzy lata później Genzeryk, wódz Wandalów, nie pozwolił się już zatrzymać.

Przyłuski podejmuje temat i mit zmiernictwa cesarstwa rzymskiego, korzystając w tym względzie z XX-wiecznej wiedzy o śmiertelności cywilizacji. W starciu dwóch światów, starego i nowego, barbarzyńskiego i wyrafinowanego musi runąć jeden z nich. Najazd Attyli jest tu prefiguracją klęski. Pozwala na wprowadzenie do dramatu refleksji nad sensem dziejów, nad kwestią wolności i konieczności, rolą strachu i bezsilności w życiu jednostek i społeczeństw, nad rolą religii w świecie półprawd, intryg, tajemnic i fałszu. W tym kontekście tym bardziej może zaciekawiać tajemnica rozmowy papieża z wodzem Hunów. W takim widzeniu dziejów fakt ten posiada nawet pewien odcień ironicznego dystansu, jeśli przyjmiemy heglowskie rozumienie ironii jako „nieskończenie absolutnej negatywności” czy jak chce Kierkegaard jako „nieskończenie lekką grę z nicością”²⁴.

Wszystkie działania są umiejscowione poza sceną: najazd Attyli, nieakceptowana przez cesarza Walentyniana miłość Aecjusza i Honorii, którą w końcu zniszczy, pozabawiając tym samym cesarstwo Aecjuszowego miecza (małżeństwa Aecjusza Leon nie rozwiąże), ofiarowanie Attyli przez Walentyniana ręki siostry, którą tamten odrzuca (cisnąc do studni pierścień Honorii), ucieczka Honorii do Bizancjum, jej powrót i wstąpienie do klasztoru... To wszystko poznamy tylko z relacji. Jedyne wyjątkiem pozostaje rozmowa papieża i wodza, w sposób nieprawdopodobny ocalająca Rzym...

Wszelkie relacje zyskują jednak w dramacie szczególny walor pół prawdy, pół kłamstwa. Budują je niedopowiedzenia, dworskie plotki, głosy ludu, półsłowa, aluzje, piosenki, listy niedoreczone, skradzione, zagubione... Niczego nie wiadomo tu na pewno, odbiorca musi do-myśleć przebieg zdarzeń, zrekonstruować całą historię. Tajemnica, spowijająca kluczową rozmowę papieża z najeźdźcą rozpościera się nad całą sztuką. Co właściwie zaszło tamtego lata, gdy Hunowie stanęli u bram Rzymu? Niewypowiedziane motywacje, skryte uzasadnienia współtworzą poszczególne postacie. Bizantynizm wschodniego cesarstwa nie tylko zda się zarażać dwojór zachodu, gdzie milczenie spowija sprawy najistotniejsze, ale także współkształtuje styl całego dramatu. Do takiego celu poemat sceniczny nadawał się doskonale. Pozwalał na stworzenie wystawnych obrazów ginącego świata, ukrytych za przesłoną poezji, na stworzenie niemal impresjonistycznego, zamglonego wizerunku, który oddziałuje na kreacje postaci i wewnętrzną akcję dramatu. Ukryte związki, podziemne motywacje, tajemne fakty nie tylko budują aurę utworu, lecz także decydują o jego kompozycji. Autor psychologicznie rozegra teatralność całej oprawy, wpisze ją w immanentną fatalność postaci.

²⁴ S. Kierkegaard, *O pojęciu ironii. Z nieustającym odniesieniem do Sokratesa*, przekł. A. Dżakowska. Warszawa 1999 s. 248, 326.

Dwoistość tekstu odczytujemy także na poziomie widowiska. Z jednej strony projektuje on wielki spektakl, z drugiej tę wielkość podważa jedna nieduża scena rozmowy Attyli z papieżem. Sceniczność jest oszustwem, iluzją, zasłoną dymną; najważniejsze rzeczy Przyłuski i tak powierza słowu. Zgiełk wydarzeń, hałas wielu głosów naprawdę ukrywają ciszę, która otula rzeczy najważniejsze, pozostające w milczeniu. Herling-Grudziński nie miał racji, wątków w sztuce jest w istocie niewiele, ale zostały tak potraktowane, że powstaje wrażenie ich nadmiaru. Nadmiar jest przecież znowu jedynie pozorem, pozorem negatywnie zwaloryzowanym.

Przyłuski daje swej sztuce motto z wiersza Norwida *Wielkość* (druga zwrotka): „Wielkim jest człowiek/ Któremu wystarczy/ Pochylić czoła,/ Aby bez włóczy w rękę i bez tarczy/ Zwycięzył zgoła.” W tej sytuacji tym jaśniej się tłumaczą jego poszukiwania i obsesje: dać Leonowi takie racje, by mógł „trafić słowem w Hunna”. Co zatem powiedział papież wodzowi, człowiek pokoju człowiekowi wojny? Wskazał drogę miłości, przekonał, że po rozlanej krwi nic nie pozostaje, że chwała oparta na przemocy szybko ginie...? Czy to? Tekst dialogu brzmi w tym miejscu nieprawdopodobnie. Dlaczego Attyla dał się mimo wszystko przekonać? Poza słowami dramatu tak czy inaczej kryje się wciąż tajemnica.

Ale formuła „trafić słowem” doskonale chwytą istotę rzeczy. To podstawowe zadanie dramaturga. *Leon I* Przyłuskiego jest dramatem osnutym wokół dramatu, nie na dramacie. Istota starcia protagonistów nie wyjdzie z ukrycia. I dramatyczny, i sceniczny znaczą tu tylko oprawę, pustą skorupę, która nie pozwala dojrzeć rzeczy najważniejszych. Przyłuski wszystko załatwia słowem, ono jest najważniejsze, choć zarazem naprawdę stanowi przesłonę, tylko zaciemnia, nie odkrywa. Ale przecież i tak pozostaje jedynym narzędziem dramaturga. Powstaje zatem pytanie: na ile te dramaty są jego zwycięstwem, na ile klęską. A może jednym i drugim jednocześnie, skoro w światłach rampy tak trudno utrzymać granicę milczenia. Z tajemnicą teatralnego milczenia zmagali się różni autorzy, Norwid, Różewicz, Beckett... Jak bowiem przy pomocy słowa wyrazić to, czego wyrazić się nie da? Tę resztę, której nie znamy i która jest milczeniem?

Zamknięcie

Kim był Przyłuski jako autor dramatyczny? Jakim był dramaturgem?

O *Leonie* napisał Zdzisław Wałaszewski: „Sztuka ta stawia Przyłuskiego wśród wielkich dramaturgów polskich takich jak Karol Hubert Rostworowski (...) i wcześniejsze dramaturgów romantyczne”²⁵. Czy dziś odpowiedź na pytanie o miejsce tego autora byłaby taka sama? renowatora i konstruktora, który postawił w swojej twórczości na akt repliki, nie na akt rewelacji, który wybiera nurt ariergardy czy retrogardy (długo niemodnej i wręcz pogardzanej), nie awangardy?

Zniewolony przez jeden wielki temat, przez tęsknotę za wszechogarniającym ładem, niwelującym chaos świata, podejmował ogromne zadania, niczym romantyk mierzył siły na zamiary, celując w podstawową kwestię ludzkiej egzystencji — wszak pytał o konieczność i jakość związku między człowiekiem i Bogiem, o relację między *profanum* i *sacrum*. Czy nadał temu równie wielki kształt artystyczny? Jak brzmi odpowiedź, jeżeli pisząc dla teatru nie doświadczył nigdy prawdziwej próby sceny?

²⁵ Z. E. Wałaszewski, *Motywy religijne w literaturze emigracyjnej*, [w:] *Prace Kongresu Kultury Polskiej, t. 5: Literatura polska na obczyźnie*, pod red. J. Bujnowskiego. Londyn 1988 s. 20.

BRONISŁAW PRZYŁUSKI

Marta MROCZKOWSKA (Toruń)

Bronisław Jan Przyłuski urodził się 9 lutego 1905 roku w Siemierzu koło Tomaszowa Lubelskiego. Imiona otrzymał po swoich rodzicach — Janie Felicjanie i Bronisławie z Wysoczańskich. Rodzina przyszłego poety wywodziła się ze zubożałej szlachty ziemiańskiej (herb: Lubicz), która jednak bardzo konsekwentnie podtrzymywała tradycje niepodległościowe. Bronisław Przyłuski był najstarszy spośród rodzonych i przyrodnych siostr i braci.

Wykształcenie, jakie odebrał Przyłuski, dalekie było od humanistycznego; wzbudziło natomiast w przyszłym poecie trwałe fascynacje naukami ścisłymi. Po ukończeniu szkoły handlowej w Kielcach (1913–1917) kontynuował naukę w Szkole Realnej w Krakowie (1917–1918), Korpusie Kadetów w Łobzowie (1919) i ośmioklasowym gimnazjum matematyczno-przyrodniczym we Lwowie, gdzie uzyskał maturę w r. 1923. Jeszcze w tym samym roku — czyniąc zadość tradycji rodzinnej i (ogólnie) szlacheckiej a także, co trzeba podkreślić, własnym zainteresowaniom — postanowił związać swą przyszłość z wojskiem. Wstąpił do Wyższej Szkoły Artylerii i Inżynierii w Toruniu, którą ukończył po dwóch latach szkolenia ze stopniem podchorążego (wśród 94 absolwentów uzyskał 16 lokatę). Służbę zawodowego oficera Wojska Polskiego rozpoczął w Poznaniu, w 7 Dywizjonie Artylerii Konnej (1925–1932).

Początek lat 30. był dla Przyłuskiego niezwykle znaczący i — dla prywatnej sfery jego życia — szczęśliwy. W 1929 r. ożenił się z Jadwigą z Arkuszewskich, a w następnym roku urodził się im syn Jan. W tym samym okresie miał miejsce jego debiut poetycki. W r. 1930 Przyłuski odważył się przedstawić swój utwór¹ publicznie — na konkursie Wydziału Polonistycznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu — i... otrzymał pierwszą nagrodę. Sukces ten ośmielił go na tyle, że dołączył do Witolda Kapuścińskiego, Eugeniusza Morskiego, Herberta Wojciechowskiego oraz Allana Kosko. Grupa młodych ludzi, z których żaden nie zajmował się literaturą zawodowo, stworzyła w 1930 roku w Poznaniu klub poetycki „Prom”, a także redagowała pismo pod tą samą nazwą. W rok później był już członkiem Związku Literatów Polskich.

W 1932 r. Przyłuskim urodziła się córka Stefania (nazywana później przez rodzinę i przyjaciół Gogą). W tym też czasie nakładem klubu ukazał się pierwszy tomik B. Przyłuskiego zatytułowany *Badyle*.

¹ Niestety nigdzie nie zachowała się wzmianka o jego tytule.

Jego związek z „Promem” przetrwał do końca istnienia klubu, tj. do roku 1939, mimo że po wydaniu *Badyli* opuścił Poznań i nigdy już do niego nie wrócił. Odkomenderowany do Torunia, w ciągu kolejnych trzech lat (1932–1935) pracował jako instruktor w Oficerskiej Szkole Artylerii i Inżynierii; wykładał teorię strzelania. W ostatnim roku pobytu w Toruniu Przyłuski wydał drugi tomik poetycki zatytułowany *Dalekie łąki*. W 1935 r. mianowany został dowódcą (od 1 stycznia 1937 r. w stopniu kapitana) baterii artylerii konnej 14 DAK-u w Białymstoku. W jednostce tej służył do czasu kampanii wrześniowej.

W całym tym okresie uwagę poety przykuwała przede wszystkim służba wojskowa. Nie brał zbyt czynnego udziału w życiu kulturalnym Polski; uczestniczył w zaledwie kilku spotkaniach artystycznych, m.in. w wieczorze autorskim w Krakowie pt. „Zjazd literackiego Poznania” (17.03.1932 r.), otwarciu podziemi Konfraterni Artystów w Toruniu, gdzie przeczytał swój wiersz: „Ad fratrem” (13.04.1935 r.), czy wieczorze autorskim „Promu”, gdzie wygłosił utwory: „Na polanie”, „Do mojej ukochanej”, „Brzezina”, „Mamusine serce”, „Chloroform” (11.05.1935 r.)². W tym też czasie został członkiem PEN-Clubu.

Wojsny alarm dla białostockiego Dywizjonu Artylerii Konnej ogłoszono już 25 sierpnia 1939 r. Bateria Przyłuskiego została przydzielona do 9 Pułku Strzelców Konnych i przez całą kampanię współdziałała z tą jednostką, pozostając — jak cały dywizjon — w ramach samodzielnej grupy operacyjnej „Polesie” gen. Kleeberga. Zajęto pozycje przy granicy Prus Wschodnich. 14 DAK wyjątkowo ciężko walczył pod wsią Dmochy (w rejonie Czyżewa) 11 września i pod Michałkami 12 września 1939 r. Następnego dnia dywizjon stoczył bitwę pod Domanowem, w czasie której bateria kpt. Przyłuskiego straciła kilka dział. Później oddział został skierowany w rejon Kocka. Tam, z rozkazu dowódcy brygady, bateria Przyłuskiego przeszła przez patrolowaną przez Niemców szosę żelechowską, zmuszając wroga do wycofania się z miejscowości Stoczek i zdobywając 2 działa i 4 wozy amunicji. To właśnie za akcję pod Domanowem i Stoczkiem otrzymał Przyłuski Krzyż Srebrny orderu *Virtuti Militari* V klasy³. Wiadomość o kapitulacji Warszawy dotarła do oddziału, gdy stacjonował on w miejscowości Krzywda, natomiast kilka dni później — w nocy 6/7 października 1939 r., po otrzymaniu informacji, że gen. Kleeberg, wykorzystując sukcesy walk ostatnich dni i w obliczu olbrzymiej przewagi nieprzyjaciela, podjął 5 października decyzję o kapitulacji brygady — doszło do złożenia broni w leśniczówce Ofiara (rejon Głowa). Dla poety miało to już zawsze wymiar symboliczny.

6 października 1939 r. pod Kockiem Przyłuski został wzięty do niewoli i wkrótce znalazł się w oflagu VII A w Murnau (nieдалеко Monachium), gdzie przydzielono mu numer jeniecki 16234. Pobyt tam miał olbrzymi wpływ na twórczość i osobowość Przyłuskiego nie tylko ze względu na samą świadomość klęski wrześniowej, przebywanie w niewoli oraz trudne warunki obozowe. Nie mniejsze znaczenie dla rozwoju jego światopoglądu miał fakt, iż w Murnau zetknął się m.in. z Leonem Schillerem. Obozowe życie kulturalne: odczyty, koncerty, redagowanie czasopisma obozowego „TO”, a także dyskusje pozwalały na ciągłą samodyscyplinę intelektualną, z czego Przyłuski korzystał. Ponadto już w pierwszych tygodniach niewoli powstał pomysł stworzenia teatru amator-

² Informacje pochodzą z „Kalendarium życia i twórczości Bronisława Przyłuskiego” wykonanego przez Mirosława Derdowskiego, s. 235–239. Kalendarium znajduje się w posiadaniu Mirosława Derdowskiego.

³ Nr krzyża: 12220, przyznany decyzją kpt. J. Seremeta — Szefa Biura Kapituły *Virtuti Militari* dnia 09.09.1948 r.

skiego. Przyłuski został aktorem⁴ — trochę z przypadku, trochę dla zabicia czasu, a trochę pod wpływem własnych zainteresowań. Powstawały także utwory poetyckie, dramatyczne i parateatralne.

Po wyzwoleniu obozu w Murnau przez żołnierzy Armii Stanów Zjednoczonych Przyłuski dołączył 7 lipca 1945 r. do 2. Korpusu, do 1 Karpackiego Pułku Artylerii Lekkiej. Służył tam do 7 października, kiedy to odkomenderowano go jako instruktora dla artylerii pułkowej do 12 Pułku Ułanów Podolskich na okres 6 miesięcy (który jednak, jak się miało okazać, znacznie się wydłużył). W jednostce tej 1 stycznia 1946 roku objął stanowisko etatowe; w szwadronie dowodzenia został mianowany dowódcą Baterii Artylerii Pułkowej.⁵

W tym okresie zawiązała się długoletnia przyjaźń pomiędzy Przyłuskim a Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, u którego, wysłany do Rzymu zgodnie z rozkazem szefa sztabu 2. Korpusu, zatrzymał się 17 marca 1946 r. podczas zjazdu organizacyjnego sekcji włoskiej PEN-Clubu.

Jesienią 1946 r. dowództwo zdecydowało o przeniesieniu oddziału do obozu w Wielkiej Brytanii. 22 października Przyłuski wraz z całym pułkiem przybył do Shobdon (camp Leominster Herforshire), które miało się stać jego „domem” na najbliższe lata.

Przyjechaliśmy do Anglii w październiku małym transportowcem jako jeden z ostatnich oddziałów 2. Korpusu. We Włoszech został tylko jeden szwadron pełniący służbę przy likwidującym się dowództwie w Ankonie. Mieliśmy za sobą buńczuczne dnie okupacyjne i najsmutniejsze dla żołnierza chwile rzucania sprzętu na olbrzymim stalowym cmentarzysku pod Forli, dosyć przykrą podróż w małym stateczku po burzliwej zatoce Biskajskiej. Nastrój panował nieszczególny. Przywitał nas zimny wiatr i przenikliwy kapuśniaczek, który zaczął siąpić już na morzu Irlandzkim i nie ustawał ani w Glasgow w czasie wyładunku, ani w drodze do obozu, do którego dobrnęliśmy po 11-to godzinnej jeździe koleją. Obóz rozrzucony w resztkach olbrzymiego parku na granicy Walii stał pusty chyba rok, tak że miało się wrażenie, że dziurawe beczki⁶ rozleją się od samego trzaskania drzwiami. Zwłaszcza, że ułani pozwalali sobie na manifestowanie swojego niezadowolenia przy każdej sposobności. Po słonecznej Italii Anglia wydała się nam nudna, wilgotna i niegościnna. Okolice zmęczona kilkuletnim kwaterunkiem z niecierpliwością patrzyła na nas. Toteż nierzadko zwracano się do nas w twardym walijskim narzeczu, starając się wymówić wyraźnie każde wypaczone słowo angielskie: „Czego tu chcecie? Dlaczego nie wracacie do kraju? Wojna już się skończyła. Zabierajcie się stąd. Dosyć już tego paradowania. Byłby czas zacząć pracować.” itd. Wszystko to, a do tego pogoda, niepewna przyszłość, zwracało się przeciwko nam, rujnowało karność i psuło już i tak niezbyt dobry nastrój. Żołnierzy opanowało zniechęcenie i nuda. Szła zima. Zima 1947. Śniegi. Mróz. Żle opatrzone baraki, brak opału, brak papierosów, liche jedzenie. Nastrój pogarszał się z dnia na dzień.

⁴ Treść własnoręcznie wykonanej „legitymacji” ze zbiorów archiwum Przyłuskiego w Bibliotece Narodowej, datowanej w Murnau 15 stycznia 1943:

„Teatr Obozowy Oflag VII A: Kpt. Bronisław Przyłuski jest członkiem stałym grupy aktorów. Brał udział: XII 1939 — I Rewia; VII–VIII 1940 — Najukochańsza Żona Maharadży; VIII 1940 — Zaczarowane Koło; IX 1940 — Sen; XII 1940 — I to minie; XII 1940 — Pastoralka; I 1941 — Joe; II 1941 — Kapryśna Afrodyta; III 1941 — Ptaki; VII 1941 — Przepis na bajkę; X 1941 — Kłopoty babuni; XII 1941 — Kochaj i tańcz; II 1942 — Gwałtu, co się dzieje; IV 1942 — Dom otwarty; IX 1942 — Rewia sportowa; XII 1942 jako recytator: Miłość romantyczna.

Jako autor tekstów: XII 1939 — I Rewia (część); VII–VIII 1940 — Najukochańsza Żona Maharadży; XII 1940 — I to minie (część); II 1941 — Kapryśna Afrodyta (część); X 1941 — Kłopoty babuni (przeróbka); XII 1941 — Kochaj i tańcz (piosenka „Dworzec”); [III 1941 — Ptaki (parafraza sztuki Arystofanesa)]; IX 1942 — Rewia sportowa (część tekstów).”

⁵ Informacje pochodzą z zeszytu rozkazów dziennych 12 Pułku Ułanów Podolskich (sygnatura R 1503) ze zbiorów Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie.

⁶ „Beczki śmiechu” nazywano mieszkalne baraki o półokrągłym sklepieniu.

Pułk topniał. Część wyjeżdżała do kraju. Inni czekali na to, że się coś zmieni. Jedni na drugich patrzyli wilkiem. Dla tych, co zostali, nic się nie zmieniło. (...) Życie wydawał się nam ponure. Bo za trudne poza obozem, a niemożliwe w obozie. Nic nie pomogły dyskusje, projekty i stała, prawie zupełna bezczynność. Gnuśnieliśmy mimo wysiłków, żeby się nie dać. Małe grupki ułanów dowództwo odkomenderowało do innych garnizonów, przeważnie na północy, stąd żołnierze bardziej (?) zostawieni samym sobie trzeźwiele i zaczęli pracować. Przyjeżdżali potem do obozu po cywilnemu. Pokazywali z dumą karty zarobkowe i obnosili dobrze skrojone ubrania. Tym ciągnęli za sobą kolegów do fabryk, do kopalni, na rolę. Opustoszałe beczki zaludniły się, ale już nie wojskiem. Przyjeżdżały rodziny z Afryki, Indii i Bliskiego Wschodu. Obóz przemieniał się w jakąś dziwną wieś. Dzieci płakały po barakach. Dostojne mamy i urocze córki w odświętnych strojach zakładały kapliczkę obozową. Kury gdakały. Jednym słowem wojsko ulatniało się, a na jego miejsce wzrastała (?) społeczność. Kontakty z Anglikami stały się pełniejsze i żywsze. W tym czasie znalazła się grupa ludzi w obozie, która zorganizowała szkółkę dla dzieci, wykłady dla dorosłych, kursy zawodowe.

Gorączka przygotowania do życia w tym kraju opanowała wszystkich. Żołnierze przestali pić i wałęsać się po miasteczku, a zaczęli garnać się do wszystkiego, co mogło im pomóc w przyszłości. Ale równocześnie jakby wiedzeni instynktem samozachowawczym garnęli się do wszystkiego, co polskie. Ja zająłem się sprawami kulturalnymi w obozie⁷. Udało mi się zarazić entuzjazmem kilka osób i w ten sposób powstał teatrzyk amatorski. Urządzaliśmy zabawy dzieciinne, przedstawienia i obchody. Zapraszaliśmy na nie dzieci i starszych z okolicy. Imprezy te miały powodzenie a następnie rozgłos.

W sąsiednim miasteczku⁸, gdzie byliśmy częstymi gośćmi, ludność odnosiła się do nas coraz życzliwiej. Zwłaszcza, że przed laty żył w nim Polak — powstaniec, którego grób można było oglądać na tamtejszym cmentarzu. Obywatele Leominster znali go z nazwiska i pytali nas, czy wiemy coś o jego rodzinie. Odwiedziliśmy cmentarz dosyć często, składając kwiaty na grobie Drumskiego (?) a równocześnie oglądaliśmy piękny stary kościół z XI wieku gwarząc z oprowadzającymi nas entuzjastami starej budowli. W kościele tym dach na nawie z XIII wieku przeciekał (były trzy nawy: jedna z XI wieku, druga z XIII, a trzecia z XIV wieku) i trzeba go było na gwałt naprawić. Miasto postanowiło urządzić festiwal, co w związku z famą o naszych obchodach, przyciągnęłoby widzów, a więc zwiększyło dochód.

W obozie wynikła kwestia, czy w takiej imprezie możemy brać udział. Czy my katolicy możemy pomóc w odbudowie protestanckiego kościoła. Okazało się, że nie tylko możemy, ale musimy, bo jak argumentował nasz kapelan — kiedyś wszystkie kościoły w Anglii znów będą katolickie. Grzechem by było nie pomóc w naprawie kościoła, który musi dotrzeć do czasu, gdy znów będzie katolicki. Zorganizowaliśmy pochód. [...] Krakowiacy, Ślązacy, Górale. Kapela góralska, tańce, pieśni. Wozy drabiniaste ustrojone kwiatami i zbożem. Krakowiak, trojak, drobiony i krzesany (?). Jednym słowem zawojowaliśmy Leominster. W rezultacie nie było potem imprezy, gdzie by nas nie proszono. Ludlow, Hereford, Hrebdon. W '48 roku wystawiliśmy w teatrze naszym 2 czy 3 sztuki⁹. Odżyły we mnie wspomnienia teatru z Murnau, gdzie mimo ciężkich warunków niewoli,

⁷ Wielka serdeczność Przyłuskiego i życzliwe zainteresowanie, jakie okazywał wszystkim, niezależnie od stanowiska i wykształcenia, sprawiały, że wiele osób darzyło go prawdziwym przywiązaniem:

„Teraz piszę do pana, o co mi chodzi. Mój ślub będzie w sobotę, to jest 12 II '49, co bym bardzo prosił, żeby pan kapitan był na moim ślubie, bo mam do pana takie zaufanie jak do swego ojca i zrobił mi pan kapitan by dużą radość, jak by przyjechał [...]” (fragment listu J. Właznika do B. Przyłuskiego z 7 lutego 1949 r.).

⁸ Mowa o Leominster.

⁹ 21 września 1948 r. B. Przyłuski został adiutantem dowódcy korpusu. W archiwum w Bibliotece Narodowej w Warszawie znajduje się list adresowany do Przyłuskiego (nazwisko nadawcy — nieznanne), który tak komentuje ową nominację: „[...] Ma Pan trudną alternatywę: Apollo czy Mars? Nie zazdroścę”.

zakazów Niemców i trudności repertuarowych udało nam się stworzyć teatr, który potem, po wyzwoleniu w Mepen obsługiwał wojsko i wychodźstwo polskie.

Na wiosnę 1949 zwolniłem się z wojska¹⁰ i przyjechałem do Londynu z myślą o pracy w teatrze emigracyjnym.

Przed wyjazdem z obozu przygotowałem tomik wierszy¹¹ spiesząc się, żeby zdążyć oddać go do druku przed zwolnieniem, gdyż bałem się, że początki życia cywilnego będą miały trudne i nie znajdę czasu na pracę nad tomem. Wiersze z ostatnich 10 lat pisane w niewoli, we Włoszech i tu w Anglii przerabiałem i szlifowałem ostatecznie z tą myślą, żeby mimo długiego okresu czasu jak najmniej dźwięczały chronologią, a miały jakiś wspólny ton.

Gotowy tom oddałem do druku zaraz po przyjeździe do Londynu. Myślałem również o pisaniu, korciło mnie, jak to zawsze bywa, kiedy się coś wydaje, chciałoby się pisać jeszcze i jeszcze. Uzupełnić, poprawić. Załączki nowych wierszy rodzą się i rosą jak na drożdżach. Trzeba być bardzo ostrożnym, żeby w entuzjazmie dla tych nowości nie rezygnować ze starych wierszy, zdawałoby się ogranych, przebrzmiałych, które jednak często są lepsze od rodzonych w gorączce i uniesieniu.

Londyn pełen był wtedy Polaków. Być może, że Polacy chodzili tymi samymi drogami i dlatego wszędzie, gdzie się szło, spotykało się znajome twarze. Większość unikała pracy. O pracę nie było trudno, ale tylko o tę cięższą i najmniej płatną. [...] Teatr płacił 4 funty. Wybrałem teatr¹². [...] Rzemieśniewym dyszłem ruszyliśmy na Anglię. Sami budowali scenę, nosili dekoracje, przebieraliśmy się i wreszcie grali. Po przedstawieniu rozcharakteryzowanie się, przebieranie, rozbiórka sceny i ładowanie na wóz. Coś przekłnąć i jazda dalej. Niektóre przeloty mieliśmy po 200 mil. Odwiedzaliśmy zapadłe kąty, gdzie w beczkach gnieździł się Polacy dumni, że do nich przyjechał teatr. Grywaliśmy na scenach ze stołów, to znów na betonie hangarów. Dekoracje trzymały się na słowo honoru na drutach jak na pajęczynie. Dachy ciekły, światło gasło, a myśmy grali. Publiczność dopisywała — jakoś się żyło.

Myśleliśmy o poważniejszym repertuarze. Farsa i lekkie komedie sprzykrzyły się nam. Postanowiliśmy dać składankę (ze względu na braki w zespole) Słowackiego pt. *Listy do Matki*. Fragmenty z *Mazepy*, *Kordiana* i *Marii Stuart* złożone wyjątkami z listów. Na tym przedstawieniu wywróciliśmy się gruntownie. Kasy mieliśmy coraz mniejsze. Obozy zawiodyły zupełnie, wysyłały właściwie tylko delegacje. Pamiętam jeden obóz liczący 1000 mundurów (?), w którym ilość osób na widowni była mniejsza od ilości aktorów. Potem jeszcze jedna sztuka i jeszcze jedna i trzeba było myśleć o innym zajęciu. Zwłaszcza, że zacząłem pisać — tym razem rzecz na scenę — *Pastoralkę*¹³. Pisanie szło mi z początku lekko, ale potem wyjazdy i przedstawienia wybijały mnie z nastroju. Musiałem wybierać albo pisanie, albo teatr. Wybrałem pisanie. Z wojskowych oszczędności ocalała jeszcze połowa. Wiedziałem, że jeśli choć miesiąc będę zupełnie wolny, to *Pastoralkę* skończę.

Siadłem i skończyłem — niestety dopiero w sześć tygodni. W momencie, kiedy skończyłem przepisywać ją na czysto, z przerażeniem stwierdziłem, że książeczka oszczędnościowa jest pusta, a w kieszeni mam ostatnie 5 szylingów. Złożyłem gotowy rękopis, jeszcze raz przetrząsnąłem kieszenie i szuflady. Nic więcej nie znalazłem. Pojechałem do pośrednictwa pracy. Po drodze wysiadłem, bo gdybym nawet dostał pracę, to przecież będę musiał czekać do tej wypłaty, a na to moje 4 sh 8 p nie starczą. Muszę wziąć taką pracę, żebym dostał i jedzenie.

Obejrzałem się. Przede mną stał olbrzym Grosvenoru¹⁴. Obszedłem olbrzymia szukając kuchennych drzwi. Starannie ukryte pchnąłem jednym zdecydowanym ruchem. Portier zmierzył mnie od stóp do głów.

¹⁰ Dokładna data demobilizacji B. Przyłuskiego: 9 maja 1949 r.

¹¹ Mowa o tomie *Obrona mgieł* (Londyn 1949).

¹² Przyłuski pracował tam jako aktor i sekretarz literacki.

¹³ Mowa o *Pastoralce małoszowskiej* (Londyn 1951).

¹⁴ Grosvenor to nazwa jednego z najbardziej ekskluzywnych hoteli w Londynie.

„Sir, this is a kitchen entrance” — „Wiem (?). Szukam pracy” — Ah, yes — pokazał mi drzwi do (...)

„Mamy tylko pracę porterów”

„Od kiedy?” — spytałem

„Od zaraz”

„Przyjmuję”

Tryumfalnie schodziłem w dół. Mijaliśmy (...) składy pachnącej bielizny, ostatnie piętra wytwornych wind, basen kąpielowy dla gości (drzwi były otwarte i sprzątacze w kombinezonach docierali jeszcze mozaikowe posadzki; za chwilę zamkną i wytworna publiczność w strojach kąpielowych napłynie z górnych pięter, nie wiedząc, że za ścianą brud, smród i pot dominują na ścianach, podłogach i w powietrzu). I jeszcze w dół, i jeszcze w dół. Fala dusznego smrodliwego gorąca objęła mnie jak *sirocco*. Byliśmy na dnie, na samym dnie, w kuchni. Olbrzymia hala pełna migających ludzi zziąpanych, spieszących się i spoconych. W środku hali domek ze szkła, a w domku chłód — biurko i za biurkiem szef, biały, wytworny szef. — „Przyprowadziłem nowego portera” — „All right. Niech go zabierze forman”. Przyleciał forman, łamaną angielszczyzną powiedział mi, co mam robić, wydał mi fartuch i odebrał marynarkę. Zakasałem rękawy, podwiązałem spodnie i zaczęła się ciężka robota.

Czyszczenie rusztów, mycie kocioł, mycie zlewów, szorowanie posadzki. Zwłaszcza szorowanie między rozpalonymi blachami wypija z człowieka resztki sił. Wszystko zresztą robi się w temperaturze prawie wrzącej wody. Zlewy prawie że się gotują, kotły parują. Jedyne odpoczynek to obieranie chłodnych kartofli. Toteż przy kartoflach zawsze był ścisk. Siadaliśmy w krąg w kartoflarni i moczyliśmy rozpalone ręce w chłodnej wodzie za każdym gotowym kartoflem.

Wybiła godzina — przebrałem się i wyszedłem. Byłem tak zmęczony, że z trudnością stałem na przystanku. Wytrzymałem jednak cały dzień. Mijały tygodnie, w kuchni jak w ulu wrzało. Kark mi stwardniał, ręce zgrubiały, nie bałem się już ociekającego tłuszczem rusztu ani wrzącego kotła. Zlewy wypijały gęste pomyje za jednym dotknięciem mego czarodziejskiego gumowego węża, który topniał w gorącej breji lepiąc się do rąk jak smoła. W domu zacząłem czytać!¹⁵

(...) Forman zaproponował mi awans — lodownię. Funt więcej tygodniowo. Praca od 9-ej do 6-ej, pół soboty i cała niedziela wolne. Praca samodzielna, trochę zimno, ale zgodziłem się. Nie szorowałem już rusztów, nie myłem zlewów. Przychodziłem do pracy na 9-tą, a więc tak jak do biura.

Najpierw rozwoziłem po kuchni jarzyny i owoce, wyrzucałem z lodowni ryby i drób i czekałem na następny transport. Codziennie przychodziły kosze z dziczyzną i kurami; 3000 kur, padrwy, bażanty, gęsi, kaczki, cietrzewie, głuszce (głuszce wyglądały jak orły, ze złożonymi skrzydłami, z dziobami krzywymi jak haki — wielkie, ciężkie, półroczne ptaszyska spały u mnie na półkach między kurami obdartymi z piór i gotowymi w każdej chwili do garnka. Każdego ptaka trzeba było wyjąć z kosza i położyć na półce. Skrzynie z rybami stały jedna na drugiej. Poza tym bloki masła, sera, połcie boczku, płyty łososia, pstrągi, homary, raki...

Kucharze wpadali jak po ogień — bali się zimna w lodowni — chwyтали, co im było potrzebne i uciekali z mroźnego piekła.

Po każdej wizycie trzeba było wszystko postawić na miejscu i sprzątnąć.

— Halo, Bron, odwieź mi ryby.

— Halo, Bron, odwieź mi kury.

— Przynieś truskawki mrożone — 5 skrzyń.

Z mrozu wracałem z pełnym wózkiem do żaru rozpalonych blach i rusztów

— Halo, Bron, rozwieź banany.

— Halo, Bron, rozwieź grapefruty.

— Halo — wołali zupiarze, sosiarze i pieczeniarze.

Piłem tylko sok z grapefruta i wytworną czarną kawę, tę samą, którą pił szef. Gania-

¹⁵ W latach 1949–1951 Przyłuski mieszkał w Domu Pisarza w Londynie.

łem z jednego końca sali na drugi po melony, po bekon, po kury, po kaczki, po indyki, po tłuszczy. Ale w domu mogłem już czytać 2 do 3 godzin dziennie. Czasami wyskoczył jakiś krótki wiersz. Nie mogłem jednak wziąć się do czegoś większego, a pętał mi się po głowie pomysł sztuki¹⁶ — przemieszane dwa czasy: dzisiejszość z dawnością, wszystko dzieje się równocześnie to sprzed 2000 lat i to dzisiejsze. Tło — Ewangelia i współczesność.

Męczyło mnie to, że nie mogłem się do pisać. Znowu miałem do wyboru: albo rzucić sztukę, albo pracę. Rzuciłem pracę i zacząłem pisać. Wytrzymałem z oszczędnościami 8 tygodni. Tym razem nie poszedłem do Grosvenoru, a do podziemnej kolejki

Poczułem ulgę. Praca nie była lekka, ale dużo lżejsza niż w hotelu. Mierzył mnie trochę uniform i czapka z numerem. Czyściłem ustępy po stoicku, zamiatałem korytarze olbrzymią szczotką, dopychałem pasażerów w zapchane wagony *rush hours*, ale wracałem niezmęczony i mogłem pisać. W pół roku skończyłem sztukę.

W czasie służby były takie godziny na stacji, że siadałem i kombinowałem sytuacje czy dialogi notując na skrawkach papieru. Wracałem i pisało mi się jak za dawnych czasów. Napisałem parę wierszy. Od czasu do czasu ukazywały się moje wiersze w „Wiadomościach” i w „Życiu”. Mogłem się nawet podjąć poprawiania tekstu Ewangelii synoptycznej złożonej przez pana L.G.¹⁷. Z kilkoma tekstami w rękę szukaliśmy (co za urocza praca) najbliższego słowa oryginału z 4 najwspanialszych opowieści o Chrystusie. Z niecierpliwością czekałem wśród huku lecących pociągów na stacji Willesden Green końca pracy i cieszyłem się już, że zastanę w domu pana L.G. z nową porcją przygotowanych do ostatecznego wygładzenia zdań, obarczonych tradycją i świętością formy i treści; zdawałoby się skamieniałych w świętości, ale jakże giętkich i podatnych na każde dotknięcie zapamiętałego uczonego i zuchwałego poety.

Ucho napięte, pamięć w pełnej gotowości, słowniki i tekst. Tak, to chyba była jedna z największych radości mojego londyńskiego życia.

Syn pana L.G. pracował jako kierownik w świetlicy w polskim szpitalu dla nerwic — Mabledon Park, gdzie wolne było miejsce dla drugiego świetlicowego¹⁸. Szpital stworzony przez jednego z wybitnych polskich psychiatrów między innymi, leczenie nerwic oparł na pracy w warsztatach i na współpracy pacjentów w urządzaniu imprez kulturalnych. Potrzebny był ktoś, kto by poprowadził tam teatr amatorski i pomógł w urządzaniu odczytów¹⁹. Pan L.G. zaproponował mi, żeby się zgłosić

Zgłosiłem się i zostałem przyjęty.²⁰

Znalazłem pracę, która mi zapewniałaby i daje mi pełne zadowolenie, a poza tym daje mi możliwość pracy nad sobą i czas na pisanie. Wydałem już arkusze poetycki w Oficynie Poetów i Malarzy pt. *Akord*.²¹ Wystawiłem siłami szpitala *Pastoralkę*, z którą byliśmy kilkakrotnie w Londynie.

Piszę nową sztukę. Jednym słowem dałem sobie radę. Upór mój zbiera owoce.²²

¹⁶ Sztuka *Czas pojednany* ukończona ostatecznie w 1955 r., w całości ukazała się drukiem po śmierci autora (*Dramaty. Czas pojednany. Leon I*. Londyn 1985).

¹⁷ Leon Grabianka.

¹⁸ ang. psychiatric social worker.

¹⁹ Z prośbą o przyjazd do Mabledon'u z odczytami na przeróżne tematy Przyłuski zwracał się m.in. do Michała Chmielowca i Jana Bielatowicza. Ten ostatni, przyjmując zaproszenie, odpisał 9 sierpnia 1951: „[...] Miałem tu odczyt o Kasprowiczu w 25-lecie zgonu. Może by to, choć rzecz jest trochę *high-brow*. Mogę poza tym mówić o Brygadzie Karpackiej, o literaturze pięknej, winie i św. Tomaszu. Śpiewać nie potrafię. [...]”

²⁰ Pracę w Mabledon Hospital w hrabstwie Kent rozpoczął Przyłuski w 1951 r.

²¹ B. Przyłuski, *Akord. Poezje*. Tonbridge 1951.

²² Powyższy fragment wspomnień B. Przyłuskiego (ze zbiorów Biblioteki Narodowej w Warszawie) nie był datowany. Ponieważ jednak zapis ten powstał w trakcie pracy nad „nową sztuką” (najprawdopodobniej jest nią *Leon I* — ukończony w roku 1954, a wydany w tomie *Dramaty* — por. przyp. 16, należy przypuszczać, że tekst wspomnień spisany został w latach 1951–1954).

Podjęcie pracy w Mabledon Park nie oznaczało jednak definitywnej rezygnacji z teatru; Przyłuski grywał od czasu do czasu aż do r. 1955.

W 1953 roku Radio Wolna Europa ogłosiło konkurs literacki, który obejmował trzy tematy do opracowania: 1) Moje najciekawsze przeżycie z lat 1939–1952; 2) List do kraju — co chciałbym powiedzieć przyjaciołom w Polsce?; 3) Co Zachód może przeciwstawić komunizmowi? Około 25 listopada 1953 r. jury przyznało drugą nagrodę za opowiadanie *Szeregowiec Abraham Moneta*²³. Autorem wyróżnionego tekstu był Jan Siemiesz — jest to pierwszy i najprawdopodobniej ostatni przypadek, kiedy Przyłuski użył pseudonimu.

Współpraca z Radiem, tak szczęśliwie rozpoczęta, miała — jak się okazało — trwać niemal połowę jego emigracyjnego życia. W latach 50. pisywał okazjonalnie drobne reportaże i sprawozdania dla rozgłośni, wreszcie w 1958 r. porzucił pracę w szpitalu, która dała mu poczucie pewnej stabilizacji i stałe zarobki oraz, co równie ważne, czas na zajęcie się własną twórczością.²⁴ Przeprowadzka do Monachium oznaczała dla Przyłuskiego nie tylko znaczną nobilitację w środowisku polonijnym (w tym czasie w RWE pracowali m.in.: Tadeusz Nowakowski, Czesław Straszewicz, Michał Chmielowiec, Jan Fryling). Istotnym argumentem przy podejmowaniu tej decyzji była także nadzieja na zmianę trybu życia i możliwość pełniejszego oddania się literaturze. Niestety rzeczywistość okazała się dużo bardziej surowa, niż poeta mógł przypuszczać.

[...] Pracuję tak jak wół i oszczędzam na przyszłość. Ale cieszę się na powrót do Londynu, choć doprawdy nie wiem, co będę robił. Z jednej strony martwię się tym brakiem „security”, ale z drugiej to dobrze, że się oderwałem od Mabledonu i tej rutyny z wariatami. Przestałem właściwie walczyć o lepsze i zacząłem gnuśnieć pod każdym względem. Mam nadzieję, że dam sobie jakoś radę. Bo tu nie chcę zostać — to druga rutyna i kto wie, czy nie gorsza od poprzedniej. Piszę trochę dla siebie i dużo dla radia.

[...] Zacząłem dłuższe opowiadanie. Mam nadzieję, że je przed powrotem skończę. [...] Stęskniłem się za Londynem i życzliwymi ludźmi tam. Tu wszystko dla mnie obce i obojętne.²⁵

Przyłuski był zatrudniony jako lektor oraz redaktor działu kulturalnego. Używał swego głosu przy nagrywaniu przeróżnych słuchowisk, czasami sam je pisywał lub — w zastępstwie Romana Palestra — czuwał nad ich realizacją jako główny redaktor nagrania, najczęściej jednak pisał audycje z cyklu „Wiadomości kulturalne” i „Kwadrans poetycki” („The Poetry Corner”). Miały one głównie charakter reportażowo-sprawozdawczy. Na poświęcenie się własnym zainteresowaniom i twórczości pozostawało niewiele czasu.

Lata pobytu w Monachium były okresem bardzo samotnym i jałowym. Pojawiły się poważne problemy zdrowotne — astma. Dwanaście lat, które spędził w Monachium, zawsze wspominał bardzo źle („Jedna z najcięższych prac, jakie miałem w życiu”²⁶). Ciężka mu przede wszystkim atmosfera pracy: ciągły pośpiech w pisaniu audycji, obwarowanie terminami, ale także mierzyła specyfika monachijskiego środowiska. Po „wyrobinieniu” emerytury, skoro tylko mógł sobie pozwolić na opuszczenie RWE — wrócił do Londynu (28 stycznia 1970). Dwanaście lat spędzonych w Niemczech przy pracy, w której Przyłuski nigdy nie czuł się „właściwym człowiekiem na właściwym miejscu”,

²³ Tekst opowiadania został wyemitowany na antenie RWE 17 maja 1954 r.

²⁴ Po *Akordzie* do r. 1958 Przyłuski wydał jeszcze *Strofy o malarstwie* (Londyn 1953) i *Uprosiłem ciemności. Wiersze 1949–1956* (Londyn 1957).

²⁵ Fragment listu B. Przyłuskiego do Stefanii Zahorskiej z 28 grudnia 1958 r. Korespondencja ta znajduje się w zbiorach Archiwum Emigracji w Toruniu.

²⁶ Fragment listu B. Przyłuskiego do Barbary Gaździk z 1964 r.

przyniosły tylko jeden, ale w opinii wielu obserwatorów twórczości autora *Badyli* — najznakomitszy jego tom poetycki: *Listy z pustego domu*²⁷. Okres ten przyniósł też Przyłuskiemu trzy nagrody literackie. Dwukrotnie był typowany do nagrody „Wiadomości” (za najlepszy wiersz drukowany w roku 1960 i za najlepszą książkę r. 1964–1965), jednak jej nie zdobył. Uonorowana go natomiast w konkursie Związku Artystów Scen Polskich w Londynie w 1962 r., a w r. 1969 otrzymał nagrodę Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego w dziedzinie poezji oraz Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie za całokształt twórczości.

Rok później, gdy zamieszkał już na stałe w Londynie zarząd ZPPnO zwrócił się do Przyłuskiego z prośbą, by ten objął stanowisko prezesa Związku. Poeta jednak propozycję zdecydowanie odrzucił, tłumacząc, że byłoby to dla niego zbyt duże obciążenie psychiczne, zupełnie niepożądane w chwili, kiedy wreszcie mógł cieszyć się odpoczynkiem.

W ostatniej dekadzie swojego życia Przyłuski opuszczał Londyn tylko na czas krótkich wakacji we Włoszech lub Grecji, bądź też wieczorów autorskich (np. w Detroit, 27 lutego–1 marca 1977). 29 sierpnia 1973 r., po śmierci Wacława Grubińskiego i wyjeździe do Polski Jana Rostworowskiego, członkowie jury nagrody „Wiadomości” wybrali go do swego grona. Zajął się głównie pracą literacką — pisał nowe wiersze, artykuły krytyczne i recenzje. Współpracował głównie z „Wiadomościami”, „Życiem” i „Orłem Białym”. Redagował stałą rubrykę „Przekłady dzieł pisarzy polskich stale przebywających poza Krajem” w londyńskim „Pamiętniku Literackim”. W roku 1973 ukazał się ostatni jego autorski tom poezji, zatytułowany po prostu *Wiersze*²⁸.

Do końca był aktywny twórczo. Do końca też pozostał wierny zasadzie, że dopóki Polska pozostaje pod wpływem reżimu sowieckiego, nie należy wchodzić z Krajem w jakiegokolwiek związek, nawet jeśli chodziłoby tylko o publikacje. Z podobnych przyczyn nigdy nie wrócił do Polski.

W 75-tym roku życia poety choroba niszcząca od lat jego organizm zaatakowała po raz ostatni. Bronisław Przyłuski zmarł nagle, w wyniku silnego ataku astmy, wieczorem 11 kwietnia 1980 roku w swoim domu w Londynie.

²⁷ B. Przyłuski, *Listy z pustego domu*. *Wiersze*. Southend-on-Sea 1964.

²⁸ B. Przyłuski, *Wiersze*. Londyn 1973.

PISARZ NA WYGNANIU A STYL (cz. 2)

Dyskusja zorganizowana w Brukseli pod auspicjami Kongresu Wolności Kultury, najpewniej w 1962 roku. Sprawozdanie z innego spotkania pisarzy, poświęconego temu samemu zagadnieniu, zatytułowane *Pisarz na wygnaniu a styl*, ukazało się pierwotnie w czasopiśmie „Arena” 1962 nr 6 po francusku i przedrukowane zostało w polskim przekładzie w poprzednim zeszycie „Archiwum Emigracji”. Maszynopis tej rozmowy udostępniony został Redakcji przez Piotra Kłoczowskiego. Tytuł oryginału: „Table ronde «L’ecrivain en exil» (Bruxelles)”.

Margaret Storm-Jameson: Panie i Panowie: Powinam Państwa przeprosić za moją obecność tutaj dziś wieczorem — w ostatniej chwili stałam się bardzo nieadekwatnym substytutem Pana Roberta Neumanna. Jedynym uzasadnieniem mojej obecności tutaj jest fakt, że od lat trzydziestych mam przywilej utrzymywania stosunków przyjacielskich z wieloma pisarzami na wygnaniu, a także fakt, iż wierzę głęboko, że przemieszczanie się pisarzy na wygnaniu w obrębie Europy jest najważniejszym wydarzeniem w literaturze europejskiej od Renesansu. Macie tak wiele problemów i niektóre z nich są zupełnie jasne dla nas, którzy żyjemy w naszych własnych krajach. Jeśli decydujecie się zacząć pisać w języku, który nie jest waszym własnym językiem, czy odcinacie się w ten sposób od waszych najgłębszych korzeni, czy, z drugiej strony, sam fakt, że musicie walczyć z obcym językiem, wzbogaca i pogłębia waszą twórczość? Czy Conrad lub Nabokov byłiby tak dobrymi pisarzami gdyby pisali we własnym języku? Nie znam odpowiedzi. Nie wiem również co zamierzacie przedyskutować dziś wieczorem. Czekam na wasze głosy z największym zainteresowaniem.

Julian Gorkin: Panie Prezydencie, Panie, Panowie. Słowa, które właśnie usłyszeliście, wstrząsnęły mną szczególnie. Belgia jest krajem gościnnym dla wygnańców, krajem wolności. Jestem pisarzem, którego językiem ojczystym jest hiszpański, który niestety żyje na wygnaniu od wielu lat, w sumie trzydzieści sześć lat wygnania w trzech różnych etapach, i muszę Panu powiedzieć, Panie Prezydencie, że w pewnym momencie mojego życia, jako pisarz na wygnaniu, zająłem się dziennikiem, który bronił wolności mojego kraju, a jako, że nie mogłem znaleźć miejsca, gdzie mógłbym to robić, przyjechałem do Brukseli. Przez długie lata mogłem bronić myśli intelektualistów, pisarzy hiszpańskich, mojego narodu, dzięki duchowi gościnności Belgii, której pragnę tutaj złożyć wyrazy uznania. Panie i Panowie, reprezentuję kraj, który przez wiele lat musiał walczyć o wolność myśli, o wolność słowa i po raz pierwszy od 22 lat, które obejmuje moje ostatnie

wygnanie, po raz pierwszy, w kontakcie z Europą, z ruchami europejskimi, do których należą od początku, patrzę z optymizmem na przyszłość inteligencji w moim kraju. Raz jeszcze urzeczywistnia się doświadczenie, które było stałym doświadczeniem w historii ludzkości; znaleźliśmy wiele, znamy wiele systemów absolutnych, dyktatorskich, totalitarnych; ale również poznaliśmy w historii fakt, znany nam również obecnie, że nic nie było w stanie do tej pory wykorzystać z umysłu i mózgu człowieka ducha wolności, tej konieczności oddychania i zaistnienia poprzez umysł, poprzez myśl. Tyranie zniknęły jedna za drugą, pojawiły się nowe tyranie, nowe dyktatury, ale duch wolności, ta konieczność dzięki której człowiek istnieje, jest czynnikiem stałym w historii, który w końcu zlikwidował te systemy dyktatorskie i totalitarne. Jako pisarz hiszpański, mogę Was zapewnić, że w Hiszpanii studenci, nauczyciele, pisarze — a nigdy dotąd nie było takiej liczby pisarzy jak dziś — wszyscy oddychają w samej Hiszpanii myślami europejskimi, czują się w równym stopniu Europejczykami jak Wy wszyscy i widzą przyszłość mojego kraju w zupełnej integracji z wartościami kulturalnymi i duchowymi tej Europy, którą właśnie budujemy i która, moim zdaniem, jest wielkim osiągnięciem dwudziestego wieku. W Hiszpanii zaistniał nawet obecnie pewien problem, który dotąd się nie pojawił. Owszem, mieliśmy pisarki, nawet słynne, w przeszłości, ale było ich niewiele, a obecnie, mogę Wam wymienić trzydzieści pisarek, poetek, które odnajdują się w uniwersalizmie rozprzestrzeniającym się dziś po ziemi hiszpańskiej. Jesteśmy świadkami niezwyklego fenomenu, jaki ma miejsce pod dyktaturą: umysły uciekają z Hiszpanii, nie zrywając korzeni z ziemią hiszpańską, uciekają ku wartościom Europy, pozostając wiernymi korzeniom, które rozgałęziły się aż do Ameryki Łacińskiej, gdzie, jak wiecie 21 krajów tego kontynentu oprócz jednego posługuje się językiem hiszpańskim. Jako pisarz wygnany z Hiszpanii, jako wygnaniec hiszpański, który uzyskał narodowość meksykańską nie tracąc narodowości hiszpańskiej, ponieważ konstytucja meksykańska zezwala na taką naturalizację bez utraty własnej narodowości, przynoszę wam świadectwo wielkich nadziei Hiszpanii, która duchowo i intelektualnie oddycha dzięki Europie i oddycha tym samym oddechem i tą samą inicjatywą co współcześni intelektualiści europejscy. Lecz pojawia się dziś wieczór szereg problemów: stanowimy w obrębie PEN Clubu centrum wygnania, tzn. PEN Club pisarzy wygnańców, i pojawiają się przed nami problemy, w centrum naszej wspólnej sprawy, problemy trochę wyjątkowe, na przykład czy my, którzy wyjechaliśmy z kraju naszego pochodzenia wiele lat temu, poddaliśmy się wpływom krajów, które nas przyjęły, które zaoferowały nam swoją gościnność? To oczywiste. Powiem więcej: zanim przyjechałem do Francji, podczas mojego pierwszego wygnania, później do Belgii, a potem do Ameryki Łacińskiej, moja formacja duchowa, a nawet mój styl, zostały, w pewnym sensie, ukształtowane przez język francuski. Poznałem, Panie i Panowie, literaturę francuską, pierwszą literaturę świata, poznałem ją przed literaturą hiszpańską. Oczywiście znałem, przyswoiłem sobie nasz cudowny Złoty Wiek hiszpański, ten Złoty Wiek, który wpłynął nawet na takiego Szekspira, Corneille'a, Moliera, poprzez Calderona, poprzez Lope de Vega, poprzez Quevedo. Następnie, nastąpiło pewne odwrócenie i wszystko to, co było progresywne w Hiszpanii, wszystko to, co było liberalne, nazywano, w oparciu o wyrażenie popularne w ubiegłym stuleciu, „afrancesado”, co oznaczało, że na gruncie hiszpańskim asymilowano wartości intelektualne i wartości duchowe Francji. Poznałem je przed literaturą hiszpańską. Dopiero później, wobec konfrontacji wartości, ja, Hiszpan, zacząłem się interesować literaturą mojego kraju i wówczas przejąłem w pewnym stopniu styl francuski. Chciałem, żeby stał się moim stylem, gdyż styl ten ma pewną naprawdę nadzwyczajną jasność konstrukcji, koncepcji. Chociaż mój język hiszpański posiada prawie dziewięć tysięcy więcej słów niż język francuski — a czytając *Don Kichota* można znaleźć czasem sto niuansów jednego słowa — jednak, nie ma wątpliwości, że wielu pisarzy hiszpańskich i wielu pisarzy latynoamerykańskich

próbowało przejąć, a czasem nawet naśladować to piękno, tę konstruktywną logikę języka francuskiego, ten styl w jakim wypowiada się pisarz francuski. Moja kultura jest więc przede wszystkim francuska, a będąc francuską, staje się uniwersalna — uniwersalna przynajmniej z punktu widzenia aspiracji do wartości uniwersalnych. Jest to jeden z problemów z jakimi musimy się zmierzyć, my, pisarze na wygnaniu. Kiedyś, podczas okrągłego stołu pisarzy wygnańców z krajów zza Żelaznej Kurtyny, z krajów wschodnich, ze mną jako przedstawicielem pisarzy hiszpańskich, pojawił się pewien problem, który dokładnie przedyskutowaliśmy. Mówiłem moim przyjaciołom, których widzę tutaj kilku, Panu Jeleńskiemu, Panu Gara, których tu widzę, mówiłem im co następuje: wyobrażam sobie, że Pan, jako pisarz węgierski, Pan, jako pisarz polski lub jako pisarz bułgarski, lub jako pisarz rumuński, lub jako pisarz rosyjski, kiedy piszecie, szczególnie ze swobodnego natchnienia i w duchu wolności, we Francji, w Anglii, w Belgii, wiecie, że Wasze książki nie będą mogły się ukazać w waszym rodzinnym kraju, i jesteście zmuszeni czytać wasze książki w obcych tłumaczeniach, chyba że opublikuje je jakiś wydawca na wygnaniu, posługujący się Waszym językiem. Przypadek pisarza hiszpańskiego jest inny; jest inny, ponieważ kiedy ja piszę obecnie moje książki, wiem, że zostaną wydane. Będę mógł je wydać w Hiszpanii, będę mógł je wydać w Meksyku, w Santiago w Chile lub w Buenos Aires, i wiem, że istnieje na świecie dwieście milionów istot ludzkich, które mówią moim ojczystym językiem, które mówią po hiszpańsku, i mogą kontynuować. A powtarzając, że w pewnym sensie przejąłem język francuski i kulturę francuską, mogę pozostać wierny swojemu językowi, pisać w swoim języku i widzieć pierwsze wydania swoich książek — mam jedno przy sobie, ukazało się ostatnio w Ameryce Łacińskiej — w tych krajach, które mówią naszym językiem i które ukształtowały się poprzez język hiszpański i poprzez duch łaciński reprezentowany przez wielką kulturę francuską z niezwykłym wkładem również kultury włoskiej. To także jeden z problemów, przed którymi stają pisarze na wygnaniu. Chciałbym zakończyć mówiąc: Panie i Panowie, jestem szczególnie szczęśliwy, że mogę być tutaj z Wami dziś wieczorem, ponieważ kraj ten jest dla mnie źródłem niezwykłych wspomnień, ponieważ, chociaż jestem pisarzem na wygnaniu, związałem swój los z losem wszystkich pisarzy świata, i ponieważ uważam, że niezależnie od tego czy po hiszpańsku, czy po polsku, po węgiersku, czy po rosyjsku, to, co nas charakteryzuje w PEN Clubie to ów duch wolności, którego musimy bronić za wszelką cenę, to świadomość, że, chociaż jesteśmy na wygnaniu, reprezentujemy ducha tych, którzy w naszych krajach nie mogą wypowiadać się z taką swobodą jak my. I zakończę mówiąc, że mam nadzieję, że zarówno wy, którzy jesteście dzisiaj na wygnaniu, jak i ja, który jestem wygnańcem innego kraju i innego systemu, mam nadzieję, że ten duch wolności, któremu dajemy wyraz w imieniu wszystkich pisarzy z naszych krajów, wysunie się jutro naprzód w tym uniwersalizmie naszych czasów, który powinien być przede wszystkim środkiem wyrazu prawdziwych pisarzy świata.

Konstanty A. Jeleński: Ograniczę się po prostu do dwóch, trzech punktów. Pierwszy jest bardzo ogólnikowy: uważam, że w pewnym sensie nie jest zupełnym paradoksem mówić, że każdy pisarz jest trochę istotą wygnaną. To znaczy, jeśli człowiek nie czuje się trochę wygnańcem ze społeczeństwa, w którym żyje — jakiegokolwiek, nawet we własnym kraju — nie myśli o tym żeby pisać. Warunkiem pisarstwa jest pewna izolacja, pewna trudność kontaktu, i to literaturę, pisarstwo pisarz przerzuca pomiędzy sobą i ludźmi, wśród których żyje, jako rodzaj mostu, żeby zapełnić tę przepaść, która go od innych oddziela. W przeciwnym razie, nie byłoby głębokiej przyczyny zmuszającej do pisania. Sądzę, że w tym sensie pisarz na wygnaniu stanowi, dosłownie, trochę ekstremalny rodzaj pisarza, tzn. że jest podwójnym wygnańcem — wygnańcem jako wygnaniec, w pewnym sensie, pewnego porządku społecznego, a także wygnańcem ponieważ

żyje poza swoim naturalnym otoczeniem. Drugi punkt, który chciałem podkreślić jest następujący: istnieje takie wyobrażenie, że pisarze wygnańcy decydują się zamieszkać gdzieś indziej niż w swoim własnym kraju, ażeby bronić pewnego politycznego punktu widzenia. Nie uważam, aby tak dokładnie było. Wytłumaczę dlaczego: ponieważ w naszych czasach, pisarze wygnańcy są prawie wszyscy wygnańcami systemów totalitarnych, tzn. zdecydowali się zamieszkać gdzie indziej, ażeby nie ulec bezpośrednim nakazom politycznym. W niektórych społeczeństwach naszych czasów, pisarz, który nie chciał pozwolić się upolitycznić, znalazł się naturalnie na wygnaniu. Ażeby nie podjąć, ogólnie mówiąc, tzw. zobowiązań, wielu pisarzy znalazło się na wygnaniu, znaleźli się po prostu na wygnaniu, ażeby móc nadal być sobą, a nie po to, by głosić jakieś racje. Oczywiście, jeśli chcemy mieć prawo być sobą, warunkiem jest pewne stanowisko polityczne, lecz niezwykle ogólnego charakteru. Jeśli chodzi o trzeci punkt, który chciałem zaznaczyć, to mój przyjaciel Julian Gorkin już go podkreślił, mówiąc tak elokwentnie o pisarzach i intelektualistach ze swojego kraju. Uważam, że w trakcie ostatnich lat samo położenie wygnanego pisarza ogromnie się zmieniło, jeśli porównamy je z jego sytuacją kiedy okropieństwa totalitaryzmu osiągnęły swoje apogeum. W dniu dzisiejszym kontakty pomiędzy pisarzami na wygnaniu a pisarzami, którzy żyją w ich własnym kraju, są dość żywe i czasami na skutek pewnych historycznych zbiegów okoliczności, niektórzy żyją w swoim kraju, a inni żyją na wygnaniu. Jednakże, myśli, a nawet pewne formy pisarstwa są sobie bardzo bliskie i sądzę, że rola pisarza na wygnaniu często nie polega na tym, aby się buntować przeciwko pewnym sprawom, lecz wręcz przeciwnie na tym, aby wyjaśnić światu to, czym jest głęboka dusza i prawdziwa egzystencja ukryte pod pewną fikcją systemu, wyjaśniać to ludziom, wśród których się żyje. To wszystko, co chciałem powiedzieć.

Margaret Storm-Jameson: Panie, Panowie. Czas na pytania słuchaczy.

Ktoś z publiczności: Czy pisarz na wygnaniu nie powinien, ze względu na to, że znajduje się na wygnaniu i jest pisarzem na wygnaniu, reprezentować pewnych idei, jeśli nie politycznych, to przynajmniej ludzkich, humanitarnych, w obliczu milczenia? Na czym polega aktywność PEN Clubu na Wygnaniu wobec Zachodu?

Konstanty A. Jeleński: Powiedział Pan, że pisarz na wygnaniu powinien reprezentować pewne idee, jeśli nie polityczne, to przynajmniej bardzo ogólne, dotyczące, powiedzmy, wolności, godności osoby ludzkiej, itd. Sądzę, że są to sprawy dość oczywiste, ale uważam, że zależy to od sposobu w jaki wyobrażamy sobie dyskurs pisarza. Nie uważam, aby najlepszą metodą obrony wolności było mówienie o niej bezpośrednio. Wkład pisarza w sprawę wolności polega na swobodzie pisania. Mogę Panu przytoczyć, gwoli przykładu, dosyć ciekawy przypadek. Jest to przypadek pewnego pisarza absolutnie apolitycznego, anarchisty, który nie wykazywał żadnych zainteresowań politycznych: jest to pisarz polski, który mieszka na wygnaniu, a nazywa się Witold Gombrowicz. Witold Gombrowicz jest pisarzem, który napisał książkę zatytułowaną *Ferdydurke*. Jest to książka awangardowa, dosyć absurdalna, w której nie ma nic politycznego, dotyczy ona pewnego całkowicie osobistego doświadczenia, lecz doświadczenie to jest w dość ciekawy sposób powiązane z czymś innym: Gombrowicz niezwykle dokładnie opisuje historię bohatera, który staje się znowu mały i wraca do szkoły, i wszystko to, co mu się w szkole przytrafia. Książka ta nie ma w sobie absolutnie nic politycznego, a jednak wpływ tej książki w epoce komunizmu w Polsce był olbrzymi, ponieważ wszyscy uznali tę fikcyjną szkołę za szkołę niedzielną komunizmu, sposób infantylizacji pisarza stawiający go wobec problemów absolutnie elementarnych, które są mu siłą narzucone z góry. A więc, oto typowy pisarz, który w ogóle się innymi nie przejmuje; pisze książkę, która jest po-

święcona wyłącznie jego własnemu doświadczeniu. Uczynił to bez żadnych jawnych lub ukrytych zamiarów politycznych, a jest to książka która jednocześnie odegrała bardzo dużą rolę polityczną.

George Tabori: Niektórzy pisarze belgijscy wypowiadają się po flamandzku, inni po francusku. Dla nas, pisarzy wygnańców, jest prawie tak samo. Są pisarze wygnańcy, którzy piszą po francusku i którzy piszą po angielsku. Ja należę do tej drugiej grupy i mam nadzieję, że wybaczycie mi mój francuski, który jest naprawdę okropny. Chcę odpowiedzieć na drugie pytanie naszego przyjaciela, dotyczące aktywności PEN Clubu na Wygnaniu; sądzę, że zajmujemy się trzema sprawami, próbujemy się nimi zajmować. Pierwszą z nich jest pomoc pisarzom na wygnaniu w ich izolacji, która czasem jest naprawdę straszna. Izolacja każdego pisarza jest dość głęboka, lecz sądzę, że kiedy przebywa się na wygnaniu staje się ona sto razy głębsza. Publikujemy małe czasopismo, które jest witryną dla pisarzy na wygnaniu, organizujemy co roku lub prawie co roku konferencję, przeprowadzamy dyskusje z pisarzami z innych krajów. Jesteśmy jedynym centrum, w ramach Międzynarodowego PEN Clubu, które nie jest centrum zdeterminowanym geograficznie. Mamy członków w Hong Kongu i w Peru, w Australii, a nawet w Izraelu i wierzę, że stanowimy bazę dla wszystkich pisarzy wygnańców, sposób wyjścia z tej izolacji. Druga sprawa jaką się zajmujemy to nasza rola w Międzynarodowym PEN Clubie. A Międzynarodowy PEN Club to, jak sądzę, największa organizacja pisarzy na świecie, obejmująca prawie siedemdziesiąt centrów. I uważam, że my, wygnańcy, jesteśmy być może sumieniem tej wielkiej organizacji. Jesteśmy tym, co Anglicy nazywają szkieletem w szafie. Jesteśmy być może nie zawsze mile widziani, gdyż próbujemy spełniać swój obowiązek przypominając wszystkim pisarzom wolnej reszty świata, że straciliśmy wolność i że trzeba starać się walczyć, jeśli pozostałe kraje i pozostali pisarze nie chcą stracić tej właśnie wolności. A naszym zadaniem jest dość często odzywać się w imieniu pisarzy z naszego kraju, których sytuacja nie pozwala im zabrać głosu. Walczyliśmy, chyba już dziesięć lat temu, o wyzwolenie pisarzy przebywających w więzieniach i obozach koncentracyjnych na całym świecie, toczyliśmy tę walkę współpracując z innymi centrami PEN Clubu. Sądzę, że pierwszy był PEN Club angielski reprezentowany tutaj przez Panią Przewodniczącą. Naszym zadaniem jest także być może utrzymywać pomost, więź, z pisarzami zza żelaznej kurtyny, z Hiszpanii albo z Portugalii, lub z innych krajów, którzy są prawie jeszcze bardziej odizolowani niż pisarze na wygnaniu.

Julian Gorkin: Pragnę opowiedzieć Wam o pewnym doświadczeniu, które ułatwi zrozumienie pytań, które nam postawiono. Niestety, wojna domowa w Hiszpanii, być może jedna z najbardziej okrutnych wojen domowych jakie miały miejsce, w kraju o populacji aktywnej liczącej dziewięć i pół miliona, w którym zginęło milion osób, a pół miliona schroniło się na wygnaniu — wyobraźcie sobie przerażające procenty — a więc, ta wojna domowa, ta straszna przepaść, podzieliła Hiszpanów na dwie różne Hiszpanie: na Hiszpanów, którzy stracili ziemię, ażeby zachować wolność, i Hiszpanów, którzy stracili wolność zachowując ziemię. A to wywołało wśród nas dramatyczny, straszny rozłam i pozostawiło nam przerażające rany, które, na szczęście staramy się właśnie wyleczyć i przezwyciężyć w imię konieczności zorganizowania tego, co po hiszpańsku nazywamy — termin ten nie ma odpowiednika francuskiego — *la convivencia civil* — *la convivencia*, to znaczy konieczność życia razem, życia wspólnie, jedni dla drugich. Opuszczając Hiszpanię, zacząłem opisywać dramatyczne wydarzenia, które przeżyłem w moim kraju, ale wyznam Wam szczerze, że nie wiedziałem, aż do 1956 roku co działo się wewnątrz mojego kraju. W rzeczywistości, trochę z winy emigrantów, uchodźców politycznych, wzniesiliśmy żelazną kurtynę pomiędzy Hiszpanią a Hiszpanami na wygnaniu. Popełniliśmy błąd, uznając, że wszyscy, którzy poddawali się w Hiszpanii dyktaturze byli auto-

matycznie frankistami, i stawialiśmy przerażające zarzuty wielkim intelektualistom hiszpańskim: wielkiemu filozofowi Ortega y Gasset, który powrócił do Hiszpanii, Doktorowi Marañon, jednemu z naszych wielkich naukowców, który wrócił do Hiszpanii, wielkiemu pisarzowi Pio Baroja, który pozostawił studziwięciotomowe dzieło powieściopisarskie, to niezwykle, a który wrócił do Hiszpanii. Stawialiśmy im gorzkie wyrzuty, dla nas, to była zdrada. A jednak wcale nie, nawet w Hiszpanii pozostali wierni sobie samym i wierni temu, co zawsze stanowili. Później, odkryłem Hiszpanię tych dwudziestu trzech lat mojej nieobecności, odkryłem ją poprzez książki młodych powieściopisarzy. Odsłoniли przede mną nową Hiszpanię, to znaczy tę Hiszpanię, która szukała siebie samej, tę Hiszpanię, która pragnęła wyrazić wszystkie swoje problemy, wszystkie swoje kompleksy, wszystkie swoje upośledzenia. Nastąpiło połączenie, fuzja, pomiędzy pisarzami na wygnaniu i pisarzami wewnątrz kraju, i zapewniam Was, że obecnie wszyscy czujemy się członkami jednej rodziny hiszpańskiej i zarówno jedni jak i drudzy, pragniemy zlikwidować przepaść powstałą na skutek wojny domowej, pragniemy nie tworzyć nowej przepaści. Nie leczy się rozłamu powodując inny rozłam. A teraz wyjawię Wam w więzły sposób historię pewnego niezwykłego odkrycia, którego dokonałem i uzmysłowiłem samemu autorowi. Mieszka obecnie w Hiszpanii jeden z największych twórców teatralnych, to młody człowiek, Buero Vallejo. W jednej z jego sztuk uderzyło mnie to, że wszystkie postaci były ślepe. Postawiłem sobie pytanie: dlaczego tworzyć sztukę, w której wszystkie postaci są ślepcami? Inna sztuka jest jeszcze ciekawsza: wszystkie sceny mają miejsce na tarasie i widać w trakcie sztuki, że każdego wieczora, każdej niedzieli wszyscy mieszkańcy siedmio- lub ośmiopiętrowego budynku odczuwają potrzebę, żeby opuścić swoje domowe życie, wyjść z mieszkania i wspiać się na taras, gdzie świeci słońce, gdzie można oddychać świeżym powietrzem, gdzie mogą prowadzić rozmowę z tarasu na taras, z tarasu na balkony. W tej sztuce o ślepcach i w sztuce o mieszkańcach wielopiętrowego budynku odczuwających konieczność, żeby wyjść na taras, ku słońcu, ku świeżemu powietrzu, i żeby nawiązać dialogi między sobą, a nawet z sąsiadami z innych domów, dostrzegłem poszukiwanie ducha inspiracji w systemie opartym na cenzurze i totalitaryzmie. A kiedy miałem okazję porozmawiać z autorem, zapytałem: „Czy zamysłem Pana było wyrazić ślepotę pewnych krajów w czasach terroru i paniki, a następnie wyzwolenie postaci wchodzących na taras, aby porozmawiać ze sobą, aby przyjrzeć się sobie?” Spojrzał na mnie zaskoczony i, co ciekawe, powiedział: „Tak, ale dla mnie samego to, co chciałem wyrazić przez te obrazy nie było jasne”. Oznacza to, że często nasze doświadczenie pomaga: ja, starszy pisarz, który był w stanie skonfrontować rzeczywistość hiszpańską z rzeczywistością uniwersalną, być może dostrzegłem głęboki sens inspiracji tego człowieka, którą on sam wyraził w sposób nie całkiem świadomy, nie całkiem jasny. A teraz, aby dać odpowiedź końcową na postawione nam pytania, stwierdzam, że oczywiście całkowicie się zgadzam z tym, co powiedzieli Jeleński i Tabori: tak mamy obowiązek, my, pisarze na wygnaniu, przedstawiać to i mówić o tym, czego pisarze w naszych krajach nie mogą przedstawić i o czym nie mogą mówić. Oni odsłaniają nam nową Hiszpanię, nową Polskę, nowe Węgry; odsłaniają nam swoje obawy, swoje problemy, w obliczu cenzury muszą brać pod uwagę co mogą a czego nie mogą powiedzieć, muszą wyrażać pewne rzeczy w sposób metaforyczny, ponieważ nie mogą mówić o nich bezpośrednio. My możemy to zrobić i rozumiemy to, o czym piszą, to, czego brakuje w tym, co piszą i czujemy się trochę ich przedstawicielami i ich głosem. A więc, chodzi o to, abyśmy na wygnaniu pozostali godni tego, czego nie można wyrazić w naszych krajach, wiedząc, że oni walczą w straszliwych trudnościach, aby być godnym nas i tego wszystkiego, co my wszyscy tutaj reprezentujemy dziś wieczorem.

George Urban: Są dwa rodzaje wygnańców: ci, którzy opuścili swój kraj, i ci, którzy żyją we własnym kraju, ale nie piszą, wygnani fizycznie i wygnani duchowo. Ostatnio w naszych krajach pojawiła się wśród pisarzy tendencja, żeby mówić: „Nie jest tak źle jak na to wygląda, musimy żyć w szerokich ramach panującego systemu”. Na przykład na Węgrzech, po stłumionej rewolucji, pisarze są w sytuacji groźniejszej niż przedtem, właśnie dlatego, że pragną czuć się wolnymi, podczas gdy tak naprawdę wcale nie są wolni. Nieznaczna liberalizacja w systemach totalitarnych wnosi specyficzne niebezpieczeństwo, ponieważ prowadzi do nowych, czasem smutnych kompromisów.

Ktoś z publiczności: Panie Jeleński, czy znany jest procent utworów wygnańców z krajów komunistycznych, które zostały przetłumaczone na języki wolnych krajów, tak w przybliżeniu, bo sędzę, że to bardzo niewielka liczba?

Konstanty A. Jeleński: Nie będę ryzykował statystyk, to byłoby niebezpieczne. Nie wydaje mi się, aby to była bardzo niewielka liczba. Myślę, że tłumaczy się wielu pisarzy wygnańców; w każdym razie, większość pisarzy jakich znam jest tłumaczonych na ten czy inny język. Trzeba pamiętać o jednej rzeczy, mianowicie, jeśli Pan śledzi tłumaczenia w jednym tylko języku, ma Pan bardzo cząstkowy obraz stanu rzeczy. Na przykład, jeśli Pan czyta po francusku, dostrzega Pan tylko książki tłumaczone na francuski, ale musi Pan pomyśleć o wszystkich książkach tłumaczonych na angielski, na niemiecki, na włoski, na hiszpański, itd. Sędzę, że wręcz przeciwnie, procent utworów pisarzy wygnańców tłumaczonych na języki zachodnie jest bardzo wysoki.

Margaret Storm-Jameson: Mam wrażenie, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat znacznie się powiększył.

Tłumaczyła z j. francuskiego Anna Branach

SZKICE I PRZYCZYNKI

LITERATURA POLSKA W PRZEKŁADACH HEBRAJSKICH

Ryszard LÖW (Izrael)

I

Tradycja to długa i bogata: od stu sześćdziesięciu lat trwa przyswajanie językowi hebrajskiemu utworów literatury polskiej. Język hebrajski jest tym językiem orientalnym, któremu w tłumaczeniach zawsze bezpośrednich z oryginału przekazano największą ilość polskiej poezji, dramatu, prozy beletrystycznej i eseistycznej, utworów dla dzieci i młodzieży. Przekazano — na co też trzeba zwrócić uwagę — bez żadnej inspiracji ze strony polskiej, która swoje w tej sprawie wysiłki i starania zwyczajowo kierowała na Paryż, Berlin, Rzym czy Londyn. Jest i zawsze był to wynik własnego rozeznania tłumaczy, polskich Żydów, z literaturą polską obytych bezpośrednio.

Dodać też można od razu, iż piśmiennictwo hebrajskie jest tym piśmiennictwem orientalnym, w którym podjęto różnorodną penetrację polskiej twórczości literackiej w formie recenzji, omówień, artykułów przeglądowych a nawet monografii o jej poszczególnych zagadnieniach, autorach i dziełach.

Najpierw, bardzo długo, przez mniej więcej stulecie diasporyczne, przekłady te były dokonywane i publikowane w Polsce i adresowane głównie do w Polsce zamieszkałych czytelników. Czytelników znających zatem miejscowe realia, intelektualnie przygotowanych do zrozumienia — może nawet akceptacji — charakterystycznych cech literatury polskiej; tych właśnie cech, które jej recepcję w tłumaczeniach na obce języki tak na ogół utrudniają.

Takich, jak górowanie pierwiastka narodowego nad uniwersalnym, przewaga tematyki polskiej i wiążące się z jej eksponowaniem obciążanie dzieł literackich służebnością patriotyczno-społeczną. To także — co sformułował Henryk Markiewicz — silna „ekspresja świadomości czy nadrzędnej idei, której rzecznikiem w historii jest dany naród”. Sądzę, że ta ostatnia właściwość tego polskiego kodu kulturalnego była szczególnie bliska żydowskiej świadomości narodowej, bez reszty mieściła się — może nawet mieści

nadał — w systemie pojęć czytelników hebrajskich. Więc skoro tak się rzecz miała — z kryteriami doboru utworów mających zostać przyswojonymi hebrajszczyźnie, kłopotów nie było.

II

Początek nadał w ubiegłym stuleciu Julian Klaczko tłumaczeniami wierszy Mickiewicza. Archaizm języka hebrajskiego, który rozpoczynał dopiero swój proces unowocześniania się, oraz niewielka na ogół sprawność translatorska tłumaczy sprawiły, że większość tych dawnych przekładów straciła czytelność. A przecież w tym już okresie — do roku 1939 — przełożono utwory i dzieła, bez których pejzaż literatury polskiej jest najzupełniej nie do pomyślenia. Były wśród nich przecież — wymienione tutaj w ciągu chronologicznym ich powstania: Kochanowskiego *Treny* (1930), Mickiewicza *Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego* (1881) i trzy pierwsze „Księgi” *Pana Tadeusza* (1921) przełożone przez Józefa Lichtenbauma, aż trzy odmienne wersje Słowackiego *Ojca zadżumionych* (pierwsza w roku 1883), *W Szwajcarii* (1923) oraz Setera tłumaczenie *Anhellego* (1928), *Irydion* (1921) Krasieńskiego; drobne utwory Konopnickiej, Orzeszkowej (*Ogniwa* 1909), powieści Sienkiewicza, których poczytność nie słabła przez następne dziesięciolecia, a wtedy ukazały się ich pierwsze wydania: *Ogniem i mieczem* (1929) i *Potop* (1930–1931), *W pustyni i w puszczy* (1928), *Quo Vadis* (1928); Reymonta *Chłopi* (1928), Przybyszewskiego *Dla szczęścia* (1929), Wyspiańskiego *Wesele* (1938) w znakomitym przekładzie B. Pomeranca; dramat Żuławskiego *Koniec Mesjasza* (1924) w parę lat po jego edycji książkowej wystawiony (1927) przez jeden z teatrów w Tel-Awiwie.

W tym bloku przekładów mieści się też pierwsza hebrajska antologia polskiej prozy: Jehudy Warszawiaka *Polin* czyli *Polska* (1936), w której znalazły się utwory Orzeszkowej, Konopnickiej, Prusa, Sienkiewicza i Żeromskiego. Podobnie jak olbrzymia większość wymienionych publikacji ukazała się ona w Warszawie, która do wybuchu wojny była jednym z najważniejszych ośrodków literatury i hebrajskiego ruchu wydawniczego.

Nie od rzeczy będzie z pewnością przypomnienie tutaj opinii Piotra Chmielowskiego z roku 1879, który wymienił m.in. *Pana Tadeusza*, *Ojca zadżumionych*, *W Szwajcarii*, *Irydion* jako najdoskonalsze utwory polskie; w półwiecze później Juliusz Kleiner *Wartości światowe literatury polskiej* (1929; 1938) dostrzegł w twórczości Kochanowskiego oraz w *Anhellim*, *Quo Vadis*, *Ogniem i mieczem*, *Chłopach*, *Weselu*. Otóż wszystkie te dzieła już wtedy istniały w przekładzie hebrajskim.

III

Mimo, iż już przedtem w czasopiśmie literackich drukowano sporadycznie przekłady wierszy Leśmiana, Tuwima czy Słonimskiego — na ogół zajmowano się dawniejszą literaturą polską. Wiązało się to prawdopodobnie z bezpośredniością odbioru, tłumacze wybierali dzieła im bliskie, na których się sami wychowali. W latach wojny i pierwszych powojennych w ówczesnej Palestynie, przeobrażającej się w jedyne centrum piśmiennictwa hebrajskiego następowało pewne przesunięcie zainteresowań, uważniej bowiem spojrzano na literaturę niedawną i współczesną. Pojawiają się nowi tłumacze, niejednokrotnie autentyczni poeci hebrajscy, w swojej twórczości ulegający wpływowi mniej więcej rówieśnych im polskich poetów.

Nierwaca się obecność Mickiewicza w domenie hebrajskiej dokumentuje Szlomo Skulskiego przekład *Konrada Wallenroda* (1944); sięgnięto do realistycznej prozy — po Orzeszkowej *Mirtale* i Prusa *Faraona*, po Żeromskiego *Ludzi bezdomnych* i *Dzieje Grzechu* (wszystkie w roku 1947). Beniamin Tenenbaum-Tene dał przekład Brzozowskiego *Płomieni* (1939–1940), — powieści, która i w oryginale i w przekładzie odegrała tak dużą rolę w krystalizacji ideowej syjonizmu socjalistycznego — ale także Wittlina *Hymny*

(1942) i *Sól ziemi* (1945) i sporo wierszy lirycznych Tuwima, które niebawem miał wydać w osobnej książce (1946). W jego też przekładzie ukazał się wtedy zbiór polskich wierszy o Zagładzie (*Mi-szirej geto. Mi-ma'amakim*, 1947), którego oryginał pt. *Z otchłani* wydano konspiracyjnie w Warszawie w 1944 roku.

Ważne miejsce w tym procesie translatorskim przypada antologii Lichtenbauma *Givot olam* czyli *Wyżyny świata* (1946). Zebrał on w niej własne przekłady wierszy z różnych języków, a wśród nich również tłumaczenia wierszy polskich. Lichtenbaum był poetą miary bardzo średniej, więc i takie są jego przekłady poezji na której się jednak znał. Dowodzą tego umieszczone przez niego wiersze polskie — od Mickiewicza i Słowackiego, poprzez Asnyka, Leśmiana i Staffa po Skamandrytów — Tuwima, Słonimskiego, Iwaszkiewicza i Wierzyńskiego.

Wojenne losy i wędrówki przygnały do Palestyny wielu polskich pisarzy, poetów, uczonych. Przebywali tu wtedy Broniewski, Roman Brandstaetter, Anatol Stern i wielu innych. Dwie powieści Sterna napisane wtedy, zostały od razu przetłumaczone z rękopisu i wydane po hebrajsku — *Odpowiedzialność nazisty* (1944; po latach wydana w Polsce pt. *Ludzie i syrena*) i *Żyd z Polski* (1946; znana jedynie we fragmentach zatytułowanych *Uczta w czasie dżumy*). W tym wojennym okresie (1941) teatr Habima wystawił Brandstaettera *Kupca warszawskiego*, co było debiutem dramatopisarskim tego poety.

IV

Szczególnie obfity okazał się plon minionego półwiecza, od chwili powstania państwa Izraela w roku 1948. Przerasta on niebłahe przecież osiągnięcia okresów poprzednich. Dzięki bowiem scentralizowaniu hebrajskiego życia kulturalnego na określonym geograficznie terytorium przy jednoczesnym stałym wzroście ilości czytelników w języku hebrajskim zaistniały korzystniejsze niż dawniej warunki dla działalności wydawnictw, prasy literackiej, teatrów. Tym zaś okolicznościom długo jeszcze towarzyszyła czynna obecność w hebrajskiej twórczości pisarskiej osób znających język polski, interesujących się literaturą polską. Ich właśnie pracy przypisać należy duży wybór ogłoszonych przekładów, recenzji, omówień, not — czyli całego zespołu objawów życzliwości prasy.

Z tym jednak — o czym też należy pamiętać — że w miarę upływu lat skład izraelskiej publiczności literackiej się zmienił. Lekturę dzieł polskich podejmują czytelnicy już tutaj, w Izraelu urodzeni, osobiście najzupełniej nie uwikłani w sprawy polskie, które tak wielką rolę odegrały w biografii ich ojców i dziadów. Są wśród nich także czytelnicy o zupełnie innym zapleczu rodzinnym, odmiennej mentalności i korzeniach kulturalnych.

Poezję w przekładach ogłoszonych w Izraelu reprezentują poeci z różnych epok literatury polskiej z oczywistym pierwszeństwem współczesnych. Złożona z tłumaczeń rozproszonych po czasopiśmie antologia przyniosłaby wiersze — od Kochanowskiego po Krynickiego. Poprzez Mickiewicza, Słowackiego, Ujejskiego, poetów pozytywistycznych „czasów niepoetyckich” (Konopnicką, Asnyka) po Młodą Polskę i poetów kłamrujących swoją twórczością początek wieku z okresami późniejszymi — Leśmiana, Staffa. W Dwudziestoleciu oglądanym oczami hebrajskimi dominuje Skamander, potem wiersze tych poetów, którzy pisali przed wojną, w czasie jej trwania i po niej — i lista to długa i ciągle jeszcze wydłużająca się: Wittlin, Broniewski, Jastrun, Ważyk, Przyboś, Wygodzki, Śpiewak, ale też Miłosz, Gałczyński; poeci, którzy wojny nie przeżyli — Ginczanka, Szlengel, Łazowertówna, Baczyński. I bardzo duży zrąb twórczości powojennych debiutantów, już przecież także należących do paru pokoleń — Różewicza, Ficowskiego, Herberta, Twardowskiego, Szymborskiej, Woroszyńskiego, Grynberga, Urszuli Koziół, Ewy Lipskiej...

W sumie taka antologia przyniosłaby utwory około sześćdziesięciu poetów (z bijącymi w oczy lukami — bez Norwida, bez Czechowicza) w bardzo zróżnicowanej wartości przekładach Józefa Lichtenbauma, Beniamina Tenenbauma-Tenego i Szymszona Melcera nagrodzonych nagrodą im. Alfreda Jurzykowskiego, Ryfki Gurfin-Uchman, Arie Braunera, Szaloma Lindenbauma, Dawida Weinfeld, Jakowa Besera, Szoszany Raczynskiej, Rafi Wicherta...

Antologii takiej jednak nie ma. Jej namiastką przez długie lata były książki Gili Uriel, razem z przekładami wierszy z innych języków zawierające też wiersze polskich poetów — *Peninim mi szirat ha-olam (Perły poezji światowej)* czy *Nofim dowewim (Mówiące pejzaże)*. A także nieco hybrydyczny zbiór Samuela Schepsa zredagowany przez Aszera Wilchera *Safrut polanit by-liwusz ri (Literatura polska w szacie hebrajskiej, 1989)* gdzie sylwetki literackie szesnastu poetów i czterech prozaików zilustrowano dużym wyborem ich utworów. Zespół aktywnych obecnie tłumaczy przysposabia do publikacji — z inicjatywy Miriam Akavii — wybór poezji polskiej drugiej połowy mijającego wieku.

Po polsku napisano dużo przejmujących i w dziejach polskiej poezji liczących się wierszy o Zagładzie. W półwiecze po tomiku *Z otchłani* Arie Brauner wydał przeważnie we własnym przekładzie antologię *Nose ha-szoa by-szira ha-polanit* czyli *Temat Zagłady w poezji polskiej* (1996) gdzie umieścił około trzydzieści utworów trzynastu poetów — od Miłosa i Broniewskiego po Ficowskiego, Herberta, Różewicza i Szymborską.

V

W świadomości literackiej czytelnika hebrajskiego poezję polską bardzo długo uosabiali dwa nazwiska: Mickiewicza i Tuwima. Recepcję ich twórczości w hebrajszczyźnie stwierdza zarówno nierwaca się tradycja translatorska, duża ilość częstych o nich wypowiedzi, jak też przypomnianie ich twórczości w publikacjach nawet bezpośrednio z literaturą polską nie związanych.

Zdarzeniem literackim dużej miary było wydanie w roku 1953 w przekładzie Józefa Lichtenbauma jedynej dotąd pełnej hebrajskiej wersji *Pana Tadeusza*. Arcypoemat Mickiewicza — którego trzy pierwsze „Księgi” ogłosił Lichtenbaum już w roku 1921, a szereg fragmentów drukował przez wiele lat po czasopismach — ukazał się w dwóch szybko po sobie następujących wydaniach o łącznym nakładzie pięciu tysięcy egzemplarzy. Z roku 1950 pochodzi przekład *Grażyny Szlomo* Skulskiego, a z 1958 — już drugi hebrajski — Szulamit Harewen *Konrada Wallenroda*. Szereg wierszy Mickiewicza — m.in. niektóre *Sonety krymskie* w przekładzie Szymszona Melcera — różni tłumacze opublikowali w czasopismach, antologiach i książkach złożonych z własnych wierszy i przekładów.

Bardzo obficie tłumaczona była poezja Tuwima. Dokonany przez Lichtenbauma w roku 1954 wybór wierszy *Tohen lohet (Treść gorejąca)* — drugi hebrajski wybór Tuwimowskich wierszy po tomiku *Szirim (Wiersze)* Tenenbauma-Tene z roku 1946 — przyniósł ich 88. Wydano również sześć książeczek wierszy dla dzieci. Główny jednak zrab przetłumaczonej twórczości Tuwima zalega po czasopismach. W sumie ogłoszono ponad 200 wierszy, a niektóre — „Do prostego człowieka”, „Nie ma kraju”, „Żydek” i inne — w wielokrotnych przekładach. Przekładali Tuwima poeci hebrajscy bądź nie tłumaczący z języka polskiego, bądź nie tłumaczący w ogóle — co zdaje się świadczyć o specjalnej predylekcji do Tuwima w literaturze hebrajskiej.

W dwu edycjach — bibliofilskiej (1984) i obiegowej (1985) — wydał Chone Szmeruk książkę *My Żydzi polscy...* zawierającą obok tekstu tytułowego artykuł Tuwima „Pomnik i mogiła” w oryginale polskim oraz przekładzie na hebrajski, angielski i żydowski.

VI

Izraelski rynek czytelniczy jest chłonny, książki Mickiewicza i Tuwima od dawna już są nieobecne w obrocie księgarskim, niezbyt też często pojawiają się w antykwarskim. Podobnie zresztą jak książki innych polskich poetów; jest ich kilkanaście.

W roku 1962 Daniel Lejbel-Setter wznowił swój dawny, z roku 1928, przekład *Anhellego*, natomiast w 1978 Szymson Melcer dał poematu tego przekład nowy. Ukazały się wybory wierszy: Leśmiana (1992), Staffa (1997), Słonimskiego (1993), Maurycego Szymła (1995), Andy Eker (1966), Wygodzkiego (1988), Władysława Szlengla (1987), papieża Jana Pawła II (1981), Anny Kamieńskiej (1981), Stefana Borkiewicza (1992), Aleksandra Ziemnego (1989) oraz Czesława Ślęzaka cykl *Wołam Cię Jeruzalem* (1967). A także *Wesołe smutki* (1974) Tadeusza Kotarbińskiego i zbiór *Myśli nieuczestnych* (1997) Leca. Większość tych książek opatrzone informującymi o autorach wstępami lub posłowiami.

Wyróżniający rezonans osiągnęła twórczość Jerzego Ficowskiego, Zbigniewa Herberta, Czesława Miłosza i Wisławy Szymborskiej. Ich wydane po hebrajsku książki z pewnością nie obejmują wszystkich utworów przez wielu tłumaczy w różnych terminach umieszczanych w czasopismach literackich, zaś edycjom książek sekunduje recenzje i omówienia w prasie i radiu.

Ficowskiego *List do Marka Chagalla* (1968) przełożył Jakow Beser, natomiast Szalom Lindenbaum *Odczytanie popiołów* (1986) wydane z okazji przyznania poecie izraelskiej Nagrody Katzetnika przeznaczonej dla obcojęzycznego autora piszącego o Zagładzie. W kręgu tej, żydowskiej, tematyki pozostają wiersze Henryka Grynberga, którego wybór *Po zmartwychwstaniu* (1985) przetłumaczył Arie Brauner.

Herbert i Miłosz — podobnie jak Świrszczyńska, Twardowski i Zagajewski — znaleźli oddanego tłumacza w osobie Dawida Weinfelda. Najpierw w prasie publikuje on cyklicznie ich wiersze, które potem wydaje w osobnych książkach; Herberta jest ich dotąd cztery: *Pan Cogito i inne wiersze* (1984), *Raport z obłożonego miasta* (1990), wybór wierszy (1996) i *Elegia na odejście* (1998). Weinfeld jest także autorem przekładu *Apokryfów holenderskich* (1997) Herberta, któremu w roku 1991 przyznano bardzo prestiżową Nagrodę Jeruzolimy.

Tomy Miłosza *Gdzie słońce świeci i kędy zapada* (1981) i *Gwiazda piotun* (1989) są wyborami wierszy z różnych okresów twórczości poety. W pierwszym z nich znalazło się „Campo di Fiori” — wiersz napisany pod wrażeniem płonącego getta warszawskiego — który tłumaczyło aż pięciu tłumaczy. Ostatnio właśnie ukazał się nowy wybór wierszy tego poety — *Na brzegu rzeki* (1999). W literaturze hebrajskiej Miłosz to przede wszystkim poeta, niewielkie fragmenty jego eseistyki pozostają bowiem w rozproszeniu po czasopismach i z całą pewnością — i bardzo wielką szkodą — nie mogą świadczyć o olbrzymiej ważności tego pisarstwa. Czyli zaistniała tutaj sytuacja odwrotna niż w językach i krajach zachodnich, gdzie przekłada się (przełożono) dużo prozy Miłosza.

Przekłady pojedynczych utworów Szymborskiej od dawna już drukowali w prasie różni tłumacze, lecz to dopiero młody poeta Rafi Weichert rozpoczął systematyczne wprowadzanie twórczości polskiej poetki w krąg hebrajski; i to jeszcze przed Noblem. Podobnie jak Weinfeld swoje przekłady ogłasza on najpierw w periodykach, a potem składa w osobne wybory, które osiągnęły dużą poczytność: *Atlantis* (1993), *Koniec i początek* (1996) i *Schyłek wieku* (1998) — w sumie około sto utworów. Weichert tłumaczył też pojedyncze wiersze Lechonia, Tuwima, Lipskiej, Krynickiego, Wojaczka i duży blok wierszy Różewicza, których wybór książkowy przygotowuje do druku.

Weinfeld i Weichert tłumaczą w zupełnie odmiennym od poprzedników (i wielu współczesnych im tłumaczy) rejestrze językowym. Stają się współtwórcami tekstu, oddając jednocześnie oddźwięk myśli i ducha oryginału, nie odbarwiają go. Ich przekłady

funkcjonują w literackim obiegu współczesnej hebrajszczyzny, trafiają do czytelników nie mających nic wspólnego z Polską, a tylko i jedynie — współczesną poezją. Jest to recepcja żywa i entuzjastyczna, dostrzegalna „na żywo” na spotkaniach promocyjnych książek. Zaś dzięki stale i konsekwentnie dokonywanym i publikowanym przekładom tych właśnie poetów — Miłosza, Herberta, Różewicza, Szymborskiej, Zagajewskiego (obecnie ukazał się zbiór jego wierszy *Mistyka dla początkujących*, 1999), Lipskiej — uwaga Miłosza o p o l s k i e j s z k o l e w literaturze światowej może objąć również domenę hebrajską.

VII

Hebrajskie zainteresowania poezją polską — z niewielkimi zapewne wyjątkami — to właściwie zainteresowania samych tłumaczy, przypuszczalnie bez inspiracji wydawców. O doborze autorów i wyborze tłumaczonych utworów decyduje ich gust własny, ich osobiste rozeznanie, a potem — ich przedsiębiorczość torująca drogę publikacji.

Inaczej w prozie. Tutaj już pewną rolę odgrywają propozycje wydawców, kierujących się wieloraką atrakcyjnością dzieł mogących liczyć na poczytność. I poczytność osiągnęły w Izraelu powieści i nowele — w tym znaczna ilość utworów dla dzieci i młodzieży — wielu polskich pisarzy. Ich książki w większości także nie mijają bez recenzyjnego echa.

Dobrym wprowadzeniem w świat polskiej prozy beletrystycznej były w swoim czasie, wydane niemal jednocześnie w roku 1959, dwie antologie.

Pierwsza to *Miwchar ha-sippur ha-polani* (*Wybór opowiadań polskich*; tłumaczyli: Beniamin Tenenbaum-Tene i Szulamit Harewen) nosząca podtytuł *Sto lat prozy polskiej*, zawiera nowele i fragmenty powieści dwudziestu jeden pisarzy od Kraszewskiego po Hłaskę. Obok tekstów znanych już z innych edycji, przetłumaczonych dawniej, włączono tu również próbki pisarstwa autorów dotąd w języku hebrajskim nieobecnych, np. Marii Dąbrowskiej, Poli Gojawiczyńskiej, Juliusza Kaden-Bandrowskiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Kazimierza Tetmajera, Emila Zegadłowicza itd.

Na drugą antologię: *Ha-zaam we-ha-lew* (*Gniew i serce*; tłumaczyli: Cwi Arad i Tene) złożyły się opowiadania polskiego „czasu burzliwego”, „wiosny w październiku” 1956, autorstwa Jerzego Andrzejewskiego, Kazimierza Brandysa, Zofii Bystrzyckiej, Andrzeja Kijowskiego, Aleksandra Mańkowskiego, Tadeusza Różewicza, Marii Paczowskiej i Jerzego St. Stawińskiego.

Oba te wybory — jak każdy wybór sporne i w owym czasie przez licznych recenzentów rzeczywiście dyskutowane — poprzedzono wprowadzającymi wstępami i uzupełniono notami biograficznymi autorów.

Spośród dawnych beletrystów-klasyków: Orzeszkowa (*Meir Ezofowicz*, 1951), Kopnicka (*Olimpijczyk*, 1958) — prawdziwą popularność zdobył Sienkiewicz wznowieniami przekładu Lichtenbauma *W pustyni i w puszczy*, w roku 1970 jednocześnie dwoma nowymi przekładami tej powieści — Uri Orlewa (w jego właśnie tłumaczeniu powieść zradiofonizowano i w roku 1977 w 13 audycjach transmitowano w radiu), Szulamit Harewen i — jeszcze jednym Michaela Handelzalca w roku 1991; wznowieniami *Quo Vadis*, *Ogniem i mieczem*, *Potopu* i dopiero w Izraelu przetłumaczonym *Panem Wołodyjowskim* oraz zbiorem nowel.

Sienkiewicz po hebrajsku jest głównie autorem dla młodzieży i dla tej kategorii czytelników wydano (często w paru edycjach) również wiele książek Janusza Korczaka i Kornela Makuszyńskiego, Haliny Górskiej, Arkadego Fiedlera, Ferdynanda A. Ossendowskiego, Jana Brzechwy, Ludwika Jerzego Kerna, Igora Newerlego, Gustawa Morcinka, Haliny Rudnickiej, Władysława Umińskiego, Zofii Urbanowskiej i Stanisława Wygodzkiego.

VIII

Proza beletrystyczna w tłumaczeniach ogłoszonych w Izraelu osiągalna jest zarówno w oddzielnych wydaniach książkowych jako też — trwalsza dostępność jest tu już oczywiście problematyczna — poprzez publikacje w czasopismach i bardzo popularnych dodatkach literackich do dzienników. Przekładów tych jest bardzo dużo, a przewaga utworów współczesnych, powojennych, zrozumiała. Z tym jednak, że rozkład rytmu publikacyjnego w ciągu półwiecza okazał się wyraźnie nierównomierny. Żywe uprzednio zaciekawienie polską prozą jakby opada od końca lat osiemdziesiątych (może na korzyść poezji?), co łączy się z odczuwalnym kryzysem współczesnej polskiej prozy, jak i ze zmniejszeniem aktywności lub nawet odchodzeniem tłumaczy, krytyków, recenzentów, dziennikarzy literackich, czyli ludzi, od działalności których uzależniona jest recepcja.

Literaturę międzywojnia reprezentują:

Jarosław Iwaszkiewicz tomem obejmującym *Brzezinę i Panny z Wilka* (1983), Bruno Schulz również pod wspólną okładkę ujętymi *Sklepami cynamonowymi* i *Sanatorium pod klepsydrą* (1979, wyd. 2 1986) i Tadeusz Dołęga-Mostowicz *Kariery Nikodema Dyzmy* (1991). Iwaszkiewicza i Mostowicza przetłumaczył Yoram Bronowski, który jest również współtłumaczem — wraz z Uri Orlewelem i Rachelą Kleiman — Schulza;

literaturę powojenną:

Jerzy Andrzejewski (*Popiół i diament* 1949, *Ciemności kryją ziemię* 1962, *Idzie skacząc po górach* 1964, *Bramy rajy* 1974), Tadeusz Borowski trzema opowiadaniem z tomu *Pożegnanie z Marią* (1996), Kazimierz Brandys (*Matka Królów* wraz z *Obroną Grenady* 1963), Tadeusz Breza (*Uczta Baltazara* 1956), Witold Gombrowicz (*Pornografia* 1987), Henryk Grynberg (*Żydowska wojna* 1968), Marek Hłasko (*Ósmy dzień tygodnia* 1958), Tadeusz Konwicki (*Sennik współczesny* 1966, *Kompleks polski* 1985), Jan Kuczarb (*List do Wojtka* 1971), Hanna Krall (*Sublokator* 1989 oraz wybór opowiadań *Dowody na istnienie* 1999), Stanisław Lem (*Eden, Solaris, Kongres futurologów, Doskonała próżnia* — wszystkie w 1981, i *Dzienniki gwiazdowe* 1990), Sławomir Łubieński (*Ballada o Januszku* 1984), Zofia Romanowiczowa (*Przejście przez Morze Czerwone* 1995), Adolf Rudnicki (*Szekspir* 1949, *Żywe i martwe morze* wraz ze *Złotymi oknami* 1964), Julian Strykowski (*Sen Azrila* 1977 i *Austeria* 1979), Andrzej Szczypiorski (*Msza za miasto Arras* 1981, *Początek* 1991, *Amerykańska whisky* 1992), Bogdan Wojdowski (*Chleb rzucony umarłym* 1981).

Zakopane w rocznikach różnych czasopism pozostają opowiadania i fragmenty powieści — Józefa Hena, Sławomira Mrożka, Zofii Nałkowskiej, Jerzego Putramenta, Artura Sandauera, Piotra Szewca, Stanisława Vincenza, Jerzego Zawieyskiego — by wymienić tylko kilku spośród autorów, których utwory nie ukazały się w oddzielnej książce.

Eseistyka, memuarystyka, proza niefabularna to książki — Mieczysława Jasturna (*Mickiewicz* 1956), Ryszarda Kapuścińskiego (*Cesarz* 1989, *Upadek imperium* 1993), Hanny Krall (*Zdążyć przed Panem Bogiem* 1982), zbiór tekstów Leszka Kołakowskiego (1964), Jana Kotta (*Szkoła klasyków* 1954), Kazimierza Moczarskiego (*Rozmowy z katem* 1981), Hanny Mortkowicz-Olczakowej biografia Korczaka (1961), Tadeusza Pankiewicza (*Apteka w getcie krakowskim* 1985), Jana Parandowskiego parokrotnie wznawiana *Mitologia* (1952). Czasopisma drukowały artykuły m.in. Kotta, Ryszarda Matuszewskiego, Władysława Tatarkiewicza, Jerzego Pomianowskiego, Sandauera.

Osobnego oglądu domagają się przekłady polskojęzycznych pisarzy zamieszkałych (stałe lub czasowo) w Izraelu. Ich dostęp do tłumaczy, wydawców, redakcji czasopism jest ułatwiony — a przynajmniej bezpośredni — przez sam fakt przebywania na miejscu, a dążność do przekroczenia bariery językowej i zaistnienia w „oficjalnej” literaturze kraju z pewnością bardzo duża. Są wśród nich pisarze dwujęzyczni, którzy nie tyle tłumaczą, ile po prostu tworzą i polską i hebrajską wersję własnych tekstów — to przypadek

Natana Grossa, Józefa Baua, Haliny Birenbaum czy Irit Amiel. Inni, pomimo opanowania języka hebrajskiego w takim czy innym stopniu są zdani na tłumaczy.

Cała twórczość dwóch wybitnych współczesnych prozaików polskich — Idy Fink i Leo Lipskiego powstała w Izraelu, lecz po hebrajsku ukazały się jedynie książki Fink (*Skrawek czasu* 1975, *Podróż* 1993, *Notatki do życiorysów* 1995), nieliczne zaś teksty Lipskiego pozostają w rozproszeniu czasopiśmienniczym. Przełożono wybory opowiadań Herberta Friedmana (*W otchłani piekła* 1995) i Renaty Jabłońskiej (*Plac króla Alberta* 1993), powieść Miny Tomkiewicz *Bomby i myszy* (1956) oraz wspomnienia Marii i Mieczysława Mariańskich (Peled) *Wśród przyjaciół i wrogów. Poza gettem w okupowanym Krakowie* (1987). Cały szereg wspomnień, zwłaszcza okupacyjnych, ukazało się niegdyś w przekładzie hebrajskim dokonany z niepublikowanego w języku oryginału rękopisu. Wybory wierszy Łucji Glikzman (1993) i Soni Mandel-Joffe (1994) ukazały się w edycji dwujęzycznej, tekstowi oryginału polskiego towarzyszy tłumaczenie na hebrajski.

Natomiast zbiory opowiadań Władysława Bąka (*Pies, król i człowiek* 1972), Anieli Jasińskiej (cztery wybory wydane w latach 1976–1987), Kalmana Segala (*Śmierć antykwariusza* 1972), Stanisława Wygodzkiego (*W ukryciu* 1970) podobnie jak powieść *Zatrzymany do wyjaśnienia* (1968) napisane zostały (w całości lub częściowo) jeszcze przed przybyciem autorów do Izraela.

Rezygnując z atrybucji nazwisk tłumaczy przy poszczególnych książkach polskiej prozy wymienić można zbiorczo niektórych spośród tych, których nazwisk dotąd nie było okazji podać — w przybliżonej kolejności pokoleniowej: Percec Nof, Dawid Lazer, Mordechaj Chalamisz, Józef Chrust, Teodor Hatalgi, Miriam Akavia, Icchak Komen, Ruth Szenfeld, Ada Pagis, Irit Amiel...

Trzeba też jeszcze wspomnieć o promieniowaniu polskiej dramaturgii współczesnej. Teatry hebrajskie wystawiały sztuki: Tadeusza Różewicza *Kartotekę*, Sławomira Mrożka *Tango*, *Policjantów*, *Emigrantów*, *Szczęśliwe wydarzenie* (a *Wacława* opublikowało pismo teatralne „Bama” w 1987 r.), Janusza Krasińskiego *Czapę*, Witolda Gombrowicza *Iwonę księżniczkę Burgunda*. Dla radia izraelskiego zradiofonizowano (Jasińska wg przekładu Weinfeldta) powieść Strykowskiego *Przybysz z Narbony*, transmitowano też wielokrotnie — i wyświetlano w telewizji — dramaturgię Michała Toneckiego.

IX

Jeśliby należało ująć lapidarnie rezultaty tego procesu translatorskiego — procesu długiego, o zmiennych akcentach zainteresowań i natężeniu publikacyjnym — określenie: różnorodność i bogactwo wydaje się przypuszczalnie najwłaściwsze.

Przekłady z polskiego pojawiają się na gruncie dobrze przygotowanym do ich recepcji. Dzieje się to dzięki komentarzowi historycznoliterackiemu, interpretacji krytycznej i informacji biograficznej, jaką dostarczają liczne publikacje piśmiennictwo polskie i poszczególnych jego twórców zbliżając hebrajskiej publiczności literackiej.

Literatura polska w hebrajszczyźnie traktowana jest na pełnych prawach literatury żywej, komunikatywnej, wzbogacającej artystycznie i intelektualnie, w odniesieniu do której nie stosuje się usprawiedliwiającej jej przekazywanie „taryfy ulgowej”. Świadczą o tym recenzje i omówienia dzieł polskich nie tłumaczonych na język hebrajski czy analizowanie twórczości pisarzy swoimi utworami w języku hebrajskim nieobecnych (np. Norwida, Witkacego, Boya-Zeleńskiego, i innych). Świadczy też duża ilość not biograficznych o polskich autorach w hebrajskich encyklopediach i leksykonach literackich, włączanie np. twórczości Mickiewicza i Słowackiego do podręczników traktujących o dziejach literatury powszechnej; świadczą szkice syntetyczne o poszczególnych epokach czy rodzajach polskiej literatury, np. o literaturze staropolskiej, współczesnej poezji i prozie, o polskiej powieści i polskim teatrze. To także po hebrajsku napisano (Ruth

Szenfeld) jedyną dotąd monografię pisarstwa Adolfa Rudnickiego (1991) wyprzedzając znacznie polską naukę o literaturze.

Znakiem zaś żywotnej, bo odnawianej recepcji staje się ponowne podejmowanie przekładów utworów w przeszłości już po hebrajsku opublikowanych, adoptowanie ich od nowa do wciąż uwspółcześniającego się języka. Dwa odmienne tłumaczenia *Anhellego* i *Konrada Wallenroda*, cztery *W pustyni i w puszczy*, wielokrotne powroty do niektórych wierszy Mickiewicza („Alpuhary”, „Farysa”), Tuwima, Miłosza, Szymborskiej — świadczą o wymiarze zjawiska, które przecież może zostać wsparte dodatkową egzemplifikacją.

Może nawet zamyka się jakiś krąg. Oto styczniowy (1999) numer centralnego miesięcznika literatury hebrajskiej „Moznaim” został na okładce uzupełniony podtytułem: „Zeszyt polski: 200-tna rocznica urodzin Adama Mickiewicza”. Ma to — sądzę — wymowę symboliczną, zamyka się bowiem w domenie hebrajskiej krąg Mickiewiczowski sto sześćdziesiąt lat temu rozpoczęty przekładami Klaczki wierszy Arcypoety.

W DRODZE I PO DRODZE — POLSKIE KORZENIE HEBRAJSKIEGO KABARETU

Natan GROSS (Izrael)

Przedemną program palestyńskiego teatru rewiewego „Li-la-lo” z września 1945 r. pt. „Nasz kraj maleńki” („Arcejnu háktantonet”) — 13 numerów wokalnych, tanecznych, duetów, skeczów, humor i satyra według najlepszych wzorów europejskich. Zaczyna się jak zwykle uwerturą: S. Petersburski i Sz. Ferszko, poczym kurtyna idzie w górę dając pole do popisu całemu zespołowi w inscenizowanej piosence tytułowej „Nasz kraj maleńki”. Jest to jedna z najpopularniejszych piosenek owej epoki, śpiewana i wykonywana do dziś: melodia — Henryk Gold, słowa — Szmuel Fiszer. Scenariusz do tego numeru wokально-tanecznego z dialogowymi powiązaniem napisał Natan Alterman, a opracował muzycznie wspomniany Szmuel Ferszko.

Wszyscy wyżej wymienieni — i większa część wykonawców — przybyli do Palestyny częściowo przed wojną, drogą legalną lub nielegalną, częściowo z Armią Andersa po wędrownie z Warszawy przez Białystok, Lwów, Kijów, Moskwę — po Sybir i z powrotem przez Taszkient, Teheran, Liban do Jerozolimy i Tel-Awiwu, szlak polskich żołnierzy, którym zawsze towarzyszył jakiś zespół artystyczny. Niektórzy zaczęli się po drodze o teatrzyk „Li-la-lo”, a może i o „Habime” i pociągnęli dalej z Armią do Włoch, pod Monte Cassino, do Londynu; inni zatrzymali się dłużej, zainstalowali w Ziemi Obiecanej aby wyjechać po wojnie do Ameryki; jeszcze inni zapuścili głębokie korzenie i rozwinęli się twórczo jako czołowi artyści Izraela.

Przez sceniczne deski teatrzyku „Li-la-lo”, który zaczął działać w styczniu 1945 r. przewinęło się ok. 40 autorów, muzyków, kompozytorów, śpiewaków, śpiewaczek, reżyserów i konferansjerów z Polski. Przyjrzyjmy się bliżej w kolejności jaką sugerują programy „Li-la-lo”, wymienione w pamiętnikach założyciela i dynamicznego dyrektora tej tel-awiwskiej rewii Mosze Walina, które ukazały się w 20 lat po jego śmierci pt. *Dni piasku i gwiazd**.

* M. Walin, *Dni piasku i gwiazd — hebrajski impresario w naszym maleńkim kraju*. Tel-Awiw 1998.

Więc — Henryk Gold i Stanisław Petersburski — asy przedwojennej polskiej muzyki jazzowej, autorzy i wykonawcy dziesiątek popularnych szlagierów, przebojów tanecznych utrwalonych na setkach płyt gramofonowych, rozpowszechnianych przez radio, filmy, przez scenki rewiowe na całą Polskę — a nieraz i poza jej granice.

Henryk Gold (1902–1977) pochodził z klezmerskiego domu Melodystów, od strony matki. Ojciec — Michał Gold, pierwszy flecista Opery Warszawskiej, zmarł podczas przedstawienia opery „Carmen” przy pulpicie. Jego syn Henryk miał wtedy 2 lata. Ale tradycja — to tradycja, a talent muzyczny jest dziedziczny, więc gdy nadszedł czas Henryk otrzymał wykształcenie muzyczne w Konserwatorium Warszawskim pod okiem samego Stanisława Bacewicza i już jako siedemnastoletni młodzieniec gra na skrzypcach w orkiestrze Filharmonii Warszawskiej. Z czasem zakłada własny zespół, z którym występuje w „Ziemiańskiej”, w „Adrii” — często słycać go w radio. Oddaje się tzw. muzyce lekkiej. Komponuje fokstroty, tanga i walce, przeboje, które idą w kraj... „Gdy zakwitną znów jaśminy”, „Nie odchodź ode mnie”, „Szkoda Twoich łez dziewczyno” — to klasyka tego rodzaju twórczości.

Partnerem Golda był Stanisław Petersburski (1897–1979) znakomity pianista, absolwent konserwatoriów Warszawy i Wiednia. Jego starszy brat Jerzy autor wielkiej ilości „przebojów” począwszy od „Tanga Milonga”, które zdobyło światową sławę, aż po „Ostatnią niedzielę” — miał swoją własną orkiestrę. Do dziś wykonywane są nostalgicznie jego szlagiery „Ja się boję sama spać”, „Już nigdy”, „Odrobinę szczęścia w miłości”. Pisał muzykę do filmów „Robert i Bertrand”, „Szczęśliwa trzynastka”, „Królowa przedmieścia” i innych.

Wybuch drugiej wojny światowej rozproszył brać literacką i artystyczną po świecie. Kto nie miał szczęścia — został na Nowym Świecie albo w getcie. Kto miał trochę więcej szczęścia ratował się ucieczką na Wschód, za Bug; a kto miał jeszcze więcej szczęścia (?) przekroczył granicę rumuńską kierując swe drogi na Zachód. Wszystkich czekała długa, żmudna wędrówka i ciężkie losy. Każdy uciekinier z piekła hitlerowskiego to epepeja. A kto został — to tragedia.

Gold i Jerzy Petersburski zdobyli z początku w Rosji ogromną popularność i stworzyli wielką orkiestrę jazzowo-symfoniczną (na jednym z koncertów pod gołym niebem obecnych było 35 tysięcy słuchaczy!). Ale ta sielanka szybko się skończyła i bracia Petersburscy z Goldem i Fredem Melodystą (znakomitym czelistą i jazzbandzistą) „uszli cało” z armią generała Andersa. A po drodze do leniwie zbliżającego się końca wojny wylądowali w Palestynie. Tu zaczepili się o jakiś teatr lub wzbogacili miejscowe życie muzyczne. Między innymi zaprosił ich M. Walin do współpracy ze swoim teatrykiem „Li-la-lo” — tak więc nazwiska Golda i S. Petersburskiego figurują w jego programach.

Mosze Walin pisząc o zestawianiu swoich zespołów scenicznych wspomina m.in.: „Do moich kompozytorów dołączyłem Mosze Wileńskiego i kompozytora żydowskiego z Polski H. Warsa”. Henryk Wars (Warszawski — 1902–1977), kompozytor bardzo wielu filmów przedwojennych (m.in.: „Jaśnie Pan Szofer”, „Manewry miłosne”, „Sportowiec mimo woli” etc.) oraz licznych szlagierów („On nie powróci już”, „Umówiłem się z nią na dziewiątą”, „Miłość ci wszystko wybaczy”, „Zimny drań”) był kierownikiem muzycznym znanej wytwórni płyt Syrena-Electro w Warszawie. Z początkiem drugiej wojny światowej znalazł się jak wielu innych muzyków w Związku Radzieckim, gdzie uprawiał jazz... Ale ta działalność muzyczna „pachniała zgniłym Zachodem” więc i Wars uszedł cało, gdy się tylko dało z generałem Andersem, który mianował go dyrektorem Teatru Polskich Sił Zbrojnych na Bliskim Wschodzie i we Włoszech. Czy istotnie współpracował z Walinem w „Li-la-lo” — trudno mi ustalić, bo sam autor pamiętnika nie wspomina go więcej.

Ale w „Li-la-lo” króluje Szmuel Ferszko, pianista i akompaniator pochodzący z Łucka. W Polsce był Stanisławem i zwracano się do niego per Staszek. Ojciec jego Michał Ferszko uczeń prof. Michałowskiego był znanym pianistą chopinistą, ale przerzucił się na jazz, grywał w nocnych lokalach, komponował szlagiery. Jego *slow-fox* „Dla Ciebie” pod słowa Zenona Wardana (Frajwalda) zrobił karierę... Michał Ferszko zginął w Soza, jego brat Chaim — też kompozytor pianista wyemigrował do Ameryki, gdzie akompaniował swej żonie śpiewaczce Sarze Ferszko. Jako solista wykonywał brawurowo utwory Rachmaninowa, Chopina, Beethovena — i często wracał do muzyki żydowskiej. Z całej tej rodziny muzycznej tylko Staszek-Szmuel Ferszko wyemigrował w latach 30. do Palestyny ale wcześniej znany był w Warszawie, gdzie występował w nocnych lokalach „EF-EF” czy „Krzywa latarnia”, pisał muzykę do operetek i piosenek jazzowych. W Palestynie brał czynny udział w teatrzykach satyryczno-rozrywkowych, w szczególności w okresie „Palmachu” — konspiracyjnej organizacji bojowej i walk wyzwoleńczych jiszuwu pisząc muzykę do tekstów Chaima Hefera jak „Bab-el-wad”, „Heja jeep”, „Moti, Moti”, które zdobyły wielką popularność — śpiewał je cały kraj. W teatrzyku „Li-la-lo” był kierownikiem muzycznym „Kol Israel” (radia) — poczym wyemigrował do Ameryki.

O ile Ferszko był znany już w Polsce — i odnotowany w encyklopediach muzycznych, o tyle Mosze Wileński (1910–1986) absolwent warszawskiego konserwatorium, który w 1936 r. przybył do Izraela jako Maks, rozwinął swój talent w Tel-Awiwie i stał się jednym z najpłodniejszych i najulubieńszych kompozytorów muzyki lekkiej Izraela. W omawianym programie „Li-la-lo” figuruje Wileński jako kompozytor piosenki Altermana „Kalanijot” — czerwone anemony. Piosenka tam ma swoją niecodzienną historię, którą przytacza Walin w swoich wspomnieniach:

Na kilka dni przed premierą, wciąż jeszcze nie mieliśmy głównego przeboju dla Szoszany Damari (jemeńskiej śpiewaczki, która stała u progu wielkiej kariery) — w jej gwiazdę, zresztą tylko ja wierzyłem. Naciskałem na Altermana błagając by mnie nie rozczarował — i wtedy przypomniał sobie o napisanej kiedyś romantycznej piosence „Kalanijot” (anemony są w Izraelu bardzo popularnym kwiatem wiosennym). Gdy tylko wspomniał ten piękny czerwony kwiatek — zapaliła się czerwona lampka w mojej głowie: dzieci nazywały brytyjskich spadochroniarzy (którzy wykonywali w tym czasie służbę policyjną, polegającą na tropieniu żydowskich konspirantów) „kalanijot”, z powodu ich czerwonych beretów. Nie powiedziałem o tym Altermanowi odbierając od niego tekst piosenki, ani kompozytorowi, któremu powierzyłem napisanie melodii. Był nim Maks — Mosze Wileński młody muzyk z Polski, wstydliwy milczek, którego poznałem pewnego wieczora w tel-awiwskiej kawiarni „Café Noga”, gdzie zarabiał na życie jako pianista i kierownik małej orkiestry tanecznej. Od czasu do czasu dorobił sobie parę funtów pisząc muzykę do piosenek satyrycznych kabaretu „Matate”.

Wileński pracował wtedy nad inną piosenką — „Gamliel” — i nie było mu na rękę przerzucić się na nowy tekst ale premiera była tuż-tuż więc przyrzekł, że zrobi co może by Szoszana mogła nauczyć się na czas nowej piosenki. Nazajutrz przyniósł mi Wileński swoje „Kalanijot”.

Aleksander Granowski (Lwowiak, jeden z filarów „Li-la-lo”), który był obecny na pierwszej próbie powiedział, że o ile go pamięć nie myli, on zna tę melodię z Polski... Ale mnie się spodobała i było mi obojętne skąd Maks czerpał natchnienie... I wtedy zaczęły się kłopoty z Szoszaną Damari. Powiedziała, że nie będzie śpiewać tej piosenki bo ani słowa ani muzyka nic jej nie mówią. Musiałem narzucić jej swą wolę jako dyrektor teatru. Podczas generalnej próby zaproszona publiczność przyjęła piosenkę oziębłe. Nikt nawet nie klasnął. Szoszana przysięgła, że nie będzie tego śpiewała — ale do premiery nic innego się nie znalazło.

Na premierze w czasie pauzy, wstąpiłem do jej garderoby i z ciężkim sercem szepnąłem, że trzeba się ubrać i za parę minut wystąpić na scenie z piosenką „Kalanijot”. — Bardzo mi przykro! Nie wchodzi w rachubę! Ta piosenka nie brzmi dobrze — zaopinio-

wała i utkwiła we mnie przenikliwy wzrok. Z konieczności podniosłem głos i po prostu rozkazałem jej śpiewać! I patrzcie państwo! Snobistyczna publika tel-awiwska, obecna na sali szalała wprost z entuzjazmu! Gdy się piosenka skończyła trzęsły się ściany sali od rześzystych oklasków. Wywoływano Szoszane cztery razy żądając bisu — zmusili ją do powtórzenia piosenki o anemonach...

Począwszy od tej premiery stał się Alterman głównym dostawcą tekstów piosenek dla rewii „Li-la-lo” a Mosze Wileński naczelnym jej kompozytorem. „Kalanijot” została wiecznym szlagierem Szoszany — śpiewanym do dziś przy każdej koncertowej sposobności. Nota bene ten numer nie przeszedł bez interwencji cenzury: pewnego wieczora teatr „Li-la-lo” otoczony został kordonem żandarmerii angielskiej a jego dyrektor przewieziony tankiem do więzienia w Ramle jako terrorysta, konspirujący przeciw rządowi mandatorskiemu... Skończyło się oczywiście na przeprosinach — ale ten epizod przysporzył popularności i piosence i teatrowi Li-la-lo”.

Natan Alterman (1910–1967), który jako 16 letni chłopiec przybył w 1936 r. do kraju z rodzicami z Warszawy już w 1939 r. wydał swój pierwszy, dojrzały tomik wierszy *Gwiazdy na dworze (Kochawim báhuc)*. Wkrótce rozwinął swój wszechstronny talent, który w swej różnorodności i płodności porównać można z Julianem Tuwimem: z jednej strony nowoczesna poetycka twórczość liryczna, a z drugiej — muza lekka, kabaretowa, satyryczna i piosenkarska, potem przyszła twórczość translatorska z kilku języków, epiczna, dziennikarska — stały dział w „Dawarze” — „Siódma kolumna” (Ha’tur ha’szewii) — wybitny poeta „zaangażowany” — sumienie jiszuwu na którego piątkowe słowo czekał dosłownie cały kraj... A także na jego nowy skecz, nową piosenkę w „Li-la-lo” w wykonaniu jemenitki Szoszany Damari albo naczelnego pieśniarza Matatiahu Rozina też rodem z Polski (który w bardzo młodym wieku umarł na atak serca na gościnnych występach w USA).

Czas zapoznać się z dyrektorem „Li-la-lo” — Mosze Walinem fenomenem swego rodzaju: impresario, odkrywca talentów, komisja repertuarowa w jednej osobie, producent, dyrektor, rzecznik teatru i szef reklamy — z aktorską przeszłością. Urodził się w Święcianach koło Wilna w 1906 r. jako najstarszy syn znanego rabina Cwi Hirsza Walina. Po nim przyszło na świat w rodzinie jeszcze sześćcioro dzieci. Gdy skończył 5 lat zaczął uczęszczać do „chederu”, a gdy ukończył dziewięć — posłali go rodzice do jeshywy — wszyscy widzieli w nim następcę rabina — tylko nie on sam. Pociągał go inny świat, którego nie znał ale przeczuwał i szukał go instynktownie. Wojna przewalająca się przez Święciany przyniosła przemiany wraz z wojskami rosyjskimi, niemieckimi, polskimi i siłą tych przemian musiał Mosze iść do szkoły świeckiej, ścigać pejsy i uczyć się niemieckiego, rosyjskiego, polskiego... Gdy w 1924 r. zorganizował się w Europie Wschodniej ruch chalurowy przyłączył się Mosze do entuzjastów syjonistycznych, a w dwa lata później jako aktywista „He’chalucu” opuścił dom i wyjechał do Palestyny nie pożegnawszy się z ojcem... Tu przystąpił do kibucu w Petach Tikwie — choć był słaby fizycznie i nie nadawał się do ciężkiej pracy w polu czy w pardesie. Toteż gdy nadarzyła mu się okazja — przeczytał ogłoszenie o poszukiwaniu kandydatów do studia aktorskiego — zaczął się o powstający Teatr Erec Israel — „Tai” i pod kierunkiem wytrawnego aktora i reżysera Menachema Gnesina zaczął stawiać pierwsze kroki na scenie zdobywając dobre krytyki w prasie. Tu poznał młodą 16-letnią jemenitkę o dźwięcznym głosie Brachę Cfire — i postanowił zrobić z niej gwiazdę. To było jego pierwsze odkrycie i pierwsza próba impresaria... Po dłuższych przygotowaniach, posłał ją do Berlina, do szkoły Reinhardta — a gdy już była wielką gwiazdą, puściła go kantem. Taki był początek jego kariery jako impresaria — przede wszystkim jemeńskich pieśniarek.

Z czasem zaczął realizować swoje stare marzenie o stworzeniu teatru rewiowego. A choć był już przedtem teatryk satyryczny „Kum kum” (w którym grywał) a potem „Matate” — Walin chciał „coś innego” — i założył „Li-la-lo” (Sobie-tobie-jej). Przedtem

jednak zdążył wejść na rynek rozrywkowy, organizując poranki prasowe i artystyczne, urządzając konkursy młodych talentów, sprowadzając z zagranicy rozmaite sławy — prestidigitatorów, hipnotyzerów etc. Zbierał efektowne dziewczęta i utalentowanych młodzieńców — w śpiewie, tańcu, muzyce, grze aktorskiej, przygotowywał ich do występów i wystawiał lekkie rewiowe przedstawienia w telawiwskim ogródku „San Remo”, aż nabrał rozpędu i ważył się na coś poważniejszego.

Działo się to w Palestynie lat czterdziestych, lat drugiej wojny światowej z jej niesamowitymi, pełnymi grozy okrucieństwami. Żydowska młodzież włączyła się w walkę z Hitlerem jak gdyby nie było wrogiego brytyjskiego reżimu mandatorskiego, a z drugiej strony walczyła przeciw „Białej Księdze” jakby nie było Hitlera. Szowinizm narodowy świętował: „Kupuj wyroby krajowe!” — wzywały afisze na ulicach. Kampania obrońców języka zwalczała aktorów jidyszowych nie licząc się z tym, że są to ocalańcy, uciekinierzy, „olim chadaszim”, którzy jeszcze nie nauczyli się języka hebrajskiego. Wielbiciele hebrajskiego łamali krzesła w salach gdzie występowali jidiszyści, krzycząc „wstyd!” i rzucali na scenę zgniłe pomidory i śmierdzące jajka, póki nie wygnali aktorów ze sceny. W tych warunkach puszczał się Walin na wielką awanturę:

Brakło mi pieniędzy, zawodowych aktorów, pisarzy z poczuciem humoru, piosenkarzy, intymnej sali na tego rodzaju teatr... Jedynym pomocnym czynnikiem w urzeczywistnieniu mojej wizji był mój wrodzony optymizm, silna wola i wiara nie znająca kompromisów, którą odziedziczyłem po ojcu...

Nadarzył mu się wspólnik, jakiś handlarz złotem, brylanciarz, zwariowany na punkcie kabaretu warszawskiego „Qui Pro Quo” — i Walin przystąpił do zestawienia zespołu.

Zacząłem od reżysera. Wybór mój padł na młodego reżysera z Polski (przybyłego z Andersem) Zenona Wardana, którego poznałem na spotkaniu towarzyskim u przyjaciół. To był „lekki problem”. Największy stanowiło zdobycie odpowiedniego lokalu. Oglądałem dziesiątki sal — nie znalazłem ani jednej nadającej się na mój cel, intymnej, sali przez którą mogłyby się przewinać w ciągu miesiąca setki widzów, widzieć i słyszeć dobrze co się dzieje na scenie i mieć uczucie że otrzymali równowartość za swoje pieniądze.

W końcu, z braku wyboru, wynajął lokalik o podejrzanej reputacji, zapuszczony i brudny, który gościł często ludzi z półświatka. Odremontował, powiesił na świeżo pomalowanych ścianach maski i obrazki, ustawił 300 nowych krzeseł, zbudował scenę na której mogło stanąć rzędem piętnastu aktorów, zainstalował odpowiednią sieć elektryczną, postawił dwa fortepiany — i sala „Jasza Chefec” gotowa była na przyjęcie publiczności.

Teraz trzeba było „tylko” znaleźć odpowiednich aktorów. Tych, być może, nie brakło na rynku wśród napływających „nowych olim” — imigrantów — ale kto z nich znał hebrajski?

Z paru śpiewaków, śpiewaczek, tancerzy, muzykantów, muzyków wysokiej klasy z doświadczeniem scenicznym z Polski, Rumunii i innych państw wybrałem na razie Irenę Różyńską, Helenę Kitajewicz, Minę Bern, Aleksandra Gronowskiego, Mordechaja Hilsberga, Aleksandra Jahalomiego i kilku innych — ale nie znalazłem „diwy”, śpiewaczki, którą publiczność przyjąłaby oklaskami nim jeszcze otworzyła usta.

Aż natknął się przypadkiem na Żeni Łowicz, która w jidysz czarowała publiczność kawiarnianą... Jak inni nie znała jeszcze języka hebrajskiego. Jaakow Orland, poeta z Ukrainy — jeden z głównych tekściarzy Walina, wspomina Żenię jako Polkę z „seksapilem” typu Marleny Dieterich. Ale na jego informacji nie można polegać. Żenia Łowicz pochodziła z Czerniowic. Za to Mina Bern, „blondynka podobna do hollywoodzkiej Betty Hutton w swoim żywiołowym temperamentcie” przybyła z Polski — z teatru żydowskiego.

Większość aktorów i śpiewaków, którzy przybyli z Polski uczyła się u mnie pilnie i chętnie hebrajskiego — chcieli zdobyć sobie serca tutejszej publiczności. Póki opanowali jako-tako język, uczyli się na pamięć tekstów, które zapisywali w zeszytach łacińskimi literami. Chociaż nie rozumieli słów recytowali teksty wyraziście dzięki dobrej dykcji, którą przywieźli ze swojego kraju.

W szczególności wyróżniała się nie-Żydówka, zawodowa aktorka i śpiewaczka Irena Różyńska. Inna śpiewaczka, odznaczająca się pięknymi nogami, miłym głosem i czarującą twarzą, która przybyła sześć miesięcy wcześniej od innych już zdążyła nauczyć się hebrajskiego ze słuchu i od kolegów z Opery Palestyńskiej, w której wystąpiła: Helena Kitajewicz.

(Był to przelotny ptak — w końcu wylądowała Lola w Londynie, gdzie jeszcze długo — aż do swej przedwczesnej śmierci — czarowała emigrację polską.)

Jedynym, który przed pierwszą premierą nowego teatru zdążył jako-tako opanować hebrajski był świetny piosenkarz i aktor, Lwowiak, Aleksander Gronowski, który zwolnił się z Wojska Polskiego.

Na moje szczęście miał Gronowski, jak zresztą i inni członkowie zespołu nadzwyczajny talent do nauki języków obcych. Mimo że nie znał dość hebrajskiego rozumiała publiczność każdy jego dowcip i każde humorystyczne powiedzonko, jakie wyszło z jego ust. Nikt nie poczuł że to „nowy imigrant”.

Reżyser Zenon Wardan (z zawodu inżynier), nie miał doświadczenia w reżyserowaniu przedstawień rewiowych. Całe swoje doświadczenie zdobył na scenkach wojskowych, przedstawianych dla polskich żołnierzy. Dokoptowałem mu doświadczonego aktora Michała Gora, jako doradcę i eksperta w dziedzinie satyry izraelskiej i dałem mu do dyspozycji galicyjskiego aktora, śpiewaka, obrotowego tłumacza z hebrajskiego na polski i z polskiego na hebrajski Szmuela Fiszera.

Michael Gor (1898–1969) rodem z Lidy, z rodziny wileńskiego Gaona — rabi Elijahu — znał hebrajski z domu a aktorską praktykę odrobił w Moskwie w Habimie, z którą przybył do Palestyny w 1927 r. Po wojnie — jeden z filarów Teatru Kameralnego w Tel-Awiiwie.

Wanda Wardan — żona reżysera, była konferansjerem. Nie znała hebrajskiego i uczyła się pilnie swej roli na pamięć. Gdy zdarzył się jakiś „Cwiszenruf” wśród publiczności odpowiadała głośno, ze śmiechem, wskazując palcem na intruza — „Nie rozumie! Proszę państwa, on nie rozumie!...” — i kontynuowała swój tekst wyuczony na pamięć...

Konferansjer, który nie zna języka? Oto co pisze na ten temat Antoni Słonimski w swoim *Alfabecie wspomnień* o warszawskim debiucie Fryderyka Járosy’ego (cytuję za felietonem Anny Mieszkowskiej z katalogu wystawy „Zawsze ten sam... Fryderyk Járosy” — Warszawa 2000):

Był to pierwszy teatr rosyjski, który przybył do Warszawy po odzyskaniu niepodległości [„Niebieski Ptak” — N.G.] i zrozumiałą jest rzeczą, że język rosyjski zwłaszcza w konferansjerce, był problemem drażliwym. Zaproponowano mi napisanie i wygłoszenie słowa wprowadzającego oraz opracowanie tekstów polskich Járosy’ego. Nie wiele było czasu. Całą noc przy kawie i koniaku spędziłem w pokoju hotelu „Bristol” ucząc Járosy’ego. Bestia była tak zdolna, że nad ranem mówił już za dobrze. Pozostawał jeszcze problem widowni. Co odpowiedzieć gdy się ktoś z sali zwróci z jakąś uwagą? Járosy umiał już swój tekst ale nie rozumiał po polsku. Zaproponowałem mu zwrot uniwersalny: „Motorniczemu zabrania się surowo rozmawiać z pasażerami”. Udało się, bo w dzień premiery istotnie ktoś odezwał się z widowni i gdy Járosy wygłosił czysto warszawsko-tramwajową sentencję, dostał rześiste brawa, które przez długie lata towarzyszyły występom tego ulubieńca warszawskiej publiczności.

Materiał, którym dysponował reżyser — opowiada Walin — był częściowo oryginalny, a częściowo tłumaczony względnie opracowany. Poeta Abraham Szłoński napisał specjalną piosenkę „Noc na Gilboa”, Natan Alterman tekst satyrycznej tyrady o dyplomacji „Fryzjera w fryzjerni” dodatkowo do hymnu teatru „Li-la-lo”, który ułożył specjalnie. Były też w programie „przekłady tekstów poety polskiego Juliana Tuwima i przekłady z repertuaru moich aktorów, który wykonywali w Warszawie. Przy dwóch fortepianach akompaniujących śpiewakom siedzieli we frakach S. Petersburski i prof. A. Pilcer — nowość w przedstawieniach tego rodzaju w Palestynie.

W październiku 1944 odbyły się już ostatnie próby przed premierą — a jeszcze nie było nazwy teatru. Walin nosił się z myślą nadania mu imienia „Lo-la-li” (niby „moja Lola”) na cześć czarującej Loli Kitajewicz ale Alterman poradził mu przekreślić na „Li-la-lo” — co przypominało warszawskie „Qui Pro Quo”. I tak już zostało.

Wszystko tu zresztą przypominało „Qui Pro Quo” i warszawskie rewie — nawet tytuł pierwszego spektaklu: „Cyrułik tel-awiwski”... Premiera odbyła się 14 listopada 1944 r. i „Li-la-lo” ruszył w drogę, dobierając sobie po drodze coraz to nowych aktorów z Polski. Program szedł za programem i zmieniał się co 2–3 miesiące bez względu na to, że sala była ciągle pełna na dwóch przedstawieniach dziennie. „Śmiech na sali”, „Uwaga — świeżo malowane”, „Tak stoi w leksykonie”, „Ogólna wyprzedaż”, „Proszę siadać”, „Coś z tego i coś z tamtego”... Czasem do grupy autorów dołączył Henryk Ritterman z Krakowa, późniejszy redaktor „Nowin Izraelskich” i „Przeglądu”, muzykolog i satyryk m.in. autor wspomnień *Nie od razu Kraków zapomniano*. Ale bezcennym talentem okazał się zaprotegowany przez Altermana skromny „Palmachnik” polskiego pochodzenia — Chaim Feiner — chłopak ze Sosnowca, który zhebrajszczył swoje nazwisko na Chaim Hefer. Przybył do kraju mając 10 lat w 1936 r. Jest on autorem najpopularniejszych piosenek „Palmachu”, śpiewanych po dzień dzisiejszy — zresztą jest do dziś wziętym felietonistą i satyrykiem.

Już w czwartym programie — wspomnianym na początku — „Nasz kraj maleńki” zmienił się konferansjer i panią Wandę Wardan zastąpił Aleksander Jahalomi. Wspomina Walin:

W noc chamsinową, latem 1945 zwrócił mą uwagę szczupły, sympatyczny młodzieniec nowy imigrant z Wojska Polskiego. Na estradzie kawiarni „Panorama” w Hajfie na Karmelu śpiewał piosenki, akompaniując sobie na fortepianie i zabawiając publikę dowcipami, którymi sypał jak z rękawa. Nazywał się Abrasza Sznajder. Po występie zaprosiłem go na kolację do hajfskiej restauracji, gdzie spotykała się miejscowa bohema. Po kolacji, obficie zakropionej winem opowiedział mi Sznajder, na moją prośbę o sobie. Zrobił to w stylu satyryczno-humorystycznym, który mi przypadł do gustu. W rodzinnym Wilnie, jako młody chłopiec stał się pod wpływem dziadka — syjonistą. Uczęszczał do hebrajskiego gimnazjum „Tarbut” i był dobrym uczniem. W 17-tym roku życia zdał maturę i postanowił studiować prawo na Uniwersytecie Wileńskim. Miał zamiar być sędzią, a może pierwszym Ministrem Sprawiedliwości w żydowskim państwie — gdy powstanie. Na uniwersytecie dołączył do koła dramatycznego „Picolo”, gdzie wkrótce wybił się, dzięki wykształceniu muzycznemu, które otrzymał w domu. Ale wojna pokrzyżowała wszystkie plany. Po wielu przygodach w Rosji został zmobilizowany do Wojska Polskiego i tak przewędrował przez Rosję i Persję do Erec Israel — Ziemi, o której marzył za młodu. „Gdy noga moja stanęła na Ziemi Świętej zrzuciłem mundur nie prosząc o pozwolenie, wdziałem białą koszulę i krótkie spodniaki khaki, na głowę nałożyłem czapkę zwaną tutaj «tembel» i znalazłem się w kibucu Kfar Menachem. Tam zapoznałem się z łopatą i «programem dnia roboczego». Gdy wracałem pod wieczór z roboty, zmęczony i rozbity, w dzień gorący a suchy, z bąblami na obolałych dłoniach nie miałem siły by wziąć udział w chóralnych śpiewach w sali jadalnej kibucu. Tu zmieniłem swą osobowość na palestyńską i nazwisko na «Abram Krawiec» (Chajat) — a raczej na Abram Fastrygant — bo miałem dziury w kieszeniach. I zostałbym zapewne kibucnikiem, gdyby nie koledzy wilnianie, którzy za-

prosili mnie do siebie do Tel-Awiwu na spotkanie towarzyskie. Aktor Habimy Meir Teomi, który był obecny na tym przyjęciu, nazwał mnie pod wrażeniem mojego występu w piosence i konferansjerce — «prawdziwym brylantem» (jahalom) i tak z rolnika stałem się artystą rozrywkowym a z Abrama Krawca — Aleksandrem Jahalomi.”

Tej nocy podpisałem z nim kontrakt i włączyłem go do zespołu „Li-la-lo” — konkluduje Walin.

Spotkałem Jahalomiego 20 lat później na wycieczkowym okręcie „Teodor Hezzl”, gdzie produkował się z małym zespołem rozrywkowym na „bar-micwie” mojego syna, opowiadając aktualne dowcipy. Ale grono wycieczkowiczów żądało głośno: „Goldenberg! Goldenberg!” i Abrasza od razu musiał wyrecytować pod akompaniament akordeonu swój słynny numer z „Li-la-lo” — *de facto* numer Lopka Krukowskiego. Tylko „wtedy”, w „Qui Pro Quo” — on się nazywał... Rappaport (...cztery strony Rappaportów w książce telefonicznej Warszawy: ...Tam był Alojzy Rappaport, Synowie Rojzy Rappaport i pan Senator Rappaport i prokurator Rappaport...). No cóż, zmiana nazwiska w Izraelu to bardzo powszechny zwyczaj... A jak już wspomniał Walin, ci aktorzy z Polski przywozili swój i nie swój repertuar, który obrotny Szmuel Fiszer przekładał na hebrajski — i jazda! Walin wspomina z sentymentem Irenę Różyńską, która odniosła szczególne powodzenie jako Stella w duecie „Stella i Gawryłko” napisanym dla niej specjalnie jeszcze w Warszawie (przez kogo?). To był jej przedwojenny szlagier na scenkach polskich. Natan Alterman przełożył to i opracował w swoim oryginalnym stylu i dopasował do rzeczywistości palestyńskiej. Różyńska i Wardan zrobili z tego przebój, który chwycił od pierwszej chwili. Po wielu latach opracował Alterman raz jeszcze tę dialogowaną piosenkę: Stella i Gawryłko zmienili nazwiska na „Limonada i pan Talerzyk” — i śmieszili od nowa rozbawioną publiczność w „Teatrze Kameralnym”.

Z końcem 1946 r. zespół „Li-la-lo” liczył 70 osób. Przybywali imigranci z Bułgarii, Rumunii, Węgier — był to bodajże jedyny teatr, którego frontowe wrota były otwarte dla ocalałych z szoa, a tylnymi drzwiami wchodzili coraz częściej rutynowani aktorzy „Habimy”, „Ohelu”, „Matate” — zwabieni wysokimi stawkami. Walin był szybki w decyzji i na ogół doskonale oceniał potencjalne możliwości amatorów, czy początkujących aktorów i umiał pracować z nimi aż nabrali szlif jako dobrze zapowiadające się gwiazdy. Z drugiej strony, nie szczędził wysiłku, by zaangażować jak najlepsze siły, nie licząc się z kosztami. I tak mimo zbierających się na horyzoncie chmur, przy wielkiej aktywności podziemnych organizacji — Hagana, Ecel, Lechi — ścigał „Li-la-lo” rzesze publiczności, a dyrektor odnawiał wciąż zespół i dostosowywał program do sytuacji politycznej.

Z końcem 1947 przygotował Walin dwie nowe premiery” „Salon” i „Tylko dla dorosłych”. Reżyserował je nie kto inny jak wielki Fryderyk Járosy — kto nie wie (?) — była to gwiazda pierwszej wielkości w przedwojennych kabaretów Warszawy z „Qui Pro Quo”, „Bandą”, „Cyrułikiem Warszawskim” na czele. Przybył z Berlina do Warszawy w latach dwudziestych z awangardowym teatrykiem emigrantów rosyjskich „Niebieski Ptak” i tu już pozostał bawiąc publiczność swym węgierskim akcentem i niby koślawą polszczyzną (a po krótkim pobycie w Warszawie czuł już świetnie język polski w mowie i piśmie), poczuciem humoru, świetnymi tekstami... Nie zdążył uciec jak inni przed Hitlerem i ukrywał się w Warszawie — m.in. w getcie, choć nie był Żydem — a dopiero po wojnie wyruszył na Zachód (zakosztowawszy przedtem grozy Buchenwaldu...). Emigracja polska w Londynie przyjęła go dość chłodno i nie stworzyła mu warunków do pracy — ale Walin, który słyszał o nim niewątpliwie od swoich polskich aktorów ścignął go do Tel-Awiwu. „Prasa prześcigała się w pochwałach, podkreślając, że Járosy, choć nie znał kraju ni języka potrafił dać publiczności dwa kulturalne programy, bardzo zabawne, w których zdaniem krytyków było coś więcej niż „po prostu satyra”. Publiczność na sali śmiała się do rozpuku, podczas gdy kraj już drżał od gromów wojny.”

Wysoka klasa programów Járosy'ego (o których bliższe szczegóły jak i wspomnienia tel-awiwskich Warszawiaków, można przeczytać w długim eseju Anny Mieszkowskiej w „Pamiętniku Teatralnym”, nie ocalała „Li-la-lo”, z którego ścian opadał tynk podczas przedstawień a kanonada z pobliskiej Jaffy zagłuszała świetne teksty Chaima Hefera i Awigdora Ha'meiri... Walin zamknął budę z wielkim deficytem, odesłał Járosy'ego okrętem do Europy — jak pisze — a sam poszedł do wojska. Jest w tym tylko część prawdy, bo na wyjazd Járosy'ego, który znalazł się z żoną w pułapce, bez środków do życia, złożyli się przyjaciele Warszawiacy, którzy zebrali potrzebną sumę na bilet powrotny wielkiego artysty.

Po wojnie i proklamacji Państwa Izraela próbował Walin wznowić działalność „Li-la-lo”, ale zabrakło mu już Altermana, który przerzucił swój talent na inne dziedziny poetyckie, a także większość gwiazd wyemigrowała lub przeniosła się do innych teatrów. „Li-la-lo” przeszedł do historii... Z jego zamknięciem skończyła się *de facto* wyjątkowa działalność piosenkarska Altermana — stwierdza Walin. On sam nie spoczął jednak na laurach i poświęcił się od nowa odkrywaniu gwiazd jemenickich. Tym razem była to znakomita śpiewaczka Chana Aharoni. Walin zrobił wszystko, by osiągnęła szczyty popularności w Europie i Ameryce — a w końcu i ona go rozczarowała...

Udział polskich Żydów w kulturze, sztuce i wszelkich dziedzinach życia społecznego Izraela jest wielki — a mały teatrzyk rozrywkowy „Li-la-lo” jest jego nieprzypadkowym przykładem ukazującym ten udział we właściwych proporcjach.

KORESPONDENCJE – DOKUMENTY – ROZMOWY

MARIA WERTENSTEIN DO KAZIMIERY KOTT — LISTY Z LAT 1946–1949

Jan KOTT (USA)

Moja młodsza o 10 lat siostra, Aniela (Lalutka) Kott zmarła w roku 1997. Do śmierci pracowała w Instytucie Badań Literackich. Historyk, przechowywała skrupulatnie wszystkie papiery rodzinne przede wszystkim korespondencję naszej matki, Kazimiery z Wertensteinów Kott. Wśród tej korespondencji najbardziej nie tylko ważne historycznie, ale będące dramatycznym dokumentem pierwszych lat po wojnie były listy Marii Wertenstein (Maryli) do jej siostry i mojej matki, Kazimiery Kott. Matka z moją siostrą żyły na granicy ubóstwa. Ja im pomagałem, ale niewiele. Mieszkały w Domu Literatów w Krakowie przy ulicy Krupniczej 22 i tam są adresowane listy mojej ciotki.

Maria Wertenstein, artystka malarka pisząca i malująca pod skrótem nazwiska Maria Werten, wyjeżdżała do Ameryki parokrotnie w latach trzydziestych, nie pamiętam dokładnie tych dat, ale nie było jej w Polsce kiedy wróciliśmy do kraju z żoną w sierpniu 1939 roku¹. Maria Werten wojnę spędziła w Ameryce i po wojnie zamieszkała w Los Angeles. Tam została pochowana na cmentarzu Holy Cross w grudniu 1949 roku.

Do Ameryki wyjeżdżała jako propagatorka polskiej sztuki ludowej uczyć w College'ach i na wielu specjalnych kursach. Powojenne lata były dla niej szczególnie trudne i materialnie, zdrowotnie. Była ciężko chora na astmę. Kiedy ataki były silniejsze z trudem mogła pracować, z trudem wychodziła z domu. Była w ciężkich warunkach materialnych, ale jej główną myślą i troską było szukanie dróg pomocy przede wszystkim dla jej siostry. O tym są głównie, niemal wyłącznie, jej listy do rodziny w kraju.

¹ Jan Kott w 1938 roku otrzymał stypendium rządu francuskiego i przez rok przebywał w Paryżu, przygotowując doktorat z filologii romańskiej. W czerwcu 1939 roku poślubił Lidię Steinhause, córkę matematyka prof. Hugona Steinhausa. W sierpniu 1939 roku powrócił do Warszawy. [wszystkie przypisy oprac. przez Redakcję]

Pisze listy, ale nie wszystkie wtedy dochodzą, albo dochodzą po wielu miesiącach. Załącza do listów po jednym dolarze, bo większe sumy od razu giną. Wysyła rzeczy, palta, sukienki, przeważnie stare, bo łatwiej dochodzą. O trudnościach są te same ciągle powtórzenia. Ale właśnie w tych powtórzeniach jest gorzka prawda pomocy. Parokrotnie w listach pojawia się temat spadochronu, który nadaje się na przeróbki, na suknie i bieliznę. Albo można było sprzedać, co się miało bardziej opłacać od przesyłania jednego dolara.

Paczki te wysyła Maryla sama, albo przez różne biura wysyłkowe, kiedy nie miała siły sama pakować, albo rzadkie okazje znajomych, którzy jechali do Polski. Listy są monotonne, ale właśnie w tej monotonii zawarte są relacje między emigrantami i krajem, do którego nie mogli, albo nie chcieli wracać.

Poza moją matką w tych listach Marychny ciągle pojawia się Anielcia (Lalutka). Jest ona ciąglą troską Marychny. Była ona chorowitym dzieckiem, zagrożonym gruźlicą, która w rodzinie mojej matki brała coraz to nowe ofiary. Wymagała szczególnej opieki. I Marychna w tych listach wielokrotnie myśli jak znaleźć środki na jej wyjazd z miasta.

Trzecią osobą, która się w tych listach przewija jestem ja sam, Janek. Kiedy moi rodzice przenieśli się z Warszawy do Bielska², gdzie mój ojciec znalazł pracę³, oddany zostałem do domu moich dziadków. Zajmowała się mną od samego początku ciotka Maryla, dla której byłem jakby jej synem. I ja ją traktowałem przez lata jako drugą matkę od moich szkolnych lat do matury i jeszcze potem za lat uniwersyteckich.

W listach przywoływanie mnie ma ton smutny. Byłem w tych latach zaczadzony komunizmem. Maryla była w środowisku polskiej antykomunistycznej emigracji. Pisała, że nie może się ze mną porozumieć. Kiedy wyjechałem na krótkie tygodnie z Polski na Zachód wiedziała, że nasze spotkanie może być tylko bolesne. Moje uczucia rodzinne były wystygłe i byłem głuchy na tę jej rozpacz w listach.

Na wszystko jest już za późno. I jeszcze przez wiele lat, już wyleczony z komunizmu, ale ciągle zanurzony w swoim pisaniu, miałem w pamięci dziurę we wszystkich uczuciach rodzinnych. Przez lata nie myślałem o Marychnie. Mogłem jeszcze szukać śladów po niej i jej artystycznej działalności, której się do końca nie wyrzekła. Dopiero w bardzo niedawnych latach, kiedy przenieśliśmy się do Santa Monica w Kalifornii, wróciła mi po niej pamięć i ślad. Poznałem wtedy Osetyńskiego. Jerzy Osetyński vel Leonidas Dundarew był ostatnią osobą, która знаła Marię Werten. Prowadził przez wiele lat coś w rodzaju szkoły teatralnej i za mojego pobytu wyreżyserował *Matkę* Witkacego z główną rolą Barbary Kraftówny. Kolekcjonował obrazy, które brał od malarzy czasem na sprzedaż, w każdym razie rzadko je zwracał. Mówił mi o obrazach Marychny, ale albo ich nie miał, albo nie chciał mi pokazać. Był człowiekiem o różnych inicjatywach. Zakładał polską ludową restaurację i Maria Werten była jej główną dekoratorką. Malowała *al fresco* ogromne paneau, być może trochę w stylu Stryjeńskiej, przedstawiające polskie ludowe tańce i obyczaje. Restauracja się spaliła i razem z nią niemal w całości malowidła Marii Werten. O tej pracy w restauracji pisze do mojej matki w liście z czerwca 1947 roku. Po śmierci Osetyńskiego córka jego przywiozła nam ocalałe szczątki tych wielkich malowideł. Mam je sfotografowane. To chyba wszystko co ocalało z ogromnego dorobku Marii Werten. Z obrazów pozostał tylko przejmujący portret pięcioletniej Anielki z misiem w rękę. Ten obraz ocalał w mieszkaniu mojej matki, a potem po śmierci Anielki przywiózł go nasz syn. Wisi teraz w moim pokoju.

Od Osetyńskiego dowiedziałem się gdzie jest grób Marii Werten. Z tego co mówił wynikało, że na pogrzeb złożyli się jej przyjaciele i zapewne na płytę na jej grobie. By-

² Obecnie Bielsko-Biała.

³ Ojciec Jana Kotta, Maurycy, był urzędnikiem.

łem na tym cmentarzu. Umarła w niedostatku. Z pieniędzy jakie pozostały po potrąceniu kosztów, 100 dolarów przeznaczyła dla Anielci, po 100 dla Wandy i Piotra, dzieci Ludwika Wertensteina, brata mojej matki i Maryli i 100 dolarów dla mnie⁴.

Listy te zostały zapewne przez moją siostrę ułożone, ale być może zostały potem przerzucone i nie jestem pewien ich kolejności. Daty mają dzienne, najczęściej bez roku, który podaję w nawiasach kwadratowych, ale i tych dat rocznych nie jestem zupełnie pewien.

Siostra moja znała i pamiętała całą historię rodziny. Ja przez lata całe musiałem mieć jakąś atrofię uczuć i pamięci. Rzadko pytałem Ojca i Matkę o ich historię życia. Teraz na jej odnalezienie i odpamiętanie jest już za późno.

Rodzice moi z moją siostrą, po włączeniu Bielska do Rzeszy, zamieszkali w Krakowie. Przez długie miesiące mieszkali u Babki mojej żony i stamtąd mamy jedyne fotografie. Ojciec został aresztowany. Dostał wyrok niemieckiego sądu na dziewięć miesięcy. Matka, kiedy jej pozwolono, donosiła ojcu bieliznę i czasem jedzenie. W dniu kiedy się kończył jego wyrok Matka przyszła pod więzienie, żeby go odebrać. Ale Ojca już nie było. Zabrano go i nie ma grobu.

Matka, adresatka tych listów, Kazimiera z domu Wertenstein (1886–1955) zginęła potrącona przez motocykl. Ma grób na cmentarzu Rakowieckim w Krakowie. Tam też pochowano moją siostrę.

Matka przyjaźniła się z Mortkowiczową, wdową po słynnym księgarzu i wydawcy, w listach jest parokrotnie wspomniana razem ze swoją córką Olczakową. Były krótko w Ameryce i, jak wynika z listów, Maria Werten przekazała przez nie jakąś przesyłkę dla Mamy.

Brat mojej matki, Ludwik Wertenstein, Lutek, fizyk teoretyczny zginął w ostatnich dniach wojny w Budapeszcie, gdzie wysłali go z końcem wojny przyjaciele, aby mu uratować życie. Żona jego Matylda przeżyła wojnę. W listach do mojej Matki występuje jako Madzia i przez nią także szły jakieś pomoce. Z domu Meyer, była spowinowacona z Teoplitzami. I przez nich, przez jednego z Teoplitzów w Szwajcarii udało się wysłać jakąś pomoc dla Mamy.

Bratem mojej Babki był Adam Lande, lekarz, przychodził często na sobotnie kolacje. Jego syn, Henio Lande, przeżył wojnę jako Zakrzewski. Po wojnie był nauczycielem polskiego chyba w Lublinie. Był u nas dwa albo trzy razy, ale w mojej obojętności na

⁴ Wanda Wertenstein (ur. 1917), krytyk filmowy, tłumaczka, pracowała w Szkole Filmowej w Krakowie, Łodzi i Warszawie. Współpracowała z Jerzym Bossakiem przy Polskiej Kronice Filmowej i w Wytwórni Filmów Dokumentalnych. Sama też pisała o filmie i przetłumaczyła kilka książek angielskich i włoskich o filmie i sztuce filmowej. Pisała do „Kina”. Wydała m.in. *Wajda mówi o sobie* (Kraków 1991) oraz wspomnienia („Rocznik Podkowiński” 4/1999).

Piotr Wertenstein, we wrześniu 1939 roku, próbując przedostać się do Rumunii wpadł w ręce Sowietów. Przeszedł szlak bojowy armii gen. W. Andersa; po wojnie osiadł we Włoszech.

Ludwik Wertenstein (1887–1945), fizyk, uczeń M. Skłodowskiej-Curie, kierował Pracownią Radiologiczną Warszawskiego Towarzystwa Naukowego; profesor Wolnej Wszechnicy Polskiej; zginął w Budapeszcie, podczas próby przerzutu na Zachód. Por.: J. Kott, *Przyczynek do biografii*. Londyn 1990, s. 52.

Szczegóły związków rodzinnych Wertensteinów, Landów, Kottów i Meyerów opisane są w wspomnieniach Wandy Wertenstein, *Jeden rok wojny* (1940), *Rocznik Podkowiński* 1999 z. 4 s. 7–140.

pokrewieństwa i powinowactwa jego także nie rozpytałem o wojenne losy. Drugim synem Adama Lande był Lutek, który także ocalał się pod nazwiskiem Zakrzewski.

Jest tam także pytanie o Koralów. Luta Koralowa była siostrą mego Ojca. Przeżyła wojnę z mężem. Ich syn Tomek, żołnierz AK, zginął w Powstaniu Warszawskim. Luta po wojnie była sekretarką „Kuźnicy”. Umarła młodo. Mąż jej odwiedził nas parokrotnie po wojnie, jak Lutek i Henryk, ale ich losy także uszły mojej pamięci. Są jeszcze w tych listach pytania o dalszych krewnych i znajomych. Nic o nich nie potrafię powiedzieć, poza tym, że nikt z nich nie przeżył wojny.

W liście z 13 maja, który datowałem na rok 1947, jest zapowiedź że dziecko nasze ma się urodzić w lipcu. Była to nasza córka Teresa. Czas biegnie szybko, może i na szczęście. Jej syn, nasz najstarszy wnuk, kończy studia w Stanfordzie. Tak się zamyka historia rodzinna, której świadectwem są listy Marii Werten z Los Angeles.

Santa Monica, kwiecień 1999

LISTY

1.

2 luty 1946

Kazimiera Kott
ul. Krupnicza 22

Droga Kaziu: W tej chwili dostałam Twój list z 27 XII. Jestem w rozpacz. Widzę, żeś żadnego z moich listów nie dostała — a co gorsza żadnej paczki. Pierwszą żywnościową wysłałam przez Jewish Congress via Szwecja do Ciebie i Madzi. Potem dwie odzieżowe; palto zimowe, pończochy, sweter, parę obuwia, reformy. I nie tylko ja. Nikt ze znajomych tutaj nie dostał potwierdzenia odbioru paczek — więc przestano wysyłać. Nie wiem co robić. Wysyłałabym stale — gdyby tylko dochodziła. Prosiłam Cię w dwóch listach byś narysowała na cienkim papierze swoją i Lalutki stopę, bym mogła wysłać właściwe buci-ki. Inne rzeczy można przerabiać — ale podaj także wymiary. Boże, żeby to co wysyłam mogło dochodzić — miałybyście wszystko. Pieniądzy podobno nie można wysyłać, bo tyle się traci. Rzeczy podobno muszą być używane. Napisz kto, ile i jak dostał paczki. Piszę do p. Toeplitza — najprędzej dochodzi. O sobie pisałam Ci najważniejsze: jestem teraz właściwie zdrowa, tylko nie mam już tych dawnych sił; mam trochę astmy. Ale daję sobie radę i jestem przygotowana by wam pomóc. Ale jak? Lalutka po chorobie potrzebuje dobrego wyżywienia. Będę się jeszcze dowiadywać: Przez trzy lata choroby straciłam kontakt z wieloma przyjaciółmi — z Elmą też — ale wiele zostało wiernych. Całuję Cię mocno. Maryla. Pisz.

2.

13 luty [1946]

Droga Kaziu!

Jestem bardzo niespokojna, że nie mam żadnej wiadomości od Ciebie od Anielci. Nie wiem czy ostatnia paczka doszła — ani czy ostatnia paczka doszła — ani czy otrzymałaś załącznik, włożony do listu. Wszyscy inni dostali i napisali mi o tem. Wobec tego ryzykuję znowu — załączając pięć tym razem. Proszę, napisz czy doszły i czy ta forma pomocy ma dla Was znaczenie. Jest mi tak strasznie przykro, że mój marny stan fizyczny jest dla mnie takim utrudnieniem w wysyłaniu Wam paczek. Wtedy oczywiście można kłaść co się chce. Ale wobec tego, że to okazało się dla mnie niemożliwe — teraz wysyłam przez firmę — którą się posługują wszyscy znajomi. Oni dają do wyboru różne kombinacje. Napisz mi, czy ta forma jest zadowalająca. Dzisiaj wysyłam znowu. Pogorszyła mi się moja astma — a pracę, którą zaczęłam — muszę dokończyć. Dlatego i ubranie teraz nie mogę się zająć. Tak strasznie żałowałam, że nie mogłam zobaczyć się z Hanką M[ortkowicz] V. — nie mogła tak daleko jechać. Napisała mi tylko bardzo miły list i miłe rzeczy o Was. Ponieważ pisała, że może zabrać tylko b. małe rzeczy — prosiłam p. Edwardę, by kupiła pończochy — ale nie mam jeszcze wiadomości czy mój list doszedł na czas — bo nie wiem kiedy wyjechała.

Dlaczego Anielcia tak mnie zaniedbuje? Przyrzekła, że będzie pisać co jakiś czas. Całuję Was gorąco.

Maryla

3.

Drodzy moi!

Nareszcie wiadomość od Was!!

Przynajmniej coś, co pozwala konkretniej myśleć o Was. Kiedy dostanę następną? Wierzę, że się postaracie napisać. Co do mnie, — to miałabym się doskonale, gdyby nie troska o Was. Jestem jeszcze na tej samej posiadzie. Ale mam zaproszenie na przyszłe lato na letni semestr w College. Więc mam nadzieję, że i na zimowy teraz znajdę.

Oprócz tego piszę i maluję. Może dlatego, że to jest najmocniejsza Ucieczka od rzeczywistości i dręczących myśli — obie te prace coraz bardziej pogłębiają się. Zmienił się bardzo charakter mego malowania. Ile razy maluję, myślę, co Lutek lub Janek powiedzieliby o mojej pracy!!, jak Matka chciałaby powiesić ją na jakimś wolnym jeszcze miejscu na ścianie — wrócą te chwile!

Od Stefana [Meyera, brata Matyldy Wertenstein] dawno nie miałam wiadomości; od p. Leopolda i żony mam od czasu do czasu.

Teraz będę znowu czekać na wiadomość od Was.

Ściskam Was wszystkich z całego serca. Maryla.

Gdyby Janek napisał!!

Pozdrów przyjaciół, których widzisz.

4.

10 marzec [1946 albo 1947]

Droga Kaziu.

Dostałam już kilka listów od Ciebie — ale tego, który wysłałeś razem z listem Wandzi [Wertenstein] przez okazję tutaj — nie doszedł. I proszę bardzo tą drogą listów nie posyłać!

Za każdym razem czytając Twoje listy ogarnia mnie rozpacz, że dotąd ani jeden list mój nie doszedł. Nie rozumiem co to znaczy. Depeszę chyba dostałaś. Powtarzam jeszcze raz odpowiedź na Twe pytanie. Byłam chora przez trzy lata. Ale dzięki przyjaciołom miałam przez większość czasu bardzo staranną opiekę w bezpłatnym ale bardzo dobrym sanatorium, gdzie pod koniec uczyłam. Potem zaprosiła mnie pani T. by być u niej póki nie znajdę zajęcia. Teraz uczę tutaj i pracuję w domu. Nie wróciły mi dawne siły, bo mam astmę — ale daję sobie radę. I naturalnie moją wielką troską jest, by Wam pomóc w najbardziej skuteczny sposób. Wy piszcie, co jest najbardziej potrzebne, — a ja będę się starać w miarę sił, by dostać to, co chcecie.

Przyślij wymiary swoje i Anielci, i narysuj stopy na cienkim papierze. To nie znaczy, że ja mogę zawsze przysłać właściwe wymiary ale chcę mieć — by wiedzieć, gdy mogę wybierać. Poza tem będę przysyłać Ci, co tylko mogę. Tutaj przerabiać nie można — ale w kraju na pewno to możliwe. Poza tem — to co sama nie możesz użyć — możesz dawać innym, co też jest bardzo ważne. Wiele osób woli ofiarowywać rzeczy, by posyłać prywatnym osobom i dla nich i dla rozdania.

Bądź więc wyrozumiała na to, co przysyłam w granicach moich możliwości, chociaż to nie jest ani takie, ani na tyle, ile bym chciała.

Napisz coś więcej o Anielci, o jej stanie fizycznym i umysłowym, o jej zainteresowaniach w życiu i o Waszym życiu przedtem i teraz.

Czy masz jakieś kółko znajomych?

Czy p. Mortkowicz (pokłoń się jej i córce ode mnie), [...] — jest w Krakowie ktoś z dawnych znajomych? Co się stało z Koralami?

Napisz o tych ze znajomych i rodziny, o których losie wiesz.

Dotąd wysłałam do Ciebie 5 paczek:

żywnościowa, 2. Mieszana, 3. Palto zimowe, 4–5. Różne ubraniowe rzeczy.

Przez jakiś czas nie wysyłałam, bo nikt nie dostał potwierdzenia odbioru. Teraz wiemy, że potwierdzenie przychodzi po 4 lub 5 miesiącach. Teraz będę numerować paczki — a Ty pisz jaki numer dostałaś. Pierwsza numerowana będzie No. 6.

Pisz, bo Twoje listy częściej dochodzą niż stąd tam.

Całuję Was mocno.

Wasza Maryla.

5.

23 marzec [1946]

Moja droga Anielciu.

Dostałam Twój list po tak długim braku wiadomości, że ja także byłam bardzo niespokojna. Najwidoczniej kilka listów zaginęło; i Waszych i mój w każdym razie jeden i widocznie ten, w którym — zachęcona tym, co słyszałam, że listy z pieniędzmi dochodzą

— posłałam 5 dol. A teraz właśnie rozeszła się wiadomość znowu, że ostatnio giną. Zmartwiła mnie niezmiernie wiadomość o Waszej chorobie. Zaczęłam łącać sobie głowę w jaki sposób przesłać Wam jak najprędzej pieniądze w takiej formie, byście z tego najwięcej miały. Zrobiłam więc próbę — i gdy dostaniecie napiszcie mi, czy to jest dobra droga.

Ogłaszają tutaj, że sprzedają nylonowe spadochrony. 65 kwadratowych stóp i 600 łokci nylonowych nici za 15 dol. Razem z przesyłką kosztuje to 21 dol. Podobno masę rzeczy można z tego robić i różne osoby z Polski prosiły o przysłanie tych spadochronów. Można więc zużyć je w dwojaki sposób: albo zużyć na zrobienie wielu rzeczy: i bielizny, i sukien (można farbować — jest to białe) — albo sprzedać, jeżeli pieniądze są bardziej potrzebne. Zaraz po otrzymaniu Twego listu — kilka dni temu — napisałam do New Yorku, by to zaraz wysłano i jeszcze nie mam odpowiedzi. Napisz mi gdy przyjdzie, — coś z tym zdecydowała zrobić. Jeżeli sprzedaż — napisz mi ile za to dostałyście — bym się zorientowała czy to będzie właściwa droga pomocy. Przedewszystkiem idzie mi o to byś mogła zaraz wyjechać — więc w razie potrzeby — wysłałabym zaraz tyle — żeby Ci na wyjazd starczyło. Gdybyście zdecydowały, by zużyć to na ubranie — to jeśli to możliwe, chciałabym byś odcięła coś dla Wandzi i dla Lidki: na sukienki lub bluzki. Jeśli zaś masz pilne potrzeby — to — zrobimy to z następnej przesyłki.

U mnie nic nowego. Najgorsza jest ta astma. Raz jest trochę lepiej — raz gorzej. Ostatnio było dosyć niedobrze — bo się przepracowałam. Niedobrze jest, że mnie tak męczy chodzenie i załatwianie sprawunków. Komunikacja tutaj jest nie dobra — większość ludzi ma auta — tak że przeważnie idę tylko tam, gdzie mnie może ktoś zabrać autem. Dlatego też musiałam zrezygnować z wysyłania samej paczek — i robię to przez Towarzystwo wysyłkowe w New Yorku. Napisz mi też proszę bardzo, czy te paczki są zadowolające i co byłoby pożądanym, bym wysłała oddzielnie. Ja pracuję nad różnymi rzeczami: karty świąteczne, ilustrowałam książkę, dekoruję polską restaurację i uczę. Żałowałam niezmiernie, że nie mogłam zobaczyć się z Hanką Mortkowicz. Napisała mi miłe rzeczy o Was. Napisz mi znowu coś więcej o sobie — i przyślij jakieś fotografie Wasze, dobrze! Jak się ma Mama teraz? Napiszę dokładnie.

Całuję Was gorąco.

Wasza Maryla.

6.

7 kwiecień [1946/1947?]

Droga Kaziu.

Przesyłam Ci najserdeczniejsze, chociaż spóźnione życzenia. Przez te lata odcięcia, daty uroczystości rodzinnych wypadły mi z głowy. Kiedy są urodziny Anielci? Zmartwiło mnie, że te 5 dol. Zginęło — teraz kładę jeden — napisz czy doszedł. Mam nadzieję, że doszedł list mój do Anielci. Napiszcie mi czy ten spadochron nylonowy spełnił dla Was właściwe swe zadanie: to znaczy czy dał dosyć pieniędzy lub użyteczny materiał. Kosztował 21 dolarów — więc chcę wiedzieć czy to się opłaca w porównaniu ze [...] — gdy przesyłam w liście. Ale wobec tego, że z listów ginie — i tak trzeba szukać innych dróg. Bo po dolarze gdy Wam potrzeba — a ja mogę dać — za długo by trwało. Jak się teraz czujesz i jak Anielcia? Ja mam lekarza — od czasu do czasu chodzę — ale na astmę nie ma lekarstwa — to znaczy są takie, które przyniosą chwilową ulgę. Czasem astma nagle sama znika. Napisz mi gdy zobaczysz Hankę M. Miała zawieść Ci karty. Mam nadzieję,

żeś dostała tyle, że będziesz mogła przestać Jankowi — prosił o nie.

Wiadomość o jego możliwościach wyjazdu jest dla mnie niezmiernie bolesna jak to wszystko, co mnie teraz od niego dzieli. Jesteśmy na przeciwnych biegunach. Klimat, który jego zachwyca — przy mojej astmie jest zabójczą atmosferą — dla każdego komu jak mnie jest potrzebne otwarte powietrze do oddychania.

Posłałam paczki żywnościowe.

Serdeczne uściski.

Maryla

7.

21 kwiecień [1946/1947?]

Droga Anielciu!

Z niezmiernym wzruszeniem czytałam ten Twój pierwszy list — list dojrzałej osoby — którą znałam dzieckiem. To coś przeszła — i jak widać zniosłaś tak dzielnie — przyspieszyło Twój rozwój. Mam nadzieję, że teraz listownie poznamy się na nowo, że będziesz mi o sobie pisać. Przede wszystkim chcę słyszeć o Twoim Zdrowiu, czyś się poprawiła — pamiętaj o zdrowiu ile tylko możesz. Pisz co Ci potrzeba — będę teraz stała paczki żywnościowe posyłać. Ubranie, które miałam przygotowane, — okazało się — według Twych wymiarów za małe. Ale jeden ładny, ciepły kostium wełniany posyłam — bo można spódniczkę rozszerzyć, — a z żakietu zrobić kamizelkę, lub do spódniczki dorobić górę na sukienkę. Także sukienka bez rękawów — chociaż za mała może być poszerzona. To są dobre, przedwojenne rzeczy — nowe są często liche. Posyłam też trzy pary półbutów — jedno dla Ciebie. Zdaje się, że miary dobre. Jeszcze ciągle szukam dróg wysłania. LOT-em jest niemożliwe — bo kosztuje bająnskie sumy. P. Mork[owiczowa] tylko jedną małą paczkę tak wysłała — inne drogi są też teraz pewne. Jak tylko dokupię, co brakuje — wyślę.

Ile masz jeszcze lat do studiowania i co zamierzasz robić po skończeniu? Napisz mi o swych studiach, profesorach i kolegach.

W tej paczce, którą sama pakowałam — (inne przez różne firmy) — starałam się włożyć czekolady ile dostałam — tutaj to też rzadkość. Wiele rzeczy brak — pończoch narazie nie ma.

Całuję Cię bardzo mocno. Pisz.

Twoja Maryla.

8.

13 maja [1947]

Droga Kaziu,

znowu jestem bardzo niespokojna, że nie mam żadnej wiadomości od Was i potwierdzenia odbioru rzeczy, które wysłałam. Przede wszystkim zdaje mi się, że Hanka M. — zawiozła pończochy i karty — (dawno nie miałam wiadomości od p. Edwardy — ale obiecała mi to załatwić). Potem wysłałam nylonowy spadochron, który podobno bardzo jest pożądanym. Bo można go albo dobrze sprzedać albo zrobić z niego wiele pożytecznych

rzeczy. Pisałam o tym w liście, do którego włożyłam dol. Wysłałam paczkę żywnościową — zdaje się w lutym a dzisiaj zamówiłam drugą, którą na pewno wyślę w maju. Napisz mi czy to wszystko doszło.

Pisałam Ci, że moja astma jest takim dla mnie utrudnieniem we wszystkim fizycznym wysiłku, że musiałam przestać wysyłać sama paczki i zdać się na firmę, która się tym specjalnie zajmuje. Mają oni wiele różnych kombinacji, z których można wybierać. Ale zawsze to nie to gdy można samemu zakupić co się chce. Teraz jednak wprowadzili załatwianie indywidualnych paczek; tak że można napisać o co się prosi. Napisz mi zaraz po otrzymaniu tej paczki z maja czy dobór był dobry. Napisz też czego Wam najbardziej potrzeba z jedzeniowych rzeczy, to następnym razem o to poproszę. Pisał mi Janek, że spodziewają się dziecka w lipcu. Wyobrażam sobie, jak się cieszysz z wnuka. Wyślę mu paczkę dla dziecka — ale muszę poprosić, by mi to ktoś załatwił. Napisz mi co najbardziej potrzebne, czego najbardziej brak.

Jak się ma teraz Anielcia — czy wyjeżdża na lato? Kombinowałam, że ten spadochron może starczy na jej wyjazd. Mówiono mi, że za parę nylonów można dostać 7000 zł. Czy to prawda? Jeżeli tak to może posłanie pończoch jest najlepszym wysłaniem pieniędzy?

Zbieram ubraniowe rzeczy dla Was — gdy zbieram dosyć — wyślę. Piszcie. Niech Anielcia znowu napisze — tak bardzo czekam na jej list. Załączam 1-en dol. Całuję Was bardzo mocno.

Maryla

9.

25 maja [1947]

Droga Anielciu.

Jestem ogromnie niespokojna, że nie mam tak długo żadnej wiadomości od Was. W ostatnim liście pisałaś, że nie czujesz się dobrze — więc ciągle myślę czy nie jesteś chora. Napisz, proszę bardzo zaraz po otrzymaniu tego listu. Napisz też czy Hanka O[lczakowa] zabrała dla Was pończochy. Przez ten czas wysłałam nylonowy spadochron, dwie paczki żywnościowe — w jednej też materiały na suknie — i dwa listy po dolarze w każdym.

Napisz mi czy wszystko doszło. U mnie nic nowego — miałam ostatnio b. dużo pracy i różne kłopoty — więc i astma gorsza. Tak jest ciągle raz lepiej, raz gorzej. Napisz zaraz o sobie i Mamie i czy ten spadochron przyniósł jakieś pieniądze.

Całuję Cię mocno.

Maryla.

10.

3 czerwiec [1947]

Kochana Kaziu!

Jestem szalenie niespokojna, że tak długo nie mam od Was żadnej wiadomości. To jest czwarty list (do każdego kładę 1 dol.) dopominający się o wiadomości od Was i wiadomości czy wszystko doszło co posłałam.

U mnie nic nowego. Tylko jest mi trochę gorzej z siłami i astmą — dlatego wszystko co posyłam muszę przez innych, by samej nie chodzić i nie załatwiać.

Napiszcie zaraz choć słów kilka.

Całuję Was mocno.

Maryla

Ukłony dla p. Mortkiewicz i Hanki.

11.

16 czerwca [1947]

Droga Kaziu;

Jestem tak niespokojna Waszym już półrocznym milczeniem! Nie mogę znaleźć sposobu, by dowiedzieć się, co to znaczy. Pisałam i do Janka. Teraz jednocześnie piszę i do p. Hanki. Czy paczki i listy giną? Wysłałam paczkę nylonowego materiału, dwie paczki żywnościowe i cztery listy (ten piąty) z dolarem w każdym. Napiszcie zaraz, jak się macie.

Całusy, Maryla.

Załączam 1 dolara.

12.

24 czerwca [1947]

Kochana Kaziu.

W tej chwili, nareszcie dostałam list od Ciebie. Od dłuższego czasu zamartwiałam się tym brakiem wiadomości, tak byłam niespokojna. Ostatnio napisałam do Hanki O. i Janka, by się czegoś o Was dowiedzieć.

Niepokoję się bardzo o Anielcię. Chyba zgadzasz się, że w jej wieku, przy takim braku sił najważniejszą na razie rzeczą — ważniejszą niż nauka — jest postawienie jej na nogi, danie jej mocnych, fizycznych podstaw. Odpisz mi zaraz; napisz ile by kosztował kilkumiesięczny pobyt w Zakopanem, 4–6 miesięcy. Napisz także, jaka jest najlepsza forma, by taką sumę przesłać — to znaczy, co najłatwiej i najlepiej można sprzedać — a ja wybiorę z tych rzeczy to co dla mnie jest możliwe do kupienia i ile. Napisz, to zaraz zobaczę co będę mogła zrobić — uważam to za najważniejszą na razie rzecz. Dla dziecka Janków posłałam paczkę — powinna nadejść przed urodzeniem — w każdym razie nie wiele później. Zebrałam i zakupiłam (nie sama, bo mnie szalenie męczy kupowanie i wysyłanie) co się dało.

Dla Was też już mam zebranych sporo rzeczy. W majowej paczce są dwa letnie materiały na sukienki. Teraz mam też b. ładny wełniany (zdaje się) jasno-zielony materiał. Wobec trudności zakupienia i zebrania rzeczy właściwej wielkości — trzymam się zasady, że posyłam także rzeczy w złych rozmiarach bo można zawsze je sprzedać. Dołączę zawsze nawet bardzo złe rzeczy bo zawsze komuś można dać. Ja rzeczy noszę do ostatniego tchnienia i doszłam do nadzwyczajnej sztuki w reperowaniu rzeczy, które się rozpadają. Jednym słowem bądź pobłażliwa na to co nadejdzie. Staralam się jak najlepiej w moich warunkach.

Skończyłam teraz większą pracę: dekorowałam weteranom polską restaurację. Zmęczyło mnie to bardzo. Teraz mam trzy tygodnie wakacji przed letnim kursem i staram się ile mogę leżeć, by zebrać siły.

Miałam pierwszy list od Lutka Lande Zakrzewskiego. Bardzo się ucieszyłam. Miałam też list od Czesława [Miłosza]. Czy Hanka mówiła o artykule, o Norwidzie? Jak się jej podobały moje karty?, i książka dla dzieci?

Napisz zaraz i Anielcia chociaż parę słów.

Całuję Was mocno.

Maryła.

Załączam 1 dolara. [Dopisek na marginesie.]

13.

23 lipiec [1947]

Droga Kaziu,

winszuję Ci serdecznie narodzin wnuczki. Mam uczucie, że to jest i moja wnuczka także; uważałam Janka zawsze za swego syna — duchowo. Uważałam — ale nie uważam teraz. Mała jest dla mnie wnuczką — córką Janka, który był — a nie tego, który jest. Istnieje między nami mur bolesnego wzajemnego niezrozumienia. Nie tracę nadziei, że to minie.

Ani Twoje listy, ani listy Anielci nie uspokoiły mojego o nią niepokoju. Pamiętaj, że w rodzinie były dwa wypadki gruźlicy, więc specjalna czujność w jej wieku jest konieczna. Chcę wiedzieć, co lekarze mówią, na jakim tle jest jej brak sił. Czy w płucach nie ma ani śladu niepokoju. Ale nawet i w takim wypadku brak sił sam w sobie jest wystarczającym powodem do niepokoju. Rozumiem doskonale jej ambicję i chęć dalszej pracy — ale właśnie dlatego musi myśleć o tem by mieć siły. Parę miesięcy odpoczynku teraz — może ją ocalić od paru lat oderwania od pracy. Mówię z własnego doświadczenia (smutnego) po trzech latach spędzonych w szpitalach i sanatoriach. Napisz mi wyraźnie opinię lekarza, co należy zrobić teraz, by wspierać jej siły. Ja zrobię, co tylko mogę, by jej to umożliwić.

W paczce, którą odebrałaś były włożone: 4 łokcie materiału, para pończoch, 1/2 funta herbaty, 1/2 funta daktyli, 2 puszki kakao, 5 kawałków czekolady, 1 para zelówek, 1 funt ryżu. To załatwiła mi ta firma z Nowego Yorku. Jaki był ten drugi materiał? Też oni kupili. Paczka z ubraniem wysłana przeze mnie w lipcu zawierała: Palto granatowe, daktyle, szynkę, kawę, herbatę, zupy, dwie paczki papierosów, pieprz i cebulę, czekoladę, mydło w proszku, figi, puszkę oliwy, skórzany żakiet, niedokończony garnitur, szal wełniany, ciepłą koszulę nocną, majtki, sweter, haleczkę, piżamę. Teraz mam wspaniałe wysokie buciki i materiał, którego tam nie włożyłam. Postaram się o szlafrok, o który prosisz. Czyś Ty nie dostała paczki, w której był ciepły szlafrok? W zeszłym roku? Czy teraz chcesz letni? Czy ciepły. Paczkę dla dziecka Janka wysłałam do Łodzi. Nie wiedziałam, że wyjechał. Zawsze się daje od wypadku drugi adres, zdaje się, że dałam jako drugi Twój; więc może przyjdzie do Ciebie. Ale czy nie wysyłają jak dawniej na nowy adres? Strasznie bym się martwiła, gdyby nie doszły te ostatnie paczki.

Miałam trzy tygodnie wakacji — teraz już prowadzę letni kurs. Było mi gorzej, teraz znowu lepiej. Całuję Cię — Maryła.

Droga Anielciu, przeczytaj co napisałam do Matki!!! Pamiętaj, bez zdrowia nic nie można zrobić. Całuję, Maryła.

Załączam 1 dolara.

14.

30 marzec [1948]

Droga Kaziu,

winszuję Ci serdecznie urodzin i mam nadzieję, że moje życzenia dojdą na czas. Teraz listy idą krócej. Ciężko pomyśleć, że tak mało nadziei by mogłybyśmy być wkrótce razem. Przypominają mi się dawne, dobre czasy, gdy Twoje i Lutka urodziny obchodziło się razem wielkim urodzinowym przyjęciem.

Przyslij mi jakieś fotografie swoją i Anielci. Przysłał mi teraz Piotr swoją ze swą żoną. Bardzo się zmienił od czasu, gdy przysłał mi poprzednią w r. 1944. Zrobił się podobny do Lutka.

U mnie mniej więcej to samo życie. Duże plany działalności ale bardzo mało sił. Ostatnio pogorszyła mi się astma. Często najprostsze rzeczy trudno zrobić i podjąć temu wszystkiemu, co by się chciało i co się musi zrobić.

Miałam listy od Janka z Londynu i Paryża — przestaliśmy się rozumieć i listy jego są bardzo dla mnie bolesne.

Mam ciągle nadzieję, że Anielcia do mnie napisze.

Czy widziałś się z Lutkiem Zakrzewskim (dziwnie mi tak pisać) — pisał, że ma jechać do Krakowa. Tak samo Czesław mi pisał, że będzie w Krakowie i Ciebie odwiedzi. Czy masz jakieś kółko znajomych w Krakowie? Kto jest z dawnych znajomych, czy krewnych oprócz pani Mortkiewicz?

Całuję Was mocno i proszę o wiadomości.

Wasza Maryla.

Załączam 1 dol.

15.

19 maja [1948]

Droga Kaziu,

tak ciągle jest myśl czymś zajęta, co musi być zaraz zrobione, przy wszystkich trudnościach związanych z moim brakiem sił i astmą — że dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak dawno nie miałam od Ciebie wiadomości. Napisz mi zaraz choć parę słów — bo zawsze niepokoi mnie, gdy długo nie piszesz. Napisz mi też czy i co jest Ci potrzebne. Nie mogę przyrzec, że na pewno to przyślę — ale jeżeli wiem konkretnie co powinnam wysłać, — często mogę to zrobić, chociaż czasem ze znacznym opóźnieniem.

Ostatni okres miałam gorszy — wtedy dużo rzeczy muszę zaniedbać. Teraz przypuszczam będzie mi łatwiej: — zostaję w tym miejscu i jedna miła osoba, zdaje mi się bardzo odpowiednia chce ze mną współpracować i wziąć na siebie korespondencyjną i handlową część mojej działalności, którą chce prowadzić razem z paroma dawnymi studentami. Taki bliski i stały kontakt z osobą związaną wspólną pracą — będzie ogromnym ułatwieniem i w wielu osobistych zagadnieniach, które dotąd przy moim kalectwie — były nieraz trudnym do rozwiązania zagadnieniem. Jeżeli moje siły się nie poprawią — to nie wiem, czy będę mogła jechać do Denver. Chciałabym, bo to wygląda na ciekawą pracę — (artystyczna strona produkcji warsztatowej dla inwalidów wojennych). Ale jeśli nie pojadę — to też będzie miało dobre strony, bo zapowiedziałam już w mojej szkole, że

wyjeżdżam, więc miałabym letnie miesiące bez nauczania i będę mogła skoncentrować się na pisaniu i malowaniu.

Przykro mi, że Anielcia wcale nie pisze, — myślałam, że poznamy się bliżej przez listy. Najcięższą stroną tej rozłąki jest świadomość, że potęgują się różnice pomiędzy, czasem, bardzo bliskimi osobami.

Napisz mi wszystko o sobie i o Anielci i dajcie się ucałować od Waszej Maryli. Proszę pokłoń się ode mnie paniom Mortkowicz.

[Dopisek na górze listu:] Załączam 1 dolara, czy myślisz, że można zaryzykować więcej?

16.

9 wrzesień [1948]

Droga Kaziu!

Oba listy Twoje otrzymałam, byłam już bardzo niespokojna, gdy nadszedł list od Anielci, na który zaraz odpisałam. Mam nadzieję, że doszedł; chociaż zdaje się, że od czasu do czasu coś ginie. Z tego co piszesz mam wrażenie, że wszystkie paczki doszły ale straciłam orientację i nie jestem pewna. Napisz czy dostałaś trzy paczki żywnościowe z witaminami — w jednej było 100, w dwóch mniej. Ponieważ często sama nie mogę wysłać paczki — znowu zwróciłam się do poleconej mi firmy w Nowym Yorku by wysłała. W jednej — pierwszej od nich ma być 200 witamin i czekolada. Czekolady jest bardzo mało na rynku — bardzo trudno dostać. Prosiłam więc p. Toeplitza, by osoba, która u niego będzie dla zabrania mej dla Ciebie przesyłki, kupiła parę funtów czekolady — jeśli wolno ze Szwajcarii wywozić. Napisz mi czyś dostała. Mam nadzieję, że gdy ten list nadejdzie będziesz już w posiadaniu paczki odzieżowej. Zdaje się, że posłałam wszystko o co prosiłaś. Napisz zaraz po otrzymaniu czy i ci było dobre a co złe; do dalszej potrzeby. W następnej paczce pošlę materiały; nie wiedziałam, że można posyłać. Tamte włożyły od siebie, bez mojej wiedzy panie, które za mnie wysyłały. Kilka razy dokładały rzeczy od siebie.

Co do mnie samej — to jestem niby zdrowa — bo astma jest raczej kalectwem niż chorobą. Ciężko jest tylko, że w takich czasach gdy tyle musi się i chce robić, jestem tak bardzo ograniczona we wszystkich wysiłkach. Wykładałam w Instytucie Sztuki kilka godzin tygodniowo. Bo poza tym pracuję w domu i poza szkołą, i zebraniami b. rzadko wychodzę z domu. Są tutaj ogromne odległości, komunikacja dosyć marna — a ja chodzić nie mogę. Ludzie, z którymi łączyły mnie najbliższe stosunki — mieszkają w innych miejscach. Tutaj gdy przyjechałam znałam tylko dwie osoby. Przy pracy i różnorodnej działalności poznałam wiele i zbliżyłam się z paroma. Teraz maluję dekoracje do polskiej restauracji i weekendy spędzam poza miastem na tej pracy. Wakacji nie mam. Po rocznej szkole jest tydzień przerwy — i zaczyna się letni kurs; po letnim tydzień przerwy przed jesiennym i zimowym. Zimy tutaj nie ma — tylko deszczowy, kilkutygodniowy sezon. Zatracam często świadomość pór roku i w ogóle tego, co jest rzeczywistością — której się nie chce uznać za taką.

Niepokoi mnie brak sił Anielci. Co doktor mówi? Postaram się niedługo znowu coś posłać, by p. T[oeplitz] miał, gdy znajdzie się znowu okazja.

Z Anielci listu widać, że jest inteligentna i myśląca. Mam nadzieję, że ją przez listy bliżej poznam i zrozumiem. Ciężko gdy między bliskimi ludźmi powstaje przepaść — dzieląca głębiej niż największa odległość. Pouczającym jest, że ilość tych, z którymi się różniłam

zmniejsza się w zawrotnym tempie. Więc nie tracę nadziei, że różnice znikną i z temi, na których najbardziej zależy. Napisz mi jak urządziłaś sobie życie — pisz co tylko możesz i daj się ucałować mocno od Maryli.

Całusy dla Anielci.

17.

27 września [1948]

Droga Kaziu:

Nie pamiętam już kto pisał ostatni, — ale niepokoi mnie niezmiernie, że tak długo od nikogo nie mam wiadomości.

Zdaje mi się, że trzy a na pewno dwie paczki powinny były przyjść przez ten czas i przez panią Edwardę. Dotąd od niej nie dostałam ani słówka a chyba dawno wróciła. Winą mojego zaniedbania w korespondencji było to, że się bardzo niedobrze miałam przez dłuższy czas. Teraz jest lepiej.

Napisz mi proszę ZARAZ jak się macie. Dlaczego Anielcia nigdy do mnie nie pisze?

Najczęściej więcej, gdy usłyszę od Was. Całuję Was gorąco.

Wasza Maryla.

18.

29 listopada [1948]

Droga Kaziu.

List Twój dostałam i cieszę się, że rzeczy, które posłałam były dobre. O kostiumie wiedziałam, że będzie za mały; ale właśnie liczyłam na to, że może być z tego ładna sukienka. Teraz zacznę myśleć i zbierać powoli te rzeczy o które prosisz.

Nie dziw się, że ja piszę: „...pozwoli zbierać...”. Moja astma czyni i wiele rzeczy normalnych ciężkimi do wykonania. Do nich należy załatwianie sprawunków. Miesiące schodzą czasem zanim sobie kupię coś, o jest mi bardzo potrzebne. Bo gdy mam więcej pracy — nie mogę robić rzeczy, które mnie tak męczą, że muszę odpoczywać potem — muszę wszystkie siły zużywać na samą pracę. W dodatku praca nie zawsze daje dochody. Jest wiele takiej pracy którą obowiązki różne każą wykonać — chociaż ona nic nie przynosi. I tak muszę dziękować Bogu, że na tyle się wyleczyłam, że mogę tyle pracować. Moi studenci bardzo mnie cenią i lubią, i mam wśród obecnych i byłych studentów grupę bardzo mi oddanych.

Bardzo mi było przykro, że na gwiazdkę nie mogłam zrobić sama paczki — ale bałam się polegać na moich niepewnych siłach i napisałam do New Yorku by posłali — znowu. Napisz mi czy te paczki są zadowolające — i napisz co tam brakuje: wtedy od czasu do czasu pošlę sama paczkę z temi brakującymi rzeczami.

Piszą tutaj, że można w liście posyłać papierowe dolary i, że dochodzą. Jeśli to prawda — byłoby bardzo dobrze — bo od czasu do czasu włożyłabym 5 albo 10 dol. — to by Ci pomogło. Mam nadzieję, że Anielcia za posłane pieniądze wyjedzie znowu na wypoczynek. Musi koniecznie. Zdrowie jest najważniejsze.

Od Janka dostałam jeden list. Niestety przestałam się z nim rozumieć i listy jego sprawiają mi ból.

Napisz znowu i ja wkrótce napiszę.

Serdeczne ucałowania.

Maryla

[Dopisek na górze listu:] Dlaczego Anielcia nie pisze, bardzo, bardzo proszę o jej listy. Rzykuję i wkładam jednego dolara. Napisz zaraz czy doszedł?

19.

29 listopad [1948]

Kochany Janku!

Masz rację, że przestałam pisać — bo za dużo jest do napisania. Piszesz, że chcesz byśmy się dogadali, czy wątpisz, czy ja pragnęłam? Ale po Twoim ostatnim liście prawie straciłam zupełnie nadzieję. Dobrze, że nasze różnice są tylko w dziedzinie sztuki. Bo tylko wtedy takie różnice mogą nie wpłynąć na wzajemne uczucia.

Piszesz, że wiesz o tem wszystkim co ja pisałam — jesteś dumnym z Twych przekonań? Jakie to robi wrażenie? — wiesz sam, — sam dajesz odpowiedź: „poczułem wstrząs obrzydzenia” — w tyłu, tyłu miejscach na Twych stronicach są takie sądy: [skreślenia] zupełnie słuszne. Czy obejmują wszystko [skreślenia] zgodnie. Mogłam dawniej łudzić się, że to ignorancja, ślepotą — a to tylko liczenie na ignorancję innych — pewność braku reakcji.

Przyślij mi krytyki Twojej książki*. Chcę wiedzieć co Ci zarzucają i jak na te zarzuty odpowiadasz. To dopiero da mi pełny obraz znaczenia Twego pisania i jego miejsca. Pojedynek z kukłą, która nie może odparować ciosów — jest bardzo tanim zwycięstwem. Dzieło sztuki musi dowieść, że znosi światło krytyki.

Ciekawszym niż samo tłumaczenie drogi tabaczej, są komentarze do niej. Widziałam dużo rzeczy u pewnych przyjaciół równie prawdziwych jak biały niedźwiedź pędzący za tramwajem; zapewniam Cię, że równie śmieszne a mniej uczciwe.

Obraz z drogą tabaczną dał ktoś, kto czuł wstrząs obrzydzenia; to, że był pokazany 15 czy 20 lat temu było rejkojnią, że te drogi zginą. Gdy takie obrazy są malowane i poządane to... Po tym TO możemy wsadzić to wszystko co jest między Twoim i moim pojęciem sztuki — między moją i Twoją granicą wstrząsu obrzydzenia itd., itd. Czy jest możliwym byśmy się w sztuce dogadali, byśmy czuli te same wstrząsy obrzydzenia?

Śląc Wam życzenia świąteczne i Noworoczne o tem dogadaniu się przede wszystkim myślę.

Czy masz fotografię małej? Przyślij mi.

Posyłam paczuszkę, która niestety bardzo się spóźni; to jest rezultat niedoświetła fizycznego, które mi tak utrudnia życie i pracę.

Życzę jeszcze raz wszystkiego najlepszego Wam obojgu i małej.

Wasza Maryla.

* W 1948 roku ukazało się pierwsze wydanie książki *O „Lalce” Bolesława Prusa* (Warszawa 1948).

20.

10 grudnia [1948]

Christmas Greetings
and
Best Wishes
for
a Happy New Year

Droga Kaziu i Anielciu.

Niedawno wysłałam do Was list z włożonym dolarem. Chciałam spróbować, czy można w ten sposób wysłać pieniądze, mi mówiono, że niektórzy tak robią. Trzeba naturalnie tylko w małych ilościach, bo zawsze jest ryzyko. Teraz ryzykuję znowu i kładę też dolara. Napiszcie mi czy oba doszły. Na razie piszę, by przesłać moje gorące życzenia świąteczne. Już bardzo, bardzo dawno nie miałam listu od Anielci a obiecała, że będzie pisać. Napisz dziecino o sobie, Twoich studiach i zdrowiu.

Nie wiem czy Hanka M. przyjechała. Dowiem się, czy będzie mogła coś dla Was zabrać. Ja ostatnio jestem szalenie zajęta. Dekoruję polską restaurację dla byłych żołnierzy. Musimy sobie wzajemnie pomagać. Piszcie i dajcie się ucałować od Waszej Maryli.
Maryla.

21.

15 grudnia [1948]

Christmas Greetings
and
Best Wishes
for
a Happy New Year

Droga Kaziu i Anielciu.

Przesyłam Wam najserdeczniejsze życzenia świąteczne, czy kiedyś spędzimy je znowu razem?

Wysyłam paczkę, jedzenie trochę ubrania. Napiszcie gdy dojdzie. Mam nadzieję, że Anielcia napisze do mnie. Po świętach napiszę więcej. Tymczasem całuję Was gorąco.
Wasza Maryla.

Załączam dolara.

From a Polish Christmas Carol:
All nations now rejoice
To hear the angel's voice
„The Christ is born in huma form
And earth is glad this holy morn!”

22.

21 kwiecień [1949]

Droga Kaziu!

Nareszcie zdaje się, że nasza korespondencja się ureguluje i mam nadzieję, że i paczki też. Zmartwiłam się, że Twoja paczka przez Szwecję nie doszła. Pisałam do Ciebie i do Madzi, że wysyłam jednocześnie dwie oddzielnie. Mogłaś się domyślić, że Madzia sama, bezpośrednio do mnie daje o sobie informacje, które mogą umożliwić właściwą wysyłkę paczek. Tylko mi sama pisała, że dostaje od siostry paczki — ale prosiła mnie bym im nie posyłała rzeczy tylko Tobie. Mając teraz wymiary, powoli będę mogła zaopatrzyć Was we wszystko, co Wam jest i będzie potrzebne. Ale musisz być trochę wyrozumiała jeżeli nie zawsze będzie wszystko tak, jak ja bym chciała i jak Tyś myślała. Ale zawsze napisz SZCZERZE, co szwankuje — bym mogła unikać błędów następnym razem. Żywnościowe dotąd próbuję w różny sposób — te przez Szwecję — nie wiem nawet co zawierają — ale z tego, co Madzia pisze były tam dobre rzeczy — więc zaraz obstałowałam znowu dla Ciebie. Już przedtem kazałam wysłać jedną przez firmę tutejszą — a jedną zrobiłam sama — znajoma wysłała — przez to różne nazwiska. Gdy sama wysyłam mogę dobierać co chcę, więc piszcie co najważniejsze. Napisz więcej o Twym życiu, z kim żyjesz, jak dajesz sobie radę z codziennymi sprawami — czy gotujesz sama, czy masz kuchnię, napisz o wszystkim.

Całuję Cię mocno.

Maryla.

23.

26 maja [1949]

Droga Kaziu!

Twój list z 24 IV dostałam 15 maja. Nie tak źle. Wdzięczna Ci byłam, żeś napisała, które paczki doszły — ucieszyłam się, że i ta przez Szwecję też wreszcie doszła. Gdyś mi napisała, że nie doszła — tylko jedna dla Madzi, zmartwiłam się i zaraz chciałam obstałować taką samą — ale mi dano znać, że już nie wysyłają. Od ostatniej paczki, o której piszesz wysyłam trzy paczki żywnościowe. Teraz lepiej to sobie urządziłam. Mam już sporo ubrania — co dostałam — ale muszę jeszcze parę rzeczy dokupić — dlatego czekam.

Jest od kilku tygodni strajk tramwajowy i jestem uwięziona — do szkoły wożą mnie studenci. Jak tylko dokupię suknię dla Ciebie i szlafrok — zaraz wyślę. Paltro letnie dostałam — jest jasne. Tutaj nawet stare panie takie noszą — pani Toeplitz ma takie samo. Nie wiem czy będziesz zadowolona. Teraz nowe rzeczy, o ile nie są bardzo drogie — są bardzo liche — lepiej jest czasem mieć rzecz używaną ale przedwojenną — nie nową lichą. Kombinuję jak mogę. Ja też obnaszam przedwojenne rzeczy. Pisz zawsze co sobie życzysz. Nie wiem co to są jajeczka herbaciane? Nie widziałam. Napisz co to jest. Czekoladę bardzo trudno dostać — dlatego nie przysyłam tyle ile bym chciała — raz dostałam kilka paczek — mam nadzieję, że ta paczka doszła.

Powtarzam to, co już raz napisałam, że Janek pisał, że jego przyjaciel jedzie do Szwajcarii i będzie u pana Toeplitza. Posłałam 100 dolarów a także, by kupić czekolady dla Was i Madzi — jeżeli byś chciała coś jeszcze, to napisz do pana T. by ten pan J. kupił Ci co

chcesz. Byłam bardzo niespokojna o Anielcię, gdy słyszałam, że miała temperaturę. Będę spokojniejsza, gdy będę wiedziała, że są pieniądze na jej wyjazd, gdyby tylko znowu czuła się zmęczona. Napisz mi więcej o swoim życiu, jak się urządziłaś, co robisz, z kim się komunikujesz. Napisz też więcej o losach rodziny — Madzia pisała ale nie o wszystkich. Co się stało z Heniem Lande i jego żoną? Tadzikiem Sieleckim, z Wackiem Milenskim i jego rodziną, Hanką Gluksman, Stasiem Sacksem i Zuzią. Gdzie są Korallowie? Napisz co wiesz.

W następnym liście napiszę Ci więcej o sobie. Czy Madzia wyjechała z Krakowa? Całuję Cię Bardzo mocno.

Twoja Maryla.

Droga Anielciu, napisz znowu do mnie dziecino — chcę Cię poznać lepiej. Napisz mi coś więcej o sobie. Całuję Cię bardzo mocno.

Twoja Maryla.

SUPLEMENT

Jan. 15. 1950

Stycz. 15. 1950

Droga Pani Kott,

zapewne już doszły wiadomości do Pani, że siostra Pani — Maria Werten — umarła 4-go grudnia 1949 roku. Jest pochowana tu w Los Angeles Ja zostałam wymieniona przez śp. Werten administratorką.

Na pewno Pani wiadomo, że żadnego majątku nie zostawiła śp. Maria. Miała tylko na banku złożone \$597.75, które są nam potrzebne na pokrycie kosztów pogrzebowych.

Ja mogę podać tu na sąd testament p. Marii jako administratorka, tylko koszta sądowe są tak wielkie, że nie zostało by się nam dosyć na pokrycie kosztów.

Po długiej rozmowie z dyrektorem banku, zgodzili się na to, że jak Pani jako siostra podpisze załączony papier przed notariuszem i odeśle mi — to oni wydadzą te pieniądze. W ten sposób oszczędzimy sądowe koszta i na pewno zostanie się trochę pieniędzy, które wolę przysłać Pani aniżeli dać tu sądowi.

Jestem pewna, że Pani zgodzi się ze mną, że lepiej zaoszczędzić te trudno zarobione pieniądze przez panią Marię.

Dziękuję z góry za wszystkie załatwiania tej sprawy.

Z szacunkiem

Jadwiga Olszewska

Pani podpisze w dwóch miejscach naznaczonych X.

LISTY JERZEGO STEMPOWSKIEGO DO JANINY I WACŁAWA KOŚCIAŁKOWSKICH

Wacław LEWANDOWSKI (Bydgoszcz)

Prezentowany poniżej korpus korespondencji Jerzego Stempowskiego do Janiny i Wacława Kościałkowskich jest jednym z mniej obszernych, jakie pozostawił po sobie słynny eseista, zarazem ostatni z tytanów epistolografii. Zrazu kontakt listowny był w miarę regularny, gdy trwał jeszcze czas wojenny, a Stempowski organizował przerzut Wacława Zyndram-Kościałkowskiego z Francji do Szwajcarii. W latach powojennych wymiana listów była nieregularna, odbywała się z dużymi przerwami, uzasadnionymi względnie częstymi spotkaniami (Kościałkowscy często bywali w Szwajcarii). Dzieje znajomości i przyjaźni ze Stempowskim Kościałkowscy nakreślili we wspomnieniach napisanych dla „Wiadomości”, a przedrukowanych tutaj zamiast komentarza do listów.

Z uwagi na to, że „Archiwum Emigracji” jest czasopismem adresowanym do znawców i badaczy problematyki emigracyjnej, do minimum ograniczono edytorskie komentarstwo. Z zasady nie objaśniano oczywistych zwrotów obcojęzycznych, nie umieszczono przypisów prezentujących sylwetki pisarzy, których nazwiska wymieniane są w listach, powstrzymano się też od wyjaśniania napomknień o najważniejszych czasopiśmiech emigracyjnych („Kulturze” i „Wiadomościach”) oraz o autorach piszących dla tych periodyków.

Pisownię Stempowskiego zasadniczo zmieniono, przystosowując do obowiązujących reguł ortografii, pozostawiono natomiast te „ortograficzne archaizmy”, które nie mają wpływu na czytelność tekstu a służą zachowaniu kolorytu pisarstwa sprzed lat kilkadziesiąt.

LISTY

1.

Muri près Berne, 23.VI.1941
Rainweg 30.

Kochany Panie Wacławie,

Dziś z rana dostałem Pański list i jestem bardzo wzruszony Pańską pamięcią i smutnymi wiadomościami, jakie list ten zawiera. Nic nie wiedziałem o losach pani Ireny¹ ani o Panu prócz tego, że był Pan razem z p. Augustem². Myślałem nawet, że Pan i teraz jest z nim razem. Okazuje się, że *non omnibus licet adire Corinthum*.³ Widzę z Pańskiego listu, że i Pana trzyma się ta sama melancholia co i mnie i wielu jeszcze innych, których okoliczności zapędziły w ślepe ulice. Wielu też myśli o powrocie, i ja też przez długi czas o tym myślałem, nie chciałem odjeżdżać daleko od gór granicznych, a i potem sondowałem grunt na ten temat. Myślę jednak, że o tym teraz przynajmniej nie można marzyć. Mam o tym dość pozytywne wiadomości, i moi korespondenci, wiedząc o moich zamiarach, 9 razy już dawali mi znać, żebym pod żadnym pozorem tego nie robił i wyjaśnili mi nawet dokładnie, jakie byłyby skutki tego kroku. Na razie tam nic się nie poprawiło. Nawet zmiana stosunków między wielkimi spadkobiercami⁴ nie przyniosła żadnej ulgi, jak się tego spodziewano. Zmiany te mogą jeszcze przyjść, i trzeba na razie czekać ich wystąpienia. Chciałbym bardzo przedtem zobaczyć p. Augusta, ale nie wiem, czy się to uda. Myślę zresztą, że tam też nie ma na razie nic interesującego, i że na to też przyjdzie swój czas, i że my obaj może jeszcze się tam zobaczymy. Daj Boże zdrowo doczekać! Te wyrazy uchodzą teraz za emigranckie pozdrowienie. Mówi się je tak, jak dawniej Żydzi mówili: *L'an prochain à Jerusalem*⁵.

Okazało się, że przewidzieć przyszłość było dziecinną igraszką. Trudno nawet dziś i nudno opisywać, jak dokładnie i szczegółowo przyszłość ta była otwarta dla wszystkich, kto chciał zadać sobie trud jej odczytania. Jeszcze w 1931 Askenazy stojąc ze mną przed budującym się Muzeum Narodowym, powiedział: „Że też ludzie mają jeszcze zdrowie budować w tym mieście przeznaczonym na zagładę. Widzę już niemal lotników niemieckich rzucających bomby na tę ulicę”. I po chwili dodał: „Jest największą naiwnością myśleć, że Niemcy mogą przekroczyć granicę w Zbąszyniu bez tego, aby bolszewicy musieli ją przekroczyć w Baranowiczach Niemcy bowiem będą musieli prędzej czy później dojsz do Baranowicz bolszewicy muszą więc wyjść na ich spotkanie, aby zyskać na czasie i przestrzeni. Czy wejdą do nas jako alianci Niemiec czy jako alianci Anglii, będzie to zależne od przypadkowej gry aliantów tego dnia, ale fakt przekroczenia granicy jest od tego niezależny i jest wynikiem prostego mechanizmu wypadków, niezależnego nawet od tych lub innych intencji rządów”. Przewidywać więc jest rzeczą łatwą, trudniej jest przedsięwziąć coś rozumnego na podstawie słusznych przewidywań. Askenazy zmarł ze zmartwienia w parę lat po tej rozmowie. Ja wycofałem się w Karpaty i na dwa miesiące już przed wojną byłem całkowicie gotowy do spotkania mego obecnego losu. Niestety wszystkiego nie można przewidzieć. Kiedy z Węgier wracałem jesienią do zajętej już przez bolszewików granicy Galicji w celu wyprowadzenia stamtąd najbliższych przyjaciół, mój towarzysz podróży w tej najdzikszej części gór wpadł w ręce patrolu sowieckiego, mój przyjaciel, po którego wracałem, zmarł na zapalenie płuc w dzień później, a ja też dostałem nazajutrz zapalenia płuc, z którym miałem iść trzy dni przez góry do naj-

bliższego zamieszkałego miejsca, nie wiedząc nic o losie towarzyszy, o którym dowiedziałem się w 2 miesiące później, kiedy mnie na wół sparaliżowanego odstawiono z górskiego szpitala do opuszczonego schroniska. Tam przezimowałem w zupełnej samotności, odżywiany przez miejscowych przemytników, którym najwięcej zawdzięczam w tych przygodach. Byłem wtedy tak długo sam na sam ze śmiercią, która wydawała się nieunikniona i nawet zupełnie rozumna, że oswoiłem się z nią całkowicie i czuję się tylko na czasowym od niej urlopie. Wróciwszy tu do zdrowia zacząłem pisać wspomnienia. Żyję tu w dość dobrych warunkach, ale dość melancholijnie. Bardzo się cieszę odnalezieniem Pana i mam nadzieję, że będziemy do siebie często pisywać. Ukłony dla Matki Pana i najserdeczniejsze pozdrowienia i zapewnienia przyjaźni przesyła szczerze oddany
Jerzy Stempowski

¹ Irena z Bączkowskich Kościalkowska, bratowa Waława Kościalkowskiego, mieszkała w Warszawie, od września 1939 przebywała w Wilnie jako uchodźca wojenny.

² August Zaleski (1883–1972), w latach 1939–1941 minister spraw zagranicznych w rządzie RP na uchodźstwie, od 1947 do śmierci prezydent RP na uchodźstwie.

³ Nie każdemu dozwolono przyjść do Koryntu. Parafraza zdania: *non cuius homini contingit adire Corinthum* z Horacego (*Listy* I, 17, 36), w przenośnym znaczeniu: nie każdemu dano osiągać najwyższe cele.

⁴ Chodzi o atak hitlerowskich Niemiec na Związek Sowiecki, dotychczasowego sojusznika.

⁵ (fr.) [Do zobaczenia,] przyszłego roku w Jeruzalem.

2.

Muri près Berne, 3.VIII.1941
Rainweg 30.

Kochany Panie Waławie,

Bardzo dziękuję za list z 17.VII, ze skargami na endeków. I ja też nie wiem, co z nimi robić, bo ich jest wszędzie niemało. Być może w kraju wypadki same wreszcie wyleczą ludność z tej choroby. Ile razy na nich patrzę, zawsze ogarnia mnie smutek, bo tracę nadzieję, aby Hitler mógł być zwyciężony, jeżeli nawet wśród Polaków liczy wciąż tak wielu zwolenników.

Pewnie już Pan wie, że p. August porzucił dotychczasowe stanowisko z okazji umowy z Sowiecami. Czytałem uważnie tę umowę, jej protokole annexe, mowę Majskiego etc. i nie mogę domyśleć się w jaki sposób ta umowa, świetna bo nic nie mówiąca i niczego nie przesądzająca, mogła dać asumpt do tak wielkich i w tych warunkach zbytecznych scysji. Myślę, że tam chodziło o coś innego i umowa stanowiła jedynie pretekst¹. O ile Pan o tym coś wie, bardzo prosiłbym o tę wiadomość.

Wczoraj bolszewicy celebrowali bardzo tę umowę w swoim radiu, dowodząc, że Rosja musi na zachodzie opierać się o silną Polskę i silne Czechy. Komunikat polski z Moskwy skądś dawniej głądził tylko przez parę minut jakiś niższy agent bylelej ochrony, rozwinął się jak róża. Posłyszałem stamtąd mowę mego wileńskiego znajomego, młodego literata imieniem Jerzy Putrament, zresztą wcale nie komunistę i który nie figurował nawet pod deklaracjami o gotowości do współpracy, podpisanymi latem 1940 przez Ludwika Chomińskiego² i innych wileńskich intelektualistów. Dziwne i nie bardzo bezpieczne czasy. Неръвен час, jak mawiał w takich okolicznościach Sawinkow³.

Niemcy nagle porzucili zupełnie myśl parcelacji Rosji, do której przygotowywali się całą zimę. Kiedy utworzony w Berlinie rząd litewski Škirpy⁴ podjął powstanie na Litwie i już 23.VI opanował Kowno i bezcenne dla Niemców mosty na Niemnie, już po 2 dniach cofnęli go do Berlina, gdzie siedzi w rodzaju Ehrenhoff⁵. Ogłaszanej przezeń niepodległości Litwy nie uznano, a przedwczoraj okrojowano Litwie statut podobny do Gubernatorstwa. Cały zarząd w rękach niemieckich, Litwinom wolno zasiadać tylko w radach gminnych, zresztą mających głos doradczy.

Jeszcze większa niespodzianka czekała Ukraińców, z którymi naprawdę źle się obezšli. Nawet wyraz „Ukraina” już nigdzie nie figuruje i jest niecenzuralny jak „Polska”. Radio niemieckie przemawia po ukraińsku do zadnieprzańców mniej więcej takim językiem: „Niemcy przedsiębrały einen Vernichtungskrieg i wszelki opór będzie złamany bez litości. Kto będzie oporny, zginie marnie. Już teraz w miastach zajętych przez Wehrmacht nie ma ani jednego żywego Żyda (Grodno, Białystok, Mińsk!). Ten sam los czeka wszystkich opornych. Kto chce ująć z życiem, niech rzuci broń i poddaje się na łaskę i niełaskę”. Sam słyszałem taki dyskurs nadawany przez stację warszawską 30.VI. Łatwo wyobrazić sobie wrażenie takich mów, godnych samego Dżengis Chana, na zadnieprzańcach. W ten sposób Niemcy, nie dając żadnej innej alternatywy poza oporem zbrojnym, sami wzmocnili spoistość czerwonej armii i jej siłę oporu. W ostatnim miesiącu przeżyliśmy istotnie wielkie niespodzianki. Może to było to „das Seltsame und Unerwartete”⁶ zapowiadane przed 2 miesiącami przez Goebbelsa. W każdym razie z tego będą dziwne rzeczy. Emigranci zmuszowani przez Niemców przeszli straszne rozczarowania i szybko zmienili orientację. Wielu już trafiło, zdaje się, do obozów. Gdyby mu dali paszport, sam Skoropadski⁷ byłby już tu na śniadaniu u Brytanów.

Jako Seltsames und Unerwartetes zasługują na uwagę awanse niemieckie pod adresem polskim. W tut[ejszych] pismach ukazały się 3 artykuły, dowodzące, że Niemcy nigdy nie zamierzali wykreślić Polski z mapy Europy i dotąd robiły to tylko pod presją Stalina. Ponieważ układ z Rosją już nieważny, odtworzenie państwa polskiego nastąpi niebawem. Niemcy ukontentują się Poznańskiem i Pomorzem, wszystko inne jest do dyskusji. W artykułach są nawet bardzo uprzejme słowa pod adresem Sikorskiego. Najzabawniejsze, że wszystkie te artykuły, świetnie poinformowane wyszły z poselstwa niemieckiego i dzięki temu nie zostały zatrzymane przez tutejszą cenzurę. Podobne rzeczy ukazały się również na Węgrzech, z tym dodatkiem, że do Gubernatorstwa dołączone zostaną kresy i Galicja Wsch[odnia], skąd Ukraińców Niemcy wysiedlą za Zbrucz. Dziś przysłała nawet wiadomość, że to prawda, i że przyłączenie Galicji Wsch[odniej] już się odbyło.

Trudno powiedzieć, co to wszystko znaczy, bo w Warszawie sytuacja pozostała bez zmian. Represje trwają nadal, prowadzone równoległe przez Gestapo i Heerespolizei. Głód doszedł do paroksyzmu, bo 5 milionów żołnierzy zjadło wszystko, co było. Ponieważ racje ich były niedostateczne, wojskowi kupowali nadto co się dało na wolnym rynku. Toteż ceny chleba doszły w czerwcu do 15–25 zł. za kg, masła do 50–60 zł. za kg. W ghetto warszawskim w czerwcu umierało z głodu po 300 osób dziennie. Na ulicach leżały trupy, które grabarze gminy żydowskiej, sami osłabieni głodem, zbierali dopiero wieczorami. Słyszałem to wszystko od świadków naocznych.

Byłbym bardzo ciekawy, czy artykuły polonofilskie inspirowane przez placówki niemieckie ukazały się także we Francji. Jeżeli tak, byłbym Panu bardzo wdzięczny za ich łaskawe zasygnalizowanie i, o ile Pan je posiada, streszczenie. Trzeba sobie zdać sprawę z tego zjawiska i jego natury. Może w tym być też coś interesującego.

Jurkiewicz⁸ ma tu być w najbliższych dniach, omówię z nim sprawę ewentualnego spotkania z Panem.

Nic nie wiem o Bartlu bo stamtąd nie przeniknęły tu jeszcze żadne wiadomości. Może teraz, po przyłączeniu, będzie to łatwiej. Bardzo obawiam się o losy wielu moich lwowskich znajomych, bo były tam straszne *Greuelthaten* nie tylko te, które opisywała prasa niemiecka, ale i inne, być może dużo gorsze. Z korespondencji pism niemieckich wynika, że przywieziono tam szajki tresowanych gromicielei, które przez kilka dni grasowały po mieście polując na Żydów i nie tylko na nich. Może i tam doszło do tego, co speaker warszawski mówił o Grodnie i Białymstoku.

Na razie nigdzie się stąd nie wybieram, bo tu teraz jest tymczasem spokojnie i bliżej do kraju. Od samego przejścia granicy nie chciałem od niej odchodzić, obawiając się emigracji. Panowie są młodzi i nie widzieli emigracji po 1905, a ja dobrze ją pamiętam. *Vestigia terrent!*⁹ Oczywiście skorzystałem z tej nauki i tu jestem dzikim emigrantem, chodzącym własnymi drogami i pokazującym się jak najmniej poza swoją osadą nad Aare o błękitnych wodach. Zresztą tu brak zupełny emigrantów poza internowanymi. Może i trzeba będzie pojechać stąd do p. Augusta, ale odkładam to na czasy, kiedy już będzie coś do zrobienia konkretnego, bez potępieńczych swarów.

Czy widuje Pan czasami pisma polskie z Londynu? Pisuję do nich czasami i jestem drukowany w „Wiadomościach”, w których Grydzewski nadal pracuje, ale głównym redaktorem jest Zygmunt Nowakowski.

Moje wspomnienia nie doszły jeszcze do czasów bartłowskich¹⁰. Dzielę je na 3 trzony. Pierwszy dotyczy czasów sprzed 1914 i nad tym teraz pracuję. Mam wrażenie, że niedługo nikt sobie nie będzie mógł wyobrazić, jak ludzie żywali za spokojnych czasów, i jak wyglądała cywilizacja europejska w okresie swej świetności. Dlatego chciałbym spisać to, co widziałem i pamiętam. Piszę o tym z wielką przyjemnością, i kilka materiałów drukowały „Wiadomości”. Zresztą piszę je po francusku, żeby nie zrobić z nich rękopisu włożonego do butelki i wrzuconego do morza.

Proszę o mnie nie zapominać. Najserdeczniej pozdrawia Pana szczerze oddany

Jerzy Stempowski

¹ 12 lipca 1941 r. minister Zaleski zgłosił kontrpropozycję wobec proponowanego przez Majskiego brzmienia traktatu, obejmującą m.in. gwarancję zwrotu Polsce ziem zajętych przez Sowiety po 17 września 1939 oraz uznanie za obywateli polskich wszystkich mieszkańców ziem wschodnich, którzy posiadali polskie obywatelstwo w dniu 16 września 1939. Ponieważ na posiedzeniu Rady Ministrów 25 lipca 1941 większością głosów postanowiono podpisanie układu „Sikorski-Majski” bez takich gwarancji, ministrowie głosujący przeciw umowie (Seyda, Sosnkowski i Zaleski) podali się do dymisji.

² Ludwik Chomiński, ziemianin, publicysta, wydawca. Związany z ideologią wileńskich „krajowców”, współpracownik „Gazety Codziennej” Józefa Mackiewicza. W podziemiu kierownik Wydziału Rolnictwa Okręgowej Delegatury Rządu w Wilnie. Stempowski myli się, zarzucając Chomińskiemu deklarowanie gotowości do współpracy z sowieckim okupantem, najprawdopodobniej wprowadzony w błąd przez informatorów. Przeciwnicy „Gazety Codziennej” zarzucali jej kolaborację z „okupantem litewskim” w okresie, gdy Sowiety po zajęciu Wilna oddały miasto pod zarząd litewski. Współpraca „Gazety Codziennej” z Litwinami, w duchu antykomunizmu i ideologii krajowej, zakończona zresztą niemożnością osiągnięcia porozumienia i ustąpieniem naczelnego redaktora (J. Mackiewicza), prowadzona była za zgodą i wiedzą Delegata Rządu, który zasiłkował gazetę subwencją. Błędny jest także przypisanie J. Putramentowi braku związków z komunizmem. Oczywiście, jak inni komuniści, w czasie rządów litewskich Putrament żadnych deklaracji nie ogłaszał, zresztą w 1940 roku był już w ZSRS, nie w Wilnie.

³ Borys Wiktorowicz Sawinkow (1879–1925) polityk rosyjski, przywódca organizacji bojowej socjalistów-rewolucjonistów, antykomunista. Po zwycięstwie bolszewików przeprowadził emigracyjnej antysowieckiej grupie działającej w Warszawie, wydalonej z Polski po traktacie ryskim. Zwa-

biony w wyniku prowokacji bolszewickiej do ZSRS, zgładzony (wg wersji sowieckiej zmarł śmiercią samobójczą). Sawinkow był jedynym rosyjskim bojownikiem antykomunistycznym i antycar-skim, który zdecydowanie opowiadał się za prawem Ukrainy do niepodległości. Ukrainką była jego matka, toteż cytowane wcześniej powiedzenie „nierówny czas” pochodzi z języka ukraińskiego.

⁴ Premier tego rządu Kazimierz Śkripa był w 1938 r. (po polskim ultimatum) pierwszym po-słem Republiki Litewskiej w Warszawie.

⁵ (niem.) ironicznie: pałac [dla] zasłużonych.

⁶ (niem.) nieoczekiwane i niespodziewane [zmiany w polityce].

⁷ Pawło Skoropadsky (1873–1945), Ukrainiec ze zruszczonej rodziny, generał w służbie car-skiej. W 1918 roku Hetman Ukrainy, z woli niemieckich władz okupacyjnych. W wyniku ogólno-ukraińskiego powstania obalony, zmuszony do ucieczki do Berlina.

⁸ Stanisław Jurkiewicz, znajomy Stempowskiego z czasów przedwojennych, jako wychodźca wojenny przebywał we Francji.

⁹ (łac.) ślady odstraszaają. Parafraza wypowiedzi lisa z Ezopowej bajki, w wersji łacińskiej spo-pularyzowana przez Horacego (*Listy* I, 1, 74).

¹⁰ Tj. lat po przewrocie majowym. Stempowski był szefem gabinetu premiera K. Bartła.

3.

Muri, 15.IX.41
Ponztalès str. 103

Kochany Panie Waclawie,

Dziękuję za list z Tuluzy z 12.IX. Ładosiowi¹ oddam Pański list. Gdyby p. Irena tu się zjawiła może Pan liczyć na to, że się nią akuratnie zaopiekujemy, i niczego jej nie zabraknie. Natomiast sprowadzenie jej tu nastęrcza największe wątpliwości, na razie przynajmniej. Polska jest krajem przyfrontowym, hermetycznie zamkniętym, i nikt stamtąd w tym roku nie wyjechał. Nawet obcy obywatele są wypuszczani po wielu cere-gielach. Tu był przed kilku dniami jeden amerykański obywatel, który wyjechał z War-szawy niedawno i o tym bliżej opowiadał. Tak samo wyjechać do Gubernatorstwa stąd jest prawnie niemożliwe, nawet dla tych, którzy mają tamtejsze papiery wyrobione u władz gubernatorskich, a ostatnio nawet Szwajcarzy jadący do Berlina spotykają z niezwykle trudnościami i wizy dostają tylko znani Niemcom i im na coś potrzebni ludzie. Zresztą stosunki szwajcarsko-niemieckie są złe i sprawiają dużo zmartwienia.

To wszystko biorąc pod uwagę trzeba spróbować tego co się da. Pani Irena jest na terenie Litwy, gdzie muszą być trochę inne warunki. Trzeba będzie pomówić z Litwina-mi, i zrobię to w najbliższych dniach. Może powiedzą mi coś rozumnego. Litwini są teraz też w opozycji, i lojalność ich jest wciąż podejrzewana, trzeba więc i tą drogą chodzić ostrożnie, żeby panią Irenę nie wtrącić w jakąś nową kabałę.

Z panną A.N. porozumiem się na razie listownie. Nie wiem, co ona może zrobić przy tych stosunkach, jakie tu wytworzyły się między niem[ieckim] półpredstwem² i ludno-ścią, ale to zobaczymy.

Zresztą najpilniejszą rzeczą wydaje mi się pomoc dla pani Ireny na miejscu, gdzie w każdym razie będzie musiała jeszcze dłuższy czas zostać. Nie wiem np. czy tam już do-chodzi poczta. Czy Pan coś o tym wie, bo tu nic nie wiadomo? Stamtąd listy jeszcze nie przychodziły, podobnie jak ze Lwowa, bo to jest pas przyfrontowy. Nie wiem też, czy z Lizbony tam można posyłać paczki pocztą, bo mi Lizbona nic dotąd nie odpowiedziała. Czy Pan ma możliwość posłania pieniędzy do Lizbony? I czy ma Pan tam jakiegoś przy-jaciela, który tym mógłby się zająć? Ja ze swoich przyjaciół nie jestem bardzo zadowolony, bo zbyt powoli to robią. Jeżeli tylko komunikacja pocztowa z Wilnem już nawiązana

i można posyłać paczki pocztą, pani Irenie można bardzo ułatwić życie i dostarczyć funduszków. To jest według mnie najważniejsze, bo ci, co tam mają trochę pieniędzy, żyją nienajgorzej i nic im na razie nie grozi. Proszę przede wszystkim myśleć teraz o tej stronie sprawy, bo to jest najpilniejsze i skuteczne. Z tutaj[niejszymi] władzami nie będzie żadnego kłopotu, i to jest iura posterior[?]³.

Ponieważ mam pewne stosunki i koresponduję z Lizboną, proszę łaskawie o wiadomość, co Pan tam załatwił, żebyśmy mogli z dwóch końców tę sprawę wypchać tam.

Tu zrobiło się bardzo zimno, a w Petersburgu już padał śnieg. Jeżeli tak dalej pójdzie, będziemy mieli napoleońską zimę zamiast Hitlerwetter. Straszno myśleć, w jakim stanie wyjdzie z tego ta biedna Europa Wschodnia i my z nią razem. I jak tam poczują się Włosi, którzy mają teraz jechać na Ukrainę.

Najserdeczniejsze pozdrowienia i dłoń ściskam.

Szczerze oddany

J.S.

¹ Aleksander Ładoś (1891–1963), od 1940 roku chargé d'affaires ad interim w Szwajcarii, z uprawnieniami posła RP. Stempowski współpracował z poselstwem w Bernie, m.in. organizował przerzut kurierów do Francji.

² (ros.) poselstwem.

³ (łac.) tu prawdopodobnie: z prawnego punktu widzenia uzyskanie zgody władz szwajcarskich jest sprawą późniejszą (mniej pilną).

4.

Muri, 17.IX.41

Kochany Panie Waławie,

Widziałem tu niedawno p. St.[aniława] Jurk.[iewicza], który mówił mi, że odwiedzi Pana w końcu tego miesiąca. Proszę się z nim skomunikować w sprawie pomocy dla p. Ireny przez Portugalię. Dziś dostałem list od panny Marii-Antoniny*. Być może zobaczymy się z nią w najbliższych dniach i rozważymy, co i jak będziemy mogli zrobić. Nadzieje na przyjazd są małe, dopóki Wilno zostaje w pasie przyfrontowym i dopóki tam stosunki pozostają takie same. Czy p. Irena ma jakiś paszport? To byłaby rzecz bardzo istotna w tych wszystkich staraniach. Czy ma Pan już listy od niej bezpośrednio z Wilna? To też jest niezwykle ważne, bo zależy od tego skuteczność pomocy z Lizbony. Proszę łaskawie dać mi znać, kiedy otrzyma Pan pierwszy list bezpośrednio z Wilna.

Najserdeczniejsze pozdrowienia łączy szczerze oddany

J.S.

[Karta pocztowa. Nadawca: Exp. J. Stempowski, / Ponztlès str. 103, / Muri près Berne. Adres: Mousieur/ W. Koscialkowski/ Hôtel Bellevue/ Lourdes (H^{tes} Pyzenées)/ France. Stempel: Muri (Berne) 17.IX.41]

* Maria-Antonina Bortholmes, znajoma Stempowskiego mieszkająca w Neis, dama mająca rozległe znajomości w sferach dyplomatycznych.

Muri, 29.X.1941
Rainweg 30

Kochany Panie Wacławie,

Posyłam Panu w załączeniu list pani Ireny, który Pana napelni lepszymi myślami. Widać że różne rzeczy o wielkiej perspektywie, podobnie jak z listu poprzedniego. Tam jak gdyby na nas czekają. To jest niezwykle podniosłe, zwłaszcza że wiele rzeczy tam weszło nowymi, nieznanymi drogami, które tylko częściowo rozumiem.

Po odejściu specjalistów od tych spraw nie mam na razie nadziei, aby udało się sprowadzić panią Irenę tutaj. Gdyby Pan widział stosunki obecne Helwecji z jej potężnym sąsiadem, dałoby to Panu o tym dużo do myślenia. Dawniej to udawało się przez dużo potężniejsze mocarstwa, ale od przeszło roku brak jakiegokolwiek nowego przykładu. O tym jeszcze napiszę.

Dziś chciałbym poruszyć inną pilną sprawę i prosić Pana o omówienie jej łaskawie z dostojnikiem Kościoła przebywających w Pańskich okolicach.

Dostałem właśnie wiadomość ze Lwowa, że kilku tamtejszym protestantom grozi los Bartła¹, bądź w formie nagłej, bądź też w powolnej. Najbardziej dziś zagrożony jest znany uczyony od nafty prof. Stanisław Pilat². Piszą mi, że życie jego wisi na włosku. Lwowscy znajomi Pilata przypomnieli sobie, że bywał on w Japonii i wśród tamtejszych uczonych i przemysłowców naftowych liczy potężnych przyjaciół. Sądzę, że jedynie interwencja tych przyjaciół może go ocalić.

Niestety poselstwo Atlantydy³ w Tokio zostało właśnie zlikwidowane przez nowy rząd, i tą drogą trudno coś wskórać. Ambasada Angielska i Stanów Zjednoczonych rozgrywają tam grę o największą stawkę i prawdopodobnie nie mają ani wpływów ani sytuacji potrzebnej do wywołania tego rodzaju interwencji. Zaalarmowałem wczoraj telegraficznie główną Atlantyde⁴, ale mam wątpliwości, czy oni dziś coś mogą zrobić użytecznego.

Dla tych motywów przyszło mi na myśl, że można, być może, zrobić coś via Rzym. Wiem, że ostatnio tamtejsza ogólna atmosfera polityczna nadaje się lepiej niż jakakolwiek inna do tego rodzaju starań. Dygnitarze Watykanu mają zapewne mało tematów do konwersacji z japończykami, i to sprzyja życzliwym stosunkom. Nie wiem, jaka jest dziś sytuacja Pańskiego znajomego i jego środki komunikacji. Być może jednak mógłby coś zrobić przez swoje układy. Rzecz jest delikatna, ale któż jest bardziej powołany do rozwiązania tego rodzaju trudności?

Proszę łaskawie z nim pomówić i zawiadomić mnie o wyniku rozmowy.

Do starań tych przydatna, być może, będzie wiadomość, że na pewien czas przed wojną obecny angielski miesięcznik NATURE przedstawił w streszczeniu prace prof. Pilata, mówiąc o nim jako o „jednym z najwybitniejszych wynalazców ostatnich dziesięcioleci”. W tym charakterze właśnie Pilat był fetowany w Japonii przez tamtejszych uczonych i przemysłowców.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła szczerze oddany

Jerzy Stempowski

¹ Tj. zamordowanie przez Niemców.

² Istotnie, słynny chemik został zgładzony jeszcze w tym samym (1941) roku.

³ Tj. Rzeczypospolitej Polskiej.

⁴ Tj. rząd RP na wygnaniu.

Muri, 10 listopada 1941
Rainweg 30

Kochany Panie Waławie,

Przed paroma dniami byłem w okolicach Vevey i przy tej sposobności odwiedziłem Pańską znajomą w Chillon. Napisałem do Pana stamtąd wspólną kartkę, którą Pan już zapewne otrzymał. Bardzo piękny jest ten fragment jeziora. Z Muri wyjechałem z rana w śnieżną zadymkę, tam zaś było jeszcze ciepłe słońce jesienne. Villa Louise przypomina trochę zamek Merlina czarodzieja. Panna M.-A.* była czarująco uprzejma. Ma Pan w niej bardzo oddaną przyjaciółkę.

Omówiliśmy z nią wszystkie sprawy dotyczące pani Ireny. Może z tego coś uda się zrobić, ale wydaje mi się to bardzo wątpliwe w tej chwili, bo trudność tego przedsięwzięcia nie leży wcale tu, ale w W-wie, skąd na razie nie można wyjechać, i na co nie możemy poradzić, ani nawet nie umiemy ocenić dokładnie leżących tam trudności. Widoki więc są tymczasem niewielkie.

Na razie musimy więc starać się pomagać pani Irenie tam, gdzie się teraz znajduje. Według mego zdania nie powinien Pan jej posyłać pieniędzy, bo to jest pomoc równie kosztowna jak mało skuteczna. W stosunku do towarów w wolnym obrocie, a te tylko są ważne dla pani Ireny, złoty jest wart tylko 2 grosze. Sto złotych, które kosztuje tu 30 fr[anków] szw[ajcarskich], są tam tylko ekwiwalentem 5–6 kg. chleba. Wysłać warto tylko paczki żywnościowe z Lizbony, bo w tym wypadku proporcja między kosztami i skutkiem jest adekwatna. Kilogram kaszy, który kosztuje w Lizbonie 6–7 fr[anków] szw[ajcarskich], w kraju jest wart 150 zł. Wszystko to jest już wypraktykowane i na pewno wiadome. Niech Pan stara się nawiązać kontakt z Litwą. Proszę pomówić z Jurk.[iewiczem], o ile brak Panu innej drogi.

Bardzo dziękuję za interwencję w spr[awie] Pilata. Obawiam się jednak, że tą drogą nic nie da się zrobić. Moje wiadomości bowiem przyszły właśnie z Budapesztu, gdzie tamtej drogi już próbowano. Węgrzy nie mają w tych rzeczach żadnej instancji i nie są w stanie bronić nawet tych osób, które przebywają na ich terytorium i są ekstradowane. Cóż więc mówić o tych, którzy są zagranicą. Jediną drogą byłoby poruszenie żółtej rasy. Nie wiem, jak do tego dojść, ale to jest jedyne, co może mieć jakiś skutek. Proszę jeszcze łaskawie wrócić do tego tematu, bo na tamto nie mam nadziei.

Tu bardzo zimno i smutno. Przyszłość przedstawia się tu dziś w dość ciemnych barwach. Dla kontynentu nie widać na razie żadnej przyszłości, i pewność siebie naszych potężnych aliantów dotyczy, niestety, tylko ich samych, nie zaś ich lądowych przyjaciół. Marznę tu tak bardzo, że nawet pisać więcej nie mogę. Zimno jak w psiarni, i palce są drętwe i nieposłuszne. Nawet atrament zdaje się zamarzać w piórze.

Najserdeczniejsze pozdrowienia łączę szczerze oddany

J.S.

* Zob. przyp. w liście 4.

Muri, 10.I.1942
Rainweg 30

Kochany Panie Waławie,

Otrzymałem Pański rękopis i dwa listy. Bardzo dziękuję. Napiszę więcej innym razem. Tymczasem chciałbym donieść o najpilniejszym, mianowicie o sprawach wizowych. Tutejsi Atlanci dowiadawali się na moją prośbę, jak z tym jest, bo ostatnio dostali kilka takich wiz bez większych trudności. Proszę złożyć podanie o wizę w szwajcarskim konsulacie i wziąć o tym pokwitowanie, potrzebne do starań o wizę francuską. To pokwitowanie będzie dla p. Zab.¹ podstawą do starań o franc[uską] wizę pro itu et redite². Ewentualnie w konsulacie szwajc[arskim] mogą Panu dać list donoszący, że wizy mogą udzielić tylko po uzyskaniu Pana wizy franc[uskiej] aller et retour wówczas ten list będzie podstawą dla p. Zab.

Składając podanie w konsul[acie] szw[ajcarskim] musi Pan wymienić kanton, gdzie Pan chce mieszkać. Władze federalne, do których Pańskie podanie przychodzi, udzielają Panu wizy od konfederacji i od kantonu. Od ustosunkowania się tego ostatniego zależy, czy sprawa ta trwa długo czy krótko. Najłatwiej pozwala na wjazd kanton genewski, i ten ewentualnie niech Pan wymieni. Tak mi radzili Atlanci³, dla których to będzie ułatwieniem w ich staraniach u władz federalnych, przy których są akredytowani. Kanton berneński sami Atlanci bardzo obciążyli różnymi osobami, które stąd nie wyjeżdżają, i tym trochę zepsuli sprawę. Kanton Vaud udziela wiz najtrudniej, ale ewentualnie p. M.-A. może się o to tam postarać, dając pewnego rodzaju gwarancję, czy też w ogóle wprawiając tę sprawę w ruch w Lausannie. Napiszę do niej o tym jutro i poproszę żeby Panu napisała. Jeżeli to idzie wówczas musi Pan wymienić Vaud. Kiedy Pan złoży podanie i p. Zab. rozpocznie swoje starania, proszę mnie zawiadomić, a z mojej strony dopilnuję, żeby Atlanci zrobili swoje starania u władz federalnych.

Od p. Ireny miałem list, o którego treści już Pan wie od innych. Atlanci są jednak dość sceptyczni co do powodzenia jej starań. Mówili mi, że 22 kobiety w tym samym położeniu mają nawet warunkowe wizy szwajcarskie, ale żadnej nie udało się dotąd wyjechać z Gub.⁴, mimo starań podobnych do tych, jakie Pan podjął w tej mierze. Nie wiem na razie, co o tym myśleć, bo klucz do sprawy leży nie tu, lecz tam, i przez korespondencję nie można tego wyświecić, a tym mniej można temu pomóc.

Od Nowego Roku z Portugalii nie można wysyłać już żadnych (lub prawie żadnych) paczek do kraju. Portugalowie wywozili za dużo pośrednio i bezpośrednio do Niemiec, i Anglicy nie dają im *navicert*'ów na przywóz z Ameryki. Temu można by pomóc w Londynie, ale nie wiem, czy tamtejsi Atlanci potrafią to zrobić. Mam z tym dużo zmartwienia, bo głównie w tym celu tu siedziałem, żeby móc swoim pomagać, a teraz ani tego nie mogę, ani wyjechać.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła szczerze oddany

J.S.

¹ Być może chodzi o Stanisława Zabiełłę, byłego pracownika MSZ w Warszawie, działacza Czerwonego Krzyża i organizatora schronisk dla uchodźców polskich we Francji.

² Tj. wyjazdową i powrotną.

³ „Atlantami” nazywał Stempowski urzędników RP na uchodźstwie oraz, ironicznie, byłych dygnitarzy państwowych, obecnie uchodźców. W tym wypadku chodzi o pracowników poselstwa polskiego w Bernie.

⁴ Tj. Gubernatorstwa — GG.

Muri b/B, 7.II.1942
Rainweg 30.

Kochany Panie Waławie,

Minął już pierwszy tydzień lutego, a wciąż nie wiem nic o Pańskich projektach szwajcarskich. Czy otrzymał Pan mój list, w którym pisałem o tym, co mi mówili tutejsi Atlanci o wizie? Kiedy tylko wdroy Pan kroki w Vichy, proszę zawiadomić tutejszą Atlantyde lub mnie telegraficznie, żeby podjąć starania u władz tutejszych. Jeżeli sprawa natrafi na jakieś trudności, proszę zaraz mnie zawiadomić. Tutaj Atlanci żadnych nieprzewyciężonych trudności nie przewidują.

Od pani Ireny nie miałem żadnych nowych wiadomości po tych, które pani M.-A. przysłała Panu na moją prośbę. Dla oceny jej widoków muszę dodać, że od roku już 22 panie znajdują się w podobnej sytuacji, mając pozwolenia na wjazd i pobyt tu, ale nie mogąc dostać pozwolenia na wjazd stamtąd, i używające dróg podobnych do tych, jakimi chodzi pani Irena. O ile wiem, udało się to dotąd jednej pani, która przejeżdżała tutaj we wrześniu. Rzecz więc nie jest niemożliwa, ale bardzo trudna tam.

Dawno już nie pisałem do Pana, i zdaje się nie donosiłem Panu o ostatnich wiadomościach, jakie miałem z kraju z połowy grudnia.

Do wszystkich dawniejszych plag dołączył się tam jesienią tyfus plamisty, który przybrał ogromne rozmiary. W samej Warszawie zapada na tę chorobę po 1000 osób dziennie. Poprzednio tyfus plam[isty] dziesiątkował tylko ludzi ghetta, jesienią ogarnął całe miasto, a raczej wszystkie baraki, koszary, domy noclegowe i dzielnice najuboższe.

Nie potrzebuję dodawać, że choroba ta, przenoszona wyłącznie przez wszy szerzy się tylko wśród mieszkańców baraków, koszar itd., natomiast nie ima się osób mieszkających, jak pani Irena, w swoich mieszkaniach. Jako b. mieszkaniec rudery, gdzie tyfus plam[isty] (*typhus exanthématique*) panował endemicznie zawsze, i skąd wyszedł w 1915 na podbój świata, znam doskonale nieprzekraczalne granice społeczne tej choroby. Niemcy wytworzyli dla niej nieznaną dotąd poza Sowietami warunki przez swe przesiedlenia ludności, której miliony trzymane są w barakach dla ras niższych, nie mających prawa do komfortu osobistego. Teraz powtarza się historia z zarazą w Grenadzie, i Niemcy zapoznają się z kosztami ich Rassenpolitik, bo tyfus plamisty przekroczył już granice Rosji, Gubernatorstwa i Niemiec, przerastając zdolności organizacyjne i medyczne partii i Führerów. Dowiaduję się właśnie, że jeden mój bliski przyjaciel, zwolniony z obozu konc[entracyjnego] w Compiègne i mieszkający na wolnej stopie w Berlinie zmarł tam na tyfus plamisty w grudniu, zaraziwszy się nim w jakimś obozie podberlińskim.

Drugą uderzającą wiadomością z Warszawy są częste bombardowania miasta przez lotników sowieckich. Naoczny świadek opowiadał mi, że 27.XI lotnicy bombardowali w samo południe (!) stację towarową, zabijając 45, raniąc 80 osób i przerywając na kilka godzin pracę węzła warszawskiego. Naloty te powtarzają się często i zostawiły już sporo gruzów i trupów dokoła urządzeń kolejowych będących ich celem. Cały kraj jest stale zaciemniony.

Bardzo uderzające jest, jak szybko w całej Europie zaczęto przygotowywać się w myśli do pax russica na kontynencie. Na ten temat tysiące kombinacji obiega już prasę i ludność, jedne głupsze od drugich, bo rozum nigdy jeszcze nie był w tak małej cenie jak dziś. Nawet Szwajcarię zaczęła pod tym względem ogarniać mgła londyńska czyli obnubilatio mentalis*. O tym pomówimy, kiedy Pan tu przyjedzie.

Tymczasem najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła szczerze oddany

J.S.

* (łac.) zaćmienie umysłu. Aluzja do ślepoty polityki angielskiej, wykazywanej w sojuszniczych stosunkach z Sowietami, prowadzącej do przyszłości, w której ZSRS będzie dyktował warunki powojennego ładu politycznego w Europie.

9.

Muri, 16 lutego 1942
Rainweg 30.

Kochany Panie Waławie,

Tylko co dostałem Pańską kartkę z 12.II z wiadomością o złożeniu podania o wizę w Tuluzie. Nic Pan nie wspomina o wizie francuskiej, która jest najważniejszym warunkiem dla władz tamtejszych, wnoszę więc, że to jest załatwione. Widzę również, że Pan nie dostał mego listu, gdzie radziłem Panu wymienienie Genewy jako miejsca pobytu i zawiadomić mnie telegraficznie o złożeniu podania, które tu leży pewnie już od tygodnia.

Jutro Atlanci wezmą się do tej sprawy u władz federalnych. Nie wiem tylko, czy będą mieli równe szczęście u władz kantonu Vaud, który mi stale odmawia, piszę więc jednocześnie do panny M.-A., prosząc ją o poruszenie ze swojej strony swoich stosunków kantonalnych.

Jeżeli Pan ma wizę franc[uską] i jeżeli wszystko pójdzie dobrze w Lausannie, będziemy tu Pana oglądać jeszcze w tym miesiącu, bo cała procedura tu trwa zazwyczaj około 8 dni.

Od pani Ireny nie mam żadnych nowych wiadomości.

Będę Pana zawiadamiał o wszystkich wynikach starań i ostateczny przyślę telegraficznie.

Najserdeczniejsze pozdrowienia łączy szczerze oddany

J.S.

10.

Muri, 14.III.42

Kochany Panie Waławie,

Atlanci zrobili swoje, i Pańska wiza jest mniej więcej pewna. Czekamy tylko na decyzję władz kantonalnych z Lausanny. Kilkudniowa zwłoka nastąpiła z tego powodu, że założono dla Pana 2 teczki, jedną pod Zyndramem, drugą pod Koś..., i żadną miarą nie można było zidentyfikować tych dwu osób, bo nam to nie przychodziło na myśl. Kiedy Pan będzie miał wizę i będzie Pan znał dzień wyjazdu proszę zawiadomić mnie lub p. M.-A. telegraficznie, bo listy chodzą zbyt długo, a my się zawiadomimy między sobą. Będę się bardzo cieszył z widzenia Pana. Od p. Ireny miałem znów kartkę. Zawiadomiłem już ją, że będę Pana niedługo widział. Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła szczerze oddany

J.S.

[Karta pocztowa. Nadawca: Exp. J. Stempowski,/ Rainweg 30,/ Muri près Berne. Adres: Monsieur/ W. Koscialkowski/ Hôtel Bellevue/ Lourdes (H^{tes} Pyzenées)/ France. Stempel: 14.III.42.]

11.

Muri, 2.V.42

Kochany Panie Waławie,

Dziękuję za miły list z 27.IV. Przesyłam Panu nowy numer gazety i będę przysyłał regularnie wszystkie, jakie otrzymam.

Kiedy tylko dostane jakieś wiadomości od p. Ireny, zawiadomię. Na razie dostałem z Lizbony trzy kartki od p. Ireny z 22.I, 30.I i 5.II potwierdzające odbiór paczek żywnościowych.

Najserdeczniejsze pozdrowienia łączę

J.S.

12.

Muri, 21 maja 1942

Kochany Panie Waławie,

W pośpiechu przesyłam Panu, wraz z ostatnim numerem gazetki, najserdeczniejsze pozdrowienia. Szczerze oddany

J.S.

13.

Muri, 9.VI.42

Kochany Panie Waławie,

Dziękuję za list z 1.VI. Piszę w pośpiechu bo wybieram się w Pańskie strony do p. Jurkiewicza i te przygotowania zabierają mi dużo czasu. Miałem list od p. Ireny z 24 maja z pomyślnymi wiadomościami. Nic jednak nie pisze o sprawach wyjazdowych. Widocznie to nie posuwa się naprzód.

Od p. Augusta nie mam żadnych wiadomości.

To, co Pan ma z kraju, odpowiada temu, co i ja wiem. Po zakończeniu wojny na całym kontynencie zagotuje się ładna kasza, i wszędzie przyjdzie do sytuacji hiszpańskiej. U nas też się bez tego nie obejdzie. Konfederacja jest jakimś podrzędnym tworem, znanym, zdaje się, tylko z własnego pisma redagowanego przez jakichś prostaków. Widziałem tego parę numerów.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła szczerze oddany

J.S.

14.

Muri, 6.VII.42
Thunstr. 15.

Kochany Panie Wacławie,

Dziękuję za list z 1.VII. Z Grenobli wyjechałem akuratnie 25.VI i po całodzienniej podróży autobusami trafiłem wieczorem do Genewy. Podróż zmęczyła mnie trochę, ale już po niej odpocząłem i jestem zdrow.

W drodze powrotnej, 2.VII, byłem w Veytaux i widziałem p. Marię-Antoninę. Pańska przesyłka bardzo się jej podobała. Ubrała ją zaraz, i okazało się, że bardzo pasuje do jej sukni. Była wzruszona Pańską pamięcią, i dużo mówiliśmy o Panu.

W Muri zastałem książkę, którą Pan był łaskaw mi przysłać. Najserdeczniej dziękuję. Zastałem tu ogromną korespondencję, ale nic od p. Ireny. W dwóch listach z Zachodu znalazłem wzmiankę o jakichś nowych przepisach niemieckich, grożących karą śmierci za korespondencję z emigrantami na terenie brytyjskim. Tu o tym nic nie wiemy, i czerwcowe listy z kraju też nic na ten temat nie zawierają. Być może jednak w tym coś jest, i skrajna ostrożność w korespondencji jest b. wskazana. Wiadomości z kraju są bardzo smutne. Coraz więcej zmarłych i aresztowanych wśród moich znajomych. Prawie nie śmiem tam pisać, oprócz b. lakonicznych kartek, bo nie wiem, kogo tam jeszcze zastań.

Piszę to Panu w pośpiechu, chcąc dać znak życia i szczerzej przyjaźni. List katolicki* napiszę za kilka dni, kiedy uporam się najpilniejszymi zaległościami w korespondencji. Tymczasem najserdeczniejsze pozdrowienia przesyłam, szczerze oddany

J.S.

* Nie udało się ustalić, o jaki tekst chodzi. Prawdopodobnie miało to być wystąpienie w sprawie postawy Watykanu wobec hitleryzmu, por. list z 26.09.1942.

15.

Muri, 30.VII.42

Kochany Panie Wacławie,

Czy ma Pan wiadomości od p. Ireny? Ja nie miałem od nikogo wiadomości przez 2 miesiące, dziś zaś dostałem list z 18 lipca, z którego widzę, że prawie wszyscy moi znajomi i korespondenci siedzą w areszcie i w obozach. Podają mi nowe adresy, już zupełnie nieznane. Wobec tego boję się pisać do kogokolwiek poza podanymi w tym liście. Dlatego nie piszę też do p. Ireny. Proszę ją najserdeczniej ode mnie pozdrowić.

List katolicki piszę. Przybyły mi do tego nowe, b. ciekawe szczegóły z kraju.

Najserdeczniejsze pozdrowienia łączę

Jerzy Stempowski

16.

Muri, 4.VIII.42

Kochany Panie Waławie,

Czy pisał Pan do Celinki, i czy ma Pan od niej jakąś wiadomość? Albo czy Pani Irena pisała o niej coś nowego? Interesuje mnie to o tyle, że dostałem pewien mały fundusz na ten cel, i chciałem go najrozumniej zużytkować. Jeżeli Pan coś o niej wie poza tym, o czym mówiliśmy ostatnio, proszę mnie łaskawie zawiadomić. Czy adres jej ten sam?

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła szczerze oddany

J.S.

17.

Muri, 26.VIII.42

Kochany Panie Waławie,

Dziękuję za dwie kartki. Oczywiście (--)^{*} dobrze znam i od jej redaktora pożyczam większą część pism ukraińskich, jakie czytam. W tych właśnie pismach (Kraków Wisti) czytałem ubolewania i skargi na oporność ludności prawosławnej na idee propagowane przez Ukraińców germanofilów, i stamtąd wiem o granicy między ludnością „lojalną” i „oporną” — biegnącą wzdłuż granicy wyznaniowej. Jest to tym bardziej zastanawiające, że Cerkiew prawosławna była w okropnym stanie rozkładu. Na jej czele stoi nadal Dyonizy, stary łapownik i oczajdusza, otoczony bardzo złymi i zdeprawowanymi hierarchami. Tylko w niższym klerze była część porządnych popów. Opór więc pochodzi z ludności samej i niższego kleru, którego 20% nie uznaje wcale nowej cerkwi autokef[alicznej]. Zresztą ta sama granica widoczna jest w Jugosławii, gdzie katolicka Krocja jest już na ogół nawrócona na hitleryzm, prawosławna zaś Serbia stawia opór. To wszystko wiadomo od wojny hiszpańskiej, od stanowiska zajętego przez nasz kler we wszystkich sprawach gdzie była kwestia „za czy przeciw Hitlerowi”, do Małego Dziennika, będącego najbardziej bezwstydnym organem Goebbelsa w Polsce. Zresztą to wszyscy wiedzą i rozumieją, i to wytłumaczyć się już nie da.

Przyjechał tu młody handlowiec lwowski, sam może mało ciekawy, ale charakterystyczny dla młodzieży 20–24-letniej. Mówił, że młodzież całkowicie odwróciła się od katolicyzmu i w kościołach widać tylko trochę kobiet. O tym napisze jeszcze bo chłopiec podawał motywy tej ewolucji. Tymczasem chciałem prosić o doniesienie Pańskiemu znajomemu o tym, że wiosną (maj?) aresztowany został w Krakowie prałat Mazanek, sekretarz kurii bisk[upiej] i zdaje się, znajomy Pańskiego znajomego.

Od pani Ireny miałem kartkę z lipca.

Najserdeczniejsze pozdrowienia łączy szczerze oddany

J.S.

^{*} Tekst nieczytelny.

18.

Muri, 30.VIII.42

Kochany Panie Waławie,

Otrzymuje teraz P. Wal.¹ regularnie, i regularnie ją też Panu posyłam. Czy ją Pan tak samo otrzymuje? Interesuje mnie to także z tego względu, że nie chciałbym, aby dostała się w ręce niepowołane. Od pewnego czasu istnieje tendencja do traktowania całej ludności kresów okupowanych jako pewnego rodzaju zakładników. Tak więc np. od czerwca wszystkie gwałty, masowe wysiedlenia itd. są uważane za *Vergeltungsmassnahmen* za naloty polskich lotników na Niemcy. Różni prosili już o to, aby o nalotach tych nie podawać wiadomości przez radio londyńskie ani w inny sposób dochodzący do wiadomości niemieckiej. Dotąd prośby te nie dały skutku, bo nasi chcą się koniecznie chwalić przed krajem, którego te przechwałki nie cieszą, bo poprzedzają na krótko nowe gwałty i dają broń do ręki niem[ieckiej] propagandy. Przynajmniej więc w miarę naszych prywatnych możliwości powinniśmy się starać, aby do tego ognia oliwy nie dolewać.

Posyłam Panu też fotografię, jaką przed kilku tygodniami dostałem od p. Antoinetty².

Ostatnio dostałem kilka lepszych wiadomości z kraju, m.in. od osób, które miałem już za nieżyjące. Bardzo tam ciężko ale siła wytrwania jest tam niespożyta. Ponieważ moi znajomi teraz przeważnie nie mogą pisać, dostaję kartki od Volksdeutsch'ów, którzy piszą to samo, że już niedługo, że czas nadchodzi. Dziwnie to brzmi po niemiecku.

Najserdeczniej ściskam Pana, kochany Panie Waławie, po przyjacielsku

J.S.

¹ „Polska Walcząca” — tygodnik redagowany od 1939 r. przez Tymona Terleckiego, po kapitulacji Francji wydawany w Londynie.

² Zob. przyp. w liście 4.

19.

Muri 25.IX.42

Kochany Panie Waławie,

Dziękuję bardzo za pamięć. Nie pisałem dawno do Pana, bo w ostatnich tygodniach byłem bardzo przygnębiony wiadomościami i wszystkim razem. M.in. dostałem wiadomość, że moje dwie córki, istoty ciche i łagodne zmarły obie śmiercią gwałtowną¹. Nie wiem szczegółów, ale aluzje do nich są przerażające. Dużo innych wiadomości jest też w tym rodzaju. Na domiar złego Bóg nas pokarał takimi aliantami, że końca tego wcale nie widać.

Nie wiem, czy będzie można zrobić tu jakiś użytek drukarski z Pańskiego rękopisu, bo *Goniec*² jest wydawany przez tut[ejsze] władze, które chciałyby karmić innych czytelników samą czekoladą i rzeczami lekkostrawnymi nie tylko dla czytelników ale także dla kontrolerów z naprzeciwka³.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła szczerze oddany

Jerzy Stempowski

¹ Córki Stempowskiego: Iwona i Hanna Sucheckie. Wiadomość o ich śmierci okazała się nieprawdziwa.

² Chodzi o pismo „Goniec Obozowy. Wiadomości dla Internowanych”, wydawane w Muenchenbuechsee koło Berna od 1940 roku, początkowo tygodnik, potem dwutygodnik, wreszcie w cyklu dziesięciodniowym. Przeznaczone głównie dla internowanych w Szwajcarii żołnierzy 2 Dywizji Strzelców Pieszych.

³ Tj. dla Niemców.

20.

Muri, 26.IX.42

Kochany Panie Waławie,

W moim złym stanie nerwów nie mogę się wciąż zdobyć na napisanie do Pana listu „katolickiego”. Dodam tu tylko tyle, że w „Wiadomościach” Nowakowski dalej powraca do tego tematu. Zresztą oliwa wciąż się do tego ognia dolewa. Niedawno czytałem, że O. Św. dał \$45.000 dla rannych żołnierzy japońskich. Młody handlowiec ze Lwowa, który tu przyjechał w lipcu opowiadał mi, że kościoły w Polsce są znów puste, i że chodzą do nich tylko stare kobiety. Młodzież, jak mówił, czuje się tak opuszczona przez Boga i przez kościół, że przestała o tym myśleć i zajmuje się przede wszystkim utrzymaniem się przy życiu. Ponieważ widział obie okupacje, sądzi, że z wojny Polacy wyjdą tak samo niereligijni jak Rosjanie. Nie wiem, czy ma rację, powtarzam tylko opinię bardzo sprytnego młodego lwowianina w wieku 23 lat.

Myślę zresztą, że to leży w granicach możliwości, zwłaszcza że kościół abdykował sam ze swego stanowiska, zachowując neutralność w walce między resztkami chrześcijaństwa i nową religią egoizmu i okrucieństwa, która opanowała Niemcy, Włochy, Rosję i zaczęła się szerzyć po trosze we wszystkich innych krajach. Podły i głupi kler patronował nawet szerzeniu się nowej religii i w miarę możliwości wysługiwał się nowym władcom. Toteż i głos jego dziś żadnej wagi nie posiada, i nikt się nań nie ogląda. W zamęcie, który pochłonął resztki naszej cywilizacji, mógł kościół odgrywać dużą rolę, ale do tego urzędnicy jego musieli być mieć jakąś siłę przekonania, jakieś chrześcijańskie uczucie, którego zabrakło pigmejom i pucybutom, jacy obsiedli tę instytucję. Zresztą to samo dotyczy też protestantyzmu, jakkolwiek mniej zakończony faszyzmem i bliższego trochę tradycji chrześcijańskiej. Trudno będzie się obejść bez tych instytucji, ale z nimi też żyć nie można.

Serdecznie ściska Pana

J.S.

21.

Muri, 24.X.42

Kochany Panie Waławie,

Posyłam Panu gazetkę, która znów mniej regularnie przychodzi. Bardzo ciekawa w niej jest lista Polaków w Teheranie. Może znajdzie Pan tam znajomych. Ja znalazłem tylko Dra Klemensiewicza z Krakowa i p. Kalkowską z Berlina. Z listy tej wynika, że

bolszewicy wywozili wszystkich w ogóle, chłopów, rzemieślników, cały drobny lud, chcąc między Wilnem i Tarnopolem zrobić pustkę strategiczną. Na to im Polska jest potrzebna, aby z niej zrobić swą pustynię zachodnią. Ponieważ w ciągu tak krótkiego czasu zdążyli wywieść około 1¹/₂ miliona, w 10 lat wywieźliby wszystkich. Niemcy tego nie potrafią. W Teheranie oczywiście jest tylko mała garstka wywiezionych, około 10 tys. Innych znów, o ile wiem, sadzają do kryminalów, bo stosunki polsko-rosyjskie wróciły do stanu z przed lipca 1941. Jest to zresztą fragmentem ogólnych stosunków między aliantami, które przyprowadziły do oczekiwania aż bolszewicy osłabną dostatecznie do tego, aby nie pretendować do hegemonii kontynentalnej. Obie strony zbierają żniwo swej własnej głupoty i bezradności.

Czy miał Pan ostatnio wiadomości od Pani Ireny? Ja nie miałem żadnych. Tam jest wciąż źle bardzo, i piszą mało.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła szczerze oddany

Jerzy

P.S. Jak długo myśli Pan zostawać w Bellevue?

22.

5.VII.43

Kochany Panie Waławie,

Z naszej winy nie mogliśmy zobaczyć się w piątek i potem na próżno Pana szukałem. Zostawiłem dla Pana książki u moich gospodarzy. Nadto uprzedziłem ich, że Pan będzie do mnie przychodził i zabierał książki według swego wyboru. Proszę więc z tego korzystać. — Kuponów* nie zdążyłem podjąć, będę to mógł zrobić dopiero po powrocie. Nareszcie mam ich 10. Czy mogę nimi Panu służyć? Czy też znalazł Pan jakieś inne wyjście? Niedługo do Pana zadzwonię, kiedy się trochę ustabilizuję i przestanę podróżować. Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła szczerze oddany

Jerzy Stempowski

[Karta pocztowa. Adres: Monsieur/ W.Z. Koscialkowski/ Hôtel Krone/ Muri (Berne). Stempel: Genève/ 5.VIII.1943]

* Żywnościowych.

23.

Bern, 5 grudnia 1944.

Kochany Panie Waławie.

Dziś zdarza się właśnie okazja wysłania Panu listu, ale mam na to tylko 5 minut, bo pieczętarze kurjerscy już się niecierpliwią. Mogę więc tylko Pana najserdeczniej pozdrowić i podziękować za miły list, który mi właśnie od Pana wręczono.

O pani Ninie¹ mogę tylko donieść, że sprawy jej, zgodnie z moimi przewidywaniami, nie ułożyły się pomyślnie, co zresztą było nieuniknione, ponieważ ani Pan ani ona ni-

czym się nie przyczynili, aby było inaczej i nawet wręcz na odwrót. Pani Nina jest tak zdolna i żywa, że na pewno jakoś z tego wyjdzie, ale na razie jest jej trudno. Niech Pan nie pisze do niej za pośrednictwem pana Andrzeja, ale zawsze przeze mnie. Jak długo pani Nina będzie sobie tego życzyła, będę jej Pańskich listów wiernie dostarczał.

Wiadomości o p. Marianie² bardzo mnie wzruszyły. Jeżeli będzie Pan do niego pisał, proszę go najserdeczniej ode mnie pozdrowić. Przypuszczam jednak, że dużo jeszcze potentatów spadnie z góry w niziny, a najcięższy będzie upadek tych, którzy padać będą *chargés d'affaires*³. Tak mawiał mój dawny przyjaciel Ali Zulfikar. Niech Pan stara się pojechać także do Londynu do p. Augusta.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła zawsze szczerze oddany

Jerzy Stempowski

Serdeczne ukłony dla pani Kościałkowskiej⁴

¹ Tj. Janinie Nahlikowej, późniejszej Kościałkowskiej.

² Marian Zyndram-Kościałkowski (1892–1946), polityk obozu belwederskiego, wiceprezes BBWR, premier RP w latach 1935–1936, od 1939 przebywał we Francji, od 1940 w Wielkiej Brytanii.

³ (fr.) tu w znaczeniu dosłownym: „obciążeni sprawami”.

⁴ Chodzi o matkę Wacława Kościałkowskiego.

24.

Genewa, 27.XII.45.

Kochany Panie Wacławie,

Przez długi czas nie wiedziałem, gdzie się Pan obraca i teraz dopiero słyszę, że jest Pan po prostu w Lourdes. Jak się Panu powodzi i jaki znalazł Pan „sposób na diabła” t.j. na utrzymanie się przy życiu w naszych nowych warunkach? U mnie jest nie bardzo dobrze. Ostatnio podróżowałem po Austrii i Niemczech cały miesiąc, skąd wróciłem na wpół żywy¹. Nocować musiałem nieraz w śpiworze w parkach i ruinach. To co tam widziałem mało przypomina to, co o tym piszą w gazetach. Napięcie na linii demarkacyjnej jest takie, jak gdyby wojna między Aliantami miała wybuchnąć lada chwila. Cz[erwona] armia wywiera nacisk wojskowy na tę linię, i co tylko naciśnie, to Anglo-Amerykanie rzucają jakiś nowy kraj w paszczę krokodyla². Czym to się skończy? Wzdłuż linii demarkacyjnej Niemcy i okupanci żyją jak ptaszek na gałązce, w każdej chwili gotowi dawać chodu. Nie mnie się teraz martwić, niech i Zachód pozna Царя Давида и всю кротость его³. Niech się Pan raz odezwie. Posyłam najserdeczniejsze życzenia noworoczne: daj Boże zdrowo doczekać. Pani Kościałkowskiej rączki całuję, Pana też pozdrawiam po przyjacielsku.

Jerzy (--)

¹ Plonem tej wyprawy stał się *Dziennik podróży do Austrii i Niemiec* (Rzym: Instytut Literacki, 1946).

² Tj. Stalina. Od fr. kalamburu: Soso, pisane: Coco, więc: C[r]ocodile.

³ (ros.) Króla Dawida i całą łaskawość jego.

Hôpital Claude Bernard
 (Pavillon Proust)
 10, av. de la Porte d'Aubervilliers
 Paris, 19^e

Paryż, 18 czerwca 46.

Kochany Panie Waławie,

Życie jest pełne miłych niespodzianek. Jedna z nich zaprowadziła mnie przed paru tygodniami do szpitala epidemicznego, izolowanego ściśle od świata, gdzie nikogo, nawet przez kraty otaczające tę posesję, widzieć nie można. Sprawy moje ułożyły się o tyle pomyślnie, że 26 czerwca wyjdę stąd mniej więcej zdrowszy i cały, tylko trochę słaby. Potem niestety niedługo tylko będę w Paryżu, ale spodziewam się wrócić tu na jesieni. W ogóle myślę o przeniesieniu się do Francji na stałe. Tu znacznie łatwiej coś zarobić, i żyć też dają.

Dawno już nie miałem od Pana wiadomości, i nie wiem, jak się Pańskie sprawy ułożyły. Zawód emigranta jest coraz trudniejszy, i znikąd nie można spodziewać się jakiejś zmiany na lepsze.

Widziałem tu wielu przyjezdnych z Polski, różnych obediencji: dygnitarzy nowego reżymu in floribus, dygnitarzy rozczarowanych i myślących o emigracji dla siebie, a wreszcie i nowych emigrantów, przybyłych nielegalnie. Wszyscy roztaczają dość ponure obrazy tamtejszej rzeczywistości. Widzę, że kto z nas dotąd nie wrócił, ten już nie ma po co wracać, chyba że spieszy do kryminału, jak kura do rosołu.

Jeden z dygnitarzy mówił mi, że kraj przypomina znów czasy Sławoja: na wierzchu taki sam jołop i fanfaron (Osób.)¹, ci sami urzędnicy ze słowami „wszystko dla państwa”, ten sam nastrój patriotyczny, ta sama nędza życia codziennego i niepewność jutra. Istotnie też, znów ciężkie chmury wiszą nad krajem, jak w 1938–39, i ten nowy reżym może się tak samo skończyć jak sławojowski².

Emigracja też zdaje się kończyć w swych formach z 1939. Być może nowi emigranci — są wśród nich ludzie interesujący — wniesie coś nowego. W niej pokładam największe nadzieje. Zresztą jestem daleki od bładania nad rzekomym gaśnięciem emigracji. Myślę, że każdy kto wykonuje jakąś użyteczną pracę na kontynencie — chociażby tylko sadił kapustę — przyczynia się do renesansu kontynentu i zbliża koniec reżymu trzech gangsterów, zainicjowanego w San Francisco. Z tej strony (odbudowy solidarnego kontynentu) emigrację czekają największe zadania.

Jak Pan żyje, kochany Panie Waławie, i co Pan robi? Jak się miewa Pańska Matka? Czy oboje Państwo są zdrowi? Czy ma Pan wiadomości o pani Irenie? Jak ona tam sobie daje radę?

Czy wie Pan, że Nahlik³ został odwołany, i dzięki intrygom swoich komunistycznych kolegów kariera urzędnicza jego została złamana? Czy ma Pan wiadomości od p. Niny? Gdzie się teraz obraca?

Bardzo bym się cieszył, gdyby się Pan do mnie odezwał. Pani Schwab⁴ Pana zawsze mile wspomina, pyta o Pana i każe Pana pozdrowić.

Najserdeczniejsze pozdrowienia łączę szczerze oddany

Jerzy Stempowski

¹ Edward Osóbka-Morawski, premier do 1947 roku.

² Tzn. rychłą katastrofą wojenną.

³ Stanisław E. Nahlik, attaché Poselstwa RP w Bernie, w maju 1945 powołany do pracy w centrali Rządu RP w Londynie, po cofnięciu uznania dla rządu londyńskiego przez Wielką Brytanię i USA wstąpił do służby dyplomatycznej rządu krajowego (TRJN). Odwołany do kraju, postanowił powrócić do Polski, co stało się przyczyną rozwodu z żoną, Janiną z Węgrzyńskich, która pozostała na emigracji. (Stąd pytanie Stempowskiego o losy „p. Niny”).

⁴ Właścicielka pensjonatu w Muri.

26.

Muri/Berne, 2 maja 1948.

Thunstr. 27.

Kochany Panie Waławie,

Dziękuję najserdeczniej za list z 28 kwietnia. Dzięki niemu wiem nareszcie, gdzie się Pan obraca. Myślałem dotąd, że Pan jest w Paryżu, ale nikt nie umiał mi powiedzieć gdzie.

Z Pańskiego listu widzę, że Pan się trzyma najlepszych tradycji klasycznych i — jak nowy *Candide* — po tylu przygodach zatrzymał się Pan na najlepszej formule: *il faut cultiver notre jardin*. Bardzo mnie to cieszy, bo w obecnym świecie nic zdaje się rozumniejszego nie można wymyśleć. W dni świąteczne powinien Pan spisywać z panią Niną tę historię. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby zechciał mi Pan napisać coś bliżej o Pańskich zajęciach w *Laloubère*¹. Nazwa ta też mi się bardzo podoba, jest stara, rzymska, zawierająca dobrą wróżbę. Oznacza prawdopodobnie miejsce zdrowe, o zdrowym klimacie, lub przymiotnik ten odnosi się do jakiegoś źródła miejscowego. W czasach późnego cesarstwa często mówiono o zdrowym klimacie Pirenejów: „*Narbo potens salubritate*” pisze *Sidonius Apollinaris*². Kiedy Pan tam trochę pożyje, będzie można o Panu powiedzieć z *Martialem*: „*vires ingenuae, salubre corpus*”³. Tam pewnie troski nie przerywają zdrowego snu, jak mówi *Virgiliusz*: „*nec somnos abrumpit cura salubres*”⁴.

O mnie można to powiedzieć tylko do pewnego stopnia. W Muri od Pańskich czasów zmieniłem już dwa razy mieszkanie, ale w tej samej części ulicy. Ostatnio moi gospodarze, prawdziwi chłopcy typu *breughelowskiego*, którzy opuścili wieś z powodu swarów rodzinnych, wrócili jako tryumfatorzy na fermę rodzinną i pewnie niedługo zostaną milionerami, jak to jest tu zwyczajem. Nie wiem, czy Pan ich znał. Zdaje się, że tak. Po ich wyjeździe przenieśliem się do sąsiedniego domu, gdzie starsza wdowa ma warsztat do robienia szczotek. Praca ta jest mało opłacalna i nikt się do niej nie bierze, starsza pani pracuje więc sama jedna i już proponowała mi pracę w jej warsztacie. Praca jest przyjemna, czysto mechaniczna. Bardzo możliwe, że się do niej wezmę, bo z pisania w czasopiśmie żyć nie można, i nawet najgorzej płatna praca fizyczna daje lepsze dochody.

Tymczasem zacząłem dużo czernić papieru. Nie wiem czy widuje Pan paryską „*Kulturę*” wydawaną przez *Giedroycia* i *Czapskiego*. Tam piszę w każdym numerze. Tylko tytuł czasopisma mi się nie podoba. Radziłem go zmienić na jakiś bardziej podobny do rzeczywistości, np. *Listy na Berdyczów*, *Figle łyżczakowskie*, *Dzwonek ostrobramski*, *Orzeł i reszka*, *Popiół i dym*, *Gog i Magog*, *Miska kapusty*, *Gorzałka i machorka* etc., aby było mniej pretensjonalnie i bardziej zamasyście. Jeżeli Pan tego nie widuje, poproszę *Giedroycia*, aby Panu posłał ostatnie numery.

Większą część zimy spędziłem w Rzymie, gdzie zarobiłem w 1946 80.000 lirów. Nie mogąc sprowadzić ich tu, musiałem pojechać zjeść je we Włoszech. Pieniądze te kurczyły się strasznie wskutek inflacji, to odzyskiwały swą wartość i nawet ją przechodziły wskutek deflacji. Nigdy nie wiadomo czego się trzymać. W każdym razie starczyły mi na dwa zimowe miesiące. W Rzymie życie jest droższe niż w Muri, równie smutne i surowe. Opisałem je w dwóch ciągach „Kultury”. Włosi są narodem niezwykle inteligentnym i żywotnym. Proszę tylko pomyśleć, jak mądrze załatwili sprawę wyborów: front ludowy wprawdzie odepchnęli od władzy, ale 30% głosów mu zostawili, bo bez silnej partii komunistycznej Amerykanie nie daliby Włochom ani jednego dolara. To rozumieją oczywiście wszyscy magicy, ale aby 25 milionów wyborców to tak zgrabnie wypośrodkowało, na to trzeba prawdziwej inteligencji politycznej.

Z kraju wiadomości nie są dobre. Przed kilku dniami widziałem znajomego, który stamtąd przyjechał w połowie kwietnia. Mówił mi, że wszyscy żyją tam w nieustannym strachu. Za każdym aresztowanym wędrują do więzienia wszyscy jego znajomi, ale nie wszyscy stamtąd wracają. Kto powie nieopatrznie słowo lub obudzi podejrzenie, że jest źle notowany w Bezpiece, od tego uciekają zaraz znajomi i przyjaciele. Tylko chłopci i robotnicy na przedmieściach wyrażają czasami niezadowolenie z istniejących porządków. Ludność śródmieścia już tego nie potrafi; zbyt jest cała zależna od władz i zmieszana z agentami i donosicielami. W ten sposób naszym komunistom udało się w znacznej mierze osiągnąć ideał narodu w prozku. Na Zachód już nikt się prawie nie ogląda. O polityce amerykańskiej nikt nic nie wie prócz tego co było w Jałcie, o Anglikach zaś myślą, że z Polski w razie czego zostawiliby chyba tylko jakieś nowe Generalgouvernement. Wszyscy wiedzą, że w razie wojny będą zmobilizowani po stronie sowieckiej, i że mobilizacja ta znajdzie pokrycie w świadomości, że trzeba jakoś bronić ziemi, stanu posiadania i środków egzystencji. Ludziom z tym nie jest wesoło.

Niech się Pan odzywa, kochany Panie Waławie. Rączki obu Pań całuję, Pana zaś pozdrawiam po przyjacielsku, najserdeczniej.

Jerzy Stempowski

Pierwodruk: „Wiadomości” 1970 nr 12–13 (1251–1252)

¹ Waław Kościółkowski w 1948 poślubił Janinę z Węgrzyńskich, primo voto Nahlikową. Małżonkowie zamieszkali w Laloubère w Wysokich Pirenejach, gdzie nabyli dom. Co razem jest kontekstem dla przytoczonych przez Stempowskiego słów Wolterowskiego Kandyda o uprawie własnego ogródka.

² Sydoniusz Apollinaris (Caius Sollius Sidonius Apollinaris, ok. 430–ok. 486), biskup Clermont, autor utworów okolicznościowych, panegiryków i listów, w których wzorował się na Pliniuszu Młodszym. Żyjąc pośród ludów barbarzyńskich, starał się ocalić formy dawnej kultury, dlatego pisząc utwory błahe, starannie cyzelował ich formę. Zdanie cytowane: Narbo [Narbo Martius, stolica Galii Narbońskiej] ma korzystny wpływ na zdrowie.

³ (łac.) siły delikatne, ciało zdrowe.

⁴ (łac.) aby[ś] nie przerywał snów, dbaj by były zdrowe [wolne od trosk].

27.

Muri, 10.IV.50

Serdecznie dziękuję za pamięć i życzenia. Przesyłam również najserdeczniejsze życzenia i pozdrowienia, także od gospodyni „Krony”. Proszę nie mieć mi za złe, że się tak rzadko odzywam. Ostatnio jest mi źle i nie chcę szerzyć swego katzenjammeru wśród przyjaciół. Rączki Pani Kościalkowskiej i Pani Niny całuję. Pana też, kochany Panie Waławie, pozdrawiam po przyjacielsku, szczerze oddany

J.S.

[Kartka pocztowa: Muri bei Bern/ Schloss und Kirche. Adres: Monsieur/ W. Koscialkowski/ Maison près cimetièrè/ Laloubèrè (H.P.)/ France. Stempel Berne/ 9.IV.50]

28.

Muri Bn., 30 kwietnia 1950.
Thunstr. 27.

Drogi, kochany Panie Waławie,

Bardzo zaniedbałem naszą korespondencję, nad czym pierwszy szczerze ubolewam. Czuję się nawet winny wobec Pana, który był dla mnie zawsze tak przyjazny i życzliwy, co sobie bardzo ceniłem. Nie mówię już o tym, że i ja z Panem szczerze sympatyzowałem, bo wobec mego długotrwałego milczenia Pan mi zapewne nie uwierzy.

Rzecz w tym, że przez przeszło dwa lata chorowałem uporczywie na zaburzenia nerwowo-mózgowe, które w końcu zrujnowały mnie. Dopiero od kilku miesięcy zaczynam z tej nędzy wychodzić na czystą wodę, na razie „cichowodem”, jak mówił jeden rybak: „Płyn cichowodem!” Poza tym mam wiele kłopotów, bo tu coraz mi trudniej żyć mimo całej abnegacji i wytrzymałości. Próby przeniesienia się gdzie indziej nie wydały dobrych skutków, i nie wiem co z tego dalej będzie. Jak mawiał pewien szlachciura podolski: „Chodzę i medytuję, w którą by się otchłań rzucić”. Wszystko to jest podobne do chodzenia po linie, kiedy samo utrzymanie się przy życiu wymaga nieustannie skupionej uwagi i utrzymywania istniejącej jeszcze odporności życiowej w stanie elastycznym i względnie przynajmniej świeżym. Wszystko to mało usposabia do pisania. Mam wrażenie, że gdybym stanął na jakimś dnie, chociażby w kryminale, pisanie poszłoby mi znacznie łatwiej niż pośród tych nieustannych piruetów i zabawy w chowanego z losem.

Nie widzę dla emigrantów żadnej korzystnej odmiany losu w najbliższej ani nawet w dalszej przyszłości. Wydaje mi się, że jesteśmy już definitywnie na bocznym torze. Częściowo jest to z własnej winy emigracji, która przeświatała pieniądze na armię i flotę, nie zachowując nic na dłuższą metę. W tej chwili np. emigracja mogłaby odegrać pewną rolę i zbliżyć się do kraju, gdzie w dziedzinie politycznej nikt od emigrantów pomocy nie oczekuje. Od roku mniej więcej władze krajowe położyły tak ociężałą rękę na literaturze, że większość pisarzy zamilkła, istniejące zaś jeszcze czasopisma drukują same tłumaczenia z sowieckiego. Stalin, który zniszczył literaturę rosyjską, mającą silniejsze podstawy materialne od polskiej, nie może ofiarować Polakom czegoś, czego odmawia swym wielkorusyjskim oprycznikom. Rzecz zdążyła więc do zniszczenia w kraju wszelkiego pi-

śmiennictwa i być może nawet samego języka. W tych rzeczach reżim sowiecki był dotąd liberalny, ale l'appetit vient en mangeant¹, zaś reguły dialektyczne mogą być w każdej chwili zastąpione przez swą odwrotność.

Dotąd w kraju nie interesowano się piśmiennictwem emigracyjnym. Emigranci pisali na swój własny użytek, kraj miał swoją literaturę, bardziej aktua-
[brak 3 i 4 str. listu]

pan August, stroniący przez całe życie od sytuacji niewygodnych, wybierze drogę tak cierniową i niewdzięczną, heroiczną i sztywną, dającą tak mało pola do fortelów i zręczności. Na domiar złego rolę tę wziął pan August otoczony zgrają szakali i małp, swoich i obcych, przedrzeźniających go i wyszydających. Kiedy myślę o tej sytuacji, odczuwam największy szacunek dla odwagi moralnej niezbędnej dla wytrwania w tej postawie.

Na dłuższą metę takie rzeczy przynoszą pewne owoce. Ostatnio miałem z Londynu bardzo dobre wiadomości. Pandemonium pierwszych lat powojennych ustąpiło miejsca bardziej spokojnym i rzeczowym stosunkom wśród emigrantów. Wiele spraw drażniących minęło i zeszło z porządku dziennego. Rząd emigracyjny może łatwiej i spokojniej nieść swój ciężar dni i oczekiwania.

Czy Pan miał też podobne wiadomości?

Tymczasem sprawy tego świata nie zdążają ku lepszemu. Amerykanie zbroją się na wielką skalę, i bieg dni znosi ich w kierunku wojny, do której nie mają żadnego programu, żadnej polityki, żadnego sposobu na pozyskanie jakichś aliantów. Tu nawet robią się przygotowania do wojny. Wynik jej pozostaje niewiadomy dla dwóch głównych protagonistów, tylko dla Europy jest z góry wiadomy jako dalszy etap degradacji. Tylko na bardzo długą metę Europa może liczyć na jakąś pomyślniejszą odmianę losu, ale wszystkie te dalekie obliczenia są oczywiście niepewne. Zupełnie młodzi ludzie o nieograniczonej zdolności przystosowania się będą mogli coś z tego zobaczyć.

Jak Pan się do obecnej sytuacji dostosował, kochany Panie Wacławie? Niech Pan napisze o sobie i swej egzystencji w „maison près de cimetière”². Będę się bardzo cieszył z tych wiadomości. Tymczasem zaś najserdeczniej pozdrawiam, szczerze oddany

J.S.

¹ (fr.) apetyt rośnie w miarę jedzenia. Tu, oczywiście, chodzi o apetyt komunistycznych władz — ten rośnie w miarę jedzenia, tj. umacniania się nowej władzy.

² (fr.) dom koło cmentarza. Przez wiele lat dom Kościałkowskich w Laloubere nie miał przydzielonego numeru ani nazwy ulicy. Listy adresowano więc: „dom koło cmentarza”.

Drodzy, kochani Państwo,
Pani Nino i Panie Wacławie,

Najserdeczniej dziękuję za list z 22-go i bardzo cieszę się, że chociaż Panią Ninę będę mógł zobaczyć. Gratuluję pp. Rollicz* ich pomysłu i proszę o pozdrowienie ich obojga ode mnie najserdeczniej.

Jeżeli Pani Nina zechce odwiedzić Bern, pobyt tu nie będzie pociągał za sobą dla niej żadnych kosztów, bo zapraszam ją najserdeczniej. Będzie mieszkała na starym mieście z wiktem, opierunkiem, papierosami, jeżeli pali (*pension avec tabac*, jak mówił *le roi* (--), uważając kantinę bez tytoniu za niegodną króla) abonamentem tramwajowym i markami pocztowymi. Proszę tylko, aby była łaskawa do mnie przedtem zadzwonić. 2-go lipca będę bardzo zajęty, ale od 10 jestem wolny każdego dnia od 16 po poł[udniu].

Przepraszam, że tak zaniedbuję się w korespondencji, ale od 2 lat cierpię na rodzaj łagodnej melancholii.

Spiesząc z wysłaniem tego listu, przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia, szczerze oddany

Jerzy Stempowski

* W rękopisie nazwisko słabo czytelne, brzmienie niepewne.

30.

Bern, 17 sierpnia 1953.

Kochany Panie Wacławie,

Serdecznie dziękuje za list. Od pani Janiny wie Pan zapewne już wszystko to, co mógłbym Panu opowiedzieć. Bardzo się cieszę, że wróciła do Laloubère przed strajkiem, który nie wiadomo kiedy i jak się skończy.

Nie mogę zrozumieć dlaczego (--) zaczął sanację finansową od rzeczy tak mało istotnej i odległej w skutkach jak obcinanie płac gwarantowanych przez umowy zbiorowe że wiele z nich oderżnąć nie można. Są to pomysły drobnych przedsiębiorców i podmajstrzych, nie liczące się z doświadczeniami ekonomicznymi ostatnich 35 lat.

Historia uczy, że wszystkie reżimy polityczne kończyły się długą serią ludzi nie dorosłych do swych zadań i płaczących się bezradnie po scenie. Ich nieudolność i krótkowzroczność połączona zwykle z zapalczywością otwiera wreszcie śluzy, i wówczas wielkie wody kataklizmu niosą już wszystkich razem, mądrych i głupich, do jakichś zupełnie nowych czasów, zrobionych z nowych instytucji i nowych ludzi, najczęściej jeszcze mniej wartych od tych, których zmyły wypadki. Europa Zachodnia, znajdująca się w tej samej sytuacji co Polska i Rumunia przed 15 laty, wydaje się w przededniu takiego otwarcia śluz. Wszędzie ta sama nieudolność parlamentów. Szwajcarski w chwili samokrytycyzmu uchwalił w 1938 nieograniczone pełnomocnictwa rządowi i kontentuje się czystą figuracją demokratyczną. Francja i Włochy, nie mając w 1945 rządów, nie mogły pójść tą drogą. Musiały zacząć od odtworzenia parlamentów i konstytucji, od których teraz będą musiały robić odwrot w najbardziej niekorzystnych warunkach, w chwili konsolidacji władzy na Kremlu w rękach armii. Nic dobrego stąd wyniknąć nie może.

Ponieważ pani Janina mówiła mi o pewnych projektach Państwa, przesyłam wycinek z obwieszczeniem urzędowym donoszącym o stanowisku władz, streszczającym się do rzymskiego ADVERSUS HOSTEM AETERNA AUCTORITAS*.

Łączę najserdeczniejsze pozdrowienia, szczerze oddany

J.S.

* (łac.) jeśli występujesz przeciwko wrogowi, wieczna chwała.

Bern, 14 września 1954
Nydegasse 17.

Drodzy, kochani, Pani Nino i Panie Wacławie,

Bardzo się wstydzę, że nasza korespondencja tak z mojej winy kuleje. Jedyne wytłumaczenie tego leży w tym, że od prawie 3 lat cierpię na rodzaj melancholii. Prawie dwa lata nie napisałem ani jednego wiersza i nie otwierałem nawet większej części listów. Od Nowego Roku porzuciłem moje zajęcie zarobkowe i to mi bardzo dobrze zrobiło, ale mam wiele innych kłopotów i nie wypłynąłem jeszcze na czystą wodę. Być może przeminie jednak i melancholia, chociaż jest z natury swej rodzajem dna, z którego nie spada się już niżej, i stanem końcowego nie mającego na pozór żadnego dalszego ciągu.

Piszę teraz w sprawie praktycznej dotyczącej Pani Niny. Nie uszedł zapewne uwagi Państwa konkurs na słuchowisko ogłoszony przez sekcję polską Radia Free Europe w Monachium (Polish Section, Radio Free Europe, 1, Englischer Garten, München 22). Rzecz jest jednak daleka i być może Pani Nina o niej na serio nie myślała. Otóż otrzymałem wczoraj zaproszenie do udziału w jury tego konkursu i zarazem szczegółowe warunki tego ostatniego, które jednocześnie wysyłam. Po rozejrzeniu się w tych warunkach i wskazówkach widzę, że wszystkie słuchowiska Free Europe są b. mało warte i zdradzają bardzo dziwny brak imaginacji. Możliwości techniczne słuchowiska radiowego wyprzedziły widocznie pomysłowość autorów. Być może cała *ambiance* radiowa odstrasza i zniechęca piszących. Jakiegokolwiek są tego przyczyny, rzecz ta pozostaje jałowa i jeszcze nie odkryta. Ilekroć słyszałem przypadkiem jakieś fragmenty słuchowisk francuskich lub angielskich, zamykałem po chwili radio. Najlepsze wydawały mi się jeszcze te, które miały rozbudowaną stronę muzyczną przez jakiegoś dobrego kompozytora, jak Honegger. Trzeba się jednak strzec wszelkiej deklamacji chóralnej, bo ta nigdy nie wychodzi ani w teatrze ani w radiu. Jeden tylko mało znany kompozytor znalazł na to receptę (Wladimir Vogel), ale recepta ta pozostała ogółowi specjalistów nieznana. Wydaje mi się też, że autorzy biorący się do pisania słuchowisk za mało znają specyficzne warunki teatru i słowa mówionego.

Być może w Laloubère Państwo więcej słuchają radia i mają jakieś lepsze wzory niż słuchowiska polskie. W każdym razie wydaje mi się, że Pani Nina posiada wszystkie warunki do tego, aby z powodzeniem spróbować swoich sił w tym rodzaju literacko-teatralnym. Być może zna już jakiś szczęśliwy pomysł, który mogłaby przy tej okazji opracować. Jej słowo jest płynne i dźwięczne, takie ułożenie, jakie się najlepiej do tego celu nadaje, zaś wyobraźnia ma pewien *impetus* formotwórczy nieodrodny przy operowaniu tak płynnym tworzywem jak słuchowisko. Rozpatrywanie prac nadesłanych na konkurs ma zająć 2–3 tygodnie, przypuszczam więc, że najlepsze prace będą wzięte na warsztat i że ich właściwości radiofoniczne zostaną ujawnione.

Nagrody RFE są bardzo zachęcające, zwłaszcza przez swą liczbę (6). Żadne więc z lepszych słuchowisk nie pozostanie bez nagrody. Ta okoliczność wydaje mi się najszczęśliwszym pomysłem całego konkursu. Liczba nagród pozwoli uwzględnić zarówno słuchowiska bardziej popularne, w stylu Obrony Częstochowy i Kościuszki pod Raclawicami, jak i bardziej wyszukane, zwracające się do wybredniejszej publiczności.

Nie mam pojęcia o tym, kto w tym konkursie weźmie udział i czy wszyscy najwybitniejsi pisarze emigracji czy też — jak zwykle w konkursach na słuchowisko — tylko pisarze naiwni, *peintres du dimanche*. Dotąd do słuchowisk ambitniejsi pisarze się nie

rwali, ale to nie jest być może reguła niezmienna. Tak czy inaczej, jest tam też miejsce i dla Pani Niny.

Termin nadsyłania prac upływa 1 listopada: jest więc jeszcze 6 tygodni czasu, najlepszy okres dla dramatu, który powinien być pisany prędko, bez przerw. Być może mój list jest zbędny, bo Pani Nina już przepisuje swe konkursowe słuchowisko na maszynie. Proszę o słowo wiadomości jak się Państwo oboje miewają. Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła szczerze oddany
J.S.

* (fr.) dosł.: malarze niedzielni.

32.

Bern, 24 lutego 1955.

Droga, kochana Pani Nino,

Niezmiernie cieszę się z tego, co Pani pisze o swoich projektach pisania po francusku*. Nie mam żadnych wątpliwości, że to jest najlepsza rzecz do zrobienia i nie podzielam Pani skrupułów. Język francuski zastępuje nam dziś tradycyjną łacinę, do której zwracali się w takich przypadkach nasi przodkowie. Pisanie w języku klasycznym, pełnym sławnych wzorów i prawideł, jest przede wszystkim dla samych piszących szkołą stylu, która może wyjść tylko na dobre ich pismom w języku ojczystym. Poza tym francuskie pisma przenikają bardzo daleko także poza Francję i dostarczają piszącemu czytelników w krajach, do których dostęp nie jest łatwy. Mam tego świeży przykład przed sobą, w postaci artykułu gdzie mojej książeczce o ziemi berneńskiej poświęcił jakiś nieznan mi autor w „Nieuwe Rotterdamsche Courant”. Był to na pewno jakiś najuważniejszy czytelnik, który dostrzegł w mojej książeczce nie tylko to, co w niej jest jawnie napisane, ale także rzeczy dyskretnie ukryte. Jeżeli chodzi o czytelników polskich, język francuski wcale od nich pisarza nie odgradza. Gdyby Pani miała swemu narodowi coś niezwykle ważnego do obwieszczenia uwierzy Pani łatwiej, kiedy zwróci się doń Pani po francusku, czy po angielsku. Wystarczy przykład Conrada. Jeżeli Théodore de Wyzewa i Alfred Savoir nie znaleźli polskich czytelników, przyczyna tego tkwi w fakcie, że się po prostu do nich nigdy, ani po polsku, ani po francusku, nie zwracali i nie mieli im nic do powiedzenia. Meyerson Emil doskonale mówił po polsku, pochodził z Lublina i bardzo chętnie nawet mówił w języku rodzinnego miasta, ale to co pisał nie zwracało się też do Polaków, i z tego powodu znalazł więcej czytelników w Columbii niż w Polsce. W Santa Fé de Bogotą miał całą grupę entuzjastycznych uczniów, szerzących jego sławę. Gdyby pisał po polsku, do nikogo by w ogóle nie trafił. To samo można by powiedzieć o Apollinaire, który na jego szczęście już pewnie po polsku nie mówił i w ten sposób uszedł *obscurité* uważaną przez Saint-Simona za najgorszy los.

Ten sam tekst może dziś być znacznie łatwiej wydrukowany po francusku niż po polsku z powodu samych właściwości rynku francuskiego i maszyny wydawniczej. Drukarni francuskich jest tak wiele, że pisarze nie nadążają dostarczać im materiału do (--) gdy drukarnie polskie są w zupełnie innej sytuacji i mogą się doskonale obyć bez pracy. Stąd zupełnie inne kryteria w stosunku do przydatności wydawniczej rękopisów polskich i francuskich. Mówię tu oczywiście o kryteriach pozaartystycznych. Warunki ekonomiczno-finansowe literatury są zbyt mało brane pod uwagę, bo marksściści mówią o nich

tylko z punktu widzenia ich taktyki partyjnej, a ich przeciwnicy w ogóle nie dostrzegają tych zagadnień i myślą przeważnie naiwnie, że książki ich są drukowane po prostu z powodu ich walorów literackich i wolności druku gwarantowanej przez konstytucję. Ci co piszą po polsku muszą z konieczności szarpać się w warunkach rynku polskiego, kto może pisać po francusku, może szczęśliwie ująć tej konieczności i zyskać na swobodzie ruchów.

Nie mogę więc dość nachwalić się Pani projektu.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła Państwu obojgu szczerze oddany

J.S.

P.S. Jestem wciąż w zupełnej ciemności co do wyników konkursu „Kultury”, bo nie wiem co orzekli inni jurorzy. Muszą się oni śpieszyć z wypowiedzeniem swego zdania, które ma się ukazać w najbliższym — marcowym — numerze.

* Janina Kościółkowska pisała po francusku (pod pseudonimem „Jibe”) opowiadania dla dziennika „La Nouvelle République des Pyrénées”, wydawanego w Tarbes.

33.

[Bern, 21.12.1957 r.]

Cari amici,

Di cudre vi auguro un buon natale e un felicissimo anno nuovo.

Affettuosamente, vostro velchio amico

Giorgio Stempowski

Berna, 21 dicembre 1957.

[Kartka pocztowa: Schwarzenburg. Adres: Monsieur et Madame/ W. Zyndram-Kosciolkowski/ Maison près du cimetière/ Laloubère (H^{tes}-Pyr.)/ France. Stempel: Bern/ 22.XII.1957]

34.

3.I.63

Jerzy Stempowski

Nydegasse 17

Berne

Kochany Panie Waławie,

Najserdeczniej dziękuję za list. Byłem szczerze wzruszony tym, że Pan nie dał się zniechęcić moim długim milczeniem i wciąż o mnie pamięta.

Niedawno słyszałem następującą historię. W Locarno mieszka 90-letni Samuel czy Izaak Cohen, który był kiedyś farysem, eseistą i filozofem, widocznie już bardzo dawno, bo go zupełnie nie pamiętam. Otóż ten Cohen powiedział memu znajomemu: „Dziękuję za list. Przepraszam, że nie odpowiedziałem, ale w moim wieku już się na listy nie odpi-

suje. Niektóre jeszcze się czyta. Niech się pan tym nie zniechęca i pisze dalej. Pańskie listy będę czytał”.

Historia starego Cohena bardzo mnie uspokoiła. Od dwóch lat mianowicie zalegam bardzo z korespondencją. Listy, na które chciałbym odpowiedzieć, gromadzą się na moim stole jak wyrzuty sumienia. Co miesiąc strząsam z nich kurz i układam je na nowo według domniemanej pilności. Na niektóre odpowiadam w myśli, dobieram wyrazy i argumenty, ale na tym się zatrzymuję.

Wyrzuty sumienia rzadko prowadzą do naprawy obyczajów, gryzą tylko na darmo. Kiedy postyszałem historię starego Cohena, poczułem wielką ulgę moralną. Znalazłem wreszcie jakiś argument tłumaczący moją agrań, nie wiem czy słuszny, ale na razie przynajmniej — do bliższego rozpatrzenia sprawy — mający pewną wiarygodność. Złożyłem więc zalegającą korespondencję do archiwum i próbuję zacząć wszystko na nowo.

Bardzo uderzyła mnie wiadomość o Pańskim pobycie w kraju. Ja też wybrałem się tam w 1957¹, kiedy podpisałem z „Czytelnikiem” umowę na druk w kraju wyboru moich szkiców przedwojennych i nawet emigracyjnych, drukowanych w „Kulturze”. Zdawało się, że wydanie ich dojdzie zaraz do skutku. „Czytelnik” zebrał sam wszystkie moje druki przedwojenne i przysłał mi dla zrobienia z nich wyboru. Prosił nawet o pośpiech. Potem jednak zaczął zwlekać i kapryścić. Nic wreszcie z tego nie wyszło. W zeszłym roku zrezygnowałem z tego całkowicie i wybór szkiców ukazał się w Paryżu. Ukazanie się książki w kraju stworzyłoby okoliczności pomyślne dla podróży. Bardzo dziś żałuję, że nie doszło to do skutku. Teraz już dla mnie za późno. „Dla jegomościunia zawsze za późno”, jak mówi pani Jowialska. Od tamtych lat wiele się zmieniło. Ściągnąłem nawet na siebie gniew Gomułki przez przedmowę do *Ostatnich pism* Andrzeja Stawara. Gomułka mało czyta, ale ktoś mu to pokazał. Skutek był taki, że w kraju nie wolno mnie w druku przytaczać ani wymieniać mego nazwiska. Jeden autor otrzymał po długich ceregielach pozwolenie powołania się na mnie pod inicjałami (sic).

Pan ma pewnie francuskie obywatelstwo, co bardzo ułatwia podróże. Ja mam wciąż papiery szwajcarskie dla osób nie posiadających na razie ważnych dokumentów. Na takie papiery wiz polskich nie wydają, chyba *ad personam*, wystawiając je na dokumencie wydanym *ad hoc* przez konsulat. Pewnie więc już kraju nie zobaczę.

Coraz więcej moich znajomych bywało w kraju, ale wrażenia, jakie stamtąd wywieźli, są bardzo różne. Jedni wrócili zachwyceni i gotowi do nowych odwiedzin, inni zniechęceni i rozczarowani zarówno krajem jak ludźmi. Jedna angielska znajoma pisała mi ostatnio, że młodzież polska sami chuligani bez sumienia. Różnorodność wrażeń zależy zapewne od środowisk, w jakich się podróżnicy obracali. Przyjeżdżający tu z kraju, zwłaszcza studenci, robią najlepsze wrażenie, a dawni znajomi są tacy sami, trochę tylko sfatygowani życiem, czemu się trudno dziwić.

Jestem bardzo ciekawy Pańskich wrażeń. Czy Pani Nina jeździła z Panem?²

W trakcie pisania tego listu otrzymałem wiadomość, która zmusiła mnie do natychmiastowego wyjazdu do Bonn. W ciągu tych kilku dni nowe wrażenia były tak odległe od tego, o czym pisałem, że zgubiłem wątek myśli i nie mogę go już odnaleźć. Aby nie wrócić do cohenowskiej metody, wysłałem ten list *tale e quale*, jak mówią Włosi, sklejonny z kawałków.

Mój kontakt z krajem staje się coraz luźniejszy. Niedawno zmarł tam mój brat³, młodszy ode mnie o dwa lata, który chorował na *tuberculosis senilis*. Był to ostatni bliski krewny, z którym w czasach kultu jednostki nie mogłem nawet korespondować, ale z którym potem wymieniliśmy większą ilość listów. Zostawił żonę i 10-letniego syna, z którymi nie wiadomo teraz, co będzie. Nie mogę im wiele pomóc, a zresztą pieniądze nie załatwiają sprawy i mogą tylko dostarczyć nowych kłopotów. Tak zerwały się ostatnie nici osobiste, łączące mnie z krajem pochodzenia.

Pisuję teraz co miesiąc dla RFE w Monachium recenzje z nowości literackich krajowych i z tego tytułu czytuję mnóstwo książek, przeważnie nowych autorów. Lektury te zostawiają mi mieszane wrażenia. Setki młodych ludzi nauczyły się czyściutko pisać, poprawnie, ze znajomością rzemiosła. Powstała w ten sposób średnia literatura, jakiej stosunkowo mało było w okresie przedwojennym, kiedy piszący mieli jak gdyby większe, chociażby nieuzasadnione ambicje. W tej atmosferze średniości wiele świetnie zapowiadających się talentów wykoleiło się. Los ten spotkał np. Żukrowskiego, po którym się wiele spodziewałem, a który należy obecnie do naszych Chińczyków czyli nostalgicznych chwalców doby stalinowskiej, z konsekwencjami literackimi tego stanowiska. Z wielkich talentów nowych Buczkowski został zapoznany, tylko Mrożek doszedł do sławy. Ich książki giną jednak w natłoku średniej klasy druków.

Najserdeczniejsze pozdrowienia i życzenia przesyła Państwu obojgu i rączki Pani Niny całuje szczerze oddany

J.S.

Pierwodruk: „Wiadomości” 1970 nr 12–13 (1251–1252)

¹ Winno być: wybierałem. Wyprawa nie doszła do skutku.

² Wacław Kościałkowski po raz pierwszy odwiedził kraj pod koniec 1956 roku, Janina Kościałkowska dopiero w 1969 r., w związku ze śmiercią matki.

³ Hubert Stempowski (1897–1962), przed wojną starosta włodzimierski i prezydent Łucka. Z wykształcenia agronom. Po wojnie instruktor rolny w PGR w Fałkowie koło Końskich.

35.

28.XII.63

Jerzy Stempowski
Nydegasse 17
Berne

Kochany Panie Wacławie,

Najserdeczniej dziękuję za życzenia i za bardzo miły list, pełen pomyślnych wiadomości. Takie listy przyjemnie jest czytać. O tym, że Pan pracuje w bibliotece, wiedziałem już przedtem, teraz dopiero widzę wszystkie dobre strony tego zatrudnienia. Te biblioteki municypalne we Francji są często kopalnią materiałów i lektur. W 1953, podczas kilkumiesięcznego pobytu w Nizzy, spędziłem sporo czasu w tamtejszej bibliotece municypalnej. Pogoda była zła, wszystkie więc deszczowe godziny spędzałem na czytaniu *Nice historique*. Przyjechałem tam po 40 latach niebytności i, kiedy rankiem wyszedłem na Promenade des Anglais, poczułem się jakoś dziwnie odmłodzony i żwawy. Nie mogłem sobie tego zrazu objaśnić, dopiero na końcu Promenady uświadomiłem sobie, że byłem tam najmłodszym przechodniem, beniaminkiem Promenady. Nizza była okropnym obrazem upadku. Wszystkie wille z parkami, należące niegdyś do milionerów, były na sprzedaż. Starzy mieszkańcy Côte d’azur wyjechali dawno do Kalifornii lub na Florydę, zostali tylko ci, którzy z braku pieniędzy nie mogli nigdzie wyjechać. Z Eglise russe zobaczyłem wychodzących starców w sinych kaszkietach i długich butach, jak gdyby Dienikin jeszcze żył i czekał na pierwszą okazję. — Dodam od razu, że to się bardzo zmieniło,

nie wiem, czy na lepsze. Teraz jesienią pojechałem tam na kilka dni z Turynu: cała Promenada była na nowo zabudowana, wypucowana na glanc, tylko Promenady więcej nie było. Zamiast niej była autostrada z dwoma rzekami samochodów. Nad samą czarną plażą został tylko wąski chodnik, ale i ten morze częściowo zmyło. Nikt go nie naprawia, bo nie ma ani jednego pieszego przechodnia. Nikt nie chodzi pieszo. Zresztą przejście w poprzek autostrady wymaga długiego czekania. Udało mi się to tylko raz, więcej nie próbowałem. Moją dziedziną jest *l'intérieur*, wewnątrz Alp Morskich, górską pustynią z opuszczonymi wsiami. W niektórych domach widać nawet przez szczeliny stare meble. W jednej z tych opuszczonych wsi, w pustym klasztorze znalazłem grób Lascarisów, emigrantów bizantyjskich w XV wieku, którzy wywieźli swą bibliotekę i nauczycieli Europejczyków zachodnich greckiego. Już wówczas emigrantom, nawet znakomitym, z cesarskiej rodziny jak Lascarisowie, musiało się powodzić źle, kiedy skończyli w opuszczonej przez ludność wsi nazwiskiem Saorge. Jadąc autobusem z Turynu znów widziałem z daleka Saorge. Jest to jedno z najpiękniejszych górskich miasteczek. Jest wciąż opuszczone.

Niezmiernie ucieszyłem się z sukcesów Pani Niny, o których tylko wiem z „Wiadomości”. Pani Nina pisze coraz lepiej i wyjdzie na znakomitą autorkę. Niektórzy zaczynają wcześniej, inni później, w miarę gromadzenia się doświadczenia pozaliterackiego, i tych czytam najchętniej. Szczerze gratuluję Pani Ninie powodzenia.

Bardzo ucieszyło mnie również to, co Pan pisze o odwiedzinach u pana Augusta. Robię sobie wyrzuty, że nie byłem dotąd u niego. Czy mówił Panu o „la commission du fameux Timtchassoff”¹, jak pewien memorialista francuski nazwał „Komisję Tymczasową”? I czy cytował Saint-Simona: „Il faut tenir le pot de chambre au ministre en puissance, pour le lui renverser aussitôt sur la tête lorsque le pied lui aura glissé”². Pan August nie jest doceniany na emigracji. Chciałbym mu w jakiś sposób wyrazić moją szczerą sympatię.

Wspomina Pan cztery koty. W naszym domu był tylko jeden. Nazywał się „citoyen” i spędzał większość czasu w naszym ogródku. Właścicielka jego wyprowadziła się z nim razem, ale Citoyen uciekł od niej i zginął bez śladu. Od jego zniknięcia miejsce jego w ogrodzie zajęły ptaki. Pan o ile pamiętam, wyjechał przed moim exodem do Berna i nie znał Pan już mego ogródka. Ma on trzy piętra i spada stromo ku Arze, przy czym każde piętro ma 70–100 metrów kw. Przez 51 lat nikt się nim nie zajmował — podobnie zresztą jak ogrodami sąsiednimi na tym zbocz — i chwasty rosły w nim na wysokość człowieka. Wyplenienia ich zajęło mi dwa lata pracy. Dziś ogródek jest pełen kwiatów i strzyżonych trawników: róże, hortensje, clematis, zinnie, wiosną tulipany i krokusy. Wróble rozmnożyły się na skutek dobrego wiktu najwięcej. Rozmawiam z nimi jak św. Franciszek, po włosku. Nazywam je „popolo minuto” albo po prostu „ladrunculi”, bo są zawsze nieufne i z jedzeniem czekają żebym się odwrócił. Inne ptaki oswajają się z wolnej ręki lub raczej z wolnej stopy. Żyjące parami, jeżeli tracą towarzysza lub towarzyszkę, nudzą się bardzo, poszukują towarzystwa i kontentują się nawet moim. Czekają na mnie o tej samej godzinie, rozmowne i zabawne. Są to kosy, bardzo dowcipne i muzykalne. Najbardziej przymilny jest wszakże Rouge-gorge. Nie wiem, jak się nazywa po polsku. Ogród nasz jest zasłonięty od bazy³ i wystawiony na Południe, ptaki w nim chętnie zimują, niektóre przylatują aż z lasu.

Kiedy mowa o ptakach, robię się bavard jak sam Beethoven. Miejsca zostało mi akurat tyle, aby na nadchodzący rok przesłać Państwu obojgu najserdeczniejsze życzenia, szczerze oddany

J.S.

Rączki pani Niny całuję.

¹ (fr.) „Komisja sławnego [pana] Tymczasowa”

² (fr.) Trzeba trzymać nocnik w pobliżu urzędującego ministra, by [móc] wylać mu jego wartość na głowę, gdy tylko noga mu się pośliznie.

³ biza, franc. *bise* [biz] — suchy i zimny wiatr północny bądź północno-wschodni.

Jerzy Stempowski
Nydegasse 17
Berne

Drogi, kochany Panie Waclawie,

Dziękuję najserdeczniej za list i życzenia. Ja również życzę Państwu obojgu pogodnego, dobrego roku. W ciągu ubiegłego straciłem trochę Pana z oczu. Z listów ostatnich wyciągnąłem mylny wniosek, że przeniósł się Pan do Tarbes i porzucił znakomity *maison près du cimetière*. Mieszka Pan tam już tak długo, że pewnie okolica zmieniała się w Pańskich oczach, cmentarz przeniesiono o kilka km dalej, pobudowano wieżowce itd. W 1912 poznałem austriackiego urzędnika, który 50 lat przedtem został agentem konsularnym w Serajewie i zatrzymał się w jedynym w tym mieście hotelu koło stacji. Tam dosłużył się pełnej emerytury i pozostał nadal w tym samym pokoju. Tymczasem dokoła powstało nowe miasto; Serajewo, które było powiatowym miasteczkiem tureckim, stało się stolicą Bośni, zbudowano urzędy, szkoły, teatr itd. Hotel, w którym mieszkał mój znajomy, zeszedł do rangi niewielkiej rudery, wciśniętej między dwa wielkie bloki. Zatrzymywali się w nim handlarze fezów, skór baranich, dywanów. Wreszcie któregoś dnia przyszedł doń majster murarski i powiedział: Niech pan prędko poszuka pokoju w jakimś innym hotelu, bo jutro zaczynamy rozbiórkę domu. Mój znajomy, stary kawaler, poczuł się bezdomny i zgubiony w tej nowej sytuacji. Po nieprzespanej nocy przyszedł do wniosku, że nie ma co robić w Serajewie, wyjechał do Wiednia, a potem do rodzinnych Wadowic, gdzie go poznałem.

Wspomnienie tego austriackiego emeryta prześladowało mnie potem w Muri, dokąd przyjechałem w końcu kwietnia 1940 z prawem pobytu na dwa tygodnie. Miałem stamtąd wyjechać do Francji. Obejrawszy wieś powiedziałem sobie: Dwa tygodnie tu może wytrzymam, ale ani jednej godziny dłużej. W Muri mieszkałem 11 lat, dłużej niż w jakimkolwiek innym miejscu prócz Berna, gdzie jestem już od przeszło 12 lat. Z początku rzecz tłumaczyła się jako tako. W maju i czerwcu 1940 widziałem pędzące przez Muri samochody przykryte materacami — taka była wówczas moda — uciekające od niemieckiej granicy. Takie samochody widziałem już przedtem w Polsce, na Węgrzech, w Jugosławii, ale ze wszystkich tych krajów było jakieś wyjście. W Szwajcarii nie było żadnego. Dokąd uciekacie — myślałem — marnujecie benzynę; jesteście w saku i zachowujecie się jak ryby. Po skończonej wojnie rzecz nie tłumaczyła się tak jasno. Co trzy miesiące musiałem się tłumaczyć przed policją, dlaczego nie wyjechałem do Australii, jedynej wówczas kraju otwartego dla emigrantów. Sam się temu nie raz dziwiłem. Byłem dotąd szybki w nogach, szybki w decyzjach, porzucałem w ciągu kilku minut mieszkania, biblioteki zgromadzone z wielkim nakładem pracy i pomysłowości, i jako *voyageur sans*

*bagages*¹ przekraczałem granice, zanim zrobiło się na nich tłoczno. Teraz lotność opuściła mnie. Nie miałem więcej książek prócz *Discorso sulla prima decada di Tito Livio Machiavellego* i kilku notatników, rzeczy moje mieściły się w niewielkiej walizce, nic nie wiązało mnie z Muri, a jednak trzymałem się tego miejsca jak ostryga przyklejona do skały.

W 1952, gdy lud, ku niezadowoleniu władz kantonalnych, przyznał mnie i kilku innym uchodźcom prawo osiedlenia, mogłem się przenieść do Berna, i tam powtórzyła się znów historia austriackiego emeryta z Serajewa. Wynająłem pokój u wdowy po hiszpańskim malarzu imieniem Sanz y Arizmendi. Mieszkanie i nawet klatka schodowa były obwieszane ciemnymi obrazami w hiszpańskim stylu. Najpiękniejszy z nich, o 4 m. powierzchni, przedstawiał bal *champêtre* u stóp Gibraltaru. Po krótkim czasie zmarł mój właściciel domu, berneński arystokrata von Büren, potem zmarła pani Sanz, potem zmarł mieszkający w sąsiednim pokoju pianista spod Sniatynia Zerygiewicz, inni lokatorzy znikli przerażeni, przez dłuższy czas byłem jedynym mieszkańcem szlachetnego lecz zrujnowanego budynku. Z biegiem czasu dom zaczął się zaludniać, mieszkanie po pani Sanz zajęli moi przyjaciele, posiadacze dwóch fortepianów, poszukujący wielkiego mieszkania bez sąsiadów. Tak wszystko się zmieniło dokoła, ja tymczasem pozostawałem wciąż w tym samym pokoju. Po latach zmienił się obraz dzielnicy, w której zburzono wiele domów, cicha dawniej ulica wypełniła się nieznośnym hałasem, tysiące samochodów na godzinę przejeżdża pod moim oknem. Któregoś dnia przyjedzie majster i powie: Machaj pan stąd, bo zaczynamy rozbiórkę.

Widocznie jest w tym jakieś prawo natury, bo widzę, że Pan również jest wciąż w Laloubère, w tym samym miejscu, którego Pan być może też nie wybierał.

Przed dwoma laty przechodziłem kiedyś przez Muri i uświadomiłem sobie, że nie znam tam nikogo prócz właścicieli Starnem i Krone. Zaszedłem do Pańskiego dawnego hotelu, i pani Schwob zapytała mnie o Pana. Został Pan w jej pamięci jako *le vieux Polonais*², nie z powodu wieku lecz obediencji: Polak starego obrządku. Tak nazywają w Genewie Aleksandra Bobkowskiego³. Myślę, że to jest piękna formuła, zalatująca wspomnieniami wielkiej emigracji.

W gazetach widzę często nazwisko Pani Niny, która stała się wybitną osobistością w życiu literackim emigracji. Wyobrażam ją sobie jak, wesola, zbliża się z warząchwią w rękę, aby poruszyć trochę gotujące się w literackim kotle papiery. Rączki jej całuję i Państwo obojgu najserdeczniejsze życzenia przesyłam, szczerze oddany

J.S.

Pierwodruk: „Wiadomości” 1970 nr 12–13 (1251–1252)

¹ (fr.) właściwie, użyte tu określenie „podróżny bez bagażu” jest równie dobrym samookreśleniem własnej postawy eseisty jak miano „nieśpieszny przechodzień”.

² (fr.) tu: Polak starej daty.

³ Aleksander Bobkowski (1885–1966), płk dypl., dyrektor PKP w Krakowie, propagator turystyki i narciarstwa, inicjator budowy kolejki linowej na Kasprowy Wierch. Po wojnie w Szwajcarii.

Jerzy Stempowski
Nydegasse 17
Berne

Drogi, kochany Panie Waławie,

W tych dniach świątecznych, poświęconych przyjaźni, kiedy wszyscy bombardują się wzajemnie miłymi kartonikami, nie mógł Pan zrobić mi większej przyjemności jak przysyłając list pełen dobrych wiadomości o sobie i innych. Niezmiernie się zeń ucieszyłem. Pańska podróż do kraju wydała mi się podobna do bajki opowiedanej przez dobrą nianię. Musi Pan mieć niezwykle geniusz przyjaźni, jeżeli zachował Pan tylu dobrych znajomych w kraju. Jest to zupełnie inaczej niż ze mną. Być może nie kultywowałem ich dostatecznie, ale ze starych przyjaciół nikt się do mnie nie odzywa i nie jestem pewien, czy by mnie poznali, gdybym się zjawił w Warszawie. Mam natomiast pewną ilość nowych znajomych, z którymi koresponduję. Niektórych nigdy na oczy nie widziałem, z innymi spotykałem się w Paryżu. Wszyscy są młodzi, większość nie ma 30 lat. Doszedłem do tych stosunków w znacznej mierze przez RFE, do którego piszę recenzje o nowościach wydawniczych krajowych. Interesują mnie głównie młodzi i debiutanci. Co piszą starsi, wydaje mi się mniej ciekawe, bo czernią papier tak, jak ja bym to robił, gdybym nie wyszedł na emigrację. Młodzi natomiast, tam urodzeni i wychowani, są czymś nowym, co staram sobie wyobrazić oraz zrozumieć. Myślałem zrazu, że recenzje te giną gdzieś na falach eteru, ale przekonałem się, że omawiani autorzy słuchają ich i potem odzywają się do mnie. Niektórzy są bardzo lękliwi i boją się ze mną spotykać podczas swych pielgrzymek do polskiej Mekki *id est* do Paryża. Są przekonani, że agenci depczą im po piętach i donoszą. To może być nawet prawda, bo po kawiarniach paryskich widziałem sporo podejrzanych typów. Ale i na to jest rada. Wyznaczam spotkanie w Café du Dôme, gdzie czytam ostentacyjnie „Corriere della sera”. Przyjezdny siada przy sąsiednim stoliku i po chwili pyta: *Lei non sarebbe per caso signor Lorenzo Bocchi, corrispondente parigino del Corriere?* Na to odpowiadam, że jestem literatem z Cremony piszącym *essay* o Baudelaire i odbywającym właśnie *un pelerinaggio baudeleriano*. Przez ten czas rozglądamy się dokoła. Jeżeli jest czysto, witamy się jak bracia. Jeżeli widzimy coś podejrzanego, proponuję memu rozmówcy — zawsze po włosku — wspólną wycieczkę na grób Baudelaire na sąsiednim Cimetière Montparnasse. Idziemy tam przez Bd. Edgar Quinet, wzdłuż muru cmentarnego, gdzie nie ma żywej duszy, wchodzimy do środka, gdzie nikt nas podsłuchać nie może, i siadamy pod pomnikiem będącym paragonem złego smaku. Nawet gdyby ktoś widział nas w pierwszej fazie spotkania, przyjezdny ma na to doskonałe wytłumaczenie: Na Montparnassie spotkałem włoskiego literata imieniem Enzo Rossi, który zaprowadził mnie na grób Baudelaira. Mnie na szczęście w Paryżu nikt teraz nie zna. Montparnasse, niegdyś stolica sztuki nowej i jej *laboratoire central*, jest prowincjonalnym zakątkiem. Publiczność Rotondy i Café du Dôme nie zdaje sobie sprawy ze sławnej przeszłości tych lokali. Są to mieszkańcy *quartier*, zachodzący tam na aperitif czy kawę. Kiedyś znałem tam, z widzenia przynajmniej, wszystkich znakomitych gości, dziś nie znam nikogo. Jestem więc trochę jak człowiek, który żył za długo, przeżył swą epokę i pęta się, nie wiadomo po co, po nowych czasach.

Do Polski chciałem jechać w 1957, kiedy podpisałem z CZYTELNIKIEM umowę o wydaniu w kraju moich dawnych i nowych szkiców. Myślałem, że to uprawnia mnie do podróży i odwiedzenia starych i nowych czytelników. Nic jednak z tego nie wyszło. Mi-

mo że powstrzymywałem się od łajania Bieruta, uważając, że on robi co może, wszystko w moich pismach było w jakiś sposób niecenzuralne. Po tym doświadczeniu porzuciłem myśl podróży. Przypuszczam, że nie poznałbym miasta, błędziłbym po nieznanymi ulicach jak upiór. Z każdym rokiem jestem zresztą podobniejszy do upiора i rola ta przykrzy mi się już bardzo. Następnie słyszałem od podróżników zesłorocznych, że byli niepokojeni przez ubeków. Przesłuchiwano ich godzinami w przykry sposób i namawiano na współpracę w niższej klasie agentów. Nikt o tym nie chce pisać ani mówić zbyt głośno, aby nie zaszkodzić znajomym w kraju, ale zebrałem już kilka takich zwierzeń od osób, które ślubowały nigdy tam więcej nie jeździć. Mam nadzieję, że Pana ta próba ominęła.

W październiku zapoznałem się trochę z reżymem komunistycznym jugosłowiańskim, mocno rozwodnionym. Toto¹ szuka dochodów z turystyki i traktuje ją na serio. Wizę turystyczną dostaje się *stante pede*, na granicy nie rewidują, policja nie depcze po piętach. Widziałem się tam z opozycjonistami niedawno wypuszczonymi z więzienia — bo tego i w rozwodnionym reżymie nie brakuje — ale nie obserwowałem żadnego nadzoru. Tam też nie jest dobrze, wszędzie widziałem niezadowolonych i narzekających na obniżone ostatnio zarobki. Toto zbliżył się do Moskwy i jego poddani obawiają się silnego zaostrzenia kursu. Analogie z Gomułką są uderzające. Ta sama ciężka głupota i absurdałne doktrynerstwo. W najbliższej „Kulturze” będzie mój dziennik podróży do Dalmacji. Chciałbym tam jeszcze wrócić. Teren jest doskonały do spotkań z przyjezdnymi z Polski, których tam widziałem w wielkich ilościach. W jednej 50-letniej ale jeszcze przystojnej pani kupującej pocztówki poznałem kogoś, kogo znałem z teatru jako debiutantkę, ale nie mogłem sobie przypomnieć ani nazwiska ani okoliczności. Kiedy zagadnąłem ją, przestraszyła się i uciekła. Taki zapewne byłby mój los i w Warszawie. *Revenant*.

Pański nocleg w Muzeum zegarów słonecznych na kanapie Piłsudskiego jest jedną z najpiękniejszych historii jakie słyszałem². Szkoda, że takich rzeczy nie można opisać. Byłyby dowodem, że przyroda naśladuje sztukę, jak myślał Oscar Wilde. (Podobną myśl znalazłem zresztą u Tassa w *Gerusalemme liberata*.) Muzeum zegarów byłoby naśladowaniem sztuki surrealistycznej. Tyle lat nam nią zawracali głowę, że czas już, aby natura sama zaczęła ją naśladować. Mam nadzieję, że naśladowania przez życie sztuki abstrakcyjnej nie dożyję. To byłoby zbyt okropne.

Pani Ninie gratuluję szczerze sukcesów literackich. Czekam na pojawienie się w druku *Sprawy Nr. 1*. Żałuję, że „Dziennik Polski” do mnie nie dochodzi, bo z prawdziwą przyjemnością przeczytałbym jej powieść kryminalną, mimo że tego rodzaju literackiego prawie nie znam³. Pisanie powieści kryminalnych i romansów dla kucharek wymaga doskonałej znajomości rzemiosła literackiego. To nie antypowieści, nie *nomans nouveaux*, gdzie można nie liczyć się wcale z cierpliwością czytelnika. Czytające kucharki nie mają żadnego zrozumienia dla wybryków słowa i wyobraźni, oczekują rzetelnego rzemiosła, zabawnego i wzruszającego. Rzeczy w rodzaju „Zazie dans le métro” są oczywiście przeznaczone dla wyższych sfer towarzyskich naszych czasów. Niestety kucharek jest coraz mniej, z wielką szkodą dla współczesnej literatury. Dla Pani Niny napisanie czytelnej powieści kryminalnej jest rodzajem awansu, przejścia Rubikonu literackiego i wstępem do czegoś nowego, do wyższej klasy powieściopisarstwa. Kiedy będę w domu „Kultury”, gdzie zbierają gazety, przeczytam ten twór Pani Niny ze smakiem, jak się przystępuje do magistralnie przyrządzonej *bouillabaisse*.

Pani Nina pisze w swym liście, że w trakcie jego pisania miał Pan ciężkie zmartwienie z powodu choroby Matki. Mam nadzieję, że choroba przybierze lepszy obrót zanim Pan otrzyma mój list. Astma sercowa nie jest sama przez się chorobą, jest tylko uciążliwym objawem wieku starszego. Wielu na nią cierpi po 70-tce, niektórzy nawet 20 lat i więcej. W Kołomyji miałem znajomego, który przez długie lata cierpiał na tę dolegli-

wość w najostrzejszej formie. Nie wróżyłem mu nic dobrego, ale co roku znajdowałem go znoszącego swą chorobę z odwagą i nawet próbującego rąbać drwa. Wojna rozdzieliła nas. W fazie początkowej daje się to poprawić.

Ponieważ zaczynamy nowy rok naszej wędrówki, przesyłam chorej, Pani Ninie i Panu, kochany Panie Waławie, najserdeczniejsze życzenia zdrowia i wielu pogodnych dni. Pani Niny rączki całuję, szczerze oddany —

J.S.

Pierwodruk: „Wiadomości” 1970 nr 12–13 (1251–1252)

¹ Tito.

² „Będąc w Polsce w 1965 nocowałem w Jędrzejowie w Muzeum Zegarów Słonecznych. Kierownik muzeum dr Przypkowski mówił mi, że na kanapce, na której spałem, w roku 1914 spał Komendant Piłsudski.” — Dopisek odręczny Waławia Kościałkowskiego na marginesie listu.

³ *Sprawa numer jeden* Janiny Kościałkowskiej została wydana w Londynie przez oficynę „B. Świdorski” w 1967 roku. „Powieść kryminalna” to najprawdopodobniej *Żółty pokój* — drukowana w odcinkach w „Dzienniku Polskim” w latach 1965–1966.

38.

Jerzy Stempowski
Nydegasse 17
Berne

22.XII.66

Kochany Panie Waławie,

Najserdeczniej dziękuję za miły list i dobre wiadomości. W miarę tego jak robię się stary i niedołązny, jestem coraz wrażliwszy na znaki przyjaźni i pomyślne nowiny. Bardzo więc ucieszyłem się z Pańskiego listu.

Muri zmieniło się od naszych czasów nie do poznania. Na południe od szosy nie ma już żadnej przerwy między Bernem i Muri. Szosa została rozszerzona. Dzień i noc płynie nią rzeka samochodów. Pieszycy nie widać wcale. Na jednego przechodnia przypada może 500 samochodów. Latem opary benzyny przyprowadzają mnie o kaszel, nie chodzę więc wcale w takie miejsca. Nowe Muri znam tylko z przejazdów. Pieszko byłem tam ostatni raz przed trzema lub czterema laty. Doszedłszy do Sternen uświadomiłem sobie, że nie znam tam więcej nikogo poza właścicielem hotelu. Lata pobytu w tej gminie spływały ze mnie „jak z gęsia woda”. Nigdy prawie nie wracam do nich myślą.

Kiedy przyjechałem do Muri 20.IV.1940 z pozwoleniem pobytu na dwa tygodnie i obejrzałem z gruba miasteczko, pomyślałem, że dwa tygodnie tam wytrzymam, ale ani jednej godziny dłużej. Spędziłem tam jedenaście lat, ale pierwsze wrażenie było słuszne.

Z dawnych internowanych mieszka tam tylko rzeźbiarz Stankiewicz, ożeniony z córką von Ernsta, b. bankiera i właściciela „château” naprzeciw Sternen. Z biegiem lat zrobił się bardzo mondain, chodzi na wszystkie coctails, i spotykam go co dwa lub trzy lata.

Przechodząc ostatni raz przez Muri widziałem M-lle Schwab na tarasie Krony, niezmienioną. Mam nadzieję, że żyje i prosperuje. Za jej hotelem stoi długi barak z napisem „motel”. W braku pieszych hotele muszą zwracać się do automobilistów. Budynek ten nie jest do niczego podobny. Naśladuje być może wzory amerykańskie. W takich motelach zapewne Humbert Humbert* zatrzymywał się z Lolitą. Kiedy się trochę ociepli, wybiorę się do M-lle Schwab i porozmawiam z nią i Pańskim projekcie. Spytam również o ceny,

według zasady starego przemytnika: „Zły to interes chcieć żyć za wszelką cenę; trzeba pytać, ile kosztuje”. O rozmowie napiszę.

Jeżeli dotąd nie odpisałem na Pański letni list, stało się to dlatego, że czekam dotąd chwili, gdy będę mógł napisać coś sensownego. W tym celu musiałbym porozmawiać z Giedroyciem. Przez korespondencję to się nie da załatwić. Raz w Padwie na rynku zobaczyłem popielniczkę z napisem: *Non mi date conslgi, so sbagliare da me*. Pomyślałem zaraz, że to byłoby coś dla Giedroycia. Istotnie, popielniczka podobała mu się i stoi czysto umyta, na jego biurku. W Laffittach nie byłem od wiosny, ale wybieram się tam, na razie bezskutecznie, każdego dnia. Do tej okazji trzeba będzie odłożyć sprawę w mo-
wie będącą.

Panu, kochany Panie Waławie, i Pańskim bliskim przesyłam najserdeczniejsze życzenia zdrowia i pogody ducha, a rączki Pani Niny całuję, szczerze oddany

J.S.

* Bohater powieści Nabokova *Lolita*.

Kochany Panie Waławie,

Dowiedziałem się wczoraj od Pańskiej gospodyni, że dziś ma Pan być w Montreux, jak przypuszczam u Antoinette. Bardzo to zuchwała myśl jeździć tak на цатно właśnie w miejsce, które od roku jest przedmiotem specjalnej kontroli. Daj Boże, aby Pan stamtąd zdrowo wrócił.

Tymczasem przysły tu dla Pana wiadomości, które być może pokrzyżują trochę Pańskie plany wyjazdowe w razie ich odwleczenia na 2–4 tygodnie. Chcąc jak najszybciej to Panu zakomunikować, napisałem o tym do M-lle Antoinette. Proszę nikomu nie mówić, że Pan to wie, bo ma o tym Panu zakomunikować sam minister. W niedzielę mnie nie będzie. Proszę łaskawie zejść do mnie w poniedziałek z rana, biorąc pod uwagę, że między 10 i 11 będę musiał wyjść z domu.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła

dr Jurko

sobota, 28.X.

O JERZYM STEMPOWSKIM

Janina KOŚCIAŁKOWSKA (Francja)

„Poznasz zaraz niezwykle ciekawego człowieka, mędrca — wiecznego tułacza. Trochę nawet demoniczna postać, są tacy, którzy się go boją...”

Powiedziano mi to w poselstwie RP w Bernie na parę minut przed poznaniem Jerzego Stempowskiego. To i wiele innych niezwykłych rzeczy na jego temat. Miałam wrażenie, że osobę nieznanego mi pana Stempowskiego otacza szczególna aura, mieszanina szacunku i podziwu z przybraniem jakby barwy ochronnej „zdrowego rozumu”, który zawsze podejrzewa rozum *tout court* o niebezpieczne zasadzki.

Do gabinetu poselstwa wszedł pan w jasnym letnim ubraniu, o srebrnych włosach i bardzo jasnych oczach w pięknej twarzy i mimo woli pomyślałam „ach, to się nazywa umieć wyglądać na samego siebie...”

Jerzy Stempowski okazał mi, jak wszystkim nowopoznanym osobom, od razu ciepłą przychylność, która była jego specjalnością. Do wszystkich kierował skupioną uwagę i podtrzymujący uśmiech, co sprawiało że każdy mógł czuć się rozmówcą szczególnie interesującym. Wiedział naturalnie że przedostałam się niedawno z Niemiec, czytał moje pierwsze rzeczy ogłaszane potem w londyńskich „Wiadomościach”. Był to 1941 r., lato.

Nie wiedział jednak tego, że wybuch wojny przeżyłam na Huculszczyźnie, a ja nie wiedziałam, że szczególnie ten poruszy go osobiście. Najlepszym listem polecającym, najciekawszym dla niego biletom wizytowym był mój bilet kolejowy Worochta-Mikuliczyn stemplowany 30 sierpnia 1939. Pokazałam mu go, nosiłam zawsze przy sobie, bez wyraźnego celu, a też nie przeczuwając wcale, że tych stron nigdy więcej nie zobaczę.

Stempowski ujął ten brunatny prostokąt kartonu i obracał go w palcach długo, dziwnie długo, jakby ciesząc się tą cudzą pamiątką. Zrozumiałam wtedy, raczej przeczułam: ten człowiek kochał tamten kraj. Dla niego była to sprawa miłości na całe życie.

Oddał mi wreszcie brunatny kartonik „Worochta-Mikuliczyn” ze słowami: „To będzie bilet wstępu do naszej przyjaźni, prawda?...” Śmiał się, uśmiechał. Najbardziej charakterystyczną zewnętrzną cechą Jerzego Stempowskiego był ten uśmiech — podkop pod powagę wszelkich spraw tego świata — którym od razu dawał do zrozumienia, że wszystko można zobaczyć tak, ale i inaczej, zmierzyć tą i inną miarą, zaszeregować w gatunki, rodzaje, rodziny i typy według różnych kluczy i kodów.

— Pójdziemy na spacer. Pokażę pani miasto i okolice — powiedział zdecydowanie, a ja czułam że choć niby już znałam cudowne Berno i okolice, naprawdę poznam je dopiero teraz. — A przede wszystkim chmury. Są dzisiaj takie rzadkie specymeny...

Omal nie pocałowałam go w rękę. Chmury?... Mój Boże, a więc jest jeszcze ktoś, kto potrafi w tych czasach, wśród tych zdarzeń, patrzeć na chmury. Niebo oficjalnie było tylko drugą połową ziemi, skąd miało przyjść zwycięstwo albo zagłada. Nawet szwajcarskie niebo.

Pierwszy spacer był na Bubengraben. Pamiętam tam, jak z mostu łączącego Helvetia Platz i Münster Platz patrzyliśmy na wspaniałe cumulusy a może na cirrocumulusy albo altocumulusy, może na stratusy czy stratocumulusy, których encyklopedyczna mnogość i nazewnictwo rozwarły się nade mną w słowach objaśnieniach mego towarzysza.

Tak więc na kolejnych spacerach z autorem *La Terre bernoise* poznawałam, wtajemniczałam się w sztukę odczytywania historii miasta i ludzi po zanikających lub nigdzie dotąd nie notowanych zabytkach dawnego sposobu zakładania ogrodów, altan, studzien, rogatek miejskich i ich dziejów. Specjalnością Stempowskiego było obcowanie z *genius loci*. Wnikanie, zaznajamianie się z miejscem. Tutaj Stempowski miał w sobie coś z detektywa i eksploratora. Wierzył w związek człowieka z miejscem. Oderwanie się od swojego miejsca na ziemi, wykorzenie przymusowe, jak np. wszelkie wysiedlanie i kolonizacje, uważał za operację niebezpieczną, najgorszy dopust losu i źródło różnych schorzeń psychicznych. Był pod tym względem człowiekiem niewspółczesnym. „Błyszczące kariery — mawiał — są często tylko odwetem za niemożność doznania szacunku w swoim własnym miasteczku. Niech Pan Bóg zabarabani mieć do czynienia z prorokami w cudzych krajach...” Jerzy Stempowski był zaprzeczeniem turysty, był wcieleniem emisariusza. Udawała mu się rzecz najrzadsza — w rozmowach z cudzoziemcami umiał mówić o „swoich stronach” albo „swoim kraju” w sposób, który intrygował, nęcił ucho i ciekawość słuchacza, jego łagodny i lekko ironiczny ton zmuszał do refleksji, że nie-szczęśni uchodźcy nie są bynajmniej olśnieni ani bezkrytyczni wobec urzędów krajów swego przymusowego pobytu. W połączeniu z niezwykle głęboką i subtelną wiedzą o tych krajach, postawa jego dawała mu swoisty autorytet fachowca nie swoich spraw, znawcy szczegółu i historii, tej „za kulisami”, jedynej, która naprawdę uczy. „Oficjalna historia krajów i narodów, której się uczymy, poucza nas czegoś wręcz odwrotnego i sprzeczność, którą czujemy między zafundowaną nam wersją a nagą refleksją, jest ceną dość wygórowaną aby się czuć swobodnie i lekko w naszej własnej skórze. Ja jestem Europejczykiem wschodnim...”

Antykwiariaty i księgarnie starego Berna, stałe przystanki naszych spacerów... Lecz tylko pierwsze pociągały mi oko, co do drugich, zwierzyłam się od razu Stempowskiemu z dziwnego urazu, na który wtedy cierpiałam: widok książek i kobiet w ciąży sprawiał mi odrazę. Stempowski zrozumiał to wnikliwie i całkowicie, jakby to była rzecz normalna. „Ja także przechodziłem niekiedy taki kryzys, niechęć do wszystkiego co drukowane — zapewniał mnie dobroliwie, chociaż na pewno nie było to prawdą a tylko pociechą wymyśloną *ad hoc*. — „Co by pani sprawiało przyjemność? Trzeba to zaraz zrobić.” Prosiłam zawsze o *Wienerschnizel*. I piwo. „Ciemne, duże... dwa piwa.”

Bawiła go, ale wcale nie śmieszyla ta moja żerność, mój marchołtowy stosunek do świata, gruby, wierny apetyt, namiętne i pobożne cenięcie rzeczy tzw. prymitywnych. Nie żywił zaufania do ascetów, a przyjemności tego świata nie dzielił na „zmysłowe i umysłowe”. To było u niego z lekarza, którym się czuł z powołania, że wiedział o przenikaniu się materii w materię i tzw. „niematerię”, zanim stało się to kanonem oficjalnej nauki, jasno też widział zależność spraw wzniosłych od spraw przyziemnych. „Przyziemność jest straszliwie trudna — powiadał — co może być trudniejszego jak dobrze urządzić życie «przyziemne»? Blisko dwa tysiące lat ludzie tego nie potrafili i zdaje się nie prędko potrafią...”

Zagospodarowanie ziemi, ukształtowanie jej tak, aby była człowiekowi przyjazna i przydatna, a nie obca i wroga, to był temat ukryty i wszechobecny jego anegdot, opo-

wiadań, refleksji. Jego historie o przemysłowcach, które opowiadał tak chętnie, o stelmachach, karczmarzach i zakrystianach, o znachorach i cadykach były przeważnie czystym wymysłem czy raczej transpozycją wyobraźni zadraśniętej folklorem, a służyły mu za rusztowanie do przekazania dydaktycznej informacji. To też było jego darem i charakterystyczną cechą, rzadką, jakby osiemnastowieczną. Wszystko co mówił miało formę nie abstraktu, lecz autentycznego gdzieś zdarzenia czy panującego gdzieś obyczaju, odbywało się więc razem z nim podróż wysoce imaginacyjną i bardziej pasjonującą niż „rzeczywiste” do miejsca zdarzeń bogatych w paradoksalne i zaskakujące odkrycia. Pomiędzy encyklopedią a praktyką dnia codziennego leżała *ars vitae*, sztuka mądrego przebrnięcia przez ten świat od urodzin do zgonu bez zbytowego cierpienia od *taedium vitae*. Umiejętność zaś życia codziennego nie była sprawą łatwą... „Jeden z moich znajomych, młody i niedoświadczony musiał w czasie tamtej wojny kupić sobie konia, na czym gruntownie się nie znał. Ale przypomniał sobie opis konia u Szekspira i kupił na jarmarku najlepszego konia jaki tam był, ku podziwowi wszystkich...”

Smialiśmy się smakowicie z tej znakomitej anegdoty. To nie to samo co powiedziec po prostu: „Klasyki mają rację, bo są rzetelni w obserwacjach, uczymy się od klasyków”. W tej anegdocie ciekną różne skomplikowane ciurki podskórny odbioru literackiego zapisu, a ze wszystkich rzeczy najbardziej interesował Stempowskiego *modus* odczytywania, pochodne i deformacje zdań oznajmujących. Obrazowość, kolorowość, namacalna niemal konkretność szczegółu to był czystej krwi talent literacki, którym Jerzy Stempowski gospodarował jak prawdziwy utracjusz.

Lecz utracjuszostwo talentów miał we krwi i na to nie miał rady. Nic go też tak nie śmieszyło jak chciwość posiadania i może tutaj biegła najgłębsza szczelina dzieląca go od ludzi. „Nie mieć jest może trudno — mawiał — ale mieć to dopiero sztuka.” Nie mówił nigdy że pochodził z tych, którzy posiadali, do swoich stron rodzinnych na Podolu odnosił się nie jako do źródła własności czy materialnej fortuny, ale jako do „Okolicy Uczącej” i gdy tak mówił czuło się w tonie jego głosu wielkie litery tej nazwy. Ulubionym jego tematem (który u kogo innego byłby zabójczo nudny) były machinacje polityczne, którym przeciwstawiał bezpośrednią demokrację, głosowanie przez jawnie podniesioną rękę, rynek-agorę; wzorzec arkadyjski, podzwonne dla nieuchwytnego, nigdy nie urzeczywistnionego mitu-ideału, który nie przestał go nęcić. Arystokratyzm Jerzego Stempowskiego wyrażał się najpełniej w jego zupełnym braku chęci władzy przy jednoczesnym sprawowaniu wpływu na ludzi. Wpływ ten szedł jakby ukosem: nie pochodził z podziwu dla jego przerażającej wprost erudycji, ta bowiem często przeszkadzała ludziom, żenowała ich i odstręczała, lecz z obcowania z uosobieniem sceptycznego, wciąż gruntującego dno prawdy, umysłu. W czasach brudnej jaskrawości, w epoce „Wielkiego cyrku” jak nazywał ją Stempowski, jego cichy uśmiech i osobliwy tok rozmowy czyniły z niego kogoś wtajemniczonego i to nie tylko dlatego że był masonem. Wydawał się zawsze posiadaczem sekretu ogólnoludzkiej doniosłości a może i aktualnego politycznego znaczenia. Jego sposób bycia doprowadzał niektórych ludzi do najwyższego rozdrażnienia: „Stempowski nie ma telefonu, nie wiadomo, kiedy go można zastać w domu, nie wiadomo dokąd właśnie wyjechał, ani kiedy wróci”. Kontakt z nim był rzeczywiście utrudniony. Pojawiał się. Na wizytach wśród członków poselstwa polskiego, na niektórych zebraniach Towarzystwa Polskiego czy społecznych imprezach i wtedy polowano na niego. Oficjalnie był delegatem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na Szwajcarię i z tego rozległego tytułu wynikały jego przeróżne „chody” wśród swoich i obcych. Niewątpliwie pielęgnował taki właśnie sposób bycia, dla zapewnienia sobie wolności, dla wygody a także przez swoistą kokieterię. *Last but not least*. Podobanie się, posiadanie nieprzeciętnej powierzchowności stanowiło ważny atut w całym jego życiu. Lubił towarzystwo kobiet w sposób zupełnie aerotyczny i nie dlatego, aby uważał je za roztropniejsze

od mężczyzn, lecz że w zestawieniu z nimi popełniały na ogół mniej głupstw. „Zapalczywość wojowników i ambicje wodzów są niestety męską cechą i mało pochlebną.” Dla kobiet miał wiele wyrozumiałości, upatrywał w nich więcej dobrych cech, niż na ogół posiadają, co było swoistą terapią czy pedagogią. Nie urządzał nigdy najmniejszych przyjęć u siebie, nie zapraszał nikogo w sposób światowy, pozostawał zawsze człowiekiem małych i zasadniczych komitetów i poufnych zebrań.

Blizsi i dalsi znajomi, a zwłaszcza ci, którzy go znali tylko z widzenia, byli przekonani że Jerzy Stempowski pisze jakieś wielkie dzieło filozoficzne, historyczne, może literackie. Zapytałam go o to wręcz na jakimś spacerze, o ile pamiętam było to w berneńskim „Rosengarten”, Ogrodzie Róż, gdzie trzepotały się fontanny i ciągnęły się kunsztowne wirydarze jak na starych rycinach.

— Wszyscy mnie o to posądżają, jestem już do tego przyzwyczajony — śmiał się Stempowski po swoim. — Do czego jednak ludzie nie mogą przywyknąć, to do myśli że do pisania wielkich buchów potrzebna jest w jakiejś sporej części afirmacja świata. Tymczasem są tacy, którzy uważają go za żart. Taki, z którego nie wiadomo śmiać się czy płakać...

Brzmiało to niemal po manichejsku. Nie wiem, czy Stempowski cenił ten pogląd, nie wyznawał żadnej religii ani herezji, nie należał do żadnej sekty. Jeśli nawet posługiwał się niekiedy wyrażeniem „Najwyższa Istota”, był to raczej rewerans w kierunku konwensansów osiemnastowiecznych racjonalistów. Dzielił z nimi również rzadką sztukę serdecznego dystansu, powściągliwej i doskonałej grzeczności „pleno titulo”.

— Ja kontentuję się fragmentem albo komentarzem — ciągnął Stempowski dalej tę rozmowę. — Przyczynkiem. To wydaje mi się bardziej przyzwoite... Gdyby ludzie choć trochę więcej zrozumieli i nauczyli się z niektórych książek, inne byłyby często już zupełnie zbędne. Większość z nich służy nie do porozumienia się ludzi między sobą ale do wzajemnego siebie zagłuszania. Ja należę raczej do stręczycieli książek niż do ich autorów...

Dziś przypuszczam, że nie była to całkowita prawda. Stempowski prawdopodobnie cierpiał na najcięższą pisarską chorobę znaną tylko najlepszym: pasję doskonałości. Szlif myśli i stylu był mu niemal wrodzony, lecz dokonywanie wyboru w operowaniu zbyt obfitym materiałem własnych obserwacji i refleksji mogło zamienić się w balast trudny do udźwignięcia.

Od tamtego spaceru w Ogrodzie Różanym minęło do dziś ćwierć wieku. Opuściłam Szwajcarię w 1945 r., zanim jeszcze państwa sprzymierzonych uznały nowe władze Polski za jej legalny rząd. Świat rzeczywiście wydawał się żartem złym i ponurym i to dla Polaków po obu stronach „żelaznej kurtyny”.

Zobaczyłam Jerzego Stempowskiego ponownie w 1952 r., gdy odwiedziłam go w Bernie. Mieszkał wtedy przy Nydegasse, w dzielnicy starego Berna, w pięknym patrycjuszowskim domu zupełnie opuszczonym, którego właścicieli nie można było odszukać w powojennym świecie. Mieszkanie miało śliczne kaflowe piece, fortepian, portrety, książki, niewiele mebli i ogród na szkarpie pochylonej ku rzece, a wśród tego wszystkiego jedyną żywą istotą był Stempowski i kot-przybłęda, którego karmił przed progiem. Pracował wtedy częściowo w poselstwie argentyńskim, poza tym pisał, i przeróżne sposoby zarabiania na życie emigrantów, ich nieprawdopodobne sytuacje i chwytły, wysiłki i pomysły stały się naturalnie jednym z ważnych tematów naszych rozmów. Zauważyłam wtedy, że dla Jerzego Stempowskiego zjawisko emigracji wydawało się jakąś powrotną falą, czymś niemal leżącym w naturze rzeczy i jakby nie uchybiającym jej porządkowi. Opowiadał mi ze swoją nadzwyczajną „saveur” niektóre mało znane epizody z życia Maurów, gdy zapuszczali korzenie na półwyspie iberyjskim, czy też perypetie ludów zamieszkujących dzisiejszą Samarkandę. Pasjonowała go zawsze cywilizacje schyłkowe

i to co z nich potrafiło się zaszcześcić na nowych czasach i nowych ludziach. Czyli to wszystko co tak pięknie brzmi w podręcznikach historii kultury, ale co wymyka się osobistemu doznaniu jednostki, nie dając jej poczucia ani dokonywania czegokolwiek, ani spełniania samej siebie. Umieszczanie własnej drobiny ludzkiej w płynności takich określeń jak „epoki przejściowe”, „spuścizna wieków” czy „proces dziejowy” zalatywało wtedy klęską osobistą i zbiorową, brzmiało dla mnie przerażająco. „Ale ponieważ nie mamy innego wyboru...” pocieszał mnie Stempowski wyrozumiale po czym wracaliśmy do rozmów o Huculszczyźnie jak do pewnego narkotyku, lecz tym razem mówiliśmy o niej jakby o zapadłej już Atlantydzie.

Poszliśmy na obiad i wybrany lokal zdziwił mnie swoją arcynowoczesnością bardzo agresywną, podobną do wnętrz wystaw sztuki abstrakcyjnej. Na pierwszym piętrze, ledwie usiedliśmy przy stoliku, podeszła do nas mocno zaaferowana kelnerka: „Ah, Herr Professor, wir warten jeden Tag dass Sie kommen...”.

Za przepierzeniem dla obsługi restauracji było zgromadzonych kilka innych kelnerek i dwóch niemłodych mężczyzn, najwidoczniej nie należących do personelu lokalu. Wszyscy rzeczywiście czekali na Stempowskiego, który podszedł do nich i dobiegały mnie stamtąd urywki przyciszonych, skłopotanych zdań ludzi bardzo czymś przejętych. „To cały dramat — objaśnił mnie Stempowski wróciwszy do stolika — wielce powikłana historia, nie będę nią pani zanudzać, to są moi tutejsi «tylko-ludzie»...”

Nie raz wraca mi to jego powiedzenie. Na wszystkich chyba swoich drogach i we wszystkich miejscach postoju Jerzy Stempowski miewał takich „tylko-ludzi”, z dala od książkowych mądrości szukał i dostrzegał człowieka uplątanego w siatkę swojej odrębnej sytuacji i poczuwał się do rozważania jej, jeśli można, do rozplątania. Szedł przez życie rzeczywiście jak przemytnik, jakby przekraczając stale niewidzialne granice pomiędzy ludźmi, krajami, epokami, przemycając gdzie się dało sól attycką, która — jak mi powiedział raz zabawnie — „rośnie całymi beczkami w moich stronach, ale nikt temu nie wierzy...”.

NA ŚLADACH NIEŚPIESZNEGO PRZECHODNIA

Wacław ZYNDRAM-KOŚCIAŁKOWSKI (Francja)

Do tych wielkich strat, jakie kultura nasza poniosła w 1969 r., doszło jeszcze jedno nazwisko tak mi bliskie: Jerzego Stempowskiego (Pawła Hostowca), który 4 października zmarł w Bernie. Jest to strata nie mniejsza niż śmierć Wierzyńskiego czy Gombrowicza, chociaż Jerzy Stempowski był pisarzem i człowiekiem zupełnie innego rodzaju. Był to raczej filozof nie piszący swych dzieł, ale uczący żywym słowem wybranych. Jako eseista nie miał sobie równego, jako człowiek był zagadką dla wielu. Przy olbrzymiej erudycji i wszechstronnym wykształceniu, jakie dziś należy już do rzadkości, Stempowski interesował się raczej ludźmi najprostszymi, tzw. „maluczkimi” aniżeli ludźmi swojej sfery, a to jest cechą naprawdę wielkich ludzi. W Polsce Stempowskiego nie było miejsca na żaden nacjonalizm: Polak, Ukrainiec, Litwin, Białorusin czy Żyd był dla niego pełnoprawnym obywatelem, co niestety niejednokrotnie było zapominane. Pochodził z Podola. Podobnie jak jego ojciec, Stanisław, znany ze swego głębokiego humanizmu, Jerzy Stempowski był Europejczykiem najczystszej wody. Podkreślał przy tym zawsze że uważa się za Europejczyka wschodniego. Stałe zaś podawanie się rodaków za przynależnych do Zachodu przyjmował z pobłażliwym uśmiechem. Uważał, że oglądanie się na Zachód i nadmierne przecenianie jego roli opóźnia i zaniedbuje rozwój własnych zasobów i wątków rodzimej kultury. Należał do wyznawców demokracji typu federalnego, przywiązując najwyższą wagę do swobodnego wyrazu tradycji regionalnych, które tak często padają ofiarą niwelującej biurokracji.

Piszę tych kilka osobistych wspomnień wierząc że z czasem znajdą się ludzie bardziej ode mnie kompetentni aby zająć się jego twórczością. Jest to tylko wstęp do kilku wybranych listów Stempowskiego do mnie, które, jak sądzę, wzbudzić mogą zainteresowanie czytelnika.

Jerzy Stempowski, który był o dziesięć lat ode mnie starszy, uczył mnie wielu rzeczy, dopuszczał do różnych sekretów, darzył przyjaźnią. Dlatego też śmierć tego człowieka, który wydawało się, nigdy nie powinien umrzeć, jest dla mnie ciężkim przeżyciem.

Poznaliśmy się w 1926 r. w Prezydium Rady Ministrów, gdzie Stempowski był szefem gabinetu premiera Bartla, uważany też za „szarą eminencję” w tym okresie, kiedy wielu z nas wierzyło że naprawdę będzie od tej pory inaczej, że wkraczamy w epokę

prawdziwej demokracji. Dzięki swojemu taktowi, wiedzy i stosunkom oddawał Stempowski nieocenione usługi premierowi, np. gdy chodziło o uzyskanie większości w sejmie przy głosowaniu nad budżetem. Stosunki przyjacielskie z Kołodziejskim, mającym na terenie sejmowym wielkie znaczenie, odgrywały swoją rolę. Po okresie złudzeń ludzi dobrej woli nastąpił okres „radosnej twórczości”. Bartel przestał premierować. Przed samym ustąpieniem starał się gdzieś poumieszczać swoich najbliższych współpracowników wiedząc że gdy odejdzie, oni, choćby byli najbardziej kompetentni, stracą swoje stanowiska. Pamiętam jak mi Stempowski mówił: „Prosiłem o taki rodzaj pracy, aby nawet jakiś kapitan nie miał ochoty zająć mego miejsca” (był to okres gdy różnych oficerów przenoszono do administracji cywilnej). Znalaziono mu więc mało eksponowane zajęcie w Banku Gospodarstwa Krajowego, z którego, tak jak przypuszczał, nikt go nie ruszył.

Chociaż prof. Bartel odsunięty od rządu powrócił do swego Lwowa, nie przestał interesować się sprawami państwowymi. Postanowiliśmy razem ze Stempowskim stale informować byłego premiera co się w kraju i stolicy dzieje. Nie mając zaś zbyt zaufania do poczty, którą niejednokrotnie Bartłowi cenzurowano, co jakiś czas jeździłem do Lwowa z jak gdyby „raportem”, który razem ze Stempowskim przygotowywaliśmy, mając zawsze wiadomości z pierwszego źródła, widywaliśmy się stale z Niedziałkowskim, Augustem Zaleskim, Marianem Kościalkowskim, Okuliczem i innymi.

W sierpniu 1939 dostałem w Czorsztynie, gdzie spędzałem wakacje, list od Stempowskiego, pełnego najgorszych przeczuć, przewidującego już samoloty niemieckie nad Warszawą i cofające się rozbite nasze wojsko. Były to prorocze słowa Kassandry.

Następny raz gdy zobaczyłem znów Jerzego Stempowskiego, było to już w roku 1943, w Szwajcarii, po mojej ucieczce z obozu koncentracyjnego Le Vernet we Francji. Już w godzinę po moim zgłoszeniu się do poselstwa RP w Bernie, Stempowski był przy mnie. Otoczył mnie najserdeczniejszą przyjacielską opieką, umieścił pod Bernem w miejscowości Muri, gdzie sam mieszkał. Widywaliśmy się codziennie. Stempowskiemu udało się przedostać z Polski do Szwajcarii na początku wojny i pełnił tutaj funkcje delegata ministra Spraw Wewnętrznych, gdy w czasie wojny Szwajcaria stała się ważnym punktem informacyjnym i dużym skupiskiem Polaków. Wiele godzin przedyskutowaliśmy w tej podberneńskiej wiosce. Tam powzięliśmy najcięższą z decyzji nie wracania do Kraju, zdając sobie dobrze sprawę, jak trudne będzie życie na emigracji, zwłaszcza dla ludzi nie mających żadnych talentów komercyjnych ani technicznych. Wracaliśmy też myślą do naszego dwudziestolecia, czując równocześnie że są to już wspomnienia epoki niepowtarzalnej.

Dziś już nawet wspomnienia o tamtych czasach powoli gasną w miarę jak odchodzą ich żywi twórcy i świadkowie. Razem z Jerzym Stempowskim nikną i zamierają jego ulubione typy ludzkie, gdzieś na krańcach Huculszczyzny, na pograniczach kultur, cadycy, przemysłowcy, karczmarze i pasterze, osobliwy świat jakby wyjęty z obrazów Chagalla i dla Stempowskiego równie ciekawy i wart uwagi jak i dzieła klasyków sztuk wszelkich. W naszych czasach brutalnego pośpiechu, powierzchowej turystyki, gorączkowej pogoni za efektem i pogardy dla kontemplacji, Jerzy Stempowski był już może ostatnim przewodnikiem i znawcą tyłu ścieżek i dróg współczesności i przeszłości, po których szedł samotnie swoim cichym krokiem nieśpiesznego przechodnia.

Z ARCHIWUM JERZEGO STEMPOWSKIEGO

Andrzej Stanisław KOWALCZYK (Warszawa)

Publikowane poniżej dwa teksty Jerzego Stempowskiego pochodzą z jego archiwum zdeponowanego w Bernie, w Burgerbibliothek jako „Stempowski Nachlass” (materiały z lat 1940–1969). Do ogłoszenia drukiem archiwaliów zostałem upoważniony przez panią Dieneke Tzaut, zmarłą w roku 1998 kuratorkę spuścizny po Jerzym Stempowskim.

Esej, poświęcony analizie duchowej sytuacji kontynentu, jakby część druga *Europy 1938–1939*, powstał w czasie drugiej wojny światowej, którą Stempowski spędził w Szwajcarii (najpierw w Bernie, a następnie w małej miejscowości Muri pod Bernem). Przeznaczony był zapewne dla jednego z pism polskich, nie ukazał się jednak drukiem. Być może autor uznał go za zbyt pesymistyczny. Jest jednym z nielicznych polskich utworów literackich starających się spojrzeć na wojnę jako na przejaw kryzysu duchowego nurtującego Europę. Szkic Stempowskiego staje więc obok eseistyki z lat 40. Bolesława Micińskiego, Stanisława Vincenza, Tadeusza Krońskiego. Liczne motywy, rozwinięte w eseju, pojawiają się w korespondencji z Krystyną Marek z tych lat (*Listy z ziemi berneńskiej*, Londyn 1974) i w listach do Bolesława Micińskiego (*Listy*, Warszawa 1995).

Esej „Szpital Starozakonnych na Czystem” pozostał nie dokończony. Nie wiemy, kiedy utwór został napisany. Być może powstał pod wpływem dochodzących z kraju wieści o prześladowaniach narodu żydowskiego przez hitlerowców. Stempowski, mający wielu przyjaciół Żydów i znający kulturę żydowską, nie podjął nigdy tematu Zagłady. Być może „Szpital Starozakonnych na Czystem” jest próbą zmierzenia się z tym, tak bolesnym dla pisarza, tematem.

Prawdopodobna jest jeszcze inna hipoteza. Kontekstem dla eseju są takie utwory jak *Wronia i Sienna* oraz *Dzieci Warszawy w początkach XX stulecia*, napisane i opublikowane w „Kulturze” na początku lat 50. Stempowski planował książkę złożoną z esejów autobiograficznych. Do niej właśnie „Szpital Starozakonnych na Czystem” mógł być pisany. Przerwanie pracy nad esejem związane byłoby z zaniechaniem całej książki.

Jerzy STEMPOWSKI

W SZPITALU STAROZAKONNYCH NA CZYSTEM

Szpital Starozakonnych znajduje się już poza właściwym obrębem Warszawy. Jadąc doń mijamy ubogie dzielnice położone za Dworcem Głównym, przecinamy Żelazną i Towarową, jedziemy w poprzek torów kolejowych, z których wyładowują węgiel, potem przez pewien czas znajdujemy się wśród białych parkanów zasłaniających puste place i składy opałowe, wreszcie widzimy znów ulice zabudowane, ale inne niż w Warszawie, przypominające raczej przedmieścia Łodzi lub Częstochowy. Domy są tu niższe, o fasadach bielonych wapnem, jezdnie pełne kurzu, brukowane polnym kamieniem.

Zatrzymujemy się na rogu wąskiej uliczki biegnącej między wysokim drewnianym parkanem i długim, piętrowym, białym budynkiem, przypominającym gmach starostwa we Włodzimierzu lub Kołomyi. Mieści się w nim ambulatorium i kancelaria szpitala. Uliczkę zamyka żelazna brama, nad którą widnieje napis: Szpital Starozakonnych.

Idąc za tym napisem, znajdujemy na końcu uliczki niewielkie, zamknięte zewsząd podwórze, nad którym wznosi się spora kamienica. Co chwila wychodzą z niej młode kobiety z teczkami i szybko zdążają ku wyjściu. Są to, jak się potem dowiemy, pielęgniarki niosące w teczkach do domu swój urzędowy, biały strój. Wejście prowadzi do obszernej, szarej poczekalni, oddzielonej od korytarzy drewnianymi przepierzeniami i przypominającej poczekalnię urzędów skarbowych. Na drewnianych ławach siedzą ubogo ubrani chorzy, na których twarzach widać cierpienie lub rezygnację. Pod ścianą, na wysokim wózku szpitalnym, leży blady człowiek, patrzący przerażonym wzrokiem.

Przy załatwianiu krótkich formalności związanych z przyjęciem na oddział chirurgiczny, zapoznujemy się trochę z historią szpitala. Wszędzie zatrzymują nas tablice, na których widnieją długie listy fundatorów. Każdy z oddziałów posiada nadto osobne tablice fundatorów, których ofiarność umożliwiła założenie lub rozwinięcie danego działu lecznictwa. Tu i ówdzie spostrzegamy nazwiska rodzin zamożnych, znanych z historii przemysłu, handlu i finansów Królestwa Kongresowego. Ogromna większość nazwisk jest jednak nieznana. Świadczą one o długotrwałym wysiłku zbiorowym, o wielkiej fali oświeconej filantropii, jaka przebiegła burzującą żydowską w ubiegłym stuleciu. Na ścianach kancelarii oglądamy stare fotografie zbiorowe lekarzy z okresu pozytywizmu, z brodami w czarnych surdutach i szerokich spodniach. Szpital Starozakonnych ma za sobą piękną, starą tradycję; obecnie jest szpitalem miejskim i utrzymywanym ze środków publicznych. W znacznej mierze zachował on jednak swój dawny charakter szpitala warszawskiej gminy żydowskiej: pośrodku zabudowań wznosi się niewielka bożnica, kuchnia jest koszerna. Do Szpitala Starozakonnych kierowali się przede wszystkim chorzy wyznania mojżeszowego, stanowiący ogromną większość jego mieszkańców. W salach szpitalnych znajduje się jednak pewna ilość chorych nie-żydów, którzy zostali tam umieszczeni z braku miejsca w innych szpitalach miejskich lub zgłosili się tam z własnego wyboru.

Po przejściu starych budynków mieszczących zarząd, kancelarie i poczekalnię szpitala, czeka nas niespodzianka. Przez niewygodny korytarz starej kamienicy wychodzimy do obszernego ogrodu o szerokich alejach biegnących wśród starych drzew, i wielkich, rozległych trawnikach, które w maju pokryte są łąkami kaczęńców. W morzu zieleni, tworząc nieregularne grupy, wznosi się dziesięć wielkich, przeważnie nowożytnych budynków szpitalnych o śmiało rozpiętych skrzydłach, wielkich oknach i werandach tworzących jaskrawy kontrast z ubogim i prowincjonalnym charakterem Czystego.

Oddział chirurgiczny, w którym mam spędzić parę tygodni, mieści się w największym pawilonie tworzącym szeroką podkowę zwróconą ku południowi. Budynek ten, liczący 300 łóżek i kilka pięknych sal operacyjnych, wysokich, o szklanym łamanym suficie jak pracownie rzeźbiarzy, został przebudowany i rozszerzony znacznie przed kilkunastu laty. U wejścia tablice komemoracyjne z długą listą fundatorów mówią o starszej historii oddziału.

Wnętrze pawilonu przynosi nową zmianę dekoracji. Szare, wydeptane schody drewniane zdają się należeć do jakiejś innej opary, do starego budynku gimnazjalnego lub nawet do składów fabrycznych. Korytarze i sale przechodnie są czyste, lecz ubogie. Drzwi malowane szarą farbą, stoły i wózki niosące na sobie ciężar pracowitych lat przypominają często w Polsce spotykany widok domu odziedziczonego po zamożniejszych przodkach przez ubogich krewnych. Białe, żelazne łóżka są miękkie i wygodne, ale metalowych podpórek, pozwalających podnieść głowę i ramiona chorego, jest wciąż brak. Chorzy otrzymują je po operacjach i muszą po kilku dniach oddawać nowym operowanym. Koszule i szlafroki chorych są czyste, ale noszą liczne łaty. Skórzane pantofle zdają się pamiętać czasy Abrahama. Wreszcie wyposażenie techniczne oddziału zdaje się również nosić znamiona skrajnej oszczędności. Wszystko razem robi wrażenie, że wydano zbyt wiele na budowę szpitala i w skutek tego trzeba dziś oszczędzać na jego utrzymaniu. Stąd pochodzi pewien kontrast między dzisiejszym wyglądem stolicy i wnętrzem jej szpitali. Ulice dekorowane są kwiatami i sztandarami, pokryte drogim asfaltem, wnętrza szpitali utrzymane są na poziomie bruku z polnego kamienia, po którym ostatecznie można też jeździć, ale nie tak prędko, lub na poziomie kamienicy czynszowej przy ul. Czerniakowskiej, gdzie można też mieszkać, ale gdzie komorne jest już dużo niższe. Od zewnątrz jest galówka, *grand luxe*, od wewnątrz *le strict nécessaire*.

*

Nie wszyscy przyjęci do szpitala wychodzą zeń na ulicę Dworską przez budynek administracji. Niektórzy opuszczają go przez wąską uliczkę biegnącą po drugiej stronie murów szpitala, gdzie w podziemi znajduje się kostnica. Dla tej przyczyny szpital, pomimo swych słonecznych tarasów i zielonych trawników, należał tradycyjnie zawsze do rzeczy ostatecznych, do tego, co teolodzy nazywają *ta eschata*. Szpital jest jednym z punktów granicznych, u których kończą się wszystkie sprawy ludzkie i dalej nic nie ma. Chorzy zbliżają się doń powoli; jedni cofają się z powrotem ku życiu, inni przekraczają fatalną linię demarkacyjną.

Wchodzącego do szpitala ogarnia od razu atmosfera punktu granicznego, w którym bledną barwy i wyrównują się nierówności. Zaraz po przybyciu nowy pacjent trafia do łazienki, z której wychodzi w szerokiej białej szpitalnej przypominającej sztychy Goyi i w rodzaju francuskiej *salopette*, długiej do kolan płóciennej bluzie w biało-niebieskie paski. Uniform szpitalny zastępuje ubranie cywilne, które zdradza człowieka i jego przynależność do grupy społecznej. Chorych wyróżniać jeszcze może wyraz twarzy i gest zrosnięty z długotrwałą postawą psychiczną. Ale i te różnice zacierają się szybko. Oczy zamroczone przez gorączkę i morfinę, ciała rozciągnięte bezwładnie nie mówią już nic prawie o pochodzeniu i nawet wieku pacjentów, przybierając formy właściwe ich chorobom.

Niwelacja w obliczu cierpienia i śmierci występuje w szpitalu w różnych postaciach. Jeden ze starszych pacjentów wskazuje palcem na moje łóżko:

— Dostał pan bardzo szczęśliwe łóżko. Od kiedy tu jestem, nikt jeszcze na tym łóżku nie umarł i leżeli na nim sami bogaci i ważni ludzie. W zeszłym roku leżał na nim taki, do którego mówili „panie ministrze”.

Słowa te budzą śmiech. Co wart jest tytuł byłego ministra ze wszystkimi przynależnymi doń orderami dla człowieka, który w szpitalu starozakonnym na Czystem ma się poddać ciężkiej operacji? Dopiero u rekonwalescentów tytuły i godności ulegają stopniowej rewaluacji.

Same nawet pieniądze tracą w szpitalu większą część swego blasku. Koło pawilonu dla chorych umysłowo znajduje się mała kantyna, w której można kupić papierosy i czekoladę. Bardziej rozrzutni mogą wydawać w ten sposób złotówkę na dzień. Wszystkie przyjemności, jakie można otrzymać tu za pieniądze, są niczym wobec np. wyjazdu na wózek na taras, gdzie ciepły wiatr zdaje się zwiewać z chorego w ciągu kilku minut trujący opar gorączki i morfiny. Zresztą obyczaj szpitalny nie przewiduje posiadania pieniędzy. Strój szpitalny nie ma stosownych kieszeni. Nie można również trzymać ich pod poduszką, bo po operacjach pacjenci nie wracają do swych łóżek, ale na osobną salę dla świeżo operowanych. Toteż zapasy gotówkowe chorych ograniczają się do paru złotych „na wszelki wypadek”. Doświadczeni bywalcy chowają je w węzełku na chustce do nosa.

*

Szpital i medycyna współczesna, biorąca w posiadanie chorego aż do jego ostatnich chwil, są stosunkowo nowego pochodzenia. Nie zawsze kamfora i kofeina były ostatnimi towarzyszami wielkiej podróży. Ten punkt graniczny nie zawsze był strzeżony przez lekarzy w białych bluzach i miał już wielu innych sławnych celników.

Ludzie dawnych czasów nie wierzyli zbyt w skuteczność pomocy lekarskiej i wcześniej przygotowywali się do nieuniknionego końca. W jednym ze swych listów Seneca wypowiada mniemanie, że poddawanie się z przepisu lekarza długotrwałej diecie jest poniżej godności Rzymianina, przyzwyczajonego do jedzenia tylko według własnego wyboru. Kiedy zaszła potrzeba zachowywania diety, lepiej jest, według Seneki, dobrowolnie opuścić życie pozbawione godności i prowadzące już tylko do smutnego końca. Najwidoczniej diety przepisywane chorym przez lekarzy rzymskich były bardzo mało skuteczne. Każda niedyspozycja zawierała *memento mori*. Bardzo liczni umierali młodo, zanim zapoznali się z *vanitas vanitatum* i odczuli pragnienie wiecznego odpoczynku. Stąd pochodziła nieustanna potrzeba godzenia się ze śmiercią, osławiania kapryśnej i dzikiej, wciąż czujnej myśli o śmierci. Tysiące proroków, filozofów i artystów podejmowało na nowo próby pocieszenia i wytłumaczenia. Z indeksu *Patrologii* Migne'a dowiadujemy się, że śmierć była najczęściej omawianym tematem pisarzy chrześcijańskich pierwszego tysiąclecia. Z dziennika Edmunda de Goncourt wynika, że śmierć była najczęstszym przedmiotem konwersacji na sławnych *diners* Magny, gdzie spotykali się pisarze naturaliści. W dziedzinie tej istnieje nieprzerwana ciągłość idąca aż do progu naszych czasów. Historia sposobów zaklinania i osławiania myśli o cierpieniu i śmierci tworzy sama wielki rozdział historii naszej cywilizacji.

W starych galeriach ze wszystkich ścian patrzą na nas obrazy cierpienia i śmierci. Motyw ten biegnie przez wszystkie wieki aż do zadziwiającej sztuki późnego baroku, w której na skutek długiego wysiłku wielu pokoleń artystów, śmierć zdawała się niemal całkiem oswojona, i mówiono o niej w zawiłych symbolach, w metaforach podobnych do rebusów i w groteskowych epigramatach. Jak śpiewa jej sławę Angelus Silesius w swych barokowych dystychach:

Tod ist ein selig Ding: je kräftiger er ist,
Je herrlicher daraus das Leben wird erkiest.

Albo w innym miejscu:

Ich sage, weil der Tod allein mich machet frei,
Dass er beste Ding aus allen Dingen sie.

Albo jeszcze dalej:

Trompeten hör ich gern, mein Leib soll aus den Erden
Durch ihren Schall erweckt und wieder meine werden,

jak gdyby w przeczuciu 20 autonomicznych puzonów z *Requiem* Berlioza i 11 puzonów towarzyszących trzydziestu trzem żałobnym klarnetom z *Grande Symphonie Funebre et Triomphale*.

Długi wiek baroku, dla różnych przyczyn tak bliski naszym czasom, stworzył to, co Edmond de Goncourt nazywa *l'art amoureux du néant, l'art galantin de la mort*. Z niego wywodzą się żałobne fanfary słowne poetów romantycznych aż do bardziej uroczystej śmierci parnasistów:

Inerte, bleme, au fond d'un lugubre entounoir,
Je descends d'heure en heure et d'année en année.

Od kilkudziesięciu lat dopiero artyści zaczęli opuszczać powoli punkt graniczny, na którym utrzymywali się przez długie wieki, zajęci tam wytwarzaniem świata fikcji broniającej naszego życia uczuciowego przed niegościnnym klimatem moralnym strefy eschatologicznej. Plastycy a potem poeci zwrócili się do innych punktów granicznych i ostatecznych świata sztuki. Miejsce ich zajęli pozytywiści w białych fartuchach. Niegościnnie klimat pogranicza złagodniał pod wpływem wielkiej nadziei, wiary w nieograniczoną potęgę medycyny. Wiara ta zastąpiła w znacznej mierze pocieszenia filozoficzne i religijne dawnych czasów, sztukę epitafiów i pomp żałobnych, słowem olbrzymi wysiłek tysiącleci dążący do opanowania i przetworzenia na myśl i sztukę smutku wiejącego od tragicznej granicy.

Nadzieje powstałe z rozwoju medycyny były tylko częściowo usprawiedliwione. Wiele chorób opiera się leczeniu, wielu chorych umiera na choroby uleczalne u innych. U wielu nadzieja uzdrowienia gaśnie wcześniej i nie daje się podtrzymać przy pomocy żadnych banalnych sposobów. Pomimo tych częściowych niepowodzeń medycyna jest jednak dziś jedyną towarzyszką agonizantów. Nie ma więcej zwyczaju zapraszania do szpitali filozofów i [nieczytelne], którzy towarzyszyli ostatnim chwilom Sokratesa, Seneki i innych sławnych Greków i Rzymian.

*

Jakkolwiek znamy granice potęgi medycyny, wszystkie pocieszające argumenty Seneki, Marka Aureliusza, Boëtiusa z *De consolatione philosophiae* i Tomasza More'a z *Comfort against Trybulacion* według obecnych pojęć wydają się nieskuteczne w porównaniu z ostatnim zastrzykiem kamfory. Możemy zauważyć, że w ostatniej chwili za późno jest na pocieszenie lekarskie i samo nawet pocieszenie religijne udzielone *in articulo mortis* wydaje się bardzo sumaryczne. Nikt jednak dziś nie poszukuje ich wcześniej, w nadziei, że lekarze odłożą ich potrzebę poza wszelkie możliwe do przewidzenia terminy.

Na skutek ewolucji pojęć lekarze stali się dziś jedynymi jeszcze towarzyszami wielkiej podróży; do nich należy dziś cała władza na ostatnim posterunku, na którym zatrzymujemy się przed przekroczeniem fatalnej granicy. Do nich przeszedł spadek po tyłu sławnych przodkach, [słowo nieczytelne] artystach.

[Fragment przekreślony]

Poza dość sumarycznym pocieszeniem religijnym otrzymywanym przez chorych *in articulo mortis*, lekarze są dziś jedynymi towarzyszami ostatniej podróży; do nich należy cała władza na ostatnim posterunku, na którym zatrzymujemy się przed przekroczeniem fatalnej granicy. Im też przypadły w udziale wszystkie smutne przywileje wynikające z tej władzy.

SYTUACJA MORALNA KONTYNENTU

Głównym faktem wyznaczającym dziś pozycję moralną kontynentu europejskiego jest jego kapitulacja. O zjawisku tym mówimy zazwyczaj myśląc o Francji, jego zasięg jest jednak znacznie szerszy. Przedtem już kapitulowała Holandia i Belgia, Dania i Norwegia.

W kapitulacji francuskiej należy odróżnić dwa fakty luźno tylko ze sobą związane: złożenie broni i kapitulację moralną, tj. obalenie republiki i dobrowolne przyjęcie statutu politycznego zwycięzców z jego wszystkimi akcesoriami, wyrzeczeniem się demokracji, antysemityzmem, prześladowaniem masonów itd. Ten ostatni fakt stał się jak gdyby hasłem dla całego kontynentu. We wszystkich krajach prócz Polski zjawili się miejscowi patrioci niemieckiej obediencji i apostołowie kapitulacji w różnych językach chwalcący Führera. Kraje jeszcze nieokupowane zaczęły przygotowywać się moralnie do witania wojsk okupacyjnych i niesionego przez nie tak zwanego nowego porządku. Własny statut polityczny zachowały dotąd tylko dwa kraje małe, leżące na uboczu od głównej osi wypadków, mianowicie Szwajcaria i Szwecja.

Kapitulacja stała się zjawiskiem powszechnym, pewnego rodzaju statutem uniwersalnym dla kontynentu europejskiego. „Osie”, „aljanse”, są to dziś kombinacje już czysto werbalne, którym brak oparcia w rzeczywistości doświadczalnej. Wypadki rumuńskie wykazały, że aljans z Niemcami jest tylko inną nazwą kapitulacji klasycznej z rozbiorami i okupacją wojskową. Zagadnienie kapitulacji stało się aktualne nawet dla Włoch. Jest dziś jasne, że dalsze niepowodzenia królewskiego i cesarskiego rządu Italii muszą pociągnąć za sobą kapitulację i okupowanie półwyspu apenińskiego przez wojska niemieckie.

Wypadki te nie były zupełną niespodzianką. Już od 10 lat uważni obserwatorzy z przerażeniem widzieli hitleryzację znacznej części plutokracji i burżuazji europejskiej. Mniemanie, że majątek i dochody można zachować jedynie przy ustroju faszystowskim, należało do najbardziej rozpowszechnionych wśród tak zwanych klas posiadających całego kontynentu. Z nich rekrutowali się we wszystkich krajach stronnicy kapitulacji politycznej i darmowi agenci Niemiec. Dziś stało się wiadome, że część tak zwanych monarchijczyków francuskich żyła podczas wojny nadzieją na klęskę swego kraju, widząc w niej jedyny sposób zachowanie fortuny. tak trudno zwyciężać.

Nadzieje posiadających zostały zawiedzione. Niemcy są dziś aliantami bolszewików. Armie ich niosą wszędzie pogardę dla „plutokratów” i generalne wyłączenie w formie *Neuordnung* i *deutsche Führung*. Ale na te refleksje było już za późno. Klęska, przygotowana wspólnymi siłami Niemiec ich aliantów z 5-tej kolumny, była faktem dokonanym. Między potępieniem swoich i pogardą okupantów grupa kapitulantów zamożnych znalazła się w prawdziwej pułapce, z której niełatwo zapewne będzie się wydostać. Na razie widzimy ich głównie czyszczących buty wszystkich chwilowych panów życia i śmierci na terenach okupowanych.

„Zdrada klerków” również przygotowywała się od dawna, i nieodporność elity umysłowej kontynentu na wypadki ostatniego roku nie była dla nikogo niespodzianką.

Kompleks niższości, jako ogarnął narody zwyciężone na polu bitwy, pociągnął za sobą doniosłe skutki polityczne. Gdy zwyciężeni w swym własnym mniemaniu zaczęli uważać się za bankrutów moralnych i ludy drugiej klasy, również i zwycięzcy zaczęli powoli patrzeć na nie jak na plastyczną masę, gotową do przyjęcia narzuconych z góry form. Ambicje ich, jak niegdyś ambicje ich mistrzów moskiewskich, zaczęły przybierać tak zwane planetarne rozmiary. Dziś wiemy już z mów samego władcy, że nie chodzi więcej o te lub inne zdobycze terytorialne, ani nawet o sławny *Lebensraum*, ale o narzucenie światu niemieckiego kierownictwa i stosownych do tego celu form politycznych i społecznych. Okupacja więc przestała być stanem przejściowym między zakończeniem

działań zbrojnych i podpisaniem pokoju, ale przybrała charakter stanu defibitywnego, mającym po wycofaniu wojsk przeobrazić się w okupację policyjno-partyjną i trwać, jak się teraz mówi w Niemczech „po wszystkie czasy”. Coraz szerzej zaczęła przenikać świadomość, że Francja, mimo swych dekretów antyżydowskich i antymasońskich, nie uniknie, w razie zwycięstwa Niemiec, losu Polski. Po anektowaniu wszystkiego, co się da, grozi jej podział na protektoraty północny i burgundzki z pozostawieniem pod opieką faszystów francuskich części kraju odpowiadającej mniej więcej dzisiejszej Francji nie-okupowanej.

Po upływie pół roku możemy dziś zrobić tymczasowy bilans kapitulacji francuskiej. Inicjatorzy jej działali pod bezpośrednim wrażeniem katastrofy. Armia francuska cofała się wśród tłumu uchodźców, których 10 milionów tłoczyło się na kurczącym się pod ich stopami terytorium. Zawieszenie broni wydawało się rządowi w Bordeaux jedynym sposobem opanowania sytuacji wewnętrznej i położenia kresu bezprzykładnej poniewierce ludności. Kapitulacja moralna miała na celu dalszą obronę ludności i stopienie ostrza nienawiści teologicznej faszystów do demokracji. Ministrowie z Vichy stosowali taktykę Talleyranda, który po klęsce Napoleona wytłumaczył ówczesnej koalicji antyfrancuskiej, że skuteczne narzucenie Francji starego reżimu wymaga od zwycięzców pewnych ofiar i powstrzymania się od aneksji i szykan.

Historia jednak nie powtarza się. Koalicja przeciwnapoleońska miała cele konserwatywne, dążyła do konsolidacji zachwianego *status quo*. Dziś role są odwrócone. Demokracje Zachodu dążyły do zachowania istniejących konwencji społecznych, państwa osi natomiast reprezentują siłę wywrotową. Dlatego kapitulacja moralna jest dziś przyjęciem warunków bliżej nieokreślonych. Francuzi mieli sposobność zapoznać się z tym faktem, kiedy władze okupacyjne wysiedliły z Lotaryngii 60.000 mieszkańców, proponując im wyjazd do Polski lub Francji nieokupowanej. Na reklamacje francuskie Niemcy dali do zrozumienia, że przesiedlenia są ich systemem administracyjnym, sposobem bycia ludów dynamicznych. Rzesza przesiedla wciąż swych własnych poddanych i nie widzi powodu pozostawiania na miejscu Francuzów.

Zatem więc jako próba, chociażby za cenę wielkich ofiar, zatrzymania dalszego pochodu katastrofy i częściowego przynajmniej przywrócenia *status quo*, kapitulacja osiągnęła bardzo małe wyniki i przypomina raczej przerwę zrobioną na życzenie pacjenta w połowie bolesnej operacji chirurgicznej.

Ale i pesymiści nawet nie przewidzieli zapewne wszystkich kosztów kapitulacji i bezużytecznych cierpień, jakie miały z niej wynikać. Mamy tu na myśli koszty moralne kapitulacji, związane ze szczególną konstytucją psychiczną Francuzów.

Obcych uderza zawsze u Francuzów drażliwość miłości własnej, czułość honoru i pewna szczególna ocena sławy i rozgłosu. Francuz, mówią, godzi się na wszystko, prócz na to, aby pozostać niedostrzeżonym. Ludzie Północy biorą to najczęściej za próżność. Jest to jednak zbytnie uproszczenie rzeczy nierównie głębszej i zawilej. Aby ją lepiej zrozumieć, wypada przejść w pamięci wszystkie manie wielkości od Ludwika XIV do Napoleona, odziedziczone przez dzisiejszych Francuzów, wszystkie łuki tryumfalne, pałace, słońca Austerlitzu, orły, sztandary, wieki blasku i sławy idące przez pokolenia. Sam nawet smak artystyczny Francuzów jest w gruncie rzeczy innym wyrazem tej samej mani wielkości według zasady horacjańskiej: *qui non tendit ad summum, vergit ad imum*. W sztuce wszystko, co gorsze od najlepszego, nie liczy się. (Kto nie dostrzegł, ile pychy ukrywa się w pochwaleniu mierności, nie zrozumiał dobrze Horacego.) U tak głęboko francuskiego Boileau uderza nas nade wszystko pedantyczna nienawiść wszystkiego, co mierne. Gdy przypomnimy sobie Wiktora Hugo, który wołał spędzić 18 lat na wyspie niż przeprosić Napoleona Małego, gdy przypomnimy sobie wszystkie zawarte w literaturze

francuskiej odcienie goryczy zrodzonej z dumy, wówczas zrozumiemy lepiej pewne obciążenie dziedziczne pokonanych z 1940.

Krótki okres komitetów nieinterwencji i panowania „monachijczyków” nie mógł zmyć w ciągu kilku lat tradycji wytworzonych w biegu stuleci. Żaden inny naród nie był, być może, równie mało przygotowany psychicznie do kapitulacji i abdykowania ze swej roli w Europie. Zresztą ani po Waterloo ani po Sedanie okoliczności nie wymagały od Francji kapitulacji moralnej obecnego typu, kapitulacji „dynamicznej” z narastającą wciąż listą abdykacji i upokorzeń. Lista ta bowiem nie jest bynajmniej zamknięta. Już po dekreтах antysemitycznych i samorządzie korporatywnym, w listopadzie Pietro Solari pisał w „Corriere della sera”, że Francja nie jest jeszcze dość zwyciężona, i że jej duch „plutokratyczny” jeszcze żyje. „Francja — pisał — musi jeszcze ponieść klęskę moralną równie rozstrzygającą jak była jej klęska wojskowa.” Czytelnik szuka w wyobraźni upokorzeń, jakie zwycięzcy trzymają jeszcze w zapasie dla Francji, i mimo woli przychodzą mu na myśl wzory z Polski: „Nur für Volksdeutsche”, „Adolf-Hitler Platz”, „Sieradz vom polnischen Joch befreit”, i wszystkie inne rekwiizyty niemieckiego „kierownictwa”.

Na refleksje te Francuzi nie mieli już czasu. Wypadki nie pozwoliły im wybrać swego losu. Zanim ktokolwiek zdążył oprzytomnieć zawieszenie broni, kapitulacja moralna i trybunał stanu w Riom były już faktem dokonany. Granice zamknęły się, i nawet na emigrację polityczną było za późno. Pozostało akceptowanie losu, zajęcie postawy biernej: *prefer et obdura*, jak mówili stoicy rzymscy.

Sami zapewne autorzy kapitulacji nie wyobrażali sobie, jak trudno będzie Francuzom znieść ten los, wytrwać w postawie upokorzonych i oczekujących kary. Tylko ponura wyobraźnia Dostojewskiego, który przeszedł całą drogę od stóp szubienicy do apologii carskiego reżimu, mogła sobie dokładnie przedstawić wszystkie stadia załamywania się psychicznego, paniki i hysterii, jaka ogarnęła kraj po kapitulacji.

Zaczęło się więc obalanie starych bogów, hańbienie i wyklinanie pokonanej republiki, której nawet samą nazwę wykreślono ze słownika oficjalnego, zastępując ją słowami *l'Etat français*.

Za czasów swej świetności Trzecia Republika była liberalna, i wolność słowa była w niej nieograniczona. Wrogowie swobodnie rzucali na nią obelgi i kalumnie, nie wywołując ani sprzeciwu, ani nawet zdziwienia. Gdy pochyliła się ku upadkowi, zaczęła żerować na niej jak robactwo cały tłum skrybensów i pipifaksów czyli tak zwanych publicystów. Kapitulacja była dniem ich tryumfu. Wszystkie sprzedajne pióra Francji rzuciły się do czernienia papieru. Zapał kapitulacyjny przechodził coraz bardziej w histerię; żądano kary na wszystkich, kto chciał się bronić. Marcel Déat pisał, że na czele 15 deputowanych sabotował systematycznie wszystkie przygotowania do wojny. Takimi rzeczami chwalono się teraz głośno, jak zasługą przed ojczyzną. Charles Maurras, chcąc najwidoczniej zakończyć swą karierę jako dobrowolny agent policji niemieckiej, zajął się delatorstwem, donosząc co dzień, że w takiej lub innej miejscowości ukrywają się jeszcze stronnicy republiki i demokracji, których nazwiska ogłosi w najbliższym numerze. „Candide” rozpisał konkurs na francuski *Mein Kampf — un livre qui sauvera la France*. „Gringoire” wzywał do aresztowania wszystkich uchodźców belgijskich i hiszpańskich. Cała prasa Francji nieokupowanej zdawała się być na usługach Goebbelsa. Wznowiona w Lyonie „Marianne” została zawieszona, ponieważ autor jednego z ogłoszonych w niej, zresztą za pozwoleniem cenzury, artykułów okazał się Żydem. Z tego samego zapewne powodu wspomnienia wojenne André Maurois ukazały się w Szwajcarii, drukowane w odcinku „Neue Züricher Zeitung”. We wspomnieniach tych zresztą opisywane wypadki znajdują się jak gdyby na drugim planie, zamglone wybitną zdolnością autora do pomniejszania wszystkiego, o czym mówi. Rozmowy z generałem Gamelinem obracają się głównie dokoła awansu kapitana Maurois na majora. Musimy przypuszczać, że sam

widok kpt. Maurois napełniał nieszczęśliwego wodza roztargnieniem i odpędzał odeń wszelką myśl serio.

Zjawiska tego rodzaju trudno jest ocenić bez pewnego *medium comarationis*. We wrześniu dostarczył mi go jeden z pierwszych numerów „Gazety Żydowskiej”, organu gminy żydowskiej krakowskiej i warszawskiej. Jest to jedyne pismo wychodzące legalnie pod okupacją w języku polskim i nie będące organem władz okupacyjnych. W numerze, który trafił do moich rąk, artykuł wstępny był komentarzem do Jeremiasza. Cenzura nie pozwala widocznie na nic więcej. Ale bardziej wymowny od wszystkich wykreślonych przez cenzora faktów był sam ton gazety, ton niesamowity, dźwięczący jak głos otchłani, zwarty, napięty, tragiczny. W ojczyźnie I.K.C., gdzie od wielu już lat brakło godziwej publicystyki, przygodni redaktorzy „Gazety Żydowskiej” dorosli nagle do rozmiaru wypadków i znaleźli słowa, które wymawia się w obliczu ostateczności, słowa, których na próżno szukali w pamięci sławni publicyści zgromadzeni w Vichy. Patrzącemu na rozpiętość tych kontrastów mimo woli przychodzi na myśl pytanie, jak przywrócona będzie jedność moralna Europy, w której okres kapitulacji zostawi po sobie tyle pogardy.

Wśród różnorodnych przejawów kapitulacji moralnej wypada wymienić osobno kapitulacjonizm literacki.

Ponieważ cenzura nie pozwala poruszać tematów politycznych, pisma francuskie zaczęły udzielać coraz więcej miejsca literaturze. W sobotnich i niedzielnych numerach dzienników pojawiły się dodatki literackie. Najwybitniejsze pióra zmonopolizował „Figaro”, w którego dodatku literackim, pozostającym pod redakcją niejakiego André Billy, ukazały się takie nazwiska jak Paul Morand, Jean Schlumberger, Francis Carco i inni.

W jednym z pierwszych dodatków literackich „Figara” ukazał się znamieny artykuł nazwanego już wyżej André Billy o przyszłości powieści francuskiej. Dość obszerny artykuł streszcza się mniej więcej do wywodów następujących. Powieść jest jednym z ważnych działów produkcji narodowej francuskiej. Ponieważ rząd poddał ścisłej reglamentacji wszystkie gałęzie produkcji, jest oczywiste, że i produkcja powieści będzie kierowana przez rząd. Rząd przepisze powieściopisarzom tematy i style, które uważa za najbardziej pożądane. Ponieważ inicjatywa w tej mierze należy do rządu, on sam tj. Billy powstrzyma się od przedwczesnych komentarzy, uważając natomiast za dopuszczalne zastanowienie się, jakie z istniejących dotąd rodzajów powieści można uważać już za nieaktualne i niewskazane. Na pierwszym miejscu wymienia Billy powieść balzakowską. W nowym ustroju — pisze — burżuazja została zniesiona i nie ma miejsca na opisywanie jej przeżyć i namiętności. Na drugim miejscu wymienia powieść „egotystyczną i estetyzującą w rodzaju André Gide’a”, dla której również w nowym ustroju nie widzi miejsca.

Czytając tę prozę ma się wrażenie, że wreszcie w Vichy spełniło się marzenie szchedrinowskiego strasznego naczelnika, oczekującego, że obywatele zaczną zgłaszać się sami i prosić o zesłanie na katorgę (*pridut obvatieli i budut katorgi prosit*). Jesteśmy tu już o krok od petersburskiego związku zawodowego literatów żądającego kary śmierci na trockistów, być może zaś jeszcze dalej, bo Billy pisze bez przymusu policyjnego, z własnej i nieprzymuszonej ochoty. Dodać należy, że wszystko co ukazuje się w dziale redakcyjnym, między artykułami Morand’a i Schlumbergera, jakby nigdy nic, jak rzecz powszechnie uznana i zrozumiała.

Oczywiście trudno sobie wyobrazić, aby opinie tego rodzaju podzielane były przez pisarzy mniej skłonnych do hysterii lub chociażby bardziej przytomnych. Wielka literatura Francji przedwojennej obracała się w ogóle w strefie, w której redaktora Billy i jego argumentów nie wpuszczano nawet do przedpokojów. Przeciw niej jednak podniosła się dziś z rynsztoka ulicy, z łamów „Candidów” i „Gringoire”ów, olbrzymia, mętna fala obelg, oszczerstw i złorzeczeń. Publicyści kapitulacji mieszają z błotem całą literaturę Trzeciej Republiki, widząc w niej źródło wszystkiego złego, przyczynę upadku Francji

i nawet jej klęski wojennej. Krzyk histerycznego motłochu podniósł się z taką siłą, że zaczęli go brać na serio nawet obcy, stojący poza bezpośrednim zasięgiem kapitulacji. Echa deprecjacji literatury francuskiej dały się słyszeć nawet w prasie szwajcarskiej. Berliński „Lokal-Anzeiger”, poświęcił literaturze francuskiej obszerny artykuł, parafrazujący po niemiecku argumenty „Candida” i „Gringoire” a i kończący się wnioskiem, że wreszcie cała ta zgnilizna francuska zostanie uprzątnięta, i miejsce jej zajmie zdrowe i młode niemieckie piśmiennictwo narodowo-socjalistyczne. Dyplomowany przez „Kulturkammer” krytyk berliński okazał się jednak nieco liberalniejszy od swego kolegi z „Figara”, bo dodaje na końcu, że i we Francji są artyści zasługujący na szacunek, jak np. André Gide.

Pod gradem obelg i gróźb starzy bogowie literatury francuskiej zachowali się z godnością, mianowicie milczeli.

Poza względami ogólnymi, milczenie ich zdaje się jednak mieć także pewne szczególne motywy, których można się jedynie domyślać. W tydzień po cytowanym artykule o kierowaniu literatury przez rząd, w tymże piśmie ukazał się artykuł znanego krytyka Henri Bidou, zawierający m.in. takie zdanie: „Francji pozostało kilku znakomitych żyjących jeszcze pisarzy, jak François Mauriac, Jean Giraudoux...” reszta nazwisk została wykreślona przez cenzurę. Billy zatem pisał prawdę: rząd nie tylko nie wziął jego artykułu za żart, ale istotnie ma ambicje kierowania produkcją narodową w zakresie powieści. Jakie nazwiska zostały wykreślone? André Gide? Georges Duhamel? Może André Malraux? Jeżeli wymienianie nazwisk ich jest zakazane, czy wolno im pisać? Od sierpnia już prasa zapowiada wznowienie N.R.F. w strefie nieokupowanej; pierwszy numer miał być gotowy do druku już we wrześniu. Numer ten nie ukazał się dotąd. Czyżby Julien Benda musiał legitymować się z posiadania aryjskiej babki? Wiemy tylko, że Henri Bergson miał być przed śmiercią usunięty z Collège de France, ale rada ministrów postanowiła uznać go za „zaszczytny wyjątek”. Sławny filozof odmówił przyjęcia tego przywileju.

Łatwość, z jaką część przynajmniej opinii francuskiej obaliła swych starych bogów, wyrzekła się wypróbowanych w ciągu stuleci instytucji, odwróciła się od najświetniejszych tradycji i nawet wykreśliła ze swej literatury najbardziej cenionych autorów, musiała zastanowić nawet najbardziej niepoprawnych optymistów. Uderzał zwłaszcza fakt, że obrazoburstwo było tym razem nie dziełem ciemnych sił ludowych, ale zamożnej burżuazji, dążącej dotąd zazwyczaj do zachowania istniejącego stanu rzeczy.

Aby sobie objaśnić to zjawisko, wypada być może, uświadomić sobie wpływ naiwnej filozofii pragmatycznej, jaką w różnych odmianach propagowano od 40 lat w Europie z prawa i lewa. Już wielki apostoł naszych czasów przemocy, Georges Sorel pisał o „użyteczności pragmatyzmu”. Nawet w rzeczach wiary posługiwano się argumentacją pragmatyczną: jaką korzyść mamy z wątpienia? Prawdą jest to, co nam służy, co sprzyja naszemu *élan vital*. To rozumowanie, ta łatwa filozofia powodzenia leży na dnie całego kapitulacjonizmu europejskiego. Niemcy wygrały wojnę? Zatem ich instytucje są dobre. Antysemityzm sprzyja *élan vital* rasy germańskiej? Będzie zatem doskonały i dla nas. Jaką korzyść możemy wynieść z obstawania przy naszych opiniach? Nasze instytucje, tradycje i gusty nie przyniosły nam powodzenia? Zrzućmy je zatem jak stare ubranie.

Jeżeli tego rodzaju filozofia była zawsze absurdalna, wypadki ostatniego roku wykazały nadto całkowitą fantastyczność i oderwanie od rzeczywistości doświadczalnej. Nikt z nas nie zna dziś swego losu, nawet na dzień jutrzejszy, i rozważanie, jakie opinie przyniosą nam najwięcej powodzenia, jest rzeczą spóźnioną i jałową. Jeszcze śmieszniejsze wydaje się wycenianie republiki i literatury z punktu widzenia szans przegranej wojny. Czy nie rozsądniej jest myśleć po prostu, że zachowanie republiki wymagało więcej inteligencji i talentów, niż ich liczyło obecne pokolenie, i że literatura francuska była zbyt

piękna dla czytelników „Gringoire”a, niecierpliwie oczekujących pojawienia się francuskiego *Mein Kampf* (*un livre qui sauvera la France*).

Jeżeli jakaś lektura w ogóle może nam pomóc w odzyskaniu równowagi i opanowaniu myśłą lęku przed toczącymi się wypadkami, trzeba by raczej zwrócić się do listów Seneki, do Plutarcha, przypomnieć sobie gesty i słowa starożytnych w obliczu ostateczności, rozważyć na nowo filozofię, jaką ukrywa w sobie *Troilus il Kressyda* lub *Król Lear*. Rzekomo praktyczne wychowanie obecnych pokoleń z ich naiwnym pragmatyzmem i giętkością myśli graniczącą z niekonsystencją zrobiły je nieobronne złemu. W obliczu niepowodzenia cały kontynent w swej własnej wyobraźni zaczął się staczać coraz niżej i niżej.

Jak wyobrażano sobie życie w submisji, pod niemieckim kierownictwem?

W Vichy mówiono przede wszystkim o powrocie do rolnictwa, o sławnym *le retour à la terre*. Francuzi wracają na wieś, sadzą kapustę, pasą baranki, podbierają miód, nikomu nie wadzą, przemysłu poza dozwolonym przez Berlin nie mają, Niemcom dostarczają doskonałego sera, sałaty i wina. O co władcy mogliby mieć pretensje do ludu idyllicznego, oddającego się tak godnym pochwały zajęciom?

W innych krajach okupowanych lub oczekujących okupacji wyobrażano sobie przyszłość może mniej bukolicznie, ale w podobny sposób. Z mów Funka można było wnosić, że wszystkie ludy zostaną obłożone poważnym haraczem. Część dnia wypadnie zatem poświęcić pracy dla Niemców, część pracy dla utrzymania się przy życiu, a w końcu dnia pozostanie być może jeszcze godzina odpoczynku, którą będzie można poświęcić jakimś dozwolonym rozrywkom. Za tę cenę miano nadzieję otrzymać prawo do życia, do czytania w niedzielę ilustrowanego dodatku do „Frankfurter Zeitung” i nawet, raz na rok, odbycia niewielkiej podróży w trzeciej klasie.

Takie były nadzieje spokojnych obywateli. Prócz nich, oczywiście, w każdym kraju powstała grupa miejscowych nazi, spodziewających się jeździć samochodem, „kierować” pracą pozostałych obywateli, chodzić w żółtym mundurze z batem w ręku i spędzać z chodnika na jezdnię pozostałych jeszcze przy życiu Żydów.

Wśród klerków, zwłaszcza we Francji, żyły jeszcze inne nadzieje. Oczekiwano tam, że zwycięzcy po jedzeniu i piciu zapragną jeszcze dobrych obrazów, starych mebli, subtelnej muzyki, pięknej książki, być może nawet wielkiej sztuki i wszystkiego tego, czego nigdy nie bywało w koszarach i w lokalach partii narodowo-socjalistycznych, a nawet w biurach „Kraft durch Freude”. Wszystkiego tego dostarczyć im mogła tylko stara cywilizacja Zachodu, tylko Francja, przygotowująca się do odegrania roli Grecji w nowym Imperium Rzymskim.

Jako rzymscy poddani, Grecy wydali jeszcze Plutarcha, Plotyna i Lukiana z Samosaty. Jako powiatowe miasto rzymskie, Ateny miały jeszcze swe momenty świetności i były miejscem pielgrzymek całej elity imperium. Najsławniejsi cesarze przejęli język Platona. Marek Aureliusz pisał po grecku swe rozważania, Julian Apostata swe pamflety. Przed Paryżem są więc jeszcze całe wieki świetności. Takie głosy dawały się słyszeć wśród klerków. Ewangelię tę głosił też, zdaje się swym francuskim przyjaciołom sam Otto Abetz, wtajemniczony w plany wszechwładnego.

Graeculi, jak pisał pogardliwie Juvenalis... Taką nadzieją łudzili się klerkowie z Vichy, kiedy właśnie prawdziwi Grecy przygotowywali się zadziwić świat czymś zupełnie innym. W pismach tak zwanych literackich zaczęto już inwentaryzować skarby, którymi miano wodzić na pokuszenie barbarzyńców. Ponieważ literaturę republiki wykreślono z jadłospisu, wrócono do klasyków, do Montaigne’a, Pascala, Racine’a, Lafontaine’a. Kto potrafi się oprzeć ich urokowi? Z nami więc, mówiono, są bogowie literaccy.

Ale i te nawet skromne nadzieje zaprawione były goryczą zwątpienia.

Czy przez powrót do rolnictwa uda się odwrócić od Francji ekspansję kolonizacyjną

Niemiec uniknąć tzw. *Landnahme* we Francji? Chytrzy „monachijczycy”, łudzący się od czasów Locarna nadzieją zwrócenia ambicji zaborczych Niemiec na Wschód, z uczuciem ulgi czytali o wcieleniu do Rzeszy trzeciej części Polski i o wysiedleniu stamtąd ludności. Zatem więc — mówili — Niemcy mają już dość ziemi; im więcej ich osiadzie nad Wartą i Wisłą, tym mniejszy będzie napór na Zachód.

Czy jednak jest to tak pewne? Sławny *Drang nach Osten* był zawsze postulatem raczej teoretycznym. Od pół wieku już ludność Niemiec dążyła stale na Zachód. Zresztą kto był jeden chociażby dzień w Kistrzyniu (Küstrin) lub Frankfurcie nad Odrą, wie, dlaczego każdy sprytniejszy mieszkaniec tych okolic starał się przenieść nad Ren. Kto ze zwycięzców będzie dziś chciał z własnej woli osiąść w „deutsche Kreisstadt Pultusk”, jak je nazywają tamtejsze gazety, lub w „Konstantynow bei Litzmannstadt”? Czy przeludnione piaski mazowieckie potrafią w oczach zwycięzców konkurować skutecznie z ziemią francuską, falującą w nieskończoność w złoto-błękitnym dymie tentującym malarzy od czasów Claude Lorrain’a i, co może ważniejsze, przynoszącą rolnikom niezmiernie 10% czystego zysku od wartości szacunkowej gruntu? Już pierwsza *Landnahme* w Lotaryngii, połączona z wysiedleniem 60.000 Francuzów, musiała obudzić te wątpliwości.

Jeszcze mniej pewne wydawały się nadzieje klerków na otrzymanie z rąk nowych Rzymian roli nowych Greków. Hitler dziwnie mało przypominał Flaminjusza, zdobywcę Aten. Zresztą Grecy od czasów Filipa Macedończyka przeszli sporo kapitulacji, ale brak wiadomości, aby poddawali się także kapitulacji moralnej, wyrzekali się swych bogów i w historycznym szale zabraniali wymawiać nazwiska swych artystów. W miesiąc po kapitulacji stało się jasne, że na razie przynajmniej nie ma mowy o żadnej Grecji.

Kto nie był świadkiem tych wypadków, temu trudno jest zapewne sobie wyobrazić, jak szybko stolice kontynentu, niegdyś centralne laboratorium umysłowe i artystyczne świata, stały się głuchą prowincją i przybrały statut parafialny. Kandydaci na Greków nie przewidzieli zapewne tej metamorfozy. Był to jeszcze jeden z niespodzianych skutków kapitulacji moralnej.

W przeciwieństwie do prowincji, stolica jest siedliskiem pewnego rodzaju elity ustalającej bieżącą skalę wartości, i decydującą o tym, kto będzie sławny, jakie książki należy czytać i jakie kapelusze będą noszone w najbliższym sezonie. Prowincja przyjmuje te wyroki stolicy i — o ile nie poddaje się im natychmiast — oznacza to tylko, że pozostaje na razie wierna skali wartości z poprzedniego sezonu. Do wykonania tej funkcji społecznej stolica musi posiadać pewnego rodzaju *potestas clavium*, autorytet dość złożonej natury. Doświadczenia ostatnich lat dowiodły, że stolice, które kapitulowały i zatrzymały się w swej własnej świadomości, tym samym zajęły już postawę prowincji. Przyjmując skalę wartości zwycięzców i przygotowując się do słuchania rozkazów, stolice tracą swą funkcję społeczną i zdolność decydowania nawet w kwestiach, w sprawach mód umysłowych i krawieckich.

Przed wojną już widzieliśmy degradację Wiednia. Kiedy nie stało w nim cesarza i arcyksiążąt, Wiedeń pozostał jeszcze wyrocznią w dziedzinie medycyny, filozofii i konfekcji. Po okupacji spadł wreszcie do poziomu miasta prowincjonalnego, siedziby władz drugiej instancji, do rangi Wrocławia lub Królewca, i wówczas przestał być autorytetem nawet w dziedzinie konfekcji. Bo co to jest kapelusz z Wrocławia? Już August Wilkoński przed stu laty śmiał się z ziemian wieluńskich jeżdżących po zakupy do Wrocławia. Wiedeńczycy długo opierali się swemu losowi. Pomijając już wszystko inne, była to dla nich kwestia utrzymania ich handlu i ocalenia resztek zamożności. Raczej wszystko inne, byle tylko nie stolica *der Ostmark*. *Lieber ein Kaiser aus Gottes Gnaden, als Tapezierer aus Berchtesgaden*, mówili austriaccy legitymiści. Dziś los Wiednia dopełnił się. Od dwóch lat w pismach nie było nawet żadnych depesz z Wiednia, gdzie najwidoczniej już nic się dzieje.

Coś podobnego dokonało się latem na całym terenie kapitulacji moralnej. Rozmowy zaczęły obracać się dokoła spraw prowincjonalnych. Coraz mniej było chętnych do bronienia tej lub innej opinii. Tam, gdzie zachowały się jeszcze opery, wrócono do Verdiego. Wszyscy zrozumieli, że przez dłuższy czas nie będzie nic nowego, i zaczęli przystosowywać się do roli mieszkańców Ryczywoła.

Stolice państw Osi były zawsze ubogie, i dla różnych przyczyn życie ich od dawna już miało charakter prowincjonalny, zależny od Zachodu. Miejsce więc opróżnione przez dymisję starych stolic pozostało niezajęte. Cały kontynent stał się rodzajem Cochons-sur-Marne, jak mawiał Léon Blois, czy też Pipidówką *bei Berchtesgaden*.

O Dżyngis-chanie mówiono, że gdzie przeszły jego konie tam trawa nie rośnie. Parafrazując dziś te słowa można by powiedzieć: gdzie przeszły tanki, tam nie ma więcej Europy, tam znikło wszystko, co stanowiło wartość dla jej mieszkańców i dla reszty świata. Ludzie kontynentu są już dziś tylko własnym cieniem dręczonym pamięcią przeszłości. Do nich pasują dziś słowa Achillea w Hadesie: lepiej być ostatnim pośród żywych niż królem w krainie cieni.

Nie wiem, o ile Anglicy zdają sobie sprawę z tego, ile zyskali prowadząc dalej wojnę. Szarpana przez lotnictwo niemieckie Anglia jest wciąż żywa, wolna, pełna nadziei. Na nią zwracają się oczy całego kontynentu nie tylko jako na ostatnią szansę ocalenia, ale z tajną zazdrością, z jaką bankrut schodzący w cień widzi młodość patrzącą w przyszłość. Chwilami zdaje się, że nawet histeria kapitulantów pochodzi częściowo z tej zawiści. Czemu nie ja?

Zapowiadana już nie raz detronizacja Europy wydaje się dziś, przynajmniej w odniesieniu do kontynentu, faktem dokonanym. Wojna z jej surowym reżimem i powrotem do barbarzyństwa dopełniła dzieła dekoronacji dla patrzących z zewnątrz, kapitulacja moralna dokonała go w samej świadomości Europejczyków. Kiedy w 1919 rewolucja wypędziła z Ukrainy ziemian polskich, do jednego z nich chłopi z jego rodzinnej wsi wystosowali list adresowany: do byłego Starorypińskiego. Określenie to pasuje dziś świetnie do mieszkańców kontynentu.

Czy upadek moralny kontynentu jest ostateczny i niepowrotny? Czy pomyślny bieg wypadków wojennych potrafi wyrwać Europejczyków z ich prostracji? Jasne jest, że powrót do życia i odrodzenie kontynentu nie zależy jedynie od zwycięstwa Anglii. To ostatnie może stworzyć tylko warunki niezbędne do takiego procesu.

Kapitulacja moralna związana była wszędzie ze znaną ewolucją grup posiadających. Czy przezwyciężenie kapitulacjonizmu będzie mogło się odbyć bez pozbawienia głosu tych grup czyli bez rewolucji na całym kontynencie? Kto obejmie kierownictwo tej rewolucji?

Pytanie to nie jest czysto akademickie. W Paryżu władze okupacyjne pozwoliły na wznowienie agitacji komunistycznej. Jest to powtórzenie w innej formie starej groźby pod adresem posiadających: jeżeli utracimy oparcie w warstwach zamożnych, będziemy go szukali u ich przeciwników; gdybyśmy zaś mieli przegrać wojnę, zdążymy zawsze przekazać spadek po nas komunistom. Wobec tych perspektyw wielu przewidujących szukało już dziś reasekuracji od tej strony, przygotowując się do nowej kapitulacji na lewo.

Okupowany, rozbrojony, pokryty siecią nadzoru i obozów koncentracyjnych kontynent nieprędko być może potrafi się zdobyć na czynną walkę o niepodległość. Pierwszym jednak warunkiem zajęcia jakiegokolwiek postawy czynnej będzie stworzenie dla niej przesłanek moralnych i przezwyciężenie paraliżującej wszelką działalność hysterii kapitulacyjnej. Ostatnie tygodnie przyniosły pod tym względem liczne objawy powrotu do zdrowia.

Pisać o nich jest jeszcze za wcześnie. Na ogół streszczają się one do dwóch zjawisk: zachwiania wiary we wszechpotęgę narodowego socjalizmu i kryzysu wewnętrznego kapitulacji.

Zachwianie wiary w zwycięstwo zaczęło szerzyć się przede wszystkim w samych państwach Osi i stamtąd przenikać do stref okupowanych. Kryzys wewnętrzny kapitulacjonizmu zaczął się od uświadomienia sobie na całym kontynencie niemożności ułożenia jakichś stałych, chociażby nawet uciążliwych warunków współżycia z państwami „dynamicznymi”. Straszny los Polski i brak jakiegokolwiek koncepcji pokojowej niemieckiej poza sławnym *deutsche Führung* wykazały całą nierealność i fantastyczność nadziei kapitulacjonistów. Niemalą rolę odegrały wreszcie ekscesy kapitulacjonizmu i obrzydzenie wywołane jego histerią. W ciągu kilku miesięcy Europejczycy kontynentalni zdążyli zmierzyć całą głębię swego upadku:

„Je viens de te montrer le gouffre. Tu l’habites.” (V. Hugo)

Możność zatrzymania się w panicznej ucieczce, zmierzenia wzrokiem i zrobienia inwentarza otchłani, ocenienia szans aktów rozpacz — wszystko to jest już początkiem przewyciężenia lęku i wstydu, z których zrodziła się kapitulacja moralna.

WYSPA — UWAGI O DODATKACH DO ARCHIWÓW STEFANII ZAHORSKIEJ

Maja Elżbieta CYBULSKA (W. Brytania)

W liście Józefa Wittlina do Stefanii Zahorskiej, opatrzonym datą 16 czerwca 1951 i znajdującym się w archiwach Stefanii Zahorskiej w Londynie, jest wyrażone takie oto życzenie: „Gdybym miał pieniądze — według receptury Koestlera — dałby[m] je na jakąś wyspę — dla pisarzy, artystów — eksterytorialną pod każdym względem. Tam byśmy sobie chodzili pod ręce — jak wygasłe wulkany”. Kiedy wnika się w przemyslenia Zahorskiej związane z listami Wittlina (w archiwach bibliotecznych są w sumie trzy określenie „wygasłe wulkany” wydaje się trafne choć przygnębiające, niestety. Znamionuje je pesymizm starzejącej się pisarki dzielony z przyjaciółmi, którzy tak jak ona osiągnęli podeszły wiek: „starym Wittlinom — stara Zahorska”. A jednak ta starość nie jest żadnym kresem, zaledwie punktem, z którego wskrzesza się przeszłość i komentuje teraźniejszość. Do tej przeszłości odnosi się między innymi zdanie: „A Pan proszę niech nie zapomni, że byłam kiedyś rudawą blondynką o wyzywającym uśmiechu”. Kokieteria? Zaczepka? W listach Zahorskiej jest tak mało autocharakterystyki, że sprawa staje się intrygująca. Czyżby chciała, żeby w ten właśnie sposób ją zapamiętano? Leonia Jabłonkówna w liście do mnie z 13 stycznia 1986 r. tak ją przedstawia: „nie może Pani sobie wyobrazić, jak atrakcyjna była wtedy [przed wojną — M.E.C.] Stefania. Nawet od strony zewnętrznej. Nie była właściwie piękna — wręcz odwrotnie: miała rysy nieregularne, nieładny nos, za wąskie usta, oczy intensywnie niebieskie, ale zbyt wypukłe. Miała tylko wspaniałe włosy, miedziane «tycjanowskie» i znakomitą figurę. Ale emanowała niesłychanym czarem, czymś trudnym do określenia, co urzekło stokroć bardziej niż najbardziej klasyczna uroda”.

Dla osoby tak szalenie skrytej jak Zahorska, charakterystyka ta wydawałaby się zbyt „prywatna” (choć nie ma w niej ani słowa o wyzywającym uśmiechu). Nie mogła przypuszczać, że znajdą się materiały, które pozwolą odtworzyć jej bardziej konkretny wizerunek i znacznie wcześniejszy. Ze starej fotografii spogląda twarz młodej dziewczyny, której wyraz nie uległ zmianie z upływem czasu, czego dowodzą fotografie zamieszczone

w moich dwóch książkach* i inne zdjęcia, znajdujące się w Bibliotece Polskiej w Londynie. Kilka zdjęć, wśród których widnieje młoda Stefania, i nieznane dotąd cenne informacje, trafiły do moich rąk dopiero niedawno, tak zresztą jak kopie dwóch listów do Józefa Wittlina. Dokładne opracowanie ich wymagałoby oddzielnych szkiców, toteż poprzestanę tylko na krótkim komentarzu, licząc na to, że karkołomne na pozór, zestawienie tak odrębnych źródeł będzie wyłącznie uzupełnieniem wiadomości podanych we wcześniejszych publikacjach, dotyczących Stefanii Zahorskiej.

Materiały z archiwum Jánosa Szeredi w Budapeszcie

Zahorska nigdy nie uporządkowała swojej biografii, nie licząc krótkiego tekstu, któremu nadała taki tytuł. Ten tekst roi się od nieścisłości i jest wręcz humorystyczny z uwagi na nonszalancję z jaką autorka ujęła swoje dzieje i dorobek. Dla kogoś, kto podejmuje próbę zrekonstruowania faktów z jej życia jest to okoliczność wysoce niepomysłna, bo musi liczyć się z koniecznością dokonywania ciągłych korekt, o czym przekonałam się niejednokrotnie, a ostatnio po otrzymaniu listów od p. Jánosa Szeredi z Budapesztu. Noszą daty: 18/11/1998, 14/12/1998 i 25 stycznia 1999 r. W pierwszym liście autor przedstawił się, w drugim, dostarczył szeregu wiadomości o rodzinie Zahorskiej i załączył fotokopie zdjęć, w trzecim uzupełnił dane.

Pan Szeredi jest wnukiem Heleny Sternerowej, starszej siostry Zahorskiej, która mieszkała na Węgrzech. Ojciec p. Szeredi, to jej syn, Robert (po wojnie zmienił nazwisko ze Sterner na Szeredi). Obydwoje figurują w korespondencji Zahorskiej z Leonią Jabłonkówną, a Helenie (Lenie) Zahorska poświęciła swój przedwojenny debiut powieściowy pt. *Korzenie*. Wśród materiałów przesłanych z Budapesztu największe wrażenie robią fotografie. Pochodzą z końca dziewiętnastego, początku dwudziestego wieku. Jest w nich coś z Czechowa, szczególnie trzy siostry, a z pewnością dwie: po prawej stronie Stefania, w środku Helena z Leserów. Co do trzeciej, o ile jest siostrą, nie ma pewności. Możliwe, że jest to Rozalia (choć niewykluczone, że Anna) o której absolutnie nic nie wiadomo. I to jest jedna z zagadek Zahorskiej, która mimo, że była tak mocno do rodziny przywiązana, o czym świadczą jej listy, nigdy, nigdzie Rozalii nie wspomniała. Milczenie wokół Rozalii, zakrawa niemal na ostentację, zwłaszcza w listach powojennych, kiedy Zahorska pytała o wszystkich członków swojej rodziny i nie tylko, bo pytała o znajomych, o gosposię Marynię, ale ani razu o Rozalię. Wyglądało na to, że skazała ją na banicję ze swego życia, co skłoniło mnie do wysunięcia przypuszczenia, że Rozalia umarła, albo zerwała więzi z rodziną. Fakt, że Leonia Jabłonkówna, w cytowanym liście do mnie nic o tej siostrze nie mówi, jakoś utwierdził mnie w przekonaniu o jej „nieistnieniu”.

Pan Szeredi wniósł ważną poprawkę. Rozalia jak najbardziej żyła, wyszła za mąż, miała dzieci i w archiwach rodzinnych są jej dwie kartki: jedna do Heleny Sternerowej w Budapeszcie, bez daty, druga do Stefanii Zahorskiej z datą 1 IV 1918. Obydwie kartki pisane były w języku niemieckim, a do Stefanii na pewno wysłana była z Bielska Białej, gdzie Rozalia mieszkała. Treść tych kartek jest błaża, dotyczy drobnych epizodów codziennego życia, ale żadnych śladów konfliktów w nich nie ma. To naturalnie o niczym nie świadczy. Nie oznacza również, że tej właśnie siostry nie wspomina Zahorska w innej korespondencji, ani że nie pisała do niej listów. Sprawę utrudnia nieznanostwo nazwiska męża Rozalii, której istnienie potwierdza p. Szeredi pisząc, że zgodnie z tym, co zapamiętała jego matka, Robert Sterner „miał kontakty z Rozalią i jej dziećmi jeszcze przed wojną” (14.12.1998). To, że jedną z trzech młodych kobiet widniejących na najbardziej

* M.E. Cybulska, *Potwierdzone istnienie. Archiwum Stefanii Zahorskiej*. Londyn 1988; tejeż, *„Przychodź do mnie”*. Listy Stefanii Zahorskiej do Leonii Jabłonkówny. Londyn 1998.

„czechowowskim” ze zdjęć mogła być Rozalia, zdaje się potwierdzać fotografia grupowa. W pierwszym rzędzie siedzą trzy dziewczynki. Zaraz na lewo, Stefania. Miała wówczas chyba 8–9 lat, to znaczy, że fotograf utrwalił całą grupę w 1897, albo w 1898 r. W rzędzie środkowym siedzą: Helena i jej pierwszy mąż Münz. W ostatnim rzędzie, kobieta z prawej strony jest bardzo podobna do osoby utrwalonej na zdjęciu trzech sióstr.

Ewa Podgórska, która tak wiele wiedzy wniosła do książki *Przychodź do mnie*, a która jest ciotką pana Szeredi, miała poinformować go, że oprócz Heleny i Stefanii są tam jeszcze „ciocia Hania chyba z mężem i ciocia Róża też chyba z mężem. Ale nie wie która postać jest którą ciotką” (25 stycznia 1999). To oznacza, że Rozalia na pewno znajduje się w tym gronie. Hania (Anna Blassberg) była najstarszą siostrą Zahorskiej i żoną znanego krakowskiego lekarza. Między Stefanią a pozostałymi siostrami była duża różnica wieku. Według danych pochodzących z Archiwum Państwowego w Krakowie, Anna urodziła się w 1873 r., Helena w 1876 r., a Rozalia w 1878 r. Stefania przyszła na świat w 1889 r., choć w przyszłości dowolnie ustalała datę swego urodzenia. Mimo, że żadne z dostępnych dotychczas źródeł nie dostarcza wiedzy o Rozalii, to jej samej zawdzięczamy ważną informację, mianowicie, że w 1918 r. żyła jeszcze Amalaja Leser, matka Zahorskiej. Świadczy o tym kilka słów skreślonych przez Rozalię do Stefanii w wyżej wymienionej korespondencji. Widnieje tam wzmianka, że mama miewa się dobrze. To z kolei pozwala sprostować inną omyłkę, którą podaję w obydwu książkach, że Zahorska wcześniej straciła matkę. Inna rzecz, że nie tylko Rozalii, ale też matki i ojca nie wymienia Zahorska w żadnym z dostępnych listów. I jednym z najcenniejszych świadectw udostępnionych przez p. Szeredi jest fotografia jej rodziców. Dzięki temu wiemy jak wyglądał człowiek, który był najprawdopodobniej modelem Leona Webera w *Korzenniach*, a w rzeczywistości ojcem czterech córek, z których losy trzech (jeśli nie wszystkich) ułożyły się dość niezwykle.

Zdjęcia przybliżają rodzinę Zahorskiej, której korzenie są zadziwiająco złożone i rozgałęzione. Nie rozwiązuje to zbyt wielu luk w jej biografii, ale pozwala uściślić niektóre fakty. Pan Szeredi dodał jeszcze odbitki szeregu innych zdjęć. Oddzielny portret Amalii Leser, Heleny Sternerowej, rodzeństwa Sternerów, zdjęcie Zahorskiej z Kogutem (Aleksandrem Rafałowskim), z młodym Robertem Sternerem i z gołębiami Wenecji.

Dwa listy Stefanii Zahorskiej do Józefa Wittlina, Houghton Library, Harvard

Lektura dwóch listów Zahorskiej do Józefa Wittlina nabiera właściwych znaczeń w kontekście jego korespondencji. W liście Zahorskiej z 19 V 1951 r. widnieje zdanie: „Będę Pana wspominała takiego, jakiego po raz ostatni widziałam w Café des Deux Magots”. Ostatnie spotkanie najwyraźniej utkwiło obydwójgu w pamięci, choć co do miejsca nie ma pewności. W korespondencji z 6 czerwca 1955 Wittlin pisze: „Pamięta Pani naszą współpracę w «Polsce Zbrojnej» i ostatnie nasze spotkanie w kawiarni, zdaje się «Regence» w Paryżu, kiedy to Pani nam poradziła uciekać z Paryża? Ta ucieczka niewiele przydała się niżej podpisanemu, ale chwala Bogu, ocaliła moją rodzinę”. Na tę współpracę w „Polsce Zbrojnej” powołuje się Wittlin nawet wcześniej bo w liście z dnia 16 czerwca 1951 r. pisze: „Łączyły mnie z Panią serdeczne, koleżeńskie stosunki. Pamięta Pani nasze wspólne redagowanie dodatku filmowego do «Polski Zbr»? To były lata 1927–1928”.

„Będę Pana wspominała”; „Pamięta Pani?” — to są w tych listach zwroty kluczowe, które potwierdzałyby trafność sformułowania „wygasłe wulkany”, gdyby nie fakt, że terazniejszość, świadczyła o ich nieustannej aktywności. W przypadku Zahorskiej, oprócz podziękowań za komplementy pod adresem Pandory (rubryki „Puszka” w „Wiadomościach”, prowadzonej razem z Adamem Pragierem) widnieją słowa podziękowania

za starania Wittlina o spopularyzowanie *Ofiary*. Podziw dla tej książki wyrażony został w jego liście z dnia 6 czerwca 1955 r.: „Piękna i głęboka rzecz”. Natomiast konkretny zamiar czytania *Ofiary* w radiu, sformułowany został 26 stycznia 1956 r. i do tego nawiązuje Zahorska w swojej odpowiedzi z 1 marca. Wittlin komunikował: „Miło mi też donieść Pani, że 18 lutego będzie nadana z Monachium do Polski audycja radiowa (Free Europe) pod moim kierownictwem, w której będzie wykonany (nie wiem jak i jeszcze nie wiem przez kogo) fragment *Ofiary* z rozdziału IV. Niestety, najlepsza moja siła Modzelewska, przebywa obecnie w Londynie. Będzie to audycja wyjątkowo poświęcona «emigracyjnej prozie poetyckiej». Moje miesięczne audycje obejmują zasadniczo tylko poezję, ale w tym wypadku będzie to wyłom. Muszę podkreślić wyjątkowość tej audycji, żeby nadając utwory «prozaiczne» nie stwarzać precedensu, który wywołałby słuszne pretensje «czystych» prozaików. Otóż audycję poświęcam Pani, Vincenzowi i młodemu Pankowskiemu. Tak się składa, że ukazały się na emigracji trzy utwory traktujące o wytopionych gatunkach ludzi: Żydach, Hucułach i Cyganach (Pankowski). Mam nadzieję, że «władze» zatwierdzą mi ten, odbiegający od szablonu program. Wstrząsający Pani Abraham powinien oczywiście przemówić ustami jakiegoś «adekwatnego» wykonawcy. Ale skąd go wziąć? Proszę zachować to, co Pani komunikuję przy Sobie. Nie znam godzin, kiedy Monachium nadaje nasze, nowojorskie nagrania, znam tylko datę”.

Czytając ten fragment listu „Drogiemu Panu Józefu” trudno oprzeć się wrażeniu, że utopijny zamysł założenia wyspy dla pisarzy i artystów został przynajmniej częściowo zrealizowany, choć nie przez niego i nie w takim kształcie jaki sobie wymarzył.

Taką wyspą okazała się emigracja.

LISTY

1.

19 V 1951

Drogi Panie Józefie

późno odpisuję na Pana list, choć tak bardzo się nim ucieszyłam. Zdrowie moje nie zawsze mi dopisuje i właśnie teraz miałam nieprzyjemny okres. Więc ucieszyłam się przede wszystkim pamięcią Pana, to dobrze że Pan o mnie pomyślał kiedy zaszło coś przyjemnego i radosnego. Pamiętam małą dziewczuszkę z Paryża, ale była przecie wtedy taka mała, że dziś wydaje mi się, że się chyba mylę i że to nie ona wyszła za mąż. Życzę jej z całego serca wszystkiego najlepszego. Także i Panu i Żonie, starym Wittlinom — stara Zahorska. Piszę to i — nie wierzę tym przymiotnikom. Adam* właśnie stanął przy mnie i twierdzi, że to prawda. Ale on jest starym złośliwcem, co Pan pewno spostrzegł czytając te Puszki, za które on jest odpowiedzialny. Dziękuję za komplement po adresem Pandory.

Koniec końcem jednak pandorowanie jest smutną namiastką właściwego pisania. Do tej pory byłam jeszcze optymistką, myślałam że można, trzeba pisać coś właściwego. Teraz opuszcza mnie optymizm. Niemal niepodobieństwem jest coś tutaj wydać. Po polsku? — nie ma komu wydawać, nie ma komu czytać. Poziom polskiego czytelnika jest niski, zapewne zawsze był, ale nie chcieliśmy tego widzieć, siedząc na górze w Ziemiańskiej. Po angielsku? — okazuje się, że nie jest łatwo nastawić się na zupełnie odmienne-

go odbiorcę, odmienne tradycje, odmienny sposób reagowania, poza tym stosunki wydawnicze angielskie są teraz bardzo trudne, a wielkie koszty tłumaczenia czynią całą sprawę wręcz niemożliwą. Tak więc zaczęte rękopisy legły na chwilę w szufladzie i leżą ciągle jeszcze. Chyba już na zawsze. Pocięszam się tylko jednym pytaniem: czy to takie ważne? Zaczynam przenosić ciężar życia na jakiś inny, bardzo abstrakcyjny i bardzo nierealny punkt. I to właśnie jest bodaj dowodem, że naprawdę już jestem stara. [Nieprawda! P.? — dopisek odręczny]

Drogi Panie Józefie, czy my się jeszcze kiedy zobaczymy? Może kiedyś dwoje starszków przejdzie koło siebie i nie rozpozna się. Albo co gorsza poznamy się i zaczniemy rozmawiać o kłopotach trawienia, oddawania moczu itp. Więc już raczej niech będzie jak jest, niech Pan siedzi w Ameryce, ja postaram się nie opuścić Europy. Będę Pana wspominała takiego, jakiego po raz ostatni widziałam w Café des Deux Magots. A Pan proszę niech nie zapomni, że byłam kiedyś rudawą blondynką o wyzywającym uśmiechu.

W tym właśnie duchu ściskam Panu dłoń najserdeczniej.

St. Zahorska

Przesyłam najserdeczniejsze życzenia i wyrazy przyjaźni. Adam
[dopisek odręczny do maszynopisu]

12 Middleway N.W.11.

* Adam Pragier.

2.

1.III.1956.

Drogi Panie Józefie,

Bardzo dziękuję za miły list Pana, zawierający tak wiele przyjemnych dla mnie i o mnie słów, że aż przykro mi się zrobiło, że moja małość i „nieadekwatność” może być tak ujmowana. Zdaje mi się, że jestem zarozumiała (zwykle potem sówicie za to płacę), ale częściej góruje we mnie przekonanie, że nikt mnie nie zna tak dobrze jak ja sama i nikt nie wie ile luk i powierzchowności we mnie siedzi. Tym niemniej dziękuję za dobre słowa. Tym bardziej, że przyszły w czasie gdy jestem w złej formie i tracę chwilami nadzieję, czy jeszcze kiedykolwiek coś przyzwoitego napiszę. Fatalna tegoroczna zima dała mi się we znaki, teraz powoli robi się wiosna, ale we mnie jeszcze jest zima i brak mi energii i turgoru. Bardzo Panu też dziękuję za pamięć o moim Abrahamie (raczej *Ofierze*) i ciekawa jestem bardzo, czy projekt Pana się udał i czy rzecz rzeczywiście została nadana na kraj. Proszę bardzo o wiadomość. Właśnie czytam angielskie tłumaczenie Vincenza¹, mam wrażenie że z punktu widzenia angielszczyzny jest dobre, choć nie jestem miarodajna. Książka jest jeszcze i dlatego tak bardzo miła sercu, że jest to jakby idealistyczne „vade mecum”, poetycka i sławiąca poetyckość, anty marxistowska, ujmująca życie jako odpowiedź ludzkiego serca i wyobraźni na warunki dane przez przyrodę. Nie odrzucam marxizmu w całości — bo i po co? — ale bardzo się cieszę, jak widzę zdrowy i mocny pęd idealizmu i potwierdzenie wartości niematerialistycznych. Veritas zapowiedział nowe wydanie Pańskiego tłumaczenia *Odysei*² — bardzo tego czekam.

Jaka to jest rzecz Pankowskiego (tytuł?) — nie znam jej³.

I co to za tajemniczy projekt, o którym Pan wspomina? Pytam z ciekawości tylko, bo boje się, że jaki by nie był, to teraz nie sprostam mojemu w nim udziałowi.

Podobno ludzie w Londynie dobrze się bawili w tym karnawale. *Pan Tadeusz* z Modzelewską⁴ wypadł dobrze, lepiej niż można się było spodziewać i — o dziwo — ciągle jeszcze ludzie przychodzą na różne odczyty i wieczory autorskie. Ale z kraju wiadomości nadchodzą raczej niewesołe. Czy czytał Pan odwilżowy, ale bardzo piękny wiersz Ważyka⁵?

Czy pisze Pan II Część *Soli Ziemi*?

Raz jeszcze dziękuję za pamięć, ściskam dłoń bardzo serdecznie i Pani Halinie ślę najlepsze pozdrowienia

Stefania Zahorska

12 Middleway N.W.11.

¹ S. Vincenz, *On the High Uplands. Sagas, Songs, Tales and Legends of the Carpatians*, tłum. H.S. Stevens. London 1955. Zahorska zrecenzowała tę książkę w: *Puszka Pandory: Epitafium Huculszczyzny*, Wiadomości 1956 nr 16.

² *Odyseja* w przekładzie Józefa Wittlina wznowiona została przez Veritas w Londynie, w 1957 r.

³ M. Pankowski, *Smagła swoboda*. Paryż 1955.

⁴ Maria Modzelewska występowała gościnnie w Londynie, odtwarzając rolę Telimeny w *Panu Tadeuszu*. Premiera odbyła się 15 grudnia 1955 r.

⁵ A. Ważyk, *Poemat dla dorosłych*, Nowa Kultura, sierpień 1955.

SAMOTNOŚCI NIKT NIE WYBIERA...

ROZMOWA ANNY FRAJLICH Z CZESŁAWEM
MIŁOSZEM PRZEPROWADZONA 8 LISTOPADA
1980 ROKU W BERKELEY*.

Czesław MIŁOSZ (USA)

Anna Frajllich: Panie profesorze! Chciałabym zadać kilka pytań na temat Pana twórczości poetyckiej, aby poprzez rozmowę zbliżyć słuchaczy z Polski, którzy wciąż jeszcze mają utrudniony dostęp do Pana utworów, do Pana pisarstwa. Osobiście nie mam wątpliwości, że odpowiedź na większość tych pytań znajduje się w Pana wierszach, w Pana książkach, esejach.

Czesław Miłosz: Tak. Ale myślę, że warto byłoby powiedzieć kilka rzeczy natury praktycznej, o których ludzie w Polsce mają bardzo słabe wyobrażenie. Dla nich Zachód przedstawia się jako jednolity blok, gdzie nie ma żadnych właściwie problemów, jest jakaś zgodność opinii, współdziałań, zamiast widzieć ogromną różnorodność i tak samo wielość postaw, wielość poglądów. Od 30 lat jestem współpracownikiem Instytutu Literackiego w Paryżu, kierowanego przez Jerzego Giedroycia i współpracownikiem miesięcznika „Kultura”, wydawanego przez ten Instytut. Tam ukazały się prawie wszystkie moje książki i to jest coś, co oczywiście pozwala mi mówić z pewną kompetencją o działalności całej tego Instytutu, tego wydawnictwa. Nigdy natomiast nie pisałem, w ciągu tych 30 lat, do Wolnej Europy. Jestem obywatelem amerykańskim, płacę podatki, jest to instytucja utrzymywana z moich podatków, bardzo pożyteczna jako źródło informacji. Gdyby to ode mnie zależało, na pewno bym zwiększył jeszcze na to kredyty, ale uważałem, że istnieje pewna hierarchia, którą trzeba utrzymywać. To jest, nigdy nie miałem wielkiej ochoty być dziennikarzem. Zresztą widziałem wielu ludzi zniszczonych przez

* Rozmowę nagrano na zamówienie Radio Wolna Europa. Był to pierwszy wywiad jakiego udzielił Czesław Miłosz tej rozgłośni. RWE emitowało w początkach lat 50. audycje niepochlebne poecie komentując jego decyzję o pozostaniu na emigracji, co na długie lata zniechęciło Miłosza do współpracy z monachijską rozgłośnią.

Wywiad emitowany był czterokrotnie na antenie Radia Wolna Europa w listopadzie i grudniu 1980 r. Rozmowę spisała z taśmy Amalia Frajllich.

dziennikarstwo. Natomiast współpraca z Instytutem Literackim i z „Kulturą” miała dla mnie zupełnie inny charakter. Jeżeli w opinii w Polsce — wskutek wpływu gazet czy telewizji — bierze się łącznie takie zjawiska jak „Kultura”, Wolna Europa, to to trzeba przypisać specjalnym intencjom. Jednakże Giedroyc jest osobą całkowicie niezależną, a Instytut Literacki jest rodzajem „państwa” niezawisłego, niepodległego. To jest prawda, szczególnie, wielka zasługa tej małej grupy ludzi, która coś podobnego jak Instytut Literacki i „Kultura” stworzyła. Te praktyczne informacje, które tutaj podaję, myślę, że są najtrudniejsze w Polsce do zdobycia. W dalszym ciągu, oczywiście, Pani ma rację że w moich książkach, w moich książkach esejów, czy moich książkach wierszy można znaleźć mnóstwo danych dotyczących lat spędzonych przeze mnie zagranicą.

Chciałam powiedzieć, że pomimo, iż nigdy Pan nie współpracował z Wolną Europą, Wolna Europa „śledziła” przebieg Pana twórczości i informowała czytelnika krajowego o nowych książkach, także — powiedzmy tu w Ameryce — o zjazdach czy konferencjach, w których Pan brał udział, czy też o nagrodzie „Neustadt”¹ która dwa lata temu została Panu przyznana. To jest największa nagroda amerykańska, literacka.

Bardzo mi miło się dowiedzieć o tym, ale nie śledzę tych spraw i tutaj nie słucham tego radia, więc dowiaduję się tego od Pani².

Od chwili ogłoszenia literackiej nagrody Nobla, przyznanej Panu, wielu pisarzy w różnych wywiadach i artykułach wypowiadało się na temat znaczenia, czy wymowy tego faktu. Czy Pan osobiście widzi w tym jakąś symboliczną wymowę w związku z treścią Pana twórczości, jakąś zbieżność filozoficznego widzenia?

No tak. Oczywiście, każdy z polskich słuchaczy łączy nagrodę Nobla z dwoma wielkimi wydarzeniami. To znaczy, wyborem Papieża Jana Pawła II i wydarzeniami w Polsce, utworzeniem niezależnych Związków Zawodowych. W jakim stopniu ta nagroda Nobla uzyskuje wyraz symboliczny, przez zbieżność w czasie, trudno mi powiedzieć. Natomiast mówiono często, że intencja tej nagrody była polityczna. Mnie się to nie wydaje. Mnie się wydaje, że ta nagroda uzyskała wyraz symboliczny przez dziwną zbieżność w czasie, mimo, że jak wiem byłem kandydatem od paru lat. I tu raptem nastąpiło dziwne sprzężenie. O ile mi wiadomo, to poeci, członkowie Akademii Szwedzkiej byli moimi wielkimi zwolennikami. Oni właściwie głównie zrobili mi nagrodę Nobla. A to się chyba tłumaczy tym, że kraje skandynawskie należą jednak do strefy kulturalnej tej samej, co kraje anglosaskie. Czyli gdyby moje wiersze nie istniały w przekładzie na angielski, to one by nigdy nie dotarły — prawdopodobnie — do tych poetów szwedzkich.

Zadając to pytanie nie myślałam nawet o zbieżności z jakimiś wydarzeniami natury politycznej. Ja myślałam, że w związku z Pana głębokimi zainteresowaniami metafizycznymi i w związku z tym, że cały świat chyba przeżywa jakąś powtórna tęsknotę do tych spraw, których się w swoim czasie wyrzekł. Ja myślałam o takiej zbieżności.

Gdyby tak było, bardzo by mi to było przyjemne. Tylko, że nie wiem w jakim stopniu to istnieje w danym wypadku. Przypuszczam, że wiele moich utworów, o których można

¹ W 1978 roku Czesław Miłosz otrzymał nagrodę Neustadt International Prize for Literature przyznaną przez University of Oklahoma.

² Audycje Radia Wolna Europa nadawane były na częstotliwościach używanych przede wszystkim w Europie Środkowo-Wschodniej i niemal niedostępne dla słuchaczy w Europie Zachodniej i Ameryce.

powiedzieć, że poruszają te tematy nie jest tłumaczonych. Na przykład moja książka *Ziemia Ulro* w ogóle nie jest jeszcze tłumaczona, bo było trudno znaleźć tłumacza³.

W ciągu ostatnich kilku lat zajmuje się Pan tłumaczeniem tekstów biblijnych z greckiego i hebrajskiego. Wyszły już „Psalmy”⁴, czytelnicy w Polsce mieli możliwość czytać fragmenty „Biblii” w Pana przekładzie w „Znaku”, „Tygodniku Powszechnym”, w „Twórczości”⁵. W wywiadzie dla „Nowego Dziennika” powiedział Pan, że bezpośrednim bodźcem było zetknięcie się z „Psałterzem Puławskim”⁶. Czy chciałby Pan powiedzieć, jak to się stało?

Psałterz Puławski, oczywiście nie jest żadną tajemnicą, żadnym sekretem. Jak ktoś poszuka w bibliotece, może znaleźć. Tylko wydanie z 1916 roku, wydanie filologiczne, odtwarzające dokładnie ortografię czasu, kiedy rękopis powstał, gdzieś z XV wieku, więc jest to zupełny chaos ortograficzny. Żeby przeczytać ten *Psałterz*, przepisywałem go ręcznie zmieniając na nowoczesną ortografię i dopiero wtedy mogłem na stronicy ogarnąć tekst. Dopiero wtedy zobaczyłem, jaka to jest cudowna polszczyzna i oczywiście wydaje mi się, że jest bardzo źle, jeżeli tego rodzaju książki nie są dostępne polskiemu czytelnikowi. Gdyby to ode mnie zależało zaraz bym wydał *Psałterz Puławski* na nowo, stosując nowoczesną ortografię. Tak samo było z innym tekstem biblijnym. Zawsze czytałem u polonistów, że *Biblia Leopoldy*⁷, to jest pierwsza wydana *Biblia* drukiem w całości, biblia katolicka z 1561, że język jej jest taki archaiczny, że z tego powodu *Biblia* Wujka ją wyparła i stała się tym tekstem podstawowym, kanonicznym. Otóż *Biblia Leopoldy* jest rzadkością, „białym krukiem”. W Ameryce, w jednej z wielkich bibliotek przypadkiem natrafiłem na tę biblię i przeglądałem, czytałem. To wspaniała polszczyzna. Teraz z Krakowa dostałem wiadomość, że ktoś ma zamiar, nosi się z zamiarem wydania *Biblii Leopoldy*. No czas najwyższy. To jest monument polszczyzny⁸.

Jaki cel Panu przyświecał w pracy nad tłumaczeniem „Psałmów” i „Biblii”?

Myślę, że nie jeden, ale sporo celów. Jest po pierwsze duże zainteresowanie dzisiaj *Biblią* na całym świecie, tak samo w Polsce. Poza tym znajomość nasza rozmaitych problemów biblistyki bardzo wzrosła w ostatnich dziesięcioleciach. Nowe przekłady polskie nie są moim zdaniem dobre, często są dokładne, ale bardzo dalekie od wymagań, które powinniśmy stawiać językowi *Biblii*. Są pod wpływem żargonu dziennikarskiego, powszechnie już dzisiaj w Polsce przyjętego, pod wpływem gazet, telewizji, radia. Tak że szukałem

³ Pierwsze tłumaczenia *Ziemi Ulro* na język niemiecki, i niemal równocześnie na serbsko-chorwacki, ukazały się dopiero w 1982 roku.

⁴ *Księga Psalmów*, tłum. z hebrajskiego Cz. Miłosz. Paris: Éditions du Dialogue, 1979; II wyd. 1981, polskie wydanie ukazało się w 1982 roku nakładem Wydaw. KUL. W tłumaczeniu Czesława Miłosza ukazały się ponadto w wydawnictwie oo. pallotyńów: *Księga Hioba* (1980), *Księga pięciu megilot* (1982), *Apokalipsa i Ewangelia według Marka* (1986), *Księga Mądrości* (1989).

⁵ Tygodnik Powszechny 1980 nr 44; Znak 1977 nr 281/282; Twórczość 1978 nr 12. Ponadto: Więź 1980 nr 10.

⁶ Cz. Miłosz, *O przekładach tekstów biblijnych i godności słowa*, rozm. Ewa Czarnecka [właśc. R. Gorczyńska], Tydzień Polski (NY) [Niedzielny dodatek do „Nowego Dziennika”; od maja 1981 roku ukazujący się jako „Przegląd Polski”.] 1980 nr 685, przedr. Tygodnik Powszechny 1981 nr 19.

Psałterz Puławski. Z kodeksu pergaminowego księcia Władysława Czartoryskiego przedruk homograficzny wykonali Adam i Stanisław Pilińscy. Kórnik 1880.

⁷ *Biblia to iest. Xięgi Stharego y Nowego Zakonu, ná polski ięzyk, z pilnością według Łácińsk-iej Bibliy od Kościoła Krześčiáńskiego powssechnego przyjęthey, nowo wyłożona*. Kraków 1561 (od głównego twórcy przekładu, ks. Jana Leopoldy, zwana *Biblią Leopoldy*) Estr. III T. 2, s. 13.

⁸ Nie ukazało się.

nowego języka. Szukałem języka, który byłby możliwie polszczyzną dostojną i któryby odpowiadał nowym potrzebom, zważywszy na rolę polskiego dzisiaj w liturgii, z chwilą kiedy znikła łacina.

Czy „*Traktat poetycki*” napisany w 1956 roku jest i dziś wyznaniem Pana poetyckiej wiary?
Tak myślę⁹.

I w planie ocen naszej literatury i w planie postulatów dla literatury?
Tak. Na ogół od tego czasu mój stosunek do poetów, czy zjawisk, które są tam dyskutowane nie zmienił się. To jest zasadnicza moja pozycja.

„*Traktat poetycki*” to jest ten utwór najszerzej w Polsce znany, prawda?
Traktat poetycki? Nie mam pojęcia! Dlaczego Pani myśli, że to jest najszerzej znany?

Wydawało mi się, że był publikowany w Polsce?
Traktat poetycki? Nigdy nie był publikowany¹⁰. Nie. Myślę, że Pani go pomyliła z *Traktatem moralnym*, który był opublikowany w „*Twórczości*” w 1948 roku¹¹, tuż przed zamrożeniem doktrynalnym i nastaniem socjalistycznego realizmu. Ten *Traktat moralny* był wydrukowany na krótko przed tym i później w czasie stalinizmu krążył w różnych kołach, przepisywany ręcznie i był wtedy recytowany na różnych zebraniach. Bo są dwa traktaty.

Tak, ja wiem, tylko wydawało mi się, że w 1956 roku w momencie tej tak zwanej odwilży, „*Traktat poetycki*” był drukowany częściowo przynajmniej.
Nie, nie był drukowany¹², chociaż wtedy właśnie podpisałem kontrakt z Wydawnictwem Literackim w Krakowie na moją powieść *Dolina Issy* i tom wierszy zdaje się, ale spóźniiliśmy się. Upłynęło parę lat i wszystko się odwróciło. Bo ja określam siebie jako „wieszcz obrotowy”. Ja jestem „wieszcz obrotowy”, który się pojawia, a później raptem znika. Zależnie od fali politycznej w Polsce.

W tej chwili to już ta sytuacja się zmieni.
Tak, no naturalnie. Sytuacja teraz się zmieniła, miejmy nadzieję, że te zamiary wydania moich wierszy przez wydawców w Polsce udadzą się.

Adam Ważyk powiedział, że Pan reprezentuje nurt śródziemnomorski w poezji polskiej, co zresztą Pan również potwierdził... Chodzi tu o ten nurt od Kochanowskiego do Mickiewicza. Czy Pan się zgadza? I, jak Pan sądzi, w czym to się wyraża?
Bardzo mi jest trudno odpowiedzieć na to pytanie precyzyjnie, dlatego, że nie bardzo — przyznam się szczerze — rozumiem co znaczy: nurt śródziemnomorski, o którym bardzo dużo się mówi. To jest sprawa łączności Polski z kulturą zachodnią od chwili przyjęcia chrześcijaństwa zachodniego, łączność z Italią bardzo silna. Ale mnie się wydaje, że

⁹ Więcej na ten temat w: *Podróżny świata. Rozmowy z Czesławem Miłoszem. Komentarze.* [Rozm.] E. Czarnecka. New York 1983.

¹⁰ Pierwsze krajowe wydanie *Traktatu poetyckiego* (wraz z *Traktatem moralnym*) ukazało się w 1978 roku w drugoobiegowej Niezależnej Oficynie Wydawniczej (NOW-a). Do końca 1981 roku *Traktat* miał sześć wydań poza cenzurą. Oficjalnie ukazał się w Polsce dopiero w 1982 roku.

¹¹ *Twórczość* 1948 nr 4.

¹² Był drukowany. Fragmenty ukazały się w tygodniku „*Ziemia i Morze*” (Szczecin) 1957 nr 1.

wszystko co mamy w Europie cennego pochodzi z tego nurtu śródziemnomorskiego. Właściwie być częścią dziedzictwa europejskiego znaczy należeć do tego nurtu.

Jak to rozumieć, że poeta wybiera pewną tradycję poetycką? Na ile taki wybór jest świadomy? Czy też okazuje on się w trakcie realizacji? Pan kiedyś powiedział, że bardzo ważna jest w twórczości buntownicza wierność wobec tradycji.

Tak, oczywiście. Tradycja to jest mniej więcej to samo co środowisko rodzinne. Dziecko jest przywiązane do tradycji rodzinnej, ale równocześnie przychodzi moment, kiedy musi się zbuntować, musi okazać swoją samodzielność. I to jest gra zależności i szukanie samodzielności. Jest tak jak dziedzictwo pokoleń, prawda, nowe pokolenie musi szukać swojego wyrazu, równocześnie zachowując jakąś wierność tradycji domowej.

Czy każde pokolenie, powiedzmy, twórców, poetów, znajduje tę swoją drogę? Na czym polega to, że wartość, twórczość, jednego pokolenia — czy twórcy — jakoś odgrywa większą, głębszą rolę, inną mniejszą, chociaż z tej samej tradycji się wywodzą?

Weźmy na przykład Mickiewicza, który jest specjalnie — zawsze był dla mnie — bliski. Już jako młody człowiek mówiłem o Mickiewiczu, przeciwstawiając Mickiewicza awangardzie. Czyli Mickiewicz tutaj odgrywał rolę takiego no — konia trojańskiego, powiedzmy, bo pomagał sprzeciwiać się rozmaitym zbyt awangardowym pomysłom.

W „Traktacie Poetyckim”, w pewnym momencie mówi Pan: „awangardzystów było bardzo wielu” co czytelnikowi „Pana Tadeusza” od razu przywodzi na myśl: „było cymbalistów wielu”.

[Śmiejąc się] Możliwe. [Śmiech] Tak!

Jaka jest różnica funkcji poetyckiej pejzażu litewskiego i pejzażu kalifornijskiego?

No cóż, mieszkam w Kalifornii już 20 lat i trudno byłoby sobie wyobrazić żeby ciągłe oglądanie tych krajobrazów, które zresztą Pani widzi tu przez okno, nie przeniknęły do wierszy tutaj pisanych, a równocześnie krajobrazy Litwy są zawsze bardzo żywe, no i nastąpiła jakaś bardzo interesująca fuzja, połączenie tych dwóch części naszej planety.

Na ogół w poezji polskiej czy w poezji jakiegokolwiek innej, obcy krajobraz, obcy pejzaż, spełnia rolę albo pierwiastka egzotycznego, albo — np. w bardzo konwencjonalnej poezji emigracyjnej — negatywną rolę w porównaniu z krajobrazem rodzinnym. U Pana tak nie jest?

No wie Pani... i jest i nie jest. To znaczy, czasem ten krajobraz jest połączony z moim bólem jakimś, z moimi przeżyciami, które są bolesne. Czasem ten krajobraz jest połączony z przeżyciami ekstatycznymi, no tak jak każdy krajobraz. Nie jest to krajobraz całkowitej obcości, całkowicie obcy. Powiedziałbym, że jest to krajobraz dość bolesny. Jednak, raczej. Ale ponieważ Pani mnie pyta czy to jest jakieś takie planowe zanegowanie miejsca gdzie się jest, to to nie. Bo niewątpliwie nauczyłem się tutaj żyć, upłynął duży szmat życia tutaj i miałem w Ameryce ogromne sukcesy. Tak że nawet się nie spodziewałem, że potwierdzę jeszcze raz tę legendę, która istnieje w Europie Wschodniej o Ameryce, jako kraju wszystkich możliwości. Co prawda, jest to kraj bardzo trudny i byłbym jak najdalej od stwarzania wyobrażenia, że w Ameryce żyć jest łatwo, ale ja byłem wyjątkowo — ja osobiście — byłem wyjątkowo uprzywilejowany przez moją pracę na uniwersytecie¹³.

¹³ Jesienią 1960 roku Miłosz przyjechał do Kalifornii zaproszony przez Department of Slavic Language and Literatures University of California na wykłady z literatury polskiej. Początkowo pracował jako visiting lecturer, ale w 1961 r. został mianowany profesorem i osiadł w Berkeley na

Dlatego podkreślam tę relację pomiędzy krajobrazem Litwy i Kalifornii bo Pan w pewnym miejscu powiedział: „Kalifornii nie wybierałem”. Nie wybiera się także miejsca, w którym się człowiek rodzi, prawda? I tu może też jest jakieś podobieństwo funkcji.

Tak, oczywiście. To jest sprawa zaakceptowania miejsca, gdzie się jest, w każdym razie niewątpliwie Kalifornia dla mnie nie jest egzotyką. Jest to miejsce, które się zaakceptowało, ze względu na konieczności życiowe, to znaczy pracę na tym uniwersytecie, tu a nie gdzie indziej. Przyjechałem tutaj na rok, zostałem dwadzieścia lat. Tak to bywa.

Pytam tyle o pejzaż, bo jest on bardzo ważny, szczególnie pewne jego elementy jak: woda czy rzeka. Ja rozumiem, że bardzo często to jest głównie rzeka czasu, nawet jeziora są u pana Heraklitejskie. Ale także jednym z takich ważnych elementów jest światło. I, nie wiem czy słusznie zauważyłam, bardzo często — kiedy odnosi się to do Litwy — to jest „niskie światło”, a także „niskie okapy”, „niskie okna”. Czy ta niskość światła jest nacechowana jakimś specjalnym walorem?

Jeżeli się mieszka w Kalifornii to może jest się bardzo wrażliwym na inne rodzaje światła. Kiedy byłem w Kanadzie, zauważyłem w niektórych okolicach Kanady też światło bardzo północne, właśnie to niskie światło. No cóż, Litwa jest jednak krajem północnym. Tam już światło jest zupełnie inne, stąd właśnie to wrażenie, to o co Pani pyta. Bardzo mnie zafrapowało, właśnie ten inny gatunek światła w Kanadzie. Nawet nie tak bardzo, ale już sporo na północy.

W San Francisco zauważyłam, jeżeli jest nawet niskie światło, to ono jest pod Panem, niżej. Ja sobie zdaję sprawę, że to jest właśnie w związku z tym widokiem z okna.

Tak, oczywiście, tutaj ze względu na układ terenu, na góry, z których patrzy się na ocean. To wszystko jest inne. Światło bije tutaj prosto znad morza, jest ogromna przestrzeń.

W tomie „Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada”¹⁴, Pan włączył bardzo wiele informacji natury topograficznej, historycznej, nawet obyczajowej. Ponieważ włączył Pan to pomiędzy wierszami znaczy to, że przypisuje Pan temu jakieś bardzo ważne, prawie równoważne znaczenie. Czy mógłby Pan powiedzieć dlaczego?

Zacznę od tego, że kiedy tłumaczyłem na angielski ten poemat *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* to trzeba było wyrzucić cały jeden rozdział pod tytułem „Lauda” dlatego, że był zupełnie nieprzetłumaczalny¹⁵. Ponieważ czytelnik angielski, amerykański, musiałby mieć każdy prawie wers zaopatrzone gwiazdką i odnośnikiem, co to znaczy, do czego to się odnosi. Więc ta lokalność to są przypisy, które dają historię poszczególnych miejsc, małych wiosek, nawet przeszłość, sięgającą wiele stuleci. To dlatego, że myślę, że to jest środek przeciwko bezdomności. Ponieważ dzisiaj jesteśmy wszyscy zagrożeni bezdomnością. Niekoniecznie nawet ludzie, którzy są na wygnaniu, niekoniecznie ludzie którzy emigrowali z jednego kraju do drugiego. Nawet stosuje się to do ludzi w Polsce, którzy ze swojej rodzinnej wioski wyemigrowali do miasta. Jesteśmy zagrożeni bezdomnością w ogóle. Więc dokładne informacje o moim powieciu gdzie się urodziłem, to jest środek przeciwko bezdomności.

Ta ziemia rodzinna, ta ziemia otaczająca nas bezpośrednio, to jest jeden z tych elementów, które czynią nas poszczególnymi, pojedynczymi, indywidualnymi, prawda? Ale to jest

stałe. W 1978 roku przeszedł na emeryturę.

¹⁴ Pierwsze wydanie: Paryż: Instytut Literacki, 1974.

¹⁵ Cz. Miłosz, *Bells in winter*. New York 1978.

również to, co skazuje nas na tożsamość i liryczny bohater Pana utworów przeżywa bardzo głęboki ból — z jednej strony — z powodu swojej tożsamości, tożsamości z losem, to jest liryczny bohater wierszy. Ale powiedzmy Baltazar w „Dolinie Issy” prawda? Z drugiej strony — przeżywa tę szaloną sprzeczność, której nie może też pogodzić pomiędzy ogólnym i poszczególnym. Z jednej strony ogólność nas ratuje przed wyginieciem gatunku, a z drugiej strony ginie w ogólności.

Tak, to jest prawda. Bardzo dobrze Pani to zaobserwowała. Naturalnie. Jest jedno cierpienie, to jest z powodu identyczności, że jest się sobą, że chciałoby się być kimś innym. Nawet napisałem w jednym wierszu, że niestety, kiedy byłem młody myślałem, że będę Archaniołem na Świętojerskim Prospeckie, ale się nie udało [śmiech], więc istnieje ten los indywidualny, to sprawa tożsamości. Ale przynajmniej to odczuwamy, że to jest nasze własne. Że to jest poszczególne, prawda? Ale jest druga para sprzeczności: to jest poszczególne i ogólne. Jesteśmy zagrożeni dzisiaj szczególnie wielkim „znijaczeniem” bo jesteśmy cyfrą wśród milionów, milionów, milionów ludzi na tej planecie. I nie wiem, w jakim stopniu to jest dzisiaj odczuwane w innych krajach, ale w Ameryce na pewno bardzo silnie, w tej cywilizacji wysoce technicznej i cywilizacji o niesłychanie gładkich i powierzchownych stosunkach między ludźmi. Właściwie w sytuacji wielkiej samotności, to uczucie, że jest się cyfrą wymienną jest silne. Myślę, że to jest wszędzie chyba.

A jaki jest ratunek?

No wie Pani, ratunek! Tutaj sięgamy do pisarzy, którzy specjalnie się tym zajmowali. Zajmowali się zakorzeniem, zajmowali się wartością „małej ojczyzny”. Przyjaciel mój, nieżyjący Stanisław Vincenz, który pochodził z Huculszczyzny i którego zresztą dzieła zaczęły się już ukazywać w Polsce teraz, marzył o Europie ojczyzn. Dla niego ojczyzna to nie były państwa, to były małe regiony — takie jak jego Huculszczyzna — z którymi ludzie są związani¹⁶. Inną osobą, która o tym dużo myślała i pisała, była moja ulubiona autorka Simone Weil, którą tłumaczyłem i wydałem jej antologię pism po polsku w 1958 roku, właśnie w Instytucie Literackim w Paryżu¹⁷.

Wracając jeszcze do sprawy ogólności i szczególności, czy mógłby Pan powiedzieć, czy istnieje pewna relacja pomiędzy tą sprzecznością u Pana, a podobnymi problemami w pisarstwie Witolda Gombrowicza?

Mnie się wydaje, że są bardzo duże zbieżności, inaczej traktowane, może trochę wychodzące z innych założeń, ale dość podobne w odczuciach. Jeżeli weźmiemy całą rewoltę Gombrowicza przeciwko szkole, myślę że — zresztą nie ja jeden — mogę siebie odnaleźć w tych rewoltach Gombrowicza przeciwko szkole.

Tak, ten sen, że człowiek musi jeszcze raz zdać maturę — chyba nawiedza wszystkich. To też oczywiście, oczywiście.

Większa część Pana twórczości — co Pan niejednokrotnie podkreśla sam — powstała w izolacji. Z dala od środowisk literackich i z dala od wielomilionowego czytelnika. Bo, prawda, czytelnicy zawsze byli, ale ten tłum czytelników... Takie warunki pracy stwarzają z pewnością jakieś specjalne napięcia. Czy wpływają na twórczość w jakiś szczególny sposób?

Wie Pani, samotności nikt nie wybiera. Samotność to jest coś co się odczuwa jako klęskę, jako klątwę, jako nieszczęście. Ale kiedy się to zaakceptuje, dopiero z perspektywy wi-

¹⁶ S. Vincenz, *Na Wysokiej Połoninie*. T. 1–3. Warszawa 1980.

¹⁷ S. Weil, *Wybór pism*. Paryż 1958.

dać, jak to jest potrzebne i jakie zbawienne. Myślę, że gdybym nie miał tej samotności to prawdopodobnie o wiele bym mniej mógł zrobić.

Na czym polega ten wysiłek, aby twórczość nie była tylko jakimś odnotowaniem nostalgii?

Mówi się — bardzo często pisano o tym — że literatura emigracyjna jest literaturą wspominkarstwa. Wie Pani, to zależy jaka jest jakość tego wspominkarstwa. Jaka jest intelektualna — powiedziałbym — oprawa tego, czy też podstawa. Ostatecznie dzieło Prousta nie jest niczym innym niż wspominkarstwem. Przez długi czas obawiałem się wracania w przeszłość dlatego, że obawiałem się pewnych nieporozumień, czy też — ze swojej strony może — była sprawa dojrzewania intelektualnego, żeby ten materiał odpowiednio ująć, odpowiednio traktować. Także, ponieważ zawsze w ciągu tych 30 lat starałem się uciekać w przód, dążyć do czegoś nowego. Ale później, powiedzmy, jakieś — myślę że — dziesięć lat temu, poczułem się dostatecznie pewny siebie, żeby wydobywać cały ten materiał przeszłości. Wspominałem o przeszłości, o wielu stuleciach mojego powiatu na Litwie, Kiejsdańskiego, sprawy i ludzie zaczęły się, to wszystko zaczęło się układać w jakąś taką wielką mozaikę. Znaczenie — musi Pani przyznać — znaczenie tego rodzaju wspomnień, jest, może być inne niż tylko sentymentalna nostalgia.

Pan to udowodnił. Pan kiedyś wspominał, że przebywanie na peryferiach językowych — tak to Pan nazwał — sprzyjało bardzo członkom grupy „Żagary”¹⁸. Czy może emigracja też ma — nawet dla samego języka — jakieś pozytywne wartości? Czy może mieć?

Oczywiście. Ja zresztą pisałem o tym, że pochodząc z tamtego obszaru mieszanego językowo, mieliśmy trochę inny stosunek do języka polskiego. Ten język, którym mówiłem od dzieciństwa, to była bardzo dobra polszczyzna, zachowana tam może lepiej niż na obszarach etnicznie polskich. Ale być może, że to samo się powtarza, kiedy mówi się po angielsku, tzn. w domu mówi się po polsku, na zewnątrz po angielsku. Może to jest trochę tak jak mieszanina łaciny i polskiego u poetów renesansu, którzy ostatecznie byli kilkujęzyczni. Mogli pisać wiersze i po łacinie i po polsku, jak Kochanowski.

Zauważyłam kiedyś u Mickiewicza słowo „inwitacja” w „Dziadach”. Gdyby to powiedział człowiek mieszkający w Ameryce, powiedziano by na pewno, że to już jest wpływ języka angielskiego na język polski.

Notabene: czuję, staram się mówić, pisać, polskim językiem czystszy niż to robią ludzie w Polsce. Do głowy by mi nie przyszło mówić o „songach” czy „trendach” tak jak oni robią. Przecież ilość słów wprowadzonych z języka angielskiego do dzisiejszej polszczyzny mnie doprowadza do rozpacz.

Jeśli jesteśmy przy współczesnym piśmiennictwie ja, znów wróć do tego, o czym Pan wspominał niedawno, że współczesna poezja przypomina „dziennik obolałego naskórka”. Z drugiej strony — jak Pan radził kiedyś — że pisarze i poeci powinni się zająć medytacją antropologiczną. Czy to jest jakiś trwały lek? Czy nie ma niebezpieczeństwa, że i w tym wypadku poezja nie wyrodzi się w antropologię tak, jak wyrodziła się w publicystykę, czy w propagandę?

¹⁸ Żagary, grupa poetycka działająca w Wilnie w latach 1931–1934, Członkowie to m.in.: T. Bujnicki, Cz. Miłosz, J. Zagórski. Grupa wydawała pisma „Żagary” i „Piony”. Zob.: J. Trznadel, *Poeci grupy Żagary*, [w:] *Literatura polska 1918–1975, T. 2: 1933–1944*. Warszawa 1993 s. 437–454, 969–970 (literatura).

Leki są zawsze, muszą być, zawsze odpowiednie do choroby. Jeżeli kiedyś mówiłem o studiowaniu antropologii to dlatego, że to była dziedzina w Polsce bardzo mało znana. Dopiero w ostatnich właściwie dekadach zaczęło się tłumaczenie książek antropologicznych na polski. Rozszerzenie wiedzy o człowieku, które niewątpliwie łączy się z poezją XX wieku na pewno. Wie Pani, to jest sprawa, ja mam osobiście stosunek dość sceptyczny do antropologów dzisiejszych. Zresztą czytam trochę w tej dziedzinie. Ostatnią książką, którą czytałem, była książka francuskiego — jakby go nazwać, nawet nie wiem jaki termin zastosować — uczonego, Rene Girarda, polemika z antropologią Lévi-Straussa i z Freudem zresztą też¹⁹. To wszystko są rzeczy, które dobrze jest wiedzieć, tylko najlepiej — kiedy się pisze wiersze — o nich zapamiętać.

Jeszcze na zakończenie jedno pytanie: mówi się o tym i pisze się w prasie, że teraz Pana utwory będą wydane w Polsce. Czy już wiadomo coś pewnego?

Dotychczas jedna jest rzecz pewna, że mój tom *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* z dodatkami niektórych innych wierszy, ukaże się wkrótce, pewnie w tych dniach w „Znaku” w Krakowie²⁰. Napisałem do tego krótką nawet przedmowę i przesłałem do „Znaku” Inne? Być może, że Państwowy Instytut Wydawniczy wyda moje wiersze²¹. Nie stoję na takim stanowisku jak stał Gombrowicz, który zresztą miał rację kiedy — w swoim testamencie — uzależniał wydanie swoich książek od wydania *Dziennika*. *Dziennik* jego jest niesłychanie ważną pozycją, oświetlającą całą jego twórczość. Ja zgodzę się na to, żeby na przykład wydali moje wiersze, oczywiście zawsze z podaniem źródła — to znaczy z podaniem, gdzie te książki najpierw były wydane — skąd to jest wzięte. Godzę się na wydanie moich wierszy, uważam, że wiersze same się tłumaczą. Nie myślę żeby tego rodzaju moje książki jak *Zniewolony umysł* mogły się w Polsce ukazać. Ale ponieważ jestem, właśnie ponieważ jestem poetą, te eseistyczne prace mogą poczękać²².

Słyszałam że „Człowiek wśród skorpionów” wyjdzie?

No tak, to jest na fali zainteresowań Brzozowskim, jak wydadzą — proszę bardzo²³.

Czy myśli Pan, że „Psalmy” czy „Biblię” będą mogli polscy czytelnicy czytać w Pana przekładzie?

Mam nadzieję, *Księgę Psalmów* — mam nadzieję, że tak. Poza tym wychodzi w najbliższym czasie *Księga Hioba* w moim przekładzie w wydawnictwie oo. pallotynów w Paryżu²⁴.

¹⁹ Prawdop. R. Girard, *To double business bound. Essays on literature, mimesis, and anthropology*. Baltimore 1978.

²⁰ Cz. Miłosz, *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada i inne wiersze*. Kraków 1980.

²¹ Wydanie PIW-owskie nie ukazało się. Wyszły: Cz. Miłosz, *Poezje*. Warszawa: Czytelnik, 1981; Cz. Miłosz, *Poezje wybrane*. Warszawa: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1981; w 1981 roku ukazała się też *Dolina Issy* (Kraków). Ponadto, naturalnie, kilkadziesiąt wydań wszystkich niemal książek Miłosza w wydawnictwach niezależnych i podziemnych. Por. M. A. Supruniuk, „Kultura”. *Materiały źródłowe do dziejów Instytutu Literackiego w Paryżu, T. 2: Bibliografia przedruków wydawnictw Instytutu Literackiego w Paryżu w niezależnych oficynach wydawniczych w Polsce w latach 1977–1990*. Warszawa 1995.

²² Pisarz zupełnym milczeniem pomija wszystkie wydania podziemne. *Zniewolony umysł* miał do roku 1981 kilkanaście wydań w drugim obiegu w łącznym nakładzie kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy. Pierwsze oficjalne wydanie ukazało się w kraju w 1989 roku.

²³ Wyszło dopiero w 1982 roku nakładem PIW-u.

²⁴ Zob. przypis 4.

ŻYCIE, PRACA, ZADANIA TWÓRCY NA EMIGRACJI

ROZMOWA BEATY TARNOWSKIEJ Z BOLESŁAWEM
TABORSKIM PRZEPROWADZONA W LISTOPADZIE
1999 ROKU, W WARSZAWIE.

Bolesław TABORSKI (W. Brytania)

Beata Tarnowska: Niedawno wydał Pan w PIW-ie „Poezje Wybrane” — pokażny tom wierszy, będący skrótem i jakby podsumowaniem Pańskiej poetyckiej drogi. Jakże zastosował Pan kryteria wyboru utworów poetyckich do tego tomu?

Bolesław Taborski: Najtrudniej było mi oczywiście wybrać wiersze z moich wczesnych tomików, ponieważ wydawały mi się słabsze. W końcu musiałem zamieścić w tym wyborze utwory stosunkowo najlepsze, takie, które dzisiaj dobrze by mnie reprezentowały, jak również te mające w przeszłości — pomimo nadmiernej retoryki — pewien rezonans czytelniczy. Jeśli wybór miał być reprezentatywny, nie mogłem pominąć na przykład poświęconej Poetom Polski Podziemnej *Uwertury tragicznej* czy wiersza *Miarka za miarkę*, opartego na kanwie sztuki Szekspira. Słuchacze w latach 70. bardzo żywo na niego reagowali, bo uważali, że przedstawia on obraz ich własnej sytuacji.

W przedmowie do tego tomu wyszczególnia Pan określone fazy w swojej poezji.

Tak, moja poezja miała szereg faz. Do pierwszej fazy zaliczam debiutancki tomik *Czasy mijania*, a także *Ziarna nocy*, będący moim debiutem krajowym. Później nastąpiła faza eksperymentów formalnych i językowych, których rezultaty zebrane zostały w tomiku *Przestępując granicę*. Krytycy nie zrozumieli moich poszukiwań; uważali, że poeta mieszkający za granicą cieszy się rzekomo nowo odkrytą polszczyzną, cieszy się, że potrafi swobodnie posługiwać się językiem polskim... Ciekawe, że dopiero jakiś czas potem niektórzy polscy poeci, tacy jak na przykład Grochowiak, zaczęli stosować podobne chwytów formalne. Nie twierdzę oczywiście, że stało się tak pod wpływem mojej poezji, oni z pewnością doszli do tego sami, tyle, że trochę później.

Właśnie. W 1957 roku, na łamach paryskiej „Kultury”, Jan Brzękowski opublikował artykuł, w którym ukazał analogie pomiędzy sposobem kreowania świata poetyckiego przez młodych poetów londyńskich i tzw. poetów krajowych¹. Czy zdaniem Pana wszelkie zbieżności były przypadkowe?

Wydaje mi się, że nie były zupełnie przypadkowe. Bo przecież byliśmy mniej więcej rówieśnikami, mieliśmy podobne doświadczenia (niektórzy z nas przeżyli wojnę w Polsce), a poza tym czytaliśmy tych samych poetów: najpierw Gałczyńskiego, Tuwima, później Różewicza, Przybosia... Nie mogę oczywiście powiedzieć, żeby poeci krajowi byli inspirowani naszą twórczością, bo właściwie jej nie znali. Posyłaliśmy wprawdzie nasze wiersze Herbertowi, ale nie sądzę, aby w jakikolwiek sposób wpłynęły na jego twórczość... Byłbym także ostrożny z mówieniem, że młoda poezja krajowa wpłynęła na kształtowanie naszej wizji poetyckiej. Wydaje mi się, że większą siłą oddziaływania posiadali jednak poeci nieco starszego pokolenia, przede wszystkim Różewicz i Przyboś.

Wróćmy do Pańskiej poezji.

Następny etap obejmuje wydane w latach 60. tomiki *Lekcja trwająca* i *Głos milczenia*, najlepiej chyba zresztą przyjęte przez krytykę. Tym, co mi wówczas towarzyszyło, było pragnienie osiągnięcia doskonałości formalnej. Kolejna cezura to *Wybór wierszy*, który wydałem w WL-u w 1973 roku, oraz *Sieć słów*, tomik — pod wpływem tego, co działo się w Polsce i w świecie — nie tyle retoryczny, co wręcz „wykrzyczany”. Uważałem, że są czasy, kiedy mówi się szeptem, i są czasy, kiedy się krzyczy. Później nastąpiło uspokojenie i wówczas osiągnąłem, powiedziałbym, dojrzałość. To był koniec lat 70. i początek 80.: *Obserwator cieni*, *Cudza teraźniejszość*, *Cisza traw*. Co nastąpiło potem? Potem, już po dojściu do pewnego wieku, zacząłem myśleć o sprawach ostatecznych. Tomik *Dobranoc bezsensie*, w którym znalazło się 71 utworów dotyczących spraw ostatecznych, zawiera także „*Sonety pośmiertne*”, zaopatrzone w odnośnik: „po śmierci autora cudzysłów skreślić”. Uważałem, że skończyłem już z poezją i nawet twórczość pośmiertną mam z głowy. Ale wówczas w WL-u załamała się wówczas sieć dystrybucyjna i tomik ten wpadł w czarną dziurę, nigdzie nie doszedł, nie miał ani jednej recenzji. Jedyną „mini-recenzją”, jaką otrzymałem, był odręczny list od papieża, który napisał, że tomik ten „pomoże [Mu] w odnowieniu przymierza z poezją”. Pośród wierszy bardzo czarnych, egzystencjalnych, znajdował się w tym tomiku wiersz o treści religijnej, pisany w Wielki Piątek — *Pasja*. Po krótkiej analizie mojej poetyki, którą Ojciec Święty uznał za oryginalną i własną, na końcu swojego listu napisał: „a na końcu jak dyskretna kłamra jest wiersz *Pasja*”, po czym własnoręcznie przepisał prawie cały utwór (śmiem twierdzić, że chyba niewielu poetów współczesnych może pochwalić się tym, że papież własną ręką przepisał ich wiersz). Myślałem, że *Dobranoc bezsensie* będzie moim ostatnim tomikiem, ale tyle działo się w Polsce... Zacząłem pisać fraszki i publikować je w odnowionych „Szpilkach”, pismo to jednak zbankrutowało. Wróciłem do poezji i w 1998 roku wydałem tomik *Przetrwanie*, który stanowi jak gdyby dokończenie fazy rozpoczętej w poprzednim tomiku. W czasie kiedy przygotowywałem do druku *Poezje wybrane*, napisałem 11 wierszy (notabene już od szeregu lat wiersze pisze mi się głównie na festiwalu w Edynburgu), z których kilka zamieściłem na końcu tego zbioru. I dopiero jak je skończyłem, przepisałem, ze zdumieniem stwierdziłem, że wszedłem w nową fazę, już po *Przetrwaniu*. Te nowe wiersze są na ogół dość długie, powiedziałbym, fabularne, opisujące jakąś historię, i zarazem usytuowane bliżej powierzchni świadomości. Jak już wspominałem, pojawienie się nowej fazy w mojej poezji było dla mnie samego dużym zaskoczeniem, ale we wstępie do *Poezji wybranych* nie napisałem, że „dołączam kilka

¹ J. Brzękowski, *Poezja prosta*, Kultura (Paryż) 1957 nr 7–8 s. 182–194.

wierszy, które zapowiadają, moim zdaniem, nową fazę...”. Jak widać, wciąż jednak jestem czynnym poetą, i chciałbym wierzyć, że jeszcze „rozwijam się”, a nie „zwijam”.

Na początku naszej rozmowy wspomniał Pan poetów Polski Podziemnej. Jako siedemnaścieletni chłopiec walczył Pan w Powstaniu Warszawskim — czy znał Pan Krzysztofa Kamila Baczyńskiego?

Kiedy w latach 70. i 80. miewałem spotkania autorskie, zwłaszcza z młodzieżą, na których czytałem *Uwerturę tragiczną*, a nawet wiersze późniejsze, lecz również dotyczące problemu powstania warszawskiego, nie było wypadku, żeby nie podchodzili do mnie młodzi ludzie, i nie zadawali mi tego właśnie pytania. Miałem wówczas ogromną chęć odpowiedzieć: „tak, znałem” i wiem, że nie popełniłbym kłamstwa. Musiałem jednak formułować odpowiedź nie wedle ducha pytania, a według litery i odpowiadać: „nie, nie znałem”. Nie znałem dlatego, że byłem młodszy, i chociaż należałem do pewnego kręgu ludzi zainteresowanych literaturą, piszących wiersze, byłem dopiero w liceum. Natomiast Baczyński — student po maturze — obracał się w najwyższych kręgach literackich, przyjaźnił się z Miłoszem, Iwaszkiewiczem, Andrzejewskim... Pamiętam pewien ciekawy epizod: 29 listopada 1943 roku, w rocznicę wybuchu powstania listopadowego, grałem Chłopickiego w „Warszawiance”, w szkole na rogu Jasnej i Świętokrzyskiej. W tej samej sali, w styczniu 1944 roku, Baczyński miał swój wieczór autorski, ale o tym dowiedziałem się dopiero po latach.

Od czasu Powstania poznałem prawie wszystkich ludzi z kręgu Baczyńskiego, poczynając od jego siostry ciotecznej, Anieli Piorunowej, z którą byłem w stałym kontakcie. Trochę później poznałem wszystkich literatów, m.in. Jerzego Zawieyskiego czy socjologa Marcina Czerwińskiego, z którymi był on zaprzyjaźniony. Mało tego, moim najbliższym przyjacielem od czasu wyzwolenia z niewoli był Zbyszek Czajkowski-Dębczyński² — dowódca drużyny w plutonie batalionu „Parasol”, w którym dowodzącego „Morsa” zastępował Baczyński. Czajkowski, walcząc w Powstaniu, nie bardzo wiedział, że jego bezpośrednim przełożonym jest poeta. Dopiero w 1946 roku, kiedy znaleźliśmy się obaj w polskim obozie w Anglii, gdzie dochodził „Tygodnik Powszechny”, Czajkowski przeczytał parę wierszy Baczyńskiego i zorientował się, że to jego dowódca. W tymże „Tygodniku” napisano także, że okoliczności śmierci poety nie są znane³. Wówczas ja wy mogłem na Zbyszku, aby napisał do redakcji, że był świadkiem śmierci i pogrzebu Baczyńskiego⁴. Mam wrażenie, że dopiero po wojnie zacząłem przeżywać na nowo Powstanie, najpierw w opowiadaniach Zbyszka o tym, co przeżył na Starówce (w tej właśnie dzielnicy, gdzie działy się najgorsze rzeczy, nie byłem; walczyłem w pułku „Baszta” na Mokotowie), i w pewnym sensie zatrzymałem się w czasie. Stałem się w swojej poezji tamtego okresu pogrobowcem powstańczych poetów, oczywiście na inną skalę, jakąś karłowatą... A zatem, tak żyłem poezją i przeżyciami z Powstania, że — jakbym go znał.

Zdaniem Miłosza, w stosunku młodych poetów warszawskich do kwestii walki w Powstaniu, a przede wszystkim w ich złudzeniach mocarstwowych, tkwiło „ziarno obłędu”⁵.

On tego nie mógł mówić w odniesieniu do Baczyńskiego, a jedynie poetów „Sztuki

² Zmarł 20.10.1999 r. w Londynie.

³ J. Zagórski, *Śmierć Słowackiego*, Tygodnik Powszechny 1947 nr 14.

⁴ Z. Czajkowski-Dębczyński, *Śmierć Krzysztofa Baczyńskiego*, Tygodnik Powszechny 1948 nr 28.

⁵ *Czesława Miłosza autoportret przekorny. Rozmowy przeprowadził Aleksander Fiut*. Kraków 1988 s. 61–64.

i Narodu”⁶. Baczyński był lewicowcem, a zarazem człowiekiem religijnym, co jedno drugiemu nie przeszkadzało. Kiedy po Październiku Powstanie zostało „odblokowane”, wtedy marksiści, nie mający zbyt wiele pożytku z poetów „Sztuki i Narodu”, usiłowali „zawłaszczyć” właśnie Baczyńskiego. Nie, nie widzę u niego nacjonalizmu, szowinizmu... W swoich fascynacjach literackich bazował natomiast na Słowackim, a potem przeszedł do Norwida. Mickiewicza jakoś mało się u niego widziało... *Nota bene* w moim przypadku było podobnie. Nie mogę powiedzieć, żeby Mickiewicz — w sensie porażającej mnie osobowości — był moim poetą. Chociaż niektóre z jego dzieł, jak *Pan Tadeusz* czy III część *Dziadów*, bardzo do mnie przemawiały, i uważam go oczywiście za wielkiego poetę.

Pomówmy na temat języka i dwujęzyczności. W 1959 roku w Londynie odbyła się, publikowana później na łamach „Kontynentów”, a dotycząca właśnie tego tematu, dyskusja⁷. Dlaczego nie wziął Pan w niej udziału?

W tej dyskusji o języku nie brałem udziału, gdyż w zasadzie mnie nie interesowała. Zawsze tak doskonale czułem się w języku polskim, że te problemy, które dręczyły młodszych członków grupy, a później wszystkich Polaków urodzonych w Anglii i pragnących utrzymać kontakt z polską kulturą — mnie nie dotyczyły. Nawet to czterdziestoletnie oderwanie... Ale, czy ja naprawdę na czterdziście lat (tj. od momentu wywiezienia mnie z Polski po powstaniu warszawskim, do chwili mojego pierwszego przyjazdu do Warszawy w 1958 roku) oderwałem się od języka polskiego? Nie, nie mogę tego powiedzieć. Najpierw przebywałem w obozach. W obozie jeńców w Sandbostel koło Bremy byli Polacy — tak samo świeżo wykorzenienni jak ja, i to, że kilka słów czasami zamieniłem z wachmanem po niemiecku, jeszcze nic nie znaczyło. W obozach byłych jeńców w Niemczech było to samo. W 1946 roku, wraz ze Zbyszkim Czajkowskim, uczyłem się w liceum polskim w Lubece. Od końca 1946 roku przebywałem w polskim obozie w Anglii, i dopiero w październiku następnego roku poszedłem na studia anglistyczno-teatrolologiczne na uniwersytecie w Bristolu. Tam, rzeczywiście, trzeba już było mówić po angielsku... Ale w Bristolu studiowało też trochę Polaków: dziewczyny przeważnie stomatologię, chłopcy — inżynierię. Założyłem więc Koło Studentów Polskich, a z racji tego, że nikt poza mną nie był humanistą, musiałem prowadzić je, przygotowywać prelekcje, itd. W tamtym okresie czytałem również sporo polskiej literatury, którą poprzez dział wysyłkowy sprowadzałem z Biblioteki Polskiej w Londynie. Byli to ci sami autorzy, których dzieła poznawałem w czasie okupacji w Warszawie: Słowacki, Norwid, Wyspiański... Pamiętam, że tuż przed Powstaniem kupiłem pierwsze obszerne (podobno pirackie) wydanie dzieł Norwida w opracowaniu prof. Piniego. Wszyscy błogosławili profesora za to piractwo! (śmiech).

Później, kiedy wydawaliśmy w Londynie polskie pismo, miałem jeszcze większy kontakt z językiem polskim, niż w Bristolu. Kiedy jednak wiosną 1958 roku po raz pierwszy po wojnie przyjechałem do Polski, byłem postrzegany jako coś w rodzaju raroga. Usiłowano nawet dosłuchiwać się angielskiego akcentu w mojej polszczyźnie. Tego rodzaju problemy szybko jednak skończyły się — chociaż niekoniecznie u recenzentów, którzy jeszcze przez jakiś czas pisali, że bawię się językiem, gdyż pisanie po polsku jest dla mnie czymś niezwykłym. Cóż, w dawniejszych czasach wielu Polaków kończyło

⁶ „Sztuka i Naród” („SIN”) — konspiracyjny miesięcznik literacki, wydawany i redagowany od IV 1942 do VII 1944 w Warszawie przez grupę młodych pisarzy związanych z „Konfederacją Narodu” — organizacją o zabarwieniu narodowo-radykalnym.

⁷ *Cena wolności? Dyskusja o języku* (B. Czajkowski, A. Czerniawski, J. Darowski, Z. Ławrynowicz, F. Śmieja), *Kontynenty* — Nowy Merkuriusz 1960 nr 1 s. 2–12.

studia na uniwersytetach w Dorpacie, Getyndze, Heidelbergu... Jeżeli po kilku latach spędzonych za granicą wracali do Polski, to badano ich pod lupą, czy nie ztratili języka polskiego? Jak można było ztracić język polski, skoro znało się go od urodzenia i było się tak czytającym w literaturze?

Śmiem twierdzić, że — jeśli chodzi o podatność na wpływy angielskie — w grupie „Kontynentów” byłem niemal wyjątkiem. To samo można jeszcze powiedzieć o starszym od nas, byłem oficerze lotnictwa, Gustawie Radwańskim, o Zygmuncie Ławrynowiczu, i chyba o Darowskim. Ale ci wszyscy młodszy, tacy jak Busza, Czerniawski...⁸ Oni zresztą bardzo dużo wnosili do kultury kraju osiedlenia, bo polski znali dobrze, więc już wcześniej mogli rozpocząć tłumaczenia na język angielski. Ja taką próbę podjąłem dopiero w latach 60., tłumacząc *Szekspira współczesnego* Kotta⁹, i miałem też, jako tłumacz, pewne ograniczenia. Nigdy nie kusiło mnie, żeby stać się pisarzem angielskim.

Takim jak Pietrkiewicz?

Jerzy Pietrkiewicz, znacznie starszy od nas, w Anglii przebywał już od 1939 czy 1940 roku. Był jednym z tych stosunkowo mniej licznych, którym raczej dawano studiować niż brano ich do wojska. Skończył studia, został profesorem literatury polskiej na Uniwersytecie Londyńskim. I postanowił, że zostanie angielskim prozaikiem. Zaczął pisać angielskie powieści, miał pozytywne recenzje. Ale czy można dzisiaj powiedzieć, że Pietrkiewicz jest znany jako angielski powieściopisarz? Dziś niektóre z jego powieści, tłumaczone na język polski, wracają do kraju... A była to dobra angielszczyzna, ciekawie pisał, i przez krótki czas wydawało się, że się przebił. Ale chyba zostanie raczej w literaturze polskiej.

Adam Czerniawski twierdzi, że w latach istnienia grupy jako jedyny utrzymywał kontakty z angielskimi pisarzami.

W pewnym sensie ma rację. Istotnie, kiedy istniała grupa, tak było. Otóż my oczywiście znaleźmy dobrze język angielski, ale w okresie istnienia grupy kontakty z pisarzami angielskimi raczej nie były utrzymywane. Tym, który może najbardziej z nas tkwił w kulturze angielskiej, był właśnie Adam Czerniawski. Natomiast moje związki z młodymi pisarzami angielskimi — będące w dużej mierze pochodną tych kontaktów, jakie miałem z młodymi twórcami teatralnymi — zaczęły się w połowie lat 60., kiedy grupa właściwie już nie istniała. Wtedy poznałem pisarzy, których twórczość tłumaczyłem: Grahama Greene’a oraz Roberta Gravesa¹⁰. Graves, którego odwiedziłem na Majorce w 1969 roku, i z którym w 1974 roku występowałem w Polsce na Jesieni Poezji (on czytał swoje wiersze w oryginale, ja — przekłady), poznał mnie z paroma innymi angielskimi pisarzami, młodszymi od siebie. Okres mojego największego zbliżenia z młodym pokoleniem twórców w Anglii (w przeciwieństwie do dużo wcześniejszej, bo trwającej od czasów studiów fascynacji literaturą angielską) nastąpił zatem w drugiej połowie lat 60. i w latach 70.,

⁸ Gustaw Radwański (1919–1962), prozaik, krytyk literacki, psycholog.

Zygmunt Ławrynowicz (1925–1987), poeta, eseista, tłumacz; od 1952 roku mieszkał w Londynie.

Jan Darowski (ur. 1926), poeta, krytyk literacki; mieszka w Londynie.

Andrzej Busza (ur. 1938), poeta, krytyk literacki, tłumacz, conradysta, profesor literatury angielskiej na uniwersytecie British Columbia w Vancouver.

Adam Czerniawski (ur. 1934), poeta, prozaik, krytyk literacki, tłumacz; obecnie mieszka w Walii.

⁹ J. Kott, *Shakespeare our contemporary*. London 1964; New York 1964.

¹⁰ G. Greene, *Moc i chwała*. Paryż: Instytut Literacki, 1956; Warszawa 1967, 1985; R. Graves, *Wiersze*. Warszawa 1968; tegoż, *Poezje wybrane*. Warszawa 1977.

i w dużej mierze uwarunkowany był moim zainteresowaniem kontrkulturą. Będąc krytykiem teatralnym, często jeździłem na festiwalach teatrów studenckich (wówczas krytycy na ogół nie jeździli), nawiązałem kontakty z ludźmi młodego teatru, a nawet byłem współzałożycielem zespołu teatralnego (długo jednak nie przetrwał).

Czy kontakty z twórcami angielskimi stały się dla Pana głównym powodem pisania w języku angielskim?

Rzeczywiście, były jakimś bodźcem do „rozruszania” mojej angielskiej poezji, ponieważ moim nowym przyjaciółom chciałem pokazywać swoje wiersze, dzieliłem z nimi jakieś przekonania, poglądy... Takie wiersze, jak *Lines to you* miały konkretne przyczyny w moich kontaktach z Anglikami i Angielkami (śmiech). Słowem, byłem wówczas najbliższej tego, by wsiąknąć w kulturę angielską. Ale nigdy nie ztraciłem związku z polską kulturą i nie zaprzestałem wyjazdów do Polski. Jeżeli wyjeżdżałem, na przykład, na warsztaty zespołu studenckiego do Szkocji i żyłem z aktorami w tej swoistej „komunie”, nie znaczy to, że odmawiałem sobie zwykłych jesiennych wyjazdów do Polski. Około roku 1980 sprawy polskie jednak bardziej mnie zaabsorbowały.

Pana wiersze w języku angielskim powstawały zatem głównie w końcu lat 60. i w latach 70....

Wtedy powstawały też wersje podwójne: polskie i angielskie. W tomiku *For the Witnesses* z 1978 roku — którego nie mogę uważać za tomik przekładów — znajdują się wiersze napisane tylko po angielsku, zanadto skomplikowane w tkance języka, abym mógł stworzyć je na nowo po polsku, jak również wiersze, które mają wprawdzie wersję polską, lecz wersja angielska była wcześniejsza. Czasami zdarzało się, że obie wersje tworzyłem jednocześnie: tzn., kiedy pisałem wiersz w jednym języku, przychodziło mi na myśl kilka linijek w drugim, natychmiast zapisywałem je na boku, po czym kontynuowałem pisanie wiersza w tym języku, w którym zacząłem. A później, kiedy robiłem wersję w drugim języku, włączałem te powstałe wcześniej linijki. Jedynie wiersze zamieszczone w ostatniej części tomiku, zatytułowanej *Beyond Words*, mogą być uznane za przekłady. Robiłem je zresztą dość szybko i na zamówienie. Otóż przy Warszawskiej Operze Kameralnej istniała przez pewien czas scena mimów, która zrealizowała spektakl oparty na mojej poezji. Kiedy nadarzyła się im okazja wyjazdu na *tournee* do Stanów Zjednoczonych, poprosili mnie, abym zrobił wersję angielską. Nie widziałem jednak powodu, żeby w tym angielskim tomiku, przy niektórych wierszach pisać: „przekład: autor”. Tak samo teraz, kiedy przygotowałem angielską wersję mojego poematu *Drzwi gnieźnieńskie*, nie zamierzam podawać siebie jako tłumacza. Mogę wprawdzie zaznaczyć w bibliografii, że jest to mój ostatni przekład, albo po prostu przyjąć, że jestem autorem, który napisał ten utwór po angielsku.

Czy nikt inny poza Panem nie tłumaczył Pańskiej poezji z języka angielskiego czy na język angielski?

Moja poezja nie była właściwie tłumaczona na język angielski, ponieważ nigdy o to nie zadbałem. Uważałem się bowiem za polskiego poetę i w Polsce przede wszystkim chciałem mieć czytelników. W przeciwieństwie zresztą do wielu krajowych poetów, którzy bardzo chcieli być tłumaczeni... Parę moich wierszy przetłumaczyła jedynie Magdalena Czajkowska, wdowa po moim przyjacielu, Zbyszku Czajkowskim; niektóre opublikowano nawet w „The Polish Review”. Ale to wszystko było na bardzo małą skalę.

Aczkolwiek teraz, kiedy przez przypadek odnowiłem znajomość z irlandzkim poetą Haydenem Murphy’em, który w latach 60. redagował poświęcone poezji pismo „Dublin Broadsheet”, obiecałem mu, że zrobię angielskie wersje (będą to już raczej przekłady)

swoich utworów o tematyce edynburskiej. Kiedyś w jego piśmie publikowałem angielskie wiersze, razem nawet wystąpiliśmy w kilku poetyckich imprezach w Londynie: on — poeta irlandzki i ja — poeta (przejściowo) angielski.

Z jakim jeszcze piśmami anglojęzycznymi Pan współpracował?

W najbardziej prestiżowym i renomowanym — zwłaszcza jeśli chodzi o poezję — piśmie „Stand” (które do dziś zresztą wychodzi w Newcastle), wydrukowałem bodaj jeden wiersz, ale wiersz ten został przedrukowany i trafił stamtąd do antologii dla szkół.

W drugiej połowie lat 60. i w latach 70. regularnie zamieszczałem swoje utwory w awangardowym piśmie „Ambit”. W zespole redakcyjnym tego pisma można było spotkać takie osobistości, jak J. G. Ballard — znany autor powieści science-fiction czy Sir Eduardo Paolozzi — brytyjski rzeźbiarz włoskiego pochodzenia. To przebojowe piśmo słynęło z tego, że zamieszczało materiały, które nawet w tamtym okresie kontrkultury i rozluźnienia obyczajowego mogły wydawać się szokujące. Natomiast w innych piśmach brytyjskich — od „The Times” po „Index on Censorship” — a także amerykańskich, publikowałem głównie artykuły na tematy polskie.

Kiedy pracował Pan w BBC?

W BBC zacząłem pracować przed moją pierwszą podróżą do Polski w 1958 roku, natomiast na pełnym etacie zatrudniony byłem od stycznia 1959 roku do roku 1989 — przez przeszło 30 lat. Później, już nie będąc na etacie, przez cztery lata robiłem jeszcze tygodniowy program kulturalny „Sztuka nad Tamizą”.

Czy pracując na etacie, realizował Pan programy kulturalne czy informacyjne?

Tam właściwie robiliśmy wszystko, tzn. tłumaczyliśmy komentarze angielskie, pisaliśmy rozmaitego rodzaju przeglądy prasy czy przeglądy wydarzeń. Był na przykład przegląd wydarzeń niemieckich, który robiłem kilka razy. Regularnie natomiast realizowałem takie programy jak kronika brytyjska — przegląd wydarzeń w Wielkiej Brytanii, brałem udział jako głos w cudzych programach, prowadziłem audycje jako prezenter. Przetłumaczyłem ponadto — i jest to chyba moje najważniejsze osiągnięcie translatorskie w dziedzinie dramatu — kilkadziesiąt sztuk z języka angielskiego, w tym 19 — Harolda Pintera. (Sztuki te w większości były drukowane w „Dialogu” oraz w „Oficynie Poetów”, a wystawiane w polskich teatrach i telewizji.) Część moich przekładów reżyserowałem dla BBC w formie słuchowisk, lecz częściej jako aktor brałem udział w słuchowiskach reżyserowanych przez kolegów.

Ile osób pracowało w Sekcji Polskiej BBC?

Około trzydziestu osób, w tym dwudziestu pracowników programowych i dziesięć osób zatrudnionych jako siły sekretarskie.

Regularnie, najpierw co 10 dni, potem co 13, miałem nocne dyżury. Przychodziło się, mianowicie, wieczorem, brało się udział w wieczornych audycjach, których było się przeważnie realizatorem, potem można było przez kilka godzin spać (ja nigdy tego nie robiłem; a we wczesnych latach w czasie przerwy na nocnym dyżurze zdarzało mi się nawet napisać wiersz), rano o godzinie czwartej przystępowało się do tłumaczenia dziennika i przeglądu prasy, po czym samemu prowadziło się dwie, piętnastominutowe audycje. W pierwszej audycji, oprócz dziennika szła taśma z komentarzem, drugą audycję czytało się samemu na żywo: najpierw dziennik, później przygotowany uprzednio przegląd prasy brytyjskiej. Przegląd ten niekoniecznie robiło się wprost z gazet; owszem, były takie tendencje, ale już w okresie komputerowym, przedtem był on jak gdyby dostarczany centralnie.

Audycje Radia BBC zagłuszano w kraju ...

Zagłuszano te audycje, ale zawsze odbiorcy potrafili je znaleźć... Podobno czy UB, czy jakieś partyjne władze same starały się słuchać, i wobec tego jedno pasmo pozostawało nie zagłuszane. Oczywiście, było ono często zmieniane, ale słuchacze znali wszystkie pasma i zawsze odnajdowali to właściwe.

Jak wyglądała praca przy realizowaniu programu kulturalnego?

Był taki okres, kiedy przez szereg lat prowadziłem własny magazyn literacko-artystyczny. Był to program zupełnie niezależny od głównego przeglądu tego, co działo się w teatrach i kinach londyńskich. Mogłem w nim robić, co chciałem, m.in. nadawać sprawozdania z festiwalu teatrów studenckich. Ale kiedy zmienił się kierownik Sekcji Polskiej, polikwidował niektóre programy, w tym także mój, autorytatywnie poprzydzielał poszczególnych pracowników do pozostałych programów, i w dodatku nie dawał wolnego czasu, nic... wtedy ja wściekłem się i robiłem tak: jak kończyłem ostatnią audycję, zawsze wtedy znajdowałem jakieś nocne kino (pomimo, że teoretycznie nie należało opuszczać budynku, należało się zresztą podpisać przed północą, że się jest, a potem drugi raz, w trakcie odbierania dziennika). Dojechać do kina mogłem jeszcze na ogół kolejką, ale wracać stamtąd nieraz zdarzało mi się kilometrami pieszo. Zawsze zdążyłem jednak przyjść, napisać recenzję, nagrać ją; i to wszystko przed końcem mojej nocnej przerwy, kiedy przechodziłem już do bieżących obowiązków. Powiedziałem sobie jednak: czas wolny jest moim czasem. Skoro kierownik nie dawał czasu na to, żeby gdzieś pójść, coś obejrzeć, napisać, to ja robiłem to wszystko w tej przerwie nocnej.

W późniejszym czasie coraz bardziej powierzano mi — jako redaktorowi — główny program kulturalny, aż w końcu przez kilka lat przed zejściem z etatu realizowałem go już całkiem samodzielnie. A kiedy wreszcie poszedłem na emeryturę — poproszono mnie, żebym robił to nadal. Był rok 1989, częściej wtedy jeździłem do Polski, i w związku z tym, kiedy byłem w Londynie, nagrywałem jak gdyby na zapas. A w każdym programie musiałem przecież mieć swoją recenzję teatralną czy filmową... Rzeczywiście, przygotowywanie tygodniowego programu, a właściwie dwóch programów tygodniowo — oznaczało może nawet więcej pracy niż na pełnym etacie. Tyle tylko, że na pełnym etacie trzeba było robić i te programy, i wszystko inne. Pracowaliśmy rzeczywiście ciężko i nie objaliśmy się.

Zanim jednak rozpoczął Pan pracę w BBC, swoje zadania polskiego twórcy na emigracji wypełniał Pan działając w organizacjach studenckich...

Tuż po przyjeździe do Anglii, kiedy jeszcze byłem w obozie, ale już starałem się o przyjęcie na studia i zostałem przyjęty, zapisałem się do Polskiego Katolickiego Stowarzyszenia Uniwersyteckiego „Veritas”. Była to polska część Międzynarodowego Katolickiego Stowarzyszenia „Pax Romana”, które miało dwa piony: jeden był studencki, drugi — intelektualistów katolickich, ludzi po studiach. Kiedy przyjechałem do Bristolu, założyłem Koło Studentów Polskich, czyli faktycznie koło „Veritasu”, albowiem wszyscy studenci polscy byli tam katolikami. I prowadziłem to Koło, a więc przygotowywałem referaty religijne, umoralniające... W tamtym okresie nie posiadałem jeszcze szerszych kontaktów i nie wiedziałem, że istnieje również ogólne Zrzeszenie Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie. Dla mnie działalność w „Veritasie” była naturalna w tym sensie, że stanowiła przedłużenie mojej działalności z okresu konspiracji. Otóż na wiosnę 1943 roku, kiedy z Krakowa przyjechałem do Warszawy, dołączyłem do grup katolickich, w których działał już mój przyjaciel, Adam Stanowski¹¹. Była to organizacja ide-

¹¹ Adam Stanowski (1927–1990), po wojnie wykładowca na KUL-u w dziedzinie pedagogiki,

owa, samokształceniowa, którą opiekowali się księża z kilku zakonów, najbardziej marianie, pallotyni i jezuita. Jeden z czołowych przywódców grup katolickich (mieliśmy podział na drużyny czy kręgi), Tadeusz Sporny, był jezuitą, i we wczesnych latach pontyfikatu Jana Pawła II został jednym z sekretarzy generała zakonu jezuitów w Rzymie. W tamtym okresie, kiedy robiłem dla BBC reportaże z Watykanu, pomagał mi nawet. Kiedy raz skrzyłem nogę w kostce i nie mogłem iść na plac przed bazyliką św. Piotra, a miałem zrobić reportaż — poszedł tam i nagrał wszystko dla mnie (śmiech).

Wróćmy jeszcze do Anglii.

Po pięciu latach pobytu w Bristolu, w 1953 roku przenieśliśmy się do Londynu i tam — przy piśmie „Życie Akademickie”, które było organem Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie — zetknąłem się z młodymi poetami. Prezesem Zrzeszenia był wtedy Jerzy Kulczycki, który działał jednocześnie w jednym z politycznych stronnictw — bodajże w „Niepodległość i Demokracja”¹². Ja zostałem wiceprezesem i przez jakiś czas (w latach 1954–1955) byłem łącznikiem pomiędzy Zrzeszeniem a redakcją „Życia Akademickiego”, a następnie powstałego w 1955 roku miesięcznika „Merkuriusz Polski”. Kiedy w listopadzie 1955 roku nastąpiły pierwsze nieporozumienia pomiędzy Zrzeszeniem i redakcją „Merkurium” — większość z nas wystąpiła z redakcji, i przez cały kolejny rok pozostawała poza piśmie. Chociaż nadal stanowiliśmy grupę, urządzaliśmy wspólnie imprezy i przyjaźniliśmy się, dzielił nas pogląd na kwestię pozostania w redakcji. Bogdan Czaykowski¹³ uważał, że mimo wszystko trzeba tam tkwić, Sito¹⁴, Czerniawski, Ławrynowicz, ja, że — nie. Pośród tych, co pozostali, był Mieczysław Paszkiewicz¹⁵, który nie wszedł potem do „Kontynentów”. Oczywiście, stosunek do kraju odegrał w tym wszystkim dużą rolę... Pamiętam, że po październiku 1956 roku ówczesna redakcja zrezygnowała i doszła do wniosku, że to jednak my powinniśmy objąć pismo... Wydawaliśmy zatem „Merkurium” (a dołączyli wtenczas do nas nowi członkowie) od stycznia 1957 roku. Jednakże już po pierwszym roku, na pierwszym zjeździe zapanowała tak burzliwa atmosfera, że o mało co drogi nasze i ZSAPU — wciąż oficjalnego wydawcy pisma — nie rozeszły się. Jakoś to wszystko jednak „zapacykowano”, i myśmy „Merkurium” wydawali jeszcze aż do zjazdu na jesieni 1958 roku, kiedy nastąpił definitywny kres współpracy ze Zrzeszeniem. W styczniu 1959 roku powstały „Kontynenty”, w których pojawiły się już nowe nazwiska: Busza, Darowski, Ciechanowski...¹⁶

Adam Czerniawski wspominał, że nie mógł wytrzymać z „cenzorami” z ZSAPU. Zrzeszenie chciało nas cenzurować, rzeczywiście...

Chodziło o politykę?

Tak... ja może byłem najbardziej otwarty w stronę kraju, a mój artykuł „Moralne prawo” z 1957 roku¹⁷ narobił dużo szumu. Poddałem w nim krytykę wszystkie szacowne instytu-

działacz „Solidarności”, zmarł jako senator R.P.

¹² Polski Ruch Wolnościowy „Niepodległość i Demokracja” („NiD”) — partia piłsudczykowska, działająca w Londynie.

¹³ Bogdan Czaykowski (ur. 1932), poeta, krytyk literacki, tłumacz, profesor literatury polskiej na Uniwersytecie British Columbia w Vancouver.

¹⁴ Jerzy Sito (ur. 1934), poeta, tłumacz, dramaturg; od 1959 roku zamieszkały w Warszawie.

¹⁵ Mieczysław Paszkiewicz (ur. 1925), poeta, eseista, historyk sztuki; profesor historii sztuki na Uniwersytecie Londyńskim oraz PUNO — Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie.

¹⁶ Jan Mieczysław Ciechanowski (ur. 1930), historyk i politolog.

¹⁷ B. Taborski, *Moralne prawo*, *Merkuriusz Polski* 1957 nr 1–2 s. 2–5. Zob. także: tegoż, *Linia*

cje emigracyjne — właśnie z pasją emigranta, który chciałby je ulepszyć, usprawnić, i pewnie widzieć emigrację taką, jak ongiś Mickiewicz w swych utopijnych *Księgach Pielgrzymstwa*. Oburzono się na mnie, wietrzono destrukcję i złe intencje. A ja, poeta romantycznej proweniencji, kończyłem swój artykuł cytatem ze Słowackiego: „Do takiej Polski, w której by Boga i prawdy nie było, należeć nie pragnę”. Nikt jednak na ów cytat nie zwrócił uwagi.

Ten artykuł był wyrazem buntu...

Tak, myśmy wszyscy wtedy byli zbuntowani. W pewnym sensie wyalienowaliśmy się od tej emigracji, od jakichś tam koterii, od pseudo-życia. Raziła nas nieprzystawalność pewnego rozpowszechnionego na emigracji sposobu myślenia wobec rzeczywistości. Ci kanapowi emigranci — starzy politycy, starzy pisarze — zupełnie nie rozumieli, w jakim świecie żyli. Jeden z wybitnych literatów emigracyjnych powiedział raz tak: „Przysłali mi tutaj książkę jakiegoś bolszewika o Chrobrym. Oczywiście zaraz wyrzuciłem to paskudztwo na śmietnik”. Chodziło o *Bolesława Chrobrego* Gołubiewa.

Słabo też na ogół znali język angielski i nie lubili Anglii, a niektórzy — od Cata-Mackiewicza poczynając, wręcz jej nienawidzili. Dlatego pisałem swój artykuł ze szczera pasją, w trosce o to, żeby było lepiej. Oczywiście, że nie zostałem zrozumiany. Ja chciałem tę emigrację ulepszyć, aby porzuciwszy pewne fikcje, w których tkwiła, rzeczywiście mogła coś zdziałać dla Polski. Tymczasem, jak stwierdziłem ze zdumieniem, uznano, że ja odrzucam emigrację. I nawet moi redakcyjni koledzy mieli mi za złe, że temu artykułowi dałem podtytuł: „artykuł programowo-dyskusyjny”. Podtytuł ten nie miał jednak sugerować programu redakcji, jak mylnie sądzono, a jedynie to, że artykuł przeznaczony jest do dyskusji programowej.

Jakie były reakcje na Pański artykuł w prasie emigracyjnej?

W „Dzienniku Polskim” ludzie, którzy do niedawna wychwalali mnie pod niebiosa jako nadzieję emigracyjnej literatury, teraz przypisywali mi jak najgorsze intencje; podobnie w „Gazecie Niedzielnej”. W „Życiu” londyńskim (to tygodnik, który miał ambicje być emigracyjnym „Tygodnikiem Powszechnym”, ale na początku lat 60. padł — po prostu nie sposób było w grajdołku, jakim jest polski Londyn, podtrzymać pisma z takimi ambicjami) wstrzymano mi druk pewnych rzeczy. Nie mogłem dowiedzieć się, co się stało (zupełnie, jakby to było w komunistycznym ustroju), potem wezwano mnie na rozmowy, a w końcu okazało się, że mnie nie chcą. Jedynym pismem, którego łamy zawsze były przede mną otwarte, była „Kultura”.

Nie miał Pan także problemów ze strony redaktorów „Kontynentów”...

Ze strony kolejnych redaktorów naszego pisma (my redagowaliśmy kolegielnie, ale zawsze był ten redaktor naczelny) nie miałem żadnych problemów. Okazywali mi pełne zaufanie nawet wtedy, kiedy byłem w Polsce i zdarzały się takie historie, jak nieprawdziwa relacja z mojego wieczoru autorskiego w Związku Literatów w Krakowie, gdzie miałem rzekomo powiedzieć: „nasza ojczyzna i nasz rząd jest tu w kraju”. Napisałem protest w tej sprawie do Stowarzyszenia Dziennikarzy, że ja tego nie powiedziałem i nie mogłem powiedzieć, bo chociaż jestem Polakiem, jestem też obywatelem brytyjskim. To wszystko się wyjaśniło, ale oczywiście i tak rozpoczęły się ataki na mnie w „Dzienniku Polskim”, w prasie londyńskiej.

Moje reportaże z podróży do Polski, publikowane w 1958 roku na łamach „Kontynentów”, też nie wszystkim się podobały. Starałem się równomiernie rozkładać światła

i cienie, i pisać zarówno o rzeczach negatywnych, jak i pozytywnych. Prasa krajowa przedrukowywała to, co pisałem dobrego na temat życia w Polsce, pomijając cienie, prasa emigracyjna — na odwrót. A potem jeszcze Radio Wolna Europa nadało program, w którym uznało za skandal to, co napisałem na temat Polski. Zdecydowałem wtedy, że z publicystyką polityczną koniec — jestem poetą, jestem teatrologiem, a nie politykiem.

W artykule „Młodsza literatura emigracji w perspektywie ćwierćwiecza”, opublikowanym w 1983 roku na łamach londyńskiego „Pamiętnika Literackiego”¹⁸, pisze Pan o charakterystycznej dla młodych poetów londyńskich wspólnocie postaw wobec świata i kraju. Niedawno w rozmowie ze mną Mieczysław Paszkiewicz stwierdził, że wcale takiej wspólnoty nie było. Jak Pan to skomentuje?

Bardzo prosto. Paszkiewicz, którego *notabene* bardzo lubię i z którym nadal się przyjaźnię, nie należał do grupy „Kontynentów”. On był w „Merkuriuszu”, ale do „Kontynentów” nie wszedł.

Jak zatem kształtowały się sympatie polityczne w grupie „Merkuriusza”-„Kontynentów”?

Ławrynowicz i Paszkiewicz reprezentowali bardziej prawicowe stanowisko; Śmieja¹⁹ był umiarkowany; lewicował chyba Sito; co do Buszy, Sulika²⁰, Ciechanowskiego — trudno powiedzieć, ale chyba byli dosyć postępowi. Ja może byłem podobny do Baczyńskiego w tym sensie, że kultywowałem piłsudczykowski tradycje. Byłem piłsudczykiem lewicującym, ale nigdy nie marksistą czy ateistą. W okresie, kiedy grupa istniała, różnic politycznych, które skłaniałyby nas do kłótni na naszych redakcyjnych czy towarzyskich zebraniach — nie było.

Po Październiku, kiedy mieliśmy otwartą postawę wobec przemian w kraju, wszystkich nas ochrzczono oczywiście *fellow-traveler* ami. Twórca „Merkuriusza”, Ludwik Angerer²¹, który był prawicowcem i człowiekiem dużej prawości, całkiem bezstronnie nas ostrzegał: „słuchajcie, macie prawo do swoich poglądów, ale wiedźcie, że jak będziecie je wyrażali, to narazicie się niezłomnym, a oni są twardzi i wam spokoju nie dadzą”. Myśmy czytali wtedy m.in. „Po prostu”, „Tygodnik Powszechny”, „Przegląd Kulturalny”, i widzieliśmy, że w Polsce zachodzą przemiany. Natomiast starsi tego nie widzieli. Jeden z wybitnych pisarzy emigracyjnych, kiedy dowiedział się, że zamierzam drukować w kraju, starał się mnie od tego zamiaru odwieść. Powiedział: „tam jest pustynia, tam już nigdy nic nie będzie, kultura polska będzie się rozwijała tylko tutaj”, po czym zerwał ze mną znajomość. Ale w latach 70. sam zaczął jeździć do Polski, a potem publikować... A mnie przeprosił, i dziś jesteśmy w dobrych stosunkach.

Czy grupa „Kontynentów” miała patronów pośród pisarzy starszych wiekiem, czy nie miała?

Miała. Byli poeci, których popieraliśmy. Był Pietrkiewicz, którego lubiliśmy i zapraszaliśmy na prywatne spotkania literackie, był Brzękowski, no i Miłosz. Do Miłosza, który wówczas mieszkał w Brie-Comte-Robert pod Paryżem, jeździliśmy indywidualnie już od

¹⁸ B. Taborski, *Młodsza literatura emigracji w perspektywie ćwierćwiecza*, Pamiętnik Literacki (Londyn) 1983 t. 6 s. 79–98.

¹⁹ Florian Śmieja (ur. 1925), poeta, krytyk literacki, tłumacz; profesor literatury hiszpańskiej w London (Kanada).

²⁰ Bolesław Sulik (ur. 1929), krytyk filmowy i publicysta, członek zespołu redakcyjnego „Kontynentów”.

²¹ Ludwik Angerer — działacz ZSAPU; założyciel pisma „Merkuriusz Polski”.

1954 roku. Przedtem oczywiście posyłał mi swoje wiersze. Przypominam sobie jeden dzień spędzony u niego: bardzo miła była atmosfera, kilka godzin spędziliśmy chodząc po polach, rozmawiając... pamiętam, jak przekonywał mnie, żeby przestać, nie pisać wierszy, bo „iskra nie zaskakuje”. Nie przejąłem się tym (śmiech).

Jednym z poetów zaprzyjaźnionych z nami był również Jerzy Niemojowski²². (Niektórzy błędnie przypisują go do grupy „Kontynentów”, ale on w niej nie był). Niemojowski, kiedy pokazywałem mu nasze wiersze — przepisywał je na swoją modłę. Natomiast Pietrkiewicz — wedle zasad autentyzmu — skracał, skracał, zostawiając tylko co któreś słowo. Ich uwag także nie wziąłem do serca.

Gdzie najczęściej odbywały się te spotkania literackie i kto w nich uczestniczył?

Przypominam sobie jedno z wcześniejszych mieszkań, jakie wynajmował Ławrynowicz, zawsze na ogół w okolicach Gloucester Road. Był to duży pokój w suterenie, i tam przyjęliśmy Pietrkiewicza, Przyłuskiego, Czuchnowskiego... W spotkaniach, na których zaproszeni poeci czytali swoje wiersze, uczestniczyliśmy my wszyscy — członkowie zespołu, a także działacze ze Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie oraz osoby zaprzyjaźnione. Grono słuchaczy nie przekraczało na ogół dwudziestu osób.

Czy Miłosz także był w mieszkaniu Ławrynowicza?

Nie, kiedy Miłosz po raz pierwszy (w 1955 roku) przyjechał na nasze zaproszenie do Londynu, spotkaliśmy się z nim chyba w Hotelu Rembrandt. Natomiast za drugim razem urządziliśmy mu wieczór autorski w Instytucie Sikorskiego, w sali sztandarowej, w której sztandary Pułków Polskich z okresu II wojny wiszą pod sufitem. Następnego dnia „Dziennik Polski” napisał, że za sprawą udziału w imprezie „tego sprzedawczyka i zdrajcy” Miłosza, sztandary polskie zostały splugawione (śmiech). Publiczne spotkania autorskie, które najczęściej ja prowadziłem, organizowaliśmy także dla pisarzy z kraju: Zawieyskiego, Elektorowicza, Kotta, Herberta, a także Stefana Kisielewskiego... Kiedy Instytut Sikorskiego — z powodów politycznych — odmówił nam dalszej współpracy, imprezy te urządzaliśmy w klubach należących do Stowarzyszenia Lotników (na Earls Court) czy Stowarzyszenia Marynarzy (na South Kensington). Lotnicy i Marynarze nie byli tak „politycznie motywowani” i nie uważali nas za wyklętych.

Co oznaczało bycie emigrantem w latach 50., 60., i później?

Dla starszego pokolenia było to tkwienie na pozycjach obronnych (nie chcę nazywać ich okopami Świętej Trójcy...).

Ciekawe byłoby przestudiowanie, kto w październiku 1956 roku podpisał uchwałę o nie publikowaniu w kraju, a kto — w sporządzonej wkrótce potem ankiecie „Kultury” — sprzeciwił się temu. Sprzeciwili się, rzecz ciekawa, pisarze, którzy wówczas w Polsce nie mogli publikować, a przypuszczam, że nawet by nie chcieli: Miłosz, Herling-Grudziński... Uważali oni, że takich rzeczy nie można dekretować, albowiem otwartą pozostaje kwestia, co się publikuje, jak się publikuje, czy idzie się na ustępstwa, itd. Jerzy Giedroyc wymyślił wówczas formułę, niezbyt może życiową, że drukować można, tylko nie należy pobierać za to honorariów. Wszechobecna w Polsce biurokracja powodowała jednak, że honorarium nie można było nie podjąć — dopuszczalna była jedynie możliwość przeznaczenia go na cel, na przykład, charytatywny.

²² Jerzy Niemojowski (1918–1989), poeta, eseista, tłumacz; od 1948 roku zamieszkały w Londynie.

Emigracja kanapowa uważała, że ci, którzy nie stosują się do wymogów absolutnego potępienia kontaktów z krajem, powinni do tego kraju powrócić, i przestać być emigrantami. My natomiast byliśmy przekonani, że właśnie na emigracji powinni byli pozostać ludzie, którzy w swojej działalności nie ograniczaliby się jedynie do podtrzymywania pewnych symboli. Starsi emigranci nie tylko najczęściej nie znali języka kraju osiedlenia, ale również nie posiadali, w gruncie rzeczy, znajomości polskich realiów. Realia te mogli znać oczywiście tacy ludzie — studiujący wszystkie serwisy prasowe — jak Jan Nowak-Jeziorański. Lepsze jednak rozeznanie w sprawach kraju posiadał, moim zdaniem, Jerzy Giedroyc. Może częściowo dlatego, że zachował pełną niezależność i niczego nie musiał na siłę propagować, zwalczać, itd., wyrażał też bardziej zrównoważone opinie. Mieroszewski natomiast zachęcał po Październiku w jednym z artykułów — a było to utopijne — aby wszyscy mądrzy i dobrzy Polacy, którzy coś dobrego mogą uczynić dla Polski, wstępować do partii. Skoro, jak sądził, tylko partia posiada możliwości działania, zatem nie powinni znajdować się w niej głupcy i oportuniści. Pomimo, iż wymóg ten niezbyt nadawał się do wprowadzenia w życie, dowodził jednak otwartości myślenia.

Jaki jest Pański pogląd na zadania polskich twórców na emigracji?

Nie tylko kręcenie się we własnym kręgu, ale oddziaływanie na kraje, w których się mieszka, i na kraj, z którego jest się emigrantem. Wydaje mi się, że sporo zrobiłem, aby rodakom w Polsce — odciętym żelazną kurtyną i rzadko podróżującym — dostarczać informacji, a także wiedzy w swojej dziedzinie. Temu służyła moja praca w BBC. Później, kiedy pojawiły się możliwości jeżdżenia na festiwalu Teatru Otwartego we Wrocławiu, odegrałem rolę w sprowadzaniu różnych, najczęściej awangardowych, zespołów z Zachodu. Widziałem, jak młodym ludziom teatru, polskim krytykom, wszystkim, którzy do Wrocławia przyjeżdżali, otwierały się oczy, kiedy oglądali te zespoły. Z drugiej strony, będąc doradcą National Student Drama Festival oraz festiwalu w Edynburgu, pomagałem również w sprowadzaniu dobrych zespołów z kraju i lansowaniu polskiej sztuki. Tłumaczyłem, przedstawiałem na Zachodzie najlepsze osiągnięcia polskiej literatury i sztuki — ta bibliografia jest spora, a obejmuje tylko opracowania książkowe. Wykładałem na temat polskiego dramatu i teatru w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Byłem polskim patriotą, starałem się działać dla Polski. Uważałem, że czytelnicy mojej poezji są w Polsce, ale nigdy nie szedłem na kompromisy. Raz cenzura zakwestionowała jeden z moich wierszy, które miały zostać opublikowane w „Więzi”. „Więź” powiadomiła mnie o tym, a ja zdecydowałem, że okrojonego bloku wierszy w ogóle nie będę publikował. Uważałem, że nie należy poddawać się cenzurze. Innym razem, a było to w Wydawnictwie Literackim, cenzor nie usunął „niewygodnego” utworu, tylko bez mojej wiedzy zaniżył nakład ze zwyczajowych wówczas 800 egzemplarzy do 400. Kiedy jednak nieżyjący już dziś Jacek Bierezin recenzował ten tomik w „Więzi”²³, pod pretekstem analizy formalnej przemycił najbardziej niecenzuralne, bo dotyczący wolności myśli i arogancji władzy, fragmenty.

Sekret mojego sukcesu polegał na tym, że do Polski jeździłem wyłącznie jako osoba prywatna, jako twórca, a nie przedstawiciel BBC. Nie zmieniło to jednak faktu, że kilkakrotnie odmówiono mi wizy (co zresztą zdarzało się i przedtem). Ciężko przeżyłem przerwanie Kongresu Kultury Polskiej, podobnie jak wszyscy moi koledzy, z którymi 13 grudnia stałem przed Teatrem Dramatycznym, już zamkniętym dla obrad.

Patrząc wstecz, wydaje mi się, że byłem — nazwijmy to tak — „emigrantem ideowym”. Nie godziłem się nigdy na emigrację sprowadzaną jedynie do kanapowych i symbolicznych działań. Działając w sferze kultury, pisząc, promując polską literaturę

²³ J. Bierezin, *Głos pełen niepokoju*, *Więź* 1971 nr 10.

i sztukę na Zachodzie i dostarczając zarazem przekładów z literatury anglojęzycznej polskiemu czytelnikowi — zrobiłem dla Polski może więcej. W końcu lat 80. nadszedł moment, kiedy uznałem, że właściwie nie jestem emigrantem, tylko Polakiem mieszkającym za granicą. Dzisiaj jest to chyba jasne ponad wszelką wątpliwość, że nie ma kogoś takiego jak poeta emigracyjny — są tylko poeci polscy, i za takiego siebie uważam.

Dziękuję za rozmowę.

BARDZO LUŻNE WSPOMNIENIA Z WCZESNEGO DZIECIŃSTWA

FRAGMENT ROZMOWY Z MIROSŁAWEM A.
SUPRUNIUKIEM Z JERZYM GIEDROYCIEM
PRZEPROWADZONEJ W MAISONS-LAFFITTE W MAJU
1993 R.¹

Jerzy GIEDROYC (Francja)

Jak głęboko w przeszłość sięga Pana pamięć historyczna dotycząca rodziny?

No, bardzo niedaleko, jakieś bardzo luźne wspomnienia z wczesnego dzieciństwa, ale to są takie bardzo luźne obrazy a poza tym mam stosunkowo niewiele wspomnień. Mnie sprawy rodzinne nigdy nie interesowały, tym się trochę zajmował mój ojciec, te papiery które były w jego posiadaniu zostały spalone w czasie powstania warszawskiego, gdzie mój ojciec zginął, a sprawami rodzinnymi w najszerszym słowa tego znaczeniu zajmuje się mój kuzyn w Oxfordzie, Michał Giedroyć, który jest takim specjalistą od naszej rodziny. To jest dość skomplikowane bo to jest rodzina bardzo rozrodzona, Giedroyciów jest strasznie dużo a on się w tym jakoś najlepiej orientuje. Jeżeli są jakieś sprawy dotyczące historii mojej rodziny, nawet stosunkowo niedalekiej, zawsze odsyłam do Michała. W moim przypadku sprawa jest o tyle prosta, że ja nie mam prawie bliskich krewnych. Poza rodzicami, którzy zginęli w czasie powstania, był brat, który został w Warszawie, średni brat Zygmunt, który umarł parę ładnych lat temu, a reszta rodziny wyginęła w czasie rewolucji. Bliskich krewnych, poza naturalnie Henrykiem, najmłodszym moim bratem, praktycznie biorąc nie mam. W domu raczej nie mówiło się o kimś szczególnym z naszej rodziny.

A tradycja rodzinna, czy odegrała w Pana życiu jakąś szczególną rolę?

Specjalnie nie. Ma się rozumieć, byłem ze swego nazwiska zadowolony ale to mi do

¹ Rozmowa, której pełny zapis obejmuje ponad 20 godzin, została nagrana z inicjatywy Redaktora Jerzego Giedroycia w połowie maja 1993 roku. Nie była nigdy publikowana, ani udostępniana. Nie była też autoryzowana. Nagrania zdeponowane są w toruńskim Archiwum Emigracji Biblioteki UMK.

niczego nie było potrzebne. Było to mobilizujące, dlatego że rozumiałem to jako nakładanie pewnych obowiązków i tu niewątpliwie kwestia pochodzenia pewną rolę odegrała, może nie decydującą ale jednak odegrała.

Czy Pan używa herbu Hipocentaurus pełnego czy z Porajem?
Pełnego. Jest parę linii Giedroyców.

Nie jest Pan pierwszym emigrantem wśród Giedroyców...

Jeśli idzie o jakieś emigracje to tutaj jest kwestia Francji, Romualda Giedroycia i tych wszystkich napoleońskich historii. To jest dosyć zabawne; Romuald Giedroyć, który miał taką ożywioną kartę — był szefem przybocznego sztabu Napoleona — flirtował m.in. z Józefiną, co zostało w rodzinnej tradycji. Był poglądów bardzo radykalnych; w czasie wojny 1812 roku był mianowany głównodowodzącym wojsk litewskich, które praktycznie biorąc nie powstały. Potem prowadził partyzantkę, został wywieziony do Archangielska i po interwencji Józefiny u Aleksandra I został zwolniony i przyjechał do Francji, gdzie już tutaj umarł. Miał dwie córki: jedna z nich była damą dworu Józefiny, a druga dla odmiany była damą dworu Aleksandra I. To było typowe w tych rodzinach kresowych, których narodowość praktycznie biorąc jest bardzo luźna, pomijając jakiś nurt niepodległościowy, powiedzmy Romualda Giedroycia i tak dalej, byli to ludzie służący w wojsku rosyjskim. To były jeszcze te czasy kiedy moment religijny nie przeszkadzał w robieniu jakiejś kariery w Rosji, to nastąpiło dopiero pod koniec XIX wieku. I to też było luźno przestrzegane, bo jest cały szereg ludzi np. Dowbór-Muśnicki, którzy doszli do stopni generalskich czy nawet Grąbczewski, który jako zdobywca Pamiru odegrał bardzo dużą rolę, a którzy zostali rzymskimi-katolikami i nie było wymagane przejście na prawosławie.

Jak wyglądało środowisko ziemiańskie na kresach w przeddzień wojny światowej?

Bardzo mi trudno powiedzieć. My jesteśmy słabo związani z ziemią już od przeszło dwóch pokoleń, mój pradziadek Lucjan Giedroyć, którego pamiętam z opowiadań rodzinnych, który był zresztą w Petersburgu w lejbgwardii, popełnił samobójstwo z powodów jakichś romantycznych. To był człowiek średnio zamożny. Po jego śmierci tzw. rada familijna, jak to się zdarza z radami familijnymi, praktycznie rzecz biorąc wszystko zlikwidowała. Tak że mój dziadek został bez niczego, skończył jakieś przelotne studia i był jakimś drobnym urzędnikiem. Uchował się mały folwarczek Śminołowicze. Mój ojciec skończył jakieś kursy farmaceutyczne i zajmował się farmacją. Tak następowała pauperyzacja, a ja jestem już trzecim pokoleniem. To było dosyć powszechne, choć mój wypadek jest bardzo specjalny, ze względu na tę radę familijną, ale reszta była spowodowana bankructwem, nadejściem ery przemysłowej. Takim przykładem najbardziej znanym jest ojciec Piłsudskiego, który zmarował cały duży majątek na eksperymenty gospodarcze, jakieś gorzelnie czy coś takiego, o których nie miał zielonego pojęcia. Nie łączyło się to z asymilacją, w tych środowiskach asymilacja była stosunkowo nieduża. Środowisko ziemiańskie na początku XIX wieku było bardzo nieciekawe, tzn. szło na współpracę z caratem bardzo daleko, jak Meysztowicz — budowa pomnika Katarzyny w Wilnie — ale to nie łączyło się z wynaradawianiem. To był zwykły serwilizm, w dużym stopniu chodziło tu o zachowanie pozycji gospodarczej. Właściwie element patriotyczny na kresach, poza inteligencją, która powstawała ze zubożałego ziemiaństwa, opierał się głównie na średnim ziemiaństwie. Z tego rekrutowali się powstańcy czy działacze niepodległościowi. Decydującą rolę ogrywała tu tradycja rodzinna, *noblesse oblige*, tak że to się zachowało mimo kształcenia w szkołach rosyjskich.

Dla Pana pojęcie polskości nie kojarzy się z konkretnymi granicami...

Dla mnie, moja ojczyzna jest bardzo szeroka i nie zamyka się tylko w granicach Polski etnograficznej. Można powiedzieć, że jestem w pewnym sensie spadkobiercą Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Dla mnie sprawy białoruskie, ukraińskie, litewskie czy rosyjskie są sprawami bardzo bliskimi. Nasza rola na świecie zależy od tego jaką pozycję możemy zająć czy zajmujemy na wschodzie Europy. Ciągłe powtarzam, Polska jest krajem z Gombrowicza; nie potrafiła być mocarstwem i nie może być Czechosłowacją. Wobec tego jest w powietrzu, w tym przeciągu historii. To utrudnia ale z drugiej strony daje nam ogromne możliwości, które są nie wykorzystane. Trzeba wziąć pod uwagę rolę, którą jeszcze do tej pory Polak odgrywa w Rosji. Trzeba wziąć pod uwagę tradycje polskości; ja pamiętam ze swego dzieciństwa czy powiedzmy z opowiadań rozmaitych przyjaciół, że Polak w Petersburgu czy w centralnej Rosji należał do warstwy uprzywilejowanej. Rosjanie, którzy pracowali w Kongresówce byli poddawani ostracyzmowi towarzyskiemu; ich uważano za jakichś parszywych Rosjan, którzy popełniają tam niesłychane nadużycia. Ta pozycja Polaków była tam bardzo duża; jeżeli się weźmie pod uwagę rolę ekonomiczną jaką odegrał np. Grąbczewski, odkrywca Pamiru, rolę Sieroszewskiego, nawet ci zesłańcy odgrywali tak ogromną rolę, że książka Sieroszewskiego o Korei jest prawie podręcznikiem. Miałem taki najlepszy dowód, że parę lat temu ktoś z moich znajomych, zresztą dziennikarz polski, jechał na Koreę i ja mu tę książkę dałem. On to traktował jako podręcznik, on jeździł m.in. po północnej Korei opierając się na książce Sieroszewskiego i tam byli zaskoczeni, że on jest tak dobrze zorientowany. To najlepszy dowód o wartości tej książki. Ale jednocześnie nie przeszkadzało to, że ten zesłaniec polityczny jakim był Sieroszewski, dostał złoty medal Cesarskiego Towarzystwa Geograficznego właśnie za tę pracę.

Ogromna jednak większość zesłańców zostawała w Rosji, asymilowała się...

To inny problem. Ludzie, którzy tam byli przejściowo nie asymilowali się. Natomiast nieszczęściem było jeżeli ktoś zostawał i żenił się, żenił się z Rosjankami. Polacy są narodem niesłychanie kobiecym tzn., że jeżeli Polak się żeni z Rosjanką to dzieci są już Rosjanami. Dlatego że matka wychowuje dzieci. Religia ma tu znaczenie minimalne. To samo można było widzieć w Polsce międzywojennej, to osadnictwo polskie na Wołyniu i gdzie indziej. Dawano działki zasłużonym podoficerom z czasów wojny... dzieci się wynaradawiały, bo ten wachmistrz wolał się żenić z piękną molodycą niż z jakąś krótkonogą Mazowszanką czy Krakowianką. I wobec tego dzieci mówiły już po ukraińsku. I tu także religia miała znaczenie niewielkie. Trzeba pamiętać, że prawosławie było religią mało atrakcyjną, nikt do prawosławia nie odchodził. Dla mnie taką charakterystyczną rzeczą było kiedyś takie zdarzenie: to było w 1937 roku, ja wtedy byłem w Ministerstwie Rolnictwa i byłem ze swoim ministrem na inspekcji na Polesiu. Tam szło o osuszenie takich bagien; wojsko nie dopuszczało do tego, tam były zalewy, które uniemożliwiały uprawę tym wsiom. Myśmy tam pojechali by zorientować się czy można doprowadzić do tego osuszania czy nie i tam spotkałem w chutorach merlińskich całe wsie Lipskich i Sienkiewiczów. To była szlachta zagrodowa dawna, bardzo ze swojego pochodzenia dumna, mająca nawet jakieś papiery, które nam pokazywano, wyciągano z nabożeństwem z rozmaitych kuferków. I wszyscy prawosławni, chodzili do cerkwi. Ja pytałem się dlaczego, bo do kościoła nie chodzi się w łapciach. Religia katolicka była uprzywilejowana; w prawosławiu, do cerkwi to można chodzić boso czy w łapciach nie ma wielkiego znaczenia. Do kościoła nie. Jest większy szacunek do tego kościoła katolickiego. Dla mnie to było niesłychanie typowe. I ludzie bardzo patriotyczni, którzy odegrali bardzo piękną rolę w 1939 roku; tam najdłużej trwała polska partyzantka w 1939 roku. Zostali kompletnie wyniszczeni tak zresztą jak całe Polesie, ale to jest obrazek bardzo typowy.

Gdzie była granica Polski w okresie zaborów?

To jest bardzo trudne do ustalenia. Ja myślę, że ta granica w jakiś sposób sięgała co najmniej do Smoleńska, tam gdzie zachowali się nie tylko ludzie czy majątki ale pewne tradycje. Ukraina to już jest inne zagadnienie ale myślę, że co najmniej do Kijowa. To są poza tym początki powstawania różnych nacjonalizmów, ale np. nacjonalizm litewski stworzony został w dużym stopniu przez Polaków. Twórcą współczesnego nacjonalizmu litewskiego jest Józef Ignacy Kraszewski. Kraszewskiego nawet szereg Litwinów uważa za Litwina, gdyby nie cały wysiłek historyczny Kraszewskiego, prawdopodobnie ta świadomość narodowa Litwinów przyszła by z bardzo wielkim opóźnieniem, jeżeli by w ogóle przyszła. Tak samo rola Polaków na Ukrainie. Dla mnie, jeżeli mówię o Ukrainie, to myślę przede wszystkim o Ukrainie lewobrzeżnej, to jest o Kijowie; dlatego że kwestia Małopolski wschodniej jest problemem odrębnym. To są konflikty narodowościowe i religijne. Natomiast na Ukrainie czy dawnej Rusi tych rzeczy nie było. Opiekunami prawosławia byli Polacy, książę Ostrogski. Powstawały pierwsze Biblie, pierwsze druki w języku białoruskim czy ukraińskim były robione przez Polaków.

Myśmy chyba nigdy nie mieli jednolitej polityki wobec wschodnich narodów...

Nastąpiło to na skutek polityki dynastycznej Jagiellonów i zasymilowania się warstw szlachty litewskiej, spolonizowania się Litwinów. To nie nastąpiło na Ukrainie, wręcz przeciwnie; tam prowadziliśmy typową politykę kolonizacyjną, nie potrafiliśmy zabezpieczyć bezpieczeństwa tych terenów, dzięki temu straciliśmy cały ruch kozacki, którego nie potrafiliśmy ani pokonać, ani zasymilować chociaż takie możliwości były. Natomiast byliśmy za słabi aby ten teren zabezpieczyć choćby przed napadami tatarskimi. Ukraina parła w stronę Moskwy bo nie miała innego wyjścia. W pewnym sensie myśmy ich wepchnęli w te rzeczy; te wszystkie rokowania jeszcze ostatnie próby Władysława IV, były torpedowane przez sejm. Była kwestia stworzenia hetmana ukraińskiego, czy kwestia dopuszczenia duchownych prawosławnych do senatu — to wszystko było torpedowane. Tych problemów w Litwie nie było; Litwina uważano praktycznie za Polaka, tak jak zresztą do tej pory większość Polaków traktuje w ten sposób Litwinów, co ich niestety nie irytuje.

Wracając jednak do „Polski na przeciągu historii”...

Ja myślę, że nasze możliwości są pewnego wpływu oddziaływania kulturalnego. Weźmy chociażby dzisiejszą sytuację polskiej inteligencji. Już nie mówię o przeszłości, gdzie jeszcze powiedzmy za czasów przed Piotrem Wielkim język polski odgrywał rolę francuszczyzny, czy ubiór polski, ale o współczesnych czasach. Atrakcja literatury, kultury polskiej czy języka polskiego. Język polski jako możliwość docierania do Zachodu. Spotykałem się z tym na każdym kroku. Nawet jeżeli wziąć pod uwagę okres wojenny; ludzie z NKWD pochodzenia polskiego zachowywali się znacznie przyzwoiciej od innych. To było bardzo typowe u tych enkawudzistów przystawionych do gen. Andersa. Był tam taki Sokołowski, enkawudzista, ale który odnosił się z cieniem życzliwości do naszych poczynań a przede wszystkim był bardzo dumny ze swego polskiego pochodzenia. Jeżeli jakiś Rosjanin ma jakieś pokrewieństwa polskie to z tego jest dumny i to istnieje do tej pory. To jest rzecz do wygrania. Jeżeli wziąć np. literaturę to jest zainteresowanie ogromne teraz, zupełnie spontanicznie, zwrócili się do mnie z redakcji „Novogo Mira” z pytaniem czy mogą wydać, przetłumaczyć i wydać *Na nieludzkiej ziemi* Józefa Czapskiego. Zupełnie spontanicznie, redakcja „Novogo Mira”, z którą byłem w żywym kontakcie miała wszystkie roczniki „Kultury” w swojej redakcji. Oni to sobie kompletowali przez Polskę, tam jak dojeżdżali do Polski, to zdobywali w Polsce tę „Kulturę”, ma się rozumieć jak najbardziej nieoficjalnie. Ale powiedzmy Sołżenicyn, czy „Kontinent”

Maksimowa; oni zupełnie niedwuznacznie dawali nam do zrozumienia tę naszą rolę. To zresztą Maksimow stale podkreślał, że jak chcieli założyć to pismo, to Sołżenicyn ich posłał do nas na przeszkolenie jak się taką rzecz robi na emigracji. Tu możliwości było bardzo dużo, to co uważam za największe osiągnięcie z naszej strony to jest to, że była deklaracja intelektualistów — emigrantów rosyjskich wypowiadająca się za niepodległością Ukrainy. Trzeba sobie zdać sprawę z tego co to jest niepodległość Ukrainy. To jest rzecz, którą myśmy przegrali, Sawinkow przegrał czy cały ten ruch, który reprezentował Fiłosofow na tle właśnie problemu ukraińskiego. Oni nam tego darować nie mogli. A tutaj jednak nastąpiło to spontanicznie.

Wychował się Pan w Rosji, kończył szkoły w Moskwie...

O tym nie decydowała żadna tradycja rodzinna czy zwyczaj, to była sprawa bliskości. Chodziłem do szkoły w Moskwie, a ostatni rok przed przyjazdem do Polski uczyłem się już w gimnazjum polskim Massoniusa (później już w Polsce — Giżyckiego) w Mińsku. Trudno mi porównywać poziom tych szkół, bo to już był okres wojenny, ale poziom zarówno gimnazjum rosyjskiego jak i tego polskiego w Mińsku był całkiem wysoki. Skoro, kiedy przyjechałem do Polski i poszedłem od razu do trzeciej klasy, poddano mnie — mimo względnie dobrych stopni — egzaminowi z języka polskiego i historii Polski. Jeśli idzie o znajomość historii Polski, pomijając moje własne zainteresowania, niewątpliwie górowałem znacznie nad resztą moich kolegów z gimnazjum urodzonych w Warszawie. Ale to przede wszystkim jest kwestia otoczenia i niewątpliwie rodziny. Nie było jakiejś specjalnej rusyfikacji. Chociaż ciągle trzeba pamiętać, że co innego jest Moskwa czy Petersburg, a co innego jest jakaś głucha prowincja, tam te rzeczy wyglądały różnie. Te miasta były bardzo specjalne jak wszystkie stolice.

To było przed rewolucją. Rewolucja mnie zastała w Moskwie. Przeżywaliśmy wtedy euforię, nie było lekcji, biegało się na wszystkie manifestacje, nauczyłem się palenia papierosów, bratania się z żołnierzami i jakieś takie najśmieszniejsze historie. Pamiętam taki obraz, który potem był niewiarygodny zupełnie, wtedy przyjechała do Moskwy delegacja ułanów z korpusu Dowbór-Muśnickiego, żeby wziąć sztandary polskie z Kremla, tłum ich niósł na koniach w powietrzu. Nieprawdopodobna manifestacja propolska. Bardzo szybko nastąpiła wojna polsko-rosyjska, ale wtedy przeżywało się rzeczywiście kolosalną euforię, tak że wszystko to było atrakcyjne dla dziecka, broń na ulicach — ja kolekcjonowałem sobie jakieś bagnety — narkotyzowałem się prochem. Bardzo lubiłem rozkręcać gilzy od karabinów i wachałem proch, bo on miał zapach karmelków, które bardzo wtedy lubiłem, a których nie było. Mogłem prawie godzinami siedzieć nad tym prochem i go wachać. Jakies pół roku przed wybuchem rewolucji w gimnazjum była z wizytą wielka księżna Tatiana, taka wizytacja, i nawet recytowałem jakiś wierszyk, byłem bardzo wzruszony ale to dla mnie była wielka atrakcja, podobnie jak cała ta rewolucja. Nie widziałem żadnych różnic. Już potem w Mińsku, tuż przed wyjazdem zetknąłem się z pewną rzeczą bardzo charakterystyczną na Kresach, tj. z rosnącym kultem Piłsudskiego. To było bardzo silne; kolportowano jakieś portreciki Piłsudskiego, rosła jego legenda. Wtedy też po raz pierwszy usłyszałem o Piłsudskim, o legionach nic nie wiadano, sam Piłsudski jako taki. Mówiło się niewiele; legenda walki o niepodległość, niepodległe wojsko polskie, bez bliższych szczegółów. Tzn., oczywiście POW działało m.in. nawet w Korpusie Dowbora, nie mówiąc o Kijowie itd. ale ja się z tym nigdy nie zetknąłem, ani moi znajomi, ani krewni nie mieli żadnego kontaktu z POW — to były tylko takie echa, zdobyte przypadkiem jakieś pocztówki z jego wizerunkiem itp. Rosjanie wracający z frontu nic nie mówili o legionach. Byli ludźmi, którzy chcieli tylko wracać do domów i przestać się bić. Te ogromne oddziały rosyjskie, które przechodziły przez Mińsk... ja to ogromnie lubiłem jeszcze jako dziecko, dlatego że oni byli bardzo sympa-

tyczni, podwozili mnie na swoich wozach, tak że kiedyś pojechałem z nimi dobrych 5 czy 10 kilometrów za Mińsk z tymi żołnierzami i gdyby przypadkiem jeden z moich kuzynów — wojskowych, który tam przejeżdżał, mnie nie zobaczył i wyciągnął stamtąd, to nie wiadomo dokąd bym zajechał. To taki dziwny naród ci Rosjanie, połączenie dobroduszości — mówię o takich prostych ludziach — z nagle wybuchającym zupełnie nieoczekiwanym okrucieństwem. Sympatie prorosyjskie w Kongresówce przed pierwszą wojną, a nawet w czasie wojny były kolosalne; Piłsudski był przyjęty wrogo. To społeczeństwo było wychowane w tradycjach endeckich. To jest paradoks polski, że ta mentalność endecka, jakaś taka prymitywnie nacjonalistyczna jest niesłychanie powszechna w Polsce, z tym że oni nigdy nie dochodzą do władzy i zawsze zwycięża lewica, która jest w mniejszości. To jest tak od 1863 roku; gros wszystkich ruchów stanowili „biali” a do powstania doprowadzili „czerwoni”. To samo było jeżeli chodzi o pierwszą wojnę, to taki chyba typowo polski fenomen. To samo w pewnej mierze istnieje i dzisiaj. To społeczeństwo jest tak samo endeckie, antysemityczne wszystko co można powiedzieć o nim najgorszego, a jeżeli się weźmie prasę czy publicystykę to wszystko jest lewicowe, poza jednym „Tygodnikiem Powszechnym”, nie ma żadnego dobrego pisma prawicowego. Do tego dochodzi, że nawet „Tygodnik” uważany jest za pismo lewicowe.

Czy któryś z Giedroyciów zajmował się wydawaniem książek czy pisma?

Nie znam takiego. Chociaż owszem, wydano w XVIII wieku pierwsze tłumaczenie Biblii na język litewski. To finansowali Giedroycie; raz wydane to było przez arcybiskupa Melchiora Giedroycia a drugi przez biskupa Stefana Giedroycia, członka Rady Nieustającej za Stanisława Augusta, zresztą postaci bardzo nieciekawej politycznie. I był jeszcze jakiś Giedroyc lekarz w Warszawie na początku naszego wieku, który pisywał jakieś fachowe dzieła medyczne. To jest też jedyny Giedroyc, który znajduje się w peerelowskiej encyklopedii, ale on zajmował się tylko sprawami medycznymi i nie ma w tym nic dziwnego.

Jak wyglądała biblioteka w Pana domu, co Pan czytał, na jakiej literaturze się Pan wychował?

Bardzo trudno to powiedzieć. Ta literatura była niesłychanie urozmaicona, ja zacząłem czytać bardzo wcześnie, korzystając z zupełnego braku kontroli przez dorosłych pozycji, które czytałem. Pamiętam, że kiedyś w czasie jakiejś lekkiej choroby, która mnie położyła do łóżka masę rzeczy przeczytałem m.in. Tetmajera takie opowiadanie *Panna Mery* czy coś takiego i kiedyś w towarzystwie popisałem się tym, a to była problematyka bardzo drastyczna, i wszyscy zamarli. Wtedy już próbowano kontrolować moje lektury ale bez większego powodzenia. To była lektura bardzo rozproszona, bez specjalnych zainteresowań, głównie polska i rosyjska; moja francuszczyzna była wtedy — zresztą tak jak i dzisiaj — bardzo słaba. Zainteresowania historyczne przyszły znacznie później, dopiero na uniwersytecie.

Jak przyjęła 11 listopada 1918 roku Pana rodzina, znajomi?

Z dużym entuzjazmem, ale tylko tyle. Nie odbierano tego jak jakiegoś spełnienia dziejowego ale rozumiano, że jest to rzecz bardzo ważna. Było np. zupełnie zrozumiałe, że będąc wtedy jeszcze w szkole poszedłem do wojska jako harcerz, ale pracowałem tam na poważnym stanowisku telefonisty przy generale Jelletyniku co zresztą uratowało mnie. Moja nauka polegała na z trudem uzyskiwanych trójkach, więc akurat miałem poprawki z matematyki, których prawdopodobnie bym nie zdał nawet po wakacjach, ale ta służba wojskowa mnie uratowała; uważano mnie za bohatera i poprawka była tylko formalnością.

Studiował Pan na Uniwersytecie Warszawskim.

Studiowałem prawo, ale to nie był właściwie wybór, ja po prostu nie bardzo wiedziałem co robić. Poszedłem na prawo dosyć przypadkowo, jako na takie studium, które dawało jakieś szersze możliwości. Dopiero po skończeniu prawa, zapisałem się na historię, zajmując się historią Ukrainy, też na Uniwersytecie Warszawskim i tu kierowałem się już zainteresowaniem. Chodziłem przez dwa lata ale studiów historycznych nie skończyłem.

Spotkał się tam Pan na studiach z rówieśnikami z różnych zaborów. Czy były jakieś różnice między wami?

Chyba nie, zresztą mało to pamiętam; spotykałem się tam z wieloma osobami, ale życie akademickie dla mnie to był głównie ruch korporacyjny, gdzie było trochę ludzi z Kresów, w którym dominowali właściwie studenci z Kongresówki. Dzielnicowe antagonizmy nie odgrywały większej roli. Kiedy przyszedłem na Uniwersytet w korporacjach zaczęli dochodzić do władzy endecy, zajmując miejsce lewicującej młodzieży narodowej. I wtedy się zaczęły rządy endeckie. Było to bardzo podobne do tego co działo się w partiach politycznych, może nawet w większym stopniu, dlatego że na uczelniach wpływy endeckie były decydujące, a ruchy lewicowe — PPS czy Młodzież Demokratyczna — były bardzo słabe. Ale to nie miało praktycznie wpływu na przebieg studiów, na wybór Rektora itp., głównie sprowadzało się do walki o to kto będzie rządził „Bratniakiem”, kto będzie prowadził koła naukowe. Chodziło o opanowanie takich czysto akademickich, czysto wewnętrznych, studenckich instytucji. Natomiast na rodzaj i sposób prowadzenia wykładów nie miało to żadnego wpływu. Jeżeli występowały pewne nieporozumienia czy tarcia, to były rezultatem antagonizmów profesorskich. Tutaj dominował Cienkoprawny, oraz Jarra, człowiek zbliżony do ruchu narodowego i dosyć tępawy profesor, który wymagał wykuwania na pamięć teorii prawa. To on wyeliminował Petrażyckiego, a Petrażycki był człowiekiem bardzo popularnym wśród młodzieży. Właśnie Petrażyckiego, którego słuchałem z przyjemnością wspominam szczególnie, chociaż jego wykłady były nieobowiązkowe. Poza nim może Ruszkowski — koronna postać prawa rzymskiego — oraz ksiądz Grabowski, endecko nastawiony, który wykładał teologię. Zupełnie nie miałem pojęcia o tych rzeczach, poszedłem na egzamin z duszą na ramieniu, w towarzystwie jakichś dwóch studentek, z których jedna była Żydówką, i on zadał nam pytanie co to jest cmentarz. One nie bardzo wiedziały co na to odpowiedzieć, a ja odpowiedziałem: miejsce pogrzebu dla wiernych. „O! Tak się odpowiada” — i dał do zrozumienia, że tylko Aryjczyk — czyli tylko katolik — może w taki sposób odpowiedzieć, i na szczęście nie miał już żadnych dalszych pytań. Poza tym muszę wyznać: uczyłem się źle, do nauki się nie przykładałem, i wielkich rezultatów nie miałem; na Uniwersytecie byłem już wtedy bardzo pochłonięty działalnością społeczną, przede wszystkim w ruchu akademickim i w dziale zagranicznym Polskiego Związku Akademickiego. Tak, że praktycznie biorąc nie chodziłem na wykłady, uczyłem się, właściwie kułem przez ostatnie dwa miesiące czy miesiąc przed egzaminami. Mieszkaliśmy wtedy w Warszawie: rodzice, dwaj bracia, z których jeden był młodszy ode mnie o dwa lata, a między mną a Dudkiem jest różnica 12 lat oraz ja. Ojciec był urzędnikiem miejskim, to znaczy prowadził aptekę w szpitalu Świętego Łazarza, a poza tym działał w związkach zawodowych. Nie był socjalistą, ale był jednym z twórców pracowniczych związków zawodowych w Warszawie. Przez pierwsze dwa lata, 1926–1927, zajmowałem się głównie ruchem korporacyjnym i pracą w wydziale zagranicznym MSZ. Nieco później zacząłem „Bunt Młodych” i moją działalność, można powiedzieć, polityczną. Robiłem to rzecz jasna kosztem studiów, uczyłem się tylko przed egzaminami, ale też w dużym stopniu kosztem życia rodzinnego. Ożeniłem się dość późno i dzieci nie miałem, ani ja, ani moja ówczesna żona nie myśleliśmy o zakładaniu rodziny. W dużym stopniu uczucie rodzinne zastępowało mi

zajmowanie się moim bratem Dudkiem, a którego z powodu różnicy wieku, trochę traktowałem jako swego syna.

Czy dla Pana wybór obywatelstwa polskiego w roku 1918 był czymś naturalnym, czy był to wybór świadomy?

Dla mnie i mojej rodziny było to najzupełniej naturalne. To był problem dla rodzin tego typu co Czapscy o charakterze międzynarodowym, bardzo związanych nie tylko z arystokracją czeską czy niemiecką ale także bardzo silnie związanych z Rosją w znacznie większym stopniu niż inni. Jeżeli się ma w rodzinie Cziczerynów czy Stackelbergów to tam mogą powstawać takie problemy ale dla ogromnej większości polskiego ziemiaństwa kresowego to nie stanowiło problemu. Również dla bardzo licznej inteligencji polskiej w takim Petersburgu, gdzie była duża kolonia polska lekarzy, inżynierów, ludzi bardzo dobrze usytuowanych; dla nich problemu nie było. Polska to była Polska i przyjęcie obywatelstwa było czymś oczywistym. Nawet ludzie tego typu co Aleksander Lednicki, którego bardzo wysoko cenię, ale który był jednak twórcą „kadetów”, i któremu bardzo dużo zawdzięczamy np. uchwały rządu księcia Lwowa, uznanie niepodległości Polski, też nie miał żadnych wahań co do swojej narodowości i przyjął obywatelstwo polskie z miejsca, przyjmując stanowisko szefa komisji likwidacyjnej etc., a potem funkcje w Polsce. Zupełnie zresztą nie wykorzystany. I tu jest pewna wspólna cecha ludzi, którzy przyszedli z Rosji; ci ludzie przeważnie nie znaleźli dla siebie miejsca. Byli przyzwyczajeni do jakiegoś oddechu, powiedziałbym, imperialnego. Lednicki był szefem jednej z największych partii rosyjskich; Jaroszewicz wielki przemysłowiec w skali imperium i inni, to są ludzie, którzy dusili się w Polsce; Polska była dla nich za mała, a Polacy patrzyli na nich z nieufnością. To byli ludzie ze zbyt wielką fantazją, poczuciem ryzyka, czego przeciętny Polak specjalnie, przy swoim bardzo biurokratycznym wychowaniu, nie potrafił zrozumieć. To był wyraźny dowód na to, że Polska przestała być mocarstwem czy nawet większym krajem; po likwidacji Rzeczypospolitej Obojga Narodów, zamykaliśmy się w Polsce piastowskiej i cały czas widoczne było cofanie się, zawężanie obszaru polszczyzny do granicy etnograficznej.

A wojna 20-tego roku?

Czym się skończyła ta wojna? Traktatem ryskim. Myśmy nie byli w stanie prowadzić wojny dalej chociaż nas do tego zachęcano, dlatego że Polacy tego absolutnie nie chcieli i nie darowaliby Piłsudskiemu gdyby nie zawarł tego pokoju. Traktat ryski był przegraną Piłsudskiego; zrezygnowaliśmy z Białorusi i z wielu innych rzeczy, wychodząc z założenia, że można wziąć tylko to co potrafimy zasymilować. Przypuszczano, że to zasymilujemy. A przecież można było stworzyć Republikę Białoruską, takie też było założenie Piłsudskiego, stworzenie wielkich krajów federacyjnych. Mieliśmy też wiele możliwości na Ukrainie, jakkolwiek zbyt późno do tego się zabraliśmy, tak było z Petlurą, któregośmy nie tylko nie potrafili wykorzystać ale któregośmy zdradzili. Największy kłopot był z Litwą, którą tak samo przegraliśmy. Pomysł Litwy Środkowej, a później przyłączenie jej do Polski jako województwa wyszedł od Polaków tam mieszkających i nie tylko od endeków, nawet od Piłsudczyków. To był ten polski, wąski nacjonalizm. Szanse stworzenia Litwy Środkowej były czysto teoretyczne, ponieważ społeczeństwo polskie absolutnie odrzucało jakiegokolwiek podobne pomysły. Absolutnie odrzucało. Zresztą wszelkie projekty federacji to dziś już prehistoria. Dzisiaj o żadnych federacjach mówić nie można. Nawet Dmowski zakładał granice Polski bardzo szeroko, sprzed ostatniego rozbioru, ale on patrzył na to pod kątem widzenia Polski etnograficznej, dla niego mówienie o niepodległości Ukrainy było niepodobieństwem. Endecy powszechnie uważali, że „Ukraińcy” to jest wynalazek austriacki, że Austriacy wynaleźli problem ukraiński dla tępienia

Polaków. Białorusinami się gardziło... tak, że traktat ryski był podpisany nie tylko pod naciskiem stronnictw ale głównie opinii publicznej. Sprawa Mińska, gdy pojawiła się w parlamencie, to przeszła zupełnie bez echa. Pamiętam, potem czytałem w gazetach, że na galerii były dwa czy trzy głosy protestujące przeciw temu, ale cały sejm to przyjął jednomyślnie. To był bardzo zły sejm, bardzo rozbity, weszły tam najdrobniejsze stronnictwa, ale on reprezentował ówczesne społeczeństwo.

Problemem ukraińskim interesował się tam np. ksiądz Teodorowicz, niesłychanie ja-skrawo antyukraiński. Polacy, którzy starali się współpracować z Ukraińcami byli w znakomitej mniejszości. Co prawda Stanisław Stempowski czy Józewski byli w rządzie Petlury, ale właśnie ten rząd myśmy poparli zbyt późno i traktowali to jako kolonię. To doskonale widać w tzw. „żurawijkach”, piosenkach pułków kawalerii. Nie pamiętam dokładnie... „po majątki na Podole pułk 20. rusza w pole...”. Szło o odbieranie majątków polskich. Widać to również w książce nie bardzo politycznej tj. w *W polu* Rembeka, jednej z najlepszych książek o wojnie 20-tego roku, mimo że on tej sprawy nie porusza.

Jak zareagowali Ukraińcy, Białorusini, Rosjanie czy Żydzi na powstanie niepodległego państwa polskiego?

To była reakcja o charakterze wyłącznie socjalnym, nie narodowym; to już była rozpęta-na rewolucja, ruchy anarchistyczne np. Wańka Mahny. Element narodowościowy był minimalny. Nie miało dla nich żadnego znaczenia czy znaleźli się w granicach Polski czy Rosji. W opowiadaniu Eugeniusza Małaczewskiego *Koń na wzgórzu* widać wyraźnie, że wydarzenia te miały charakter rewolucji socjalnej.

Dużo bardziej skomplikowana była kwestia żydowska. Tutaj ogromną rolę odgrywały tradycje rosyjskie. Żydzi dominowali głównie w miastach litewskich, Wilnie i innych; oni tworzyli wszystkie komunistyczne i prorosyjskie organizacje, byli wychowani w języku, tradycji i kulturze rosyjskiej, fascynowała ich rosyjska literatura. W dużym stopniu samiśmy się do tego przyczynili. Kto z Polaków wie, poza kilkoma osobami jak Vincenz czy Miłosz, że Wilno było taką Jerozolimą żydowską, ośrodkiem chasydzkim znanym na całym świecie nie tylko wśród Żydów. Nikt o tym nie pamięta, a to było tuż obok nas. Nie było prób nawiązywania stosunków z Ukraińcami czy Żydami, a jeżeli było to przez jednostki. Nie można wiecznie podpierać się Stempowskim, Józewskim czy Vincenzem. To byłoby trochę za mało. O tym decydowali nawet piłsudzczy; kto prowadził akcję szlachty zagrodowej, akcję niszczenia cerkwi, hrynki? Wojsko to robiło. Kto wygryzł Józewskiego? Wojsko. Nie mówiąc o tym, że był zupełny chaos. Ja ostatecznie byłem bardzo specjalnym urzędnikiem państwowym wydając „Bunt Młodych” i zajmując się polityką, ale jak byłem w ministerstwie rolnictwa, to był okres kiedy bardzo się interesowałem problematyką ukraińską i często jeździłem do Małopolski, i tam mnie specjalnie interesował problem huculski i wtedy moim ministrem został Nakonieczniow-Klukowski, który wtedy był wojewodą lwowskim. Kiedy został ministrem i zostałem mu przedstawiony powiedział: a to Pan jest ten Giedroyć. Czy Pan wie, że gdy był Pan wśród Huculów to ja dałem rozkaz zaarrestowania Pana, tylko nie zdążyli bo Pan już wyjechał i wrócił do Warszawy? To dziwiło, bo niby jakim prawem ja rozmawiam z Huculami i to podejrzanymi Huculami? Nie wolno było z nimi rozmawiać. Moje stosunki z biskupem Chomyszynem, pośrednio z Szeptyckim, to wszystko było w najwyższym stopniu podejrzone. To były ogromne problemy, cała nasza polityka, Mackiewicz w „Buncie rojstów” nie przesadził. Weźmy np. wojewodę Bocińskiego, znam te sprawy o tyle, że wielu współpracowników „Buntu Młodych” i „Polityki”, takich jak Swianiewicz, Poczobut-Odlanicki, Miściszkiewicz, którzy siedzieli w tych sprawach białoruskich przede wszystkim, pochodziło stamtąd i wiem jakie mieli kłopoty. Jak niszczone szkolnictwo białoruskie, nie dopuszczano do tworzenia jakichś organizacji akademickich, czy

wydawania jakiegokolwiek pisma czy książek w języku białoruskim. Najidiotyczniejsza polityka; właściwie brak jakiegokolwiek polityki. Z jednej strony był taki Nakonieczniow-Klukowski, a z drugiej Józewski; jednocześnie przy wyraźnej polityce rządu mógł działać urzędnik małego typu, który się zajmował tymi sprawami, który postępował wbrew całej tej polityce. Ta polityka zaczęła się po zamachu majowym. Były nadzieje związane z osobą Piłsudskiego po zamachu majowym, ale z tego nic nie wyszło i bardzo szybko nastąpił kryzys rządowy. Trzeba pamiętać, że pierwszy gabinet Bartla upadł dlatego, że minister spraw wewnętrznych Młodzianowski wystąpił z wnioskiem o utworzeniu Uniwersytetu Ukraińskiego we Lwowie. I uchwalono wotum nieufności. I rząd musiał upaść. A Piłsudski już nie był tym samym Piłsudskim. Zawsze było jakby dwóch Piłsudskich: ten przed zabójstwem Narutowicza i traktatem ryskim i ten drugi po Sulejówku.

Proszę powiedzieć o Pana spotkaniu z Piłsudskim.

Z Piłsudskim się nigdy nie spotkałem poza jednym takim śmiesznym wydarzeniem, ale miałem dosyć interesujący kontakt z piłsudczykami dzięki Stanisławowi Zaćwilichowskiemu. To jest postać właściwie zupełnie nieznaną. W czasie zamachu majowego był on bardzo młodym oficerem drugiego oddziału z Wilna i w czasie zamachu znalazł się koło Piłsudskiego. Piłsudski zainteresował się jego niesłychanie bystrą inteligencją i powiedział: „moje dziecko, jak to się dobrze skończy zgłoś się do mnie”. A kiedy Zaćwilichowski zgłosił się, Piłsudski zrobił go szefem pierwszego gabinetu Bartla, i to był człowiek zupełnie fenomenalny. O ogromnej inteligencji, niesłychanym talencie organizacyjnym. Ja go poznałem przypadkowo przez wspólnych znajomych.

Czy Piłsudski miał w tym okresie duże zaufanie społeczne?

Trzeba pamiętać, że Piłsudski był zawsze kontestowany, chociaż w tej radzie obronnej państwa np. Dmowski przez cały czas go atakował. Piłsudski przez cały czas miał trudną sytuację, cała ta kampania oszczercza, kiedy insynuowano, że on ma u siebie skradzione insygnia królewskie, że ma bezpośrednie porozumienie z Kremlem itp. Legenda Piłsudskiego niepodzielnie zaważadnęła duszami Polaków dopiero po jego śmierci, do tej chwili był zawsze kwestionowany. Pierwsze wybory po zamachu majowym nie dały większości BBWR-owi. To było największe stronnictwo ale nie miało w sejmie kwalifikowanej większości.

Czy Piłsudski miał politykę wschodnią?

Nie. Piłsudski po zabójstwie Narutowicza był zupełnie innym człowiekiem. Był przekonany, że Polska jest nie do uratowania. To co on kiedyś powiedział: „zatrzymałem koło historii”. I wobec tego skoncentrował się na dwóch rzeczach tzn. na sprawach wojska i polityki zagranicznej. Reszta przestała go w ogóle interesować. Najlepszy dowód to sprawy ukraińskie. Józewski był dla niego człowiekiem bardzo bliskim, a mimo to nie stanął w jego obronie. Józewski został usunięty do Łucka i został niepoważnie mianowany wojewodą łuckim. I Piłsudski nawet palcem nie kiwnął; przestało go to wszystko interesować. Uważał, że to już jest beznadziejne. Poza tym pogorszył się jego stan zdrowia. W końcu spełniła się jego najbardziej pesymistyczna wizja przyszłości Polski, tzn. jak sam mówił: „jeżeli nastąpi N + R, to nic tylko na Placu Saskim czapki do modlitwy”. Jak by wyglądał 1939 rok, gdyby Piłsudski był zdrowy, trudno powiedzieć. Osobiście przypuszczam, że Piłsudski by jednak nie wypowiedział wojny Niemcom, zachowałby neutralność, nawet kosztem „korytarza”. Jeżeliby się mu to udało. Piłsudski był człowiekiem, który bardzo się nie liczył ze społeczeństwem, narzucał mu rzeczy niepopularne, ale czy to właśnie by się udało, nie wiem. W Polsce strach przed opinią publiczną był we wszystkich kołach, nawet w uważanych za dyktatorskie, ogromny. Pamiętam swoją roz-

mowę z Rydzem-Śmigłym w Rumunii, gdzie go dopiero osobiście poznałem, jak był internowany i trochę pomagałem w organizowaniu jego ucieczki, dojeżdżałem często do Dragoslavele, gdzie on był internowany i gdzie prowadziliśmy rozmowy. Pytałem go dlaczego — Panie Marszałku — dlaczego nie skrócono z miejsca frontu. Zamiast angażować się w obronę Pomorza czy poznańskiego, trzeba było ten front skrócić i miałibyśmy szansę na lepszą obronę. I on wtedy spojrzął i do mnie powiedział: „Proszę Pana niech Pan mnie nie uważa za idiotę, ja się z Panem całkowicie zgadzam, tylko” — i to cytuję dokładnie, tak mi zapadło w pamięci — „ale nigdy by mi naród polski nie wybaczył gdybym był pół Polski oddał bez strzału”. On się zląkł opinii.

Czy ten strach przed opinią publiczną opuścił go na szosie zaleszczyckiej?

To wynikało z innej koncepcji obrony. Po pierwsze nie liczone się z internowaniem, Rydz był przekonany, że tak jak w I wojnie światowej król belgijski, on również może odtwarzać armię i prowadzić wojnę z Paryża. Tu się zawiódł, dlatego że ta rzecz została storpedowana nie tylko przez internowanie ale też przez politykę francuską. Sikorski był tylko marionetką w rękach francuskich, to wszystko robił Noël, ambasador francuski, który nienawidził Becka, i dlatego Francuzi stawiali na Sikorskiego jako na człowieka całkowicie oddanego Francji.

Czy jakaś partia, czy ugrupowanie polityczne w dwudziestoleciu międzywojennym miały koncepcję polityki wschodniej?

Nie. Nie znam takiego programu. Pewne ruchy sympatyczne np. ruch „krajowców”, ale już wtedy były to rzeczy sympatyczne ale nie realne. Polityki nie było, były takie próby, które — kto wie — czy gdyby nie wybuch wojny, nie dałyby pewnych rezultatów. Mianowicie, bezpośrednio przed wojną w 1938 roku z taką inicjatywą wystąpił Piotr Borkowski, który stworzył taki mały komitet aby doprowadzić do autonomii Małopolski Wschodniej i to już było dosyć daleko zaawansowane. Ja brałem w tym dosyć czynny udział i udało się nam przekonać płk Wendę, który był szefem sztabu OZON-u, decydującej partii rządowej, i który się dał do tego namówić. Tak, że — prawdopodobnie — w 1940 roku to by się udało. Natomiast, o tym jak te rzeczy były trudne do przeprowadzenia świadczy moja rozmowa na ten temat z Niedziałkowskim, którego znałem i dosyć się wzajemnie lubiliśmy. Przyszedłem do niego, żeby oni to poparli jako PPS, on powiedział mi, że w żaden sposób. No, dobrze — powiedziałem — ale to przecież jest w waszych uchwałach któregoś tam zjazdu? Tak, ale przecież związki zawodowe do tego nie dopuszczają, tego nie zaakceptują. Z Witosem nie było tego typu rozmów o ile mi wiadomo. To wszystko się dopiero tworzyło; tam jeszcze był Łoś, Aleksander Bocheński i kilka osób. Stosunkowo niewielka grupa się tym zajmowała, ale to miało szansę przeprowadzenia. To byłby pierwszy krok ku normalizacji stosunków polsko-ukraińskich. Ze strony ukraińskiej było dużo dobrej woli. Nic konkretnego nie proponowali ale szli na te rozmowy. Bardzo blisko byliśmy z szefem UNDO, wicemarszałkiem sejmu Mudryjem. On bardzo przychylny był tym koncepcjom; już po wrześniu, jak tworzone Radę Narodową w Paryżu a potem w Londynie, był taki wniosek, projekt ażeby dokooptować Ukrainca, a mianowicie Mudryjego. Ja wtedy będąc w Bukareszcie komunikowałem się z nim i Mudryj był gotów wyjechać, niestety to nie doszło do skutku. Innym przykładem stosunku dużej części Ukraińców do Polski był Dmitrij Doncow, który redagował ukraiński „Wistnyk”, to był bardzo interesujący periodyk wychodzący we Lwowie w języku ukraińskim, nacjonalistyczny i bardzo faszystujący, lecz na bardzo dobrym wysokim poziomie. To był bardzo wybitny człowiek, świetny publicysta i bardzo ciekawa postać. Będąc wtedy w ambasadzie w Bukareszcie, to był chyba początek października 1939 roku, spotykam rankiem Doncowa w poczekalni. Znałem go więc pytam zdziwiony o co

chodzi. Okazuje się, że ten głupi Sławoj na kilka dni przed wojną zamknął go w Berezie Kartuskiej i jego uwolnili Niemcy i z honorami przywieźli do Berlina. Doncow po jakimś czasie wyjechał do Rumuni, niby do jakichś krewnych, i przyszedł do ambasady, żeby odebrać swój paszport polski. To nie była tylko kwestia legalizmu, ale — myślę — to był człowiek, który bardzo trzeźwo oceniał Niemcy i nie miał takich złudzeń jak wielu Ukraińców szczególnie na początku. Takich ludzi było w Polsce bardzo dużo. Litwini, np. Anczewicz, który zresztą był deportowany z Wilna przez Bociańskiego jako niebezpieczny lewicowiec, a który zachowywał się w czasie wojny niezmiernie przyzwoicie, był jakimś korespondentem litewskim w Niemczech i bardzo pomagał Polakom i utrzymywał z nami bardzo bliski kontakt. Takich rzeczy było bardzo dużo. Przez pewien czas OUN woziło ode mnie bibułę do Polski z Bukaresztu, i robili to nie dla mnie jako Giedroycia ale dla ambasady polskiej.

Czy konserwatyści z kręgu „Słowa” wileńskiego Cata-Mackiewicza czy „Naszej Przyszłości” Bobrzyńskiego nie starali się czegoś proponować?

Konserwatyści w Polsce niepodległej praktycznie biorąc nie odgrywali większej roli. Jedyną rzeczą dla nich charakterystyczną, to to, że — w przeciwieństwie do większości ziemiaństwa — byli nastawieni antyendekco i stanowili pewną dywersję w stosunku do chrześcijańsko-narodowych partii, specjalnie gdy doszedł do władzy Piłsudski, który zaczął ich kokietować, ale praktycznie biorąc oni bardzo niewiele reprezentowali. Nie mieli żadnego wpływu na władzę. Meysztowicz jako minister był bardzo słaby, może Janta-Pończyński jako minister rolnictwa próbował mieć jakąś politykę. Był do wykorzystania Janusz Radziwiłł, który był indywidualnością i człowiekiem bardzo ciekawym, ale jego nie można było dopuścić do władzy bo miał opinię germanofila i to mobilizowałoby natychmiast ludzi przeciwko niemu. Na samym początku niepodległości był to kandydat Piłsudskiego na ministra spraw zagranicznych i w moim przekonaniu byłby to bardzo dobry minister. Ale to było nie do przeprowadzenia dlatego, że to byłoby odebrane, nie tylko w Polsce ale na całym świecie jako uprawianie polityki proniemieckiej. To było niesłuszne, ale taką on miał opinię. Były spotkania w Nieświeżu ale to — poza czysto sentymentalnym momentem, bo u Piłsudskiego te rzeczy odgrywały dużą rolę — była kwestia wykorzystania poparcia konserwatystów do własnej polityki, do polityki wyborczej, do poparcia rządu. To się bardzo liczyło i to się udało; tacy panowie jak Tarnowski, Radziwiłł itd. popierali piłsudczyków do końca.

WSPOMNIENIA – BIOGRAFIE

KAZIMIERZ BRANDYS

(1916–2000)

Warszawa, lipiec 1999

Kochany Panie Kazimierzu,

Od dawna winna jestem Panu list. Winna jestem go również sobie.

Znałam Pańskie nazwisko z grzbietów Pańskich książek, których w moim domu ciągle przybawało, a Pańską twarz z podręczników historii literatury i z prasy, ale na majowych kiermaszach książki pod Pałacem Kultury nie zabiegałam o Pański autograf. Był Pan dla mnie bardziej symbolem polskiego pisarza niż pisarzem realistycznym. Zaczęłam Pana czytać gdzieś w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Miał Pan już za sobą ponad trzydzieści lat literackiego rzemiosła.

Wiele lat później okazało się, że przez nasze życie przewijają się ci sami ludzie. W mój świat wkraczali zwykle później i w innych rolach. O Hilarym Koprowskim, Pańskim koledze z gimnazjum Reja, z którym dzielił Pan pasje literackie, dziś wybitnym uczonym, napisałam książkę. Podobnie o Irenie Krzywickiej, emancypantce z obowiązkowym *lorgnon*, zapamiętanej przez Pana jeszcze z przedwojennej widowni Teatru Polskiego, i do końca z Panem zaprzyjaźnionej. Ze mną stykali się już inni, starsi, ale ta uparta powtarzalność każe mi wierzyć w jakiś wyższy porządek rzeczy.

„Dzieli nas różnica lat...” — pisał Pan do pani Z. Powtarzam to dziś w odwróconej sekwencji i wiem, że to jeden z powodów mojego do Pana przywiązania. Piszę ten list od lat, od pierwszej wizyty na rue François Miron w lipcu 1988 roku. Pamiętam to uczucie, kiedy pierwszy raz odnalazłam przycisk z Pańskim nazwiskiem na tabliczce z nazwiskami lokatorów budynku pod numerem 22 w jednej z najstarszych paryskich dzielnic, Le Marais. Pamiętam dlatego, że towarzyszy mi odtąd stale. Jest to pomieszanie radości i niepokoju, niecierpliwego oczekiwania na realizację marzenia, i lęku, że się dopełni. W drodze próbowałam znaleźć u bukinistów jakiś tom Słowackiego, jego okazałych rozmiarów portret wisiał w Pańskim mieszkaniu, choć wtedy o tym jeszcze nie wiedziałam. A potem przebiegłam przez plac przed ratuszem, gdzie przez wieki wieszano i ścinano skazańców, a heretyków palono na stosach i starałam się dotrzeć na François Miron przez zatłoczoną ulicę Rivoli. Nie znałam jeszcze wówczas przejścia na skróty obok gotyckiego kościoła St. Gervais. Zastanawialiśmy się potem, czy znał go Mickiewicz, z Towiańskim spotykał się na mistyczne modły po przeciwnej stronie Sekwany, w kościele St. Severin.

Nie czułam zdziwienia, że jest Pan w Paryżu, choć to Warszawa była Pańskim miastem, a o decyzji jej opuszczenia wyrażał się Pan zawsze z najwyższą niechęcią. Jeszcze w 1982 roku pisał Pan: „Przypuszczenie, że mógłbym nie wrócić, powoduje rodzaj psychicznych mdłości”. Pańska dusza mieszkała gdzieś w okolicach Rynku, a zakłeta była nie tylko w Pana rzeczywistym, ale i literackim świecie. Warszawa rosła Panu w legendę, odkąd zobaczył ją po Pan raz pierwszy. Był rok 1922. Zapamiętał Pan pomnik Mickiewicza właśnie, na Krakowskim Przedmieściu, i odkryty jak kawiarniana weranda tramwaj konny na Nowym Świecie. Tęsknotę łodzianina za Warszawą analizował Pan wiele lat później jako potrzebę osiągnięcia wyższego stopnia wtajemniczenia i porównywał ją Pan z marzeniem innych o Paryżu lub Rzymie.

Dużo wtedy o tym myślałam. Nie umiałam — rodowita warszawianka — wydobyć z siebie podobnych uczuć. Nie rozumiałam Pańskiej czułości dla Belwederu, Alei Ujazdowskich, Teatru Polskiego, dla Żoliborza (jako światopoglądu i obyczajowości), a potem kolejnych adresów na Lwowskiej, Narbutta, Nowomiejskiej. Tłumaczyłam to sobie nieznajomością Warszawy przedwojennej, a powojenna wydawała mi się sztucznym tworem — okaleczonym i przebranym w obowiązujący uniform. To miasto nie mówiło do mnie. Było nieme. A dla Pana otwarte. Do Pana przemawiała każdą ulicą i kamienicą. Ja nie potrafiłam zaludnić go wtedy postaciami z Prusa i Żeromskiego, z Singera i Gojawiczyńskiej. Dla Pana Judym, Wokulski i Muskat byli jego mieszkańcami. Dopiero z czasem zaczęłam to dostrzegać, a jeszcze później odczuwać. Nie bez Pańskiego udziału.

Znowu kwitną lipy. Wtedy, za pierwszym razem, powiedział mi Pan, że przypominam mu jego dawną sympatię ze ślizgawki, dziewczynę z Doliny Szwajcarskiej, poruszającą się na łyżwach w takt walca z filmu „Monte Carlo”. Nie wspominałam wówczas, że jestem wnuczką obozowego kolegi Pańskiego brata, Mariana. W Woldenbergu spędzili w jednym baraku pięć lat niewoli. Zachwył młodością, zachwył starością — czym są? Może odwrotną stroną tego samego pragnienia zgłębienia tajemnicy?

Nigdy nie byłam w Pańskim domu na Nowomiejskiej, może dlatego łatwo mi było wyznaczyć Panu — we mnie samej — miejsce przy stole na François Miron. Bardziej niż cokolwiek innego, ten stół był dla mnie jednoznacznym punktem odniesienia. Nie widok z okna, lecz kartka papieru, mozolnie wypełniana słowami. Sam otworzył Pan drzwi do swego pokoju, pozwolił czytelnikom „Miesiący” śledzić każdy ruch Pańskiego pióra i myśli. Przez dziesięć lat lepił Pan ów dziennik powieściowy lub też powieść w formie dziennika ze strzępów codzienności, fabuł i listów, dopuszczając do poufałości każdego, kto sięgał po tę książkę, w tym także i mnie. Trudno potem odmówić odpowiedzi na kłopotliwe pytania. Wiem, że starają się zrozumieć drogę, jaką Pan przebył od ostatniej ukończonej w kraju powieści do wyznania w jednym z ostatnich wywiadów — „Jestem z zaboru francuskiego i mieszkam w Paryżu”. Pomiędzy tymi datami stanął kalendarz blisko stu dwudziestu miesięcy rozruchów z polskością w wielu jej wariantach i przejawach.

We mnie nie było na ten temat zdziwienia. Wiem i rozumiem, że wewnętrzny ład, jeżeli takowy istnieje, nadaje Panu pisanie i tylko pisanie. Przed 13 grudnia 1981 prawdziwe życie, to, w którym chciał Pan uczestniczyć, działo się dla Pana w Polsce — w „żywołności niedosytu”, jak Pan to określił, „czasem dość owocnej”. Zwierzył się Pan kiedyś, że już po ośmiu dniach od wyjazdu wiedział Pan, że nie wróci. A cztery lata później pisał Pan do przyjaciół w kraju: „W gruncie rzeczy ożywna sprawdza się do kilkunastu osób plus historia i język. Reszta się śni”.

W 1986 roku podczas pobytu w Paryżu Tadeusz Konwicki zapytał Pana: „A jak z pisaniem? Czy tu się ma gaz?” „Nie wiem — odpowiedział Pan. — Tutaj się ma poczucie obnażenia losu.”

Nieznane mi są niepokoje „emigrozy”. Nie stanęłam nigdy na dobre przed koniecznością wyboru — bycia tu czy tam. Wybrałam rolę podróżnika, łatwiejszą, bo mniej ostateczną, najeżoną niebezpieczeństwami przychodzącymi z zewnątrz, a z tymi prościej się uporać. Podróżuję. Mapa świata jest dla mnie mapą ludzi. Jeden z ważniejszych duchowych przystanków znalazłam przy François Miron.

Nasze spotkania bywały długie. Ale kiedy wychodząc zamykałam za sobą drzwi, miałam pewność, że rozmowa jeszcze się nie skończyła, że jest jeszcze coś ważnego, czego sobie nie powiedzieliśmy. Musiało pozostać niepowiedziane, bo prowadziło do następnych wizyt. Zwykle w Paryżu, a od kilku lat również w podwarszawskich Oborach i Konstancinie. Często w drodze z lotniska lub na lotnisko, między samolotami za ocean. Raz zdarzyło mi się przyjechać autostopem do Mentony, na południe Francji, by zjeść z Panem obiad nad brzegiem Morza Śródziemnego.

Przez ostatnie lata długo Pan chorował. Po operacji brzucha w paryskim szpitalu Saint-Jean-de-Dieu jesienią 1995 roku nastąpiła infekcja i krwotok. Kolejne dwa miesiące nie odzyskiwał Pan przytomności. Dopytywaliśmy o Pana z lękiem, nie do końca zdając sobie sprawę, jak daleko Pan odszedł i co się właściwie z Panem dzieje. W końcu nastąpiło przesilenie. Komunikaty informowały o pierwszych słowach i pierwszych krokach, a potem postępach w powrocie z bezładnej wyspy choroby. Chorował Pan dramatycznie i zmusznie. Przez następne dwa lata trafił Pan do szpitala jeszcze pięć razy. Przedtem, mniej doświadczony, porównywał Pan chorobę z wybuchem wojny. Teraz nie skarżył się Pan.

Odwiedziłam Pana raz w klinice Saint-Maurice w Charenton. Był Pan słaby i apatyczny, z trudem próbujący śledzić moje nienaturalnie długie, nerwowe monologi o świecie zza szpitalnego plotu. Wydawał mi się Pan szczerze zatrzaśnięty w sobie. Ale lekarze twierdzili, że wszystko jest na dobrej drodze. Nie mówiliśmy o literaturze. Potem też nie. Z czasem zaczął Pan opowiadać swoje sny. Przypominały widzenia Witkacego po zażyciu peyotlu. Jego kolczatki — gryzonie, pokryte futerkiem o podwójnie rozwidlających się włosach przywodziły na myśl Pańskie egzotyczne zwierzątka: krzyżówki jaszczurek z kolibrami, na jakie w Pańskim śnie zapanowała moda w Warszawie.

— Czy Pan pisze? — pierwszy raz ośmieliłam się zadać Panu to pytanie w Konstancinie latem 1997 roku. A może brzmiało: — Dlaczego Pan nie pisze? Odpowiedział Pan tonem zniecierpliwionym, jakby z wyrzutem lub skargą: — A czy ja już do końca, już zawsze muszę pisać?

Nie umiałam wtedy tej odpowiedzi w pełni zrozumieć. — Nie — powiedziałam. — Tak — pomyślałam, sam Pan nas przecież do tego przyzwyczaiał.

Choroba pozostawała dla mnie zawsze w sferze imaginacji. Nie tylko dlatego, że w poważnej i godnej tego miana formie nigdy mnie nie dotyczyła. W mojej zuchwałości wydawało mi się, że zawsze będę umiała się z nią zmierzyć. Od dziecka bez trudu nauczyłam się zwalczać anginy, zapalenia migdałków, gorączki, dla porządku jedynie pozostając w łóżku tyle tylko, by nasycić się kilkoma ulubionymi książkami. Wiele lat później przeczytałam, że w młodości i Pan przejmował się bardziej dramatycznymi powikłaniami losów wymyślonych bohaterów niż kłopotami własnej rodziny.

I nam, dwa pokolenia później, zdarzało się w lekturach zatracić. Choroba pomagała w tym, zwalniając z obowiązku szkoły, a potem chwilami i życia, dając w zamian lekarstwo — nagrodę fikcji, o ilez słodsza niż konieczność dawania sobie rady z klasówkami codzienności. Wiedziałam, że to gra, rodzaj niezasłużonych wagarów. W miarę upływu lat coraz rzadziej mogłam sobie na nie pozwolić. Dorosłość wykluczała chorobę ze sfery zdarzeń możliwych.

A jeśli... zawsze udawało mi się ją zwalczyć siłą woli. Siła woli to było słowo-klucz pozwalające unieszkodliwić każdą przypadłość. Dopiero z czasem zaczęłam zdawać sobie sprawę z udziału w określeniu „siła woli” — składnika „siły”.

Ostatniego lata, w konstancińskiej kawiarni Buchmana, był Pan ożywiony, niemal radosny. Nie musiałam pytać, co się stało. Rósł rękopis. Utrzymuje Pan, że tytuł „Przygody Robinsona” był przypadkowy. Nie całkiem w to wierzę. Zbyt wiele w nim luster. Znalazł się Pan na kolejnej wyspie, innego niż geograficzne wygnania. Tam oswojenie samotności okazało się jeszcze trudniejsze.

Dotychczas leczył ją Pan tworząc fabuły. Nie umiał Pan funkcjonować bez odpowiedniej dawki słów. Jeden z Pańskich bohaterów, nazwiskiem *nomen omen* Kruzoe, zaspokajał swoją potrzebę fikcji wymyślaniem dla amerykańskich studentów nierzeczywistej historii polskiej literatury. Pan tworzył prozę własną. Zaczęło się w szkole, kiedy na lekcji polskiego w klasie wstępnej „przeczytał” Pan z zeszytu nieistniejące wypracowanie „O kóźce”. Czar trwał, dopóki kolega przypadkiem nie zerknął w pusty zeszyt. „Proszę pana! Tam nie ma nic napisane!” — krzyknął osłupiały do nauczyciela. Dostał Pan dwie dwójce, z polskiego i ze sprawowania. Nie pomogło. Z czasem konieczność wymyślania stała się cielesną potrzebą organizmu. Fabularyzowanie świata weszło w krew. Nie mógł Pan i nie chciał uwolnić się od tej zależności.

Jakiś czas temu przyśnił mi się trudny sen o własnej chorobie. Pamiętam z niego kolorowe światła dyskotekowej lampy nad operacyjnym stołem, ostatni szew błękitnej dratwy gdzieś w okolicy brzucha i późniejszą euforię gadulstwa we wszystkich znanych mi językach. A potem, prócz bólu, którego się spodziewałam i który był oczywistością, dojmujące było owo poczucie niemożności wydostania się z siebie ku światu. Zasupłana w kropłówce i rurki nie byłam w stanie pokonać bezwładu. I wtedy zobaczyłam Pańską twarz. — Słabość — szeptał Pan do mnie — sł-

bość, słabość. Po chwili odwrócił się Pan i odszedł paryską ulicą w płaszczu i ciemnym szaliku przerzuconym przez ramię.

Obudziłam się spadając z porośniętej ostem brunatnej skały.

Kończyłam lekturę „Przygód Robinsona”.

Mówi Pan, że napisał je dzięki swoim snom, narkotycznym majakom, zjawom, halucynacjom. Starożytni mieli je za boskie, gdyż powstawały z inspiracji duchów. Widziadła, wywołane środkami uśmierzającymi pozwalały Panu przetrwać w niedostępnym bólowi świecie. Nie tylko ubarwiały monotonię szpitalnych miesięcy w klinice Defence i przynosiły ulgę, ale również godnie zastępowały rzeczywistość. Broniły dostępu świadomości, sprawiając, iż nie zdążył się Pan rozgościć we własnym umieraniu.

Przetrwał Pan niejako pod opieką fikcji. Kiedy znalazł się Pan w potrzebie, w odruchu wdzięczności starała się spłacić zaciągnięty dług. Owe sny traktuję jako wynagrodzenie za lata cierpliwej służby.

Na jawie, po przebudzeniu, nie umiał Pan ani mówić ani chodzić. Nauka trwała długo. Kine-terapeuta stawiał Pana między dwiema równoległymi barierami. Czekał. Pańskie ciało potrzebowało podpórek i kul. Dusza także. I wtedy chwycił się Pan słów, zrazu nieświadomie, w marzeniu, a potem coraz pewniej i śmieiej. Wydaje mi się, że nie był to już odruch bezwarunkowy, jak dawniej, ale wynik trudnej pracy i żelaznej dyscypliny. Siła woli, o której tyle zdarzyło mi się fantazjować, znalazła w Panu idealnego realizatora. Zaprzeczył Pan nie tylko prawom bólu, ale i czasu. Odwrócił wskazówki biologicznego zegara. Nie każdy ma odwagę podjąć taką walkę. I wygrać ją.

Uratowali Pana lekarze i niestrudzona obecność żony. Ale szybko sam stawał się Pan reżyserem własnego ocalenia. Po raz kolejny podjął Pan grę z nierzeczywistością. Kroił Pan z tego, co było pod ręką. Ze snów, wspomnień, listów, fragmentów zmyślonych, wyśnionych i przeżytych. Nie bez powodu nazywa się Pan sędziwym weteranem powieści. Jeszcze raz użył Pan zmyślenia jako niezbędnej korekty rzeczywistości.

Pierwsze napisane przez Pana zdanie równoznaczne było dla mnie z okrzykiem lekarza w najbardziej krytycznym stadium Pańskiej choroby: „Będzie żył!”

Podziwiałam Pana wtedy. Podziwiam czytając „Przygody Robinsona”. Są wielką lekcją pokory. Są również lekcją wierności we wspólnym losie do końca, a nawet dłużej.

Dawno temu nauczył mnie Pan, jak nauczył każdą swoją czytelniczkę, jak być kochaną. Teraz nauczył Pan jeszcze czegoś więcej.

List, aby coś znaczył, powinien być krótki. Spieszę się teraz, aby wrócić do Pańskich książek. Przed tym spotkaniem obłożyłam się nimi od nowa. Jeszcze raz spacerowałam z Panem po ścieżkach parku dzieciństwa na stronicach „Małej Księgi”. Dziwne, nie tak wyobrażałam sobie Pański rodzinny dom i Pańskie najwcześniejsze wspomnienia, ale uświadamiam to sobie dopiero teraz. Razem z Panem stoję jak sparaliżowana na Krakowskim Przedmieściu — po drugiej stronie, tuż za uniwersytecką bramą, korporanckie bojówki biją studentów-Żydów. Jestem świadkiem — jednak szkoda, że tylko świadkiem — na Pańskim ślubie w podwarszawskim Emilinie, ubrany jest Pan odświętnie, w pożyczoną koszulę. Rozstajemy się. Na krótko. Potem — już sławny i tłumaczony, wyjeżdża Pan na zachód Europy, a mnie zjada zazdrość o tę szantrapę, panią Z.

Oklaskuję Pana na kolejnych premierach: w STS-ie, gdzie Andrzej Łapicki nie gra, ale żyje jako bohater „Sposobu bycia”, potem w nieistniejącym już dziś kinie „Moskwa”, na filmie pod tym samym tytułem. Razem z Panem — przepraszam, razem z autorem ostatniego listu „Wariacji pocztowych” unoszę rękę na peronie Dworca Gdańskiego, żegnając...

Przyzwyczaił Pan nas do swoich opowieści. Wydaje się, że ich zapas jest niewyczerpany, a Pańskie siły — niezmężone. Czekam na Pańskie książki. Nowe książki. Proszę pamiętać, że pisarze żyją wiecznie, a Panu w niebiańskim paszporcie w rubryce „zawód” wpisano właśnie to słowo: pisarz.

Agata Tuszyńska (Warszawa)

JERZY GIEDROYC

(1906–2000)

Nie ma przykładu w historii, by człowiek, który nie był tradycyjnym bohaterem narodowym — ani wielkim wodzem, ani politycznym przywódcą, ani wieszczem — osiągnął za życia taki moralny autorytet, takie miejsce w świadomości narodowej, jak Jerzy Giedroyc.

Nie dbał o popularność, mówił zawsze prawdę, która przeważnie była twarda i gorzka dla rodaków. I choć robił to do końca, choć w swych wywiadach i rozmowach, „Notatkach Redaktora” w „Kulturze” nie oszczędzał nikogo z rządzących dziś krajem, poczynawszy od najwyższych — sejm, ten przedstawiciel narodu, tak zawsze skłócony, stojąco uczcił jego pamięć.

Niemal cały wiek i całą epokę polskiej historii Giedroyc zamknął w swym długim życiu od chwili gdy wdział mundur w 1920 r. by bronić Warszawy. Miał wtedy 14 lat i przez osiem następnych dziesiątków lat nie przestał służyć Polsce.

Jego biografia jest skrótem tych czasów i nie brak w niej żadnego z ich ważnych wydarzeń, ani żadnego ważnego nazwiska.

Jedyną pasją jego życia była wielka polityka i w jej centrum ta Polska, którą chciał widzieć — praworządna, demokratyczna, żyjąca w zgodzie z sąsiadami. Myślał o tym już przed wojną, gdy wydawał pisma polityczne, w których pisali młodzi, później głośni publicyści i gdy pracował w państwowej administracji na coraz bardziej odpowiedzialnych stanowiskach.

Gdy go raz zapytano, jakie miał przed wojną dalsze plany życiowe, odpowiedział, że pewnie by kandydował do sejmu. Byłby to pierwszy stopień, by iść coraz wyżej: różni jego późniejsi biografowie widzieli go jako znakomitego premiera, a nawet prezydenta. Sceptyczny i nieskłonny do pochwał Waław A. Zbyszewski już w 1943 r. napisał w liście do Adolfa Bocheńskiego, że „...Giedroyc to jest *capasitas*, która może sięgnąć tam, gdzie się sprawy decydują”. Ale znając Giedroycia w jego ponad półwiecznej działalności, trudno sobie wyobrazić, by w Polsce, kraju pozbawianym etosu praworządności (tak w życiu publicznym jak prywatnym), ktoś tak niezłomny w swoich przekonaniach i nakazach moralnych miał szansę utrzymać się ponad grami politycznymi i stać się tym, czym stał się poza krajem „sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem”, niezależny od nikogo, wierny tylko swojej prawdzie.

Gdy wybuchła wojna, Giedroyc znowu włożył mundur i przeszedł polską drogą wojenną z 2. Korpusem przez Bliski Wschód i Włochy, razem z Józefem Czapskim przydzielonym przez gen. Andersa do Propagandy. Ostatnim etapem tej pracy było założenie w Rzymie, z inicjatywy Giedroycia, Instytutu Literackiego, którego zadaniem stało się wydawanie książek, poczynając od *Ksiąg Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego* Mickiewicza, a także albumów pamiątkowych, które chciała mieć każda dywizja i kompania.

Jeszcze w Rzymie Instytut zdążył wydać w 1947 r. pierwszy numer „Kultury”, która natychmiast stała się najważniejszą sprawą wydawnictwa dla jej inicjatora, Giedroycia. W 1948 r. Instytut przeniósł się do Paryża wkrótce przestał być legendą wojska i stał się prywatną instytucją. „Kultura” w tym czasie z kwartalnika zmieniła się na miesięcznik i z pisma literackiego, jakim miała być, na pismo wszechstronne, przeznaczając wiele miejsca na politykę i sprawy społeczne. W jednoosobowej paryskiej redakcji Giedroyc był jej głową, pasją, panem i niewolnikiem. Wyrzekł się prywatnego życia, pracował — do ostatnich dni — po 18 godzin na dobę, każde wydrukowane słowo było przez niego przeczytane i sprawdzone. „Kultura” była więc ideowym przesłaniem, ale choć nieraz nie zgadzał się z autorem, drukował go, gdy uznał nadrzędne znaczenie jego racji.

Z latami Instytut Literacki zaczął — obok „Kultury” — wydawać „Zeszyty Historyczne” (1962), a jeszcze wcześniej (1953) powstała „Biblioteka Kultury”, by wydawać książki pisarzy emigracyjnych i dysydenckich z Polski i innych krajów sowieckiego imperium, jakie nie mogły tam się ukazać. 636 numerów „Kultury”, 132 „Zeszytów Literackich”, niemal 500 książek. Była to nie tylko lektura, ale broń w walce o wolność własnego kraju i innych. Przez lata wydawnictwa

Instytutu Literackiego, przemycane masowo i z wielkim niebezpieczeństwem do kraju, tam powielane w podziemnych drukarniach, otwierały oczy na wolny świat, podtrzymywały na duchu, uczyły jak trzeba żyć z godnością, jak odrodzić swój kraj i jak nim rządzić, gdy będzie wolny, jak znaleźć dla niego miejsce wśród innych narodów.

„Z czołobitną podzięką, że pomógł nam Pan tutaj przetrwać kilkadziesiąt lat” — zwrócił się do Redaktora ktoś w rozmowie internetowej, przeprowadzonej z nim w lipcu br. w 94. rocznicę Jego urodzin.

Po 1989 r. każdy kto w Polsce chciał podnieść swój prestiż, czy prywatnie, czy po to by mieć głos w rządzeniu, powoływał się na czytanie „Kultury”, gdy była zakazanym owocem. Znajomość jej była uważana za nominację na godnego szacunku, świadomego swych obowiązków obywatela nowej Polski.

W ostatnim dziesięcioleciu powstała i nadal powstaje olbrzymia literatura poświęcona Giedroyciowi i „Kulturze”, tworząc w bibliotekach nowe działy. Są tam tomy korespondencji Redaktora z pisarzami, analizy jego politycznych i historycznych poglądów, biografie, rozważania nad jego miejscem w historii, doktoraty honorowe, wywiady, literackie impresje z historycznego już Maisons-Laffitte i niezliczone bibliografie (m.in. wydawnictw podziemnych Instytutu, czy jego pomocy krajowi).

Dawniej do Laffitu ściągali po kryjomu przyjezdni z Polski, wyrwawszy się na krótko na Zachód. Od ostatnich dziesięciu lat nie było prawie dnia bez wizyt oficjalnych i prywatnych. Przyjeżdżali najwyżsi dygnitarze, czołowi politycy, pisarze, reporterzy, telewizja i przygodni turyści, którzy nie mogli sobie wyobrazić, by będąc w Paryżu nie poznać Wielkiego Guru. Może najbardziej cieszyły Redaktora, nieczulego na honory i hołdy, liczne wycieczki młodzieży, z którą łatwo było mu się porozumieć. Potem często przychodziły listy. „Jestem licealistką w Opolu. Jest Pan Wielki.” Nic więcej, tylko tyle i podpis. „Inne życie się zaczęło, gdy dzięki Panu dostaliśmy «mówione książki»” (Bożena ze szkoły dla niewidomych). „Dobrze, że Pan jest...” (Jarek z Płońska). „Pan to jak latarnia morska, co pokazuje drogę” (nauczycielka z Pleszewa). „Wzruszenie ściska mnie za gardło, gdy piszę te słowa. Zrobił Pan tak piękną sprawę. Joasia płakała ze szczęścia, że może się dalej uczyć. Jest Pan Niezwykły. Nie mam słów by wyrazić wdzięczność” (Z. M. z Pustkowa).

Gotowość przyjścia z pomocą każdemu kto jej potrzebował, w sprawach wielkich i małych, była może najmniej znaną cechą Redaktora, który bał się jakiegokolwiek słabości, by mu nie odebrała sił. Pewnie by się oburzył, gdyby Go posądzić o dobroć. Może odpowiedziałby tylko zimno za Przełęckim „Takie są moje obyczaje”.

Na urodziny Redaktor dostał kiedyś „laurkę”, w której ofiarodawca zabawił się wymianianiem skrótów na określenie sylwetki Redaktora, jakie gdzieś przeczytał czy usłyszał. Niektórzy ich autorzy byli znani, inni — z różnych stron świata — anonimowi.

„...Największa osobowość i najsilniejszy charakter polskiej emigracji po II wojnie światowej... Jedna z czołowych postaci naszego życia narodowego” (Tadeusz Drewnowski, „Plus Minus”, „Rzeczpospolita”, 14–15.11.1998); „Ostatni z wielkich Jagiellonów” (Adam Michnik, Magazyn „Gazety Wyborczej” 20–21.11.1998); „Największy żyjący Polak” (Krzysztof Masłoń, warszawska „Kultura”, 20.5.1999); „Król Duch polskiej myśli politycznej” (Kanada); „Polak numer jeden” (Szwecja); „Samotnik wśród tłumy” (Polska); „Książę Niezłomny” (Francja); „Redaktor stulecia” (Malta); „Moralista najsurowszy dla siebie” (Anglia).

Najpełniej i najcelniej ujęła to Fundacja Kultury Polskiej, motywując przyznanie Giedroyciowi — jako pierwszemu — swej nagrody Złotego Berła:

*za życie i dzieło
za umysł i wizję
za hart ducha
i prawość charakteru*

„Ty nigdy nie umrzesz” napisała kiedyś Agnieszka Osiecka w poświęconej Giedroyciowi piosenke. Inni czuli tak samo i nie mogli uwierzyć, że zawiódł po raz pierwszy w życiu. Choć nigdy już nie usiądzie za swym historycznym biurkiem, choć żegnamy się z Nim ostatnim numerem „Kultury” — „nie wszystek umarł” i długo jego nieobecna obecność pozostanie w pamięci narodowej.

Stefania Kossowska (Wielka Brytania)

WCZESNE LATA WARSZAWSKIE

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI (1919–2000)

Syberyjski klasyk Herlinga-Grudzińskiego *Inny świat* zaćmił niemal wszystkie późniejsze wspomnienia tych co przeżyli zsyłkę do sowieckiej Rosji w czasie drugiej wojny światowej. Z jednym równie klasycznym wyjątkiem *Na nieludzkiej ziemi* Józefa Czapskiego. Herling wzbogacił tym dokumentem literaturę polską i historię tego niezwykłego okresu. Jako początkujący wówczas pisarz i kronikarz wykazał w tej książce dyscyplinę wewnętrzną pisząc bez skargi i bez osobistego cierpiętnictwa. W sumie pisał o doświadczeniach wszystkich tych, których los rzucił w ten tak rzeczywiście inny i nieznaną wtedy świat. *Inny świat* zaczął ukazywać się w druku we wskrzeszonych londyńskich „Wiadomościach” w roku 1946. Czyli pół wieku temu. W następnym półwieczu twórczość Herlinga rozkwitła na dobre. Inni zajmą się na pewno tą twórczością i jego życiem w pierw w akcji wojennej w 2. Korpusie, potem krótko w Londynie, w Paryżu, w Monachium i wreszcie w Neapolu gdzie życie zakończył. Ten szkic to tylko krótkie wspomnienie osobiste, napisane zaraz po jego śmierci.

Byliśmy rówieśnikami z roku 1919. Tak się stało, że znaleźliśmy się najlepiej w latach 1936/1937, może też częściowo w 1938, w Warszawie, jeszcze przed maturą. Spotykaliśmy się w młodzieżowym klubie literackim „Parabumba”, w starej teatralnej kawiarni na ulicy Miodowej. Myślę że twórcą tego klubu byli starsi od nas studenci ze Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej, a więc najpewniej nieżyjący już Aleksander Meleń-Korczyński, prawnik, po wojnie publicysta w Stanach Zjednoczonych, i zmarły w Londynie Ryszard Zakrzewski, członek rządu R.P. w Londynie i znany działacz społeczny wśród Polonii brytyjskiej. Najpoważniejszym literatem był starszy od nas polonista, krytyk i poeta Ludwik Fryde, którego Herling-Grudziński uważał za swojego mistrza. Fryde był już wtedy znany jako dobrze zapowiadający się pisarz, któremu wrócono wielką przyszłość. Zainteresowaniem Herlinga było dążenie do doskonałości w posługiwaniu się językiem polskim. Stąd w „Parabumbie” odbywały się długie, choć nieśmiałe debaty o klasycznych autorach polskich i współczesnych debiutantach. Fryde przewodził tym debatom jako dyrygent, a jego pierwszym skrzypkiem był zwykle Herling. Pamiętam zaciekle debaty na temat skamandrytów. Fryde, a za nim Herling i inni, uważali że skamandryci nie należą do żadnego kierunku literackiego, ani żadnej kategorii, ale są zjawiskiem wyjątkowym powstałym razem z odrodzoną Polską i wobec tego przeminą gdy polska świadomość literacka się ustali we własnym klimacie. Fryde nie uznawał szopek politycznych Tuwima, Słonimskiego czy Hemara za literaturę a jedynym według niego wielkim poetą w grupie skamandrytów był Lechoń. Na drugim miejscu stawał Tuwima, Iwaszkiewicz i Słonimskiego. Wśród bywalców „Parabumby” byli między innymi, Marta Wańkiewiczowa i jej siostra Krystyna, Kazimierz Koźniewski, Jan Krzysztof Sterling, Jan Strzelecki, Jan Kott. „Parabumba” nie miała żadnego wyrazistego zacięcia politycznego. Nie pamiętam kto był autorem tej nazwy. Był to raczej kociołek, w którym spotykali się młodzi piłsudczycy, młodzi niezdecydowani i młodzi lewicowcy. Wszyscy tak czy inaczej chcieli pisać i drukować. Jedyne dostępne pisma to były „Kuźnia Młodych” i powstała trochę później „Orka Na Ugorze”, w którym chyba debiutował Herling i wielu z nas. Pismo miało charakter lewicujący ale zbliżony do piłsudczyków. Z „Parabumby” wyszło zaledwie parę wydań pismka pod nazwą „Trzynasty maja”, w którym młode i naiwne pióra starały się zatrzymać lawinę zmian po śmierci Marszałka Piłsudskiego.

Jaki był udział Herlinga w tym kociołku trudno dziś odtworzyć. Pamięć przypomina jego już wtedy korpulentna postać, pochylona nad stołem i pisząca uwagi które wynikały z debat. Lubił też notować co celniejsze uwagi i komentarze swego mentora Frydego. Myślę dziś, że jego zainteresowaniem głównym byli młodzi wówczas powieściopisarze i poeci. O nich debatowano. Myślę o Stanisławie Piętaku, Jalu Kurek, poecie Jerzym Pietrkiewicz, Stanisławie Młodożeńcu, Światopełku Karpińskim, Januszu Minkiewicz, Andrzej Nowickim, Zdzisław Bronclu, Michale

Chromańskim, Marianie Czuchnowskim, Witoldzie Gombrowiczu, Pawle Hertzcu, Czesławie Miłoszu, Zbigniewie Uniłowskim i innych. Członków Polskiej Akademii Literatury uważano — z małymi wyjątkami — za postacie z przeszłości. Współczesność rządziła w debatach. Nowa literatura, której tematem nie była już historia odrodzenia Polski, wielka wojna i trudny pokój, ale nowe widnokreśli przyszłości. „Rozbieranie” dzieł trzech wieszczów i innych wielkich pisarzy zostawiliśmy w szkole. Jeśli mnie pamięć nie myli, Fryde lubił wracać w debatach do dzieł które, według niego zostaną w literaturze polskiej na zawsze. Herling zdawał się obstawać przy nowym, może bardziej agresywnym języku. Co do jego „wzruszeń” politycznych, myślę że był bliższy idealnego socjalizmu starej daty, czy liberalizmu, raczej niż gwałtownych zmian i ostrych sporów politycznych. Dziś myślę że w „Parabumbie” zaprawiał się pieczołowicie do swojej pasji — krytyki literackiej i do studiów polonistycznych, które rozpoczął na Uniwersytecie Warszawskim w roku 1938. Po wojnie została mu często agresywność słownika i raczej bezwzględne traktowanie tego co uważał za naruszenie suwerenności narodu. I tu był gotów do ostrych sporów politycznych. Nie przeszkodziło mu to, raczej przeciwnie, pomogło w ukazaniu w swoim piarstwie pełnej gamy talentu.

W czasie wojny, choć obaj byliśmy w Rosji, nie spotkałem go. Wiem że był w wojsku, ale innym oddziale i w innym miejscu. Parokrotnie spotkaliśmy się w Londynie, gdzie byłem sekretarzem redakcji „Wiadomości”, kiedy zaczął drukować w nich fragmenty *Innego świata*. Przychodził jednak do redakcji bardzo rzadko i tylko wieczorem kiedy był tam redaktor Mieczysław Grydzewski. Ostatni raz przed jego wyjazdem z Londynu, gdzie zresztą nie był długo, spotkałem go w „Ognisku Polskim” na przedstawieniu teatru bodajże Mariana Hemara. Zamieniliśmy parę słów na schodach. Pytał, co wiem o niektórych członkach „Parabumby”. Był to pewnie rok 1947, może 1948? Miejsca zamieszkania wielu przyjaciół nie były jeszcze ustalone. Herling wkrótce potem wyjechał z Anglii, której zresztą nie lubił, i o ile wiem, nigdy już do niej nie wrócił.

Krzysztof Muszkowski (Wielka Brytania)

SWOJE JEDNAK TRZEBA ROBIĆ

BENEDYKT HEYDENKORN (1906–1999)

W niedzielę 10 października 1999 roku zmarł w Toronto wytrawny dziennikarz, wydawca, erudyta, wybitny redaktor z niedościgłej szkoły Grydzewskiego i Giedroycia.

Benedykta Heydenkorna (dla najbliższych, Bumka) poznałem zaraz po przyjeździe do Kanady w 1969 roku. O jego młodości nie dowiedziałem się zbyt wiele, gdyż nigdy o sobie nie mówił, a szczególnym tabu obłożony był okres polski jego życia. Urodził się w roku 1906 we wsi Stara Bircza koło Przemyśla. Był jednym z najmłodszych „Orląt Lwowskich”. Jeszcze jako uczeń gimnazjalny wkładał się na wykłady profesorów uniwersytetu prowadzonych w Ossolineum. Na Uniwersytecie Warszawskim był wolnym słuchaczem, ale już w 1926 jeszcze jako student — notuje Jan Kowalik — rozpoczął pracę dziennikarską „pisząc korespondencje stołeczne do «Dziennika Lwowskiego», okazjonalne artykuły do pro-rządowej «Epoki» i do dodatku literackiego «Głosu Prawdy» prowadzonego przez J. Kadena-Bandrowskiego. Jakiś czas współpracował z «Buntem Młodych», z «Kroniką Polski i Świata» a także z «Drogą» redagowaną przez Wilama Horzycę. Kariera jego stabilizuje się, kiedy młody dziennikarz związał się z warszawskim biurem dziennika «Berliner Tageblatt». Przez sześć lat do wybuchu wojny pracował jako polityczno-parlamentarny korespondent francuskiej agencji prasowej Havas”. Bywał w Paryżu, którego polską kolonię poznał doskonale.

Z chwilą, kiedy wybuchła wojna, skończył się polski epizod bezpowrotnie. Rozdział zamknięty, o którym mówił niechętnie. W Kanadzie wiele rzeczy go radowało, nie uchylał się od pracy dla niej. Ale — wyznał — że wszystko, co go otaczało, nie było jego. O Polsce szczęśliwie nie chciał mówić, ale czuło się, że to było jego jedyne ukochanie.

Z oblężonej Warszawy 17 września skierował się na południowy wschód wpadając w ręce NKWD. Udało mu się połknąć wszystkie papiery. Przesłuchiwany najpierw w więzieniach na terenie Polski, został deportowany do łagrow w Woroneżu i Dniepropietrowsku. Może te przeżycia sprawiły, że nie lubował się wcale w kulturze rosyjskiej. Dzięki układowi Sikorski-Stalin wyszedł na wolność i dotarł do Tatiszczewa, gdzie zgłosił się do formującej się tam Armii Polskiej. Razem z nią ruszył przez Persję i Irak do Palestyny, a następnie z II Korpusem do Włoch. Po zakończeniu wojny demobilizował się w Anglii i stamtąd w roku 1949 przyjechał do Kanady.

W wojsku dziennikarstwa nie zaprzestał: w 1944 roku we Florencji mianowany został zastępcą redaktora naczelnego „Dziennika Żołnierza” a następnie redagował go aż do likwidacji w 1946 roku. W Anglii pracował czas jakiś w „Słowie Polskim” a potem w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza”.

Faza kanadyjska zaczęła się od kontraktowej pracy fizycznej. Ale z czasem Heydenkorn znalazł zatrudnienie w biurze hamiltonskiego oddziału Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Przychylny zbieg okoliczności umożliwił mu powrót do dziennikarstwa. W tym czasie z prężących ośrodków polonijnych w Manitobie i Saskatchewan punkt ciężkości przesuwać się zaczął na wschód, głównie do Quebecu i Ontario. Toronto stało się stolicą wojennej fali emigracyjnej. Tam od lat ukazywał się „Związkowiec”, organ Związku Polaków w Kanadzie. Z „Gazety Katolickiej” i „Głosu Polskiego” powstał pod redakcją Stanisława Zybala nowy „Głos Polski”. O pierwszym spotkaniu z Heydenkornem Zybala wspomina:

W lipcu 1950 roku wypuściłem spod prasy pierwszy numer „Głosu Polskiego”. Byłem sam jeden w redakcji, harowałem ciężko, zwłaszcza po fuzji z winnipeeską „Gazetą Polską”. Znany adwokat warszawski, Jan Ostrowski, kapitan w czasie wojny, prezes Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Kanadzie, do którego również należałem, wspominał mi parę razy nazwisko Heydenkorna sugerując, że byłby dobrym nabytkiem dla „Głosu”. Podkreślił, że czyni to na prośbę gen. Władysława Andersa, który nie zapomniał o swym byłym podwładnym i interesował się jego losem.

W rezultacie Bumek zjawił się w redakcji. Pogadaliśmy, nie przypuszczając, że to początek długiej przyjaźni. Zaczął mi przysyłać z Hamiltonu (bezpłatnie, bo na honorarium nie było funduszy) artykuły, recenzje i eseje różnie podpisywane. W 1952 roku wydawca, Komitet Prasowy, Związku Narodowego Polskiego zaaprobował powiększenie redakcji o jedną osobę. Bumek zaczął pracować, pół etatu w redakcji, pół w administracji pisma. Jaką mieliśmy z niego pociechę w administracji, lepiej nie wspominać, ale jego pomoc w redakcji przeszła moje najśmielsze oczekiwania.

W „Głosie Polskim” Heydenkorn pracował do roku 1957. Wtedy przeszedł do kierowanego przez Franciszka Głogowskiego „Związkowca”. We wrześniu 1964 Heydenkorn objął ster pisma. W odróżnieniu od pro-londyńskiego „Głosu Polskiego”, „Związkowiec” miał tradycję pisma liberalnego, świeckiego, trybuny emigracji robotniczo-chłopskiej, która uważała się za obywateli kanadyjskich o polskim rodowodzie i sentymentach, ale chciała być niezależna od politycznych dyrektyw zarówno starego kraju jak też polskich władz emigracyjnych. Polonia ta angażowała się po stronie kanadyjskiej wchodząc w struktury gospodarcze, społeczne i polityczne kraju zamieszkania.

Jako zawodowy dziennikarz z długim stażem doświadczenie swoje wprzągnął w pracę nad ewolucją „Związkowca”, który wybitnie przyczynił się do spopularyzowania istotnych akcji społecznych takich jak zbiórka pod hasłem „chleb dla Polski”. Ważną też rolę odegrał w kontrowersyjnej w swoim czasie akcji zwrotu Polsce skarbów wawelskich. (Choć w niedawnym artykule amb. RP prof. B. Grzełońskiego na ten temat padło wiele nazwisk, nie znalazłem wśród nich nazwiska Heydenkorna). Utrzymawszy formę półtygodnika Heydenkorn zapewnił drobne honoraria, by przyciągnąć do współpracy znaczniejsze pióra. Dzięki prestiżowi pisma współpracowali z nim m.in. pisarze i publicyści: Adam Ciołkosz, Andrzej Chciuk, Maria Kuncewiczowa, Jan Nowak-Jeziorański, Józef Mackiewicz, Danuta Mostwin, Tadeusz Nowakowski, Wacław Zagórski. Pisali liczni korespondenci terenowi, z Polski przywozili niecenzurowane artykuły pierwsi korespondenci odwiedzający kraj. Heydenkorn wprowadzał nowe działy, wydawał numery specjalne, w tym świąteczne, nieraz liczące do 80 stron.

Za jego redakcji „Związkowiec” stał się najlepszym i najbardziej poczytnym pismem polonijnym w Kanadzie o imponującym nakładzie 12,500 egz. i wielu wiernych czytelnikach. Rozchodził się nie tylko na kontynencie amerykańskim, ale wędrował też do różnych krajów na świecie.

Heydenkorn rozumiał, że współpracowników trzeba sobie dobrać, zachęcać i utrzymywać z nimi ścisły kontakt. Odwiedziny redakcji zawsze znamionowały ciepłe przyjęcie i inspirującą rozmowę ze znakomitą osobowością. Tajemnicą jego atrakcyjności dla wielu była jego skromność i bezinteresowność.

Nie usiłowałem nigdy być czołową osobistością, wybijać się. Byłem pracownikiem. Wyszukiwałem ludzi.. Żaden z moich szefów nie bał się mnie, mimo że czasami był słabszy ode mnie. Usiłowałem i starałem się pracować jak najlepiej w granicach, które przyjąłem albo które do mnie należały. Dlatego nie byłem w żadnej organizacji, nie mogłem być pod wpływem czy w zależności. Należałem tylko do zawodowych organizacji. Przed wojną do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Skromność ta, tak w naszym środowisku rzadka że aż podejrzana, niekiedy tylko była zauważana a anonimowy reporter „demaskowany” przez zorientowanych czytelników. Franciszek Głogowski w liście do redakcji (Związkowiec, 9.12.1986) zatytułowanym „Czy nie zbyt skromność?” upomniał się o swojego byłego współpracownika i rzucił m.in. myśl, że należało „w jakiejś formie wyrazić uznanie i wdzięczność za tytaniczną wprost pracę red. Heydenkorna na polu dziennikarstwa w Kanadzie i jego dorobku w dziedzinie badań historycznych i socjologicznych”. Zասgerował też, by „Związkowiec” stał się inicjatorem takiej imprezy skoro przez bez mała dwadzieścia lat Heydenkorn był jego redaktorem. Stopniowa degrengolada pisma, bardzo odmienni ludzie i inne cele sprawiły, że myśli tej nie podjęto.

Lojalność współpracowników Heydenkorn zaskarbiał sobie ciągłym życzliwym kontaktem. Wyszukiwał ich, zachęcał, czasem również lajał. Umiał pochwalić, pogratulować a także wysłać ponaglenie. „...Ale ja z pretensjami. I to mocnymi. Gdzie jest Twój artykuł? Widzę iż bardziej Cię już interesuje felieton, krytyka (zawsze grzeczna, powściągliwa), aniżeli poważny artykuł, esej. To wstyd i źle! A więc do dzieła.” I jeszcze dodał: „PS. I jestem zły!!!!”

Jan Kowalik w swoim artykule w „Kulturze” (10/1977) napisał, że Heydenkorn „...zostawił ustabilizowane pismo polonijne na dobrym poziomie, zrównoważone, tolerancyjne, pro-kanadyjskie, ale zarazem otwarte na świat, a przede wszystkim na Polskę”. W liście prywatnym natomiast Heydenkorn zwierzył mi się:

[...] Nie chciałem dłużej robić „Związkowca” z wielu względów, ale chyba zdecydowało stwierdzenie, iż nie mam partnerów dla przeprowadzenia zasadniczych spraw a sytuacja jest krytyczna. Nie obawiam się, ale jestem głęboko przekonany, iż nie tylko „Związkowiec” będzie spadał, ale Związek Polaków w Kanadzie, jak również inne organizacje. Trzeba bowiem prawdziwej reformy, poważnych zmian a brak do tego odpowiednich ludzi.

Heydenkorn pisał również do innych pism m.in. do „Dziennika Polskiego” w Londynie i paryskiej „Kultury”, w której przez wiele lat redagował „Kronikę kanadyjską”. Kiedy zaczął odwiedzać Polskę i pisać korespondencje korygujące stereotypy panujące w emigracyjnej prasie, naraził się wielu ludziom innych poglądów. Nie zrażał się tymi głosami, bo otrzymywał też inne opinie. W. Giełżyński, jeden z czołowych dziennikarzy przedwojennych podnosił wysokie walory artykułów Heydenkorna o Polsce z roku 1958, kiedy tak łatwo było o przeholowanie w jedną czy drugą stronę, o bezkrytyczne potępienie lub lizusowskie chwalenie. Tego języczka u wagi odmierzającego sprawiedliwie umiał Heydenkorn pilnować. Zauważyły to i doceniały najwyższe polskie autorytety takie jak J. Turowicz, S. Kisielewski, M. Kula czy M. Krąpiec.

Po odejściu ze „Związkowca” na emeryturę w 1977 roku Heydenkorn przez cztery lata pracował jako wolontariusz w Multicultural History Society of Ontario. Taka praca nie była dlań żadną nowością wszak już w Polsko-Kanadyjskim Instytucie Badawczym, którego był jednym z założycieli a potem długoletnim zastępcą dyrektora, ani W. Turek, T. Krychowski, R. Kogler czy Heydenkorn grosza nie brali za swą pracę. Byli społecznikami dawnej daty i dzięki takiej postawie mogli tyle dokonać przy notorycznym braku finansowego wsparcia. Dzięki tej współpracy z History Society wyszły cztery „polskie” prace zaś periodyk „Polyphony” regularnie drukował teksty o tematyce polskiej. W uznaniu zasług nadano Heydenkornowi tytuł członka honorowego oraz ustanowiono stypendium jego imienia dla młodych badaczy problemów etnicznych w Kanadzie.

Heydenkorna spojrzenie socjologa na społeczeństwo datuje się z lat trzydziestych. Wtedy zadebiutował pracą *Proletaryzacja inteligencji zawodowej w Polsce*. W Kanadzie jako dziennikarz i współzałożyciel Polsko Kanadyjskiego Instytutu Badawczego, w aurze wielkodusznych pociągnięć rządu kanadyjskiego uwieńczonych wprowadzeniem polityki wielokulturowości, w miejsce dawnego zdezaubowanego tygła, jego dynamizm wyładowywał się w ochoczej pracy nad kanadyjską Polonią.

Poświęcił jej wiele artykułów i szkiców, dla niej napisał, wprowadził i redagował bez mała dwadzieścia tomów prac w języku polskim ale także angielskim i francuskim.

Wprowadzając tom tekstów referatów wygłoszonych w 1977 roku w Barry’s Bay na tzw. Sympozjum 50 (choć uczestników, jak pamiętam, było więcej) Heydenkorn wypowiedział swoją tezę, którą miał przez całe życie rozwijać, że Polonia nie jest organizmem zamkniętym, że jest powiązana w sposób szczególny z Kanadą, jako krajem osiedlenia, i Polską, ziemią pochodzenia i że te związki wpływają na oblicze Polonii. W miarę upływu czasu i zmian zachodzących w Polsce i w Kanadzie, należało przystosowywać organizacje polonijne do nowych sytuacji i zadań, by nie utracić kontaktu z młodym pokoleniem.

Heydenkorn ochoczo sam włączył się do ogólnej dyskusji nad istotą i rolą wielokulturowości pisząc artykuły po polsku i po angielsku na przykład: „The Social Structure of Canadian Polonia” (1969), „Polish Contribution to Canadian Culture” (1970), „The Immigration Policy of Canada” (1971), „The Polish Alliance of Canada” (1974), „Poles in Canada” (1974) wraz z R. Koglerem, „Memories of the Polish Immigrants” (1974) czy „Memories of the Polish Immigrants to Canada” (1975), żeby wymienić jedynie prace, które ukazały się w języku angielskim. Jego wielka rola motoru polskich wysiłków celem nadrobienia braków w dokumentacji Polonii kanadyjskiej objawiła się szczególnie w pracach wydanych przez Instytut Badawczy, którego był nie tylko współzałożycielem, ale przez długie lata wicedyrektorem i duchem sprawczym.

Talentem swoim zabłysnął wydaniem monografii *Poles in Manitoba*, którą Wiktor Turek pozostawił w manuskrypcie, a która wymagała mozolnego opracowania i rewizji. Podobnego zachodu

potrzebowała angielska wersja *Tworzywa* Melchiora Wańkowicza, które jako *Three Generations* wyszło w roku 1973. Także niedokończona antologia Danuty Bieńkowskiej *Meeting Polish Writers* doznała edytorskiej pieczy Heydenkorna.

Posypały się następnie tomy rozpraw i materiałów dokumentarnych o kanadyjskiej Polonii, inspirowane, wspomagane, a potem fachowymi i wnikliwymi wprowadzeniami opatrzone i wydawane przez Heydenkorna. Traktowały one o polonijnym szkolnictwie, o prasie, o organizacjach społecznych, o literaturze emigrantów, o osadnictwie chłopów, o roli kobiety na emigracji, o środowisku polskim w Toronto. Jedną z publikacji, *Poles in Toronto* (1982) to analiza ankiety przeprowadzonej przez Ewę Morawską i Rudolfa Koglera w 1978 roku. Opisanie Polaków w Toronto leżało Heydenkornowi na sercu. Nawracał chętnie do tego tematu w swoich rozmowach i zachęcał do pisania przyczynków wszelkiego rodzaju, by ułatwić pracę przyszłym badaczom Polonii. Książka jest fachową pozycją o naukowym podejściu i zachowaniu ostrożności w formułowaniu wniosków. Inną próbą studium tegoż tematu to opracowany przez Heydenkorna specjalny numer półrocznika „Polyphony” poświęcony „Poles in Ontario”, praca nadal bardzo autorytatywna.

Historię całej grupy polskiej w Kanadzie Heydenkorn wespół z Henrykiem Radeckim opracował modelowo w znakomitej monografii *A Member of A Distinguished Family: The Polish Group in Canada* (1976). Ukazała się ona po angielsku i po francusku i doskonale się prezentuje w serii wydawnictw Ministerstwa Wielokulturowości. Heydenkorn jest również autorem polskich haseł w *The Canadian Encyclopaedia*.

Stanisław Zybala w pięknym artykule zatytułowanym „Benedyktyński żywot Bumka Heydenkorna” nazwał go „ojcem polonijnego pamiętnikarstwa w Kanadzie”. Kto czytał te pięć tomów w języku polskim i jeden po angielsku, ten musi być pod wielkim wrażeniem ogromu pracy włożonej w organizowanie i przeprowadzenie konkursów na pamiętniki a następnie ich opracowanie i wydanie drukiem. Wzbogacają one znamienne dokumenty odzwierciedlając polską obecność w Kanadzie, a samo już sprowokowanie tylu ludzi do spisania swoich przeżyć i doświadczeń jest zasługą nie lada. Pamiętniki, które nie zostały wybrane do druku, są obecnie przechowywane w archiwach w Ottawie i Toronto. Pamiętniki wydane stanowią nie tylko poszerzenie naszej wiedzy o emigracji, ale są fascynującą lekturą i świadectwem naszego pobytu na ziemi kanadyjskiej.

Na podstawie lektury tych pamiętników nasuwa się m.in. wniosek o braku ciągłości fal emigracyjnych. Ostatnia fala z lat osiemdziesiątych dla przykładu, różni się zasadniczo od poprzednich w układzie społecznym oraz młodym wiekiem przybyłych. Ludzie ci Polskę opuścili dobrowolnie, mają dobre wykształcenie, cenione nieraz zawody, pochodzą oni głównie z miast.

Pisząc o swoim wielkim przyjacielu, entuzjastycznym działaczu społecznym, inż. Wojciechu Krajewskim, Heydenkorn określił, moim zdaniem, częściowo siebie, mówiąc:

Nie głosił haseł politycznych, usuwał na bok tarcia organizacyjne w imię wychowania młodzieży, zatrzymywania jej w Polsce. Dlatego zwalczał skrajności, tępił ostrości, wzywał do wzajemnej tolerancji, do uznania ewentualnych różnic, które bynajmniej nie znaczą wrogości. Z tą gałązką oliwną zjawiał się na zjazdach, posiedzeniach, ale z trudem i rzadko odnosił sukcesy.

Heydenkorn połączył historię Polonii przedwojennej i powojennej, ukazał kanadyjskim gospodarzom bogatą jej aktywność, dojrzałość aspiracji organizacji polonijnych i szeroki wachlarz ich zainteresowań i kompetencji. Pasował Polonię na pełnoprawnego członka kanadyjskiej rodziny. Zastawszy Polonię zróżnicowaną, ale zasadniczo mało widoczną jeśli wręcz nie anonimową, zostawił ją zbadaną, opisaną i przedstawioną Kanadyjczykom w oficjalnych językach. Stworzył, względnie przyczynił się do powstania pokażnej biblioteczki rzetelnych dzieł dających dobre wyobrażenie o polskiej społeczności. Na tych podwalinach może śmiało budować kolejna fala imigrantów z Polski.

Heydenkorn nie lubił udzielać wywiadów. Tłumaczył mi kiedyś:

Nie mam „melodii” do wywiadów, nigdy nie miałem i dlatego z zasady nie udzielałem. Nie umiem też mówić o sobie, bardzo nawet nie lubię. Nie odpowiadałem na ankiety, kwestionariusze itp. Nie wiem, czy to wstyd a raczej bardzo daleko posunięta „intymność”, „prywatność”. Jak daleko sięga moja pamięć wstydzilem się rozbierać, obnażać, krępowało mnie gdy inni to robili w mojej obecności. Myślę iż są sprawy, przeżycia, my-

śli, które winny pozostać tylko i wyłącznie u jednostki. Są osobistą tajemnicą i bynajmniej to nie muszą być zagadnienia ważne, bardzo istotne, — oczywiście te również — ale jakieś specjalnie intymne.

Miał kilka ofert, by napisać pamiętnik. Zachęcali go przyjaciele ale nie zdecydował się na żadną argumentując, że o samym „Związkowcu”, o politykach, interesujących ludziach mogą pisać ci, którzy mają ścisłe notatki. Wtedy mogą wskrzesić przeszłość. Bo po czasie wiele rzeczy się miesza, wiele się zapomina. Ludzie piszący wspomnienia bez autentycznego podkładu albo zmyślają albo mieszają. Najczęściej piszą bajki, aby siebie wybielić a innych przy okazji pograżyć.

Heydenkorn pisał dużo, często tekstów swoich nie sygnował, żadnych manuskryptów nie przechowywał i nie zbierał odbitek swoich prac. Kiedy poszedł na emeryturę, nie mógł wracać do dawnych prac i nie podejmował prób rekonstrukcji przeszłości nie posiadając zapisów czy dziennika. Szkoda to wielka i on sam bolał nad tą sytuacją widząc, że wiele artykułów przepadło bezpowrotnie. Bo nawet do recenzji, a pisał ich bardzo dużo, robił sobie notatki i rzadko tylko ograniczał się do jednej lektury omawianej książki. Żałował tego, czego nie zdążył dokonać, nie skończył monografii „Gazety Katolickiej”, której znaczący drukowany fragment pokazuje doskonale udokumentowaną pracę.

Aczkolwiek nigdy nie pisał wierszy, poezję lubił i poważał. Przywiązywał do niej wielką wagę, lecz miał swoje predylekcje. Czytał chętnie dzieła obojga Noblistów, ale wolał siłę wewnętrzną poezji Zbigniewa Herberta. Często kręcił głową nad wierszami znajduwanymi ostatnimi laty w „Kulturze”. Wydawały mu się wprost okropne, nie na poziomie. „Po co pisane, dla kogo pisane i co one mają reprezentować”, biadał. Był pod urokiem poezji J. Kasprzowicza i L. Staffa. Nad wierszami tego ostatniego potrafił się rozczulić. Nie będąc miłośnikiem modnej w czasie wojny i po wojnie poezji żołnierskiej, gorliwie ją jednak propagował. Nie podzielał entuzjazmu dla tematyki Sienkiewicza lecz cenił jego nieźrównany dar i talent, mistrzowską umiejętność przekazywania aury, ducha polskości. Stawiał go pod tym względem wyżej od najlepszych, od ks. P. Skargi i St. Wyspiańskiego. O Norwidzie miał zdanie, że ten poeta ma wiersze bardzo piękne i takie jakby złamane w sobie, ze skazą, niewydarzone, szlachetne eksperymenty, które nie wyszły. Dopiero wnuki miały je zrozumieć, a tu już prawnuki też mają trudności z tymi tekstami. Niemniej był w Norwidzie zakochany za jego totalny indywidualizm, za jego niezależność i samotność. Nie poważał natomiast poezji Przybosa. Lubił Łobodowskiego jako poetę, ale prozę jego ceniał mniej. Inną jego twórczość nazywał połajanką niewybredną stylem i językiem komunistycznej hafastry. Łobodowski „Problematykę ukraińską, stosunki polsko-ukraińskie omawiał namiętnie, z pasją. Nieraz miłość i obrona Ukrainy nasycona była niesprawiedliwością wobec Polski — w najszerszym tego słowa znaczeniu”.

Choć niepokąźnego wzrostu był człowiekiem nietuzinkowego formatu, dziennikarzem z charakterem. Bystry, niezwykle czytany, obdarzony doskonałą pamięcią był osobą odważną i często upartą choć właściwie miękką i łagodną. Nie znosił bufonów i hochsztaplerów, których na emigracji nigdy nie brakuje. Był twardym orzechem do zgryzienia przez swoją niezależność, skromność, pracowitość, sumiennność i lojalność. To był człowiek bezinteresowny i nie do kupienia.

Pamiętam jak jakaś pani z Ottawy nadesłała mu komunikat z prośbą o ogłoszenie w „Związkowcu”, piśmie, jak chwaliła, poczytnym i znakomitym. List przyszedł na adres od lat już nieaktualny. Heydenkorn pokwitował przesyłkę lapidarnym „Łże!” i wrzucił do wielkiego kosza stojącego w redakcji. Będąc profesjonalistą, nie pozwalał sobą pomiatać dyrekcjom prasowym, zdobywając sobie rozgłos i prestiż. Był ozdobą swojej funkcji, która za jego czasów, choć liche dawała wynagrodzenie, przynosiła prestiż i ludzką wdzięczność za załatwianie wielu spraw czytelników, którzy z całym zaufaniem wtedy zwracali się po radę do redaktora w najrozmaitszych sytuacjach, jako do człowieka z autorytetem i wpływem.

Nienawidząc fuszerki, bylejakości i łatwizny, bardzo wysoko ceniał społeczników i sumiennych fachowców. Rudolfa Koglera nazwał bardzo dobrym, uczciwym statystykiem, który opracowywał sprawozdania dla rządu federalnego. Kogler był ofiarnym bezinteresownym pracownikiem. Jako rzetelny statystyk sprzeciwiał się nieprawdziwym, z chybionego patriotyzmu nadymanym liczbom, w których się lubujemy, a także kwestionował uważanie za Polaków emigrantów w trzecim pokoleniu. Powtarzał, że liczy się rzeczywistość a nie chciejstwo. Solidaryzował się też z poglądami Koglera wyluszczoneymi w wywiadzie tego ostatniego z Aleksandrą Ziółkowską w 1991 roku:

Kongres oraz organizacje członkowskie nie powinny wtrącać się do działalności politycznej w Polsce w jakiejkolwiek formie. Uważam, że działalność taka jest przywilejem lub obowiązkiem tych, którzy w Polsce mieszkają, bo oni będą ponosić odpowiedzialność i skutki ich poczynań politycznych. My, mieszkańcy Kanady, nie mamy moralnego prawa ingerować w polityczne spory i przetargi polityczne w Polsce, ponieważ nie będziemy ponosić żadnych konsekwencji z tej ingerencji wynikających. Żyjąc poza Polską jesteśmy skazani na rolę życzliwych obserwatorów życia politycznego w Polsce, i nic więcej.

Wielkim respektem darzył Stanisława Zybałę, posiada on „...ogromne poczucie humoru i pozbawiony jest nadętej, koturnowej powagi; błyskotliwy, mistrzowsko operuje docinkami w dyskusjach; trzeźwy w ocenach nie daje się uwieść efekciarskim pozorom, ale stara się dotrzeć do sedna rzeczy...”

Bolał nad stratami naszej społeczności: „Jestem bardzo przygnębiony. Wczoraj przed południem zmarł na udar serca Tadeusz Glista a wiesz jak byliśmy bliscy... Straciłem serdecznego i dobrego przyjaciela a myślę iż Polonia jednego z najwybitniejszych działaczy pokolenia tutaj urodzonego” pisał w liście.

Będąc osobą suwerenną, nie pozwalającą, by nim rządzono, stał się celem częstych napaści i nagonek, które przyjmował z wyrozumiałością doświadczonego człowieka. Nie skarżył się, choć nieraz potrafił w prywatnych listach takie ataki nazwać po imieniu: „Jak długo mam czyste sumienie nie przejmuję się najohydniejszymi oszczerstwami [...] Wiedziałem, iż... jest świnią i chyba również nienormalny. Dyszy ponadto — jak niektórzy mu podobni — nienawiścią do wszystkich, którym coś zazdrości...”

Kiedy sam stałem się przedmiotem insynuacji, pocieszał mnie, bym nie oczekiwał niczego innego „...jak kamieni, kublów obrzydliwości itp. Swoje jednak trzeba robić. Całe życie byłem bity i kopany, ale nie potrafili mnie ani zgnoić ani zgniebić. Byłem i zostałem nonkonformistą. Miałem najsilniejsze oparcie w żonie”. Co do tego nikt nie miał wątpliwości. Pani Anna znakomicie potrafiła zabezpieczyć Bumkowi byt i umożliwić godziwe życie intelektualisty i społecznika na emigracji. Ich ponad pięćdziesięcioletnie szczęśliwe pożycie małżeńskie dały Bumkowi podstawy materialne i psychiczne, na których mógł rozwinąć swoje talenty dziennikarskie i społeczno-kulturalne. Żona dała mu skromny ale śliczny i komfortowy dom, pełen obrazów i rzeźb emigracyjnych artystów, dom, odwiedzany chętnie przez przyjaciół z bliska i daleka, łącznie z całą generalicją „Tygodnika Powszechnego” i KUL-u włącznie. W bogatej bibliotece można było znaleźć książki dedykowane mu przez wybitnych pisarzy. Ze ścian spoglądała skupiona twarz ukochanego Komendanta. Nie była to z pewnością tylko dekoracja czy pamiątka.

Do końca interesowała go prasa polonijna, czytał i komentował ją. Oglądając meandry „Związkowca” zauważał jego brak stateczności, ustawiczne zmiany redaktorów. Mawiał, że każdy numer jest inny. Z doświadczenia wiedział, że gazeta jest czymś nietrwałym, dziś się ją czyta a jutro wyrzuca. Dlatego nie rozumiał drukowania artykułów w częściach, uważał, że wszystko musi się mieścić w tym samym numerze. Nie widział sensu dawania powieści w odcinkach. Kiedyś, owszem, wycinano je i zbierano, bo trudno było o książki. Ale dziś? Dziwował się ogłaszaniu tasiemcowych listów do redakcji. Przeciwny był używaniu ordynarnego języka w prasie. Mawiał, że to dziedzictwo komunistów, którzy dziś poszli w podziemie, ale chamstwo pozostało na wierzchu. W piśmie szukał artykułu wstępnego. Badał, czy redaktor jest za czymś czy przeciwko czemuś. Nie považał ludzi bez twarzy. Śmiał się z buńczucznych zapowiedzi i bombastycznych oczekiwań, kiedy rzeczywistość pokazywała, że autorzy nie cieszą się żadnym autorytetem i poparciem, a ich zamiary i wyobrażenia przerastały ich możliwości. Liczyła się u niego rzeczywistość a nie mrzonki, wspomnienia i chciejstwo.

Kiwał dobrodusznie głową nad hałaśliwą autoreklamą wątpliwych emigracyjnych notabli o nadętych życiorysach i przemilczanych potknięciach, ludzi, którzy z palca wyssali tytuły i pozycje, bajali o niesprawdzonych dokonaniach, którzy ośmieszali się w chorobliwym pragnieniu, by zaimponować naiwnym. Rozpознаwał nagle nawróconych, lawirujących na emigracji aparatczyków. Może dlatego sam stronił od tej fałszywej reklamy nacechowanej zazwyczaj proliferacją fotografii mającą zatuzować brak substancji, od promowania siebie za wszelką cenę. Uważał to za brak dojrzałości. Nie znosił karierowiczów, cwaniactwa, i zawiści. Nie był łasy na pieniądze ani na zaszczyty i odznaczenia. Bawiły go owcze pędy do orderów i wyróżnień. Na ludziach znał się znakomicie i wiedział, że nie tak wielu było zasłużonych w tej galerii przepychanek lansowanej

przez różnych szalbierzy. Raczej z zażenowaniem mówił o tym, że dostał Złotą Odznakę Kongresu Polonii Kanadyjskiej oraz order Polonia Restituta od ostatniego Prezydenta Rządu Emigracyjnego.

Popierał dobrą robotę. Zachęcał bez końca, inspirował, nakłaniał do wysiłku, doradzał, podsuwał materiały, polecał lekturę. Imponowali mu ludzie czynu bez rozgłosu osiągnący cel swój, ofiarni, nacechowani młodzieńczym optymizmem, radzący, jak najlepiej służyć wszystkim. Do nich zaliczał m.in. ks. St. Puchniaka, ks. J. Smitha, ks. J. Capię, inż. Z. Przygodę.

Heydenkorn nigdy nie miał samochodu, zapewniał mnie też, że również nigdy nie posiadał konta bankowego. Bawiło go moje zaafierowanie kanadyjską przyrodą i na mój entuzjastyczny list sprzed laty, odpowiedział spokojnie:

Nie wybieram się do lasu ani nad jezioro. Nie znoszę komarów, nie uprawiam żadnych sportów. Kocham muzykę, lubię dobre koniaki, piękne kobiety, wesołe dzieci, rozmowy z miłymi ludźmi. Bardzo konserwatywne i staroświeckie zamiłowania, prawda? No, trudno, już chyba nie zmienię się.

Heydenkorn pasjonował się muzyką klasyczną i operą. Jak długo mógł, chodził na koncerty. Doczekał się nie lada pochwały, bo w egzemplarzu książki Stefana Kisielewskiego *Gwiazdozbiór muzyczny* znalazłem następującą dedykację: „Bumkowi Heydenkornowi jednemu prawdziwemu miłośnikowi muzyki jakiego znam. Stefan Kisielewski. Toronto 17 XI 73”.

Straciliśmy pilnego pracownika na polu polonijnej samowiedzy w Kanadzie i niestrudzonego animatora życia kulturalnego. Odszedł kolejny reprezentant ideowej emigracji żołnierskiej. Zamilkł jeszcze jeden z pocztu wspaniałych.

Florian Śmieja (Kanada)

STARSZY PAN Z ST. ANDREWS CZYLI

STANISŁAW KOTWICZ (1896–1976)

Niebieska kartko-koperta zaadresowana: W.P. Kotwicz, 2331 Observatory Ave. Hollywood Cal. USA. Na górze kartki nadruk: WIADOMOŚCI, Tygodnik, 67, Great Russel Street, London, W.C.I. Tel. CHAncery 3644.

3.8.64.

Drogi Panie. Fraszki dobre i gdyby były wymierzone przeciw „Wiadomościom”, wydrukowałbym je bez wahania. Ale w tej sytuacji wynikłyby kwasy, których unikam, dopatrzono by się ataku na „konkurencję”. Może miałby Drogi Pan więcej takich jak o „Marii Stuart”? Dłoń ściskam serdecznie. Przypominam sobie, że umieściłem kiedyś na emigracji niewinne *pastiches* na styl współpracowników. Nie było takiego, który by się nie obraził.

[Mieczysław Grydzewski]. Podpis nieczytelny.

Adresat fraszek miał więcej. Pisał je przez ponad trzydzieści lat. Drukował rzadko. Częściej czytał publicznie, na wieczorach literackich, jakich wiele było na emigracji w Wielkiej Brytanii, Paryżu, Los Angeles. Po jego śmierci, Wanda Stabrowska (wierna towarzysząca życia) wydała je w obszernym tomie *Fraszki i wiersze* (Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1977). Tom ma następujące rozdziały: Szkocja 1940–1942; Anglia 1942–1946; Paryż 1947–1951 i 1959–1962; Los Angeles 1962–1976. Trudno dziś ustalić (a może jest to możliwe na podstawie archiwum korespondencji redakcji „Wiadomości”?), o które fraszki mogłyby się obrazić współpracownicy zasłużonego tygodnika. Bohaterami wielu byli pisarze (Hemar, Zbyszewski, Stefania Kossowska), politycy emigracyjni (raczej nie wymienieni z nazwiska) i obcy: Chruszczow, Beria, de Gaulle. I sam Grydzewski (np.: „Wszystko w koło się obrzydza/ Lecz się nie obrzydzi Grydza”). Wymieniona przez nadawcę listu fraszka ma tytuł „Przedstawienie” — „Przewrócili się razem, chociaż każde sobie: Maria Stuart na scenie, a Słowacki w grobie”.

Inne, dotyczące tego samego tematu (artystów, teatru), które warto przypomnieć to m.in.: „Skarga dyrektora teatru” — „Na dramat nie chce się iść nikomu. Szkoda fatygi. Każdy ma w domu.”; „Okradziona śpiewaczka” — „Okradli śpiewaczkę. Sopran jej zabrali. Nic nie zauważyła. Wzdiera się dalej.”; „Ref-Renowie” — „Udało się tylko Felkowi i Ninie. Zarabiać w Ameryce, a mieszkać w Londynie.”; „O jednej artystce” — „Wszechstronna. W teatrze wszystko sama robi. Zagra. Wystawi. I sztukę przerobi. Powie. Zaśpiewa. Recenzję wyprosi. Czemuż, ach czemuż scena jej nie znosi?” Dostyc, choć chętnie przedrukowałabym całą książkę wspaniale zredagowaną przez Wandę Stabrowską, która we wstępie napisała m.in., że był Kotwicz nie tylko autorem licznych artykułów, felietonów, fraszek i sztuk, ale napisał także „kilkanaście prawdziwie pięknych wierszy sentymentalnych, jak zwykle oszczędnych w słowa, głębokich w uczuciach. Pisał, myślał i żył jak poeta”. Mało wiadomo o jego życiu do chwili wybuchu wojny. „Bardzo nie lubił mówić o sobie i swoich zasługach.” Niestety nie pisał wspomnień, chociaż notował dużo z bieżącego życia. Odnalazłam wiele cennych informacji o innych w jego zapiskach, które prowadził już w Kalifornii. Był serdecznym i troskliwym przyjacielem i towarzyszem ostatnich lat życia Konrada Toma (1887–1957), który od 1952 mieszkał w Los Angeles. Dzięki Kotwiczowi poznałam warunki (ciężkie!) życia i okoliczności śmierci wybitnego artysty teatru i filmu przedwojennego. Okres powojenny — to nieustająca walka z biedą, upokorzeniem, osamotnieniem, bezwzględnością emigracyjnej egzystencji niemłodego już człowieka. Pod datą 9 VIII 1957, Kotwicz zanotował:

Konrad Tom umarł. Byłem u niego w przeddzień śmierci. Wyglądał źle, ale był ożywiony, rozmowny. To był rak, ale tajemnica była dobrze zachowana. Wcale nie zdawał

sobie sprawy ze swego stanu. Pogrzeb był na żydowskim cmentarzu, „postępowym”, daleko aż koło lotniska. [Cmentarz Hillside Memorial Park, w połowie drogi między Hollywood a Santa Monica — AM.] Cała historia była z tym pogrzebem, i to dość smutna, ale skończyło się na tym, że dzięki gwałtownej interwencji Krystyny Dubrawskiej pochowano go w oddzielnym grobie, a nie wspólnym — dla biedoty. Na domiar wszystkiego on był katolikiem, ale podobno chciał leżeć na cmentarzu żydowskim. Nie bardzo w to wierzę. Cmentarz, jak wszystkie cmentarze tutaj, nie przypomina niczym cmentarza. Wygląda, jak wielkie pole golfowe. Zielony, wypielegnowany, a nieboszczycy jak zagubione piłki pochowani są do dziurek. Czasem jakaś płytką z krótkim napisem, czasem flakon z kwiatkiem. Króluje tam wielki marmurowy sarkofag Al. Jonsona, żyda, który umalowany na murzyna śpiewał targające wówczas serca, piosenki np. „Sunny boy”. Był to pierwszy film dźwiękowy w kinie Galerii Luxenburga, jaki Warszawa widziała. Było bardzo mało osób na pogrzebie. W kaplicy mówił jakiś młody rabin po angielsku, który Toma wcale nie znał, i mówił źle. Żał mi bardzo Konrada, męczył się tutaj. Nie miał właściwie ani jednej jasnej chwili. Ciągłe pisał scenariusze filmowe, telewizyjne. Nikt ich nie chciał nawet czytać. Tym bardziej kupować.

Kim był autor tych notatek? On sam napisał kiedyś we wspomnieniu pośmiertnym o przyjaciołach:

To niedobrze, że tylu odchodzących od nas żegnamy milczeniem. Każdemu należy się wspomnienie, choćby najkrótsze. Żyli przecież wśród nas. [...] Tworzyli z nami społeczność wychodzącą, byli towarzyszami wygnania. Groby osuną się, zapadną, napisy zetrą, któż tam kiedy wszystkie te nazwiska odczyta? Jednak pisma wychodzące przetrwają, nawet gdy zakurzone ich stosy leżeć będą w piwnicach bibliotek. Ktoś kiedyś je odnajdzie, jakiś badacz, historyk. Choćby miało to stać się za sto lat. Będzie nie tylko szukał walk, poglądów, dążeń, prądów nurtujących nasze pokolenie. Będzie szukał i ludzi. Niechże dowie się więc, że żył wśród nas...

Stanisław Klemens Peżko (Kotwicz to pseudonim) urodził się 16 października 1896 roku w Warszawie, z ojca Jana i matki Kazimieri Marianny Stanisławy z Kalickich. „Ochrzczony w parafii tutejszej 29 listopada 1896” — jak informuje metryka wydana przez rzymsko-katolicką parafię Wszystkich Świętych w Warszawie, przy Placu Grzybowski 3/5.

Ukończył gimnazjum Rontallera i studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Był ochotnikiem wojny 1920 roku, wachmistrzem 1. Pułku Szwoleżerów. Pracował jako radca w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Później został przeniesiony do Prezydium Rady Ministrów. Po wybuchu wojny, jako bliski współpracownik generała Sławoja-Składkowskiego — do zleceń specjalnych, przekroczył granicę rumuńską i zgłosił się do formującej się Armii Polskiej we Francji. Najpierw przebywał w obozie szkoleniowym w Coëtquidan, później znalazł się w szeregach Brygady Podhalańskiej gen. Maczka. Stamtąd powołano go do lotnictwa w charakterze oficera oświatowego Dywizjonu 304. Pisał fraszki, piosenki i skecze dla teatru 1. Brygady pod pseudonimem Starszy Pan z St. Andrews. Był ostatnim kierownikiem Lotniczej Czołówki Teatralnej w latach 1944–1946¹. W maju 1944 w Blackpoolu Stanisław Zięciakiewicz wyreżyserował *Męza z grzeczności* Abrahamowicza i Ruszkowskiego w adaptacji Stanisława Kotwicza. On sam przygotował dwa ostatnie widowiska w wykonaniu tego zespołu — „Hejnał krakowski” (1944) i „Kochany Jasiu!” (1946). Po zakończeniu działalności LCT (31 III 1946) pozostał na krótko w Wielkiej Brytanii, która już po wojnie nie była przyjazna dla ogromnej rzeszy polskich uchodźców. Jego samego, świadka bezgranicznej ofiarności polskich żołnierzy, lotników i marynarzy w czasie działań wojennych bolała lekceważąca obojętność wobec Polaków władz państwowych i społeczeństwa angielskiego — już po Jalcie! Na kilka lat (1947–1951) zamieszkał w Paryżu. Działał w środowisku polskich kombatantów, został prezesem Związku Polskich Dziennikarzy, pisywał do wielu pism emigracyjnych (m.in.: „Białego Orła”, „Syreny”, „Skrzydła Lotniczych”, nowojorskiego „Nowego Świata”). Był autorem audycji polskich radia francuskiego. Napisał w tym czasie dwie sztuki — *C'est pour madame* (która przetłumaczona na francuski i grana przez francuskich akto-

¹ Dokładna historia tego zespołu żołnierskiego została opisana w moim szkicu: *Lotnicza Czołówka Teatralna 1941–1946*, Pamiętnik Teatralny 1998 z. 1–2 s. 138–161.

rów zdobyła nagrodę na festiwalu teatralnym w Paryżu w 1951 r.) i *Balzac*, która niesłusznie pozostała sztuką nieznaną i zapomnianą.

W 1949 wspólnie z Januszem Laskowskim założyli teatrzyk literacki „Latająca Kotwica”². Obaj pisali teksty skeczy, piosenek i wierszy satyrycznych. Poza nimi występowali: Wanda Stabrowska, Alfred Cher (akompaniator), Edward Kozłowski. A okazjonalnie, przebywający gościnnie w Paryżu Feliks Konarski i Nina Oleńska.

Teatrzyk działał krótko, dał kilka programów w sali Towarzystwa Rzemieślników i Robotników Polskich im. J. Piłsudskiego przy 32 rue Basfroi, i w kawiarni Domu Kombatanta (przy 20 rue Legendre). Ale publiczność nie zawsze dopisywała, o czym wspominał recenzent jednego z wieczorów literackich, który odbył się 27 II 1949³.

Te wieczory literackie czasem nawiązywały do częstej na emigracji formuły „Żywych Dzienników” (znanych także w środowisku wychodźczym na wyspach brytyjskich)⁴.

Kontynuowano także tradycję akademii okolicznościowych, patriotycznych, np. z okazji 3. Maja, w 1949 przygotowano (ten sam zespół) utwory Mickiewicza (fragment *Pana Tadeusza*), Słowackiego, Wyspiańskiego (fragment *Wesela*), i Mariana Hemara.

23 października 1949 pod szyldem Organizacji Wolnych Polaków we Francji przygotowano uroczystość, „poświęconą upamiętnieniu polskiego wysiłku zbrojnego pod hasłem «Polska w walce 1939–1949»”, która odbyła się pod protektoratem „pana Kajetana Morawskiego, Ambasadora R.P., w wielkiej sali Cercle Militaire, 8 Place St.-Augustin” — jak pisano w zaproszeniu.

Trzy razy (1–3 luty 1951) pokazano program specjalny „Huk triumfalny!”, właśnie z udziałem gości londyńskich — Niny Oleńskiej i Ref-Rena (F. Konarskiego). Większość tekstów „kazała przypominać sobie najlepsze czasy warszawskiego Qui Pro Quo”.

W latach 1952–1959 mieszkał Kotwicz w Los Angeles. Pracował w magazynie miejscowej biblioteki. Praca była ciężka, a on już niemłody i chory na serce. W wolnych chwilach pisał do prasy polonijnej (w Nowym Jorku — „Nowy Świat”). W Londynie do współpracy z „Dziennikiem Polskim i Dziennikiem Żołnierza” potem także z „Tygodnikiem Polskim” zaprosił go Tadeusz Horko. Organizował także wieczory artystyczno-literackie⁵. Występowali w nich poza nim i Wandą Stabrowską także Tomasz Gliński (pianista znany z występów dla wojska polskiego i oddziałów angielskich w czasie wojny w Wielkiej Brytanii. Akompaniował na wieczorach literackich Mariana Hemara i w jego kabarecie „Szóstka” w Orle Białym) oraz Zofia Batycka znana przedwojenna aktorka, która występowała w wielu filmach i w teatrach w Krakowie. Ale największy chyba sukces odniósł Kotwicz jako inicjator, organizator i wykonawca czterech dużych imprez teatralnych w środowisku Polonii kalifornijskiej.

Pierwsza odbyła się w 1953 z okazji przyjazdu na stałe do Los Angeles Konrada Toma. Druga, 3 grudnia 1955 z okazji Roku Mickiewiczowskiego. Przygotował akademię, w której wzięli udział m.in. Krystyna Dubrawska, Maria Sznuć i Zbigniew Blichewicz (dwoje ostatnich to absolwenci warszawskiego PIST-u, zasłużeni aktorzy sceny emigracyjnej w Londynie). Pokazano m.in. Improwizację III części *Dziadów* oraz sceny z *Pana Tadeusza*.

A 15 września 1957 pod egidą „Koła b. więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych” widowisko artystyczne w dwóch częściach (we własnym układzie i reżyserii) „Różowe okulary”. Wystąpili m.in.: Stabrowska, Dubrawska, Jerzy Grzybowski, Nina Wilczyńska, Zbigniew Wilczyński, Mieczysław Tomżyński. W obszernym sprawozdaniu dla „Nowego Świata” napisał: „wszyscy byli zadowoleni, a ja najbardziej, bo mam spokój na jakieś dwa lata”⁶.

² Nazwa zespołu pochodziła stąd, że Kotwicz w czasie wojny służył w lotnictwie, a Laskowski w marynarce wojennej. Pisano o tym w: „Syrena. Tygodnik Wolnych Polaków” 1949 nr 62.

³ Z. M. pisał m.in.: „Kotwicz jest satyrykiem. Jego podejście do zjawisk życiowych jest pełne pogody, zabarwionej równocześnie dyskretną ironią”. Przewidywania recenzenta, że „program ten to skromny załazek przyszłego teatru polskiego, mającego pod kierownictwem Kotwicza i Laskowskiego widoki doskonałego rozwoju i powodzenia” — nie sprawdziły się. Polonia francuska nie podtrzymała tradycji teatralnej na skalę londyńską. To powojenny Londyn na kilkadziesiąt lat stał się teatralną stolicą polskiej emigracji. Cytaty pochodzą z: „Polska Wierna. Tygodnik Katolicki” 1949 nr 10.

⁴ Jeden z takich wieczorów odbył się 23 XI 1949. Pisano o tym w: „Placówka. Tygodnik polityczny, społeczny i literacki” 17 XII 1949.

⁵ Wieczór odbył się 21 V 1955 w sali „Philanthropy and Civics Club” (występ artystów był honorowy, dochód przeznaczono na rzecz organizacji „Samopomoc”).

⁶ S. Kotwicz, *Hallo, tu Kalifornia*, Nowy Świat 31 X 1957.

Latem 1958 nawiązuje korespondencję z Romanem Brandstaetterem, którego dramat *Milczenie* wystawił w Los Angeles 12 lipca. Reżyserował i grał główną rolę. „Sztuka ta jest tragicznym dokumentem polskiej rzeczywistości. W niezwykle śmiały, przejmujący sposób mówi o tragedii człowieka w szponach totalitarnego systemu.” — pisano w ulotce reklamowej. A po premierze, Tadeusz Zieliński na łamach „Nowego Świata” pisał: „Przedstawienie było połączonym wysiłkiem zawodowców i amatorów. [...] Dla wszystkich widzów było to głębokie przeżycie”⁷. Dla tamtejszej publiczności polonijnej przyzwyczajonej do określonego typu widowisk: rozrywkowe, patriotyczne akademie z próbami wystawiania klasyki siłami amatorskimi, była to pierwsza próba pokazania sztuki współczesnej, żyjącego w kraju pisarza, który okres wojny przeżył na Bliskim Wschodzie.

W przedstawionych niżej listach pisarza do Stanisława Kotwicza czuje się poważne zainteresowanie odbiorem własnej twórczości. Gotowość podtrzymania dalszej znajomości, chęć rozszerzenia kontaktów (podanie adresu Morstina, wysyłka „Dialogu”) świadczy o potrzebie wymiany doświadczeń i wzajemnego poznania, którego odległość i sytuacja polityczna nie ułatwiały.

Niestety zachowały się tylko trzy listy pisarza do poety, reżysera jego sztuki. Może było ich więcej, ale podczas wędrownego jednak życia emigranta, mogły zostać zagubione.

W roku 1960 Kotwicz pojechał znowu do Paryża. Poczym wrócił do Kalifornii w 1962. Mieszkał w samym Hollywood z Wandą Stabrowską, która otoczyła go najczulszą opieką w trudnych latach choroby. Dedykował jej jeden z najpiękniejszych lirycznych wierszy:

Nie szukaj mojej młodości
W żadnej z pozółkłych kart!
Tyś była moją młodością,
Jak słońce, jak deszcz, jak wiatr...

W cokolwiek się obrócę —
W jaką zapadnę stronę,
Znajdą mnie oczy wierne,
Serce nienasycone...

Dlaczego się zainteresowałam Stanisławem Kotwiczem? W 1995 byłam w Los Angeles gościem Wandy Stabrowskiej, ostatniej aktorki, która występowała w LCT w czasie wojny. Mieszkałam w pokoju Stanisława Kotwicza. Siedziałam przy jego biurku. Oglądałam jego notatki, korespondencję, albumy z wycinkami własnych artykułów (niestety nie opisanymi!). Byłam na jego grobie. Żyłam wśród jego mebli i przedmiotów osobistych, obrazów, własnych portretów (był bardzo dobrym modelem właśnie Wandy Stabrowskiej). Po przejrzaniu tego wszystkiego, zrozumiałam, że mam szczęście poznać (niestety nie osobiście) arcyciekawą osobowość artystyczną.

Pisał dużo i na wiele tematów. Od kroniki towarzyskiej, kulturalnej (cykl „Hallo, tu Kalifornia!”), wydarzeń pozornie błahych (bale, wybory miss, „obiady żołnierskie”, „obiady literackie”) do poważnych dotyczących przyszłości życia polskiej emigracji na obczyźnie, w krajach osiedlenia. O szkołach polskich, kościołach, w których (dzięki obszernym salom parafialnym) zawsze koncentrowało się życie towarzyskie i kulturalno-patriotyczne. Pisał o dramatach codzienności zwykłych emigrantów i tragediach, które dotknęły wybitnych przedstawicieli świata kultury, teatru: śmierć Konrada Toma (1957), okoliczności śmierci Leny Żelichowskiej (1958). Pisał językiem barwnym, który mimo oddalenia od kraju ewoluował (co nie było i nie jest częstym zjawiskiem na emigracji, nawet wśród piszących!).

Jego dowcip, kultura literacka, poczucie humoru zainspirowały go do założenia „prywatnego muzeum okropności”. Były to wycinane z prasy polonijnej ewidentne bzdury, głupstwa tak śmieszne, że mogły stanowić inspirację twórczą. Czasem (nie zawsze!) opatrywał te cytaty własnym komentarzem. Warto chyba przytoczyć kilka przykładów jego „eksponatów”, aby pokazać problem wyjaławiania się języka w warunkach emigracyjnych. W wielu środowiskach zatracona została wrażliwość piszących na treść i formę własnych wypowiedzi. Wielu redaktorów przepuszczało takie „eksponty” nie widząc w nich niczego złego. I to najbardziej irytowało i śmieszyło Kotwicza.

W zapowiedzi programu patriotycznego reklamowano: „Hymny narodowe odśpiewa pani Kogut”. Z pochlebnej recenzji przedstawienia, w którym występowała Lidia Próchnicka (1919–1994),

⁷ T. Zieliński, *Milczenie*, Nowy Świat 4 VIII 1958.

aktorka nazywana „drugą Modrzejewską” — „Próchnicka nie łże ani przez sekundę”. Reklama kursu tańca: „Lekcje tańca prowadzi oficer z Oświęcimia”. Życzenia świąteczne — „Wesołego Alleluja — życzy Dom Pogrzebowy”.

Miał Stanisław Kotwicz ogromną pasję dokumentalisty. Przepiękną, oprawioną w czerwoną skórę księgę LCT prowadził systematycznie od chwili gdy został jej kierownikiem do ostatniego występu. Przekazał ją po latach do Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie.

Wspomniałam, że jego obie sztuki nie były wystawione w emigracyjnym (ani tym bardziej krajowym) teatrze. Są napisane jakby specjalnie dla radia. I mam nadzieję, że Teatr Polskiego Radia kiedyś je wydobędzie z mroków niepamięci. *C'est pour madame* — jest sztuką autobiograficzną, której akcja rozgrywa się w skromnym środowisku Polonii francuskiej. Ilustruje warunki życia i poczucia beznadziei tych ludzi w tamtym czasie (koniec lat 40.). Francuska prapremiera odbyła się 13 czerwca 1951 w Paryżu. Polskich bohaterów grali: Claude Luguet i Lucien Plaissey. Reżyserował Bronisław Horowicz.

Balzac — trzyaktowa sztuka, której akcja dzieje się w latach 1842–1850 w domu Balzaca „Les Jardies”, w St Petersburgu i w Paryżu. Wśród aż dwudziestu czterech postaci występują m.in.: Matka Balzaca, Wiktor Hugo, Franciszek Liszt, Adam Rzewuski, Karol Hański, Ewelina Hańska.

„Stanisław Kotwicz zakończył życie w Los Angeles 18 sierpnia 1976 roku — został pochowany na cmentarzu Holly Cross. Żyje jednak w swych utworach” napisała na zakończenie wstępu do tomu wierszy i fraszek Wanda Stabrowska. Mam nadzieję, że ożyje także dzięki temu przypomnieniu. I listom, które dokładnie 40 lat temu napisał do niego Roman Brandstaetter.

Anna Mieszkowska (Warszawa)

1.

Zakopane 6 VIII 1958

Szanowny Panie, przed kilkoma dniami wróciłem z kuracji z Karlowych Varów i zastałem w domu dwa Pańskie listy, za które serdecznie dziękuję. Bardzo ucieszyła mnie wiadomość o sukcesie mojej sztuki. Gorąco ściskam Pana i najserdeczniej dziękuję za Państwa wkład artystyczny. Bardzo proszę o wyrażenie w moim imieniu podziękowania wszystkim wykonawcom, a specjalnie Pani Wandzie Stabrowskiej. Może pana zainteresuje wiadomość, że Wojtecki* w Londynie zamierza również tę sztukę wystawić. Wczoraj podałem telefonicznie Morstinowi Pański adres. Wkrótce prześle panu *Przygodę florencką*. Adres Ludwika Morstina: Zakopane, ul. Kasprusie, Willa „Kozica”. Za dwa tygodnie otrzyma Pan ode mnie nowy wybór moich dramatów, które wkrótce ukażą się w osobnym tomie. Wydaje mi się, że znajdzie Pan tam inne sztuki, które może Drogiego Pana zainteresują: *Upadek kamiennego domu* (trzyosobowa sztuka z dużą rolą Matki, którą grała w Krakowie Maria Malicka) i *Dramat księżycowy* (sześciuosobowa, również kameralna sztuka). Postaram się przesłać Panu mój poprzedni wybór dramatów, który ukazał się w 1954 roku, ale tom jest zupełnie wyczerpany, więc muszę go po księgarniach szukać. No i poślę także mój *Powrót syna marnotrawnego* — dramat o Rembrandcie. Sztuka ta miała w roku 1947 bardzo duże powodzenie w Teatrze Słowackiego w Krakowie, ale występuje w niej — niestety — trzydzieści osób.

Znowu czekam na kilka słów od Pana i na wycinki recenzji. Całych gazet proszę nie przysyłać. Tylko wycinki. Serdecznie Pana pozdrawiam i dłoń ściskam.

Roman Brandstaetter

Rękopis.

* Wojciech Wojtecki (właśc. Wasilewski) (1908–1964), aktor, reżyser. Zagrał główną rolę w sztuce *Milczenie* w Londynie. Premiera w reżyserii Leopolda Kielanowskiego 24 IV 1959 w Teatrze Aktora (Wojciecha Wojteckiego), scen. Tadeusz Orłowicz.

2.

Zakopane 20 grudnia 1958

Wschodnia 17

Drogi Panie,
bardzo dziękuję za list. Dziś otrzymałem kilka recenzji o Pańskim świetnym przedstawieniu *Milczenia*. Recenzję przesłał mój znajomy z Londynu. Ale skąd, na litość Boga, wziął recenzent z „Samopomocy” wiadomość, że *Milczenie* jest moim debiutem literackim? I że jestem historykiem sztuki? Ale mniejsza z tym. Cieszę się bardzo, że tak świetnie wyreżyserował Pan moją sztukę i że tak doskonale grał Pan rolę Poniłowskiego. To wielka satysfakcja dla autora.

Milczenie ma w tej chwili olbrzymie powodzenie w Wiedniu, Oberhausen i Amsterdamie. Otrzymałem stamtąd gruby plik entuzjastycznych recenzji. Otrzymałem również wiele propozycji z Broadwayu. Załatwia je mój wiedeński wydawca.

Równocześnie piszę do Pani Stabrowskiej.

Czy otrzymał Pan moje książki, które jeszcze przed kilkoma tygodniami wysłałem na Pański adres do Los Angeles?

Bardzo proszę o łaskawe potwierdzenie odbioru. Dobrze?

Gdy piszę do Pana ten list, wieje w Zakopanem piekielny halny wiatr. Cała chałupa trzęsie się, huragan hula po dachu, śniegu ani śladu. Barbara była „po lodzie”, będziemy mieli Boże Narodzenie „po wodzie”. Życzę Drogiemu Panu Wesołych Świąt i Szczęśliwego i Dobrego Nowego Roku. Łamię się z Panem polskim opłatkiem.

Serdecznie Pana pozdrawiam i dłoń ściskam. Oddany

Roman Brandstaetter

Maszynopis.

3.

Zakopane 25 stycznia 1959

Wschodnia 17

Drogi Panie,
bardzo ucieszyłem się Pańskim listem, który otrzymałem przed kilkoma dniami. Dziękuję również za wiadomość o zamierzonym wystawieniu *Milczenia* w Chicago. Jeżeli Pani Dziewońska* nie posiada egzemplarza, chętnie prześlę jej wydanie książkowe tej sztuki. Nazwisko p. Dziewońskiej pamiętam z czasów przedwojennych. To była bardzo dobra aktorka. Nie wiedziałem, że przebywa obecnie w Chicago. Wojna ludzi rozsyłała po całym świecie, i od czasu do czasu wypływa nazwisko człowieka, o którego istnieniu już się dawno zapomniało. To jest bolesne zjawisko. Na Boże Narodzenie otrzymałem życzenia świąteczne od jakiegoś pana z Londynu. W pierwszej chwili nie mogłem zorientować się kim ten pan jest. Potem przypomniałem sobie: kolega szkolny, którego już dwadzieścia kilka lat nie widziałem. 3 lutego jest premiera *Milczenia* w Paryżu, w Theatre de Terte. Reżyseruje i gra główną rolę Jacques Chavert, młody, ale szalenie zdolny aktor i reżyser. Otrzymałem przed kilkoma dniami afisz. Jest rzeczą znamionną, że w tej sztuce każdorazowy wykonawca roli Poniłowskiego jest równocześnie reżyserem sztuki. Tak było w Los Angeles, Wiedniu, w kilku teatrach w Niemczech Zachodnich, a teraz w Paryżu, i za kilka tygodni na Broadwayu w Nowym Jorku. Pisze mi bowiem właśnie mój wydawca wiedeński, że podpisał umowę na wystawienie sztuki na Broadwayu.

Bardzo się ucieszę, gdy mi Pan znowu kilka słów napisze o sobie, co Pan obecnie robi, nad czym Pan obecnie pracuje. Może są Panu potrzebne jakieś sztuki polskie, jakieś książki polskie,

bardzo proszę o wiadomość, a chętnie prześlę je Panu. Czy otrzymuje Pan miesięcznik teatralny „Dialog”? To jest najlepsze pismo periodyczne w Polsce, świetnie redagowane przez Tarnę, który wprawdzie nie jest zbyt dobrym dramaturgiem, ale natomiast wspaniałym redaktorem, który postawił „Dialog” na europejskim poziomie.

Byłbym Panu bardzo wdzięczny, gdyby zechciał Pan poprosić Panią Dzięwońską, by mi kilka słów łaskawie napisała. Jestem ciekaw, jaka będzie w Chicago obsada itd., itd.

Polskie spektakle zawsze — jak to się zwykło mówić — leżą mi na sercu.

Bardzo panu za tę grzeczność dziękuję.

Tymczasem tyle. Przepraszam za niechlujną pisaninę na maszynie. To już taki mój wrodzony mankament — to pisanie na maszynie, a pismo ręczne mam nieczytelne.

Łączę wiele serdecznych pozdrowień i uścisk dłoni.

Roman Brandstaetter

Maszynopis.

* Elżbieta Dzięwońska (1903–1977), aktorka, reżyser, dyrektor teatru.

SPEŁNIONE POWOŁANIE

REGINA KOWALEWSKA (1909–1999)

Regina Kowalewska, z domu Orzech (2 VII 1909 Warszawa – 14 VIII 1999 Londyn), reżyser, dyrektor teatru — tak zaczyna się hasło w *Słowniku biograficznym teatru polskiego*. A ja mam w pamięci drobną, filigranową panią o ciepłym, serdecznym uśmiechu, która powitała mnie we wrześniu 1991 roku w progu swojego londyńskiego domku przy Grange Road.

Chwilę wcześniej poznałam jej męża Janusza Kowalewskiego, dziennikarza, pisarza, który uprzejmie wyszedł mi na spotkanie. Nie znałam jeszcze Londynu i wszystkie spotkania w domach polskich artystów rozrzuconych po całym ogromnym mieście były problemem. Czy trafię, czy zdążę na czas... Już w czasie rozmowy telefonicznej, gdy uzgadniałyśmy termin spotkania, usłyszałam: proszę się nie bać, na przystanku będzie czekał na panią mój mąż, będzie trzymał różę z naszego ogrodu. I tak się poznaliśmy. Spędziłam w tym domu cały dzień. Słuchałam niezwykłych opowieści niezwykłych ludzi. Oglądałam zdjęcia, programy, recenzje. Kim była Pani Regina w Londynie, dowiedziałam się z przepięknie wydanego przez Polską Fundację Kulturalną albumu *Syrena nad Tamizą* (1990). Ale interesowały mnie początki kariery pani reżyser, jej droga do Londynu. Usłyszałam: „miałam skromne, niełatwe życie, ale szczęśliwe! Bo spełniło się moje powołanie”. Tak powiedziała. „Powołanie” a nie „marzenie”.

W rodzinie była bieda. Matka umarła przedwcześnie, ojciec nie miał szczęścia do interesów. Wychowywała ją starsza siostra. [...] Od dziecka przywykła do ograniczania swoich potrzeb osobistych. Nie pragnęła strojów, nie używała kosmetyków. Te rzeczy mogły dla niej nie istnieć, zawsze jednak nosiła białe kołnierzyki, by wyglądać czysto i schludnie. Od dzieciństwa marzyła o teatrze. Ten świat urody wypełniał i zastępował wszystkie braki codziennego życia¹.

Już w szkole, jako uczennica gimnazjalna znalazła się pod wpływem wspaniałego pedagoga Lucjusza Komarnickiego, twórcy idei nowoczesnego teatru szkolnego, które opisał w kilku swoich pracach (*Teatr szkolny, Czarodziejstwa teatru, Historia literatury dla samouków*). Profesor chorował na oczy. Przeżył depresję, po której popełnił samobójstwo. Młodzianka uczennica, zafascynowana osobowością pedagoga postanowiła kontynuować dzieło mistrza. „Służbie tej idei (nowoczesnego teatru dla dzieci) poświęciłam swoją działalność artystyczną, bez względu na warunki, w jakich przyszło mi pracować przez wszystkie lata.” W 1937 jako absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego (filologii polskiej), zachęcona przez kierownika wydziału reżyserskiego warszawskiego Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej, Leona Schillera, podjęła naukę na tym kierunku. Wśród szerokiego grona pedagogów jej zapal i pomysły znalazły uznanie. Rozumiano potrzebę istnienia odrębnego teatru dla dzieci. Nie okolicznościowych przedstawień, ale specjalnego teatru, którego zadaniem byłoby wywoływanie i kształtowanie wrażliwości dziecka, czuwanie nad jego prawidłowym rozwojem emocjonalnym, wpływanie na rozumienie treści i formy widowisk.

W czasie dwuletnich studiów pani Regina odbyła cztery asystentury reżyserskie w stołecznych teatrach, m.in. Małym i Letnim. Współpracowała jako asystentka ze Zbigniewem Ziemińskim, Aleksandrem Zelwerowiczem, Antonim Cwojdziańskim i Leonem Schillerem. Ten ostatni popierał jej zainteresowania. Ale trzeci, ostatni rok nauki przerwała wojna. Tuż przed jej wybuchem wyszła za mąż. Rozdzieleni przez wojnę małżonkowie spotkali się dopiero w 1949 w Paryżu. Ona pięć lat cudem przeżyła w „głodowym stepie Kazachstanu”. On, po także dramatycznych przejściach, przeszedł żołnierski szlak z 2. Korpusem. Odnaleźli się korespondencyjnie w 1945. Ona, po powrocie do kraju zgłosiła się w Łodzi, gdzie powstała pierwsza szkoła teatralna, do Leona Schillera. W 1946 wznowiła studia na wydziale reżyserskim.

¹ Z. Sikorska-Ratschka, *Pani Regina*, Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza 1999 nr 206.

Jako przedstawienie dyplomowe wyreżyserowała bajkę Samuela Marszaka *Dwanaście miesięcy* (prem. 7 III 1947 w Teatrze Wojska Polskiego). W tym przedstawieniu jako Kwiecień występował młody Kazimierz Dejmek.

Dostałam od pani Reginy fotografie z tego przedstawienia z pięknymi dekoracjami Władysława Daszewskiego i kostiumami Olgi Siemaszkowej. W tym samym czasie (1947) asystowała Stanisławowi Daczyńskiemu przy *Profesji pani Warren Shaw'a*.

Leon Schiller znał osobistą, rodzinną sytuację swojej studentki. Pomógł jej wyjechać z Polski. Dzięki jego rekomendacji otrzymała stypendium od rządu francuskiego. Wyjechała do Paryża. Potem był Londyn. Prawie od razu podjęła pracę (społeczną, oczywiście!) w środowisku teatralnym polskiej emigracji. Współpracowała z teatrem prowadzonym przez kolegę z PIST-u, Leopolda Skwierczyńskiego. Wyreżyserowała dla niego *Męża przeznaczenia Shaw'a* (1951), jeszcze w sali Orła Białego na Knightsbridge, granego także w objazdach na angielskiej prowincji, z dekoracjami Tadeusza Orłowicza. Dla Teatru Aktora (Wojciecha Wojteckiego), wyreżyserowała dramatyczny debiut Fryderyka Jarosy'ego — *Okoliczności łagodzące* (1952). Inny kolega z PIST-u, Wiesław Mirecki, gdy założył swój drugi emigracyjny teatrzyk Warsztat Teatralny, zaproponował pani Reginie wystawienie sztuki Ferdynanda Goetla *Odmlodzony Mister Gill* z Barbarą Reńską, Zygmuntem Rewkowskim, Stanisławem Szpiganowiczem, Józefem Bzowskim, Beatą Ostrowską (1956). W tym samym roku podjęła (długo oczekiwaną!) współpracę z Teatrem ZASP-u, który nagroził sztukę Edwarda Chudzyńskiego — *Wodewil warszawski*. W tym przedstawieniu wystąpili m.in.: Maria Arczyńska, Stanisław Belski, Gwidon Borucki, Wacław Dybowski, Wacław Krajewski, Mieczysław Malicz, Roman Ratschka, Zygmunt Rewkowski, Janina Sempolińska, Stanisław Zięciakiewicz. W liście do mnie pani Regina tak ten czas wspominała: „Ta ostatnia praca, w której mogłam poznać bohaterską walkę prawdziwych aktorów zawodowych, walczących w głodowych prawie warunkach o kontynuację bytu aktorskiego, pozwoliła mi zrozumieć londyńską brać aktorską, jej słabości i zalety”.

O potrzebie istnienia teatru dla dzieci i młodzieży na emigracji mówiono i pisano już od 1946!, od pierwszych miesięcy przyjazdu do Wielkiej Brytanii (czy najazdu jak mówią złośliwi!) zespołu Teatru Dramatycznego 2. Korpusu. Wśród aktywnych społecznie aktorów, zdających sobie sprawę z niebezpieczeństw emigracji dla najmłodszych, którzy o tym alarmowali wręcz środowiska kombatanckie, polityczne, literackie byli m.in.: Leopold Kielanowski, Jadwiga Domańska, Barbara Reńska, Stanisław Szpiganowicz. Ale dopiero przybycie Reginy Kowalewskiej, niejako stworzonej do tego typu działań, zmobilizowało chętnych i życzliwych sprawie do zorganizowania „teatru bez teatru”. Bo przez prawie wszystkie lata (już 40!) był ten teatr bez stałego budynku, zaplecza organizacyjno-technicznego. Książka-album o Teatrze Syrena jest nie tylko historią jednego teatru, jest także dramatycznie, a pięknie ilustrowaną opowieścią o losach emigracji, tej najmłodszej. Jest zapisem pamięci o ludziach, którzy kształtowali tej ogromnej rzeszy dzieci i młodzieży wrażliwość i estetykę, kulturę słowa i muzyki, nieobojętność na to co polskie, z tej wówczas dla nich nieznaney Ojczyzny.

Na 41 przedstawień przygotowanych w Teatrze Syrena, Pani Regina reżyserowała 37. Teatr zainauguował działalność wystawieniem bajki Hanny Januszewskiej *Przygody kota w butach* z Władą Majewską w roli tytułowej.

Miała Pani Regina niezwykle dar jednoczenia ludzi wokół spraw, którym sama służyła i poświęcała się bez reszty. Wystarczy przypomnieć nazwiska aktorów, którzy nie odmawiali udziału w reżyserowanych przez nią widowiskach. Grali prawie wszyscy wybitni emigracyjni aktorzy: Barbara Reńska, Janina Sempolińska, Krystyna Dygat, Irena Brzezińska, Eugenia Magierówna, Tola Korian, Maryna Buchwaldowa, Janina Jakóbówna, Maria Arczyńska, i jej córka Joanna Rewkowska, Jadwiga Butscherowa (z mężem Arturem Butscherem), Danuta Czyrska-Mierzanowska, Nina Oleńska i Feliks Konarski (Ref-Ren) oraz Ludwik Lawiński, Józef Bzowski, Zygmunt Rewkowski, Roman Ratschka (którego żona Zofia Sikorska projektowała i szyła wielokrotnie kostiumy), Ryszard Kiersnowski z synem Michałem, Stanisław Szpiganowicz, Józef Opieński. Także plastycy nie odmawiali współpracy z tym teatrem: Tadeusz Orłowicz, Halina Żeleńska, Jadwiga i Feliks Matyjaszkiewiczowie, Tadeusz Terlecki i inni. Mam m.in. afisze, które dla tego właśnie teatru projektował Feliks Topolski.

Jeden z takich afiszów jest szczególnie cenny. Podpisali się na nim występujący w sztuce Mieczysława Lisiewicza *Zaczarowane noce* (opowieść o młodym Chopinie) — aktorzy. Ofiarowała mi ten afisz grająca wówczas także Eugenia Magierówna.

Udało się Reginie Kowalewskiej stworzyć pewne literackie lobby, które wspierało teatr dla dzieci pisząc dla niego specjalne sztuki (Mieczysław Lisiewicz, Maria Reszczyńska-Stypińska).

Nie bez przesady można dzisiaj napisać, że oglądały te przedstawienia nie tylko najmłodsze pokolenia emigracji w Londynie i na angielskiej prowincji, ale prawie cały elitarny „polski Londyn”. Wśród publiczności bywał generał Anders z żoną (Renatą Bogdańską) i córką Anną, Kazimierz Wierzyński, generał Marian Kukiel. A recenzje z przedstawień pisali m.in.: Marian Hemar, Zygmunt Nowakowski, Stanisław Baliński, Maria Danilewicz, Władysław Günter, Tymon Terlecki, Tamara Karren...

O ogromnej roli społecznej, wychowawczej, psychologicznej i moralnej Teatru dla Dzieci i Młodzieży Syrena (który pod innym kierownictwem działa do dzisiaj), pisała Małgorzata Niecikowska w referacie, który wygłosiła jesienią 1992 roku w Poznaniu, na sesji naukowej „Dni dramatu i teatru emigracyjnego”².

Raz jeszcze przeglądam programy, fotografie, recenzje. Wiem, że Pani Regina próbowała pisać wspomnienia. Ostatnią wzmiankę o tych planach znalazłam w liście z 1992: „Miałam zamiar napisać o nieprzeciętnych ludziach, których spotkałam na swojej drodze życiowej. Ale ten wysiłek przekracza moje możliwości”. Pewnie w tym samym czasie podjęła się napisania o Leopoldzie Kielanowskim do książki wspomnieniowej poświęconej wybitnemu artyście teatru³. Czytamy w nim m.in.: „Mam pisać o Leopoldzie Kielanowskim, człowieku, który nie był mi zbyt bliski i nie miał zbyt wielkiego uznania dla mojej pracy w teatrze”. Gorycz tych słów usprawiedliwia bolesna prawda o ich współpracy przy scenicznej realizacji *Pana Tadeusza* (prem. 15 XII 1955 w Scala Theatre w Londynie), o której pisze w swoim artykule zamieszczonym w bezcennej książce wydanej z inicjatywy ZASP-u za Granicą. Jest to dowód na to, jak niełatwe wyznaczyła sobie pani Regina cele i zadania i jak wiele trudności musiała pokonywać przez wszystkie lata swojej zawodowej, artystycznej i przede wszystkim społecznej pracy w środowisku polskiej emigracji⁴. Przez cały czas wspierał ją mąż — Janusz Kowalewski, dziennikarz i pisarz (zm. w 1996), z którym razem dokonali adaptacji sześciu sztuk dla potrzeb „Syreny”.

Wiem też, że była pani Regina osobą skromną, nieprzywiązującą wagi do odznaczeń, wyróżnień i nagród. Ale jest taka nagroda w kraju, którą od lat przyznają dorosłym dzieci. Dostają tę nagrodę lekarze, nauczyciele, artyści, pisarze, nawet papież Jan Paweł II jest tej nagrody laureatem. Jest to Order Uśmiechu. Myślę, że pani Regina, „która mierząc siły na zamiary, z uporem pokonywała trudności z wiarą w cel, jaki ma przed sobą” — zasłużyła na niego także⁵.

Warto odnotować, że była honorowym członkiem ZASP-u za Granicą oraz członkiem Brytyjskiej Sekcji Międzynarodowej Organizacji Teatrów dla Dzieci i Młodzieży (ASSITEJ).

Zostawiła po sobie pamięć kilku pokoleń polskich dzieci urodzonych poza Krajem.

Anna Mieszkowska (Warszawa)

² M. Niecikowska, „*Teatr serdeczny*” — parę uwag o repertuarze Teatru Syrena, [w:] *Teatr i dramaty polskiej emigracji 1939–1989*, praca zbiorowa pod red. I. Kieć, D. Ratajczakowej, J. Wachowskiego. Poznań 1994 s. 251–257.

³ R. Kowalewska, „*Tak nas powrócisz cudem na ojczyzny łono.*”, [w:] *O Leopoldzie Kielanowskim, wspomnienia-szkice teatralne-dokumenty*, red. K. Fejcher-Akhtar. Londyn 1994 s. 108–111.

⁴ Wspominała o tym Jadwiga Otwinowska w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza” nr 65 z 16 III 1964 (*Kowalewska nagrodzona*), omawiając uroczystość wręczenia nagrody ufundowanej przez organizację i instytucje społeczne Wielkiej Brytanii.

⁵ Pisałam o tym w „Tygodniu Polskim” nr 37 z 11 IX 1999. W odpowiedzi zareagował Stanisław Nowodworski, Członek Kapituły Orderu Uśmiechu: „Zgadza się w pełni: kto jak kto, ale Pani Regina na pewno na order ten zasłużyła. Niestety, już jest za późno order ten nie jest nadawany pośmiertnie — „Tydzień Polski” nr 44 z 30 X 1999.

W.S. KUNICZAK

(1930–2000)

W dniu 20 września zmarł w Quakertown, PA Wiesław Stanisław Kuniczak, jeden z najwybitniejszych współczesnych powieściopisarzy, laureat Nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z roku 1999.

Urodził się we Lwowie w dniu 4 lutego 1930 r., w rodzinie pułkownika służby stałej i wychowany był w duchu głęboko patriotycznym, przesiąkniętym tradycją Wojska Polskiego. Po najeździe sowieckim udało mu się wraz z matką i siostrą wyjechać z Polski, potem przez Rumunię, Francję i Hiszpanię przedostać do Anglii, gdzie ukończył szkołę, poczym w 1950 r. wyjechał do Stanów Zjednoczonych jako stypendysta. W czasie wojny koreańskiej Kuniczak służył w stopniu sierżanta w 7 Dywizji Piechoty i zdemobilizowany został z bojowymi odznaczeniami. Łączył następnie studia uniwersyteckie z pracą dziennikarską, przy czym zainteresowania literackie stale znajdowały się w centrum jego uwagi. W rezultacie postanowił poświęcić się wyłącznie powieściopisarstwu, wybierając język angielski jako środek wyrazu artystycznego.

W roku 1967 ukazała się jego pierwsza powieść *The Thousand Hour Day* (Dzień o tysiącu godzin), będąca epickim obrazem kampanii wrześniowej w Polsce. Książka została wyróżniona jako selekcja największego amerykańskiego klubu książki The Book-of-the-Month Club i doczekała się tłumaczenia na dziesięć języków, z wyjątkiem polskiego. Przekładu w kraju podjął się znakomity tłumacz Bronisław Zieliński, wydanie jednak rozbiło się o stanowisko cenzury, która zażądała usunięcia rozdziałów mówiących o bestialstwach Ukraińców po 17 września 1939 r., na co autor oczywiście nie chciał wyrazić zgody. Powieść ta stanowiła pierwszą część trylogii poświęconej polskiemu żołnierzowi — jej następne części *The March* (1979, Marsz) i *Valedictory* (1983, Mowa pożegnalna) kontynuowały wątek pierwszej powieści, kolejno mówiąc o martyrologii Polaków w Rosji Sowieckiej i o udziale polskich pilotów w lotniczej Bitwie o Anglię. W sumie trylogia Kuniczaka stanowi najpełniejszy obraz polskiego wysiłku wojennego, nieprześcigniony zarówno pod względem historycznym jak i artystycznym przez żadnego pisarza polskiego, czy to w kraju, czy na emigracji. W początku lat 90. podjęto tłumaczenie całości na polski, niestety jednak do wydania polskiego raz jeszcze nie doszło, tym razem z powodów ekonomicznych.

Pozostałe prace pisarskie Kuniczaka — powieść sensacyjna *The Sempinski Affair* (1969, Sprawa Sempinińskiego), historia Polonii amerykańskiej *My Name Is Million* (1978, nowe wyd. 2000, Na imię mam milion) i drobne prace edytorskie — nie dorównywały trylogii powieściowej — omawiając pierwszą z nich w „Kulturze”, określiłem ją krótko jako „fikcję i fiasko” (1969). Wkrótce też pisarz poświęcił się ogromnej pracy nad nowoczesnym przekładem na angielski Trylogii Henryka Sienkiewicza, której pierwsza część *With Fire and Sword* (*Ogniem i mieczem*) ukazała się w 1991 r., podczas gdy tomy następne, *The Deluge* (*Potop*) i *Fire in the Steppe* (*Pan Wołodyjowski*) opublikowane zostały w roku 1992. I mimo że wydawnictwo finansowane było przez The Copernicus Society of America, Kuniczak był faktycznie nie tylko tłumaczem ale także wydawcą, redaktorem, sprzedawcą i kierownikiem reklamy, objeżdżając prawie wszystkie większe ośrodki polonijne w Stanach Zjednoczonych, propagując i reklamując książki, co w rezultacie pozwoliło na sprzedanie ponad 100 tysięcy egzemplarzy Trylogii, od przeszło stu lat nieobecnej na amerykańskim rynku księgarskim. Był to bezprecedensowy sukces wydawniczy, mogący się równać z jedynie z powodzeniem *Quo vadis* na przełomie wieków. Kuniczak zresztą dokonał własnego przekładu *Quo vadis*, podobnie jak Trylogię przystosowując angielski tekst powieści do gustów i potrzeb współczesnego czytelnika, co ściągnęło na niego surową krytykę niektórych purystów polonijnych, uważających tego rodzaju praktykę za wypaczanie Sienkiewiczowskich oryginałów, zwłaszcza w przypadkach nazwisk, które Kuniczak istotnie zmieniał dosyć dowolnie (np. Kmita zamiast Kmicic, Skshetuski zamiast Skrzetuski itp.).

Takie i podobne konflikty ze środowiskiem polonijnym zniechęciły pisarza do jedynej tematyki jaka była mu bliska i wraz z pogarszającym się stanem zdrowia doprowadziły do całkowitego niemal zamknięcia w latach dziewięćdziesiątych. Ostatnim tekstem, jaki mi nadesłał było przemówienie przygotowane na uroczystość wręczenia Nagrody Związku Pisarzy w Polskich na Obczyźnie w Londynie. Zaczynało się ono od słów: „Szanowni Państwo. Pragnę podziękować Wam za wyróżnienie. Czuję się zdumiony Waszym gestem, Waszą nadzwyczajną uprzejmością i tą najzupełniej nieoczekiwaną oznaką uznania, tym bardziej, że przywykłem — ze smutkiem choć nie zaskoczony — do czegoś wręcz przeciwnego ze strony stowarzyszeń podobnych Waszemu”. Przemówienie zaś kończyło się następującym stwierdzeniem: „Muszę się Państwu przyznać, iż zdałem sobie sprawę zbyt późno, że zrobiłbym znacznie lepiej, gdybym nigdy nie napisał ani jednego słowa o Polakach czy Polsce, ale tego zrobić nie mogłem. Czułem w początkach mojego żywota jako pisarz to, co czuję dzisiaj, pod koniec życia, to mianowicie, że pisanie bez jakiejś misji czy poczucia misji, jest marnowaniem tych lat, jakie zostały nam dane, i że jeśli człowiek nie potrafi oddać się całym sercem sprawie większej niż on sam, bez względu na konsekwencje, a nie postępuje tylko za głosem serca, osiągnąć może jedynie małość i zasłużone zapomnienie. Wierzę w to do dzisiaj.” Gorzkie, smutne słowa.

Moja znajomość z Kuniczakiem rozpoczęła się nader wcześnie, gdy tuż po publikacji jego pierwszej powieści recenzowałem ją w „Kulturze”, omówienie tytułując „Hemingway polskiego Września” (1967), pierwszy jednak bezpośredni kontakt nastąpił po tym, jak ogłosiłem w krakowskim „Ruchu Literackim” obszerny szkic analityczny „Struktura powieści W. S. Kuniczaka *The Thousand Hour Day*” (1971, przedruk w pracy zbiorowej *Druga wojna światowa w literaturze polskiej i obcej*, Lublin, 1994). Na przesłaną odbitkę pracy pisarz zareagował gorącym, pełnym uznania listem i od tego czasu, przez lat bez mała trzydzieści, wymieniliśmy setki listów. A kiedy w roku 1984 The Polish Cultural Alliance wznowiła tę powieść, zostałem zaproszony do napisania przedmowy, którą rozpocząłem od słów: „Wielkie powieści trwają wiecznie”.

Podobne zaproszenie wystosował do mnie Kuniczak po ogłoszeniu tłumaczenia *With Fire and Sword* z moim wstępem. Czytając przychylne na ogół recenzje zorientowaliśmy się, że zarówno tematyka jak i historia przedstawiane w powieściach Sienkiewicza są dla amerykańskich krytyków i czytelników tak egzotyczne, że powodują szereg nieporozumień. Chcąc nieporozumieniom tym zaradzić postanowiliśmy wydać książeczkę stanowiącą niejako przewodnik po Trylogii. Ukazała się ona pod moją redakcją jako *The Trilogy Companion. A Reader's Guide to the Trilogy of Henryk Sienkiewicz* (1991), przynosząc obok kilku rozpraw i przedruku przedmów do trzech powieści słowniki i mapy, mające ułatwić orientację w problematyce dla obcego czytelnika mało znanej. Wydaje się, że było to wydawnictwo potrzebne, jeśli nie zgoła konieczne dla amerykańskiego sukcesu Trylogii.

W okresie kampanii reklamowej Trylogii zorganizowałem na zjazdach naukowych szereg sesji Sienkiewiczowskich, zapraszając Kuniczaka do podzielenia się ze słuchaczami swoimi uwagami o pracy nad przekładami, a wystąpienia te przyjmowane zawsze były z dużym zainteresowaniem, niejednokrotnie powodując żywe dyskusje. Sam zaś często pisałem do amerykańskich czasopism naukowych i literackich, starając się przybliżyć czytelnikom postać autora i jego dzieło. W trakcie wszystkich tych imprez pozostawaliśmy z Kuniczakiem w najbliższym kontakcie osobistym, listowym i telefonicznym, on odwiedzał nas w Columbus, a my z żoną parokrotnie jeździliśmy do „szaleństwa Kuniczaka”, jak żartobliwie ochrzciliśmy jego zagubiony w lasach Pensylwanii dom w Warrington przy Folly Road., nawiązując do Conradowskiego *Almayer's Folly*. Pisarz dzielił się też ze mną swoimi bieżącymi projektami literackimi, a często przysyłał całe rozdziały przygotowywanej do druku powieści o charakterze wyraźnie autobiograficznym. Ja z kolei rewanżowałem mu się odbitkami szeregu prac poświęconych jego twórczości i przekładów fragmentów jego powieści, jakie dosyć systematycznie ogłaszałem w Polsce, Anglii, Niemczech i Stanach Zjednoczonych. Były zawsze przyjmowane z wdzięcznością. Wolno mieć nadzieję, że gdy powstanie kiedyś monografia poświęcona powieściom Kuniczaka nasza wymiana doświadczeń, prac i listów znajdzie w niej należne miejsce.

Jerzy R. Krzyżanowski (Stany Zjednoczone)

WSPOMNIENIE O BRONISŁAWIE MAZOWIECKIM

(1907–1997)

Poznałem go w roku 1940. Po klęsce Francji znaleźliśmy się obaj w strefie nieokupowanej, w Grenoble, gdzie dzięki pomocy Polskiego Czerwonego Krzyża mogliśmy, ja zacząć, a on kontynuować studia uniwersyteckie. Spotykaliśmy się rzadko bo Mazowiecki trzymał się na uboczu, nie przychodził ani na wieczory towarzyskie do domu polskich studentów ani na „żywe dzienniki” w schronisku dla starszych.

Po wojnie zamieszkaliśmy w Paryżu i spotykaliśmy się również dość rzadko i to chyba głównie dlatego, że Mazowiecki, z natury nieśmiały, wiódł żywot samotnika. Parę razy odwiedziłem go na poddaszu w kamienicy przy bulwarze St. Michel. Gospodarz obracał się tam na paru metrach kwadratowych, całą przestrzeń wypełniały sięgające sufitu kolumny książek. Przekładałem wówczas poezję hiszpańską i w paru trudnych wypadkach skorzystałem z jego pomocy, gdyż był on nie tylko doktorem nauk ekonomicznych i magistrem jeszcze jednego fakultetu, ale także poliglota, najważniejsze zaś, że posiadał wspaniałe słowniki, dzięki którym udało się nam — poprzez łacinę — ustalić polską nazwę pewnych roślin. Przy okazji dowiedziałem się, że pracę zawodową rozpoczął jako nauczyciel na Wołyniu, ale zamiast uczyć dzieci ukraińskie, wołał sam się uczyć i w tym celu wybrał się do Paryża, na Sorbonę. Zaprzyjaźnił się tutaj z Olgą Boznańską, która naszkicowała mu portret*.

Po wojnie sekretarzował przez pewien czas ciężko choremu profesorowi Stanisławowi Koto-wi, z którym łączyła go przynależność do Stronnictwa Ludowego. Przez parę lat miał też podrzęd-ną posadę w Kongresie Wolności Kultury, gdzie rej wodził Konstanty Jeleński. Ale były to zajęcia krótkotrwałe i bardzo źle płatne. Z czego żył w innych latach, nie wiem i nikt z mego otoczenia paryskiego nie zna tej tajemnicy. To pewne, że biedował. Ze swych dyplomów i swej wiedzy zupełnie nie korzystał.

Koło roku 1960 założył księgarnię antykwarską na ulicy Cardinal Lemoine. Sąsiadując z nim, raz po raz wpadałem do tego sklepu, a raczej sklepiku. Z powodu braku półek książki piętrzyły się tam kolumnami do sufitu. Gdyby klient zechciał zakupić tom ze spodu, księgarz musiałby rozebrać cały stos, ale klientów nigdy tam nie widziałem. Mazowiecki nie miał najmniejszego zmysłu handlowego i księgarnia trwała nie dłużej, jak dwa lata.

Gdy w tym czasie opracowywałem polski przewodnik po Paryżu, Mazowiecki udzielił mi wiele cennych informacji o uwielbianej Marii Curie-Skłodowskiej i oprowadził mnie po miejscach jej pracy i zamieszkania.

Grał na skrzypcach, pewnie jako amator, ale zamiłowanie to zbliżyło go do znanego pianisty, Miłosza Magina. Zabawił się w jego impresaria i urządził mu parę koncertów w sali Pleyela. Mnie namawiał wielokrotnie, żebym napisał wiersz o Chopinie.

Mimo biedy, zachowywał godność i entuzjazm. Mimo dyplomów i wiedzy, zachował prostotę i naiwność.

Pod koniec życia otrzymał od Miasta Paryża tanie mieszkanie koło Panteonu. Odwiedziłem to jasne i schludne wnętrze, gdzie mimo nawału książek Mazowiecki dysponował trochę większą przestrzenią na własny użytek.

Żył, jak zakonnik. Jak pustelnik rozmodlony w książkach.

Jan Winczakiewicz (Francja)

* Decyzją właściciela i rodziny, potwierdzoną przez sąd, księgozbiór, archiwum oraz pamiątki B. Mazowieckiego trafiły w połowie 2000 roku do toruńskiego Archiwum Emigracji. Wśród przekazanych Archiwum pamiątek nie było obrazu Olgi Boznańskiej. Nie wiadomo kiedy i w jakich okolicznościach zaginęła.

ALFRED SCHÜTZ

(1910–1999)

Do legendy przeszedł jako kompozytor pieśni do słów Feliksa Konarskiego „Czerwone maki na Monte Cassino”. Urodził się 2 lipca 1910 w Tarnopolu jako syn Zofii i Ottona. Ojciec był bankowcem, dyrektorem Towarzystwa Asekuracyjnego Feniks-Varsovia, później dyrektorem administracyjnym „Kuriera Lwowskiego” oraz prokurentem Banku Hipotecznego we Lwowie. Alfred Longin Schütz ukończył II Gimnazjum Państwowe we Lwowie i Lwowskie Konserwatorium Muzyczne. Dla Muzyki porzucił studia prawnicze (pięć lat na Uniwersytecie Jana Kazimierza). W czasie pierwszej wojny światowej przebywał w Wiedniu i Pradze. Po zakończeniu działań wojennych powrócił do Lwowa. W latach 1929–1930 zaliczył dwuletnią praktykę bankową w Warszawskim Banku Dyskontowym (Oddział we Lwowie). I po tej praktyce jego kariera urzędnicza skończyła się. Już jako student komponował i aranżował utwory dla teatrzyków akademickich: Złoty Pieprzyk, Ósma Pięć.

W latach 1932–1936 był stałym akompaniatorem, kompozytorem i kierownikiem muzycznym programu literacko-muzycznego „Wesoła Lwowska Fala” w Rozgłośni Polskiego Radia we Lwowie. W roku 1936 przeniósł się do Warszawy. Do wybuchu wojny współpracował z wieloma teatrami, zespołami rewiowymi, m.in.: 1936–1937 był kapelmistrzem i kierownikiem muzycznym operetki „8.15”, 1937–1938 współpracował jako kompozytor i kierownik muzyczny z Teatrem Narodowym (ilustracja muzyczna do komedii *Zielony frak* R. Flersa i G. Caillavetta), Teatrem Letnim (przygotowanie chórów do przedstawienia *Madame Sans Gene*), Teatrem Nowym (kompozycja piosenek do sztuki Cowarda *Weekend*), Cyrulikiem Warszawskim (muzyka do komedii muzycznej *Romans z urzędem skarbowym* i wiele kompozycji do piosenek we wszystkich programach tego teatru). Współpracował także z teatrami: Wielka Rewia, Ali Baba. W tym czasie wydanych zostało drukiem około 35 jego piosenek i pieśni oraz nagranych kilkadziesiąt płyt gramofonowych z jego utworami.

W ostatnim przedwojennym sezonie (1938/1939) był kierownikiem muzycznym Teatru Buffo (opracował muzycznie farsę *Porwanie Sabinek* F. Schönthana w tłumaczeniu Juliana Tuwima, z Józefem Węgrzynem i w reżyserii Janusza Warneckiego).

We wrześniu 1939, niezmobilizowany wyszedł z Warszawy do Lwowa, gdzie w październiku wraz z grupą artystów-uciekinierów współorganizował Teatr Miniatur (kierownikiem był Konrad Tom). Przez trzy miesiące był kierownikiem muzycznym zespołu, a po upaństwowieniu teatru przez władze sowieckie pozostał w charakterze koncertmistrza. Z tym teatrem odbył dwukrotne *tournée* po ZSRR. Występowali m.in. w Taszkencie, Bucharze, Samarkandzie. Wybuch wojny niemiecko-rosyjskiej zastał go wraz z kolegami w Kujbyszewie. We Frunze (Średnia Azja) zachorował na tyfus. Cudem ocalony od śmierci (z braku leków i żywności, tragicznych warunków szpitalnych), w grudniu 1941 dotarł do Buzułuku, gdzie przy sztabie Armii Polskiej generała Andersa, tworzyły się czołówki rewiowe (Kazimierza Krukowskiego, Feliksa Konarskiego), dramatyczna i filmowa. Dostał przydział do Wydziału Propagandy Sztabowej.

W ciągu kilku lat (do 1946) współpracował ze wszystkimi grupami artystycznymi Armii Polskiej na Wschodzie, później 2. Korpusu. Wspólnie z Henrykiem Warssem kierował prawie 40 osobową orkiestrą, która towarzyszyła występom czołówek rewiowych od Teheranu do Monte Cassino. W tym samym czasie opracowywał i prowadził audycje muzyczne w radiostacjach Bagdadu, Jeruzolimy, Kairu, Rzymu i Florencji. Często występował dla oddziałów przyfrontowych. Skomponował wówczas muzykę do wielu pieśni i piosenek żołnierskich, które pisali m.in. Kazimierz Krukowski, Konrad Tom i Feliks Konarski (Ref-Ren). Jeszcze w Rosji napisali z Ref-Renem kilka piosenek, które odegrały wówczas ogromną rolę w kształtowaniu morale żołnierzy po tragicznych przejściach wojenno-łagiernych. Były to piosenki o tęsknocie za najbliższymi, którzy zostali w kraju (lub których losów często nie znali) i o nadziei („Jak bociany na wiosnę, powrócimy do

gniazd...”). Piosenka „Łzy matczyne” była wykonywana zaledwie kilka razy, „bo widownia żołnierska reagowała zbyt silnie. (...) O wesole piosenki było jeszcze zbyt trudno. Wszystko było za świeże, za bliskie. Ludzie powoli dochodzili do równowagi”¹.

Już we Włoszech „występy wszystkich zespołów teatralnych były niezwykle ważne. Piosenką, dowcipem, tańcami i muzyką staraliśmy się podtrzymywać na duchu walczących żołnierzy”, wspominał po latach aktor i piosenkarz — Gwidon Borucki². Opisał on okoliczności powstania w ciągu jednej nocy (z 17 na 18 maja 1944) pieśni „Czerwone maki na Monte Cassino”. Prawykonanie odbyło się u stóp Monte Cassino, 19 maja 1944. W pamiętnym koncercie dla zwycięzców — zdobywców klasztornej góry (12 Pułku Ułanów Podolskich) wystąpili: Ela Niewiadomska, Nina Oleńska, Renata Bogdańska, Filip Ende, Ludwik Olszyński, Stanisław Rusała, Feliks Konarski, Alfred Schütz oraz orkiestra Henryka Warsa. „Na widowni obecny był generał Władysław Anders, generał Nikodem Sulik (dowódca 5 Dywizji Kresowej) oraz kilku dowódców wojsk alianckich”³.

Pieśń ta w niedługim czasie stała się jakby drugim hymnem narodowym. Jej pierwszym wykonawcą był właśnie Gwidon Borucki (obecnie w Melbourne), dopiero później po jego wyjeździe do Wielkiej Brytanii, przejęli tę pieśń i spopularyzowali jeszcze bardziej dzięki nagraniom płytowym: Adam Aston (1902–1993) i Paweł Prokopieni (zm. w 1976 w Nowym Jorku).

Na wieść o upadku powstania warszawskiego, Alfred Schütz wspólnie z Ref-Renem napisali pieśń o bohaterskiej stolicy „Warszawo”. Jej pierwszym i chyba jedynym (!) wykonawcą był aktor i śpiewak (tenor) Mieczysław Pręgoski (1915–1971)⁴.

Po demobilizacji (już w Anglii), na początku 1947 Alfred Schütz wspólnie z Jerzym Petersburskim wyemigrowali do Brazylii. Koncertowali tam na dwa fortepiany na estradach i w studiach radiowych Rio de Janeiro i San Paulo. Ponadto jako pianista występował w klubach Copacabany, był kierownikiem muzycznym wielu rewii i komedii, akompaniował wielu wybitnym artystom (George Boulanger, Wanda Wermińska), komponował przeboje brazylijskie z własnymi tekstami w języku portugalskim, udzielał korepetycji solistom śpiewakom. W 1961 wrócił do Europy. Kilkakrotnie odwiedził Polskę. Na stałe zamieszkał w Monachium, gdzie przez 25 lat współpracował z RWE. Komponował muzykę do programów literacko-muzycznych, piosenek do m.in. prowadzonego przez Wiktora Budzyńskiego „Podwieczorku przy mikrofonie” (napisał ich około 300!). Jego piosenki w Monachium śpiewali m.in. Wojciech Wojtecki, Stanisław Rusała, Waław Krajewski i Jadwiga Czerwińska.

Był kompozytorem m.in. takich szlagierów przedwojennych jak: „Samotność”, „Winna jest wiosna — dziewczyno”, „Przyszła do mnie miłość”, „Tak mi wstyd”, „Miłość pali jak słońce”, „Czemuś przyszła nieproszona”, „Przyszła do mnie miłość”, „Ewentualnie”, „Stara miłość nie rdzewieje”, „Na każdym kroku jest dziewczyna”, „Noc w Barcelonie”, „Co słyhać w eleganckim świecie”, „A ja nic tylko ona”, „Żołnierska brać”. Ich wykonawcami byli m.in.: Adam Aston, Wera Gran, Eugeniusz Bodo, Lucyna Szczepańska, Zofia Terne, Stefan Witas, Mieczysław Fogg, Janusz Popławski. Był także autorem słów i muzyki do tanga „Zazdrość”. Te piosenki często są nadawane w niedzielnych porankach Słodkiego Radia Retro (Danuty Żelechowskiej i Jana Zagrody, I Program PR). W maju 1998 (18, 19, 20), w audycji Witryna Sztuk Wszelkich obszerne wspomnienia dźwiękowe kompozytora, przygotował Jerzy Swalski dla Programu II PR.

Wiem, że pisał wspomnienia (fragmenty drukował m.in. w „Orle Białym” (Londyn, czerwiec 1986) i „Dzienniku Pojezierza” (Olsztyn, 30 VI 1994).

Sporo miejsca w swojej książce *Skąd ta pieśń* (Olsztyn 1987), kompozytorowi ponad tysiąc pieśni i piosenek o różnorodnym charakterze, poświęcił Tadeusz Matulewicz. Planowano także film dokumentalny z jego udziałem, którego nie zdążono już zrealizować. W ostatnich latach żył bardzo skromnie w swoim monachijskim mieszkaniu, skupiony na opiece nad chorą żoną. Bolesnie

¹ F. Konarski, *Piosenki z plecaka Helenki*. Rzym 1946 s. 31–32.

² G. Borucki, *Na włoskim froncie (wspomnienia)*, Tydzień Polski (Londyn) 1998 nr 44.

³ G. Borucki, *Jeszcze Włochy (wspomnienia)*, Tydzień Polski (Londyn) 1998 nr 45.

⁴ Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w zbiorach kolekcjonerów archiwalnych nagrań ocalało to właśnie wykonanie tej zapomnianej dziś pieśni. Słowa i nuty opublikował Konarski w cytowanym już zbiorze „Piosenki z plecaka Helenki” (s. 163). Obecnie nagranie znajduje się w archiwum autorów cotygodniowej niedzielnej audycji „Mijają lata, zostają piosenki”, Danuty Żelechowskiej i Jana Zagrody (I Program Polskiego Radia), którzy 12 i 19 XII 1999 przygotowali dwie godzinne audycje poświęcone życiu i twórczości muzycznej Alfreda Schütza.

odczuwał swoją samotność i oddalenie od odchodzących na zawsze przyjaciół z jego pokolenia. Zmarł 21 października 1999 w Monachium. Ale wskutek różnych komplikacji finansowo-prawnych jego pogrzeb odbył się dopiero 10 grudnia.

„Z głośników monachijskiej cmentarnej kaplicy na Ostriedhof popłynęły utrwalone na taśmie dźwiękowej słowa pieśni («Czerwone maki na Monte Cassino»). Nagranie wykonane przed laty przez Wacława Krajewskiego. (...) W kaplicy urnę z prochami ustawiono na wysokim, otoczonym zielenią podium przykrytym biało-czerwoną flagą. Z boku ustrojone kirem dwie fotografie zmarłego. Kwiaty.” Wybitnego artystę żegnała konsul generalny RP Jolanta Kozłowska. Po jej słowach raz jeszcze zabrzmiała melodia „Czerwonych maków”, tym razem było to nagranie fortepianowe Stanisława Deji. Z kaplicy kondukt szedł powoli cmentarnymi drózkami. Było mokro, ponuro. Na grobie, do którego złożono urnę, wśród wielu kwiatów, zwracał uwagę duży wieniec z czerwonymi makami. Sztuczne, ale wyglądały jak prawdziwe. Przywiózł je zastępca redaktora naczelnego łódzkiego *Expressu Ilustrowanego*. Gazeta ta włączyła się aktywnie do rozpoczętej w Monachium i Londynie zbiórki na pokrycie kosztów pogrzebu. Tę zbiórkę rozpoczęto spontanicznie na wiadomość, że pochodząca z Węgier 79-letnia schorowana wdowa po kompozytorze, przerażona wysokimi kosztami pogrzebu zdecydowała o spopieleniu ciała męża i najskromniejszym pochówku w podziemiach cmentarnej kaplicy, pod anonimową płytą bez nazwiska, tylko z numerem rejestracyjnym. „Zbiórkę prowadzono tak sprawnie, że gdy konsul generalny RP dosłownie w ostatniej chwili uzyskał zgodę na czasowe wstrzymanie zapowiedzianego na 15 listopada pogrzebu, można już było zakupić na cmentarzu ziemny grób. Brakowało tylko wciąż jeszcze środków na kamień nagrobny. Zapadła więc decyzja, aby postawić go później, na wiosnę, na przypadającą w maju 2000 roku kolejną rocznicę zwycięstwa pod Monte Cassino.”⁵ Z propozycją przygotowania projektu nagrobka dla Alfreda Schütza wystąpił profesor Bronisław Chromy.

Wybrana bibliografia w układzie chronologicznym:

- Manuskrypt (słowa i nuty) pieśni „Czerwone maki na Monte Cassino” w zbiorach Instytutu i Muzeum im. gen. W. Sikorskiego w Londynie (dar G. Boruckiego).
- F. Konarski, *Piosenki z plecaka Helenki*. Rzym 1946.
- F. Konarski, *Historia „Czerwonych maków”*. Londyn 1961.
- J. Ostrowski, *Polski teatr żołnierski w Rosji*, Orzeł Biały — Na Antenie, maj 1978.
- A. Schütz, *Czołówki teatralne przed bitwą*, Orzeł Biały (Londyn), czerwiec 1986 (nr 1407/XLVI)
- T. Matulewicz, *Skąd ta pieśń*. Olsztyn 1987 s. 194–197.
- A. Schütz, *Dzieje melodii „Czerwone maki na Monte Cassino”*, Dziennik Związkowy (Chicago), 21–23 VI 1991.
- W. J. Podgórski, *Skąd nasz ród. Polskie pieśni hymniczne*. Warszawa 1991 s. 209.
- A. Schütz, *Arabeski z kraju tysiąca i jednej nocy*, Dziennik Pojezierza (Olsztyn), 30 VI 1994.
- J. Witek, *Wyciszona pamięć*, Tydzień Polski (Londyn) 1999 nr 20.
- A. Mieszkowska, *Czołówki rewii Armii Polskiej na Wschodzie 1941–1947*, Pamiętnik Teatralny 1998 z. 1–2 s. 162–177.
- A. Mieszkowska, *Artyści emigracyjnej Melpomeny*. Londyn 1998.
- A. Mieszkowska, *Alfred Schütz 1910–1999*, Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza (Londyn), 18 XI 1999; *Gazeta Stołeczna (dodatek Gazety Wyborczej)*, 1 XII 1999.
- J. Kaniewicz, *Czerwone maki na Monte Cassino — to nie pieśń, to legenda*, Rzeczpospolita, 10 XII 1999.
- (agr), *Pożegnanie maków*, Ilustrowany Express (Łódź), 11 XII 1999.
- (ik), *Kompozytor Czerwonych maków nie będzie zapomniany*, Ilustrowany Express (Łódź), 20 XII 1999.
- Listy Alfreda Schütza z lat 1996–1998 do autorki.
Archiwum nutowe Zbigniewa Rymarza (Warszawa).

Anna Mieszkowska (Warszawa)

⁵ A. Menhard, *Pogrzeb kompozytora „Czerwonych maków”*, Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza (Londyn), 16 XII 1999.

Już po napisaniu tego artykułu otrzymałam od pani Wandy Szolgininy listy Alfreda Schütza do jej męża — Witolda Szolginia*, pisane w latach 1991–1996. Jest to bardzo osobista korespondencja. Listy są pełne wdzięczności za otrzymywane książki dotyczące Lwowa. Przypominały one adresatowi najszcześniejsze lata beztrudnej młodości, przywoływały wspomnienia i wzruszenia. Za zgodą Pani Wandy Szolgininy publikuję fragmenty kilku z nich.

LISTY

1.

5.12.1991

Szanowny Panie, Drogi Lwowiaku!

Może zdziwi Pana ten mój list — ale po przeczytaniu książki Pana *Na Wesolej Lwowskiej Fali*, która wzruszyła mnie do łez — nie mogłem odmówić sobie przyjemności i zaszczytu skreślenia tych paru słów. Przypomniały mi się owe dawne czasy, kiedy byliśmy młodzi, pełni dobrej myśli i szczęśliwi w naszym kochanym Lwowie. (...)

Nie wiem czy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych słuchał Pan Radia Wolnej Europy, kiedy z Tolkiem Budzyńskim (po moim powrocie z Brazylii) napisałem kilkaset piosenek, a po jego odejściu z Monachium do Londynu kończyłem cały szereg moich audycji wspomnieniami o Lwowie ze słowami: „Lwowiacy swojego Lwowa nigdy nie zapomną”! Tymczasem starzy Lwowianie stopniowo wymierają, a młodzi, choć wyjeżdżają tam z wycieczkami, nie rozumieją tego sentymentu do Lwowa. W załączeniu pozwalam sobie przesłać Panu kopię piosenki — ostatnią, jaką napisałem w Wiktorem dla Wesolej Fali w roku 1936 („Koniec, kropka, pas...”). Był to rodzaj pożegnania, bo wyjechałem do Warszawy na stanowisko kapelmistrza operetki „8.15”. (...)

Młoda generacja w RWE zaprosiła mnie do napisania w skrótach historii mojego życia. Audycja przewidziana jest na święta Bożego Narodzenia w dwóch częściach 50. minutowych.

Zaskoczyła mnie fotografia na stronie 48 Pańskiej książki (Włada, Tolek i ja). Nie pamiętam skąd ona pochodzi. Czyżby na występach na Śląsku, w Cieszynie? Mam prośbę do Kochanego Pana. Pracuję od dłuższego czasu nad moimi wspomnieniami i bardzo by mi zależało, aby tę fotografię w części lwowskiej umieścić. Czy byłoby możliwe mnie tę fotografię przy okazji przesłać? Bardzo byłbym wdzięczny. (...)

Bardzo serdecznie pozdrawiam

Alfred Schütz.

* Witold Szolginia (1923–1996) był z zawodu architektem (inżynier doktor habilitowany) a z zamiłowania historykiem. Obie dziedziny swojej zawodowej i hobbystycznej działalności pogodził w licznych publikacjach poświęconych architekturze i historii rodzinnego miasta — Lwowa. Nazywano go „ambasadorem Lwowa na wygnaniu”, a jego książki uznano za „testament dla następnych pokoleń Polaków, którzy polskiego Lwowa już nie poznali”.

Pani Wandzie Szolgininie serdecznie dziękuję za łaskawe udostępnienie korespondencji Męża z Alfredem Schützem i zgodę na publikację tych fragmentów, które wzbogacają naszą skromną wiedzę o wspaniałym kompozytorze nie tylko pieśni „Czerwone maki na Monte Cassino”.

2.

24 marca 1992

Szanowny i Drogi Panie Witoldzie,

Pozwalam sobie nazywać Pana po imieniu i proszę pod tym względem o wzajemność. W roku Pańskiego urodzenia (1923) chodziłem „już” do trzeciej klasy gimnazjalnej na Podwalu (Kanarki). Mieszkaliśmy początkowo przy ulicy Tarnowskiego — potem na Wincentego Pola, a więc zawsze w pobliżu ul. Zielonej, która tramwajem prowadziła na Pański Łyczaków. (...)

Przede wszystkim pragnę podziękować serdecznie za przysłaną fotografię, za wspaniałą książkę oraz za kawałek „Przekroju” o Lwowie, przy którego czytaniu odżyły znowu inne wspomnienia...

Z Józefem Wittlinem byłem spowinowacony poprzez moją ciotkę Wittlinową (siostra mojej matki), która była również ciotką poety. Odnośnie poety Kazimierza Bartla mam inne wspomnienia. Przed objęciem premierostwa, Bartel potrzebował jakieś pismo dla celów propagandy. Prof. Kamil Stefko, dziekan Wydziału Prawa na Uniwersytecie Jana Kazimierza i kolega szkolny mojego ojca — przed wojną w Tarnopolu — skontaktował go z Bartlem, do tego doszedł polonista prof. Geszwind i we trójkę kupili „Kuriera Lwowskiego”, pismo konserwatywno-liberalne. (...)

W oczekiwaniu wiadomości jak najserdeczniej Kochanego Pana Pozdrawiam i mocno dłoń ściskam. Oddany

Alfred Schütz.

3.

Monachium 27.3.1994

Drogi Panie Witoldzie,

Chciałem Panu podziękować za wspaniały czwarty tom Pańskiej encyklopedii, a tu nadszedł wczoraj już tom piąty. Dziękuję za tyle dobroci i pamięci o mnie. Ten ostatni tylko przeglądałem, ale czwarty tom przeczytałem dwa razy i kilkakrotnie śmiałem się jak małe dziecko. Ta syzyfowa praca jest jedyna w swoim rodzaju, bo nie znam drugiego pisarza, który poza tekstem wzbogacił książki własnymi szychami i rysunkami. Tyle wspomnień łączy się z szeregiem osób wymienionych, że trudno ich wszystkich wyliczyć. Bracia Haarowie byli nie rozłączonymi bliźniakami: Leopold był dobrym malarzem-rysnikiem a Zygmunt fotografem. Założyli przed wojną w Krakowie orkiestrę akademicką „Szał” a całą wojnę przeżyli wraz ze mną w Propagandzie Sztabowej 2. Korpusu. Oni zaprojektowali okładkę do wydania oryginalnego „Czerwonych maków” w Rzymie. Stanisław Mikula był moim kolegą z ławki szkolnej w II Gimnazjum (Kanarki). Trzy karykatury Bickelsa (Lipczyński, Halski, Schütz) wisiły za biurkiem Tolka Budzyńskiego w Radio Lwowskim. (...)

U Edzia Atlasa w Rynku bywałem kilkakrotnie, ale jego historii po zajęciu Lwowa przez Sowieców zdaje się Pan nie zna. Założył on w jednym z domów przy ulicy Jagiellońskiej, na drugim piętrze kantinę artystyczną blisko byłego kina „Marysieńka”. W tymże kinie zorganizowałem wraz z aktorami warszawskimi: Ludwikiem Lawińskim, Konradem Tomem, Eugeniuszem Bodo, Zofią Terme, Jadzią Andrzejewską itd. lwowski „Teatr Miniatur”. (...) W moich wspomnieniach, które ciągle jeszcze piszę i nie wiadomo czy i kiedy skończę, poświęcam temu kilka stron.

W styczniu odwiedził mnie team Telewizji Łódzkiej i przez dwa dni przemienił moje mieszkanie w studio filmowe. Zdjęcia trwały ok. 15 godzin i gadałem chyba 7–8 godzin.

W związku ze zbliżającymi się uroczystościami z okazji 50. lecia Monte Cassino, mam dużo pracy. Niestety jednak tam nie pojadę, bo stan moich chorych żył w nogach na to nie pozwala. Postaram się jednak tę moją nieobecność w inny sposób zrekompensować.

Bardzo serdecznie Drogiego Pana pozdrawiam i mocno ściskam. Oddany

Alfred Schütz.

4.

Monachium, 27.3.1996

Mój Drogi Panie Witoldzie,

(...) Pięknie dziękuję za cudną książkę *Kwiaty lwowskie*, której dwukrotne czytanie sprawiło mi prawdziwą przyjemność. Jakkolwiek nie jestem specjalistą lwowskiego bałaku, to pękałem ze śmiechu. Podziwiam Pańskie niezwykle zdolności odtwarzania lwowskich kościołów i pomników. (...)

Moja generacja przeredza się coraz bardziej. Najlepsi odchodzą. Z Ludzi mi bliskich odeszli ostatnio Ludwik Łubieński i Tadeusz Nowakowski, z którymi przez tyle lat przyjaźniłem się. Z pierwszym od czasów wojskowych, a z obydwojma w RWE. Rezultat jest dla mnie ten, że zwracają się do mnie ludzie z prośbą o materiały z czasów wojska, jako do jednego z nielicznych, którzy jeszcze żyją. (...)

„Czerwone maki” ukazały się w ponad 20. filmach polskich (3 Andrzeja Wajdy) i teraz były włączone w nowe filmy: 1. „Pułkownik Kwiatkowski” i 2. 100 lat kina (fragment filmu Andrzeja Wajdy „Popiół i diament”, który stał się klasykiem filmowym od 50. lat.

Bardzo będę się cieszył, jeżeli zechce mi Pan znowu napisać coś niecoś o sobie. Bardzo serdecznie ściskam i pozdrawiam. Oddany

Alfred Schütz.

BENIAMIN TENENBAUM-TENE

(1914–1999)

Urodzony 9 XII 1914 w Warszawie, wychowanek gimnazjum hebrajskiego „Chinuch”, czynny był Beniamin Tene w socjalistycznym ruchu syjonistycznym Haszomer Hacair. Do Palestyny przybył jako chaluc (pionier) w 1937 r. i przez dziesięć lat był członkiem kibucu w Galilei; po wystąpieniu z kibucu zamieszkał w Tel-Awiiwie.

W latach 1946–1947 przebywał w Polsce na zaproszenie rządu polskiego. Oficjalnym celem wizyty było zebranie materiału do dwóch polskich antologii w przekładzie hebrajskim — poezji i prozy. Spotykał się wtedy z Władysławem Broniewskim, z którym od czasu wojennego pobytu poety w Palestynie łączyła go osobista przyjaźń. Wtedy też złożył wizytę Julianowi Tuwimowi i wręczył mu właśnie wydany w Tel-Awiiwie tomik jego wierszy we własnym przekładzie. W czasach tego pobytu drukował po polsku pisane artykuły w łódzkim polsko-żydowskim piśmie „Mosty”, tam również ukazywały się jego wiersze w tłumaczeniu polskim Natana Grossa, Horacego Safrina i Janki Sack (Jonat Sened).

Od powrotu z Polski, przez niemal ćwierćwiecze, w latach 1948–1972 redagował Tene tygodnik dla dzieci „Miszmar le-jeladim”, gdzie we własnym przekładzie drukował polskie bajki i opowieści ludowe oraz utwory Sienkiewicza, Makuszyńskiego, Górskiej, Tuwima, Brzechwy, Hena, Kerna i innych polskich autorów.

Tene był poetą swoją twórczością kłamującym w jakiś sposób hebrajską poezję diasporyczną z poezją izraelską (od 1939 r. wydał ponad dziesięć tomów poematów i zbiorów wierszy), autorem utworów dla dzieci (wierszy i prozy), tomów wspomnień oraz tłumaczeń literatury polskiej na język hebrajski; tłumaczył też z języka żydowskiego. Zaś na początku swojej twórczości — jeszcze przed wyjazdem do Palestyny — również tłumaczem paru utworów Ch. N. Bialika i Sz. Szaloma na język polski. Wtedy też, w latach 1935–1936, ogłosił w ukazującej się w Warszawie literackiej prasie hebrajskiej, swoje pierwsze przekłady poezji polskiej, były to wiersze Kasprowicza, Tuwima, Wittlina, Jasińskiego i Wygodzkiego.

Własna twórczość poetycka Tenego osadzona jest głęboko we wzorach literatury polskiej, której w piśmienniczej domenie hebrajskiej stał się wybitnym i bardzo płodnym rzecznikiem. W przedmowie do hebrajskiego wyboru wierszy Tuwima (1945) umieścił takie oto zniewalające wyznanie:

Liryka poety towarzyszyła pokoleniu, do którego należę, pokoleniu urodzonemu w czasie pierwszej wojny światowej. On właśnie nauczył to pokolenie kochać poezję, ukazał mu jej blaski, otworzył zarazem owo okienko, przez które pieśń wyniosła płynie. Pieśń, która uszlachetnia człowieka i czyni go lepszym.

W rozproszeniu po gazetach, czasopismach, almanachach, antologiach itp. Pozostają przekłady Tenego wierszy Mickiewicza, Leśmiana, Tuwima, Słonimskiego, Wittlina (osobno opublikował w 1942 r. jego *Hymny*), Broniewskiego, Wygodzkiego, Miłosza, Borwicza, Kotta, Łazowertównę; w 1974 r. wydał *Wesołe smutki* Kotarbińskiego.

Nieprzerwanie od 1940 r., kiedy to ukazały się w jego tłumaczeniu *Płomienie* Brzozowskiego (powieści, która w oryginale i w przekładzie wywarła olbrzymi wpływ na rozwój ideologiczny socjalistycznego syjonizmu) Tene wydawał książki prozy — powieści i opowiadania współczesnych polskich autorów: Wittlina *Sól ziemi* (1943), Hłaski *Ósmy dzień tygodnia* (1959), Andrzejewskiego *Ciemności kryją ziemię* (1961), *Idzie skacząc po górach* (1964), K. Brandysa *Matkę Królów* wraz z *Obroną Grenady* (1963), A. Rudnickiego *Żywe i martwe morze* łącznie ze *Złotymi oknami* (1964), opowiadania Wygodzkiego *W ukryciu* (1970), Szczypiorskiego *Msza za miasto Arras* (1981), S. Łubieńskiego *Januszka* (1984), *Idy Fink Opowiadania* (1989) — a także książki wierszy dla dzieci Tuwima, Brzechwy i Kerna.

Jest także Tene współautorem — jako tłumacz i redaktor — dwóch hebrajskich antologii polskiej prozy wydanych w 1959 r.: *Miwchar ha-sippur ha-polani* (Wybór opowiadań polskich) oraz *Ha-zaam we-ha-lew* (Gniew i serce), na którą złożyły się teksty polskiego „czasu burzliwego”, „wiosny w październiku” 1956. Nie udało mu się natomiast urzeczywistnić zamiaru zredagowania i wydania antologii poezji polskiej.

Tenenbaum-Tene otrzymał kilka nagród literackich, wśród nich międzynarodową im. J. Korczaka (1980) i polską A. Jurzykowskiego (1970) — właśnie za przekłady literatury polskiej na język hebrajski. Od dłuższego już czasu nieczynny twórczo zmarł Tene w Tel-Awiiwie 13 kwietnia 1999 r.

Dorobek translatorski Tenego jest bez wątpienia imponujący — nie tylko ilościowo. Władał on najbardziej współczesnym, potocznie w Izraelu używanym językiem hebrajskim, językiem precyzyjnym i zwięzłym. Więc przekłady jego autorstwa są łatwo czytelne, zaś nieobecność ich w obrocie księgarskim wskutek wyczerpania nakładów świadczy o tym, że były również poczytne. W wyborze tłumaczonych utworów kierował się Tene osobistym zaciekawieniem i własnym rozeznanie, ich spis dowodzi, że było to rozeznanie zakotwiczone w znajomości współczesnej literatury polskiej, z którą obcował bezustannie. W gronie działających obecnie w Izraelu tłumaczy literatury polskiej trudno by wskazać kogoś tak wszechstronnego w swoich polskich zainteresowaniach, i tak zarazem pracowitego.

Ryszard Löw (Izrael)

AUDYCJE POLSKIE Z PARYŻA

W grudniu 1944 Radio Francuskie zaczęło nadawać na falach krótkich audycje w językach obcych. Była to decyzja czysto prestiżowa. Skoro Londyn, Waszyngton, Watykan i Moskwa uprawiały tego rodzaju propagandę, to generał de Gaulle nie mógł dopuścić do tego, aby Francja pozostawała w tyle.

Wiadomo, że Francuzi mają dość mgliste pojęcia o Europie Środkowej i Wschodniej, nic więc dziwnego, że kierownikiem Sekcji Polskiej mianowano ks. Floriana, a to tylko dlatego, że przez kilka lat kierował francuskim kościołem św. Ludwika w Moskwie. Jego polskim zastępcą został ekonomista S. Kowalski, redaktorami byli dwaj historycy, Władysław Pobóg-Malinowski i Witold Nowosad oraz młody literat, Roman Kowaliczko. Ponieważ ks. Florian urzędujący nie w sutannie, lecz w mundurze kapelana wojskowego, zajmował się bez żenady polowaniem na młode sekretarki, poproszono go powrót do zakrystii, a na jego miejsce zjawił się wydzielony z ministerstwa spraw wewnętrznych André Moosmann i po wyjeździe do Polski Kowalskiego funkcję sekretarza objął Tadeusz Świącicki.

W tym czasie ambasada PRL usiłowała narzucić swoich ludzi, co jej się nie udało, osiągnęła jednak to, że usunięto pilsudczyka Pobóg-Malinowskiego i związanego ze Stronnictwem Narodowym Nowosada.

Otrzymałem wówczas propozycję postawienia swojej kandydatury i znalazłem się w kłopotliwej sytuacji. W przeddzień demobilizacji, bez zawodu, bez żadnych perspektyw na przyszłość miałem wielką ochotę skorzystać z tej niezwyklej okazji, a jednocześnie było mi głupio zajmować miejsce po niesłusznie wyrzuconych, których znałem i szanowałem. Wybrnąłem z tej trudności, stawiając się na wstępną rozmowę w mundurze oficera, z „Polandami” na ramieniu, czyli należącego do armii polskiej podległej rządowi polskiemu w Londynie. Dyrekcję musiano też powiadomić, że do niedawna redagowałem kilka numerów wojskowego pisma „Wrócimy” napiętnowanego przez komunistyczny dziennik „L’Humanité”. Wbrew moim oczekiwaniom zostałem przyjęty i jeszcze przez parę miesięcy przychodziłem do pracy w mundurze, czym zaskarbiłem sobie sympatię emigrantów z innych sekcji.

Nadawaliśmy dwie audycje dziennie i ten stan rzeczy z małymi zmianami utrzymał się przez cały czas naszej działalności. Audycja wieczorna na falach krótkich skierowana do słuchaczy w Polsce trwała godzinę. Półgodzinna audycja popołudniowa transmitowana na falach średnich przez rozgłośnię w Lille była przeznaczona dla Polonii robotniczej we Francji Północnej i w Belgii. Naturalnie, każda z nich miała całkiem inne oblicze.

Na audycję wieczorną składał się pięciominutowy artykuł wstępny o najważniejszym problemie dnia, informacje z Francji i ze świata — około 20 min. — przegląd prasy paryskiej oraz pogadanki kulturalne, sportowe itp.

W audycjach na Lille informacje zabierały tylko pięć minut, a resztę czasu poświęcano polskim piosenkom, skeczom, monologom, reportażom z terenu.

W Sekcji pracowały wówczas na etacie następujące osoby: dyrektor André Moosmann, sekretarz redakcji Tadeusz Świącicki, dziennikarze Rega Lanoix, Roman Kowaliczko i niżej podpisany, spikerka Barbara Maliszewska i trzy sekretarki Eliza Gonkiewicz, Gniewa Wołosiewicz i Anna Kirszbraun (później Winczakiewiczowa). Mieliśmy też kilku współpracowników z zewnątrz, autorów cotygodniowych pogadanek. Gnieździliśmy wszyscy w jednym pokoju, nikt nikomu nie przeszkadzał, panowała jak najlepsza atmosfera. Nasze biuro znajdowało się nie byle gdzie, bo na Polach Elizejskich. W kamienicy o jakiejś takiej fasadzie ale z wnętrzem zapuszczonym, brudnym i z windą, która zatrzymywała się codziennie na innym półpiętrze. Studia mieliśmy na miejscu, ale pamiętam, że drzwi do jednego z nich nie miały klamki i zamykano je sznurkiem. Były to więc warunki pracy isticie pionierskie.

W pierwszym okresie obarczono mnie pisaniem wstępniaków i redagowaniem wiadomości do audycji wieczornej. Na moim biurku gromadziły się stosy teleskryptowych taśm z czterech agencji. Trzeba je było czytać, segregować, zestawiać według tematów etc., aby w końcu uzyskać informację na parę linijek. Harowałem jak dziki osioł, ale ta praca pasjonowała mnie, zabierałem się do niej z przyjemnością. Nie zastanawiając się, czy mój głos dochodzi nad Wisłę starałem się dla własnej satysfakcji wykonywać swój zawód jak najlepiej i usiłowałem nadać tekstom wydźwięk antykomunistyczny. Wymagało to pewnej dyplomacji, gdyż nasze audycje nie były audycjami polskimi, lecz głosem Francji, która utrzymywała stosunki dyplomatyczne z PRL. Podlegały dyrekcji Radia Francuskiego, ale były finansowane przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, wrażliwe na wszelkie protesty ambasad, jak to na przykład działo się w wypadku Sekcji Hiszpańskiej obsadzonej przez republikanów nienawidzących generała Franco. Musiałem więc działać ostrożnie, drogami okrężnymi. Gdy tylko nadarzała się okazja, uwydatniałem zalety ustroju demokratycznego, przypominałem wolność słowa, rozwijałem informacje o strajkach, których na szczęście we Francji nie brakowało, informowałem moich biednych rodaków o sile zakupu zarobków robotniczych we Francji. W przeglądzie prasy przytaczałem cytaty jak najdalsze od mentalności marksistowskiej, a z organu partii komunistycznej „L’Humanité” cytowałem takie zdania, które mogły tylko wywołać śmiech słuchacza. Wychodząc z założenia, że „Kultura” ukazuje się w Paryżu, a więc jest pismem paryskim, włączałem ją do przeglądu prasy paryskiej i przytaczałem spore jej fragmenty. Naturalnie, wartość naszego dziennika polegała przede wszystkim na tym, że dostarczaliśmy słuchaczowi wiadomości z całego świata w tonie obiektywnym, bez narzucania mu jakikolwiek opinii. Rychło przysłała mi w sukurs blokada Berlina, zimna wojna, wojna w Korei.

Oto jeden z przykładów mojej strategii. W połowie kwietnia 1955 roku rząd Stanów Zjednoczonych wystosował do Związku Radzieckiego notę protestacyjną w sprawie szesnastu przywódców polskiego Podziemia, których w roku 1945 podstępnie aresztowano a następnie skazano w Moskwie na wieloletnie więzienia. Nie bez zdumienia stwierdziłem, że tego dnia nie znalazłem w dziennikach paryskich ani jednej wzmianki na ten temat. Nawet popołudniowy „Le Monde” zamieszczający skrupulatnie wszelką dokumentację z dziedziny polityki międzynarodowej pominął tę sprawę milczeniem. Czyżby depesze agencji prasowych nadeszły do dzienników z opóźnieniem? Ale dlaczego ja otrzymałem je na czas? A może Quai d’Orsay zabiegające wówczas o zwołanie nowej konferencji Wielkiej Czwórki zwróciło się dyskretnie do redakcji gazet, aby zamknęły oczy na tę wiadomość tak nieprzyjemną dla przyszłego interlokutora ze wschodu? Zmowa milczenia trwała nazajutrz i utrzymała się przez następne dni. Ale myśmy tej cenzury nie zastosowali. Informację o nocie amerykańskiej zredagowałem osobiście na jedną stronę maszynopisu i umieściliśmy ją na honorowym miejscu audycji.

Cała ta moja strategia nie była bynajmniej wynikiem jakiegoś walenrodzimu. To był po prostu odruch emigranta politycznego. Wyobrażam sobie, że takim kompromisem między wiernością dla sprawy polskiej, lojalnością wobec chlebobdawcy i troską o utrzymanie się na posadzie kierowali się wszyscy dziennikarze emigracyjni zatrudnieni w rozgłośniach Londynu, Waszyngtonu, Madrytu i nawet Monachium. W moim wypadku liczył się bardzo fakt, że zwierzchnicy francuscy nas nie kontrolowali. Odkomenderowani z różnych ministerstw nie mieli nic wspólnego z radiem i dziennikarstwem. Byli administratorami i wykonywali biernie zlecenia, nie wierząc zupełnie w ich sensowność. Nie wyobrażali sobie, że jakiś Portugalczyk czy Bułgar się męczył, aby złapać na zatłoczonych falach krótkich audycję w swoim języku z Paryża. Każdy z tych urzędników czy urzędasów miał dewizę: „Nie zawracajcie mi głowy” i w zamian odplacał się uczciwie: „Dajemy wam święty spokój”.

Taka też była postawa naszego bezpośredniego dyrektora. Do biura przychodził na parę godzin, z nikim prawie nie rozmawiał, miał na biurku maszynopisy audycji i chyba je przeglądał, ale nigdy nas nie skrzykował, nigdy nie usłyszeliśmy jego dyrektyw.

Naturalnie, Warszawa nas zagłuszała, co dowodziło niezbitcie, że nasze audycje stanowiły jakąś przeszkodę w budowaniu socjalistycznego raju. Co dziwniejsze i paskudniejsze, byliśmy także przedmiotem ataków ze strony pewnych emigracyjnych kół. Pomówienia o flirty z reżymem warszawskim ukazały się w londyńskim „Dzienniku Polskim” w rubryce „Szperacz” i w paryskiej „Syrenie”. Zgodnie też z tradycją sięgającą czasów emigracji mickiewiczowskiej sypały się donosy do policji francuskiej, co niejednemu z nas zatruło życie. Dzięki pewnym niedyskrecjom poznałem później niektóre z tych bzdurnych doniesień, dowiedziałem się też, kim byli ich autorzy, ale zobo-

wiązany do zachowania tajemnicy nie zrobiłem nigdy użytku z tych informacji, a nawet podawałem rękę moim szanownym donosicielom.

W gastronomii liczy się zasadniczo to, co na talerzu, a nie to, co się dzieje w kuchni. Kiedy jednak kucharza boli ząb, sos traci połowę smaku, pieczeń jest przypalona, zupa przesolona. Zrozumiałe przeto, że opisano dość szczegółowo zakulisowe oblicze Wolnej Europy. Kuchnia naszej Sekcji zasługuje na jeszcze szerszą relację, gdyż wywierała przemożny, decydujący wpływ na charakter i jakość audycji. Choć nie lubię bawić się w plotki i sprawy personalne, dzisiaj, gdy od tego okresu minęło pół wieku, czuję się w obowiązku przewyciężyć skrupuły i odsłonić podszewkę naszych audycji.

André Moosmann. Znał język rosyjski i polski. Protestant. Ożeniony z Polką. Przed wojną spędził rok czasu w Warszawie w administracji Institut de France. Przybył do nas z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i panowała dość powszechna opinia, że zachował kontakty z policją, zwłaszcza z organami o charakterze wywiadowczym, DST i RG, co znajdowało pewne potwierdzenie w jego zachowaniu. Otoczone tajemnicą i tajemniczością instytucje te działają dyskretnie i delikatnie, ale tak się utarło we Francji, że żadna administracja nie odmawia ich żądaniom. Nasi wyżsi zwierzchnicy nie przepadali za Moosmannem, ale się go bali. Mimo, że jej szedł na rękę, jego własna sekretarka nazywała go Stalinem. Gniewa Wołosiewiczowa, która zawdzięczała mu bardzo wiele, nie zawahała się napisać w swych wspomnieniach, że był to człowiek cyniczny i brutalny. Moosmann miał do Polaków stosunek lekceważący. O wiele bardziej interesowała go Rosja i ubolewał, że mu nie powierzono kierownictwa Sekcji Rosyjskiej.

Tadeusz Święcicki. Legionista. Dowódca batalionu w wojnie bolszewickiej. Następnie szef biura prasowego sejmu, wieloletni redaktor tygodnika literackiego „Pion” i w końcu kierownik Polskiej Agencji Telegraficznej w Paryżu. Podczas wojny uczestnik polskiego Ruchu Oporu we Francji, więzień Buchenwaldu. Naturalnie, pracę u nas uważał za degradację, ale nigdy się nie skarżył. To on ustalił linię audycji i podjął mądrą decyzję nie poruszenia spraw krajowych. Chodziło tu nie tylko o unikanie protestów ze strony ambasady PRL. O tym, co się dzieje w Polsce wiedzieliśmy ze skąpych depesz agencji prasowych z przekreconymi nazwiskami i szczegółami budzącymi wątpliwości. W przeciwieństwie do Wolnej Europy, która dysponowała olbrzymim archiwum, nasłuchami itp., nie mieliśmy żadnego warsztatu, nie otrzymywaliśmy nawet pism krajowych. Święcicki potrafił wpływać na Moosmanna i zwerbował do współpracy Pobóg-Malinowskiego i Ludwika Lillego. Pobóg-Malinowski pracował wtedy nad swą trytomową *Historią Polski współczesnej* i żył tylko z tego, co zdołała uciąć jego żona, jako krawcowa. Mizerne honoraria z radia były dla niego na wagę złota. Wygłaszał pogadanki z najnowszej historii polskiej w duchu najczystszeo patriotyzmu. Lille, wybitny malarz i znawca sztuki wygłaszał uroczeprelekcje o muzeach i wystawach. A ponieważ ten niezradny artysta nie umiał sprzedawać swych obrazów, grosze, które zarabiał u nas, ratowały go od śmierci głodowej. Łączyła mnie z nim bardzo serdeczna zażyłość. Święcicki, mimo, że był dziennikarzem doświadczonym a ja początkującym, nie używał tonu profesorskiego i zdaje się, że mnie dość cenił. To on mnie nauczył, że nie ważne, co się mówi, ważne, kto to mówi, gdzie i kiedy. Utrzymywaliśmy ze sobą jak najlepsze stosunki, razem rozwiązywaliśmy krzyżówki, bywałem w jego domu, ale czasem nie krępowałem się wygłaszać odmienne opinie. „Rogata dusza” — odpowiadał dobrodusznie „dziadzio”, bo tak żeśmy go nazywali. Jego funkcje polegały na poprawianiu tekstów, na kontaktach z pracownikami i z zewnątrz, on też redagował informacje w audycji Lille.

Roman Kowaliczko. Bez większej kultury, ale zdolny, rzutki, urodzony radiota. To z jego inicjatywy i prawie że za plecami, a w każdym razie bez udziału Moosmanna powstała audycja Lille, którą świetnie kierował. Umiał trafić do tych robotniczych słuchaczy, nawiązał z nimi serdeczny kontakt, jeździł często do Francji Północnej aby przeprowadzać wywiady z prezesami polonijnych stowarzyszeń i kótek. Parę razy Moosmann towarzyszył mu w tych eskapadach i dzięki niemu poznał to środowisko. Kowaliczko nie miał etatu i nie chciał go mieć, bo jako wolny strzelec zarabiał więcej od Moosmanna, on zaś wykorzystywał sukcesy Kowaliczki i po paru latach wyrzucił go bez pardonu, po prostu dlatego, że był od niego zbyt niezależny. Kowaliczko zdążył jednak wyrobić sobie stosunki wśród Francuzów i dostał od razu pracę w Tunisie, gdzie się całkiem dobrze spisywał. Jego dymisja była dla Sekcji poważną stratą.

Rega Lanoix. Pochodziła z rosyjskiej rodziny żydowskiej, młodość spędziła w Polsce, od dwudziestu lat mieszkała we Francji. Moosmann wyrobił jej u nas posadę, gdyż była przyjaciółką

jego żony. Rega komunizowała, prenumerowała organ partii „L’Humanité”, ale w biurze wstrzymywała się od głoszenia swych przekonań, a ponieważ była dobrą, uczynną koleżanką, wszyscy ją lubili. Mimo mojego antykomunizmu byłem z nią na ty. Kłopot sprawiała tylko jej pól zapomniana polszczyzna i Świącicki poświęcał sporo czasu na poprawianie jej tekstów.

Pewnego dnia otrzymaliśmy list z prośbą o ogłoszenie takiego komunikatu: „Pani XY poszukuje swego syna. Ostatni raz widziano go na Starym Mieście podczas powstania. Podobno przebywał w Stalagu”. Naturalnie, nadaliśmy komunikat parę razy i wkrótce potem zaczęły napływać z Polski podobne prośby. Tak powstała „skrzynka poszukiwań”, której poświęciliśmy ostatnie dwie minuty audycji wieczornej i to przez wiele, wiele lat, niestety z bardzo nikłymi rezultatami. Dzięki tej rubryce otrzymywaliśmy pewną ilość listów, co świadczyło, że ktoś nas słucha, ale te listy mogły też pochodzić od osób nie posiadających w ogóle radioodbiornika.

Podobnie, jak niektórzy dziennikarze z sekcji zagranicznych, stawiałem sobie pytanie, ilu możemy mieć słuchaczy i czy nie przemawiamy w próżnię. Wystarałem się o nagrody w postaci trzech najnowocześniejszych radioodbiorników, co w owej przed-telewizyjnej epoce miało sporą wartość, i urządziłem konkurs „Czym jest dla mnie radio?”. Wiadomości o tym konkursie ogłaszałyśmy wyłącznie w naszych audycjach, aby nikt nie dowiedział się o nim z innych źródeł. Stał się cud. Nadeszło około 800 odpowiedzi i mimo stalinowskiej cenzury prawie połowa nadeszła z Polski. A więc mamy słuchaczy! Ilu? Na to pytanie nie było odpowiedzi. Może ilość prac konkursowych należało pomnożyć przez sto? Może przez tysiąc? Zgodnie z moim wnioskiem nagrody przyznano trzem ociemniałym, mieszkającym w Polsce, w Anglii i we Francji. Pierwszy stracił wzrok podczas powstania warszawskiego, drugi w bitwie pod Monte Cassino. Trzeciemu na północy Francji Moosmann zawiózł nagrodę zabierając ze sobą parę osób z Sekcji, w tajemnicy przede mną. Po roku wystarałem się o dalsze trzy radioodbiorniki, a tematem nowego konkursu było pytanie „Czym jest dla mnie Francja?”. Jedną nagrodę otrzymała żona górnik, która bardzo ładnie i prosto opisała przyjazd swej rodziny do Francji po pierwszej wojnie światowej, trudności językowe i obyczajowe, pracowite i powolne dorabianie się do normalnego poziomu życia. Z pośród kilkuset odpowiedzi, jakie nadeszły z Polski, niektóre o wysokim poziomie, zwróciła moją uwagę praca napisana z dużym zacięciem literackim. Nadesłał ją nieznan mi Leopold Tyrmand, autor słynnej później powieści *Zły*. Parę lat potem przyjechał do Paryża i przyszedł do naszej Sekcji, gdzie przyjął go Moosmann, znowu w tajemnicy przede mną.

Koło roku 1950 nastąpiło trzęsienie ziemi. Naturalnie, z powodu kobiety. *Sex appeal*, futro z norek, brylanty, perfumy, maniery gwiazdy w Hollywood. Nasz dyrektor zakochał się w niej do nieprzytomności. Dramat polegał na tym, że gwiazda chciała śpiewać, naturalnie, w naszych audycjach, bo nigdzie indziej jej nie chciano. Nasz dyrektor oszalał i polecił okraszać każdą audycję aż czterema piosenkami. Próby z pianistą i nagrania takich dzieł jak „Umówiłem się z nią na dziewiątą” pochłaniały lwią część budżetu. Połowa naszej audycji zmieniła się w kabaret. Z Londynu sprowadzono na rok Ninę Oleńską i Feliksa Konarskiego (Ref-Ren), przemiłą i wybitnie uzdolnioną parę artystów. W ramach tej reformy zrodziły się także takie mało poważne działy, jak „Klub optymistów”, „Michał Lwowski”, „Klub filatelistów”, „Moda paryska”, prowadzone przez Gniewę Wołosiewicz, która z sekretarki zaawansowała na dziennikarkę*. Cała ta rosnąca produkcja nie budziła we mnie zachwyty i wypaczała zasadniczy charakter audycji, ale trzymałem język za zębami. Świącicki był tego samego zdania, ale on również musiał milczeć.

Opracowałem wówczas memorandum z projektem zastąpienia audycji godzinnej przez dwie audycje półgodzinne. Dowodziłem, że słuchanie audycji na falach krótkich wymaga dużego wysiłku i cierpliwości, wobec czego audycje krótsze mają większe szanse powodzenia. Mimo, że w moim memorandum nie było ani słowa o piosenkach i skeczach, Moosmann odmówił przekazania go wyższym instancjom i dał mi do zrozumienia, że nie powinienem się wtrącać w sprawy, które do mnie nie należą.

Wkrótce potem spotkałem się z odmową urządzenia nowego konkursu i zadanie to otrzymała Gniewa Wołosiewicz, z czego zresztą wywiązała się jak najlepiej. Nie potrzebuję dodawać, że tematem konkursu były piosenki. Gniewa domyślała się moich opinii, co nie naruszało naszej przyjaźni. Ceniłem jej żywotność i pomysłowość, bywałem też gościem w jej domu na przemyśłych

* Patrz: G. Wołosiewicz, *33 lata mojej pracy w Sekcji Polskiej Radia Francuskiego*, Archiwum Emigracji 1999 z. 2 s. 247. Krótką historię Sekcji napisał też Leszek Talko, prawie że pod dyktando Moosmanna.

zabawach z tańcami i znakomitym bufetem. Z jej mężem, inżynierem, kolegowaliśmy na studiach w Grenoble.

Te przyjęcia miały drugą stronę medalu. Rozwiedziony, a więc niejako bezdomny Moosmann zapraszał na nie swoich zwierzchników. Gniewa powtarzała lojalnie, że Moosmannowi zawdzięcza bardzo dużo, ale on zawdzięczał jej jeszcze więcej. To dzięki tym potańcówkom i kolacjom z polską wódką i bigosem zaawansował koło 1965 r. na szefa sześciu sekcji wschodnioeuropejskich, co zresztą było funkcją wypraną z jakiegokolwiek znaczenia.

W okresie 1950–1953 przewinęło się u nas kilku dziennikarzy politycznych, ale żaden nie zdołał uzyskać etatu i zadomowić się na dłużej. Wymieniam ich w celach kronikarskich:

— Władysław Żeleński, bratanek Boya, w latach dwudziestych, przed wstąpieniem do sądownictwa, dziennikarz w „Kurierze Porannym” i „Kurierze Wieczornym”. Wybitna inteligencja, szerokie horyzonty.

— Władysław Wolski, również dziennikarz przedwojenny z prasy warszawskiej. Świetna orientacja w sprawach międzynarodowych.

— Wacław Zbyszewski, jeden z najwybitniejszych publicystów emigracyjnych. Błyskotliwy styl, wielka wyobraźnia, wielka kultura. Niestety, Moosmann nie kiwnął palcem aby uzyskać dla niego stały etat. Zbyszewski zaprosił mnie kiedyś na kawę, aby zapytać, co należałoby zrobić aby podnieść poziom audycji, ale nie wymyśliłszy żadnego lekarstwa.

— Raz w tygodniu i to przez długie lata wygłaszał u nas komentarze dotyczące polityki francuskiej Roman Fajans. Był to dziennikarz o dużym doświadczeniu i jeszcze przed wojną zablęsnął w „Kurierze Warszawskim” korespondencjami z obu stron frontu hiszpańskiego. W Paryżu był stałym korespondentem belgijskiego dziennika „Ce soir”. Swe kompetentne komentarze wygłaszał tonem mentorskim, co nie mogło się podobać słuchaczom.

W roku 1953 przyjechał do Paryża Edward Borowski i korzystał zapewne z wysokich protekcji, gdyż natychmiast uzyskał etat. W czasie wojny pracował w londyńskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, następnie był sekretarzem naszej ambasady przy Watykanie. Znakomity poliglota, otrząskany z problemami międzynarodowymi, biegły w historii i w historii sztuki. Snob, kawaler maltański. Pasjonował się genealogią i znał wszelkie koligacje i tajemnice łoża Potockich, Sagnuszków i Radziwiłłów. Wyposażony w rozliczne uzdolnienia nie posiadał zupełnie smykałki dziennikarskiej i redagowane przez niego informacje przypominały oficjalne komunikaty ministerialne. Od tej pory redagowaliśmy dzienniki wieczorne na zmianę, każdy co drugi dzień.

W 1953 r. powstała potężna rozgłośnia Wolnej Europy, szybko się rozkręciła i nas zakasowała, ale jeszcze do roku 1956, a nawet 1958 otrzymywaliśmy tysiące listów rocznie.

Mimo, że nie mogłem liczyć na najmniejszą życzliwość Moosmanna i jakby zapominając o dotychczasowych doświadczeniach, pozwoliłem sobie wystąpić z nową inicjatywą. Stwierdziwszy, że nasze audycje na falach średnich przez rozgłośnię Lille są słyszalne i słuchane w wielu okręgach Polski, zaproponowałem, aby audycje wieczorne na kapryśnych i zagłuszanych falach krótkich nadawać też na falach średnich przez rozgłośnię w Strasburgu. Mimo, że się upewniłem, że ten projekt był łatwy do zrealizowania pod względem technicznym, natrafiłem znowu na veto Moosmanna, który po raz drugi upomniał mnie ostro, żebym nie wtykał nosa w nie swoje sprawy.

Zanotowałem też inne ostrzeżenie. Rega Lanoix wyjechała na wakacje, zostawiając swój adres w Szwajcarii. Otrzymała tam list Moosmanna z wnioskiem, aby z własnej inicjatywy podała się do dymisji. Rega przerwała urlop i wzburzona zaprotestowała przeciwko tym skandalicznym metodom. Doszło do kompromisu. Dyrekcja przeniosła Regę do innego działu, gdzie poczuła się znacznie lepiej, niż u nas.

W roku 1959 wszedł w życie statut dziennikarzy radiowych. Musiano nas zrównać z lepiej zarabiającymi dziennikarzami francuskimi i moja pensja uległa prawie że podwojeniu. Stwierdziłem, że Borowskiego zakwalifikowano do wyższej kategorii niż mnie, mimo, że pracowałem w Sekcji dwa razy dłużej i miałem szerszy zakres pracy. Zrozumiałem, że Moosmann typuje go na następcę Święcickiego, który zbliżał się do emerytury. Borowski był tym awansem zażenowany i zapewniał mnie, że się wcale o to nie ubiegał. Była to niewątpliwie prawda i nasze dobre stosunki nie uległy zmianie. Borowskiego lubiłem, rozumieliśmy się w pół słowa, czasem go zapraszałem do nas do domu, często gawędziliśmy o malarstwie włoskim i pejzażach tokańskich.

W tym samym roku 1959 de Gaulle powrócił do władzy i aby mu zapewnić jak najwięcej głosów w referendum stworzono nową półgodzinną audycję na falach Lille o godzinie 9-tej rano.

Ponieważ nikt nie miał ochoty zrywać się o świcie, odkomenderowano mnie do tej roboty i pewnie Moosmann wyobrażał sobie, że połamię sobie na niej zęby, bo o tej porze ludzie są w pracy i nikt audycji słuchać nie będzie. Ku mojemu i ogólnemu zdumieniu audycja spowodowała nową, dość poważną ilość listów. Pamiętam, że Tadeusz Świącicki składał mi gratulacje. Ale po referendum audycję zlikwidowano.

W tym samym czasie przeniesiliśmy się z Pól Elizejskich do luksusowego gmachu Radia nad Sekwaną. Z racji nowego statutu Sekcja przyjęła trzech nowych redaktorów. Byli nimi:

— Janusz Laskowski. W czasie wojny korespondent wojenny z okrętów polskiej marynarki, następnie korespondent na procesie norymberskim. Inteligentny, dobre pióro.

— Witold Nowosad. Historyk odznaczający się świetną klarowną polszczyzną, jakby ze szkoły Sienkiewicza.

— Tadeusz Parczewski. Były urzędnik konsularny, przemiły kompan, kobieciarz, smakosz. Do jego specjalności należały pogadanki gastronomiczne.

— Później doszlusował Jan Gruzewski. Rzutki, przedsiębiorczy, dbający o swoje interesy, jeździł często do Francji Północnej, skąd przywoził wywiady z działaczami polonijnymi.

Po odejściu Moosmanna mianowano Borowskiego szefem Sekcji, co już mnie nie zaskoczyło i w najmniejszym stopniu nie wpłynęło na nasze dobre stosunki. Pasjonowałem się moją pracą dziennikarską i na zaszczytach, tytułach i stanowiskach wcale mi nie zależało. Wobec nowego szefa zachowywałem się z jak największą lojalnością, składając mu sprawozdania z wszystkiego co robiłem, on zaś dawał mi wolną rękę i wstrzymywał się od udzielenia dyrektyw. Jako sekretarz redakcji układałem programy obu audycji, ale nie chciałem grać roli zwierzchnika i nie poprawiałem tekstów mych kolegów, wprowadziłem jednak zasadę, że każda informacja czy pogadanka musiała być przejrzana przez innego redaktora. Przede wszystkim zajmowałem się wówczas działaniem kulturalnym, co mi sprawiało wielką satysfakcję. Biegałem na premiery do teatrów i kin, czytałem nowości literackie, odwiedzałem galerie sztuki, zapraszałem na wywiady różne osobistości. Z Kazimierzem Wierzyńskim, który mieszkał wtedy w Paryżu, przeprowadziłem chyba z dziesięć rozmów. A inni to Antoni Słonimski, Józef Wittlin, Waław Solski, Sławomir Mrożek, Zbigniew Herbert, Witold Gombrowicz, gen. Maczek, Wojciech Natanson, malarze wystawiający w Galerie Lambert, Ewa Osieńska, Elżbieta Chojnacka etc.

Gdy ci wybitni pisarze i artyści przychodzili do studia, ani Borowski, ani Moosmann nie potatygowali się aby się z nimi przywitać.

Korzystając z paroletniego pobytu w Paryżu znakomitej aktorki, Ewy Krasnodębskiej, założyłem miniaturowy teatr radiowy. W ramach nie więcej niż dwudziestu minut graliśmy fragmenty sztuk Moliera, Musseta, Rostanda, a także Giroudoux, Bernanosa, Geneta, Salacrou, Claudela, Ionesco i innych. Opracowywałem tłumaczenia, odpowiednie objaśnienia i tło muzyczne oraz próbowałem swych sił aktorskich. Ewa Krasnodębska udzielała mi dyskretnie lekcji i zdaje się, że była dość zadowolona z ucznia. Raz udało mi się zwabić przebywającego przejazdem we Francji Gustawa Holoubka. Miał odczytać słynny monolog Figara, ale dano nam studio o godzinie 10-tej rano i Holoubek przyszedł nie całkiem rozbudzony. Recytował bez ognia i wówczas zdobyłem się na śmiałość, aby mu zwrócić na to uwagę. Holoubek kiwnął głową i posłusznie przeczytał monolog powtórnie, już z odpowiednią werwą. Rok potem spotkałem go z Krafftówną na festiwalu filmowym w Locarno i sporo czasu spędzaliśmy na opowiadaniu sobie dowcipów. Wieczorami Holoubek uczył się na pamięć roli Konrada do historycznego przedstawienia „Dziadów”.

Cała ta działalność kulturalna pochłaniała mnie, bawiła, każdego dnia sprawiała przyjemność i muszę przyznać, że dawna pasja polityczna z pierwszych lat powojennych wywietrzała mi trochę z głowy. Inna rzecz, że z każdym rokiem traciliśmy coraz więcej słuchaczy. Gwoździem do trumny było polecenie Moosmanna, aby każdą audycję rozpoczynać od piosenki francuskiej. Słuchacz polski szukający nas w dżungli fal krótkich natrafiał na śpiew po francusku i przekonany, że ma do czynienia z rozgłośnią francuską przesuwał się na głos Wolnej Europy. Nowe zarządzenie wzięło się stąd, że ktoś podszeptał Moosmannowi, że młodzież polska lubi słuchać rozgłośni luksemburskiej z najnowszymi sambami i *boogie-woogie*.

Koło roku 1965 dyrekcja powiadomiła nas, że z końcem miesiąca zostaną zlikwidowane audycje przez rozgłośnię Lille. Trudno mi było z tym się pogodzić, obawiałem się też, że w ślad za tą decyzją mogą nastąpić redukcje personelu. W rozmowie ze mną na ten temat Borowski wzruszył ramionami, Moosmann zaś oświadczył mi wprost, że jest to decyzja słuszna. Miałem wówczas

pewne dyskretne chody, z których zresztą nie korzystałem nigdy dla celów osobistych. Zredagowałem odpowiednie memorandum, które trafiło ponoć na biurko premiera i audycja została przywrócona. Naturalnie, nikt się o mojej interwencji nie dowiedział. Co zabawniejsze, audycje te utrzymały się do roku 1997!!!

Na wzmiankę zasługują trzy inne działy naszej działalności:

— Religia. Raz na tydzień na falach Lille i raz na tydzień na falach krótkich nadawaliśmy pogadanki religijne. Najpierw wygłaszał je ks. Florian Kaszubowski, a po nim ks. Witold Kiedrowski. Co niedziela transmitowaliśmy też mszę św. z Kościoła polskiego w Paryżu. Była to wówczas jedyna msza polska na falach radiowych. Naturalnie, kazania odbiegały daleko od marksizmu-leninizmu i często przybierały charakter patriotyczny. Po oficjalnej wizycie Gierka we Francji transmisje te przerwano na polecenie Pałacu Elizejskiego. Mimo interwencji ze strony arcybiskupa z Lille i nuncjatury Giscard d'Éstaing nie cofnął obietnicy danej Gierkowi.

— Wysyłka lekarstw do Polski. Działem tym kierowała Anna Winczakiewiczowa. Aby leki nie przedostawały się na czarny rynek, wymagała recept lekarza z pieczętką. Kontrolę sprawował też polski lekarz z Paryża, dr Laskowski. Znajoma apteka udzielała poważnych zniżek. Finansowaliśmy tę akcję z dobrowolnych datek, jakie przysyłali nam rodacy z Francji Północnej w zamian za ogłoszenia w koncercie życzeń. Najwięcej zapotrzebowań przychodziło od astmatyków. Pewnego dnia wczesnym popołudniem odezwał się telefon z Żoliborza: „Mojego synka ugryzł wściekły pies. W Polsce nie ma na to lekarstw. Można je nabyć tylko w Paryżu. Ratujcie”. Udałem się natychmiast do Instytutu Pasteura, kupiłem odpowiednią szczepionkę, przed wieczorem Janusz Laskowski pojechał na lotnisko i wręczył ją polskiemu pilotowi, na którego czekał już na Okęciu zaniepokojony ojciec.

— Koncert życzeń. Tylko na falach Lille. Nasze utrapienie. Na Zofię i na Stanisława wypełnialiśmy nim audycje przez trzy dni. Chciałem używać skróconej formy: krewni i przyjaciele przesyłają życzenia Stanisławom XYZ. Ale Tadeusz Święcicki wymieniał nie tylko solenizanta, ale też po imieniu i nazwisku żonę, synów, synowe, córki, zięciów wszystkie wnuczki i wnuków. To on miał rację. Prości ludzie mają niesłychaną frajdę, gdy usłyszą przez radio swoje imię i nazwisko. Najczęściej proszono nas o nadanie dość katarynkowej piosenki „Gdzieś ty moja chatko biała” i wykonaniu Marysi Data polonijnej piosenkarki z Ameryki.

Oddzielne słowa należą się spikerom. Jest to funkcja bardzo ważna. Od spikera wymaga się nie tylko miłego głosu i nieskazitelnej dykcji, ale też inteligencji. Dobry tekst słabo odczytany to fiasko. I przeciwnie, spiker może uratować kiepski tekst. W tej dziedzinie dopisywało nam szczęście. Świetną spikerką okazała się Barbara Maliszewska, sekundowali jej z dużym powodzeniem Jan Maluty i Ryszard Żaba i periodycznie Leszek Talko. Ciekawostka. W roku 1952 znakomity kompozytor Roman Palester, zerwał w reżymem komunistycznym i znalazł się z żoną w Paryżu w bardzo trudnych warunkach finansowych. Przez pół roku zarabiał u nas na chleb spikerując w obu codziennych audycjach.

Lipiec 1969. Gdy po audycji wieczornej zostałem w biurze sam, żeby jeszcze coś zrobić, przyszła sekretarka z dyrekcji i wręczyła mi list: „Z dniem dzisiejszym przestaje pan pracować w Sekcji Polskiej. Po nowy przydział zgłosi się pan do dyr. Studera. Podpis — C. Boissière”. Zabrałem z szuflady moje osobiste drobiazgi, zostawiłem na biurku z odpowiednią notatką materiały na przyszłe audycje i wyszedłem w czarną noc. Ponieważ Moosmann pozostawał w tym czasie na urlopie, wniosek o wyrzuceniu mnie z Sekcji przedstawił dyrekcji nasz rycerz maltański. Jeśli działał z własnej inicjatywy, to na pewno z błogosławieństwem Moosmanna. Bardziej prawdopodobne, że działał na polecenie Moosmanna, a że miał swą starannie ukrywaną piętę Achillesa, mógł łatwo ulec szantażowi. Scenariusz wyreżyserowano kunsztownie, wysledzono nawet moment, kiedy będę w biurze sam i z doręczeniem listu czekano do późnej godziny. Nie wiem, czy kiedykolwiek na świecie potraktowano dziennikarza w sposób równie brutalny i cyniczny.

Dyrektor Studer zapewnił mnie, że o całej tej sprawie nie ma zielonego pojęcia, polecił czekać w domu na nowy przydział a po wyjaśnienia odesłał mnie do Boissière'a. Tu zaś natrafiłem na mur. Na moje argumenty, że nie popełniłem najmniejszego błędu, że nie spotkałem się z żadnym zarzutem i że utrzymywałem z kolegami dobre stosunki, Boissière odpowiedział zimnym milczeniem, a gdy postawiłem wniosek o przeprowadzenie ankiety, oświadczył, że nie ma na to czasu. W Sekcji jedna tylko Gniewa Wołosiewicz (!) ujęła się za mną przed Moosmannem, za co zachowuję dla niej wdzięczność.

Znalazłem się w potrzasku. Z punktu widzenia prawa dyrekcja decyduje sama o przydziałach pracowników. Protesty związku zawodowego dziennikarzy spełzłyby na niczym i tylko mogłyby pogorszyć moją sytuację. Znalazłem się w sztabie dyrekcji, w dziale współpracy z Telewizjami i Radiami dawnych kolonii w Afryce Czarnej. Brałem nawet czynny udział w konferencji tych zamorskich dyrektorów.

W tym okresie napisałem na zamówienie Księgarni Polskiej przewodnik po Paryżu, a następnie Jan Nowak Jeziorański, kierownik Wolnej Europy, zwrócił się do mnie z propozycją objęcia działu kulturalnego po przechodzącym na emeryturę Romanie Palestrze. Była to propozycja więcej niż zachęcająca. Wolna Europa to wymarzony warsztat pracy dla dziennikarza. Wyraziłem więc z entuzjazmem wstępną zgodę, prosiłem tylko o pewną zwłokę na uregulowanie moich spraw z Radiem Francuskim. Jan Nowak Jeziorański okazał zrozumienie, jeśli chodzi o prawa nabyte i przez kilka miesięcy czekał cierpliwie na moją odpowiedź. Byłem ujęty jego kurtuazją, do dziś dnia jestem wdzięczny za okazanie mi tak dobrej woli, zachowuję jego listy.

Mojemu zwierzchnikowi zaproponowałem, aby Radio zwolniło mnie z przewidzianymi przez prawo odszkodowaniami (pensja za 12 ostatnich przepracowanych lat). Studer zajął przychylne stanowisko i wszczął odpowiednie kroki, ale po tygodniu udzielił mi z żalem odpowiedzi odmownej. Ministerstwo nie pozwala nikogo zwalniać, żeby nie powiększać ilości bezrobotnych.

Nie miałem ochoty robić prezentu instytucji, która mnie tak brzydko potraktowała. Z żalem zrezygnowałem z oferty Jana Nowaka Jeziorańskiego i — rogata dusza — wytoczyłem mojej dyrekcji proces. Wymiar sprawiedliwości we Francji odznacza się żółcią powolnością. Po dwóch latach wygrałem proces w pierwszej instancji, ale Radio wniosło apelację, co zabrało jeszcze więcej czasu, w końcu jednak odniosłem całkowity sukces. Był on tym większy, że z natury rzeczy Trybunał odnosi się z większym zaufaniem do dokumentów przedstawionych przez tak poważną instytucję jak Radio, niż do pretensji dziennikarza cierpiącego może na megalomanię lub osobiste urazy. Miałem jednak dobrego, pracowitego adwokata, dostarczyłem obszerną dokumentację i korzystałem z zeznań świadków, przede wszystkim szefa sekcji jugosłowiańskiej. Z kategorii czwartej Sąd Apelacyjny przesunął mnie do kategorii szóstej, z wieloletnim działaniem wstecznym, równając mnie z kategorią Moosmanna i Borowskiego. Wyplacono mi za zaległe lata poważne odszkodowania, za które kupiłem sobie luksusowe mieszkanie w znanej miejscowości nadmorskiej Le Touquet, odtąd też pobierałem podwyższoną pensję.

Z takim wyrokiem w kieszeni zamierzałem rozrachować się z moimi prześladowcami i triumfalnie wrócić do Sekcji Polskiej. Niestety, parę miesięcy wcześniej, dnia 1 stycznia 1975 zlikwidowano wszystkie sekcje zagraniczne, a Boissière, Moosmann i Borowski przeszli na przyspieszoną emeryturę. Donkiszot atakował wiatraki, moje ataki zapadłyby w próżnię.

Zostałem na lodzie. Po rozbiciu ORTF czyli Urzędu Radia i Telewizji Francuskiej na sześć niezależnych od siebie członów (kanał I, kanał II, kanał III, radio, produkcja i dyrekcja techniczna) dostałem się do Dyrekcji Technicznej, zatrudniającej wyłącznie inżynierów i techników. Wylądowało tam kilku podobnych do mnie rozbitków, utworzono dla nas biuro badań, które niczego nie badało, mieliśmy wspólny pokój i czas spływał nam na gadanie, nie mogłem tam ani pisać, ani czytać. Tyle tylko, że regularnie co miesiąc kapała mi pensja. Gdy w roku 1981 wskrzeszono audycje na Polskę, zgłosiłem się o przydział do mej dawnej redakcji, ale znowu spotkałem się z odmową, gdyż panowała żelazna zasada, że nikogo nie wolno było przenosić z jednego do drugiego członu dawnego ORTF. Wystosowałem ponownie wnioski o zwolnienie z odszkodowaniami, udowadniając, że te odszkodowania byłyby trzy razy niższe, niż suma pensji, jakie mam pobierać do emerytury. Znowu odmowa. Biurokracja, biurokracja. Ale zamykano oczy, gdy przychodziłem do biura z opóźnieniem i wymykałem się coraz wcześniej.

Od tych wzlotów i upadków upłynęło dużo czasu i albo o przeszłości w ogóle nie myślę, albo wspominam ją już bez gorczy. Ci, którzy wyrządzili mi tak wielką krzywdę, leżą w grobie. Największy żal miałem do Borowskiego. W 1972 r. na kiermaszu książki w Księgarni Polskiej odmówił mi podania ręki, gdy się do mnie zbliżał z czarującym uśmiechem, ale później w Bibliotece Polskiej podałem mu dłoń. Z litości.

Audycje polskie z Paryża istnieją nadal. W momencie likwidacji w 1975 r. zachowano audycje dla robotników cudzoziemskich pracujących we Francji, dzięki czemu uratowały się audycje przez rozgłośnie Lille z personelem zredukowanym do trzech osób z Leszkiem Talko na czele. Kiedy zaś w roku 1981 wprowadzono w Polsce stan wojenny i kiedy cała Francja manifestowała swą sympa-

cię dla Solidarności, wskrzeszono audycje polskie na falach krótkich. Wyobrażam sobie, że stanęły na wysokości zadania, ale musiały się ugiąć pod przemożną konkurencją Wolnej Europy, BBC i Głosu Ameryki.

W późniejszym okresie powstało Francuskie Radio Międzynarodowe RFI z audycjami w osiemnastu językach, nastawione głównie na Azję i Afrykę. Wskrzeszono też sekcję rosyjską, rumuńską, serbską i inne, a Sekcja Polska znacznie się rozrosła. Obecnie trzy codzienne audycje w języku polskim trwają łącznie 2 godziny i 15 minut. Słuchaczy na falach krótkich zachowało się zapewne malutko, co nie ma znaczenia, gdyż audycje te są transmitowane poprzez satelitę do wielu rozgłośni regionalnych w Polsce — Radio Classic, Radio Bis, Warszawa, Zakopane itd., skąd rozchodzą się w tych rejonach na falach UKF (FM). Audycje mają więc całkiem inne posłannictwo i inny charakter. Składają się na nie wiadomości ze świata i z Francji, komentarze, przeglądy prasy, pogadanki z życia kulturalnego Paryża. Piosenki usunięto na daleki margines, wyrugowano kabalet, ale raz na tydzień poświęca się kwadrans czasu na francuski jazz i kwadrans na paryskie koncerty muzyki klasycznej. Funkcję kierownika spełnia od wielu lat niezwykle sprawny i inteligentny Kazimierz Piekarec na czele zespołu złożonego z dziennikarzy fachowych i błyskotliwych, wśród których znalazł się świetny eseista, Krzysztof Rutkowski i znany we Francji muzykolog, Piotr Kamiński. Jak się orientuję, praca w zespole toczy się harmonijnie, bez zgrzytów. Składa się on z dwunastu redaktorów, dwóch asystentek i jednej sekretarki. (Kiedyś było na etacie tylko czterech redaktorów, aż trzy sekretarki i spikerka.) Ten nowy okres od roku 1981 do dnia dzisiejszego, już bez żadnego pracownika z ekipy dawniejszej, wymaga osobnego omówienia.

Jan Winczakiewicz (Francja)

W POLSKIEJ SZKOLE DP W NIEMCZECH PO DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

WSPOMNIENIA UCZNIĄ Z LAT 1945–1949¹

Już od pierwszych chwil istnienia obozów DP² w Niemczech, władze obozowe organizowały w nich polskie szkoły dla dzieci i młodzieży. W połowie maja 1945 roku uczęszczałem do pierwszej takiej szkoły jako 17-letni młodzieniec, razem z mým o dwa lata młodszym bratem Czeskim. Było to w obozie Haldern w Nadrenii, w angielskiej strefie okupacyjnej Niemiec. Obóz składał się z namiotów ustawionych na ogromnej łące, a szkoła mieściła się w jednym z większych namiotów. Materiałów szkolnych prawie nie było. Pisaliśmy resztkami ołówków na skrawkach papieru.

Pod koniec maja kilka rodzin, w tym też nasza rodzina, przeniosły się do obozu urządzanego w trzech wioskach, Praest, Dornick i Vrssett, niedaleko granicy holenderskiej, koło miasta Emmerich. We wiosce Dornick zorganizowano szkołę podstawową, w której uczniów podzielono na trzy grupy. My obaj byliśmy w trzeciej, najstarszej grupie. Pierwsze stadium nauki zakończyło się w połowie sierpnia, kiedy to zaczęły się wakacje szkolne.

Nowy rok szkolny rozpoczął się 3 września w szkole zorganizowanej już jako normalna szkoła podstawowa o siedmiu klasach. Czeška umieszczono w klasie 6, a ja byłem w klasie 7, która miała 15 uczniów. Uczyliśmy się polskiego, historii, śpiewu, arytmetyki, rysunków, zajęć praktycznych, ćwiczeń cielesnych, przyrody, geografii, łaciny i religii.

Pięcioro uczniów z 7 klasy, łącznie ze mną, niedługo jednak chodziło do szkoły podstawowej. Pod koniec października przestaliśmy uczęszczać na regularne lekcje i zamiast tego przygotowaliśmy się do rozpoczęcia nauki w gimnazjum polskim w Köln-Mülheim, przedmieściu Kolonii. Początkowo mieliśmy jechać do szkoły średniej w Lippstadt, ale były jakieś trudności z umieszczeniem nas tam.

Wyjazd do nowej szkoły nastąpił 9 listopada 1945 roku. Szkoła mieściła się w polskim obozie DP w Mülheim, mieszczącym się w dawnych koszarach niemieckich, częściowo zniszczonych. Mieszkaliśmy w internacie. W pokoju było nas siedmiu, a cała szkoła liczyła około 50 uczniów i uczennic. Następnego rana o 8.00 zacząłem naukę w pierwszej klasie gimnazjum.

Pan Waław Dudziński był dyrektorem gimnazjum i uczył języka polskiego i rysunków; pan Lindner uczył matematyki; pan Mielcarek prowadził historię i geografię; pan Bazan uczył biologii; pan Kazimierz Odrobny języka angielskiego; pan Dyniewicz uczył łaciny; ksiądz Perski miał religię; pan Domański miał z nami gimnastykę i wreszcie pani Dymek śpiew. Ponieważ przyjechaliśmy do gimnazjum już po rozpoczęciu roku szkolnego, mieliśmy dużo materiału do przepisywania z biologii, historii i geografii.

W połowie grudnia, gdy nadeszła zima, nastąpiła przerwa w nauce, gdyż nie było węgla do ogrzewania klas. Dyrektor miał tylko z nami lekcje śpiewu każdego rana. Przygotowywaliśmy się do wieczorku literacko-wokalnego, który przy końcu stycznia z powodzeniem zaprezentowaliśmy mieszkańcom obozu. Wieczorek zaczął się hejnałem mariackim, były wiersze, muzyka fortepianowa Chopina i kolędy na nasz czterogłosowy chór szkolny. Według oceny słuchaczy te „Odgłosy z kraju” były bardzo miłe i wzruszające. Po wieczorku urządzano w sali zabawę. Lekcje zaczęły się znów w lutym, gdy dostaliśmy węgiel do ogrzewania.

Naszą rozrywką było najczęściej kino. Mülheim była to dzielnica Kolonii położona na wschodnim brzegu Renu. Część dzielnicy bardzo ucierpiała podczas wojny, tak że niektóre ulice były po prostu ścieżkami pomiędzy górami gruzów. Ale wśród tych gruzów, jakby jakiś feniks, powstało małe, w pełni funkcjonujące kino. W wolnym czasie tam właśnie uczęszczaliśmy i z przyjemnością oglądaliśmy przedwojenne filmy niemieckie. Drugie kino było w miasteczku Wiesdorf,

¹ Na podstawie maszynopisu książki *Kadencja miłości, historia emigranta do Australii 1939–1956*.

² *Displaced Person*, dipis — osoba znajdująca się poza własnym krajem w rezultacie wojny.

do którego dojeżdżaliśmy tramwajem. Wyświetlano też filmy wieczorami w sali obozowej, czasem nawet polskie. W dzień zaś odbywały się tam lekcje tańca, w których uczniowie brali udział. Kierownictwo gimnazjum urządzało też wyjazdy do teatrów niemieckich i taneczne zabawy w budynku szkolnym. Jeszcze inną rozrywką były spacery nad Renem, szczególnie w piękne wieczory wiosenne.

Szkoła organizowała też wykłady na popularne tematy, na przykład o bombie atomowej, a oficer polskiego lotnictwa mówił o udziale w walkach kilku tysięcy polskich lotników stacjonujących w Anglii podczas wojny i o roli lotnictwa wojskowego w ogóle. Odwiedziliśmy również słynną katedrę kolońską na przeciwległym brzegu Renu, którą budowano przez 600 lat od 1248 roku i która uległa uszkodzeniu podczas wojny.

W czasie wakacji wielkanocnych czy na Boże Narodzenie, ci uczniowie, którzy mieli rodziców w Niemczech, zazwyczaj mieszkających w innym obozie DP, rozjeżdżali się do swych rodziców. Niektórzy uczniowie i nauczyciele wracali do kraju. Początkowo repatriacja była zupełnie dobrowolna, ale później zarówno warszawskie jak i angielskie władze wywierały presję na nas, żeby wracać. Zachodni alianci uznali komunistyczny rząd w Polsce, więc z nim współpracowali. Mielśmy informacje, że warunki materialne w kraju były złe, ale uważaliśmy, że to nie było rzeczą najważniejszą. Za to martwiły nas docierające tu wiadomości o aresztowaniach a nawet egzekucjach ludzi pod pretekstem tego, że byli „wrogami ojczyzny”.

W obozie zorganizowano kurs samochodowy, a 20 kandydatów ze szkoły uczęszczało nań jako osobna grupa. Kurs obejmował nie tylko naukę jazdy, ale też teorię, to znaczy części składowe i działanie pojazdu mechanicznego. Po zdaniu egzaminu otrzymaliśmy niemieckie prawo jazdy.

Pierwszy rok szkolny po wojnie zakończył się oficjalnie w sobotę 1 czerwca 1946 roku mszą świętą odprawioną przez naszego księdza prefekta, a potem w szkole każdy z wychowawców wydał swym uczniom świadectwa. Uczniowie klasy 4 otrzymali świadectwa „małej matury” w obecności całej szkoły, a o godzinie 11.30 w największej klasie udekorowanej portretami wielkich Polaków, godłem polskim, chorągwiemi polskimi i angielskimi i kwiatami, zaczęła się akademii na zakończenie roku. Śpiewał nasz chór, przemawiał dyrektor, były wiersze po polsku, angielsku i po łacinie, solo wokalne i fortepianowe i na zakończenie hymn angielski i polski. Wieczorem cała szkoła łącznie z kierownictwem i gronem nauczycielskim bawiła się na zabawie tanecznej.

Nastąpiła zmiana na stanowisku dyrektora gimnazjum. Nowym dyrektorem został pan Kazimierz Odrobny. Dyrektor Dudziński oświadczył, że ustępuje na rzecz pana Odrobnego z powodu jakiś swych zajęć, które nie pozwalają mu pozostać na stanowisku. Mówiono jednak, że go zwolniono i były podejrzenia, że zmiana nastąpiła z powodów politycznych.

Podczas wojny polska młodzież szkolna straciła dużo czasu gdyż Niemcy nie pozwolili jej się uczyć. Aby to przynajmniej częściowo naprawić, dyrektor gimnazjum pod koniec roku szkolnego zaproponował kilku uczniom, żeby przez długie, letnie wakacje przerobili materiał klasy 2 i gdy zdadzą egzaminy z niego po wakacjach, zaczęli naukę w klasie 3. Zachęcał do tego pięcioro uczniów i uczennic, ale w końcu tylko dwóch uczniów, mój przyjaciel Józek i ja, zdecydowało przyjąć propozycję dyrektora i jeszcze przed końcem roku szkolnego spędziliśmy trochę czasu ze starszym uczniem, który uczył nas algebry. Gdy zaczęły się wakacje, zabraliśmy się na serio do materiału 2 klasy.

I choć były wakacje, pan Odrobny prowadził też dalej lekcje angielskiego. Nie były one przymusowe, ale rozsądek mówił nam, że należy na nie uczęszczać, bo znajomość tego języka mogła się w przyszłości przydać.

Podczas wakacji szkoła urządziła dwie wycieczki z Kolonii statkiem w górę Renu, pierwszą do Königswinter, a drugą do Koblencki.

Nasze przyswajanie sobie materiału 2-giej klasy postępowało naprzód, ale powoli. Może gdyby nauczyciel to prowadził i zadawał materiał do nauczania się, byłoby to jakoś łatwiej, niż gdy musieliśmy sami kontrolować naukę.

Ale jednak przy końcu lipca i na początku sierpnia Józek i ja zdawaliśmy ustne i pisemne egzaminy z materiału 2 klasy, który podczas wakacji przerobiliśmy. Osiągnęliśmy dobre wyniki we wszystkich przedmiotach oprócz botaniki, którą czytaliśmy dopiero w ostatnich dniach. W każdym razie, gdy 6 sierpnia zaczął się rok szkolny, byliśmy w klasie 3.

W nowym roku szkolnym mieliśmy o jedną klasę więcej — pierwszą licealną, składającą się z zeszlórocznych uczniów klasy 4. Ponieważ w budynku służącym nam za szkołę brakowało pomieszczeń, pokój nauczycielski został klasą licealną, biuro zostało pokojem nauczycielskim, a szatnia biurem.

Liczba uczniów bardzo się powiększyła z nowym rokiem szkolnym. Najliczniejsza była, jak zwykle, klasa pierwsza, w której przeważały dziewczęta. Było też w szkole dużo małych chłopców z krzykiem uganiających się na przerwie za piłką. Szkoła straciła zupełnie powagę, którą mogła się przedtem szczycić!

Delegat Rady Obozowej zwołał zebranie wszystkich uczniów i polecił nam wybrać spośród siebie trzech reprezentantów, którzy by przedstawiali Radzie nasze problemy i potrzeby. Reprezentantów wybraliśmy, a rezultaty ich starań były natychmiast widoczne. Za kilka dni wydano nam bieliznę, po części nową, skarpety i swetry i tym, którzy o to prosili, płaszcz.

Czasem nasze obozowe menu uzupełniały paczki żywnościowe organizacji UNRRA³. Zawierały takie produkty jak biskwity, marmoladę, ser, konserwy rybne, konserwy fasoli z boczkiem. Rodzice uczniów przysyłały im też od czasu do czasu ze swego obozu paczki z żywnością. Ale warunki w naszym obozie stawały się coraz gorsze. Ilość żywności, którą kiedyś wydawano codziennie, teraz miała starczyć prawie na cały tydzień. Bochenek chleba był na cztery osoby: porcja masła albo smalcu wydana na dwa lub cztery dni wystarczała tylko na jeden dzień. Zupa w południe była często po prostu jak woda. Tym uczniom, którzy byli sami, bez rodziny, więc nie dostawali paczek z domu, było naprawdę trudno przeżyć na tym, co wydawano. Objawiła się bezradność naszej sytuacji. Pozostawanie tutaj do niczego nie prowadziło, a sytuacja w Polsce była niejasna.

Nie było pewności czy szkoła będzie mogła dalej istnieć. Była możliwość, że wszyscy uczniowie i ich rodzice przeniosą się do Ameryki i tam będą kontynuować naukę, wspierani przez Związek Polsko-Amerykański. Dla uczniów po maturze, będących na razie w Niemczech, starano się o miejsca na studia w uniwersytetach zachodniej Europy.

W końcu, po prawie roku wykorzystanym na naukę w szkole w Kolonii-Mülheim, obóz i szkoła miały być przeniesione gdzie indziej. Szukano odpowiedniego miejsca, gdzie uczniowie i ich rodzice mogliby zamieszkać razem w tym samym obozie. Jednym z możliwych był obóz przejściowy, ale zanim można było tam zamieszkać, trzeba było zdecydować, gdzie się chce emigrować: do Chile, Peru czy do Argentyny. Zresztą pobyt w takim obozie byłby tylko stosunkowo krótki — do czasu wyjazdu do wybranego kraju.

Kilka dni później podano do wiadomości że szkoła przeniesie się... do klasztoru! W miejscowości Knechtsteden, około godziny jazdy od Kolonii, znajdował się w opactwie obóz DP. Obóz mógł przyjąć tylko dodatkowe 150 osób, więc nie było tam miejsca dla całych naszych rodzin. Najpierw przewieźliśmy z Mülheim do nowego obozu trochę mebli i materiałów szkolnych, a 22 sierpnia 1946 roku szkoła przeniosła się na dobre do knechtstedeńskiego klasztoru, który był pięknie położony wśród lasów.

Kwaterna chłopców była w dużej sali na poddaszu, do której wnieśliśmy nasze bagaże i ciężkie szafy wojskowe. Józek, drugi kolega, Sylwek i ja urządziliśmy sobie prywatny „pokój” w części naszej sali. Łóżka i stół postawiliśmy przy zewnętrznej ścianie, a szafy ustawione ku środkowi sali tworzyły przepierzenie razem z zasłoną z koca. Luksus w naszym „pokoju” stanowił jedyny, gdzieś zdobyty fotel. Było ciepło, więc okna w pochyłym suficie mogły być otwarte przez cały dzień. Ale mieliśmy nieprzyjemną niespodziankę gdy zaczęło padać — niektóre okna były nieszczelne, na szczęście nasze nie.

Przez pierwsze kilka dni w Knechtsteden ustawialiśmy ławki, tablice i inne meble szkolne w klasach, jeśliby można tak nazwać pomieszczenia przeznaczone na klasy. Trudno było znaleźć odpowiednie pokoje, może dlatego, że niektórzy pracownicy administracji obozowej nie byli nam przyjaźni. Klasa 1 miała szczęście dostać dobrą salkę, klasa 2 i 3 mieściły się w gospodzie *Gasthaus Klosterhof*, zaraz za murami klasztornymi, klasa 4 obok mojego łóżka (!), ale najgorsze miejsce miała 1 liceum — jej klasa była w starym schronie, czyli w piwnicy.

³ *United Nations Relief and Rehabilitation Administration*. Organizacja stworzona przez Narody Zjednoczone do spraw pomocy i rehabilitacji, która prowadziła obozy DP.

W niedzielę wszyscy uczniowie szli razem na mszę. Gdy ustawialiśmy się czwórkami i maszerowaliśmy do kościoła, przyglądali się nam mieszkańcy obozu i zakonnicy. Na ogół ludzie interesowali się naszą szkołą, a my ze swej strony staraliśmy się zdobyć przez swe postępowanie dobrą opinię u zakonników i u polskich mieszkańców. Obóz Knechtsteden też miał być niezadługo zamknięty i nasz dyrektor czynił starania, żeby szkoła mogła tu pozostać.

Codziennie zajęcia postępowaly według ustalonego programu. Budzono nas o 7.00 i natychmiast biegłem do umywalni. Gdy przyszło się trochę później, trzeba było stać w kolejce, bo do mycia były tylko dwa krany. O 7.30 mieliśmy modlitwę, a potem gimnastykę w określone dni. Gdzieś tam trzeba było znaleźć czas na śniadanie, czasem nawet bez garnuszka kawy, bo nie było jej gdzie zagrzzać. Do szkoły szliśmy o 8.30. Po szkole czekały nas zadania domowe, a o 9.30 wieczorna modlitwa. Gdybyście chcieli ułożyć kodeks internatu, zaczynałby się chyba tak: „§1. Każdy spóźniający się lub uchylający się od wspólnej modlitwy lub porannej gimnastyki, winien jest myć kotły w kuchni przez dzień jeden”. I niektórzy z kolegów mieli takiego pecha, że właśnie im to mycie już przypadło.

Inspektor szkolny z Lippstadt przeprowadził wizytację szkoły i kwater mieszkalnych. Wyglądało na to, że niedługo znów będziemy przeniesieni do innego obozu.

Środa 9 października 1946 roku była „czarnym dniem” naszej knechtstedeńskiej szkoły. Wszyscy czuli się zdenerwowani i przygnębieni, bo zawiadomiono nas, że we wtorek 15 października przyjeżdża 30 samochodów, które zabiorą wszystkich mieszkańców obozu do Lippstadt. Nikt nie chciał tam jechać, ani uczniowie ani nauczyciele. Mówiono, że Lippstadt było pod pełnym wpływem warszawskiego rządu komunistycznego i tamtejszy obóz i szkoła też prawdopodobnie miały być wkrótce rozwiązane. Władze alianckie dążyły do zamknięcia wszystkich takich gimnazjów DP i nasz dyrektor chciał znaleźć jakiś odpowiedni obóz, gdzie mógłby szkołę dalej prowadzić, choćby nawet nieoficjalnie. Wysłał dwóch uczniów liceum do obozu w Cleve, aby dowiedzieli się jakie tam są warunki.

Byłem pełen podziwu i szacunku dla naszego dyrektora i nauczycieli, którzy pomimo wszystkich trudności dalej uczyli i opiekowali się szkołą. Celem polskich szkół w Niemczech było wyrwanie młodzieży z nienormalnych warunków życia w obozach, zajęcie ich nauką dla ich własnego dobra i o ile to było możliwe, nadrobienie straconych podczas wojny lat szkolnych. Szkoły były bezpłatne i dostępne dla każdego, nawet gdy kandydat znacznie przekraczał normalny wiek szkolny⁴. Nauczyciele byli też pod naciskiem komunistycznego rządu polskiego, który starał się poddać ich swej kontroli. Praca nauczycieli, ich przeciwstawianie się naciskom komunistycznym i poświęcenie się ideałom wolności, były wspaniałym przykładem prawdziwego patriotyzmu.

Dyrektor Odrobny i jeden z nauczycieli odwiedzili Lippstadt i wrócili z pomyślnymi wiadomościami. Przeprowadzka tam była ze wszech miar wskazana, szkoła była teraz wolna od nieporządanych nacisków politycznych, warunki mieszkaniowe były dobre, a szkoła zajmowała budynek dawnego gimnazjum niemieckiego i była wyposażona we wszystkie potrzebne sale i laboratoria.

Opuściliśmy Knechtsteden rankiem 15 października 1946 roku i zajęliśmy do Lippstadt po południu pełni nadziei na lepsze warunki do nauki w nowej szkole. Lipsztacki „obóz” składał się z małej części miasta zarezerwowanej dla „dipisów”. Internat męski i żeński mieściły się w osobnych budynkach na tej samej ulicy. Z internatu szło się tylko kilka minut do szkoły znajdującej się w starym, imponującym, dwupiętrowym budynku niemieckiego *Gymnasium*, który był obrosnięty winoroślami, w tym czasie już bez liści. Wokoło budynku trawniki, krzewy, ścieżki wyłożone kamiennymi płytami, a przed budynkiem pomnik założyciela szkoły Ostendorfa. Wysoko na frontonie budynku widniał teraz duży napis: „Polski Ośrodek Szkolny”.

Tutejszy dyrektor przywitał nas wszystkich w obecności całej szkoły zebranej w auli na drugim piętrze i zaczęły się lekcje. Zdawali sobie sprawę z tego, że aby być na równym poziomie z miejscowymi uczniami, musieliśmy nadrobić matematykę i historię, oni zaś musieli poprawić łacinę i angielski, aby nam dorównać.

Lekcje fizyki w nowej szkole były przyjemnością, gdyż mieliśmy do dyspozycji w pełni wyposażone laboratorium i można było przeprowadzić wszystkie potrzebne doświadczenia. Bardzo ciężko szła nam jednak matematyka, bo nauczyciel jakoś nie potrafił materiału jasno wyłożyć i był wielkim pedantem. Zrozumiałe, że w matematyce trzeba być dokładnym, ale gdy ktoś powiedział

⁴ W. Kowalczyk, *Szkolnictwo polskie w Niemczech 1945–1948*. Warszawa 1961.

„uwalniać z nawiasów” zamiast „otworzyć nawiasy”, albo pięć „do potęgi” trzeciej zamiast pięć „w potęgę” trzeciej, to przecież nie był to koniec świata?!

Ale za to nasza nauczycielka polskiego, była prawdziwym skarbem! Pani już nie pierwszej młodości, ale bardzo miła i świetna nauczycielka. Wiedziała jak stworzyć swobodną atmosferę w klasie i w ten sposób osiągnąć dobre wyniki. Zawsze zachęcała nas do chodzenia do teatru, na opery i wskazywała dobre filmy w lipsztackich kinach. Była z tym w kolizji z kierownictwem Ośrodka Szkolnego, którego oficjalna polityka nie pozwalała na branie udziału w imprezach i przedstawieniach organizowanych przez Niemców. My w tych sprawach w pełni zgadzaliśmy się z postawą polonistki, a nie kierownictwa.

Należeliśmy do czwartego okręgu szkolnego, którego kierownik, major Scheybal, wizytował szkołę. W naszej klasie był na historii i matematyce, a wieczorem wizytował nasz internat.

Aby nadrobić czas stracony bez możliwości uczenia się podczas wojny, staraliśmy się przerobić cały rok szkolny w przeciągu około sześciu miesięcy i w lutym 1947 roku właśnie nadchodził koniec tego sześciomiesięcznego okresu. Odbywały się klasówki, więc pracy mieliśmy jeszcze więcej niż zazwyczaj i regularnie chodziło się bardzo późno spać. W tym tak bardzo krytycznym czasie miasto ograniczało też prąd elektryczny. Elektryczność mieliśmy tylko od 7 do 9 rano, od 12 do 2 po południu i od 5 do 9 wieczorem. W niektóre wieczory jedliśmy kolację przy świetle palących się odłupanych z deski, cienkich kawałków drzewa, bo nawet świeczek zabrakło. Na szczęście w szkole światła nie wyłączano i czasem chodziliśmy tam się uczyć w pokojach nauczycielskich.

Po zdaniu egzaminów skończyłem wtedy trzecią klasę gimnazjum, która miała następujący program: religia, język polski, język łaćniński, język angielski, historia, geografia, fizyka i chemia, matematyka, ćwiczenia cielesne.

W Lippstadt, oprócz uczęszczania do kin, gdy nie było zbyt wielkiego nawału pracy, mieliśmy też okazję bywać na operach, operetkach, sztukach teatralnych i koncertach symfonicznych. Do naszego miasta przybywały na gościnne występy dobre zespoły operowe i teatralne z większych miast niemieckich, a raz wystąpiła nawet słynna berlińska orkiestra filharmoniczna pod batutą znanego Rumuna Sergiu Celibidache. Powstał też w Lippstadt miejscowy teatr operetkowy, do którego uczęszczaliśmy, choć jego poziom artystyczny był sporo niższy od poziomu przyjeżdżających zespołów. A szkoła urządzała co kilka tygodni zabawy taneczne najpierw w auli a później w sali gimnastycznej. Mieliśmy też świetny szkolny chór męski prowadzony przez zdolnego muzyka pana Oziemblo. Podczas wakacji chór dał serię koncertów w polskich obozach DP.

W maju 1947 roku dwóch uczniów zostało wydalonych ze szkoły za podsłuchiwanie konferencji klasyfikacyjnej. Poprzedniego dnia odbywała się właśnie konferencja na zakończenie pierwszego okresu, a uczeń klasy 3, chcąc ją podsłuchać, ukrył się w sali konferencyjnej pod mapą na szafie. Leżał tam przeszło trzy godziny bez ruchu, a gdy już nie mógł dalej wytrzymać i poruszył się, zauważono go. Jego przyjaciel chciał mu oddać przysługę i zerwał z tablicy kartkę dykcji o wydaleniu, za co też został natychmiast wydalony. Obaj mieszkali potem w prywatnym mieszkaniu, bo z internatu też ich wydalono.

Z powodu skróconego roku szkolnego nie można było nadążyć z pracą szkolną. Spać szło się regularnie o 1.00 albo 1.30 po północy, a czasem jeszcze później. A w szkole, gdy trzeba było słuchać wykładu, czy się zamykały i nie było na to rady. Ale zależało to też od tego, jaki był wykład. Nie można było usypiać na łacinie, bo było nas tylko pięciu, łacinnik przepytывał codziennie, więc trzeba było stale uważać. Nie było drzemania na polskim, bo lekcje były zbyt żywe i interesujące. To samo można było powiedzieć o matematyce i angielskim. Najbardziej chciało się spać na lekcji religii, bo książkę, mówiąc, siedział za katedrą ze schyloną głową, albo jeszcze gorzej, z zamkniętymi oczami.

Demoralizowała nas niepewność, czy pozostaniemy w Lippstadt. Jeszcze w marcu 1947 roku wywieszono zawiadomienie, że obóz może być zamknięty pod koniec miesiąca, a nie wracający do Polski mieli być rozmieszczeni po innych obozach. Istniała jednak możliwość, że szkoła i rodzice uczniów pozostaną nadal w Lippstadt choć Niemcy bardzo się starali aby nas się pozbyć i odzyskać budynek szkolny. I na szczęście, po kilku dniach okazało się, że choć inni wyjadą, prawdopodobnie nasza społeczność szkolna tu pozostanie, w całości około 250 osób. Ale w ostatnim tygodniu czerwca, ku naszemu zmartwieniu, znów były pogłoski, że może nas przeniosą i to jeszcze przed końcem roku szkolnego. A do końca roku było tylko kilka tygodni, więc myśleliśmy, że władze mogłyby przynajmniej tyle zaczekać! Dziwiło nas bardzo, że dyrektor okręgu UNRRA, Polak

zresztą, nie mógł nam oszczędzić takiego nieszczęścia. Ale 3 lipca otrzymaliśmy dobrą wiadomość — nauczyciele, uczniowie i rodzice pozostaną w Lippstadt, przynajmniej na razie. Co za ulga! Resztę mieszkańców przeniesiono do obozu w Augustdorfie.

Kuchnia czasem zrobiła nam niespodziankę i podała treściwy posiłek: mięso, ziemniaki z sosem i buraczki. Na ogół jednak wyżywienie było bardzo biedne. Często, gdy dodatkowe dostawy z domu się wyczerpały, jedliśmy suchy chleb. Pokonani Niemcy mieli lepsze wyżywienie niż my, rzekomi zwycięzcy.

Nasz instruktor wychowania fizycznego po prostu kochał przesadną dyscyplinę! Przyszedł jednego wieczoru o 9.30 z zastępcą dyrektora, łacinnikiem, i po modlitwie obaj przeprowadzali inspekcję mieszkań. Podczas inspekcji my wszyscy staliśmy na dole i swobodnie sobie rozmawialiśmy, a raczej porządnie hałasowaliśmy. Gdy instruktor zeszedł na dół wykrzyczał nas najpierw, a potem zwolnił tylko klasy licealne, a reszcie kazał pomaszerować na dwór! Do pół do jedenastej brzmiał na boisku jego głos szczególnie donośny i krzykliwy tego wieczora. Do pół do jedenastej maszerowaliśmy, biegaliśmy, robiliśmy przysiady, zwroty i tym podobne sztuczki. Gdy się już wszystko skończyło byliśmy porządnie zmęczeni i zgrzani. Mnie złościło najwięcej to, że straciłem tak dużo czasu. Miałem zamiar zacząć się uczyć bezpośrednio po modlitwie.

31 lipca 1947 roku nareszcie nadszedł koniec roku szkolnego, uczczony uroczystą mszą św., na której śpiewał nasz chór, a potem odbyła się tradycyjna akademie. Były przemówienia, deklamacje i występ znowu nasz chór, tym razem z pieśniami ludowymi na chór męski i innymi na chór mieszany. Świadectwa dostaliśmy w swych klasach. Nasze, z klasy 4, było w pewnym stopniu ważniejsze, bo oznaczało ukończenie gimnazjum, czyli osiągnięcie tzw. „małej matury”.

Nowy rok szkolny rozpoczął się 15 września 1947 roku, a miał to być tym razem pełny rok, nie skrócony jak poprzednie, a więc kończący się w czerwcu 1948 roku. Zastępca dyrektora, łacinnik, miał do mnie żal, że nie wybrałem liceum humanistycznego, tylko matematyczno-fizyczne. Zdawali sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie wyemigrujemy do jakiegoś obcego kraju i polskie świadectwo humanistyczne nie na wiele by się tam przydało, zaś wykształcenie techniczne miałoby zastosowanie wszędzie. Z praktycznych więc względów większość uczniów właśnie to wybrała. W programie pierwszej licealnej mieliśmy: religię, język polski, angielski, historię, zagadnienia życia współczesnego, biologię, fizykę z astronomią, chemię, matematykę, ćwiczenia cielesne, miernictwo i geometrię wykreślną. Miałem też przedmioty nadobowiązkowe: język francuski i niemiecki i śpiew.

Do naszej klasy pierwszej licealnej dołączył kontyngent uczniów z obozu w Borghorst. Razem z nimi nasza klasa była teraz liczna — szesnaścioro uczniów: troje w liceum humanistycznym, trzynaścioro w matematyczno-fizycznym.

Wyglądało na to, że w naszym Polskim Ośrodku Szkolnym w Lippstadt prowadzono jakieś intrygi. Ośrodek składał się z kilku szkół: Ogólnokształcącej Szkoły Średniej, Handlowej Szkoły Średniej, Szkoły Rolniczej, Szkoły Techników Radiowych i Kursu Mierniczego. Dyrektor Odrobny był kierownikiem całego ośrodka, na ogół szanowanym i lubianym. Krążyły jednak pogłoski, że został usunięty z kierownictwa ośrodka przez intrygi jakichś ludzi z Lippstadt. Podczas regularnej, niedzielnej pogadanki wychowawczej po mszy, prowadzonej tym razem przez ks. prefekta Kopczyńskiego, powiedział on, że w rzeczywistości władze szkolnictwa zlikwidowały funkcje kierowników we wszystkich takich ośrodkach szkolnych w Niemczech, więc p. Odrobny też przestał być oficjalnym kierownikiem naszego ośrodka. Zaofiarowano mu wysokie stanowisko w centralnych władzach szkolnictwa, ale odmówił przyjęcia, woląc pozostać w Lippstadt jako nauczyciel i nasz mentor. Jednak nauczyciele wszystkich szkół lipsztackich prosili go, aby pozostał, choć nieoficjalnie, kierownikiem ośrodka i naszym reprezentantem u władz angielskich, na co się zgodził.

Wychowawca naszej klasy pan Napierała-Kowalski organizował nam wycieczki klasowe. Na początku roku szkolnego byliśmy pociągami w mieście Detmold aby obejrzeć tam ogromny pomnik bohatera niemieckiego Hermana, a drugą wycieczkę mieliśmy w lutym do miasta Wuppertal. Pod koniec roku zaś, w czerwcu, cała szkoła wyjechała do grot szczelinowych w Warstein niedaleko od Lippstadt.

Uroczyste zakończenie roku szkolnego odbyło się 22 czerwca 1948 roku, a już 2 lipca wyjechaliśmy na obóz szkolny w namiotach w Müngersdorf na krańcach Kolonii, który trwał przeszło miesiąc.

Nowy rok szkolny zaczął się w pierwszych dniach września. Dla mnie był to rok maturalny z następującymi przedmiotami: religia, język polski, język angielski, historia, zagadnienia życia współczesnego, biologia, fizyka z astronomią, chemia, matematyka, propedeutyka filozofii, ćwiczenia cielesne, miernictwo, geometria wykreślna i nadobowiązkowy śpiew.

Mieszkańcy obozów DP zaczęli zgłaszać się na emigrację. Dotyczyło to też uczniów, więc w szkole następowały zmiany. Kilku uczniów zapisało się na emigrację do Kanady, zwolniło się ze szkoły i pojechało do pobliskiego obozu w Paderborn na komisję emigracyjną. Pozostawała po nich smutna pustka. Nie wiadomo było, czy nam, którzy na razie zostawaliśmy, będzie danym skończyć liceum i dojść do matury, ale zawsze milej by było dążyć do tego celu w większej grupie, wspólnie, zamiast patrzeć jak po drodze to ten to ów odchodził.

Niezadługo potem pan Napierała-Kowalski zapisał się na emigrację do Australii, mieszkał w obozie przejściowym w Paderborn i tylko dojeżdżał do nas na lekcje, które prowadził po południu. Ponieważ jego transport do Australii miał ruszać dopiero w połowie grudnia, zamierzał do tego czasu skończyć z nami program chemii, przeprowadzić egzaminy i wystawić stopnie do matury. Egzaminy maturalne też miały być wcześniej, prawdopodobnie w marcu, ze względu na możliwość emigracji. Nasza niezastąpiona polonistka, pani Kowalczyk też planowała emigrację — do Kanady.

Nasz męski chór szkolny wystąpił z koncertem we więzieniu w Werl, około godziny drogi od Lippstadt. Prosił o to kapelan więzienia, ks. Wnuk. Pierwszy występ daliśmy dla więźniów Polaków, a drugi dla Niemców, między którymi było ośmiu generałów Wehrmachtu i marszałek Kesselring.

Zbliżały się egzaminy maturalne. Rok szkolny został skrócony do 30 maja, zajęcia szkolne maturzystów kończyły się 2 maja, a 17 miały się zacząć egzaminy pisemne. W poniedziałek 16 maja odbyła się konferencja pedagogiczna decydująca o tym, kogo dopuścić do egzaminów maturalnych. W pierwszym dniu miał być pisemny egzamin z języka polskiego, następnie matematyka a w czwartek fizyka. Tak więc we wtorek o siódmej trzydzieści rano dziesięcioro nas było na mszy i u komunii, a o ósmej zaczęliśmy pisać egzamin z języka polskiego w dużej sali rysunkowej obok kaplicy. Sala była jasna, z dużymi oknami i długimi stołami, przeważnie po jednym kandydacie przy każdym stole. Do wyboru były trzy tematy. Ja wybrałem „Znaczenie wychowawcze literatury polskiej w dziejach naszego narodu”. Przez sześć godzin przeznaczonych na wypracowanie maturalne, nasze młodsze koleżanki podawały nam od czasu do czasu bułki z masłem i herbatę. We środę pisaliśmy matematykę, a we czwartek fizykę. Egzaminy ustne miałem tylko z chemii i matematyki, bo z polskiego zostałem zwolniony.

W środę 25 maja ogłoszono wyniki i dowiedziałem się, że zdałem maturę! Byłem więc „dojrzałym” człowiekiem!

Po egzaminach maturalnych wyjechałem do obozu rodziców na krótkie wakacje, ale w połowie czerwca wróciłem do Lippstadt na trzymiesięczny kurs techników mierniczych. Kurs ukończyłem na krótko przez wezwaniem naszej całej rodziny do obozu przejściowego w Münster na komisję emigracyjną do Australii w dniu 23 września 1949 roku.

Wacław J. Jędrzejczak (Australia)

*

Wacław Jędrzejczak przybył do Australii z rodzicami i rodzeństwem w styczniu 1950 r. Na początku pracował fizycznie, według kontraktu podpisanego z australijskim urzędem imigracyjnym. Studiował potem inżynierię lądową, a po skończeniu studiów pracował aż do emerytury w 1987 r. jako inżynier w stanowej instytucji energetycznej. Na emeryturze zdobył kwalifikacje polsko-angielskiego tłumacza przysięgłego i pracował dorywczo jako tłumacz przez następne dziewięć lat. Ożenił się w Australii z Polką i wychowali pięcioro dzieci.

BEZ MĘCZEŃSKIEJ AUREOLI

WSPOMNIENIA CZASU EMIGRACJI

Kiedy z Armią generała Andersa przyjechałem do Anglii w roku 1946 miałem lat 24, stopień bombardiera i skończony pierwszy rok medycyny na Uniwersytecie w Bolonii. Nie były to kwalifikacje imponujące ale uprawniały mnie do starania się o stypendium na skończenie studiów. O dostanie się na medycynę w Anglii nie warto było nawet starać się, bo na wszystkie wolne miejsca priorytet mieli świeżo zdemobilizowani obywatele brytyjscy. Wybrałem więc najbliższą medycynie biologię z chemią i złożyłem podanie o stypendium

Przydziałem stypendiów zajmował się urząd zwany Komitet Edukacji Polaków w Wielkiej Brytanii, bo tak niezgrabnie przemianowano dawne polskie Ministerstwo Edukacji (czasu wojny). Komitet Edukacji dawał stypendia tylko na „studia praktyczne”, a najchętniej na nasz własny, polski Polish University College gdzie można było studiować różne działy inżynierii, a ja nie miałem w tym kierunku żadnych zdolności ani ochoty.

Ostatecznie udało mi się przekonać „Panów z Komitetu”, że dyplom z chemii, z dodatkiem zoologii i botaniki byłby wysoko ceniony w takich praktycznych laboratoriach jak szpitalne, weterynaryjne, farmaceutyczne itp.

Stypendium dostałem w październiku 1947 roku i zacząłem „życie w cywilu” jako student jednego z college’ów uniwersytetu londyńskiego. Stypendium było skromne (20 funtów miesięcznie) ale przy ówczesnej, częściowej kontroli cen i racjonowaniu niektórych towarów, wystarczyło na opłacenie jednopokojowego mieszkania, wyżywienia i ubrania, a także na kupienie podręczników, zeszytów, itp. Studia nie wydawały się trudne. Co jakiś czas wykładowcy urządzali próbne egzaminy, tzw. „testy”, z których przeważnie dostawałem ocenę „zadowolająco”. Wszystko zapowiadało się jak najlepiej, choć, jak wkrótce okazało się ten optymizm polegał na złej ocenie sytuacji.

Wprawdzie wiedziałem, że na uniwersytetach brytyjskich obowiązują egzaminy pisemne, ale nie spodziewałem się, że egzamin będzie przez to trudniejszy. Egzamin był trudny o tyle, że ilość pytań i ograniczony czas na napisanie odpowiedzi wymagały szybkości nakręconej katarynki, czyli wykucia na pamięć całego materiału. Tego nie zrobiłem i nikogo nie winię za to, że egzaminu nie zdałem. Oblanie egzaminu oznaczało automatyczne cofnięcie stypendium, więc szybko postarałem się i znalazłem pracę zwykłego robotnika w dużej fabryce łodów, z zarobkiem prawie równym straconemu stypendium. Praca nie była ciężka tak, że po powrocie do domu mogłem bez trudu poświęcić kilka godzin na wkuwanie chemii, zoologii i botaniki.

Przez następnych 10 miesięcy prowadziłem bardzo monotony tryb życia: 9 godzin pracy w fabryce a po powrocie do domu, około 6-tej, pięć godzin wkuwania. Na weekendy odpadały tylko godziny pracy zarobkowej, ale nigdy nie pofolgowałem sobie w upartej powtórcie, porządkowaniu i upychaniu w głowie materiału egzaminacyjnego. Oczywiście egzamin zdałem, w lipcu 1949 r. Stypendium przywrócono mi bez zwłoki i zacząłem dwuletni kurs dyplomowy. Tym razem, nauczony gorzkim doświadczeniem, zacząłem uczyć się metodycznie od pierwszego dnia i końcowy egzamin zdałem w czerwcu 1951 roku. Z dyplomem B.Sc. (*Bachelor of Science*) zacząłem szukać pracy ale okazało się, że nawet stopień naukowy zdobyty na londyńskim uniwersytecie nie gwarantuje pracy cudzoziemcowi. Dopiero po kilku tygodniach przyjęto mnie na stanowisko technika w laboratorium patologicznym jednego ze szpitali londyńskich. Trafiłem szczęśliwie, bo związek zawodowy techników szpitalnych uznał mój dyplom za równoważny ich własnemu egzaminowi na członka związku, co było bardzo ważne bo bez ich zgody nie miałbym prawa wykonywania swej pracy (nie wiedziałem wtedy, że doświadczam na własnej skórze pierwszych, i słabych jeszcze, nacisków rosnącej potęgi związków zawodowych). Praca w laboratorium wydawała mi się ciekawa. Płaca była niewielka ale i tak wyższa o 20% niż moje dotychczasowe stypendium, a zespół pracowników bez zarzutu. Nasza grupa liczyła 15 osób i mieściła się w jednym dużym

i dobrze wyposażonym laboratorium. Na ogół wszyscy byli nawzajem sobie pomocni i pracowaliśmy w najlepszej komitywie.

Fakt, że znalazłem płatną pracę wpłynął na moje samopoczucie, dotychczas bowiem dostawałem pieniądze jak daninę, zapomogę (jałmużnę prawie) z dobrej woli ofiarodawcy. Teraz wypłacano mi pieniądze zarobione, które mi się należały. Wreszcie osiągnąłem status przeciętnego, pełnoletniego obywatela, który sam decyduje o tym co, gdzie i jak chce robić. Najoczywiściej moja sytuacja *vis à vis* reszty społeczeństwa normalizowała się stopniowo i wkrótce miała osiągnąć następne stadium, mianowicie mój ożenek z panną Zofią Rymarską, którą poznałem w pierwszym dniu rozpoczęcia studiów w 1947 roku. W cztery lata potem nasza sytuacja polepszyła się o tyle, że mieliśmy studia za sobą, jak to mówią „z głowy” i przez to więcej czasu dla siebie, a nasze wspólne zarobki pozwalały na wynajęcie dwupokojowego mieszkania. Ślub i przeprowadzka nastąpiły szybko po sobie, w tym samym dniu, 5-go stycznia 1952 roku. W parę tygodni potem zaprosiliśmy na podwieczorek naszych pierwszych gości. Zaczęliśmy prowadzić tzw. życie towarzyskie.

Mając więcej wolnego czasu korzystaliśmy też z dużych możliwości kulturowo-rozrywkowych Londynu: świetne teatry, słynna opera, balet i akustycznie doskonałe sale koncertowe nęciły ciekawymi programami w interpretacji sławnych wykonawców. Nie zawsze jednak nasze szczupłe finanse pozwalały na zaspokojenie wszystkich naszych pragnień. W takich wypadkach wybieraliśmy się do jakiegoś muzeum lub galerii obrazów, które ofiarowywały zwiedzającym wstęp wolny na oglądanie swych bogatych zbiorów. Najczęściej jednak spędzaliśmy wieczory w domu na czytaniu książek lub słuchaniu radia; jak większość znajomych Polaków staraliśmy się zaoszczędzić tyle, by móc kupić mieszkanie (ewentualnie dom) na własność i umeblować je według własnego gustu i urządzić się w nim według własnych potrzeb i uznania. W półtora roku po ślubie udało się nam ten cel osiągnąć.

Niestety, normalizacja i stabilizacja naszego życia miała, dla mnie osobiście, tę niemiłą konsekwencję, że moja praca w szpitalu nie dawała sposobności do nauczenia się czegoś nowego i zdobycia większych kwalifikacji. Robiąc dzień w dzień te same standartowe analizy zauważyłem, że zaczynam się nudzić, co było znakiem ostrzegawczym, aby rozglądać się za inną pracą.

Wiedziałem, że istnieją laboratoria uniwersyteckie, subwencjonowane przez Instytut Medycyny Doświadczalnej (*Medical Research Council*), gdzie przeprowadza się ciekawe badania z dziedziny biochemii. Planowałem sobie, że praca w takim laboratorium będzie nie tylko ciekawa, ale może też dać mi szansę zdobycia wyższego dyplomu uniwersyteckiego. Wkrótce nadarzyła się taka okazja w laboratorium biofizyki przy londyńskim *King's College*, gdzie głównym przedmiotem studiów było DNA (kwasy nukleinowe, czyli biologiczne makromolekuły wchodzące w skład chromosomów). Z tego laboratorium, we wczesnych latach 50. grupa Dr. Wilkins'a ogłosiła pierwsze wyniki analizy krystalograficznej kwasów nukleinowych. Wyniki te, uzupełnione wnioskami teoretycznymi przedstawionymi przez Dra. Crick'a i Watson'a (z uniwersytetu w Cambridge) doprowadziły do odkrycia struktury DNA i przyniosły całej trójce naukowców nagrodę Nobla w 1962 roku. W międzyczasie jednak wszyscy zabrali się do sprawdzania wyników (własnych i cudzych) używając nowych i coraz bardziej precyzyjnych metod analizy.

Do takich należał bliski współpracownik Dr. Wilkins'a, Dr. Geoffrey Brown, któremu zostałem przydzielony do pracy. Pod jego też kierunkiem miałem równocześnie przygotowywać tezę dyplomu M.Sc. (*Master of Science*). Nasza współpraca układała się jak najlepiej tak, że w ciągu 3 lat zebraliśmy dość materiału na ogłoszenie wyników w czasopiśmie naukowym, a w obszernej formie w tezie przedstawionej przeze mnie do dyplomu M.Sc. Teza została przyjęta i po egzaminie kwalifikującym przyznano mi ten nowy stopień.

W niespełna rok potem przyznano mi pełne prawa pracownika *Medical Research Council* z równoczesną podwyżką w poborach, więc znalazłszy się w tak korzystnej finansowo sytuacji zdecydowałem, że nie będę szukał lepszych warunków gdzie indziej. Prawdę mówiąc nie miałoby to wielkiego sensu, gdyż po zakończeniu prac nad analizą chemiczną DNA nasza grupa zaczęła również ciekawe badania nad rodzajem protein, które funkcjonują jako receptory i przekaźniki bodźców w komórkach nerwowych. Studia te prowadziliśmy ze zmiennym powodzeniem, aż do roku 1982, kiedy osiągnąwszy wiek lat sześćdziesięciu przeszedłem na emeryturę. Ponieważ jednak nie wyobrażałem sobie życia w kompletnym bezrobociu więc postarałem się o pracę na pół etatu w szpitalu św. Bartłomieja w Londynie, gdzie preparowałem (do celów diagnostycznych) wyciągi hormonów z przysadki mózgowej. W trzecim roku pracy dostałem nagle zawału serca, ale

szczęśliwie zdarzyło się to podczas pracy więc miałem na miejscu doskonałą, fachową opiekę, a następnie operację na *coronary by-pass*. Ten wypadek przyspieszył mą decyzję faktycznego przejścia na emeryturę co nastąpiło w 1985 r. Ostatecznie przekazaliśmy mieszkanie londyńskie naszej córce, a sami przenieśliśmy się na wieś do Devonu, gdzie do dziś mieszkamy.

Tak wygląda historia mego życia na emigracji z punktu widzenia codziennych wydarzeń, dobrych i złych, których bilans określiłbym jako średnio pomyślny jeśli chodzi o stronę czysto materialną. Nie-materialny aspekt rzeczy, czyli wszystkie idealizmy i duchowe tęsknoty interesowały mnie bardzo mało. Sprawami polskimi interesowałem się o tyle, że prenumerowaliśmy londyński „Dziennik Polski” i „Wiadomości”, a później, począwszy od lat 60. „Twórczość”. Stronniczość tych trzech publikacji nie przeszkadzała mi wcale, bo czytałem je w tym celu aby się dowiedzieć co nowego i ciekawego dzieje się w literaturze, teatrze, muzyce i sztukach pięknych. Poza tym, dla równowagi, mieliśmy dwie gazety angielskie: konserwatywny „Daily Telegraph” na dni powszednie i liberalny „The Observer” na niedziele. Dziś już nie pamiętam czy z polskiej czy angielskiej gazety dowiedzieliśmy się o wielkim sukcesie literackim Jerzego Pietrkiewicza, poety i emigranta polskiego, który napisał po angielsku powieść i znalazł wydawcę, co więcej, także czytelników i to zarówno wśród szerokiej publiczności, jak i wśród zawodowych krytyków literackich. Obydwie grupy uważały że *The knotted cord* Pietrkiewicza jest powieścią tematycznie fascynującą, a stylistycznie tak doskonałą, że z miejsca przywodzi na myśl postać innego Polaka, emigranta i słynnego powieściopisarza angielskiego Josepha Conrada. Następne dwie powieści Pietrkiewicza spotkały się z dobrym odzewem krytyki ale ukazanie się czwartej, p.t. *Isolation* nie zachęciło nikogo ze stałych współpracowników „Wiadomości” do napisania krytyki. Odczekawszy dwa tygodnie napisałem list do redakcji wyrażający zdziwienie, że nikt z zawodowych ludzi pióra nie zechciał nawet powiadomić czytelników o ukazaniu się nowej książki Pietrkiewicza i że wobec tego robię to ja, zwykły czytelnik. Reszta listu zawierała krótkie streszczenie i przychylnie omówienie powieści. Tę właśnie, istotną część mego listu, wydrukował redaktor Grydzewski w swych „Wiadomościach” p.t. „Czwarta powieść Jerzego Pietrkiewicza”. Recenzja ukazała się w numerze 714-tym z 6-go grudnia 1959 roku i chociaż w druku zajęła nie więcej niż ćwierć strony „Wiadomości” to dla mnie miała znaczenie pierwszorzędne: była dowodem, że „nie święci garnki lepią” i że ja też potrafię napisać artykuł do tygodnika literackiego.

W jakiś czas potem dostałem od Redaktora (tytułem honorarium) czek na £4 i tak się ucieszyłem, że zrobiłem sobie z niego fotokopię zanim czek wpłaciłem na swoje konto. Te 4 funty miały tam czekać aż wpadnę na pomysł kupienia czegoś, co godnie upamiętni mój debiut literacki. Okazja nadarzyła się dopiero w rok potem, kiedy dowiedziałem się, że w maju 1961 r. Jury Wiadomości ogłosi swój wybór najlepszej książki wydanej w Emigracji w roku 1960. Wiedziałem z poprzednich lat, że po ogłoszeniu swego wyboru Jury zostaje niezmiennie zapraszane przez red. Grydzewskiego na wytworną kolację, której menu układa zawsze sam Pan Redaktor, znany smakosz i koneser wyborowych win. Wtedy poczułem nagle jak te wszystkie fakty sprzęgły się i zabłysła mi myśl: już wiem! — wystawię czek na £4 i pošlę go do Redaktora z wyjaśniającym listem skąd ta cyfra i z prośbą, aby zakończył kolację dla jurorów postawieniem butelki koniaku i wezwaniem swych gości by wypili na cześć mego debiutu w „Wiadomościach”.

Byłem pewien, że tak zrobił, tym niemniej bardzo się ucieszyłem, gdy w dwa dni po kolacji dostałem eleganckie zawiadomienie pocztą: był to prostokąt dwukolorowego kartonu (ok. 20 cm x 14 cm) z wydrukowanym „Menu” kolacji: u góry, ręką Redaktora, pozdrowienia i podpis, a poniżej podpisy ośmiu członków Jury. Wzruszył mnie ten piękny gest i nieraz, wdzięcznym sercem, wspominam wspaniałego Redaktora, który bez ceregieli przyjął pieniądze i zmieniwszy tylko butelkę koniaku na „magnum” szampana (co z miejsca zmieniło j a k o ś ć toastu) wprowadził mnie do grona swych współpracowników.

Aprobata Dr. Grydzewskiego zachęciła mnie do dalszych prób. Cokolwiek ciekawego przeczytałem, zobaczyłem lub usłyszałem stawało się tematem kolejnych recenzji, sprawozdania lub eseju. Nie ukazało się tego wiele, bo każdy tekst przechodził długi okres łączenia wybranego tematu z oporną formą zanim zdecydowałem się wysłać go do Redakcji. Muszę przyznać, że ta metoda samokrytyki dawała dobre rezultaty bo nigdy nie zdarzyło się aby Redaktor zwrócił mi maszynopis. Moja współpraca z „Wiadomościami” układała się więc jak najlepiej zarówno za czasów Grydzewskiego jak i za jego następcy Michała Chmielowca i za ostatniego redaktora, pani Stefani Kossowskiej, aż do zamknięcia pisma w 1981 roku.

W końcowym rachunku cała moja, przeszło 20 letnia, „twórczość literacka” osiągnęła cyfrę zaledwie 30 pozycji wydrukowanych w „Wiadomościach”. Co najmniej 80% tego stanowiły recenzje z książek lub szkice krytyczne obejmujące całość twórczości poszczególnych pisarzy (Proust, Gombrowicz, Hłasko). Zupełnie wyjątkowo wystąpiłem raz jako sprawozdawca z wystawy malarzy polskich w Londynie (w 1970 r.) i raz jako autor wiersza, elegii wydrukowanej w roku 1960.

Mówiąc o wystąpieniach muszę wspomnieć moje dwa wystąpienia publiczne w roli prelegenta. Pierwszy odczyt (o Gombrowiczu) wygłosiłem na zaproszenie klubu literackiego „Kontynenty”. Zebranie odbyło się w miłej atmosferze „Kółka Miłośników Literatury”, którzy przyszli aby dowiedzieć się czegoś ciekawego o tym wyzywająco oryginalnym pisarzu. Dlatego, rozpoczynając pogadankę poprosiłem słuchaczy, aby się nie krępowali okazaniem amatorskiego zainteresowania przez stawianie wścibskich pytań, bo w odpowiedzi nie mogę oferować im nic lepszego niż, równie amatorską, interpretację utworów Gombrowicza. Wobec tego, po skończonej prelekcji i po krótkiej, przyjaznej dyskusji rozeszliśmy się do domów.

Druga pogadanka była poważniejszą sprawą bo chodziło o to, aby nagrać dla Radia Free Europe kilkuminutową audycję z omówieniem pierwszego, polskiego przekładu powieści James Joyce’a *Ulysses*. Ten przekład zrobiony przez Macieja Słomczyńskiego, znałem już od kilku miesięcy i nawet zdążyłem napisać dłuższą i przychylną recenzję o nim (i o angielskim oryginale) do „Wiadomości” (numer 12, z lipca 1970). Przyciąłem go więc do wymaganej długości i wyszedł z tego dość zgrabny wizerunek Tłumacza, choć muszę przyznać, że wolałem swój pierwszy portret Słomczyńskiego (ten z „Wiadomości”) bo był robiony w pełnym świetle angielskiego oryginału. Podobno audycja została nadana do Polski, ale Radio Free Europe nigdy już potem nie zapraszało mnie do współpracy. Widocznie pogadanka nie przyniosła odzewu od słuchaczy.

Moje zainteresowania literackie i naukowe nie zostawiały mi wiele wolnego czasu i z tego powodu nie należałem do organizacji polonijnych. To jednak nie przeszkadzało, że popierałem niektóre, gdy znalazły się w kłopotach finansowych i ogłaszały publicznie apel o pomoc. Do takich należał POSK, Teatr i Macierz Szkolna. Specjalne uznanie miałem dla Macierzy Szkolnej za jej pomoc w prowadzeniu „Sobotnich Szkół Polskich”, dzięki którym polscy emigranci w Wielkiej Brytanii mogli przeciwdziałać stopniowemu angielszczeniu swych dzieci w miejscowych szkołach. Szkoły sobotnie dawały rodzicom gwarancję, że przez cztery godziny, każdej soboty ich dzieci są pod należytą opieką dorosłych, a równocześnie przebywają w towarzystwie swych rówieśników, ucząc się lub bawiąc i porozumiewają się ze sobą tylko w języku polskim. Dzieci czuły się dobrze w szkole sobotniej bo nikogo tu nie dziwiły, ani nie śmieszyły ich polskie imiona i nazwiska a rodzinny język był tu przedmiotem nauki również poważnej i trudnej jak język angielski w miejscowej szkole powszechnej. Dodatkową zachętą do nauki polskiego na poziomie gimnazjum było to, że brytyjskie ministerstwo oświaty uznało język polski za dodatkowy język obcy, który można było zdawać na maturze małej i dużej. W ten sposób polski uczeń zyskiwał znaczną ilość punktów i w końcowej klasyfikacji zwiększał znacznie swe szanse dostania się na uniwersytet lub do wyższej szkoły zawodowej.

Znam tę sprawę dobrze z własnego domowego doświadczenia, bo zaczęliśmy razem z żoną uczyć naszą córkę czytania i pisania po polsku, ale po kilku nieudanych próbach zapisaliśmy Klarę do Polskiej Szkoły na Devonian Rd. w północnym Londynie, gdzie okazała się pilną i zdolną uczennicą i pozdawała pięknie wszystkie egzaminy z języka polskiego, włącznie z dużą maturą.

W ogóle nasza szkoła na Devonii miała dobre wyniki egzaminów, ale nie uważała tego za jedyny swój cel; dbała o to, aby dzieci poznawały się bliżej i zaprzyjaźniały ze sobą. Okazji ku temu było dużo, bo na Devonii wszyscy nawzajem się znali i wspomagali. Najstarszym polskim „rezydentem” był KOŚCIÓŁ, bo zbudowany jeszcze w latach 20. jako pierwszy polski kościół parafialny w Londynie, a zaraz po zakończeniu wojny w 1945 roku stał się naturalnym ośrodkiem życia tych polskich emigrantów, którzy osiedlili się w północnym Londynie. Kilka kroków w bok od kościoła stał duży, piętrowy budynek parafialny, gdzie mieściło się biuro parafii, mieszkanie ks. Proboszcza, pokoje gościnne dla przyjezdnych księży i kilka pokoiów oddanych Szkole do użytku jako klasy. Znaczną część parteru zajmowała wielka, podłużna sala, zdolna pomieścić co najmniej setkę ludzi, która świetnie nadawała się do użytku jako widownia teatralna lub kinowa i tu zbierała się cała Szkoła na patriotyczne akademie z okazji świąt narodowych, na zakończenie roku szkolnego i na przeróżne imprezy dochodowe, jak bazar, licytacja, loteria fantowa itp. Zebrane pieniądze wysyłaliśmy zawsze na ten sam adres do Szkoły dla Niewidomych Dzieci w Laskach pod Warsza-

wą. Wszystkie te aktywności i zabawy pozwalały dzieciom na dłuższe spotkania, ułatwiały wzajemne poznanie i dawały okazję do zawarcia przyjaźni. Nasza szkoła emigracyjna spełniała więc, oprócz funkcji oświatowej bardzo ważną funkcję wychowania obywatelskiego, czyli po prostu współżycia z ludźmi, a tego z książki nauczyć się nie można. Ale można i należy zdobywać tę umiejętność przez naśladowanie innych, przeważnie starszych, jak np. rodziców.

Rodzice na Devonii dawali pod tym względem jak najlepszy przykład swoim dzieciom w pracy społecznej. Przed każdą imprezą matki szyły kostiumy a ojcowie sprawdzali stan sceny teatralnej, świateł, dekoracji itp., a w czasie przedstawienia obsługiwali maszynię produkującą efekty świetlne i dźwiękowe. Po spektaklu rodzice zapraszali widzów i wykonawców na podwieczorek, na którym podawano ciasta i torty matczynych wypieków, podczas gdy ojcowie dopełniali kubki herbatą lub lemoniadą. Na Devonii nigdy chyba nie zabrakło chętnych do pomocy!

Może właśnie dlatego, gdy pewnej soboty zachorował nagle nauczyciel w jednej z młodszych klas i kierowniczka poprosiła mnie o przejęcie jego funkcji, nie mogłem odmówić. Dostałem klasę dwanaściorga dzieci (chłopców i dziewczynek) w wieku lat dziewięciu. Lekcje zaczęliśmy od dyktanda i czytania na głos. Obydwie próby zgodnie wskazały, że poziom znajomości języka polskiego jest bardzo nierówny wśród moich uczniów. Postanowiłem, że przy najbliższej okazji zawiadomię o tym wyniku zainteresowanych rodziców, a na razie powiedziałem dzieciom, że oprócz lekcji polskiego będziemy mieli historię i geografię Polski i że wszystkie trzy przedmioty są bardzo ważne, specjalnie dla tych, co chcą do Polski pojechać z rodzicami na wakacje. Z miejsca zrobiłem lekcję historii i geografii, aby się zorientować który przedmiot jest najciekawszy dla moich uczniów i okazało się, że geografia z dodatkiem geologii, przyrody, sportów itp. Dowód tej próby był oczywisty: należy zainteresować dzieci przedmiotem... ale jak? W wypadku języka polskiego sprawa rozwiązała się samorzutnie — choć przez zwykły przypadek. Mianowicie, dostałem od dawnego Kierownika Szkoły „Szopkę Krakowską”, którą on sam zrobił (przy pomocy swych uczniów) i kilka lat temu dał przedstawienie polskich jasełek na zakończenie pierwszego trymestru (w połowie grudnia). Jasełka cieszyły się wielkim powodzeniem i kierownik uważał, że dorosło już następne pokolenie potencjalnych widzów.

Moi uczniowie zaaprobowali ten pomysł i zabrali się do odrestaurowania szopki i do uzupełnienia garderoby kukiełek, w czym pomagali dzielnie rodzice i starsze rodzeństwo. W międzyczasie, aktorzy ćwiczyli swe podwójne role ożywienia kukiełek własnymi palcami i własnym głosem. Aktorów wybrałem tylko pięciu, tych z najlepszą dykcją i z talentem komicznym, więc na pozostałą siódemkę uczniów spadły skromniejsze funkcje muzykantów, śpiewaków, malarzy afiszów i programów itp. zakulisowych pomocników. Ale wszyscy byli przekonani o ważności swoich funkcji, w czym ich utwierdzałem, chwalać ich wyczyny artystyczne. Po kilku tygodniach „generalnych” prób zaprosiliśmy całą Szkołę (razem z rodzicami) w ostatnią sobotę pierwszego trymestru i rzecz wypadła tak dobrze, że ktoś z Koła Rodzicielskiego zaprosił cały zespół do powtórzenia jasełek na „Opłatku” Koła Rodzicielskiego w styczniu.

Sukces jasełek pomógł bardzo moim młodocianym aktorom w przewyciężeniu tremy i nabraniu odwagi do dalszych występów, ale już we własnej osobie. Nie zabrakło więc ochotnych aktorów do wystąpienia w inscenizacji „Iwowskiej” ballady o „Nieszczęśliwej miłości panny Franciszki” i do krótkiej dwuaktówki patriotycznej na zakończenie roku szkolnego.

Wydaje mi się, że przez poznanie teatru od praktycznej, aktorskiej strony, moi uczniowie przekonali się również, że ich język ojczysty nie jest aż tak uroczyście poważny, jak im się wydawało. Dotychczas bowiem słyszeli tylko jeden, specjalny gatunek polskiego, tzn. ten jakim przemawiały trzy główne Autorytety: Kościół, Dom rodzicielski i Szkoła polska. Wszystkie trzy mówiły najczęściej o obowiązkach i przypominały dzieciom, że zaniedbanie tych obowiązków grozi karą. Teraz, na próbach teatralnych, usłyszały, że język polski jest nie tylko językiem przykazałów i zakazów lecz bywa również, językiem zabawy, czasem nawet zabawy szalonej, bez reguł i z błazeńskimi wygłupami, jak to robią słynni komicy w swoich programach telewizyjnych. Nie jest więc język polski gorszy pod żadnym względem od angielskiego.

Nie chcę sugerować, że właśnie w ten sposób moi uczniowie odkryli równowartość polskiego z angielskim, ale próbuję wyjaśnić dlaczego zmieniło się ich nastawienie do języka polskiego. Po trzech latach nauki zaczęły znikać okropne błędy ortograficzne, stylistyczne i znaczeniowe z wypracowań domowych. Nauka polskiego zaczęła być traktowana poważnie. Oczywiście jest zupełnie możliwe, że te zmiany nastąpiły w wyniku presji Rodziców, którzy po prostu kazali się uczyć

i pilnowali aby zadanie domowe zostało napisane i oddane do oceny. Jeśli rzeczywiście tak się rzeczy miały to gotów jestem przyznać wyższość rodzicielskiej dyscyplinie nad każdym innym systemem wychowania. Zresztą sam byłem wychowany w takim systemie za dawnych przedwojennych czasów i nie uważam się z tego powodu za poszkodowanego ani za nieszczęśliwego. Oczywiście byłem bardzo zadowolony z postępów moich uczniów i miałem nadzieję, że w ciągu następnych dwóch lat doprowadzę ich do małej matury, ale niestety Kierowniczką miała inne plany i w międzyczasie wyznaczyła mi przygotowanie innej, starszej klasy do dużej matury. Wiedziałem, że decyzja Kierowniczki jest pewnego rodzaju awansem, więc nie wypadało mi nic innego zrobić jak przyjąć nowe zadanie z podziękowaniem.

Przygotowanie do dużej matury było kursem dwuletnim, który miał umożliwić uczniom zdobycie bogatszego słownictwa i operowania nim w sposób gramatycznie bezbłędny i stylistycznie gładki. Wzorem do naśladowania były tu utwory literatury polskiej, wybrane przez egzaminatorów jako lektura obowiązkowa. Pełna lista obejmowała 8 książek należących do czterech różnych gatunków literackich: 1) Poezja, 2) Powieść, 3) Nowela, 4) Dramat (sztuka teatralna). Decyzja należała do prowadzącego kurs więc wybrałem: 1) *Pana Tadeusza* Mickiewicza, 2) *Listy Nikodema Dobraczyńskiego*, 3) *Latarnika i Wspomnienie z Maripozy* Sienkiewicza i 4) *Ptaka Szaniawskiego*. W wyborze lektury brałem pod uwagę ładunek intelektualny i emocjonalny każdego utworu i pilnowałem aby nie przekraczał zdolności 15-letnich podrostków i dlatego np. z działu poezji wybrałem raczej *Pana Tadeusza* niż *Treny* Kochanowskiego. Tym niemniej *Pan Tadeusz* w otoczeniu reprezentantów innych gatunków literackich, okazał się lekturą lingwistycznie najtrudniejszą. Nie ulegało więc wątpliwości, że nie mogę oczekiwać od moich uczniów samodzielnego przeczytania poematu i aby dać im szansę powodzenia musimy go czytać razem na lekcjach.

Odbywało się to w ten sposób, że po przeczytaniu na głos kilkunastu wierszy (linijek) przystawałem na chwilę i dawałem uczniom krótszą i łatwiejszą parafrazę przeczytanego odcinka, równocześnie wyjaśniając np. dlaczego polski poeta, piszący po polsku, mówi o Litwie „Ojczyzno moja”. Otóż dla tego samego powodu, dla którego kilku znanych pisarzy piszących po angielsku nie nazwałoby nigdy Anglii „Ojczyzną”, bo byli Szkotem, Walijszczykiem lub Irlandczykiem! Po takim wyjaśnieniu faktycznie dochodziły rozważania co do głębszych tajemnic tekstu: dlaczego np. Mickiewicz opowiada historię jakiegoś młodego człowieka (Tadeusza) i opowiada ją wierszem. Otóż chodzi, o to, że Mickiewicz pamięta takich ludzi jak Tadeusz i innych, o których pisze. Pamięta ich wszystkich ze swych młodych lat, gdy podobnie jak Tadeusz, przyjeżdżali do domu na wakacje. Teraz, w roku 1832–1834, mieszkając na wygnaniu w Paryżu, tęskni za Litwą i za tymi ludźmi, więc myśli o nich ze wzruszeniem. A u poety wzruszenie zawsze układa mu słowa w regularny rytm i łączy je rymem i puszcza je, jak tancerzy, parami. Ten taneczny ruch słów nazywa się Poezją, która pochodzi wprost z tęsknoty za Ojczyzną i jest wewnętrznym, ukrytym motorem akcji *Pana Tadeusza*. Ale widocznymi, ruchomymi częściami poematu są trzy wątki: 1) wątek miłosny, czyli romans młodego, niespełna 20-letniego Tadeusza z dojrzałą kobietą, Telimeną, a potem jego miłość do młodzianki Zosi, 2) wątek społeczny, czyli historia zatargu między dwoma rodzinami szlacheckimi, Horeszków i Sopliców, której punktem kulminacyjnym jest zajazd na Soplicowo, 3) wątek polityczny, czyli sytuacja na Litwie i w samym Soplicowie na kilka miesięcy przed wyprawą Napoleona na Moskwę, na wiosnę 1812 r. Stąd też tytuł poematu jest potrójny: *Pan Tadeusz czyli ostatni zajazd na Litwie — Historia szlachecka z r. 1811 i 1812, w dwunastu księgach wierszem*.

Przy czytaniu *Pana Tadeusza* przypominałem swoim uczniom szczegóły historii politycznej sięgając aż do rozbiorów Polski. Poza tym każdy uczeń dostał krótkie szkice: 1) charakterystyka głównych postaci w *P.T.*, 2) Pierwiastek epicki i liryczny w *P.T.*, 3) Opisy przyrody w *P.T.*, jako „zwierciadło” emocji i poczynań ludzkich w *P.T.* Wszystkie te „pomoce naukowe” zredagowałem następnie w języku angielskim dla ułatwienia powtórki przedegzaminacyjnej.

Tu należy zaznaczyć, że pytania egzaminacyjne stawiano w języku angielskim i oczekiwano odpowiedzi w tym samym języku. Uczeń mógł, jeśli wolał, odpowiadać w języku polskim, ale nie mógł oczekiwać, że zyska w ten sposób dodatkowe punkty. (Żaden z moich uczniów nie miałby ochoty na taką próbę.)

Pozostałe trzy obowiązkowe lektury nie wymagały dłuższych analiz literackich (ani żadnych innych) więc moi uczniowie nie mieli zbyt wielkich trudności w odkryciu pobożnych, dobrych chęci Dobraczyńskiego, uprzejmie pomocnego symbolizmu u Szaniawskiego i pozytywnie

współczującego serca u Sienkiewicza. Na pewno też oddali dobrze zrobione tłumaczenie z języka polskiego na angielski (i odwrotnie) bo wszyscy ośmioro zdali egzamin.

Wyniki ogłoszono z końcem sierpnia, a miesiąc potem rozpoczęliśmy drugi, dwuletni kurs maturalny. Ten kurs i następne dwa lata były moimi końcowymi latami w szkole, bo w 1986 przenieśliśmy się na stałe do Devonu.

To nie przeszkadzało, że przy okazji każdego wyjazdu do Londynu odwiedzałem mych znajomych na Devonii, a z niektórymi utrzymuję do dziś luźny kontakt listowy. Poza tym nasza córka (a równocześnie i moja uczennica z kursu maturalnego na Devonii) spotyka się kilka razy na rok ze swymi dwoma koleżankami ze Szkoły Polskiej i przez tę znajomość też mam dodatkowe wiadomości jak się powiodło moim uczniom w życiu.

Nasza córka i jej dwie koleżanki ukończyły uniwersytet, wyszły za mąż i pracują na dobre płatnych stanowiskach w bankach londyńskich. Co do reszty „Devończyków” to jest między nimi: doktor medycyny, mechanik samochodowy, subiekt (w bardzo eleganckim magazynie) nauczyciel, dziennikarz, zawodowy sportowiec (siatkarz) i policjant. Najciekawszą karierę zrobili jednak dwaj bracia, którzy z dwoma wynajętymi ciężarówkami uruchomili przewóz towarów między Polską a Anglią i dziś mają świetnie funkcjonującą firmę transportową. Ci dwaj młodzi ludzie są jedynym znanym mi przykładem kariery życiowej na wzór amerykański, gdyż nie ryzykując większego kapitału i pracując po kilkanaście godzin na dobę, mogli oferować swym klientom szybszy i tańszy przewóz towarów niż ktokolwiek inny. Ich koledzy podziwiali pracowitość i spryt dwóch braci, ale nikt nie próbował nawet ich naśladować.

Większość, po zdaniu matury, dostała się na uniwersytet albo do szkół zawodowych i z dyplomem w rękę znaleźli prędzej czy później odpowiednią pracę. Do tej grupy należała nasza córka Klara, która jak już wspomniałem dostała pracę w banku i bardzo sobie ją chwaliła, specjalnie ze względu na zarobek.

Wszyscy ci młodzi ludzie znali się ze sobą doskonale, bardzo często jeszcze z dawnych harcerskich zbiórek na Devonii, więc mając teraz czas wolny od nauki i presji egzaminów zaczęli znów spotykać się, nie w żadnym specjalnym celu organizacyjnym czy patriotycznym ale najzwyczajniej koleżeńskim.

Spotkania odbywały się nieregularnie na spontaniczne zaproszenie (telefoniczne) kogoś kto miał ochotę pogadać i wypić w towarzystwie przyjaciół. Skład ilościowy i jakościowy zebranych nigdy nie był znany dokładnie, bo zaproszeni mogli przyjść w towarzystwie kolegi czy koleżanki, co dawało okazję do nawiązania ciekawych znajomości z osobami o podobnych zainteresowaniach. W wypadku naszej Klary i Lucy Pitman zainteresowanie było jedno i to samo, mianowicie teatr, co więcej, nie tylko od strony widowni ale przede wszystkim od strony kulisów. Marzeniem Lucy i Klary było wystawić samodzielnie cykl nowoczesnych sztuk z repertuaru tzw. „Teatru Absurdu” z Beckettem i Ionesco jako głównymi przedstawicielami. Dowiedziawszy się o tym od Klary zaproponowałem nieśmiało Gombrowicza jako polskiego reprezentanta a jego *Ślub* jako najlepszą sztukę do wystawienia. Projekt został przyjęty i cała seria została wystawiona z wielkim powodzeniem przez zespół finansowany przez Lucy i Klarę. *Ślub* Gombrowicza był dodatkowo potraktowany z wielkim szacunkiem gdyż jako angielska prapremiera został nagrany na taśmę kinematograficzną i zdeponowany w archiwum teatralnym w 1994 r.

Zestawienie *Ślubu* z obiektem archiwalnym zabrzmiało dziwnie, ale dzięki temu uzmysłowiłem sobie nagle jak szybko czas mija i że za dwa lata mogę być jubilatem jeślibym zechciał obchodzić uroczystości 50. rocznicę pobytu na emigracji. Oczywiście do tego nie doszło gdyż w ciągu tych lat traciłem powoli i niepostrzeżenie status emigranta politycznego.

Pierwszym i decydującym krokiem było przyjęcie obywatelstwa brytyjskiego i zrzeczenie się polskiego, co klasyfikowało mnie jako odszczepieńca, lub gorzej, zdrajcę. Muszę przyznać, że nigdy tak źle o sobie nie myślałem, prawdopodobnie dlatego, że wszyscy koledzy i znajomi, którzy wybierali się z wizytą do rodzin w Kraju też się tak politycznie zakamuflowali, aby ułatwić sobie wjazd i wyjazd z Polski. W ogóle ruch turystyczny między Polską a Anglią kwitnie jak chyba nigdy przedtem, a dzięki młodemu, powojennemu pokoleniu noszenie męczeńskich aureoli wyszło z mody.

Październik, 1999.

Zdzisław Kosiński (W. Brytania)

JAK POWSTAWAŁA KSIĄŻKA JANTA. CZŁOWIEK I PISARZ

„Takie były zabawy, spory w one lata...”
Mickiewicz, *Pan Tadeusz*

W Zeszytcie 2. Archiwum Emigracji (1999) ukazały się dwa teksty pióra Róży Nowotarskiej: „Pan Aleksander. Aleksander Janta-Potczyński (1908–1974)” (s. 210–217) i „Pisany pomnik dla Aleksandra Janty (Wywiad telefoniczny z prof. Tymonem Terleckim)” (s. 217–219). Żaden z nich nie wspominał słowem o fakcie, że esej autorki, datowany 1977, został następnie za jej zgodą przedrukowany w antologii *Janta. Człowiek i pisarz* (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1982), ani o tym, że omawiany przez prof. Terleckiego pomysł wydania takiej antologii został przeze mnie zrealizowany, co może czytelnikowi sugerować, że istotnie, książka ukazała się pod redakcją Terleckiego. Sądzę, że sprawa ta zasługuje na wyjaśnienie jako może drobny, ale charakterystyczny przyczynek do historii wydawnictw emigracyjnych, a tym samym kwalifikuje się do omówienia w Archiwum Emigracji.

Pomysł przygotowania książki o Jancie zrodził się wkrótce po jego śmierci wśród licznych przyjaciół, a prof. Terlecki przy pomocy Adama i Jadwigi Tomaszewskich z Toronto rozpoczął szerokie zbieranie materiałów, przy czym, między innymi, zwrócił się także do mnie z propozycją napisania tekstu o twórczości zmarłego pisarza. Jantę znałem przelotnie, z kilku spotkań na konferencjach naukowych, nie należałem do grona jego bliskich, z którego Terlecki głównie rekrutował autorów do swojej antologii. Nie uważałem się też za specjalistę ani w dziedzinie poezji ani reportażu, stanowiących zręb prac Janty, chętnie jednak zgodziłem się napisać o jego prozie i w rezultacie przygotowałem esej pt. „Lustro. O beletrystyce Janty”. Wobec zarysowującej się coraz wyraźniej perspektywy rezygnacji z projektu wydawnictwa esej ten zamieściłem w krakowskim kwartalniku „Ruch Literacki” (1979), z którym w tym czasie współpracowałem, i uznałem sprawę za zakończoną.

Zaszły tymczasem zmiany zgoła zasadnicze. Wskutek braku zgody wdowy po pisarzu, Walentyny Janta, na proponowaną przez Terleckiego formę antologii, ogłosił on w „Wiadomościach” decyzję wycofania się z projektu, co zdawało się przekreślać nadzieje na ukazanie się wydawnictwa. Nie zrażona tym pani Janta powierzyła kopie zebranych przez Terleckiego tekstów dr Michałowi Sprusińskiemu, naczelnemu redaktorowi Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, który przebywał wtedy pod jej dachem w Stanach Zjednoczonych porządkując spuściznę po pisarzu i projektował wydanie jego utworów w Warszawie. W październiku 1978 r. Sprusiński przyjechał do Columbus, Ohio, na krajowy zjazd American Association for the Advancement of Slavic Studies, a kiedy spośród setek rusycystów jak zwykle dominujących w tym stowarzyszeniu, wyłowiliśmy kilkunastu polonistów i zaprosili do nas na kolację, zgoła niespodziewanie zaproponował mi w imieniu pani Jantowej podjęcie się wydania antologii. Nie znam do dzisiaj motywów tej decyzji, podejrzewam jednak, że Sprusiński, zajmując w Warszawie eksponowane stanowisko obawiał się, że może nie uzyskać zgody na druk nadesłanych Terleckiemu prac od autorów przede wszystkim emigracyjnych, z których wielu zachowało w stosunku do współpracy z ośrodkami w kraju postawę nieprzejednaną. Miałem już wtedy pokaźny dorobek naukowy na amerykańskim rynku, pisywałem do „Wiadomości” i „Kultury”, miałem, jak się to mówi, nazwisko na tyle znane na emigracji, że można nim było firmować poważne przedsięwzięcie wydawnicze. W październiku 1978 r. Sprusiński pisał do mnie:

Spieszę podziękować za niezwykle dla mnie miłe dni w Columbus i za wieczór w domu Państwa [...] Pani Wala ucieszyła się niezmiernie wieścią, iż rzecz ową poprowadzi Pan do wydawniczego finału. Ja obecnie kompletuję ten cały blok do dokonania przez Pana Profesora wyboru.

A w grudniu kontynuował:

W osobnej paczce przesyłam na ręce Pańskie materiały do księgi o życiu i twórczości Aleksandra Janty. Rzec całą rozpoczął Tymon Terlecki ale tekst przez niego przedstawiony wzbudził pewne zastrzeżenia pani Jantowej — wydawczynie książki. Szło o to, abyśmy nie mieli jeszcze jednej banalnej opowieści rozpisanej na głosy, ale obraz wszechstronny. Zastrzeżeń pani Jantowej prof. Terlecki nie uznał i po ogłoszeniu odpowiedniego listu na łamach Wiadomości sprawę zakończył zachowując jednakże oryginały tekstów. Ten zarys, który Panu przedkładam pod łaskawe rozważenie i dokonanie wyboru różni się istotnie od wersji pierwotnej.

Nie trzeba dodawać, że „obróbka redakcyjna” tekstów, dokonana najpierw przez prof. Terleckiego, następnie zaś przez dr Sprusińskiego, spowodowała, że „różniły się one od wersji pierwotnej” (której nie otrzymałem do wglądu) zgoła zasadniczo, co następnie spowodowało niezadowolenie kilku autorów. Na razie jednak, odpisując na list pani Jantowej, zastrzegłem się pisząc 20 grudnia 1978 r.:

Jak mówiłem p. Wantule i dr Sprusińskiemu chętnie podejmę się przygotowania pracy dla PFK pod tym jednak warunkiem, że prof. Terlecki wyrazi swą zgodę na podjęcie przeze mnie Jego inicjatywy i wykorzystanie zebranych przez Niego materiałów. Wierzę, że nie sprzeciwi się temu projektowi, byłoby bowiem ogromną stratą dla kultury polskiej w ogóle, a dla pamięci Aleksandra Janty w szczególności, gdyby trud włożony w przygotowanie księgi mającej upamiętnić jego dorobek przepadł z powodu różnic koncepcji wydawniczej. Z tą też nadzieją pozwalam sobie dołączyć kopię niniejszego listu do listu, który dziś kieruję do prof. Terleckiego.

Wierzyłem w pozytywne rozwiązanie sprawy, tym bardziej, że w odpowiedzi pani Jantowa zawiadamiła mnie, iż prof. Terlecki „w ostatnim liście do mnie życzył mi powodzenia w wydaniu książki”. Niestety już w kwietniu 1979 r. musiałem napisać do niej:

Z prawdziwą przykrością zawiadamiam, że ani prof. Terlecki ani pp. Tomaszewscy nie wyrazili swojej zgody na wykorzystanie zebranych przez nich materiałów do projektowanego wydawnictwa o Aleksandrze Jancie. W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak tylko odesłać Pani przekazane mi w grudniu ub. r. materiały, co zrobię w przyszłym tygodniu. Żal mi naprawdę, że tyle dobrej woli, wysiłku i pracy tak wielu ludzi pójdzie w ten sposób na marne, nie widzę jednak w tej chwili innego wyjścia z zaistniałej sytuacji. Mogę mieć tylko nadzieję, że może ktoś kiedyś podejmie się przygotowania nowego zbioru prac, by w ten sposób utrwalić pamięć wielkiego dorobku pisarza.

Wdowa po Jancie nie ustawała jednak w wysiłkach, żeby zamiar swój doprowadzić do pożytecznego końca. W sierpniu 1979 r. pisała:

Nadal mam nadzieję, że książka wyjdzie pod Pana redakcją, pamiętam bowiem naszą rozmowę w Instytucie Naukowym po Pana odczycie; powiedział mi Pan wtedy, że książka ta powinna wyjść. Myślę także, że autorzy zgodzą się na zamieszczenie ich esejów, gdyż pisali je nie dla prof. T. Terleckiego, ale dla i o Aleksandrze.

Odpowiedziałem po krótkim namyśle, we wrześniu tegoż roku:

Uprzejmie dziękuję za list z 28 sierpnia br. i za załączone materiały. Wydaje mi się, że proponowane przez Panią listy do autorów prac do księgi zbiorowej powinny pozwolić nam na ostateczną decyzję wydania i ewentualnego charakteru książki — jeżeli uda nam się uzyskać odpowiednią ilość pozytywnych odpowiedzi, będziemy wiedzieli jakim dysponować materiałem i jak go ułożyć. W dalszym ciągu podtrzymuję moją gotowość podjęcia się redakcji książki pod tym tylko warunkiem, że autorzy prac zgodzą się na zamieszczenie ich w nowej redakcji.

W trzy miesiące później p. Jantowa donosiła: „Napisałam listy do autorów z oryginalnego spisu i na ogół dostałam pozytywne odpowiedzi”, co wywołało z mojej strony reakcję mniej entuzjastyczną:

Od czasu Pani wizyty miałem już parę listów z Londynu, jeden z nich z ostrzeżeniem, bym nie wstępował w szranki z prof. T., inny od niego samego z b. nieprzyjemnym

listem p. Tomaszewskiego, przestałem jednak przejmować się już tymi sprawami. Piszę o nich dlatego tylko, że nie spodziewam się, aby którykolwiek z nich zgodził się na umieszczenie jego prac w nowej książce [...]. Byłym wdzięczny za wiadomość, czy otrzymała Pani w międzyczasie jakieś nowe listy z wyrażeniem zgody na druk, te bowiem prace, na które zgody nie otrzymamy, będę musiał niestety wyeliminować, nie chcąc narażać się na zarzuty, które nasi antagoniści skwapliwie gromadzą.

A w miesiąc później, w lutym 1980 r., przesyłając przygotowany do druku maszynopis pisalem:

Zakwalifikowałem do druku tylko i wyłącznie prace tych autorów, którzy wyrazili swą zgodę na ich zamieszczenie. Dotyczy to także prac przedrukowanych z „Wiadomości”, na co mam zgodę p. Kossowskiej. Wobec ciągłych i nadal bardzo nieprzyjemnych listów prof. Terleckiego i p. Tomaszewskiego nie chcę narażać ani Pani ani siebie na jakiegokolwiek zarzuty użycia prac bez wyraźniej zgody ich autorów. Jeśli nawet w ten sposób stracimy kilka rzeczy wartościowych uchronimy się od poważnych nieprzyjemności [...]. Prace odrzucone składają się bądź z tych, na które brak zgody autorów, bądź też zgody na przedruki ich prac, jak np. w przypadku drukowanych w „Tygodniu Polskim”. Z zalem wolę z nich zrezygnować niż narażać się na zarzuty pirackiego przedruku czy pretensji ze strony ew. spadkobierców. Do tej samej grupy odeszły prace stronników prof. Terleckiego, którzy zgody nie tylko nie wyrazili, ale byłiby z pewnością przeciwni użyciu ich esejów.

Maszynopis książki wysłany został do Polskiej Fundacji Kulturalnej w początku marca 1980 r., nie oznaczało to jednak zakończenia kłopotów redakcyjnych. Tak na przykład jeden z autorów, Ram Gopal, stanowczo sprzeciwił się skróceniu jego przydługiego artykułu, co spowodowało długą korespondencję, a w rezultacie decyzję wyeliminowania tej pracy. Resztę roku zajęła korespondencja z drukarnią, dopilnowanie rozesłania poszczególnym autorom korekt ich prac a następnie sprawdzenie ich poprawek czy uzupełnień, czytanie korekty redaktorskiej, wyglądanie szczegółów, jednym słowem normalny proces wydawniczy, o tyle tylko utrudniony, że autorzy rozrzucony byli po wielu krajach, często niepunktualni, nieraz kapryśni, najczęściej jednak zadowolony, tak że już w początkach lutego 1981 r. mogłem napisać do pani Jantowej:

Miło mi donieść Pani, że w wielu listach od autorów otrzymałem ciepłe słowa wdzięczności, że książka mimo wszystkich kłopotów zostanie wydana, przekazuję je więc pod Pani adresem, Pani bowiem należą się komplementy i wyrazy uznania za Jej trud, wytrwałość i szlachetny upór.

Obszerna, licząca 364 strony książka, zawierająca prace ponad pięćdziesięciu autorów i szereg fotografii, ukazała się w początkach lutego 1982 r. i w latach następnych doczekała się wielu pozytywnych recenzji. Chcąc podsumować burzliwe dzieje jej powstania napisałem we wstępie:

Inicjatywa wydania pracy zbiorowej o Aleksandrze Jancie, człowieku i pisarzu, wyszła przed paru laty od prof. Tymona Terleckiego. Jego też staraniom, wysiłkowi i pieczołowitości większość zamieszczonych tu tekstów zawdzięcza swój pierwotny kształt. Nim jednak zbiór esejów o Jancie poszedł do druku, inicjator i pierwszy jego redaktor zrezygnował z dalszej pracy nad książką. Zdawało się, że wysiłek licznych autorów, którzy pragnęli utwalić postać pisarza w formie żywotniejszej niż rozproszone po czasopiśmie artykuły, pójdzie na marne, te zaś, które napisano specjalnie do zbioru, pozostaną w rękopisie. I tylko wytrwałej wierze w konieczność wydania pracy zbiorowej i uporowi pani Walentyny Janta zawdzięczać należy fakt, że ukazują się one pod wspólną okładką.

Piszący te słowa podjął się ponownego ich zgromadzenia na prośbę wdowy po pisarzu i za zgodą autorów, wierząc, że utrwalenie drukiem wspomnień, wrażeń i uwag o wybitnym pisarzu i niezwykłym człowieku ważniejsze jest niż różnice zdań, które z czasem idą w zapomnienie, podczas gdy wyraz zbiorowej pamięci zostanie na zawsze.

Dzisiaj, po dwudziestu latach, wierzę w to równie mocno jak wtedy.

Jerzy R. Krzyżanowski (USA)

ZE WSPOMNIENIA ASESORA SĄDU POLOWEGO

I. Świńska sprawa

Przy via Panisperna w Rzymie był Dom Żołnierza. Prócz pomieszczeń dla urlopowiczów, a tych nie brakło, była tam obszerna kuchnia. Piszę obszerna, bo wojakom 2. Korpusu apetyt dopisywał, a nie każdego stać było na obiad czy kolację we włoskiej osterii czy pizzerii, więc szef kuchni musiał dbać o to, by mieć gotowy zestaw tanich, lecz jakościowo wysoko gatunkowych, bo subwencjonowanych, potraw. Amatorów nie brakło. Nie przypominam sobie, by jadalnia kiedykolwiek ziała pustką, a mogłem to ocenić, bo — jeśli nie w tym samym — to sąsiednim budynku, ale o dwa piętra wyżej, mieściło się Biuro Dokumentów, w którym pracowałem, nadto ze względu na częste odwiedziny kolegów z linii, z którymi tam właśnie, na obszernym dziedzińcu przekształconym w jadalnię, przy kawie czy winie gwarzyłem.

Dodać też należy, bo to zaważy na całej sprawie, jaką mam zamiar opisać, że w tym samym budynku, na pierwszym piętrze, mieścił się posterunek żandarmerii, przed którym, ale to z całkiem innej, nie świńskiej, okazji miał miejsce incydent o wymiarze międzynarodowym, który wiele lat temu opisałem w londyńskich „Wiadomościach”¹. Zdarzyło się bowiem, że kapral Januszko² rzucił się samotrzeć na pochód komunistyczny, właśnie na via Panisperna, wydarł chorążemu czerwony sztandar, strzaskał drzewce na kolanie i umknął ze swą zdobyczą do Domu Żołnierza, który natychmiast zamienił się w twierdzę obleganą przez komunistów. Brytyjska żandarmeria, zawezwana przez polską, brytyjskim obyczajem wypracowała kompromis, a będąca pod sojuszniczą kontrolą prasa włoska wspominała tak półgębkiem o „drobnym incydencie” spowodowanym przez *un sottoufficiali polacco*.

To tylko dygresja mająca na celu: a) określenie miejsca wydarzenia; b) uwiecznienie incydentu obrazującego ideologiczne zmagania 2. Korpusu z komunizmem włoskim. C z a s: chyba lato 1945 a może wiosna 1946, bo pamiętam, że świadek, który się stawił przed sądem był solidnie spocony, a że to było po wojnie wynika z faktu, że oskarżonym był oficer, podporucznik, a może porucznik rezerwy, który przybył z oflagu w Murnau, a więc było już po wojnie. Poznaniak, były właściciel restauracji, a więc trudno by było znaleźć bardziej kompetentnego szefa kuchni Domu Żołnierza. Istotnie jednak bohaterem czy bohaterką tego niewinnego przyczynku do historii sądownictwa 2. Korpusu była świnia. Ścisłe mówiąc to co z niej zostało: szynka, kielbasa, salceson i tym podobne przysmaki, którymi obdzielono — po cenach mocno niższych, można powiedzieć konkurencyjnych — załogę Domu Żołnierza, a też poniekąd wyżej stojących... ale nie uprzedzamy faktów, bo smaczek całej sprawy tkwi tam właśnie wyżej, jak i we wspomnianym posterunku żandarmerii.

Zaznaczyć muszę, że to co opisuję odtwarzam z pamięci. Swego czasu powiedziano mi w Instytucie Polskim i Muzeum im. Gen. Sikorskiego w Londynie, że akta sądów polowych znajdują się w archiwach brytyjskich i że dostęp do nich jest raczej trudny, więc nie usiłowałem dotrzeć do tych dokumentów, tym bardziej, że moje asesowanie, w co najmniej pięciu — jeśli dobrze pamiętam — sprawach, było dla mnie zajęciem niewątpliwie interesującym, lecz ubocznym. Upływ czasu, jak też „starość nie radość”, spowodowały, że wiele nazwisk wyleciało mi z pamięci. Z tej „świńskiej sprawy” zapamiętałem jedynie nazwisko „świadka” oskarżenia, a że w tym charakterze odegrał niezbyt chwalebny rolę, użyję zastępczo określenia „pułkownik Dwururka”.

Przyznaję, że mi się z miejsca naraził tymi złotymi gwiazdkami na naramiennikach. Była taka moda u pancerniaków, by złoto uzyskane z przemytu brytyjskich funtów sterlingów, przekuwać na oznaki stopni oficerskich, co uważałem za szkodliwą fanfaronadę. Ponadto zjawił się ze *stick*’iem pod pachą, takim krótkim kijem używanym przez oficerów brytyjskich, ale nie przewidzianym

¹ K. Zamorski, *Arena*, Wiadomości 1964 nr 17 (943) s. 2.

² Nazwisko przybrane.

w żadnym regulaminie polskim dotyczącym wyposażenia oficerskiego. I jeszcze jedno: jak już wspominałem, był spocony i wyraźnie zmęczony, z miejsca też zaczął się oglądać za jakimś krzesłem. „Czy mogę usiąść?” — zapytał. „Przed sądem wojskowym ma prawo usiąść jedynie Prezydent Rzeczypospolitej i Wódz Naczelny”, osadził go — ku memu starannie ukrywanemu zadowoleniu — przewodniczący sądu, major audytor, też chyba były jeniec Murnau.

Pułkownik Dwururka był szefem Dobrobytu Żołnierza, czyli instancji, której podlegał Dom Żołnierza, i w tym charakterze miał świadczyć w sprawie karnej o... Tu było zagadnienie kwalifikacji czynu i sam przewodniczący sądu wołał wstrzymać się od określenia przewinienia do zakończenia przewodu. Z meldunku komendanta posterunku żandarmerii, tego w Domu Żołnierza, wynikało, że z odpadków kuchennych utuczono tam świnie, którą zarżnięto, a uzyskane w ten sposób wędliny rozdzielono po śmiesznie niskich cenach wśród oficerów i podoficerów Domu i Dobrobytu Żołnierza. A przecież świnia była swego rodzaju dobrem powszechnym, tak argumentowała żandarmeria, więc te wędliny należało udostępnić wszystkim korzystającym z kuchni żołnierskiej.

Oskarżony, ten porucznik, zachowywał się dziwnie pokornie. Nie przeczył, że zarżnięto, rozdzielono, tak, sam też skorzystał z okazji. Jego obrońca, dobrze go znałem, mieszkaliśmy w tym samym hotelu, widzę go, pisząc te słowa, porucznik rezerwy, autentyczny adwokat w cywilu, bił na kwalifikację czynu. Gotów bronić oskarżonego, ale chce wiedzieć, czy tu chodzi o kradzież, oszustwo, sprzeniewierzenie, nadużycie władzy?

Przewodniczący nie spieszył się z kwalifikacją. Miał dwóch asesorów, spojrział pytająco w pierw na mego towarzysza, ten pokręcił głową na znak niewiedzy, więc zwrócił się do mnie i wtedy wyrwało mi się: „to świńska sprawa”. Bo przypominał mi się klasyczny casus z wykładów prawa karnego, kiedy dwaj przyjaciele wstają od stołu w lokalu i X zostawia złotówkę dla kelnera, którą ten drugi przesuwa na miejsce, przy którym siedział. Kwalifikacja czynu: żadne przestępstwo, żadna kradzież czy oszustwo, całkiem zwyczajne świństwo. Z miejsca też podchwycił to obrońca, starając się wykazać, że ze względu na swą znikomą wagę, ta „świńska sprawa, jak to określił pan asesor”, nie powinna być przedmiotem karnego dochodzenia i to przed sądem polowym.

Zdarzają się fakty, o których filozofom... Właśnie w trakcie wywodów obrońcy spojrziałem na dokumenty, które przewodniczący sądu wydobyl ze swej teczki i rozłożył na stole. Obok meldunku żandarmerii, był spis osób uprzywilejowanych w zakupach wędlin. Zdębiałem! Pod pozycją 1: pułkownik Dwururka. Nie pamiętam, ile tam tej szynki czy kiełbas mu przydzielono, względnie sam sobie przydzielił, gdyż — wprost nie do wiary! — wykaz podpisał nie kto inny tylko on, zeznający tu w charakterze świadka. Zaraz też zwróciłem się do przewodniczącego sądu, by go ostrzegł, że ma prawo odmówić ewentualnie obciążających go zeznań, bo istnieje możliwość, iż zostanie oskarżonym.

Do dziś nie znajduję usprawiedliwienia dla faktu, że: a) w posiadaniu sądu znajdował się dokument, który więcej niż jasno określał winnego przestępstwa — jeśli to było przestępstwem, klasyfikacja jest w tym kontekście obojętna — i sądnie zapoznał się z tym istotnym „załącznikiem”, godząc się tym samym na oskarżenie niewinnego i narażając się na kompromitację; b) dokumentów sprawy nie udostępnilo obronie przed rozpoczęciem przewodu.

Inny problem, o którym nie mogę powiedzieć, by mi spać nie dawał, raczej mnie bawi, bo taki diabeł, który we mnie siedzi, przypomina mi, że studiując — tam w sądzie — tę listę uprzywilejowanych, nie dostrzegłem nazwiska ani jednego żandarma, a przecież w tym Domu Żołnierza...

II. Ja piję alkohol

U podnóża bazyliki Trinità dei Monti, po lewej ręce, gdy się patrzy w dół schodów Piazza di Spagna, był chyba jeszcze jest, mały pałacyk, który niegdyś należał do Marii Klementyny Sobieskiej (1702–1735), wnuczki Jana III i żony Jakuba III Stuarta. Budynek ten przeszedł z czasem w cudze ręce i przed przekazaniem go przez aliantów 2. Korpusowi, należał do Accademia Hertziana, kontynuującej i rozwijającej zdobycze naukowe fizyka niemieckiego Heinricha Rudolfa Hertza (1857–1894), odkrywcy radiowych fal elektromagnetycznych. Nigdy bym o tym nie wiedział, gdyby mi nie przyszło w tym właśnie budynku wspierać swym przypuszczalnie trzeźwym rozeznanem wymiar sprawiedliwości.

Nie pamiętam, a może nigdy mnie to nie interesowało, w jaki sposób nasze władze wykorzystywały to pomieszczenie, wiem natomiast, że oddawały do dyspozycji sądu polowego dostatecznie przestronną salkę, w której co najmniej cztery razy zasiadałem jako asesor sądu polowego. Nie umiałbym też wytłumaczyć, dlaczego mnie, ku rozpaczy mego przełożonego, szefa Biura Studiów rtm. Zdzisława Stahla, wyznaczał do tej funkcji komendant miasta.

Pierwsze dwie sprawy, które opiszę — za kolejność nie ręcę — były raczej bagatelne, w każdym razie skończyły się dość bezboleśnie dla oskarżonych.

Redaktorem naczelnym wychodzącej w Bari „Gazety Żołnierza” był Władysław Wąchała, z racji swej funkcji odpowiedzialny za treść tekstów. Było to wiosną 1945 roku, gdy 2. Korpus w drodze do Bolonii usiłował przelać opór nieprzyjaciela nad rzekami Senio i Santerno, czas wojny, kiedy sądy polowe surowo rozpatrują sprawy. Nie pamiętam kwalifikacji przestępstwa, za które odpowiedzialny był Wąchała. Szło o autorytet dowódcy, jaki zdaniem oskarżenia ucierpiał w wyniku artykułu w „Gazecie”, w którym jakiś żołnierz uskarżał się na dowódcę kompanii w stopniu kapitana, o brutalne zruganie go. Wąchała bronił się, tłumacząc, że w artykule nie wymieniono nazwisk, ani też jednostki, w której to się zdarzyło, ale przewodniczący sądu, kapitan audytor, był zdania, że autorytet dowódcy, szczególnie ważny w czasie wojny, ucierpiał, tym bardziej, że zainteresowani zidentyfikowali incydent. Zdaje się, że ostatecznie przeważył argument redaktora, że pismo jest gazetą ż o ł n i e r z a, a więc ma nie tylko prawo, ale i obowiązek być wyrazicielem poglądów ż o ł n i e r z a, znów to słowo podkreślił, bez względu na stopień. Nie muszę chyba dodawać, że asesory podzielali to zdanie. Jakąś tam karę Wąchała dostał, nie pamiętam, nagane czy parę miesięcy z zawieszeniem, w każdym razie nadal redagował „Gazetę Ż o ł n i e r z a”.

Ukradł, czy jemu ukradli, szło o kradzież zegarka. Ta anegdota pasuje jak ulał do sprawy na tle kupna papieru, w której oskarżonym był szef Administracji Czasopism i Wydawnictw Oddziału Kultury i Prasy 2. Korpusu por. Władysław Junosza-Kowalewski. Czy to było jeszcze w czasie wojny, czy już po 8 maja 1945, nie pamiętam, wiem natomiast, że w Rzymie mieliśmy drukarnię polową, która zżerała tony papieru na nieproporcjonalnie obfitą działalność wydawniczą Korpusu. Poza książkami drukowano tu „Orla Białego”, „Ochotniczkę”, „Na szlaku Kresowej”, „Łazika”, może też i „Dziennik Żołnierza APW”, a może i więcej — wszystkiego nie spamiętać. Obowiązkiem Kowalewskiego było zapewnienie drukarni odpowiedniej ilości papieru. Sojusznicy angielscy krzywym okiem patrzyli na te polskie książki i czasopisma, więc na ich pomoc liczyć nie mógł. Magazyny papieru na terenie Rzymu i okolicy były już puste, a jeśli coś tam jeszcze można było znaleźć, to położyli na to łapę Anglicy i Amerykanie (ich „Stars & Stripes” też się w Rzymie drukowały), więc Kowalewski ruszył na północ, znalazł papier w jakiejś firmie prywatnej, z którą zawarł kontrakt o regularną dostawę, po paskarskiej cenie oczywiście. Tu właśnie był ten pies pochowany. Nie pamiętam skąd przyszło oskarżenie, czy z kwatermistrzostwa, czy od żandarmerii na podstawie donosu kogoś, komu ten kontrakt wydał się podejrzany. Kowalewskiemu zarzucano działanie na szkodę Skarbu Państwa, bo ten papier można było kupić po niższej cenie. Krył się w tym domysł sprzeniewierzenia w formie cichej łapówki, prowizji, ale pozostał domysłem, takiego zarzutu sąd nie podniósł. Należało ustalić, czy Skarb Państwa poniósł szkodę. Rzeczoznawcą był Dariusz Biberstein-Żarnowski, dziennikarz wileński. Podobnie jak Kowalewski, skoncentrował się na trudnościach ze zdobyciem papieru. Świadek oskarżenia, chyba ktoś z kwatermistrzostwa, ale za to nie ręcę, nie bardzo się popisał, argumentował cenami, lekceważąc okoliczności. Sąd pozostawił sprawę otwartą, uzasadniając swą decyzję — to pamiętam — brakiem danych dla ustalenia, czy Skarb Państwa poniósł szkodę czy też zyskał na kontrakcie handlowym z cywilną firmą włoską. Trochę mnie to zaskoczyło, bo tu był klasyczny wypadek wątpliwości co do winy oskarżonego — *in dubio pro reo* — lecz nie protestowałem. Asesor asesorem, ale w drukarni polowej drukowały się moje artykuły prasowe, książka też, Kowalewski był dobrym administratorem, licho wie kto na jego miejsce przyjdzie, byłem zadowolony, że bodaj tak się skończyło. Jakieś dwa, może trzy lata temu wyczytałem gdzieś — niestety, nie zanotowałem — że likwidując zaległości przed ewakuacją z Włoch gen. Anders uznał oskarżenie Kowalewskiego za niebyłe. Przestał tym samym istnieć problem *in dubio*.

Następna sprawa, którą przedstawię, niezbyt smakowita. Sąd polowy na sesji wyjazdowej w Rzymie, przewodniczący kapitan audytor, nie zanotowałem nazwiska, oskarżony porucznik, nazwisko pominię. Działanie na szkodę Skarbu Państwa, ale tym razem bez wątpliwości na czyją korzyść. Porucznik należał do obsługi parku samochodowego komendy miasta w Rzymie. Prócz

wojskowych, park ten obsługiwał również cywilne samochody, przeważnie osobowe, z reguły zarekwirowane po dostojnikach faszystowskich. Ich kierowcami byli miejscowi Włosi. Sam jeździłem takim porchem przydzielonym szefowi Biura Studiów. Kierowcą był Feruccio Pesce, uprzednio do dyspozycji jakiegoś włoskiego generała. Kierowca zakontraktowany, jeśli się nie mylę, przez władze brytyjskie, pobierał paliwo w stacji benzynowej, też brytyjskiej, na podstawie bonów wystawianych przez oficera, do którego dyspozycji go wyznaczono. Istniała oczywiście możliwość nadużyć — kierowca mógł sprzedawać na boczku benzynę, mógł też używać wozu służbowego jako taksówki, odpalając odpowiednią dolę oficjalnemu szefowi. Warunkiem było ciche porozumienie obu stron — i umiar. Tego właśnie zabrakło porucznikowi, który stanął przed sądem. Poszedł dalej niż ewentualna umowa z kierowcą oddanym do jego dyspozycji. Po prostu zatrudnił miejscowego taksówkarza jako użytkownika służbowego wozu, wystawiał bony benzynowe i inkasował dochody. Trwało to przez dobrych parę miesięcy póki zbyt częste pobieranie paliwa nie wzbudziło podejrzeń żandarmerii brytyjskiej. Nie mieliśmy litości. Kapitan audytor perswadował, tłumaczył, że kara, jakiej domagaliśmy się, półtora roku, powoduje automatycznie degradację oficera, że przestępstwo nie jest tak poważne, by iść tak daleko, lecz nie ustąpiliśmy. Wyrok: trzynaście miesięcy. Dokładnie o ten miesiąc więcej, by nastąpiła degradacja. Nie szło nam o stratę Skarbu Państwa, bo ostatecznie to były grosze, ale o honor, o godność oficera. Czy dowódca Korpusu zatwierdził wyrok czy uchylił, nie wiem.

Gdy w czasie wojny żołnierz spierze po mordzie swego przełożonego, sprawa jest gardłowa. Na polu bitwy skończyć się może natychmiastową śmiercią, w sądzie polowym, zależnie od okoliczności, rozstrzelaniem lub wieloletnim więzieniem — chyba nigdy uniewinnieniem. Autorytet dowódcy to fundament i spoiwo wojska. Tak nam, dwóm asesorum porucznikom, tłumaczył major audytor właśnie w takiej gardłowej sprawie. Oskarżonym był młody żołnierz, Ślązak, który „na stał” do Korpusu, czyli zdezerterował z Wehrmachtu, jesienią 1944 roku. Od tego też czasu aż do wiosny 1945, kiedy stanął przed sądem, był kierowcą ciężarówki i przewoził to co należało z Rzymu do Ankony, czy dalej, pod Bolonię. Właśnie wrócił stamtąd, po 11-godzinnej jeździe i — łknąwszy z butelki — rzucił się skonany na swe wyrko. Nie zdążył jeszcze zasnąć, gdy jego przełożony kapral obarczył go nowym rozkazem natychmiastowego wyjazdu. Żołnierz tłumaczył się, że nawet gdyby chciał, nie miał prawa jechać, bo po pierwsze przekroczył już dozwolony limit 8 godzin jazdy, po drugie nie jest pewny czy nie uśnie przy kierownicy. Kapral nie ustępował i regulaminowo „daję wam rozkaz” powtarzał. „Pierona, nie widzisz ciulu, że nie mogę”, ryknął Ślązak, wstał z wyrka, trzasnął kaprala po pysku i położył się spać. Zeznając przed sądem kapral nie przeczył, że kierowca był zmęczony, ale on, kapral, dostał rozkaz natychmiastowego transportu, nie miał nikogo do dyspozycji, więc wyznaczył tego kto był na miejscu. Ten widocznie był już „na bani”, a tłumaczył się zmęczeniem. To „na bani” podchwycił z miejsca obrońca. „Czy świadek twierdzi, że oskarżony był pijany? I pijanemu kazał prowadzić samochód?” Zbity z tropu kapral wił się jak piskorz; no nie, nie tak całkiem, ale on tak lubi pociągnąć, czy on wtedy już był zawiany, trudno powiedzieć, tłumaczył. Obrońca nie ustawał. Poprosił „Wysoki Sąd” o przesłuchanie oskarżonego na temat jego ewentualnych skłonności alkoholowych. Ta wymiana zdań utkwiła mi w pamięci. „Czy lubicie wypić?” „Taak, lubię”. „A co pijecie, wino?” Oskarżony, z wyraźnym niesmakiem i odrazą: „Ja wina nie piję, ja piję alkohol”. „To znaczy co?” „Whisky, koniak”. Mimo powagi należytą sądowi, musieliśmy się uśmieć. Ale sytuacja nadal była poważna. Choć było oczywiste, że incydent sprowokował kapral, sędzia obstawał przy autorytecie dowódcy, konieczności dyscypliny itp., ergo postępek żołnierza winien być odpowiednio osądzony. Asesorzy podchwycili intencję obrońcy i bili na ten alkohol. Był jeszcze jeden argument, niewypowiedziany, na rzecz oskarżonego: ten chłopak przyszedł do nas z tamtej strony, opowiedział się za nami, za polskością. Ostatecznie, po długiej dyskusji, major audytor zmiękł. Zgodził się z nami, że oskarżonego, jako alkoholika, należy poddać badaniom psychiatrycznym. Dalszego ciągu nie znam.

Kazimierz Zamorski (Niemcy)

NOTY

Życie i dzieło Szymona Konarskiego — wystawa w Sandomierzu

Muzeum Literatury im. Jarosława Iwaszkiewicza w Sandomierzu, będące oddziałem tamtejszego Muzeum Okręgowego, jest jedną z nielicznych, jeśli nie jedyną placówką muzealną organizującą cyklicznie ekspozycje i sesje naukowe poświęcone kulturze współczesnej polskiej emigracji niepodległościowej. Dotychczas zorganizowano tam wystawy poświęcone Oficynie Poetów i Malarzy, Stanisławowi Vincenzowi i Stanisławowi Balińskiemu, którym towarzyszyły jednodniowe sympozja z udziałem badaczy krajowych i zagranicznych. W kwietniu b.r. w niewielkiej salce położonej przepięknie na szczycie skarpy, tuż obok bazyliki katedralnej, muzeum otwarto wystawę prezentującą życie i dzieło jednego z wybitnych, acz zapomnianych nieco emigrantów, Szymona Konarskiego, pisarza, heraldyka i genealoga, działacza społecznego, wywodzącego się z pobliskich Sandomierzowi Bidzin. Wystawę, nawiązując do klejnotu rodowego Jaxów-Konarskich, zatytułowano „Z Gryfem w herbie”, zaś jej starannie opracowany katalog opatrzoneo wymownym hasłem „Sapere auso”, nawiązującym z kolei do medalu, jaki król Stanisław August ofiarował słynnemu przodkowi Szymona, założycielowi Collegium Nobilium, Stanisławowo Konarskiemu.

Komisarz wystawy Paweł Różyło sprowadził na tę okazję do Sandomierza wiele ciekawych i unikalnych eksponatów, pochodzących ze zbiorów prywatnych bratanka pisarza, dr. Stanisława Konarskiego z Warszawy, a także liczne obiekty z Zamku Królewskiego w Warszawie, Polskiego Towarzystwa Heraldycznego i muzeów w Kielcach, Lublinie, Zamościu, Przemyślu i Rzeszowie. Scenariusz Paweł Różyło opracował wraz z Mariuszem Krzysztofińskim, aranżacja wystawy jest natomiast dziełem Przemysława Zamojskiego. Zwiedzenie jej jest prawdziwą przyjemnością, bo ekspozycja, choć w żadnym razie nie jest przeładowana, daje wyraziste pojęcie o dokonaniach Szymona Konarskiego, obrazuje koleje jego życia, precyzyjnie charakteryzuje jego sylwetkę; nie wyolbrzymia zasług, ale i nie pomija niczego, co istotne, ukazując żywego człowieka, nie okolicznościowy monument.

Szymon Konarski (1894–1981), rolnik i bankowiec, legionista II Brygady i żołnierz Wojska Polskiego, urzędnik ministerialny i działacz społeczny, Kawaler Maltański, historyk i heraldyk, prozaik i epistolograf, był jednym z tych niestrudzonych emigrantów, którzy nie narzucali się szerokiej publiczności, ani nie dyskutowali swych dokonań. Najlepszym tego dowodem są nieliczne o nim wzmianki, zupełny brak opracowań i skromne rozmiary not biograficznych umieszczonych w najnowszych leksykonach, a także i to, że sandomierska wystawa jest pierwszym tego rodzaju przypomnieniem tego niepospolitego człowieka, że nigdy wcześniej nikt nie pokusił się o zgromadzenie i udostępnienie pamiątek po nim. To, co zaprezentowano w Sandomierzu, to zapewne część, może nawet niewielka, tychże pamiątek, ale za to część wielce wymowna, był bowiem Konarski człowiekiem dużej zasługi i jeszcze większej skromności. Na wystawie obok dzieł malar-

skich i cennych precjozów obrazujących dzieje rodu i konwenujących z genealogicznymi pasjami Konarskiego, zaprezentowano jego książki, korespondencję, odznaczenia, fotografie z różnych okresów jego życia i prywatne drobiazgi. Wyłania się z nich wizerunek emigranta niezłomnego i do ostatnich chwil aktywnego w pracy pisarskiej, naukowej i rozległej działalności na rzecz innych, przede wszystkim tych najbardziej pomocy potrzebujących.

Wystawę organizatorzy zaplanowali na okres dziesięciu miesięcy, jej zamknięcie nastąpi w listopadzie. Trudno powiedzieć ilu zwiedzających przyciągnęła już i ilu jeszcze będzie miało okazję ją obejrzeć. Nie należy być zbytnim optymistą, do muzeów nie ciągną wszak tłumy, nie dla tłumów one istnieją. Ważnym jest przede wszystkim to, że czas nie zatarł pamięci o autorze *Czterech lat w okupowanym Paryżu* i to, że cykl „Panorama polskiej literatury emigracyjnej” zyskał kolejny cenny element (szkoda, że tym razem pozbawiony części konferencyjnej) i będzie, miejmy nadzieję, rozwijał się w przyszłości bez przeszkód. Zapał i kompetencje organizatorów godne są bowiem najwyższego uznania.

Krzysztof Ćwikliński (Toruń)

RECENZJE – OMÓWIENIA – POLEMIKI

„Kontury” — izraelskie pismo literackie

1.

W roku 1952 pojawiły się w Izraelu równocześnie „Nowiny Izraelskie” i „Nowiny Poranne”. Obie gazety ukazywały się co drugi dzień — w ten sposób czytelnicy otrzymywali codziennie polskojęzyczne pismo. W roku 1956 zaczęto wydawać periodyk „Kurier”. Jego żywot trwał krótko — ukazywał się zaledwie dwa lata. Nastąpiło połączenie trzech tytułów: „Nowin Izraelskich”, „Nowin Porannych” i „Kuriera” — w ten sposób narodziły się „Izraelskie Nowiny-Kurier”, przemianowane następnie na „Nowiny-Kurier”. Jako dziennik pismo zakończyło żywot w roku 1991, lecz odrodziło się jako tygodnik. Tak więc w różnych wcieleniach przez trzydzieści dziewięć lat (1952–1991) w Izraelu ukazywała się codzienna gazeta w języku polskim.

Wśród periodyków na szczególną uwagę zasługuje piśmiennictwo literackie, które uzyskało już ważną pozycję wśród innych czasopism, przekraczając „granice geograficzne Izraela jako zjawisko samoistne, przynależne do dziejów polskich i izraelskich jednocześnie i równoważnie”¹. Najdłużej, bo przez trzydzieści trzy lata (1949–1982) ukazywał się „Przegląd” — tu wydrukowano sporo tekstów literackich i z literaturą związanych (recenzje, sylwetki pisarzy). Warto również wymienić w tym miejscu inne pisma o charakterze kulturalno-literackim, jak „Echo Tygodnia”, „Przekrój Izraelski”, czy polityczno-kulturalnym, społeczno-literackim: „Od Nowa”, „Po Prostu w Izraelu”, „Opinia”, a także niedługo ukazujący się rocznik „Akcenty”.

Ważnym drukiem jest, stanowiący zupełnie osobną wśród pism izraelskich grupę wydawnictw ciągłych, almanach — „Kontury” poświęcony przede wszystkim literackiej twórczości autorów piszących po polsku.

Wydawane w Tel-Awiiwie „Kontury”, opatrzone są podtytułem — „Wybór prozy i poezji autorów piszących po polsku w Izraelu”. Pierwszy numer pisma ukazał się w roku 1988, wydany przez Związek Autorów Piszących po Polsku w Izraelu, który powstał w 1986 roku (jako część składowa od dawna już w Izraelu istniejącej Federacji tego rodzaju stowarzyszeń różnojęzycznych pisarzy), a publikowanie pisma i książek stało się jednym z ważniejszych jego celów. Utwory osób zrzeszonych w Związku stanowią przeważającą większość każdego z dziesięciu dotychczas wydanych tomów, chociaż pismo, aczkolwiek w niewielkiej części, wspomagane jest tekstami pisarzy spoza Izraela — Jadwigi Maurer, Jana Błońskiego, Henryka Grynberga, Andrzeja Kozioła, Heleny Komorowskiej, Aleksandra Zygi, Józefa Wróbla, Macieja Niemca, Rafała F. Scharfa, Józefa

¹ R. Löw, *Rozpoznanie. O izraelskiej prasie w języku polskim*, [w:] tegoż, *Rozpoznania*. Kraków 1998 s. 109.

Lewandowskiego, Aleksandra Ziemnego, Bożeny Shallcross, Jacka Leociaka. Periodyk do numeru trzeciego opracowywał zmieniający się zespół redaktorów, od numeru czwartego redakcję przejął Ryszard Löw. „Środowisko twórców piszących po polsku w Izraelu tworzy — jak twierdzi Ryszard Löw — trzydzieści — czterdzieści osób”. Z „Konturami” stale współpracuje około dwudziestu osób, wśród nich pisarze, poeci, tłumacze, znani także w Polsce z książek tu wydanych, między innymi: Stanisław Wygodzki, Natan Gross, Leo Lipski, Ryszard Löw, Łucja Gliksman, Ida Fink. Nie istnieje żadna „interakcja” pisma ze światem literatury hebrajskiej, czasem autorzy ten sam tekst umieszczali gdzieś po hebrajsku, do rzadkości należą hebrajskie recenzje prasowe, literackie z „Konturów”, niemniej jednak pojawiają się. Natomiast w języku polskim ukazało się sporo recenzji o poszczególnych numerach almanachu, brak zaś syntetycznego opisu pisma. W kilku numerach „Konturów” (IV, VII, IX, X, XI) podano spis wypowiedzi recenzyjnych o periodyku. Należy w tym miejscu powiedzieć, że w roku 1989 — jak podaje informacja zamieszczona w 4. numerze „Konturów” — „Wydawnictwo X w Krakowie opublikowało piracko — brzydko i w zmniejszonym formacie — przedruk pierwszego rocznika „Konturów”, dodając obwolutę i tytuł: «kontury opowiadania i poezje pisarzy żydowskich żyjących w Izraelu i piszących w języku polskim»” (s. 137).

Pod firmą „Konturów” ukazały się również książki — Herberta Friedmana *Tryptyk. Opowiadania, Warkocz i inne opowiadania* oraz *By-meculot ha-gehenom. Sippurim*, Jerzego Hermana *Ballada o nienapisanym wierszu. Wiersze i fraszki*, Łucji Gliksman *Wczoraj i inne wiersze*, Marii Lewińskiej *Z moich trzech groszy reszta*, Josefa Papiernikowa *Serce lasu. Wybór wierszy*, Miry Slowes *Moje trzy życia*, Maurycego Szymła *Matka w mroku i inne wiersze*.

Do Polski pismo dociera zaledwie do kilku miejsc — do czterech bibliotek (Uniwersyteckiej w Toruniu, IBL-u, Narodowej, Jagiellońskiej) i do szeregu recenzentów, polonistów w ośrodkach uniwersyteckich — wszystko na zasadzie relacji prywatnych, księgarska dystrybucja w Polsce nie istnieje. Centralnym dyspozytorem jest Księgarnia Polska w Tel-Awivie.

2.

Ewolucja każdego czasopisma literackiego nierozdzielnie związana jest z rozwojem życia literackiego, którego składnikiem są czytelnicy, zainteresowani zmieniającym się światem, a co z tym się wiąże — próbujący śledzić, jak kształtuje się kultura. Jej istotną częścią jest społecznie zróżnicowana publiczność literacka, która reprezentuje rozmaite gusty i potrzeby kulturalne. Dlatego też charakter czasopisma zależy od tego, dla jakiej warstwy publiczności literackiej jest przeznaczony, czy stawia sobie cele popularyzatorskie, czy też zwraca się do specjalistów i elity czytelniczej.

W „Konturach” na pierwszy plan wysuwają się teksty dotyczące szeroko pojętej problematyki żydowskiej, wspomnień z lat wojny, opowieści autobiograficzne, dotyczące zakorzenienia w kulturze żydowskiej, wiersze, podejmujące refleksje na temat holocaustu, zniszczenia narodu żydowskiego, doli wiecznych tułaczy, emigrantów, wygnańców, wędrowców.

Utwory prozatorskie, publikowane w almanachu, to opowiadania, fragmenty powieści, bardziej obszerne wspomnienia, teksty o charakterze autobiograficznym. Większość z nich dotyczy tematyki wojennej, okupacyjnej oraz szeroko rozumianego holocaustu. Wymieńmy tu najważniejszych autorów tego rodzaju piśmiennictwa, z „Konturami” stale współpracujących:

Łucja Gliksman jest poetką, tłumaczką, publicystką literacką, historykiem literatury, edytorem. Urodziła się w 1913 roku w Opatówku, w latach wojny przebywała w ZSRR, potem na Bliskim Wschodzie i w Stanach Zjednoczonych, gdzie w Chicago i w Uniwersytecie Harvard studiowała i wykładała literaturę rosyjską. Teksty literacko-krytyczne publikowała w prasie polskiej w Iranie, Jerozolimie, Nowym Jorku, Paryżu („Kultura”), głównie pod pseudonimem Wanda Falk. Pod panięńskim nazwiskiem Pinczewska opracowała wybory wierszy Kasprowicza (1944) i Ujejskiego (1946). Wiersze publikowała w polskiej prasie w Izraelu; wydała ich trzy zbiorki: *Wczoraj* (Tel Awiw 1993), *Nostalgia* (Olsztyn 1995) oraz *Na aryjskich papierach* (Jerozolima–Lublin 1996);

Jerzy Herman to poeta, bajko- i fraszkopisarz. Urodził się w 1932 roku w Krakowie, w latach wojny przebywał w Węgrzech, od roku 1946 zamieszkał z powrotem w Krakowie. W latach 1951–1957 był redaktorem w Polskim Radiu i współpracownikiem „Panoramy Śląskiej”. Od 1957 roku przebywa w Izraelu, jest współzałożycielem i współredaktorem tygodnika „Po prostu” w Izraelu (1959). Wiersze, poematy, bajki i fraszki publikował w prasie polskojęzycznej w Izraelu (m.in.

w „Od Nowie”, „Nowinach-Kurierze”), Anglii, Stanach Zjednoczonych i — już z Izraela — w Polsce („Echo Krakowa”, „Dziennik Polski”, „Wieści”). Wydał wybór wierszy i fraszek *Ballada o nie-napisanym wierszu* (Tel Awiw 1994);

Szoszana Raczyńska urodziła się w 1921 roku w Wilnie, tam przeżyła wojnę i tam po wojnie rozpoczęła pracę literacką, tłumacząc m.in. na język polski bajki Kryłowa. Od roku 1960 mieszka w Izraelu. Na język hebrajski przełożyła i w osobnych zbiorach opublikowała m.in. utwory dla dzieci Jana Brzechwy i Juliana Tuwima oraz wybory poezji Bolesława Leśmiana (1992), Antoniego Słonimskiego (1993), Maurycego Szymła (1995) i Leopolda Staffa (1996) oraz aforyzmy Stanisława Jerzego Leca, na polski natomiast wiersze wielu hebrajskich poetów. Wydała (wszystkie w Tel Awiwie): Bialik, Czernichowski, *Wiersze* (1988), *Pozdrowienia z piosenką. Wybór piosenek izraelskich*, t. 1–3 (1988–1991), S. Czernichowski *Wybór wierszy* (1991), Ch. N. Bialik *Wybór wierszy* (1994), N. Alterman *Wybór wierszy* (1997) oraz wybór z żydowskiego przetłumaczonych wierszy J. Papiernikowa *Serce lasu* (1993), a także Ch. Rajchmana *Fraszki, aforyzmy i przysłowia* (Łódź 1996);

Mieczysław Rolnicki jest prozaikiem, autorem fraszek. Urodził się w roku 1925 we Lwowie, podczas okupacji przebywał w Warszawie — na „aryjskich papierach”, był żołnierzem Polskiej Armii Ludowej. W Izraelu mieszka od 1957 roku. Teksty literackie oparte na własnych wspomnieniach okupacyjnych publikował w polskiej prasie w Izraelu. Wydał *Aforyzmy, fraszki, myśli* (Beer Szewa 1993) oraz wydanie powiększone (Łódź 1996) pod tytułem *Myśli, aforyzmy, fraszki, opowiadania*;

Ruth Baum jest prozaikiem, urodziła się w roku 1922 w Warszawie, w latach wojny przebywała w ZSRR — jej opowiadania ukazywały się wtedy w przekładzie na język rosyjski — po wojnie we Wrocławiu współpracowała z redakcją literacką Polskiego Radia. Od 1957 roku przebywa w Izraelu, gdzie wydała opowiadania *Życie nieromantyczne* (1974) i powieść *Trzynasty miesiąc roku* (1977). Opowiadania i reportaże publikowała w prasie polskiej w Izraelu i w Polsce;

Herbert Friedman urodził się w roku 1921 w Buczaczu. W czasie wojny przebywał w ZSRR, potem odbywał studia medyczne we Wrocławiu. Był przez sześć lat redaktorem „Słowa Polskiego” we Wrocławiu, w którym ogłaszał opowiadania i fraszki pod pseudonimem Herbert Hardy. W Izraelu przebywa od roku 1958. Publikował opowiadania w prasie polskojęzycznej w Izraelu. Wydał zbiory opowiadań *Tryptyk* (1994) oraz ich wybór w przekładzie hebrajskim (1995) i *War-kocz* (1997);

Eleasar Feuerman jest poetą i eseistą. Urodził się w roku 1919 w Wiedniu, studia medyczne odbył we Lwowie, wojnę spędził w ZSRR, skąd wrócił do Polski w 1945 roku. W 1957 roku przybył do Izraela. Od 1969 roku profesor nadzwyczajny i kierownik katedry dermatologii w Uniwersytecie Telawiwskim. Od 1973 roku — profesor zwyczajny. Jest autorem ponad trzystu publikacji naukowych z tej dziedziny w międzynarodowym i krajowym piśmiennictwie naukowym. Członek honorowy wielu międzynarodowych towarzystw naukowych, m.in. Polskiego Towarzystwa Dermatologicznego. Debiutował jako poeta przed wojną w miesięczniku „Gromada”, potem publikował wiersze w „Nowych Widnokręgach”, „Kuźnicy” i innych pismach literackich oraz księgach zbiorowych — *Pieśń ujdzie cało*, 1974 pod nazwiskiem Jerzy Pogorzelski. Eseje drukował w polskojęzycznych pismach w Izraelu oraz w paryskich „Zeszytach Literackich”, „Zeszytach Historycznych” i innych periodykach;

Irit Amiel jest poetką i tłumaczką. Urodziła się w roku 1931 w Częstochowie, wojnę przeżyła na „aryjskich papierach” w Polsce; w Palestynie od roku 1947. Odbyła studia z zakresu filologii, historii i historii literatury. Tłumaczy z i na kilka języków. Z polskiego na hebrajski m.in. M. M. Mariańskich *Wśród przyjaciół i wrogów* (1987), M. Frenkla *To jest morderstwo* (1988). W czasopiśmie literackich drukowała przekłady opowiadań H. Grynberga, L. Lipskiego, H. Krall, M. Hłaski oraz wierszy W. Szymborskiej. Wydała wybór wierszy hebrajskich (1994) oraz polskich *Egzamin z zagłady* (Łódź 1994);

Maria Lewińska jest publicystką literacką. Pochodzi z Warszawy, gdzie w UW odbyła studia z zakresu dziennikarstwa. Była redaktorem działu literackiego w Polskim Radiu. W Izraelu przebywa od roku 1958. Publikowała w londyńskim „Pulsie”, współpracowała z telawiwskim tygodnikiem „Nowiny-Kurier”. Wydała *Moja z trzech groszy reszta* (Tel Awiw 1997);

Józef Kornblum urodził się w roku 1917 na Śląsku Cieszyńskim. W 1935 roku wyjechał do Palestyny. Publikuje w polskojęzycznej prasie izraelskiej. Wydał autobiograficzną powieść *Ziemia*

przeobiecana (Kraków 1993) i *Od Wisły po Jordan. Relacje* (Cieszyn 1996). Pracuje nad drugą częścią *Ziemi przeobiecanej — Miłość i szarańcza*;

Natan Gross jest poetą, tłumaczem, publicystą i krytykiem literackim, historykiem filmu, reżyserem filmowym. Urodził się w roku 1919 w Krakowie, w latach wojny na „aryjskich papierach”; od roku 1950 przebywa w Izraelu. Píše po polsku i hebrajsku do prasy polskiej w Izraelu, Anglii, Polsce. Wydał wiersze w Łodzi: *Wybór współczesnej poezji hebrajskiej* (1947) i *Pieśni o Izraelu* (1948); w Izraelu *Co nam zostało z tych lat* (1971), *Okruszyny młodości* (1976), *Wiersze buntu i zagłady* (1976). Jest redaktorem ksiąg zbiorowych, współautorem antologii hebrajskiej oraz autorem wspomnień okupacyjnych *Kim pan jest, panie Grymek?* w wersji hebrajskiej (1986) i polskiej (Kraków 1991) oraz zbioru szkiców *Poeci i Szoa* (Sosnowiec 1993). Reżyserował trzy długometrażowe filmy oraz ponad sto dokumentalnych; w języku hebrajskim jest autorem pracy *Dzieje Żydowskiego Filmu w Polsce* (1990) oraz współautorem *Historii Filmu Izraelskiego* (1991). Natan Gross jest też laureatem wielu nagród literackich i filmowych, m.in. nagrody Izraelskiej Akademii Filmowej za całokształt twórczości filmowej (1992);

Leo Lipski (1917–1997) był prozaikiem, znanym z publikacji w londyńskich „Wiadomościach” i paryskiej „Kulturze”, której nagrodę otrzymał w 1955 roku. Wydał opowiadania *Dzień i noc* (Paryż 1957), *Piotruś. Apokryf* (Paryż 1960), *Opowiadania zebrane* (Lublin 1988), *Śmierć i dziewczyna* (Lublin 1991) i zbiór pt. *Piotruś* (Olsztyn 1995). W dziewiątym numerze „Konturów” (1998) Natan Gross opublikował wspomnienie Lipski, zaś Łucja Gliksman wiersz *Na śmierć Leo Lipskiego*;

Stanisław Wygodzki (1907–1992) był poetą, prozaikiem, tłumaczem. Po przybyciu do Izraela w 1968 roku wydrukował kilka tomów poezji i prozy w wydawnictwach polskich w Londynie i Paryżu, a w roku 1990 w Warszawie wybór wierszy *Pożegnanie*. W Izraelu — gdzie kilka jego książek przetłumaczono na język hebrajski — współpracował z prasą polską (publicystyka, wiersze i przekłady wierszy z żydowskiego) i hebrajską. W roku 1992 ukazała się w Tel Awiwie sumptem subskrybentów księga zbiorowa pod tytułem *Wygodzki. Zeszyt pamięci*;

Miriam Akavia jest współczesną pisarką hebrajską. Urodziła się w roku 1927 w Krakowie, wojnę przeżyła w getcie i w obozach koncentracyjnych. Do Palestyny przybyła w roku 1946. Wydała siedem książek, z których po polsku ukazały się *Jesień młodości* (1988; 1996), *Moja winnica* (1990), *Galia i Miklosz* (1993) i *Cena* (1993). Tłumaczyła na hebrajski wiersze Leśmiana, Grynberga, Hena oraz Pankiewiczza *Aptekę w getcie krakowskim* (1985), na polski opowiadania Sz.J. Agnona i A. Megeda, które podobnie jak niektóre jej własne opublikowano w czasopiśmie w Polsce;

Halina Birenbaum (1929) jest prozaikiem, poetką, tłumaczką. Jest pierwszą autorką polską zamieszkałą w Izraelu, która wydała książkę w Polsce. Opublikowała m.in. *Nadzieja umiera ostatnia* (Warszawa 1967, 1988), *Wiersze* (Kraków 1987);

Arie Brauner to tłumacz, publicysta, redaktor. Urodził się w roku 1920 w Krakowie, w latach wojny przebywał w ZSRR, od roku 1948 w Izraelu. Ukończył studia z zakresu filologii klasycznej. Przełożył na hebrajski wiersze i prozę z kilku języków, w tym również z polskiego, m.in. Leśmiana, Grynberga, Szymborskiej, Herberta, Ficowskiego, Słonimskiego. Opublikował teksty wspomnieniowe i artykuły literackie po hebrajsku i po polsku na łamach prasy w Izraelu i w Anglii. W roku 1996 wydał we własnym przekładzie na hebrajski antologię wierszy polskich o Zagładzie Żydów;

Anna Ćwiakowska urodziła się w roku 1925 w Modrzejowie, w latach wojny była więźniarką hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Po wojnie studiowała w Warszawie dziennikarstwo, była od roku 1952 dziennikarką w Polskim Radiu. Od 1968 roku w Izraelu, wieloletni pracownik dziennika „Nowiny-Kurier”. Specjalizuje się w publicystyce literackiej i recenzystyce teatralnej. Jest tłumaczką różnorodnych tekstów literackich opublikowanych w prasie polskiej w Polsce i Izraelu. Wydała *Zabawy w chowanego* (Łódź 1996);

Ida Fink (1921) jest autorką opowiadań i słuchowisk radiowych. Jej zbiór opowiadań *Skrawek czasu* był tłumaczony na kilka języków, ukazał się po polsku nakładem wydawnictwa „Aneks” w Londynie w 1987 roku.

To zaledwie osiemnaście nazwisk — wymieniono je, by przedstawić krąg współpracowników „Konturów”, piszących teksty prozatorskie, lecz wśród nich jest kilku poetów — Łucja Gliksman, Jerzy Herman, Irit Amiel. Zadajmy więc pytanie — jakie tematy występują w utworach wierszowanych drukowanych w telawijskim piśmie najczęściej?

Otóż poezje przynoszą nostalgiczne rejestry pamięci, a często pulsująca podskórnie bolesna trauma przeszłości, spowodowana eksterminacją ludzi i kultury judaizmu, przypomina o złej chwili dziejów świata. Jednak nie tylko taki ton dominuje, ponieważ dochodzą do głosu doświadczenia i przeżycia izraelskie, dotyczące między innymi niezwykle ważnej problematyki asymilacji w kulturze izraelskiej. Istotną częścią tego obszaru literackiego „Konturów” są wiersze twórców współczesnej izraelskiej poezji hebrajskiej.

Publicystyka i eseistyka historycznoliteracka podejmuje tematy związane z zagadnieniami hebrajsko-izraelskimi oraz polsko-żydowskimi (np. teksty Ryszarda Löwa — *Antoni Słonimski w literaturze hebrajskiej*; *Żeromski w literaturze hebrajskiej*; *Z dziejów Bolesława Leśmiana w Izraelu*, Józefa Wróbla *Zbieranie głosów. Żydzi w literaturze polskiej ostatniego półwiecza*, Ruth Szenfeld *Pisarze na pograniczu*, Aleksandra Zygi *Wilno także żydowskie. Obraz Żydów wileńskich w piśmiennictwie polskim*, Józefa Wróbla *Adolf Rudnicki wobec Żydów i Polaków*, Jana Błońskiego *Ofiary i świadkowie. Obraz Zagłady w literaturze polskiej*), Eugeniusz Prokop-Janiec *Udział Żydów w literaturze polskiej*.

Powiedzmy w tym miejscu o dwóch ostatnich — jak dotąd — numerach „Konturów”. Zeszyt dziesiąty (1999) przynosi: wiersze — Łucji Gliksmann, Marii Bujańskiej, Irit Amiel, Jerzego Hermana, Rywki Basman (pięć w tłumaczeniu Stanisława Wygodzkiego i jeden — Szoszany Raczyńskiej), Kadii Mołodowskiej (w przekładzie Ariego Braunera), Abrahama Sutzkewera (w tłumaczeniu z jidysz Ariego Braunera i Natana Grossa), Michali Hefer (w przekładzie z hebrajskiego Szoszany Raczyńskiej i Autorki); wspomnienia — Eleasara Feuermana, Mieczysława Rolnickiego, Józefa Kornbluma, Orny Jagur (Ireny Grodzińskiej), R. L. Sawina o Beniaminie Tenenbaum-Tene; opowieści — Ruth Baum, Herberta Friedmana, Irit Amiel, Jerzego Hermana, Marii Lewińskiej; oraz bardzo ciekawe teksty dotyczące historii literatury — Natana Grossa, *Motywy polskie w poezji Abrahama Sutzkewera*, Ruth Szenfeld, *Postawa moralna wobec holocaustu. Henryk Grynberg i Aaron Appelfeld*, Elżbiety Frister, „*Kupiec warszawski*” (o debiucie dramatycznym Romana Brandstaettera, tu zamieszczono też streszczenie tej sztuki, dokonane z wersji programu hebrajskiego), list Romana Brandstaettera do poetki hebrajskiej Andy Amir-Pinkerfeld; Ryszarda Löwa, *Mickiewicz w kręgu hebrajskim*, Eugenii Prokop-Janiec, *Udział Żydów w literaturze polskiej*.

W numerze tym zamieszczono także bibliografię: *Piśmiennictwo polskie w Izraelu* (1. Książki z Izraela — za lata 1997–1998, 2. Druki polskie w Izraelu — 1996–1998).

Natomiast zeszyt jedenasty (2000) zawiera następujące rodzaje tekstów: wiersze — Łucji Gliksmann, Irit Amiel, Amira Gilboa (w tłumaczeniu Szoszany Raczyńskiej), Jerzego Hermana, Jaffy Zins (w przekładzie Ariego Braunera), Aliny Kenigstein, Hadassy Tal (w tłumaczeniu Natana Grossa), Marii Bujańskiej, wspomnienia — Eleasara J. Feuermana, Stanisława Tomkiewicza, Jerzego Hermana, Dwory Schreibaum (w tłumaczeniu Zoji Perelmuter), Arnolda Słuckiego, opowieści — Irit Amiel, Miriam Akavii, Ruth Baum, Anny Cwiakowskiej, Marii Lewińskiej, Józefa Kornbluma, Mieczysława Rolnickiego, oraz teksty dotyczące historii literatury (jak zwykle interesujące) — *Dwugłos. Szalom Lindenbaum — Julian Strykowski*, jest to recenzja Szaloma Lindenbauma (w przekładzie polskim) powieści Juliana Strykowskiego (w hebrajskim tłumaczeniu Rywki Gurfein) *Sen Azrila* oraz dwa listy napisane po polsku odręcznie do Lindeubauma; artykuł Elżbiety Frister — *Gombrowicz na scenie hebrajskiej*, szkic Natana Grossa *Dwa wcielenia Leona Przemskiego*, esej Andrzeja Fabianowskiego *Kwestia żydowska w twórczości Juliusza Słowackiego*, wreszcie łączący się z tym esejem artykuł Ryszarda Löwa *Z dziejów Słowackiego w literaturze hebrajskiej*. „*Anhelli*” a „*Zwój ognisty*” Bialika.

Oprócz tego zeszyt jedenasty przynosi informację *Kontury w oczach krytyki* (spis recenzji pisma w roku 1999) — s. 41, spis książek, które ukazały się pod firmą pisma w Tel Awiwie (s. 66), na końcu zaś zeszytu — *Piśmiennictwo polskie w Izraelu. Bibliografia za r. 1999* (s. 132–134) w opracowaniu Ryszarda Löwa, oraz — jak zwykle — *Noty biograficzne* (s. 135–138), dzięki którym możemy dowiedzieć się, kto w tym numerze pisma drukował swoje teksty.

Na zakończenie tego fragmentu omówienia „Konturów” chciałbym powiedzieć, że charakter pisma mogą świetnie charakteryzować słowa z przejmującego wiersza współczesnej poetki hebrajskiej Jaffy Zins *Pochód śmierci do Kolomyi*, który zamieszczony został właśnie w ostatnim, jedenastym zeszytce: „Nad prochami dolin załamuje się tęcza”. Łuk pięknych barw nad światem pokrytym prochami zmarłych — to słowa tych, którzy ocalili, świadectwo ich pamięci, ale także symbol nadziei, że świat wróci do swego stanu pierwotnego, gdy nie było jeszcze zbrodni.

„Kontury” — jako całość — są d o k u m e n t e m, w pewnej mierze zbiorem tekstów o charakterze p a m i ę t n i k a r s k i m. Te relacje — i prozatorskie, i poetyckie, o zdarzeniach, których autentyczność potwierdzona jest życiorysami autorów, odczytane mogą być w trojkiej perspektywie. Po pierwsze, są źródłem wiedzy historycznej, przekazem wiadomości o zdarzeniach, które są już wielokrotnie opisane, lecz wciąż budzą emocje. Przypominają o czasach holocaustu. Wciąż żyją ludzie, którzy to przeżyli — wśród autorów „Konturów” znajdują się osoby urodzone w latach 1913–1936, i młodsze, które, urodzone już po wojnie, piszą opowiadania autobiograficzne — o swoim dzieciństwie, młodości, o tożsamości, życiu w określonej kulturze. To dzięki tym pisarzom relacje te można odczytywać jako dokumenty osobiste, wyraz swoistego pojmowania świata, przekonań i dążeń społecznych, które są właściwe danym warstwom czy kręgom. Wreszcie — teksty, zamieszczone na łamach „Konturów” interesować mogą jako swoista forma piśmiennictwa — w tej perspektywie drukowane w izraelskim periodyku utwory mogą być znakomitym przedmiotem analizy dla badaczy literatury.

„Kontury” były początkowo piśmie przeznaczonym wyłącznie do publikacji tekstów autorów piszących w języku polskim w Izraelu, zmieniły się zaś w periodyk literacki i historycznoliteracki, goszczący na swych łamach wszystkich, którzy mają coś do powiedzenia w sprawach polsko-żydowskich, polsko-izraelskich i polsko-hebrajskich — bez względu na miejsce ich zamieszkania. I taka wydaje się najbardziej interesująca perspektywa pisma.

Ważną sprawą w rozwoju i ciągłości pisma jest sprawa języka. Dominuje w „Konturach” twórczość charakteryzująca się tradycyjnością gatunków i rodzajów literackich, także — tradycyjnością języka. Brak tekstów, w których widać nowatorskie podejście do wypowiedzi, brak kontynuacji awangardowych poetyk, koncepcji języka (to szczególnie widoczne jest w poezji) ukształtowanej przez ruchy awangardowe, nie ma innych wypowiedzi, niż te, odwołujące się do tradycji romantycznej, czy skamandryckiej. Powodem tego stanu rzeczy jest to, że literatura polskojęzyczna tworzona w Izraelu była tworzona przez ludzi nie utożsamiających się z narodem polskim, a jedynie z językiem polskim, i to on był trwałą wartością, której nie należało naruszać eksperymentami awangardowymi. Literatura polska w Izraelu sąsiaduje bezpośrednio z hebrajską oraz innojęzyczną — arabską, rosyjską, żydowską. Wszystkie one zaś razem tworzą „żywą wartość duchową tej samej ziemi, w obrębie tej samej co one codzienności politycznej, społecznej, kulturalnej [...] poprzez to uczestnictwo staje się elementem konstytutywnym — literatury izraelskiej, która w swej realizacji jest wielojęzyczna i wielokulturowa. Zatem twórczość przynależna do formacji polskiej i izraelskiej jednocześnie [...]”². To wśród tych kontekstów należy raczej szukać wpływów, naturalne wydaje się być przenikanie słów czy innych elementów językowych z kręgu tych kultur do literatury polskiej powstającej w Izraelu.

3.

Niebagatelny fakt jest edycja i kompozycja „Konturów”. W pierwszym numerze znalazły się teksty zgrupowane w trzech działach: prozy, poezji i eseju, w „Nocie” wydrukowano informację, że nie zamieszczono przekładów z literatury hebrajskiej na język polski. W numerze trzecim poszerzono pismo o zapowiadany wcześniej dział przekładów z literatury hebrajskiej oraz sporo miejsca poświęcono tematyce holocaustu. Zeszyt ten podzielony został na sześć części: prozy, poezji, *W cieniu zagłady*, przekładów z poezji hebrajskiej, publicystyki i reportażu, fraszek, ale już czwarty zatracił podział wyraźne części, opowiadania przeplatają się z wierszami, wiersze z tekstami o pisarzach i archiwaliach. I taki układ zachowany został w każdym kolejnym numerze. Każdy tom zamykają noty biograficzne, pełniące zastępczo rolę nieistniejącego jeszcze przewodnika informacyjnego po tym obszarze piśmiennictwa.

Każdy tom jest innego koloru: bladioróżowy, zielony, brązowy, czerwony, granatowy, turkusowy, szary, bordowy i seledynowy. Nie jest to bez znaczenia w edycji czasopisma — okładka przyciąga uwagę czytelnika, pozwala zidentyfikować je pośród innych, podobnie wyglądających wydawnictw. „Kontury” mają format zbliżony do krajowej „Twórczości” (i podobnie jak to pismo, każdy numer ma inną barwę okładki), „Kwartalnika Artystycznego”, „Odry”.

Porównując „Kontury” do różnych tego rodzaju pism, warto przywołać inne periodyki z obszaru piśmiennictwa polskiego poza granicami kraju. Najbardziej zbliżone — poprzez format,

² Tamże, s. 125.

układ i zawartość (rodzaje tekstów, gatunki literackie) — są „Archipelag” (dwumiesięcznik wydawany w Berlinie Zachodnim od roku 1983) oraz „Literatura” (kwartalnik literacki wydawany w Los Angeles w latach 1980–1981). W pismach tych zamieszczono również wiersze, opowiadania, wspomnienia, teksty historycznoliterackie, publicystyczne, recenzje, tłumaczenia w układzie przeplatania — sąsiadują ze sobą utwory należące do różnych rodzajów literackich, do różnych rodzajów tekstów — artykuły naukowe obok wierszy, wiersze obok opowiadań, opowiadania obok artykułów, itd.

Odczytanie „Konturów” w różnorodnych kontekstach periodyków polskich, izraelskich, czy innych powstających na emigracji, w kraju — dawniej i dziś — umieszczenie pisma wśród innych czasopism tego typu, pozwala czytelnikowi poruszać się we wspólnej płaszczyźnie polskiej kultury, historii, historii literatury, chociaż pisma te wydawane były i są w innej przestrzeni geograficznej oraz w różnym czasie, pośród innych uwarunkowań społecznych, politycznych, kulturowych.

4.

„Kontury” to pismo, które rejestruje pamięć języka i historii ludzi wygnanych z Polski, pozwala rozliczyć się — tak Żydom, jak i Polakom — z własną przeszłością, wreszcie — ukazuje zupełnie nieznaną w Polsce krąg kulturowy. Podkreślenia wymaga godna uwagi rola periodyku jako trybuny publikującej przekłady poezji hebrajskiej. Na zakończenie warto zacytować słowa Ryszarda Löwa z referatu *Uwagi do przyszłej historii literatury (polskiej) wobec Zagłady*, wygłoszonego 22 XI 1999 r. na warszawskiej konferencji *Literatura polska wobec Zagłady* (księga zjazdowa — w druku):

Osobnego oglądu wymaga polskojęzyczna literatura tworzona w Izraelu. Można spojrzeć na nią jako na wielką przygodę polszczyzny. Wydawać by się bowiem mogło, że dokonany przez przybyszów wybór będzie — wyborem totalnym. Opuszczenie Polski nie oznaczało przecież początku emigracyjnej wędrówki, lecz koniec wędrówki diasporycznej; dotarcie do nowej ojczyzny — kraju i przyjęcie obowiązującego w niej języka hebrajskiego. Przyswojony hebrajski, niezbędny do codziennego życia, życia rodzinnego, wykonywania pracy zawodowej stał się dla nich także językiem ekspresji pisarskiej. Nie dla wszystkich jednak.

Albowiem tutaj wystąpiło zjawisko przez nikogo prawdopodobnie nie przewidziane: wśród powołanych do pisarstwa osób znalazły się takie, które podjęły je w języku polskim; rozpoczęły to swoje pisarstwo, czyli debiutowały — czasem po wielu już latach pobytu w kraju i asymilowania się w nim — po polsku. W przeważającej większości polskojęzyczni literaci w Izraelu przedtem, w Polsce, nie zajmowali się twórczością literacką.

Paweł Tański

„World Literature Today” — ku czci Czesława Miłosza

„World Literature Today”: *Celebrating Czesław Miłosz*. University of Oklahoma, nr 4 (vol. 73), Autumn 1999, s. 223+2 s.

Czwarty numer (73 wolumin) kwartalnika literackiego „World Literature Today” datowany na jesień 1999 roku w całości został poświęcony Czesławowi Miłoszowi.

Pismo — jeden z dwóch z najstarszych periodyków literackich Stanów Zjednoczonych — jest wydawane przez Uniwersytet w Oklahomie nieprzerwanie od 1927 roku. Początkowo nosiło tytuł „Books Abroad”, a od 1976 roku „World Literature Today”. Kolejne numery kwartalnika ukazują się w lutym, maju, sierpniu i listopadzie; do numeru wiosennego dołączany jest roczny indeks w formie suplementu. Pismo posiada także własną stronę internetową (www.ou.edu/worldlit/), na

której można — obok podstawowych informacji o periodyku — znaleźć także artykuł wstępny otwierający kolejny numer.

Zgodnie z deklaracją redakcji, w skład której wchodzi m.in. prof. Robert Con Davis (Executive Director), William Riggan (Editor), David Draper Clark (Associate Editor), Marla Johnson, Victoria Vaughn, Stephanie Alvarez-Cook i Mary Adams — „World Literature Today” to „forum dyskusyjne poświęcone perspektywom literatury pięknej w jej ujęciu globalnym i lokalnym”. Z czasopismem współpracuje około 600 krytyków i naukowców amerykańskich i nie tylko, którzy mają za zadanie informować, a zarazem promować współczesne zjawiska literackie oraz omawiać i badać twórczość pisarzy z całego świata bez względu na region, z jakiego pochodzą. Stąd w obszarze zainteresowań kwartalnika pozostaje w przybliżeniu 60 najważniejszych języków — recenzjom i omówieniom nowo powstałych powieści, dramatów, zbiorów poezji, biografii etc. poświęca się w każdym numerze specjalny dział: *World Literature In Review* rejestrujący od 200 do 300 pozycji

„World Literature Today” ma charakter monograficzny. Omawiany numer jest drugim poświęconym Miłoszowi (pierwszy ukazał się latem 1978 roku). Przed polskim pisarzem na karty czasopisma trafili m.in. Edouard Glissant, Max Frisch, René Char czy Michel Butor. Szereg zeszytów skupiał się także na zjawiskach literackich o zasięgu ogólnoswiatowym lub lokalnym (np. postmodernizm, nagrodzie Nobla z lat 1967–1987, literaturze i rewolucji we Wschodniej Europie, współczesnej literaturze Indian amerykańskich, literaturze rosyjskiej na rozdrożach lat 90., wielokulturowości we współczesnej literaturze niemieckiej, literaturze Chin, Azji, Włoch, Kanady, Japonii, Afryki, Indii etc.).

„World Literature Today” *Celebrating Czesław Miłosz* składa się z trzech zasadniczych części — wspomnianego już działu recenzji, który w niniejszym omówieniu zostanie pominięty, części zatytułowanej *Presentation and Texts* oraz drugiej opatrzonej nazwą *Essays*. Całość wieńczy fotokopia rękopisu utworu noblisty *Dar* z dołączonym tłumaczeniem na język angielski przedrukowanym z anglojęzycznego wydania *Wierszy zebranych*. Łącznie są to siedemdziesiąt dwie strony tekstu dużego formatu, pomiędzy którymi znajduje się dziewiętnaście fotografii przedstawiających autora w różnych okresach życia, okładki anglojęzycznych wydań jego książek czy znaczki pocztowe z jego podobizną. Zdjęcia, których autorami są Zygmunt Malinowski, Gil Jain, Ivar Ivask (poprzedni redaktor pisma), Robert H. Taylor i Jerry Bauer, pochodzą m.in. z dwukrotnego pobytu Miłosza na The University of Oklahoma. W lipcu 1978 roku przybył tu po odbiór Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Neustadta, zaś w lutym 1999 roku był gościem honorowym Seventeenth Puterbaugh Conference on World Literature. Należy podkreślić, że Miłosz jest drugim pisarzem, który dostąpił obu honorów (przed nim te zaszczyty osiągnął jedynie Octavio Paz).

W otwierającym część pierwszą tekście William Riggana *Czesław Miłosz: Silence... Memory... Contemplation... Praise* obok wyjaśnienia kilku kwestii natury technicznej (prezentacja treści numeru, autorów, okoliczności wizyty Miłosza w Oklahomie) postawiono szereg pytań o sens pisarstwa autora *Ziemi Urlo*. Cytując wystąpienia Josifa Brodskiego z 1978 roku, który jako członek jury Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Neustadta optował za przyznaniem jej Miłoszowi, oraz przywołując wypowiedzi samego poety badacz podkreślił metafizyczny wymiar jego twórczości. Zdaniem Brodskiego poezja ta nie upatruje swego celu w udzielaniu odpowiedzi na pytanie: „jak żyć”, pragnie raczej odpowiadać na pytanie: „po co”. Zachowując swój charakter nawet po przełożeniu na języki obce odsyła nas do biblijnego Hioba i stawia człowieka wobec perspektywy ostatecznej. Riggan podkreśla także, że nawet wiersze z lat 30. niosące zapowiedź bliskiej katastrofy, czy te z czasów wojny nie są pozbawione elementów afirmacji rzeczywistości, przynoszą także cień nadziei na lepsze jutro.

Następujący po tym tekście biogram ma charakter dość ogólny — porównując go z informacjami w Internecie odnosi się wrażenie, że to one były podstawowym źródłem wiedzy dla opracowującego. Podano jedynie najistotniejsze fakty z życia autora, lecz nawet tu wkraady się błędy (data publikacji *Rodzinnej Europy* czy otrzymania The National Medal of Arts). Podobnie wybiórcza jest bibliografia; podzielona na trzy części (*Poezja i fikcja, Eseje i szkice, Książki wydane po angielsku*) notuje jedynie najważniejsze pozycje z dorobku Miłosza.

Część pierwszą kończy angielski przekład IV fragmentu *Traktatu poetyckiego* pt. *Natura* dokonany przez samego autora i jego przyjaciela z Berkeley — Roberta Hassa. Zaopatrzony został on w komentarz napisany przez Miłosza po latach, który ma pomóc anglojęzycznemu czytelnikowi

w rozumieniu rozmaitych odniesień kulturowych. Jak głosi informacja końcowa, jest to pierwsza autoryzowana publikacja tego fragmentu, zaś nota wstępna przynosi podstawowe informacje dotyczące jego edycji.

Na część drugą zeszytu składa się dwanaście szkiców omawiających poszczególne zagadnienia związane z twórczością polskiego pisarza. Warto tu zwrócić uwagę na dwie cechy, które łączą te teksty. Pierwsza to sposób podchodzenia do twórczości Czesława Miłosza — wiele szkiców ma ambicje traktowania jej jako spójnej i przemyślanej całości konsekwentnie realizującej konkretne założenia artystyczne i światopoglądowe. Po drugie symptomatyczny wydaje się dobór najczęściej przywoływanych i analizowanych utworów — największą popularnością badawczą cieszą się dzieła prozatorskie noblisty.

Esej Bogdany Carpenter *The Gift Returned* jest próbą prześledzenia wpływów, jakie na twórczości autora *Nieobjętej ziemi* wywarła literatura anglojęzyczna. Badaczka skupia się na lekturach młodego Miłosza z precyzją pokazując te doświadczenia czytelnicze i translatorskie, które nadały kierunek ewolucji poetyckiej noblisty. Carpenter dowodzi, że zetknięcie z dziełami Johna Milтона, T. S. Eliota, Walta Whitmana, Robinsona Jeffersa czy Karla Shapiro pozwoliło autorowi *Trzech zim* na stworzenie po 1943 roku nowej, własnej koncepcji poezji — pełnej rygoru i prostoty, jasnej i metafizycznej zarazem. Odwołując się do głosów pisarzy i badaczy literatury stwierdza, że poezja Miłosza — oszczędna w formie, a równocześnie szczera i intelektualna — przełamuje granice języka, pokonuje bariery kulturowe i staje się elementem wspólnego dziedzictwa Polski i krajów anglojęzycznych, przez co jej twórca przestaje być jedynie tłumaczem literatury, a staje się kulturowym „tansmitterem”.

Louis Iribarne w swym dwuczęściowym eseju *Lost in the „Earth-Garden”: The Exile of Czesław Miłosz* za przedmiot analizy obrał *Dolinę Issy*, która jest podstawowym *egzemplum* ilustrującym omawiane przez niego kwestie. W pierwszym rzędzie zastanawia go dostrzegalne u Miłosza obsesyjne zainteresowanie miejscami; zwraca uwagę na mnogość nazw różnego typu przestrzeni dostrzegalne już choćby tylko w tytułach jego dzieł. Równocześnie łączy to zjawisko z wygnaniem rozumianym tu m.in. jako oderwanie od korzeni ojczystej mowy, ale także jako opuszczenie Ogrodu (utożsamianego tu w różnych partiach tekstu z ojczyzną, Ziemią czy Królestwem Niebieskim). Przywoływanie miejsc utraconych, opisywanie Arkadii lat dzieciennych ma rekompensować pisarzowi poniesione straty. Bardzo istotną rolę pełni tu słowo, które w procesie nazywania przestrzeni ma tajemniczą moc kreowania mitów (w wypadku Miłosza najważniejszym jest mit Ziemi-ogrodu, z którego pisarz został wygnany i do którego pragnie powrócić), oraz pamięć. Ich właściwe używanie ma być pomocne w odzyskiwaniu własnego miejsca na ziemi, a — co za tym idzie — własnej tożsamości. Część druga szkicu poświęcona została porównaniu *Doliny Issy* i *Pana Tadeusza* — omówiono genezę dzieł, ich podobieństwa formalne, a także zestawiono je na płaszczyźnie wybranych elementów treściowych.

The ABC Books as Notes for a Novel in Progress Madeline G. Levine to próba wyinterpretowania z dorobku Miłosza „powieści o wieku XX”. Autorka zwraca uwagę przede wszystkim na trzy pozycje: *Rok myśliwego*, *Abecadło Miłosza* i *Inne abecadło*, które stanowią jej zdaniem integralną całość podejmującą próbę maksymalnie kompletnego opisu rzeczywistości. Stwierdza, że Miłosz chce rejestrować i interpretować temperaturę polityczno-psychologiczną Dwudziestolecia Międzywojennego, czasów wojny i lat późniejszych. Czyni to nie tylko przez przywoływanie ważnych dla siebie miejsc i osób, które wpłynęły na jego życie, lecz także przez pokazywanie postaci i wydarzeń mało znanych, interesujących jedynie w odniesieniu do jego biografii. To — zdaniem autorki — sprawia, że obraz rzeczywistości, jaki przynoszą nam omawiane pozycje, nie rości sobie prawa do bycia obiektywnym. Badaczka nie ogranicza swojej refleksji jedynie do trzech przywołanych pozycji — dowodzi, że „początkowych rozdziałów” tej niezwyklej powieści należałoby upatrywać już w *Zniewolonym umyśle* czy *Rodzinnej Europie*.

Tekst Davida S. Grossa *Czesław Miłosz's „Road-side Dog” and the Search for Self-Definition* to z jednej strony bardzo pochlebna recenzja *Pieska przydrożnego*, z drugiej zaś szczegółowa analiza kilku wątków, jakie się w tym dziele pojawiają. Badacz śledzi stosunek autora m.in. do nacjonalizmów i demokracji, nierówności społecznej, problemu biedy i cierpienia, bogactwa i władzy, zajmuje się zapatrywaniami Miłosza na religię (zwłaszcza katolicyzm), poezję, kondycję współczesnego poety, sprawy wyborów moralnych, jakich musi dokonywać każdy z nas. W efekcie dochodzi do wniosku, że *Piesek przydrożny* będący owocem życia twórcy żyjącego w XX wieku nie daje

odpowiedzi uniwersalnych — jest raczej świadectwem poszukiwań odpowiedzi na pytania o własną tożsamość, o samego siebie.

Tytuł tekstu Jerzego R. Krzyżanowskiego doskonale oddaje jego treść. „*The Captive Mind Revisited*” jest szkicem poświęconym kilku aspektom odbioru *Zniewolonego umysłu* po bez mała pół wieku. Autor rozszyfrowuje pseudonimy pisarzy przywołanych w książce — Jerzego Andrzejewskiego, Tadeusza Borowskiego, Jerzego Putramenta i Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego przytaczając przy tym podstawowe fakty z ich życia. Dodatkowo opisuje rodzaj znajomości, jaka łączyła autora z każdym z nich, a całość kończy przedstawieniem recepcji utworu w momencie publikacji (w Polsce, na emigracji, w innych krajach) oraz w chwili obecnej.

Kategoria powrotu — tak często pojawiająca się w twórczości autora *Kontynentów* — zainteresowała Annę Frajllich, która w swoim tekście *Czesław Miłosz: The Ambivalent Landscape of Return* analizuje wieloaspektowość tego motywu. Z jednej strony śledzi jego występowanie w całej twórczości Miłosza, bada zależność, jakie wykazuje ona w stosunku do poezji Thomasa Traherne’a — w szczególności utworu *The Return*, a z drugiej rozważa imaginacyjny i rzeczywisty wymiar tego zjawiska. Dowodzi, że kraj lat dziecińczych jest nieustannie obecny w dziełach autora *Traktatu moralnego*, którego nigdy nie męczy opisywanie Litwy w jej najdrobniejszych szczegółach, co z kolei pozwala mu na odnajdowanie swojego miejsca w rzeczywistości, osadzanie się w czasie i historii. Równocześnie jednak Frajllich zwraca uwagę na to, jak obecna we wspomnieniach Miłosza ojczyzna ulega przemianom i jak wiele rozczarowań może przynieść człowiekowi noszącemu w pamięci wyidealizowany obraz rodzinnych stron skonfrontowanie go z rzeczywistością. Autorka podkreśla przy tym konieczność rozpatrywania kategorii powrotu w kontekście wygnania — interesuje ją kondycja poety na emigracji, jego stosunek do miejsca osiedlenia, wpływ, jaki wywiera ono na jego wspomnienia kraju lat dziecińczych itp.⁶

E. J. Czerwiński oparł swój tekst *Czesław Miłosz: The Persistence of Existence* na pomysł porównania autora *Gucia zaczarowanego* z Milanem Kunderą. Zestawiając dwie sylwetki pokazuje, co łączy, a co dzieli tych dwóch pisarzy. Wspólna jest im sytuacja, w której muszą zająć określone stanowisko wobec zjawisk politycznych zachodzących w Europie Środkowej na przestrzeni ostatnich pięćdziesięciu lat. Analiza wykazuje, że każdy z nich robi to w zupełnie inny sposób — zdaniem badacza w wypadku Miłosza uwagę należy zwrócić przede wszystkim na *Rodzinną Europę*, która jest rodzajem egzaminu sumienia jej autora, próbą rozszyfrowania zagadki, jaką każdy z nas jest dla siebie. Czytając tę książkę poznajemy m.in. okoliczności, w jakich poeta kształtował swój światopogląd polityczny, jego stanowisko wobec rewolucji bolszewickiej, antysemityzmu w Polsce itp., aby wraz z nim odkryć na zakończenie najważniejszą prawdę: rzeczą niezbędną do określenia samego siebie, nawiązania łączności z uniwersum, wreszcie do — jak w wypadku Miłosza — odrodzenia duchowego jest miłość.

George Gömöri zajmuje się zmianami w odbiorze czytelniczym, jakie można zaobserwować przy kolejnej lekturze tekstów Miłosza. Jego *Notes on Czesław Miłosz's Life Writing* jest zapisem refleksji, jakie autor snuje na kanwie ponownego zapoznania się z *Rodzinną Europą*. To, co zainteresowało Gömöriego po czterdziestu latach od pierwszego kontaktu z książką, daje się sprowadzić do kilku punktów. Zastanawia go stosunek pisarza do własnego dzieła i do swojej osoby — badacz zwraca uwagę na swoistą „niepersonalną” autobiograficzność dzieła, na to, że poeta nie dąży w nim do „wybielenia” własnej postaci szukając złotego środka między wrodzonym poczuciem dyskrekcji a chęcią nobilitowania swojej osoby. Zwraca też uwagę na — jego zdaniem wyjątkowe — potraktowanie rodziny, z której najwięcej uwagi poświęcono Oskarowi Miłoszowi, na stosunek autora do poezji, nacjonalizmów itp. Zestawiając *Rodzinną Europę* z kolejnymi utworami Miłosza Gömöri śledzi, jak zmieniał się jego stosunek do ponownie odwiedzanych miejsc — zwłaszcza tych, których nie lubi (Warszawa, Paryż), przywoływania pełnych nazwisk postaci, które w tym dziele były ukryte za pseudonimami czy kryptonimami.

Jerzy J. Maciuszko zainteresował się Miłoszem — nauczycielem akademickim. *The Moral Aspect of Czesław Miłosz's Creativity* rozpoczyna wspomnienie wizyty, jaką przyszedł noblista złożyć w październiku 1970 roku w Alliance College in Cambridge Springs w Pensylwanii. Autor przywołuje obraz dynamicznego, pełnego wigoru poety z pasją konwersującego ze studentami i zestawia go z wizerunkiem równie aktywnego i cieszącego się na kolejne spotkania szacownego

⁶ Por. rozmowę A. Frajllich z Czesławem Miłoszem pt. *Samotności nikt nie wybiera...* w niniejszym tomie.

gościa Uniwersytetu w Oklahomie z lutego 1999 roku. Maciuszko dowodzi, że Miłosz bardzo lubi uczyć i — podobnie jak w wypadku twórczości artystycznej — podporządkowuje tę czynność trzem pryncypiom: prawdzie, osobistej wizji świata oraz integralności rozumianej tu jako uczciwość i rzetelność w podejściu do siebie samego. Przejmując te terminy za Edwardem Możejko łączy je z katastrofizmem, który uważa za jeden z filarów twórczości Miłosza. Snując swe rozważania na temat podstaw moralnych działań podejmowanych przez noblistę Maciuszko dochodzi do wniosku, że najważniejsze są dwa spośród wymienionych: rzetelność i prawda, zaś swoje rozważania kończy sugestią prześledzenia zależności między postawą etyczną Miłosza a religią.

Tekst Tomasa Venclovy *Czesław Miłosz: Despair and Grace* jest kolejnym pochyleniem się nad *Rodzinną Europą*. Autor zwraca uwagę na swoistość sytuacji kulturowo-społecznej, w jakiej przyszło dorastać młodemu poecie — tygiel kulturowy, jakim było Wilno, dał mu szansę na nabranie dystansu do rzeczywistości, tak niezbędnego poetom naszych czasów. Umiejętność ta oraz ogólna sympatia do ludzi pozwoliły Miłoszowi wypracować sposób na przetrwanie w wieku totalitaryzmów: żyć przy zachowaniu pamięci i świadomości. Venclova zwraca uwagę na stosunek autora *Ogrodu nauk* do poezji, na wiarę w jej moc zmieniania rzeczywistości, na jej metafizyczny wymiar, na jej zależność od poety i władzę nad nim. Twórca winien być dla swojej epoki i języka narzędziem, przez które mają one możliwość przemawiać i dzięki wypowiedziom którego mogą się kształtować. Aby tak się stało poeta musi być obdarzony kilkoma cechami — trzeźwością sądów, samokontrolą i wewnętrzną spójnością. Wówczas ma szansę stać się tym, kim być powinien — sumieniem świata. Obok tych kwestii Venclowę zajmuje jeszcze kilka innych związanych z twórczością Miłosza, m.in. stosunek poety do przeszłości (podtrzymywania tradycji) a także eschatologiczna (w rozumieniu biblijnym) perspektywa jego twórczości.

Olga Scherer w tekście pt. *To Urlo Through San Francisco Bay* analizuje dwa problemy. Z jednej strony proponuje, aby w *Ziemi Urlo* poszukiwać dojrzałych realizacji i rozstrzygnięć pomysłów i kwestii pojawiających się w *Widzeniach nad zatoką San Francisco*. Z drugiej, zastanawia ją sprawa dostrzegalnych w twórczości Miłosza odniesień do metafizycznych zjawisk ukrytych za codziennością oraz różnice, jakie w ich postrzeganiu wykazują Europejczycy i mieszkańcy USA. Rozpatrując te zagadnienia badaczka zauważa, że w pismach autora *Pieska przydrożnego* można dostrzec bardzo wyraźnie zarysowaną antynomie między dobrem a złem, co w sytuacji relatywizmu wieku XX czyni z niego postać wyjątkową.

Krzysztof Dybciak rozpoczyna swój tekst refleksją na temat czasu. Stwierdza, że Miłosz jest poetą w pełni zdającym sobie sprawę z jego natury, a w konsekwencji dążącym do maksymalnego wykorzystania każdej danej mu chwili. Badacz formułuje tezę głoszącą, iż doświadczenie czasu jest jednym z kluczowych pojęć niezbędnych dla zrozumienia twórczości autora *Traktatu moralnego*. W swoim szkicu *Holy Is Our Being... and Holy the Day* wymienia wszystkie epoki, w jakich przyszło żyć Miłoszowi i stwierdza, że mimo narastającego tempa historii udało mu się w natłoku zdarzeń ocalić własną tożsamość dzięki łączeniu aktywności z mądrością, działania z kontemplacją. Dybciak wiąże tu czas z tradycją kulturową i literacką — widzi w Miłoszu poetę przez twórcze odnawianie gatunków, stylów i form dążącego do celu, którym jest osiągnięcie prostoty wyrazu pozwalającej na oddanie całości doświadczeń ludzkich, w tym także doświadczenia czasu. Wskazuje, iż poeta ten wierzy, że dobro jest naturalnym przymiotem ludzi i bytu jako takiego, a równocześnie zdaje sobie sprawę z tego, że o sprawach ważnych nie można mówić w sposób patetyczny i monumentalny.

Celebrating Czesław Miłosz jest dowodem na to, jak wielką popularnością autor *Pieska przydrożnego* cieszy się w Ameryce i z jaką uwagą śledzi się tam jego dokonania artystyczne. Równocześnie czwarty zeszyt „World Literature Today” świadczy o obecności i pozycji pisarza w świecie. Szereg interesujących opracowań związanych z jego twórczością zgromadzonych w jednym numerze pisma pozwala na ujrzenie wielu omawianych kwestii w nowym świetle, co stanowi o niewątpliwej wartości tej pozycji.

Rafał Moczko

„... w sposób zbyt uproszczony, a na dodatek tendencyjny...”

Rafał Habielski, *Życie społeczne i kulturalne Emigracji*. Warszawa 1999, Biblioteka „Więzi” T. 113, s. 305 (+ A. Friszke, P. Machcewicz, R. Habielski, *Zakończenie — próba bilansu* + A. Friszke, *Słowniczek biograficzny* + indeksy — razem: s. 408), *Druga Wielka Emigracja*, t. III (brak recenzentów).

Motto: „Aczkolwiek było w tym nieco przesady, większość periodyków emigracyjnych wiodła krótki żywot.” — R. Habielski, s. 129.

Komizm przytoczonego powyżej zdania nie był zamierzony. Słowa o przesadzie miały się odnosić do wypowiedzi cytowanej przez Habielskiego wcześniej. Rzecz w tym, że książka o życiu społecznym i kulturalnym Drugiej Emigracji dowodzi niemal nieustannie, iż z uciążliwych zmagania ze składnią współczesnego języka polskiego jej autor rzadko wychodzi zwycięsko. Językoznawcy powiedzieliby zapewne, że warszawski historyk nie opanował różnorodnych „operacji zdaniotwórczych”, a to sprawia, że podejmowane przez niego próby formułowania wypowiedzi w języku składniowo dojralszym nie kończą się sukcesem. Toteż książka stała się przede wszystkim zapisem, dokumentacją owych zmagania, a nieudolność języka jest tym, co odróżnia tę pracę już na pierwszy rzut oka od wszystkich rozpraw historycznych poświęconych emigrantom, jakie opublikowano w ostatnich latach.

Składniowe niechlujstwo rodzi informacje, których autor nie przewidział i pod którymi nie podpisałby się, gdyby — rzecz jasna — przyjrzał się krytycznie plodom swego zbyt lekkiego (ciężkiego?) pióra. Bo oto, na przykład, dowiemy się, że istniały kraje, których wiarygodność była pomniejszona przez nieprecyzyjną statystykę:

Ze względu na w przeważającej mierze szacunkowe dane dotyczące wielkości skupisk w poszczególnych krajach, których wiarygodność jest na dodatek pomniejszona przez bardzo prawdopodobne, przynajmniej dwukrotne, ujmowanie w statystykach tych samych osób [...] podanie łącznej wielkości polskiej emigracji po roku 1945 nie jest łatwe. [s. 55]

albo, że bal może wchodzić w skład jury:

Zabawę prowadził „Dziennik Polski” [...], a jej zwieńczeniem był wybór Miss dokonany przez jury, któremu przewodniczył Jan Kiepusza, a w skład wchodził: Marian Hemar, Włada Majewska i Loda Halama oraz Bal Miss Polonia w Ognisku Polskim. [s.105–106]

— a także, że można prowadzić działalność kulturalną, której stopa życiowa będzie wysoka a klimat sprzyjający:

Zdaniem Rady Polacy kierować się powinni przede wszystkim do krajów, w których znajdowały się już skupiska polskie, państw demokratycznych, gdyż gwarantowało to możliwość swobodnej działalności społecznej i kulturalnej, o wysokiej stopie życiowej i sprzyjającym klimacie. [s. 45]

— jak i tego, iż jeśli zarzucamy coś urzędnikowi to tak naprawdę nie my to czynimy, lecz sam obwiniany, bowiem nasze zarzuty są zewnętrzną oznaką (urzędnika) sposobu myślenia i działalności, ale może też być tak, że to, co my robimy jest wynikiem poleceń, jakie realizuje nie lubiany przez nas funkcjonariusz — zresztą, straszliwie to skomplikowane i lepiej objaśni autor książki:

Zarzuty, jakie kierowano pod adresem niektórych urzędników UNRRY, nie były więc przejawem ich samowoli czy też szczególnej niechęci wobec Polaków, a realizowania nadrzędnej polityki wobec wychodźców. [s. 11]

Czasem składnia Habielskiego produkuje frapujące zagadki, jak na przykład w zdaniu: „W akcji brał udział także Kościół inicjując pomoc żywnościową oraz większe i mniejsze organizacje społeczne” [s. 78]. — Konia z rzędem takiemu, który potrafi powiedzieć, kto w tym przypadku brał udział, a kto i co (lub kogo!) inicjował. Bywa i tak, że przedmiotem zagadki jest atrybucja wypowiedzi:

Począwszy od zakończenia wojny zwycięstwo pod Monte Cassino coraz częściej interpretowane było jako akt o dużej doniosłości natury militarnej oraz politycznej; bitwa była bowiem nie tylko rozstrzygająca dla losów kampanii włoskiej, ale stanowiła także wzmocnienie politycznej pozycji Polski. [s. 91]

— Kto zatem twierdzi, że bitwa umocniła polityczną pozycję Polski? — Jeżeli upierają się przy tym autorzy okolicznościowych wydawnictw emigracyjnych, o których to publikacjach wspomina się w następnych zdaniach, wtedy wszystko jasne. Ale jeśli to jest pogląd R. Habielskiego? — Ot, szarada!

Niestety, trzeba to powiedzieć, autorowi nie zawsze udaje się utrzymać na tak wysokim poziomie składniowej aberracji, bywa że popełnia błędy dalekie od finezji, prymitywne i bliskie wczesnoszkolnym standardom. Wtedy prezentuje pospolite (by nie powiedzieć — ordynarne) powtórzenia, np.: „[Popyt] Ten nie był wysoki i niewątpliwie ograniczany poziomem zamożności, który jednak na niskim poziomie utrzymywał się jedynie w okresie bezpośrednio powojennym” [s. 172], albo próbuje zająć uwagę czytelnika niefrasobliwym stosowaniem imiesłowu, przed czym przestrzega każda szkoła podstawowa, powielając do znudzenia „odstraszący” przykład wypowiedzenia: „Idąc do szkoły wykoleił się tramwaj”. Nie dbając o oryginalność, Habielski powiada: „Pamiętając o trudnych zazwyczaj warunkach, w jakich działała większość pism [...], zwraca uwagę stabilny na ogół żywot, jaki wiodły periodyki naukowe” [s. 151], albo: „Usiłując przeciwdziałać tym mankamentom z inicjatywy Akcji w początku lat pięćdziesiątych organizowane były cykle wykładów poświęconych życiu w rodzinie, [...]” [s. 115], albo... — można by przytoczyć w tym miejscu bardzo liczny zestaw cytatów.

Nie sposób jednak wymagać od autora, by zawsze wymyślał błędy oryginalne i świeże — zasób potencjalnych błędnych konstrukcji składniowych jest jednak zbiorem zamkniętym. Warto więc podkreślić, że tam, gdzie R. Habielski nie ma pomysłu na żadną niezręczność syntaktyczną, która mogłaby zachwycić nas swą niesamowitością i rozmachem, buduje drobne odstępstwa od reguł składni polskiej, jednak czyni to tak przemyślnie, że osiąga także efekt niezręczności zupełnie innego rodzaju: „Raczkiewicz był p i e r w s z y m t e j k l a s y z m a r ł y m w okresie powojennym politykiem emigracyjnym, [...]” — [s. 89, podkr. moje].

Powiedzmy i to, że inwencja autorska wkracza także na teren frazeologii i leksyki. Czytamy więc, na przykład, o „sprawie”, która „miała się diametralnie różnie” [s. 11], o „gamie środków” [tamże], o „łatwości w otrzymaniu pracy” [s. 53], „ułatwieniu w dostępności do rynku pracy” [s. 73], o organizacjach politycznych „*sensu stricte*” (zamiast: *sensu stricto*) [s. 81], o (w wielu miejscach) „wyższych wojskowych” (zamiast: starszych stopniem) i „wyższych dowódcach” (zamiast: wyższego szczebla). — Nigdzie jednak nie podano, od ilu centymetrów wzrostu liczył się „wojskowy wyższy”, a szkoda.

Najbardziej frapującym jest jednak to, że książka w takim kształcie językowym (przypominającym najlepsze wzory tzw. machejkizmu) wyszła spod pióra autora doświadczonego, sporo publikującego, firmowana jest nazwiskiem równie doświadczonego redaktora (Pawła Kądzieni) i szyldem zacnej instytucji naukowej — Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk. Chciałbym móc wierzyć, że stało się tu coś niezwykłego, na co nie mieli wpływu ani autor, ani redaktor, ani wydawca, ani recenzenci naukowcy temu (o ile tacy byli; w książce brak informacji na ten temat)...

*

Pozostawiając już kwestie językowe, powiedzmy słów parę o merytorycznej jakości przekazu, jaki otrzymujemy w tej książce. Pierwszy rozdział, zatytułowany „Wracać czy nie wracać” przynosi masę danych liczbowych, nad którymi autor nie zawsze potrafił zapanować, skoro prezentuje — w odstępnie kilku stron druku — skrajnie różne interpretacje tych samych faktów. Ponieważ rozdział, o którym mowa, poświęcony jest formowaniu się emigracji, zatem także motywacjom podejmowanych przez Polaków decyzji o pozostaniu na obczyźnie albo repatriacji, posłużmy się przykładem autorskich twierdzeń dotyczących tej tematyki. Na stronie 10 Habielski pisze:

Niewątpliwie dużą rolę odgrywały czynniki subiektywne, np. predyspozycje psychiczne, sytuacja rodzinna, a także opinie środowiskowe. Wszystko to zdaje się skutecz-

nie podważać spotykaną tu i ówdzie tezę mówiącą, że decyzje o pozostaniu na obczyźnie miały wyłącznie charakter deklaracji politycznej i przede wszystkim były udziałem inteligencji, powracali zaś przedstawiciele warstwy chłopskiej i robotnicy.

Na stronie 17 zaś czytamy: „Nie ulega przy tym wszystkim wątpliwości, że główny argument na rzecz pozostania na obczyźnie stanowiła polityka”.

— Różnica pomiędzy „wyłącznie” polityczną a „głównie” polityczną motywacją jest jasna, aczkolwiek bardzo subtelna i zadziwiająca u autora, który chwilę wcześniej krzywił się na „spotykany tu i ówdzie” pogląd, iż emigracja wyrosła z przyczyn politycznych. Co gorsza, masa liczb i procentowych wskaźników nigdzie, w żadnym miejscu, nie wyjaśnia, jaki był stosunek ilościowy inteligencji do nieinteligentnego żywiołu polskiego na obczyźnie. Skąd zatem pewność, że wśród pozostających poza Polską nie przeważali inteligenci? Czy procentowo inteligentów w społeczeństwie emigracyjnym było mniej czy więcej niż w kraju? — Dopiero dysponując takimi wiadomościami moglibyśmy powiedzieć, czy Druga Emigracja była chłopsko-robotnicza czy „głównie” inteligentka. — Nie ma jednak w wywodach Habielskiego takich danych. Może zresztą nie jest możliwym ich uzyskanie. Jeśli jednak byłoby tak istotnie, oznaczałoby to, że nie ma podstaw do rozstrzygnięcia tej zajmującej kwestii. Na jakiej zatem podstawie oparte jest owo twierdzenie, że wybór emigracji nie był przede wszystkim „udziałem inteligencji”? A jeśli byłoby tak, jak Habielski sugeruje, że wśród powracających do kraju nie dominowali chłopci i robotnicy, dlaczego dalej relacja dotyczy jedynie inteligentkich wyobrażeń na temat zadań emigracji? — Czy nie mamy tu do czynienia z dalece posuniętą niekonsekwencją? — Sądzę, że tak i odważę się wskazać przyczynę owych powikłań autorskiego wnioskowania. Wydaje się, że Habielski, wiedząc doskonale, że rozpowszechnione jest w Polsce przekonanie o inteligentkim charakterze Drugiej Emigracji, raz po raz potraktował je jak stereotyp — sąd powszechny i fałszywy. Ponieważ szanujący się badacz dziejów walczy ze stereotypami, Habielski od czasu do czasu mruga okiem porozumiewawczo i sugeruje czytelnikowi: „ja wiem, nie było to takie proste, jak zwykliście sądzić”!

Habielski wie jednak, że „zawężona” emigracyjna społeczność potrafiła wyprodukować w ciągu niespełna trzydziestu pięciu lat ok. 20 000 książek. Może warto by porównać tę liczbę z dorobkiem literackim pierwszych dziesięcioleci Polonii amerykańskiej, bez wątpienia emigracji niepolitycznej i nieinteligentkiej? A może wystarczyłoby odnieść te 20 tysięcy do rozmiarów produkcji książkowej krajowej za ten sam okres, uwzględniając różnicę liczebną społeczeństwa Polski powojennej i społeczności w diasporze? — Sądzę, że gdyby Rafał Habielski takiego zestawienia dokonał, nie musiałby się obawiać, iż przyjęcie przekonania o „przede wszystkim” inteligentkim charakterze Drugiej Emigracji będzie powielaniem stereotypu.

Są jednak wątki, które Habielski porusza nie lękając się stereotypów, a przeciwnie — z lubością w nich grzęzną. Jest tak zwłaszcza tam, gdzie mowa o życiu kulturalnym i literackim emigracji. Schemat, którym najczęściej posługuje się autor jest właśnie stereotypem wytworzonym w kraju w ostatnich latach. Chodzi o fałszywy rozdział wartości, powiązany z wyborami politycznymi. Schemat prezentuje się następująco: doktryna „niezlomności” przyjęta przez „polski Londyn” powodowała regres intelektualny tego środowiska. Otwarcie na kraj paryskiej „Kultury” sprzyjało zaś rozwojowi myśli w jej kręgu. Zgodnie z powyższym, pisarzy-emigrantów dzieli się na wstecznych „wspominkarzy” związanych z Londynem, zaś pisarzy-intelektualiści to autorzy „Kultury”. Stereotyp, zgodnie ze swą naturą, nie przejmuje się faktami — istnieje wbrew nim. Dla głosiciela stereotypu nie ma więc znaczenia choćby to, iż ścisły podział autorów na „kręgi” („Kultury” i „Wiadomości”) jest po prostu wyobrażeniem fałszywym. Nie chcąc mnożyć przykładów wspierających to ostatnie twierdzenie, zapytam tylko: czy pisarz-uosobienie londyńskiej „niezlomności” — Józef Mackiewicz — wszystkie swe istotne wypowiedzi publicystyczne i literackie ogłosił w „kręgu” „Wiadomości”, czy może sporą ich część w „kręgu” „Kultury”? Czy Gustaw Herling-Grudziński był tylko autorem „paryskim”, czy także „londyńskim”? Jak było z Hauptem? Jak ze Stempowskim? Jak z Wierzyńskim? — Jestem pewny, że Rafał Habielski zna odpowiedź na te (i wiele innych) pytania! Rzecz w tym, że znajomość faktów nie przeszkadza mu w powtarzaniu sądów tak ostrych jak i kłamliwych. Dowiadujemy się zatem, że w londyńskiej prasie nie było „istotnych” dyskusji i polemik — bo takie, oczywiście, były tylko w „Kulturze”. Każdy, kto przeszedł chociażby polemiki drukowane na łamach „Wiadomości” (a Habielski uczynił to na pewno) wie, że były wśród nich także „zasadnicze” i „istotne”. Podobnie z książkami. Zdaniem Habielskiego, książkowa produkcja Londynu to przede wszystkim pozycje „lżejsze” i schlebujące gustom

czytelniczym. Książki ważne ukazywały się zaś w Instytucie Literackim. Ot, po prostu. Pytam: czy w Paryżu nie zdarzały się wydawnicze knoty, a żadne z emigracyjnych arcydzieł nie wyszło w „polskim Londynie”? — Problem w tym, że można mieć wątpliwości czy autor książki jest w stanie ocenić, które z dzieł literackich są wybitnymi, które zaś pośledniejszymi. Pisząc o literackiej produkcji „wspomnieniowej” (londyńskiej, oczywiście) Habielski w ogóle nie zauważa różnicy jakościowej pomiędzy tekstami wspomnieniowymi *sensu stricto* a całym nurtem literackich kreacji, mających za punkt wyjścia wspomnienie „kraju lat dziecinnych”. Podobnie nie rozróżnia „memuarystyki” od literatury pięknej, gdy pisze o nurcie kresowym, czyniąc zeń obszar produkcji (wyłącznie) sentymentalno-ckliwej i intelektualnie regresywnej. Wolno sądzić ponadto, że autor niedostatecznie poznał literaturę Drugiej Emigracji, skoro mówiąc o tych, którzy zaznajamiali czytelnika obcego z polskim dorobkiem literackim potrafi wymienić jedynie Jerzego Pietrkiewicza i — Stefanię Kossowską. Nie słyszał więc zapewne o takich pisarzach-emigrantach, zarazem profesorach uniwersyteckich uczących dziejów literatury polskiej, jak choćby: Florian Śmieja, Marian Pankowski czy Bogdan Czaykowski. Spośród pisarzy i poetów prawdziwie wybitnych nie tylko oni zresztą nie zasłużyli na wzmiankę, najwyraźniej nie pasując do przyjętego tu schematu wartościowania. Nie ma mowy, na przykład, o Bolesławie Taborskim, ani jako poecie, ani działaczu społecznym (w rozdziale poświęconym społecznym organizacjom). Swoistym skandalem jest nb. uznanie „Kontynentów” jedynie za pismo służące spoistości poetyckiej grupy, pozbawione społecznych oddziaływań. Nie istnieje na kartach tej „syntezy” Bogumił Andrzejewski — ani jako poeta, ani jako naukowiec sławy światowej (w rozdziale poświęconym osiągnięciom nauki polskiej na obczyźnie). Swoistego smaczku tym autorskim zaniechaniom dodaje natrętne promowanie niektórych nazwisk i wyolbrzymianie zasług osób zasłużonych (w danej dziedzinie) umiarkowanie. Oto, np., dowiadujemy się, że przełomowym faktem w historii wychodzenia polskiego piśmiennictwa poza diasporę i docierania do czytelnika obcego był przekład angielski i francuski dzieła Józefa Garlińskiego *Oświęcim walczący* (zob. s. 160)! Nie wiadomo właściwie, jak taką rewelację potraktować? Czy autor nie zna tych emigracyjnych dzieł literackich oraz publicystyczno-historycznych, które przed połową lat 70. robiły międzynarodową karierę? — Chyba jednak zna, przynajmniej niektóre z nich, a w takim razie chodziłoby w tym wypadku o szczególne wyeksponowanie osiągnięć J. Garlińskiego. Jeśli rzeczywiście taka intencja przyświecała R. Habielskiemu, należało po prostu napisać esej o Garlińskim, co jest prostsze i mniej pracochłonne od udawania, że tworzy się zobiektywizowaną syntezę „życia społecznego i kulturalnego” Drugiej Emigracji. Nieśmak wywołuje także twierdzenie na temat ZPPnO:

Związek prowadzący w okresie powojennym ożywioną działalność [...] stracił nieco na aktywności w końcu lat pięćdziesiątych. [...] Ponownej dynamiki stowarzyszenie nabrało w połowie lat siedemdziesiątych, na co wpływ miało objęcie prezesury przez Józefa Garlińskiego.

— Nie wiem, na jakiej podstawie można mówić o zapaści pisarskiej organizacji „w końcu lat pięćdziesiątych” — prezesura Tymona Terleckiego z lat 1955–1959 wydaje się niezwykle ważnym w historii związku okresem. Gdyby jednak któryś z czytelników miał tego rodzaju wątpliwości, na pewno przestanie je mieć, gdy pozna źródło, z pomocą którego można sfalsyfikować ów kategoryczny sąd o odnowieniu Związku przez Garlińskiego. Źródło podane jest w przypisie, na tej samej (157) stronie: „J. Garliński, *Świat mojej pamięci. Wspomnień tom drugi*, Warszawa 1998, s. 292 n.”

Bywa jednak i gorzej, gdy wybiórcze podawanie źródeł służy umocowaniu przemilczenia czy, po prostu, kłamstwa. Na s. 134 czytamy:

[...] Jan Nowak zaprotestował przeciw zarzutom wobec polityki Kościoła, postawionym w „Wiadomościach” przez Józefa Mackiewicza. Odmowa umieszczenia sprostowania stała się powodem przeniesienia dodatku [tj. „Na Antenie”] do „Orla Białego”.

— Wszyscy znający sprawę wiedzą, że Jan Nowak nie żądał „sprostowania”, ale po prostu zamknięcia ust Mackiewiczowi, poprzez pozbawienie go możliwości publikacji i — *de facto* — wykluczenie z emigracyjnej społeczności. Wiedzą też, na podstawie odpowiedzi J. Sakowskiego, że w „Wiadomościach” uznano takie żądanie za zamach na wolność słowa i próbę wprowadzenia przez RWE cenzury prewencyjnej na emigracji. Gorzej z tymi, którzy ze sprawą zetkną się po raz

pierwszy czytając książkę Habielskiego — tych autor odeśle po informacje do jednego „źródła”: wspomnieniowej książki Jana Nowaka! — Pytam: co takie postępowanie ma wspólnego z warsztatem naukowym historyka, z postępowaniem badawczym w ogóle? — Dodam, że pisząc o najpóźniejszym z konfliktów pomiędzy tym, co Habielski nazywa „polityką Kościoła” a częścią emigracyjnej społeczności (nb. w tym wypadku częścią, w której zjednoczyli się przedstawiciele „polskiego Londynu” i „Kultury”), pomija zupełnie najważniejsze teksty protestacyjne, autorstwa Barbary Toporskiej i Józefa Mackiewicza, odsyłając czytelników jedynie do artykułu J. Mieroszewskiego i dwóch dzieł identyfikujących się ze stanowiskiem Episkopatu (zob. s. 124). — Czy wolno historykowi w ten sposób omijać tzw. zagadnienia drażliwe? — Wolno, o ile inaczej pisać nie potrafi. Rzecz w tym jedynie, by nie udawać badawczego obiektywizmu, tam, gdzie go programowo się unika. Nie oszukiwać czytelnika i nie podawać mu zaangażowanej publicystyki w mylącym opakowaniu naukowej syntezy. Bo jeśli się tak postępuje, wówczas tworzy się — by użyć smakowitego sformułowania autorstwa R. Habielskiego — „w sposób uproszczony, a na dodatek tendencyjny”, a olbrzymia praca, jaką musiała być lektura wielu dokumentów, materiałów archiwalnych, tekstów prasowych i naukowych zostaje zmarnowana. Na własne życzenie autora.

Wacław Lewandowski

Opowieść rozumiejąca

Andrzej Stanisław Kowalczyk, *Giedroyc i „Kultura”*. Wrocław: Wyd. Dolnośląskie, 1999, 312 s., il. — Seria „A to Polska właśnie” (brak recenzentów).

„Kultura” to bez wątpienia mit zbiorowego życia Polaków. Jednak wraz ze zmianą rzeczywistości politycznej należałoby się spodziewać jakiegoś racjonalnego zbadania, może nawet nie tyle historii samego pisma i skupionego wokół niego środowiska, bo tu mamy już do dyspozycji kilka znakomych tekstów, lecz głębokiej analizy stanowisk wokół pisma stworzonych, ich recepcji zarówno w środowiskach emigracyjnych jak i krajowych oraz siły i kierunków ich oddziaływania. Wbrew pozorom nie wszystko zostało jeszcze powiedziane, wiele istotnych kwestii czeka na opisanie i interpretację. Najlepszy dowód, że publikowane bloki korespondencji różnych autorów od i do redaktora Giedroycia dopisują kolejne elementy swojej układanki jaką było zjawisko Instytutu Literackiego i wydawanego przez niego pisma.

„Kultura” to ponad pięćdziesięcioletni okres wydawania pisma, które stanowiło jeden z najistotniejszych fenomenów polskiego wychodźstwa po drugiej wojnie światowej. To również niezwykła postać jej głównego animatora, założyciela i po dzień dzisiejszy jej redaktora naczelnego. Stworzony i skupiony wokół niego zespół ludzi, to opiniotwórcze środowisko, które odgrywało znaczącą i istotną rolę w rozwoju polskiej literatury, szerzej: w ogóle humanistyki, w którym tworzone programy polityczne, społeczne, artystyczne wpływające następnie i kształtujące świadomość wielu Polaków. Oddziaływanie to jest nie do przecenienia. Trzeba również i o tym pamiętać, że było to zjawisko — i wciąż jest — o skali i rozmiarach niespotykanych wśród jakiegokolwiek dwudziestowiecznej emigracji. Księciu-Giedroyciowi udało się skoncentrować wysiłki tych emigrantów, których widzenie i rozumienie świata, jego powojennego porządku, było rozleglejsze i głębsze od doraźnych, tyleż zwyczajowych, co formalnych swarów, animozji, urojonych bojów o rząd dusz, imaginacyjnych palm pierwszeństwa, ostoi „prawdziwej” polskości, jakże przecieży typowych właśnie dla środowisk emigracyjnych. Zespół ów w każdym momencie swego istnienia i na każdym etapie zawirowań politycznych, starał się konsekwentnie podążać drogą niezależności, wypracowania własnych opinii. Choć istniał poza krajem, wciąż poszukiwał z nim kontaktu, pełen ciekawości i życzliwości dla zwykłych ludzi, żywotnie zainteresowany nadwiślańskim eksperymentem.

Właściwie należałoby zwrócić uwagę na fakt, że znaczenie i oddziaływanie „Kultury” na pewno nie było efektem przebywania na emigracji, choć egzystencja w tzw. wolnym świecie, swobodny obieg myśli, osiągnięciu tak znaczących efektów niewątpliwie w dużej mierze sprzyjała. Wielkie przedsięwzięcie stanowiło zjawisko jedyne w swoim rodzaju. Niepowtarzalne, a więc trudne do oceny w kategoriach analogii, bo stanowiące samo dla siebie jedyny wzorzec.

Wydaje się więc, że wreszcie przyszedł czas, aby fenomenem tym zająć się z chłodnym dystansem badacza, podjąc szczegółowe analizy i interpretacje, opisowi poddać dla przykładu program polityczny „Kultury”. (Warto w tym miejscu wspomnieć, że istnieje już bardzo drobiazgowo analiza ewolucji myśli politycznej pisma obejmująca lata 1947–1980, autorstwa Janusza Korka, wydana w 1998 roku w Sztokholmie. Należałoby jak najszybciej postarać się o krajową reedycję tej cennej książki.)

Giedroyc, jak mało kto, umiał szybko i racjonalnie reagować na te zdarzenia i zjawiska, które związane były ze zmianami globalnego układu sił, jak i sprawami dotyczącymi tego, co dzieje się w Polsce. Był w stanie korygować swoje dotychczasowe idee, a nawet odrzucać zbędne. Giedroyc to przede wszystkim genialny inspirator. Nie tylko na polu działań w zakresie polityki, ale także literatury, czy w ogóle szeroko rozumianej kultury. Był w stanie pokazywać odległe, lecz realne znaki, ustanawiać dalekie cele, zaś drogę do nich tworzyli już inni. Budowali na wielu płaszczyznach, absorbując do tych prac i działań liczne grono osób. Sam Jerzy Giedroyc twierdzi, że: „Jeżeli ma jakiś talent, to jest to talent reżysera: umiejętność dobierania tematów i ludzi”.

Żadne pismo, o najwspanialszych nawet zaletach, nie mogłoby istnieć bez czytelników. „Kultura” zawsze ich miała i zawsze byli to czytelnicy wierni, bo Redaktor poprzez swoje działania zbudował jego trwałą autorytet. Był on wynikiem tyleż wyrazistej linii programowej, co efektem zdobywania wciąż od nowa intelektualnej niezależności. To autorytet oparty na wyrazistym wzorcu etycznym, na poszanowaniu prawa do głoszenia odmiennych poglądów, ale i na odwadze podejmowania śmiałych eksperymentów społecznych czy estetycznych.

Pisząc w pierwszym zeszycie „Archiwum Emigracji” o książce Andrzeja Zawady na temat twórczości Miłosza (w tej samej serii „A to Polska właśnie” ukazał się tom *Giedroyc i „Kultura”*) wyrażałem podziw dla ludzi, którzy podejmują się stworzenia dzieł wielkich. Niezwykle trudne to bowiem zadanie opisać, przy tym na niewielu stronach i w formie popularnej syntezy, coś, co po pierwsze jest zjawiskiem wciąż trwającym, a po drugie takim, które na przestrzeni ponad półwiecza wytworzyło gigantyczną ilość materiałów. Wciąż do końca nie znanych i różnorodnych. Te dziesięciolecia, które od 1947 roku upłynęły, nawarstwiły ich nieprzebraną ilość. O dalszej recepcji i oddziaływaniu nie wspomnę. Ogromnej pracy wymaga przejście całego zbioru numerów pisma. Do tego dochodzi przecież bogata „Biblioteka «Kultury»”, „Zeszyty Historyczne”, kilka opublikowanych już bloków korespondencji. W końcu pokażny, choć na ogół wrywkowy, zbiór literatury przedmiotowej, zapisów rozmów, wywiadów, reportaży, licznych studiów i opracowań. A jakby wszystkiego tego było jeszcze za mało, książka ma postać, jak się już rzekło, popularnej syntezy. Przedsięwzięcia, wbrew pozorom — takie jest moje zdanie — o wiele trudniejszego w realizacji niż napisanie hermetycznej, zajmującej się jakimś jednym aspektem, rozprawy naukowej. Właśnie takiego wielkiego dzieła podjął się Andrzej Stanisław Kowalczyk. I sztuka ta autorowi *Niespiesznego przechodnia* znakomicie się udała. Książka z całą pewnością nie jest powierzchowna. Napisa- na z fenomenalną znajomością przedmiotu (zapewne praca nad monografią dorobku Jerzego Stempowskiego nieco tu pomogła, bo to przecież jeden z filarów tego podparyskiego środowiska), pokazująca umiejętność autora do formułowania rzeczowych sądów uogólniających, może niewątpliwie zadowolić zarówno czytelnika niezorientowanego dotąd w sprawach meandrów polskiej i światowej polityki powojennej, miejsca, roli i znaczenia „Kultury” jako pisma, a przede wszystkim skupionego wokół niego środowiska i postaci samego Redaktora, jak i specjalistów badających dzieje polskiej emigracji, literatury na wychodźstwie czy wreszcie znawców spraw politycznych.

Najbardziej zwięźle można by zapewne książkę tę określić mianem przewodnika — w ujęciu chronologicznym — po życiu i dziele Jerzego Giedroycia, po głównych, najistotniejszych problemach środowiska „Kultury”, niekiedy określanej dodatkowo mianem „paryskiej”. Ponadto nazwał- bym jeszcze omawianą książkę opowieścią rozumiejącą, a zarazem afirmującą. Być może należa- łoby środowisko „Kultury”, jego poglądy i wizje, ocenę wpływów, poddać ostrzejszej weryfikacji, choć wątpię, aby w takim wypadku nastąpiły jakieś gruntowne przewartościowania. Waleru naj- większego książki Kowalczyka i tak upatruję w niezwykle bogatym materiale informacyjnym, który czytelnikowi pomaga uświadomić sobie wagę dzieła Giedroycia, tyleż przez niego samego stworzonym, co z jego nazwiskiem utożsamianym, dla Polski, a może i nowoczesnej Europy.

Jan Wolski

Szkice do różnych obrazów

W kręgu twórczości pisarzy emigracyjnych. Studia i szkice. Pod red. Zbigniewa Andresa. Rzeszów: Wyd. Wyższej Szkoły Pedagogicznej, 1999, 362 s. (opiniował Jacek Łukasiewicz).

Studia i szkice pod wspólnym tytułem *W kręgu twórczości pisarzy emigracyjnych* nie budzą ambicji komentowania ich jako całości zbioru. Co prawda książka rzeczywiście nastawiona jest na omówienie polskiej twórczości literackiej na emigracji, lecz pojedyncze, różnego autorstwa teksty czynią to w sposób ogromnie zróżnicowany. Proponowana tematyka, jej zakres, sposób prowadzenia wywodu silnie je autonomizują. W rezultacie zbiór pod redakcją Zbigniewa Andresa nie pozwala uznawać się za całościowe porządkowanie i interpretowanie problematyki. Jest to rozpisany na wiele głosów jeszcze jeden przyczynek do budowania, lecz raczej nie weryfikowania obrazu literatury emigracji.

Na potrzeby niniejszego omówienia przyjmuje się metodę „od ogółu do szczegółu”, czyli sposób takiego, w krytycznym ujęciu, prezentowania tekstów, który prowadzi od opracowań syntezujących do skupionych na pojedynczym motywie, wąskim zagadnieniu literackim.

Otwiera książkę, publikowany wcześniej w „Kulturze”, szkic Stanisława Beresia *Literatura emigracyjna (1945–1990). Zarys periodyzacji*. W konfrontacji z innymi opracowaniami odchodzi autor od symbolicznej cezury roku 1939 jako inicjalnego dla literatury emigracji. Jako datę w tym względzie obowiązuje wprowadza rok 1945. Wyznaczając jednak topografię literacką (w plan podstawowych rodzajów literackich wpisuje badacz najważniejsze kręgi tematyczno-problemowe) uznaje fakty i zjawiska o znaczeniu symbolicznym. Musi to prowadzić do mało odkrywczych ocen i konwencjonalnych komentarzy. Dokonując próby ustalenia przyczyn wyznaczonego kształtu „mapy literackiej” popada autor w ciągi wyliczeń. Odnotowuje odpływy i przyływy emigracji, zgony pisarzy, wydarzenia polityczne, rejestruje najważniejsze tytuły i nazwiska, tak iż szkic staje się ich inwentaryzacją. Dodać trzeba — inwentaryzacją ogromnie istotną, gdyż wprowadza porządek na poziomie podstawowym. Oczywiście pozostaje jednak koszt skrótowej charakterystyki problemów wieloaspektowych, który stanowi uproszczenie. W sposób szczególny zajmujący jest szkic Adama Dziadka *Wiersze somatyczne Aleksandra Wata*. Tekst pozostaje ogólny w tym sensie, iż dokonując analizy i interpretacji utworów poetyckich proponuje równocześnie metodologię o szerokim zastosowaniu. Za Henri Meshonnicem przyjmuje oraz wyjaśnia Adam Dziadek metodę badania statusu podmiotu poetyckiego poprzez rytm (wyczerpujące wyjaśnienie teorii znajduje się w książce Dziadka *Rytm i podmiot w poezji Jarosława Iwaszkiewicza i Aleksandra Wata*). Jednak rytm należy przyjmować nie w popularnym platońskim rozumieniu (rytm związany z metrum), ale jako organizację sensu na wszystkich poziomach dyskursu. W takim ujęciu sens pozostaje działaniem podmiotu wypowiadającego, zaś rytm organizacją cech podmiotu wytwarzającego różną od tekstu leksykalnego semantykę (metrum stanowi tutaj rodzaj akompaniamentu). Rytm odbija niejako podświadomość podmiotu, pozostaje jego wewnętrzną, lecz niekontrolowaną przezeń instrumentacją (w przeciwieństwie do metrum). Niezależnie od efektów opracowania „poprzez rytm” poezji Wata, propozycja badacza pozostaje metodą ogromnie ciekawą i przynoszącą nieoczekiwane efekty. W tekście pod znamienym tytułem *Z marzeń poety emigracyjnego. Notatki* (publikowany również w „Arkadii”) zagadnienie postawy badawczej rozważa Marek Pytasz. Podtytuł szkicu Pytasza pozostaje w pewnym stopniu kokieterijny, sugestia pospiesznej i niedopracowanej formuły notatnika nie znajduje potwierdzenia. Głęboko i wnikliwie, co w rezultacie prowadzi do podejścia maksymalnie obiektywnego, analizuje Pytasz problem zakresu badań literackich twórczości emigracyjnej. Podkreślony brak stronniczości oznacza, iż nie pozostaje badacz zwolennikiem zawężania go do ustalonego kanonu znanych nazwisk ani orędownikiem bezkrytycznego przywracania świadomości czytelniczkiej całości dorobku emigracji, który w większości pozostaje artystycznie słaby. Owa wątpliwość artystyczna wynika, jak stwierdza Pytasz, z prymarnego nastawienia na poczytność (marzenie poety), rezygnacji z ryzykownej oryginalności, obniżania artystyczności w ramach dostosowywania jej do ogólnego poziomu percepcji. Nie znaczy to jednak, iż rezygnować należy z badawczej penetracji tej części zbiorów. „Bez świadomości (...) [jej] istnienia, rozległości i ewentualnych niespodzianek trudno budować solidne uogólnienia i ostateczne podziały” (s. 61). Interesujący pozostaje tekst Aleksandra Fiuta *W mojej ojczyźnie, do której nie wrócę...*

Rozpatrując imaginacyjne powroty Czesława Miłosza na Litwę uznaje je badacz za osobny i ważny temat jego poezji. Zauważa jednocześnie, że zagadnienie, choć eksploatowane w konwencji romantycznej, przełamuje stereotypizację oraz udowadnia otwieranie się poetyckiej wyobraźni na nowe przestrzenie, które z czasem zajmują w poezji Miłosza pozycję niemalże równoprawną wobec obszarów wywołanych przez wyobraźnię. Niemalże, bo aktualna przestrzeń osiedlenia zyskuje dociężenie właściwe realnej rzeczywistości, natomiast „przeszłe” nie posiada takiego uwiarygodnienia. Wchodzi tutaj Aleksander Fiut w pole rozważań uniwersalnych dotyczących skuteczności rewaluowania przez mityzację tego, co zdewaluowało się w czasie. Problemy potwierdzania siebie z przeszłości przez rekonstruowanie własnej genealogii, przewycięzania przez poezję niszczącego działania czasu i ludzkiej niepamięci pojawiają się jako konieczne dla rozpatrujących osobistą tożsamość. Nie znajdują one definitywnego rozwiązania w poezji Miłosza, wnoszą jednak — jak konstatuje Aleksander Fiut — pokorę prawdy i pewną naukę. Poezja przynajmniej w pewnym stopniu stanowi indywidualne ocalenie i daje moc przetrwania wobec czasu. Zaś tożsamość pozwala się określić jako jedna z hipotetycznych — zaistniały akurat scenariusz biografii.

Kolejne pomieszczone w zbiorze szkice charakteryzują się wąskim sposobem badawczego ujęcia. Na przestrzeni indywidualnych dzieł literackich reasumują występowanie pewnych wątków lub motywów, albo pod kątem wybranej konwencji analizują twórczość wybranego autora, nierzadko pojedynczy utwór. Magdalena Rabizo-Birek obszarem badań czyni blisko trzydziestoletni okres życia i twórczości Włodzimierza Odojewskiego („*Ból, który oczyszcza*”. *Doświadczenia emigracyjne Włodzimierza Odojewskiego*.) Autorka podjęła próbę, dodać trzeba udaną, wykazania w jaki sposób doświadczenie emigracji wpłynęło na pisarstwo Odojewskiego, i jak z perspektywy poetyki literatury emigracji się ono prezentuje. Rejestruje autorka szkicu problemy i zagadnienia oraz środki ich ekspresji jakie wniosła sytuacja emigracji. Ocenia jakie miejsce zajmuje Odojewski w obrębie polskiej literatury emigracyjnej. Skróconą biografię, najistotniejsze fakty i osiągnięcia literackie oraz charakterystykę poezji Adama Lizakowskiego podaje Zbigniew Andres w szkicu „*Błogość dziecinna o gorycz rozpacz*”. *O Adamie Lizakowskim*. Jest to tekst raczej porządkujący faktografię dotyczącą poety, inwentaryzujący pewne motywy jego poezji, a nie pogłębione jej opracowanie, wnikliwa analiza. Specyficzną prezentacją biografii pozostaje szkic Aleksandra Madydy *Emigracyjna biografia Zygmunta Haupta*. Emigracyjny życiorys pisarza przedstawiony zostaje z perspektywy jego działalności wydawniczej, opowiedziany poprzez korespondencję z wydawcami, niejako wyznaczony przez osiągnięcia i porażki autora publikowanego lub pozbawionego możliwości publikacji. O specyfice rekonstrukcji biografii, której poszerzenie znajduje się w monograficznym opracowaniu życia i twórczości Haupta, przesądziła dostępność archiwaliów, głównie korespondencji pisarza z „Wiadomościami”, „Tematami” oraz „Kulturą”. Krzysztof Cwikliński z pasją analizuje problem kwalifikacji gatunkowej *Z notatek modelarza* Andrzeja Bobkowskiego („*Trochę różnych myśli, które przyjdą do głowy*”. *O literackiej formie notatnika w twórczości Andrzeja Bobkowskiego*). Wbrew tytułowi utwór *Z notatek modelarza* nie podlega kategorii notatnika, lecz — jak bezapelacyjnie rozstrzyga Cwikliński — dziennika. Na podobnej zasadzie, lecz już nie w sposób tak jednoznaczny dotyczy to innych utworów Bobkowskiego. Sugerowana kategoria notatnika byłaby zaś, zdaniem badacza, gestem powodującym nastawienie czytelnika, projekcją sposobu lektury. Zainspirowany utworem Janusza Jasieńczyka *Słowo o bitwie*, zwarty, nasycony konkretem, nieskomplikowany w swoim wywodzie pozostaje szkic Jerzego Jarzębskiego *Spółczeństwo na polu bitwy*. Bitwa, mozaikowość postaw żołnierzy poddanych ekstremalnej próbie intelektu i charakteru pozostaje dla Jasieńczyka, jak trafnie zauważa Jarzębski, swoistą epifanią, momentem prawdy odsłaniającym autentyczne postawy ukryte w ludziach. Inną jest rzeczą w jaki sposób, odkrywczy czy też upraszczający, sytuuje owe prawdy w ludziach autor. W tej sprawie Jarzębski nie przyznaje mu oryginalności. Skromny stan badań nad twórczością Sergiusza Piaseckiego powiększa Agata Paliwoda (*Grymas śmiechu. Uwaga o emigracyjnych powieściach Sergiusza Piaseckiego*. „*Siedem pigulek Lucyfera*” i „*Zapiski oficera Armii Czerwonej*”). Wbrew tytułowi szkicu dość szeroko analizuje autorka wymienione powieści. Niezależność osobistą pisarza wiąże z dominującą w jego utworach, godzącą w totalitaryzmy konwencją kpiny, prześmiewczości, sarkazmu. „Ironia, dowcip, anegdota, parodia języka oficjalnego pełnią rolę demaskatorską wobec prezentowanego świata” (s. 257). W dziedzinie demaskacji prymitywizmu ideologii i propagandy przed Ważykiem, Mrożkiem, Miłoszem, Białoszewskim, Andrzejewskim, Głowackim, Barańczakiem pierwszeństwo przypisuje badaczka Piaseckiemu. On to, zdaniem

Agaty Paliwody, antycypuje odkrywcość tekstów wspomnianych autorów. W szkicu *Leopolda Tyrmanda pisarskie zmagania z komunizmem* Jolanta Pasterska zastanawia się w jakim stopniu artystyczny światopogląd pisarza został zdominowany przez okoliczności polityczne. Kompozycja i konstrukcja utworów, literackie sposoby opisu rzeczywistości, konwencja prezentowania bohaterów — wszystko to podporządkowane pozostaje obsesyjnemu antykomunizmowi. Tym samym, jak trafnie zauważa autorka szkicu, popada Tyrmand w rodzaj pisarskiej zależności. Schematyzm waloryzowania i negatywnego przedstawiania bohaterów, wszechpanujące rozróżnienie na złe, a więc proweniencji komunistycznej oraz dobre, zatem z komunizmem niespokrewnione stanowi obciążenie dzieł Leopolda Tyrmanda i obniża artystyczny poziom jego pisarstwa. Z satysfakcjonującą dozą swady, tempem i jasno napisany jest szkic Krystyny Ruty-Rutkowskiej *Rozróżba w narodowej mitologii Mariana Pankowskiego*. Tekst zajmuje się demaskacjami jakich w dramacie *Nasze srebra*, powieści *Matuga idzie. Przypadki* oraz utworze teatralnym o późnym Słowackim *Nasz Julo czerwony* dokonuje Pankowski. Pisarz czyni to wobec romantyzmu jako „nicością podszytego paradygmatu współczesnego polskiego światoodczucia”, w którym główną rolę grają zużyte mity Wodza Narodu, Wieszcza oraz Wielkiej Emigracji. Kompromituje je Pankowski jako w polskiej rzeczywistości powojennej całkowicie bezużyteczne i przerażająco śmieszne. Związki z tradycją romantyczną w wierszach Józefa Łobodowskiego poddaje badaniu Alicja Jakubowska-Ożóg (*Romantyczne źródła emigracyjnej poezji Józefa Łobodowskiego*). Rozpatrując owe związki analizuje autorka na jakiej funkcjonują zasadzie, w jaki sposób sytuują Łobodowskiego względem postaw podobnie spadkobierczych wobec romantyzmu. Szkic Jakubowskiej-Ożóg daje dość ogólne pojęcie o reinterpretacji tradycji romantycznej u Łobodowskiego. Jak w podsumowaniu stwierdza autorka polega ona na „akceptacji pewnych wątków, pominięciu lub jedynie zasygnalizowaniu innych. Romantyzm jest dla poety „tradycją kluczową” (...) [Jednak] staje się także nadmiernym balastem, który trudno odrzucić, ale i trudno zaakceptować do końca” (s. 86). Polem swego zainteresowania czyni poezję Wacława Iwaniuka (*Motyw samotności w wierszach Wacława Iwaniuka*). W osamotnieniu kanadyjskiego poety dostrzega badacz patronat Norwida, bliskie powinowactwo z romantycznym artystą dostrzega również (czy nie nazbyt upraszczając?) w jego biografii, przekonaniach i światopoglądzie. Podejmuje Wolski próbę wyodrębnienia w poezji Iwaniuka elementów, które konstytuują rozwijany w niej wątek samotności. Czyni to jednak w sposób dość skrótowy i nieprzekonujący. Dominantę motywu opracowuje również tekst Donata Niewiadomskiego *Wizerunek Matki Boskiej w liryce Jerzego Pietrkiewicza*. W poezji Jerzego Pietrkiewicza poprzez motywikę maryjną dokonuje się ekspozycja rodzaju przestrzeni sakralnej. Semantyka chrześcijańska staje się tutaj budulcem wielostronnej refleksji. Autor szkicu analizuje dokonywane przez Pietrkiewicza eksploatacje motywów maryjnych i bada je w odniesieniu do ich znaczeń utrwalonych w historii, kulturze, podaniach, ikonografii ludowej. Wizja maryjna w wierszach Pietrkiewicza, jak podsumowuje Donat Niewiadomski, odpowiadając ludowo — polskiej mentalności religijnej stanowi jednocześnie perspektywę nie docelową, ale punkt wyjścia dla rozważań na poziomie osobistym, ogólnoculturalnym i historycznym. Szkic wydaje się ważny z punktu widzenia kulturowego, szkoda jednak, że w dziedzinie motywiki sakralnej nie bada autor swoistych nadwyżek semantycznych. Wiadomo, że poezja Pietrkiewicza, choć nie w sposób prosty silnie wspiera się na planie biograficznym i nie pozwala interpretować jedynie poprzez odniesienia kulturowe. Utrwalonej w kulturze semantyce nadaje Pietrkiewicz nowe, indywidualne znaczenia oczywiste w kontekście biograficznym. Ze wskazanej niejako ułomności szkicu tłumaczy się jednak sam autor dodając w podtytule, że jest to szkic po pierwsze kulturowy, potem literacki.

Książka pod redakcją Zbigniewa Andresa poszerza stan badań nad literaturą emigracji, nie czyni jednak tego w sposób systematyczny. Badania reprezentują odmienne, indywidualne podejścia, analiza tekstów dokonuje się na różnych poziomach i zasięgiem swoim obejmując zróżnicowane przedmioty i ich zakresy. Owa heterogeniczność sprawia jednak, że zbiór *W kręgu twórczości pisarzy emigracyjnych* uznać trzeba za rzeczywiście interesujący.

Barbara Czarnecka

Rozczarowujące *Emigracje*...

Józef Olejniczak, *Emigracje. Szkice – studia – sylwetki*. Katowice: Agencja Artystyczna „PARA”, 1999, 236 s. (rec. Leonard Neuger).

Tytuł książki Józefa Olejniczaka wiele zapowiada, jednak sama pozycja rozczarowuje. Wszystkie zarzuty, jakie można jej postawić, sprowadzić się dadzą do jednego: *Emigracje. Szkice – studia – sylwetki* nie są tym, czym być by chciały, nie są także tym, czym być by mogły...

„*Emigracje* są wyborem szkiców pisanych przez dwanaście lat, są też dla ich autora rodzajem «pożegnania» z problematyką związaną z literaturą emigracyjną w jego własnych badaniach” — głosi nota umieszczona na okładce. Zdawać by się zatem mogło, że książka tak reklamowana jest pewnego typu podsumowaniem osiągnięć badawczych Józefa Olejniczaka. Równocześnie sugerowane odejście od poruszanej w niej tematyki winno — zgodnie z przyjętym zwyczajem — zostać uwieńczone syntetycznym ujęciem omawianych zagadnień. Tak jednak się nie stało. Szereg szkiców zawartych w tomie nie pretenduje choćby do miana prób syntetycznego ujęcia danych zjawisk, lecz stanowi raczej rodzaj nakreślenia mapy problematyki, która winna być prześledzona w szczegółowych studiach. Znamienny pod tym względem jest fragment tekstu *Gombrowicz — Dante*, gdzie badacz, sygnalizując (w gruncie rzeczy interesującą) możliwość interpretowania twórczości autora *Pornografii* w kontekście *Boskiej Komedii*, porzuca ów pomysł w chwili, gdy odnosi się wrażenie, że dopiero dalsza analiza doprowadzić by mogła do istotnych wniosków. Co więcej — czyni to w sposób świadomy i tłumacząc się rozmiarami eseju (sic!) poleca dalszą „ważną lekturę badaczom twórczości Gombrowicza” (s. 91). Oczywiście należy zaznaczyć, że nie każde odstępnie od danego pomysłu jest świadomym wyborem autora — niekiedy jest ono wymuszane przez inne czynniki czy okoliczności — tak stało się np. w wypadku próby zrekonstruowania rozwoju i ewolucji myśli Stanisława Vincenza, gdzie przeszkodą okazała się nieznajomość (niedostępność?) materiałów (s. 115). Dlatego też większość szkiców sprawia wrażenie niedokończonych. Olejniczak częstokroć porusza w nich szereg różnorodnych problemów, niestety równie często ogranicza się jedynie do ich zasygnalizowania, pozostawiając innym dogłębną analizę — por. np. zakończenie szkicu *Witold Gombrowicz* (s. 79), czy fragment o religijności autora *Na wysokiej półoninie* z eseju *Wittlin wobec „Innego”* (s. 186).

Emigracjom wyraźnie brakuje jednolitej myśli przewodniej wiążącej poszczególne szkice ze sobą. O ile zrozumiałe jest otwarcie ich *Figurami wygnania* poruszającymi zagadnienie ogólne, jakim jest fenomen sytuacji pisarza emigracyjnego i jego nieustannego powracania do „małej arkadii” kraju lat dziecinnych, o tyle następne omówienia wybranych zagadnień z twórczości Witolda Gombrowicza, Stanisława Vincenza, Józefa Wittlina, Jana Lechonia i Aleksandra Wata w żaden sposób się ze sobą nie łączą. Jest to efektem pisania ich przez dwanaście lat — w momencie powstawania przed każdym artykułem autor stawiał odrębny cel. Tylko jeden ze szkiców — *Aleksander Wata* — został napisany na potrzeby tej książki: „Również mi [...] oczywiście wydawało się, że Wata w projektowanym przeze mnie zbiorze szkiców *Emigracje* nie mogło zabraknąć.” (s. 207). Pozostałe — z wyłączeniem *Wittlina wobec „Innego”* przygotowanego na konferencję wittlinowską na Columbia University w 1994 roku — były już wcześniej publikowane⁸.

W efekcie książka jest luźnym zestawieniem powstających w izolacji szkiców, do którego próbuje się (bez powodzenia) dopasować ogólną ideę głoszącą, iż *Emigracje* są próbą odpowiedzi na pytanie „czy epitet «emigracyjny» ma w odniesieniu do literatury tworzonej na obczyźnie jakikolwiek walor wyjaśniający, czy może ma już współcześnie — z perspektywy roku 1998 — znaczenie historyczne?” (s. 7–8). *Szkice – studia – sylwetki* Olejniczaka z pewnością na to pytanie nie odpowiadają, bo też odpowiedzieć nie mogą. Dziewięć artykułów dotyczących zaledwie kilku zagadnień i kategorii związanych z literaturą emigracyjną (motywu arkadii, zawieszenia między kulturami, wpływu twórczości jednego autora na drugiego, odpowiedzialności pisarza, autokreacji etc.) nie jest w stanie wyczerpać tak zawilej kwestii. W tym kontekście przywołana odautorska deklaracja pozostaje — podobnie do zapowiedzi z okładki — jedynie pustym frazesem...

⁸ Tom materiałów z tej konferencji, przygotowywany pod redakcją Anny Frajlch, ukaze się w b.r. Współwydawcą będzie Archiwum Emigracji.

Nie tylko pomysł i kompozycja *Emigracji* budzą zastrzeżenia. Także warstwa merytoryczna poszczególnych artykułów pozostawia wiele do życzenia. Przede wszystkim należy ich autorowi postawić pytanie o klucz doboru nazwisk twórców, dokonaniom których poświęcone zostały kolejne szkice. Symptomatycznym jest to, że Olejniczak ograniczył się do pisarzy najbardziej znanych, zaś tezy i wnioski, jakie w swej książce formułuje, na ogół stanowią powielenie (względnie potwierdzenie czy dopowiedzenie) ustaleń jego poprzedników (do czego sam autor się przyznaje — por. np. s. 118–119), czyli nie wnoszą niczego nowego do stanu badań. Jeśli już próbują zwrócić uwagę na jakiś interesujący pomysł interpretacyjny, to i tak pozostaje on w ustalonych ramach odczytywania i oceniania danych dzieł, choć (do czego bez zażenowania przyznaje się autor) wówczas nie zawsze spełnia wymogi dyskursu badawczego: „Zdaję sobie sprawę, że kreślę w tym szkicu sugestie interpretacyjne dotyczące twórczości Gombrowicza w sposób, który nie może żadnego «gombrowiczologa» usatysfakcjonować” (s. 90). Sporadycznie zdarza się Olejniczakowi występować przeciw wcześniejszym ustaleniom, choć i wtedy niewiele to zmienia w obrazie całości (por. np. fragmenty eseju „*Dziennik*” *Jana Lechonia* — próba lektury negatywnie oceniającej propozycje Hutnikiewicza i Stępnia [s. 154–155] czy komentarz do ustaleń Madydy w sprawie sposobu czytania dzieł Vincenza [s. 119]).

Zastrzeżeń pod adresem autora *Emigracji* można wysunąć więcej. Skoro — jak głosi nota bibliograficzna — podczas przygotowań do ponownej publikacji teksty zastały „przejrzane i poprawione, a w niektórych miejscach także zaktualizowane” (s. 223), to dlaczego np. w przypisie przywołującym dotychczas opublikowaną korespondencję Jerzego Stempowskiego (s. 56) zabrakło wydanych w 1998 roku listów wymienianych z redaktorem „Kultury”? Podobnie: dlaczego poddając w wątpliwość zdarzenia z biografii Hostowca (s. 59), które zostały udokumentowane przez Andrzeja S. Kowalczyka, Olejniczak pozbawił swoje tezy jakiegokolwiek komentarza?

Poważne zastrzeżenia budzi też edycja książki — przypisy umieszczane po tekście zasadniczym zapisane niewiele mniejszą czcionką (za to o wiele mniej widoczną!) z zachowaniem interlinii właściwej tekstowi głównemu nabijają książkę niepotrzebnych stron i nużą czytelnika. Błędy w edycji (gł. nadmiar lub brak spacji, brak rozróżnienia łącznika i myślnika), błędy interpunkcyjne (przecinki!), ortograficzne (s. 129, 214–216), czy *curiosa* w stylu: „Perypetie związane ze swoimi kontekstami z NKWD Vincenz opisuje w *Dialogach z Sowietami*” (s. 59) nie przynoszą chluby Agencji Artystycznej „PARA” z Katowic.

Co dobrego powiedzieć można o *Emigracjach*? Może jedynie to, że ich autorowi udało się zawrzeć w nich kilka pomysłów, z których niejeden przy rozwinięciu okazać by się mógł interesujący. Tego niestety zabrakło... Dialog między twórczością Dantego i Gombrowicza, „stan zawieszania” Wata, autokreacja Lechonia, Wittlin a filozofia francuska — to tematy, które z pewnością wymagają wnikliwej analizy. Oczywiście nie należy odmawiać tekstom Olejniczaka jakiegokolwiek wartości — z *Figurami wygnania* — *sylwetkami pisarzy* czy artykułem *Stanisław Vincenz — czytanie i dialog* czytelnik zapozna się w przyjemności, mimo że cała książka nie wzbudza zachwyty. I szkoda, że *Szkice — studia — sylwetki* więcej zapowiadają niż przynoszą, bo tak naprawdę *Emigracje* sprawiają wrażenie, że są lub też winny być bardziej kolejnym etapem na drodze badawczej ich autora, niż zwieńczeniem jego pracy...

Rafał Moczko

Krajobrazy Czesława Miłosza

Beata Tarnowska, *Geografia poetycka w powojennej twórczości Czesława Miłosza*. Olsztyn: WSP, 1996, 172 s., [40] tabl. — Studia i Materiały WSP w Olsztynie, nr 105 (rec. Zdzisław Łapiński).

Zainteresowanie twórczością Czesława Miłosza nie maleje. Pojawiają się jej ogólne panoramy i opracowania problemów bardziej szczegółowych, podejmowane są zadania mające na celu objaśnienie i interpretację zasadniczych problemów tego dzieła. Wystarczy, pomijając liczne artykuły i szkice, przypomnieć wydane ostatnimi czasy książki, np. na temat europejskich korzeni poezji

Miłosza, teologicznego wymiaru jego literatury czy jej filozofii. W tym kręgu szczegółowych opracowań mieści się także książka Beaty Tarnowskiej zatytułowana *Geografia poetycka w powojennej twórczości Czesława Miłosza*.

Geografia literacka zazwyczaj bywa wiązana z opisem rozmieszczenia ośrodków życia literackiego w obrębie danego kraju i z problematyką wkładu tych miejsc do literatury ogólnonarodowej. W omawianej książce chodzi jednak o coś innego. Jest to zarazem jeden z najcenniejszych jej walorów. Otóż autorka wykorzystuje w swej pracy metodę badawczą, która nazywa się „geografią humanistyczną”. Nie jest ona zbyt popularna, ale dlatego właśnie, i tym bardziej, warto zapoznać się z książką Tarnowskiej. Także po to aby szerzej i w sposób systematyczny móc zajmować się — oczywiście to propozycja dla zainteresowanych — tematem i problemami krajobrazowymi w literaturze, ich symboliką i znaczeniami. W metodzie tej oglądowi poddaje się: przestrzeń, miejsce, symbol, wartość i znak w dziele literackim, a które razem stanowią istotne przeciwieństwo elementów ludzkiej rzeczywistości. Tu pozwolę sobie jednak na małą uwagę. Otóż autorka w swych badaniach i ustaleniach najczęściej przywołuje kontekst prac amerykańskiego geografii Yi-Fu Tuana. Wydaje mi się, że warto byłoby także pamiętać o ideach i pomysłach, jakie w swych dziełach prezentował Stanisław Vincenz. Wszak to on z kształtu krajobrazu starał się odczytać prawdziwe dzieje ludzkości. To właśnie prywatna historia, „małe dzieje” jak nazywa je Vincenz, są najważniejsze w życiu człowieka. Właśnie prywatność, indywidualność, codzienność, więcej mówią o jego życiu i kondycji niż gwałtowne zdarzenia, którymi tak przecież lubi się zajmować dzielnopisarstwo. Obu zatem wielkich twórców łączyłaby niewątpliwie krytyka cywilizacji w ogóle, nie tylko tej związanej z jakimś konkretnym wycinkiem historycznym. Być może jednak sugestie moje burzyłyby zasadniczy profil, jakże klarowny i dostatecznie umotywowany, pracy Tarnowskiej.

Poetycka geografia obecna w twórczości Noblisty to nie tylko katalog, rejestr odwiedzanych, poznawanych, przeżywanych i przypominanych miejsc, lecz przede wszystkim — co wnikliwie i trafnie opisuje i analizuje autorka rozprawy — wykładnik sensów metafizycznych, poszukiwane sacrum. To z kolei, jak wiadomo, jest nieomal obsesją, a w każdym razie stanowi jedną z dominant twórczości Miłosza.

Niezwykle interesujące wydaje mi się śledzenie tego jak odzwierciedlane są, jak istotną pełnią funkcję w literaturze, poszczególne miejsca geograficzne, a wraz z przenoszeniem się obecnego w nich poety, rodzące się między nimi napięcia. Wedle badaczki w odniesieniu do twórczości autora *Traktatu poetyckiego* ma to wymiar wyraźnej opozycji „tu” — „tam”, a więc przestrzeni odbieranej w bezpośrednich doświadczeniach bieżących, mających miejsce „teraz” czyli najczęściej Ameryki oraz „wcześniej”, utrwalonych przez pamięć obszarów, albo ich wyobrażenie, czyli Litwy. Wszystko jednak podporządkowane jest wymiarowi antropologicznemu. To człowiek ostatecznie, jego indywidualne istnienie, uwikłane w biologię i historię, jest miarą przestrzeni. W krajobrazie zaś poszukiwać należy śladów i znaków ludzkiej obecności. Znaki te bowiem zdają się być w nim czymś najtrwalszym.

Swe poszukiwania badawcze, zmierzające do rekonstrukcji geografii poetyckiej Miłosza, Tarnowska komponuje wyznaczając trzy zasadnicze miejsca świata, trzy wyraźnie zarysowane kręgi. Pierwszy podejmuje refleksje na temat obrazu Ameryki w twórczości poety. Drugi to Litwa i jej wywołane pamięcią obrazy. Trzeci wreszcie zajmuje się obrazami Francji, ze szczególnym uwzględnieniem Paryża i Parnic.

Czesław Miłosz w swych wierszach najczęściej wiernie odtwarza realia geograficzne. Ale nieobce jest mu także ich mitologizowanie. Autorka *Geografii poetyckiej* sprawnie wychwytuje te odmienności, rozróżnia i interpretuje jako z jednej strony fragment autobiografii poety, któremu przyszło żyć w obcej rzeczywistości, z drugiej natomiast jako przejaw uniwersalnego rozpoznania pragnień człowieka, który nie może raz wygnany, powrócić do czegoś, co nazywane bywa przez niego rajem.

Owa szczególna, swoista, dualność świata pojawia się w dziele Miłosza wszędzie, a na pewno w każdym aspekcie związanym z geografią jego twórczości. Na przykład Wilno, które ma dodatkowo wyraźne cechy terapeutyczne, jest zarówno miastem fizycznym i historycznym, położonym w określonym miejscu i przestrzeni, jak i równocześnie posiadającym wymiar i kształt symboliczny, jako że stanowi ilustrację wyidealizowanej wspólnoty duchowej ludzi w nim mieszkających, a więc jest znakiem, że wspólnotowość ta, choć nierealna przecież, to jednak możliwa do zrealizowania. „Dobrze jest urodzić się w małym kraju, gdzie przyroda jest ludzka, na miarę człowieka,

gdzie w ciągu stuleci współżyły ze sobą różne języki i różne religie.” — powiedział poeta w swym przemówieniu noblowskim.

Warto na koniec podkreślić także jasną konstrukcję wywodu, z jaką spotykamy się w tej książce, bogactwo szczegółów, a także i to, że opisując geografii poetycką Miłosza, badaczka stara się pozostawać zazwyczaj na poziomie pytań, budując pewien konsekwentny ciąg odniesień do realnych miejsc na Ziemi. Tym samym otwiera — jak sądzę — perspektywę dalszych badań.

Jan Wolski

Książka o „Kulturze”

Janusz Korek, *Paradoksy paryskiej «Kultury» . Ewolucja myśli politycznej w latach 1947–1980*. Stockholm: Almqvist & Wiksell International, 1998, 366 s. — Stockholm Slavic Studies, Vol. 27.

W 1998 roku szwedzkie wydawnictwo „Almqvist & Wiksell International” wydało książkę Janusza Korka, pisaną na Wydziale Sławistyki Uniwersytetu Sztokholmskiego, pt. *Paradoksy paryskiej „Kultury” . Ewolucja myśli politycznej w latach 1947–1980*. Praca ta jest zarazem dziełem pionierskim i fundamentalnym, do którego będą musieli w taki lub inny sposób ustosunkować się badacze poważnie zajmujący się miesięcznikiem „Kultura” i Instytutem Literackim. Przed przejściem do analizy pracy Korka, która oceni jej znaczenie dla przyszłych badań nad „Kulturą” należałoby naszkicować tło, które wyjaśni dlaczego można uznać ją za pionierską.

„Kultura”, uważana za najważniejsze polskie pismo ostatniego półwiecza, stała się na przełomie lat 90. przedmiotem intensywnych badań historyków idei, polonistów oraz politologów. Wzmianki o „Kulturze” można znaleźć w prawie każdej pracy zajmującej się historią i literaturą polskiej emigracji powojennej. Ukazały się zbiory tekstów rozmaitych autorów koncentrujących się na poszczególnych aspektach fenomenu Instytutu Literackiego i jego pisma. Tutaj wymienić należy m.in. antologię tekstów w redakcji Grażyny i Krzysztofa Pomianów *O „Kulturze” . Wspomnienia i opinie*. (1987), która jak sam tytuł wskazuje, zebrała wypowiedzi różnych autorów (w większości współpracowników pisma), powstałe głównie przy okazji jubileuszów „Kultury”. Teksty te, zawierające niejednokrotnie wnikliwe i ciekawe uwagi, nie próbują nawet (co zrozumiałe) systematycznie i w sposób metodyczny przeanalizować złożonego fenomenu pisma.

Kolejną pozycją na temat „Kultury”, ukazującą się na rynku krajowym była książka Krzysztofa Kopczyńskiego *Przed przystankiem Niepodległość* (1990). Praca ta miała zupełnie inny charakter niż wyżej opisana. Mimo krótkiego dystansu czasowego poddała ona analizie publicystykę polityczną pisma na temat kraju w okresie po 1980 roku. Po tej pozycji, która przemknęła stosunkowo niepostrzeżenie znowu pojawiły się zbiory różnych świadectw na omawiany temat jak np. *Anty-Kultura. Wybór tekstów o paryskiej „Kulturze”* (1992), w którym zamieszczono teksty propagandowe oskarżające i krytykujące pismo (publikowane głównie w kraju w okresie PRL-owskim) — można je potraktować za przyczynek do badań nad klimatem intelektualnym okresu i ewentualnie recepcją „Kultury”. Charakter wspomnieniowo-przyczynkarski miała książka Izy Chruślińskiej *Była raz „Kultura”... Rozmowy z Zofią Hertz* (1994), czy pełna ciekawostek na temat Giedroycia, pisana reporterskim tonem książka Ewy Berberusz p.t. *Książę z Maison Laffitte* (1995). Publikacje te dają przede wszystkim informacje ze sfery towarzysko-obyczajowej, która również powinna doczekać się odrębnego syntetycznego opracowania.

Na przełomie lat 90. dostrzec jednak można było oznaki zmian, których jaskółką była wspomniana praca Kopczyńskiego. W 1994 roku pojawiła się publikacja Mirosława Adama Supruniuka, „Kultura”. *Materiały do dziejów Instytutu Literackiego w Paryżu. Bibliografia działalności wydawniczej 1946–1990. (Uzupełnienia)*, która wbrew skromnego tytułu przyniosła nieznanne źródła i ciekawy wstęp zawierający nowe informacje na temat „produkcji” i kolportażu „Kultury”. Wkrótce po niej pojawił się zbiór artykułów pokonferencyjnych w redakcji Zdzisława Kudelskiego *Spotkania z paryską „Kulturą”* (1995), wskazujący na to, że badania fenomenu „Kultury” znalazły się na najlepszej drodze. Wspomnieć wypadnie jeszcze o antologii tekstów z lat 80. (jeden z 1959 r.) — *Zostało tylko słowo... Wybór tekstów o „Kulturze” paryskiej i jej twórcach*. Nie przynosiła ona

nic nowego, gdyż nie było to zresztą jej zamiarem. Najważniejszym wydarzeniem lat dziewięćdziesiątych było rozpoczęcie wydawania korespondencji redaktora Giedroycia i innych współpracowników „Kultury”. Pionierem w tej dziedzinie był Andrzej Stanisław Kowalczyk, który już w 1991 roku wydał (dosyć okrojony) zbiór listów Jerzego Stempowskiego (*Listy do Jerzego Giedroycia*), by wkrótce rozpocząć tomem korespondencji Gombrowicz-Giedroyc (1993) przełomową serię „Czytelnika”, w której zaczęły ukazywać się porządnie opracowane tomy listów ludzi „Kultury”.

Pomimo dość dużej uwagi jaką polska publicystyka poświęca „Kulturze” po 1989 roku oraz pomimo ukazania się wyżej wymienionych książek brakowało jednak dzieła, które dorobkiem środowiska Instytutu Literackiego zajęłoby się wszechstronnie i wyczerpująco. Brak ten w zasadzie nie dziwił, biorąc pod uwagę mały dystans czasowy jaki dzieli od momentu kiedy „Kulturą” można się było zająć na poważnie i ogrom materiału badawczego, który w dalszym ciągu się powiększa. Ponieważ w powszechnym odczuciu zasługi „Kultury” w dziedzinie literatury (Miłosz, Gombrowicz itd.) dominują niejako nad jej wkładem w powojenne życie polityczno-ideowe, ta druga sfera działalności pisma pozostawała na uboczu badań. Także zainteresowanie publicystyką Juliusza Mieroszewskiego, jako jednego z najważniejszych twórców linii politycznej „Kultury”, było niestety niezbyt wielkie.

W takiej właśnie sytuacji ukazała się książka Janusza Korka. Na tle wcześniej wymienionych pozycji, monografia tego autora (tak chyba można nazwać tę pracę, mimo iż sięga tylko do 1980 roku?) jest książką nie mającą precedensu w dotychczasowych badaniach nad pismem Jerzego Giedroycia, szczególnie jeśli chodzi o sferę myśli politycznej. Autor zrezygnował ze szczegółowego analizowania koncepcji literackich czy interpretowania utworów poetyckich i prozatorskich, publikowanych w miesięczniku, albo wydawanych w serii „Biblioteki «Kultury»”. Bada jednak, kiedy wydaje się to umotywowane, kontekst polityczny niektórych utworów literackich. Wiadomo bowiem, iż dwie podstawowe sfery zainteresowania zespołu pisma tzn. literatura i polityka wzajemnie się inspirowały i przenikały.

Korek jest świadomy tego, co chciał stworzyć. Pisze, że pomimo wielu prac badających fenomen „Kultury” brakowało całościowego spojrzenia na działalność Instytutu Literackiego w perspektywie kilkudziesięcioletniej. Prace starające się ocenić jego dorobek czyniły to na podstawie krótkich, wybieranych najczęściej przypadkowo okresów działalności pisma lub koncentrowały się na twórczości poszczególnych jego autorów. Inne teksty pisane okazjonalnie przyjmowały najczęściej postać afirmatywnych laurek, unikających wnikliwego podejmowania problemu. Było to powodem powstawania sprzecznych opinii o linii politycznej „Kultury” — wiele inicjatyw i projektów pisma analizowano w oderwaniu od kontekstu historycznego, co powodowało głoszenie też o jego dość niestabilnym i zmiennym obliczu (takie oceny padały szczególnie w odniesieniu do publicystyki J. Mieroszewskiego). Pojawiały się także trudności w ustaleniu głównych, niekwestionowanych składników światopoglądowych „Kultury”. Uważana była przez jednych za pismo lewicowe czy wręcz komunistyczne, inni natomiast doszukiwali się w niej cech prawicowo-konserwatywnych. „Niezlomni” z Londynu zarzucali jej kolaborację z reżimem komunistycznym, z kolei komuniści w kraju uznawali ją za jednego ze swych najgorszych wrogów. Często niezbyt trafne okazywały się również próby analizowania ideowych inspiracji środowiska Jerzego Giedroycia, ujmowanych na tle tradycyjnych przedwojennych nurtów polskiej myśli politycznej.

Autor sądzi, że panująca sytuacja wymagała napisania szczegółowej i obszernej pracy analizującej zawartość numerów „Kultury”. Brak syntetycznych ujęć, na podstawie których można by dokonać przekonującej periodyzacji działalności pisma w oparciu o kryteria wypracowanych na jego łamach koncepcji ideowo-politycznych, domagał się badań, które obejmowałyby większą część dorobku paryskiego miesięcznika. Chciał on prześledzić zmiany ideologiczne pisma, a jednocześnie postarać się odnaleźć stałe cechy myślenia o polityce oraz na ich tle wykazać jakie strategiczne cele działania uznawała „Kultura” za pożądane. W tym celu autor pracy przebadał treść wszystkich numerów miesięcznika od 1947 do 1980 roku (ponad 30 lat!), w których zwracał uwagę przede wszystkim na publicystykę polityczną, rozpatrywaną w skomplikowanym kontekście szybko zmieniających się stosunków międzynarodowych. Nie pominął także powojennych zachodnich dyskusji politycznych i rodzących się wtedy idei (np. zjednoczenia Europy). Gdy wydawało się to niezbędne Korek odwołuje się także do pozapublicystycznych form działalności środowiska redaktora Giedroycia, takich jak np. współpraca z Kongresem Wolności Kultury, działalność wy-

dawnicza i kolportażowa Instytutu Literackiego, pośredniczenie w zorganizowaniu pomocy gospodarczej dla kraju, promowanie wymiany kulturalnej i naukowej między inteligencją krajową a Zachodem itd.

Jeśli chodzi o publicystykę polityczną pisma, autor tej monografii słusznie skupia się po 1950 roku przede wszystkim na artykułach J. Mieroszewskiego, który przez blisko ćwierć wieku był głównym (obok lub wspólnie z Giedroyciem) twórcą politycznych koncepcji „Kultury”. W opinii większości znawców tematu Mieroszewski uchodzi w ogóle za jednego z ważniejszych powojennych polskich pisarzy politycznych — twórcę nowatorskich tez dotyczących stosunku do narodowej tradycji historycznej, autora istotnych projektów politycznego działania emigracji i opozycji krajowej (z których wiele okazało się nadzwyczaj trafnych) oraz publicystę, który stworzył oryginalny i nowoczesny styl pisanie o polityce. Należy podkreślić, iż osoba i twórczość Mieroszewskiego same w sobie zasługują na sumienną monografię. Tym bardziej powinno się docenić fakt tak wnikliwego przeanalizowania przez autora „Paradoksów...” dziesiątków artykułów Londyńczyka, zamieszczanych jako samodzielne „wstępniaki” czy ukazujących się w rubrykach „Archiwum Politycznego” lub „Kroniki angielskiej”. Opisując dosyć częste zmiany koncepcji i projektów politycznych Mieroszewskiego, Korek zauważa, że stanowiło to cechę charakterystyczną całego pisma, które od początku swego istnienia poszukiwało rozwiązań wielokierunkowo, nie bojąc się kontrowersji ideologicznych i nie cofając się przed rozpatrywaniem planów działania pozornie utopijnych czy niepopularnych (w kraju bądź na emigracji). Miedzy innymi, poprzez analizę myśli politycznej kreowanej przez Mieroszewskiego w długiej perspektywie czasowej Korek chce udowodnić, że pozornie sprzeczne czy wręcz wykluczające się koncepcje naczelnego publicysty pisma — analizowane według odpowiednich założeń metodologicznych — były mimo wszystko oparte na niezmiennym sposobie pojmowania polityki przez niego i „Kulturę”.

Drugim ważnym źródłem informacji o zasadach działania i myślenia „Kultury” są dla Korca rozmaite deklaracje redakcyjne, jej manifesty polityczne czy apele do czytelników. Nie były one nigdy zbyt długie ani nie publikowano ich zbyt często, lecz tylko wtedy, gdy rzeczywistość sytuacja tego wymagała — tym większą stanowią wartość przy próbach interpretacji sposobu myślenia środowiska redaktora Giedroycia. Niekiedy dokonywano w nich autoprezentacji zespołu miesięcznika i jego stanowiska politycznego lub jego przeświadczeń ideologicznych, podsumowywano dotychczasową działalność czy informowano o planach na przyszłość.

Autor zwrócił uwagę także na teksty innych bardzo bliskich współpracowników pisma zaliczanych do tzw. „zespołu”. Jeśli chodzi o rozumienie tego używanego w literaturze przedmiotu często, aczkolwiek w różnym znaczeniu terminu (podobnie pojęcia: „krąg «Kultury»”) wprowadza Korek uściślenia i dookreślenia. Wśród współpracowników, którzy wpływali pośrednio lub bezpośrednio na kształt pisma wylicza autor, oprócz ścisłego „zespołu”, także autorów do niego wcześniej nie zaliczanych. Dlatego analizuje w konsekwencji także teksty takich autorów jak między innymi: Zbigniew Florczak, Melchior Wańkowicz, Jerzy Stempowski, Konstanty Aleksander Jeleński, Gustaw Herling-Grudziński czy Czesław Miłosz. Większość z wymienionych pisarzy przyczyniła się przede wszystkim do utrzymywania przez pismo wysokiego poziomu artystycznego (znakomite utwory literackie, krytyka, eseje z zakresu historii sztuki itd.) i ich dorobek na tym polu jest wręcz nie do przecenienia. Pomimo trudności interpretacyjnych związanych z literackim charakterem tych tekstów Korek umiejętnie odczytał te elementy ich wizji artystycznych które odnosiły się do koncepcji i myśli politycznych pisma oraz wybrał te publikacje poruszające kwestie polityczne, które w istotny sposób wpływały na tworzenie się i rozwój skomplikowanej mozaiki idei politycznych „Kultury”. Przy okazji wyjaśnia autor przekonująco na czym polegał deklarowany pluralizm redaktora Giedroycia, który na łamach swego pisma dopuszczał teksty nawzajem do siebie polemiczne lub nawet wykluczające się. Korek nie czyni tego bezkrytycznie i podkreśla, że deklarowany „pluralizm” choć zazwyczaj tolerancyjny ideologicznie, posiadał stały paradygmat którym rządziła pragmatyczna ocena sytuacji oraz w ramach którego niemożliwe było przekroczenie pewnych granic ideologicznych opartych na podstawach moralnych (np. nietolerowanie szowinizmu i koncepcji odrzucających ideę sprawiedliwości międzynarodowej).

„Kultura” miała jednak dalsze kręgi pisarzy i publicystów, którzy w mniejszym stopniu niż wyżej wymienieni lub tylko przez pewien czas wpływali na kształtowanie ideowego oblicza pisma (dotyczy to szczególnie początkowego okresu jego istnienia). Ich teksty są także analizowane przez autora *Paradoksów...*, szczególnie jeśli stanowiły zaczyn nowych koncepcji lub programów poli-

tycznych. Wśród nich należy wymienić wspomnianych już Wańkowicza i Florczaka, ale także Andrzeja Bobkowskiego, Zbigniewa Jordana, Stanisława i Józefa Mackiewiczów, Stefana Kisielewskiego a później także m.in. Leopolda Tyrmanda i Leszka Kołakowskiego. Jeśli chodzi o znanych filozofów i politologów zachodnich, to wiele miejsca poświęcono zwłaszcza koncepcjom Raymonda Arona i Jamesa Burnhama, których teksty pismo publikowało i których propozycje polityczne — co Korek udowadnia — miały wpływ na myślenie „Kultury”.

Poza systematyczną lekturą miesięcznika, przy rekonstruowaniu poszukiwań ideowych „Kultury”, autor jej monografii korzystał również z innych źródeł. Największą wartość poznawczą posiadają te pochodzące od osoby najbardziej kompetentnej jeśli chodzi o historię „Kultury” i Instytutu Literackiego, czyli od głównego twórcy tych instytucji — redaktora Jerzego Giedroycia. Korek wykorzystuje w swojej pracy informacje z przeprowadzonych z redaktorem wywiadów i rozmów. W tym z rozmowy, którą sam przeprowadził w 1986 roku, a która nie została jeszcze dotąd nigdzie opublikowana. Obok głośnej *Autobiografii na cztery ręce* Giedroycia oraz zbiorów jego korespondencji z Witoldem Gombrowiczem, Jerzym Stempowskim i Jeleńskim (wydanych w ostatnich latach przez „Czytelnika”) Korek opierał się w swych badaniach także na nieopublikowanych listach Giedroycia do Józefa Lewandowskiego i korespondencji Giedroycia z Leopoldem Tymandem. Szkoda, że nie mógł uwzględnić zbioru korespondencji Redaktora i Andrzeja Bobkowskiego, która trwała co prawda tylko do 1961 roku (czyli do momentu śmierci autora *Szkieł piórkiem*), ale była za to bardzo obszerna. Zbiór ten „minął” się jednak czasowo z *Paradoksami...* pojawiając się po zakończeniu pracy nad nimi. Korek nie mógł też z tych samych powodów uwzględnić ostatnio wydanych listów Giedroycia i Mieroszewskiego (bardzo istotnych dla historyków zajmujących się życiem i działalnością polityczną Jerzego Giedroycia i jego środowiska).

Autor omawianej pracy nie pomija także dostępnych na rynku opracowań z zakresu historii „Kultury” i Instytutu Literackiego. Powołuje się m.in. na prace Andrzeja Friszke, Krzysztofa Kopiczyńskiego, Ewy Berberyusz, Andrzeja Mencwela oraz Krzysztofa i Grażyny Pomianów. W stosunku do wielu ustaleń tych autorów dokonuje niejednokrotnie nowatorskich przewartościowań, dotyczących postrzegania linii ideowej „Kultury”.

Swoją pracę autor *Paradoksów...* dzieli na części i rozdziały pokrywające się z reguły z dokonaną przez siebie periodyzacją historii Kultury do 1980 r. Wyróżnia w niej generalnie trzy okresy. Pierwszy z nich (1947–1950) stanowił niejako czas rozruchu pisma: charakteryzuje go intensywne badanie nowych i różnorodnych idei pojawiających się dosyć chaotycznie po zakończeniu wojny (stąd m.in. duże zainteresowanie ówczesnymi europejskimi i amerykańskimi dyskusjami politologicznymi) przy jednoczesnej chęci wypracowania własnego, oryginalnego stanowiska. Lata 1950–1975 oznaczają dominację publicystyki politycznej Mieroszewskiego. Ten najdłuższy okres stanowi również najobszerniejszy przedmiot zainteresowania autora monografii. Ostatnie pięć lat, do roku 1980, związane było już — zdaniem Korca — z nową formułą funkcjonowania pisma, opartą na dialogu i współpracy z rodząca się opozycją demokratyczną oraz tzw. drugim obiegiem.

W obrębie każdego działu czasowego, wyodrębnionego na podstawie swoistych cech nadawcy pisma (skład, rodzaj i sposób funkcjonowania współpracowników) Korek stosuje określony schemat prezentacji dominujących w danym okresie koncepcji i poglądów politycznych „Kultury”. Przede wszystkim wskazuje na ogólną orientację pisma — skierowaną zamiennie raz w stronę Zachodu, a drugi raz w stronę Wschodu. Wybór orientacji decydował, jak Korek udowadnia, o charakterze poszukiwań najadekwatniejszej opcji politycznej. Wybór ten dokonywany w zgodzie z sytuacją międzynarodową decydował więc także o charakterze polityki na kraj. W ramach każdej opcji następowała próba zdefiniowania celów politycznych i wskazanie potencjalnych (aczkolwiek konkretnych) aktorów sceny politycznej, którzy mogliby je zrealizować. Tak rozumiane koncepcje polityczne zmieniały się dosyć często, głównie ze względu na zmianę sytuacji albo z powodu przewartościowań ideowych autorów „Kultury”.

W toku lektury *Paradoksów...* zaznajamiamy się z poszczególnymi opcjami i koncepcjami pisma, zaprezentowanymi w porządku chronologicznym (nawet jeśli były krótkotrwałe czy nieco egzotyczne). Są one przedstawione na tle szczegółowo opisywanej ewolucji powojennych stosunków międzynarodowych (polityczne dyskusje w świecie zachodnim, rywalizacja ideologiczna obozu proamerykańskiego z blokiem państw komunistycznych, tendencje emancypacyjne w Europie Środkowo-Wschodniej i Rosji itd.). Projekty politycznego działania „Kultury” są przez autora pracy prezentowane zarówno w odniesieniu do sytuacji wewnętrznej w Polsce jak i w planie mię-

dzynarodowym. Szczególnie ten drugi aspekt myśli politycznej „Kultury” był mało znany i w dotychczasowych badaniach traktowany raczej ogólnikowo. Każda część monografii kończy się podsumowaniem okresu i syntetycznym omówieniem opcji politycznych w nim dominujących, rozpatrywanych na tle najważniejszych ogólnoeuropejskich trendów ideowych.

Pierwszy analizowany okres (do 1950 roku) cechował się — jak przekonywująco udowadnia autor *Paradoksów...* — otwartością pisma na różne impulsy i był przede wszystkim czasem „eksperymentowania”. Zespół pisma szukał koncepcji i idei, których inspirująca siła mogłaby się przyczynić do wyjścia z powojennego kryzysu politycznego, ekonomicznego, ideologicznego i kulturowego. Pismo koncentrowało się na polityce międzynarodowej i posunięciach wielkich mocarstw, co nie dziwi w świetle zarysowującego się wtedy podziału świata i formowania się koncepcji zjednoczeniowych Europy Zachodniej. Od 1950 roku do rangi jednego z najważniejszych publicystów „Kultury” urasta Juliusz Mieroszewski. Z czasem, kiedy dojdzie do zacieśnienia współpracy między nim a Giedroyciem stanie się on już niekwestionowanym „naczelnym publicystą pisma”. Przez pierwsze kilka lat cechuje go silny antykomunizm i postrzeganie USA jako jedynej siły zdolnej stawić czoło ekspansji imperializmu sowieckiego. Pragnie mu przeciwstawiać — opisywaną dosyć dokładnie przez Korka — ideologię „wolnościową”, która zasadzała się na ideach legalizmu i sprawiedliwości międzynarodowej. Zaczyna także rozważać plany federacji narodów Europy Środkowo-Wschodniej. W pracy Korka pojawia się nowatorska teza związana z ówczesnymi planami federacyjnymi pisma. Dotyczy ona słynnego, powtarzanego wielokrotnie przy okazji wszystkich jubileuszów pisma, „zrzeczenia się” Wilna i Lwowa przez redakcję „Kultury”. Do tej pory akcentowano przede wszystkim moralno-symboliczną wymowę tego faktu. Tymczasem wg autora omawianej pracy w okresie kiedy wspomniane „zrzeczenie” miało miejsce, „Kulturze” chodziło głównie o zamrożenie potencjalnych sporów terytorialnych między Polakami a ich wschodnimi sąsiadami. Nic więcej. „Spory o Wilno i Lwów — jak pisze Kork — przeszkadzały bowiem w zawarciu porozumienia na temat powstania na emigracji Brygady Środkowo-Europejskiej.” Bezpośrednim powodem tzw. „zrzeczenia” był lansowany przez „Kulturę” projekt utworzenia środkowo-europejskich jednostek wojskowych, w których skład wchodziłyby oddziały polskie, litewskie i ukraińskie. Wspólnie z Anglosasami miałyby one walczyć przeciwko ZSRR. Oprócz tego pragmatycznego celu „zrzeczenie” miało mieć wydźwięk propagandowy ze względu na różnego rodzaju plany federacyjne pisma, z których żaden nie miałby szans realizacji jeśli nie byłaby rozwiązana (nawet prowizorycznie) kwestia potencjalnych konfliktów granicznych. Z biegiem lat akceptacja powojennej wschodniej granicy Polski stała się jednym z głównych składników tzw. koncepcji „ULB” (Ukraina-Litwa-Białoruś), zakładającej państwowe odrodzenie narodów litewskiego, ukraińskiego i białoruskiego. Dość niejednoznaczne (bo podyktowane również wymogami taktycznymi) było początkowe stanowisko pisma wobec granicy na Odrze i Nysie. Autor podkreśla tutaj konieczność rozpatrywania koncepcji „Kultury” w bardzo dokładnie określonym kontekście sytuacyjnym, inaczej redakcję pisma można byłoby niesprawiedliwie posądzić nawet o próbę zdrady interesów narodowych, co zresztą czyniły niektóre środowiska emigracyjne i oczywiście mało wyrafinowana intelektualnie propaganda komunistyczna. Omawiany okres wiąże się także z początkiem tzw. „polityki na Kraj” i narastającym konfliktem z emigracją londyńską.

Od połowy lat 50. następuje okres znacznie bardziej zróżnicowany, jeśli chodzi o ideowe poszukiwania zespołu pisma. Porzucono wcześniejsze oczekiwania na skuteczne działanie polityki państw zachodnich lub ich interwencję militarną motywowaną zasadami etyki międzynarodowej (czyli w oparciu o prawo wolności dla narodów ujarzmionych przez komunizm). Środowisko Giedroycia zmienia ocenę sytuacji międzynarodowej i zaczyna brać pod uwagę wiele alternatywnych opcji działania, aby maksymalnie wykorzystać nadarzające się okazje. Autor trafnie używa pojęcia „gry na dwóch fortepianach”, oznaczającego szukanie rozwiązań, dla Europy Środkowo-Wschodniej możliwych do zaakceptowania przez politykę amerykańską, ale także i rosyjską. Powracają hasła federalizacji regionu, połączonej tym razem z koncepcjami jego neutralizacji. Pojawia się wtedy też po raz pierwszy bardzo istotna później koncepcja ewolucjonizmu, zakładająca zliberalizowanie dyktatury komunistycznej. W jej pierwszym wydaniu zainspirowane ideami socjalizmu zachodniego wschodnie elity komunistyczne miałyby dążyć do demokratyzacji ustroju. Państwa środkowo-europejskie bloku wschodniego, a w szczególności Polska miałyby z kolei wpływać liberalizująco na zdogmatyzowany reżim sowiecki.

Jeśli chodzi o stosunek „Kultury” do spraw krajowych jest to okres bardzo znaczący. Pismo rozpatruje wszelkie warianty choćby częściowego poszerzenia suwerenności Polski, nie cofa się nawet przed rozpatrywaniem koncepcji zakładających współpracę ze zwolennikami komunizmu narodowego. Zaowocowało to udzieleniem symbolicznego poparcia dla Władysława Gomułki w Październiku 1956 roku. Wtedy „Kultura” zaczęła zwracać uwagę na środowisko rewizjonistyczne. Od tego momentu pismo zaczęło konsekwentnie stosować taktykę „ściśłego przylegania do rzeczywistości krajowej”, przez co szybko stało się najważniejszym emigracyjnym ośrodkiem, któremu udało się nawiązywać dialog ze środowiskami opozycyjnymi. Opisując lata 60. Korek zwraca uwagę także na koncepcje „Kultury”, w których główną rolę odgrywały ugrupowania katolickie skupione wokół „Znaku”. W latach tych pojawiła się również opcja na rewizjonistów partyjnych i „uniwersyteckich”, co związane było z kolei z lansowaniem drugiej wersji wspomnianej już koncepcji ewolucjonizmu. Tutaj należy podkreślić, że po raz pierwszy, jeśli chodzi o dotychczasowe opracowania dotyczące „Kultury”, w pracy Korka pojawiają się odkrywcze analizy takich koncepcji pisma, w których jako czynniki pożądanego przemian występowały bardzo kontrowersyjne krajowe ugrupowania polityczne. Chodzi mianowicie o tzw. „katolików postępujących” z grupy „PAX” oraz o partyjną frakcję narodowo-komunistyczną, której przewodził Mieczysław Moczar. Omawiana dekada była także dla „Kultury” czasem wielokrotnych prób choćby minimalnego przełamania postępującej — w ramach tzw. „małej stabilizacji” — bierności szerokich mas społecznych.

Wśród zagadnień polityki zagranicznej, które pojawiły się w tych latach w piśmie autor zajmuje się m.in. dekolonizacyjną koncepcją nowej „Wiosny Ludów”, teoriami geopolitycznymi oraz zasadą podwójnej hegemonii (sprawowanej przez Rosję i USA) w regionie środkowo-europejskim. Dużą uwagę poświęca wydarzeniom roku 1968 — zarówno w płaszczyźnie międzynarodowej (rewolty studenckie na Zachodzie, reformy Dubczeka oraz ich tragiczny finał w Czechosłowacji) jak i krajowej (chodzi tu o burzliwe wypadki marcowe). Korek trafnie zauważa, że przed końcem lat 60. pismo definitywnie przyjęło optykę „oddolną”, stawiając na inicjatywy społeczne zarówno na Zachodzie jak i na Wschodzie. W kraju przestano wierzyć w możliwości zreformowania systemu „od góry”, czyli w jego ewolucyjne przekształcenie po odsunięciu od władzy zwolenników takiego przekształcenia. Pismo zaczyna współpracę z emigrującymi rewizjonistami (Giedroycowi głównie zależało na współpracy z Leszkiem Kołakowskim, który był symbolem rewizjonizmu i jego niekoronowanym przywódcą w oczach krajowej inteligencji lewicowej), demokratami rosyjskimi, utrzymuje i rozwija kontakty krajowe. Krytykuje opozycyjną inteligencję za brak konstruktywnych planów współdziałania z klasą robotniczą. Ogólnie okres lat 70. potraktowany został nieco zdawkowo, a szczególnie ich druga połowa. Autor ocenił bowiem, że w tym czasie (głównie po śmierci Mieroszewskiego, która to śmierć była symptomatycznym znakiem „odchodzenia” pokolenia twórców i założycieli „Kultury”) zmieniła się rola miesięcznika. Z pisma oryginalnego ośrodka ideotwórczego inspirującego kraj nowymi koncepcjami przekształca się „Kultura” w pośrednika między krajową opinią publiczną, a opinią publiczną emigracji i społeczeństwami zachodnimi. Pomimo wspomnianej skrótości zwraca jednak uwagę staranna analiza procesu zbliżania się środowisk postrewizjonistycznych, niechętnych myśleniu kategoriami narodowymi, do stanowiska niepodległościowego. W ramach tej części pracy (okresu) autor analizuje także pierwsze poważne dyskusje na temat kształtu postulowanej opozycji politycznej w kraju (słynny spór „maksymalistów” z „realistami”) oraz wskazuje, dlaczego mogło dojść do konsensusu między różnymi ugrupowaniami opozycyjnymi w Polsce.

Ostatnią, w zasadzie najciekawszą, część omawianej pracy Korek poświęca związkowi myśli politycznej „Kultury” z tradycją przedwojenną. Poprzez analizę środowisk „Buntu Młodych” i „Polityki” (z którymi związana była spora grupa twórców i współpracowników pisma a przede wszystkim Jerzy Giedroyc) oraz głównych składników ideologii dominujących przed 1939 rokiem (sanacja, endecja, socjalizm niepodległościowy), stara się odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób „Kultura” korzystała w tworzeniu swych koncepcji politycznych z tego specyficznego bagażu doświadczeń. Takie porównawcze zestawienie nie ma precedensu w znanych do tej pory badaniach nad „Kulturą”, choć wspomnieć należy o książce Marcina Króla pt. *Style politycznego myślenia. Wokół „Buntu Młodych” i „Polityki”*, z którą praca Korka polemizuje. W powojennych koncepcjach federacyjnych „Kultury” autor odnajduje m.in. nawiązania do przedwojennych koncepcji Międzymorza oraz wskazuje na strukturalne analogie do tzw. „idei jagiellońskiej”. W kon-

cepcji nowej „Wiosny Ludów” i tworzeniu programu dekolonizacyjnego dla uwolnienia narodów państw satelickich i narodów sowieckiego imperium Korek upatruje echa „prometeizmu”, który przed 1939 rokiem zakładał rozsadzenie ZSRR przez odśrodkowe ruchy narodowościowe. W koncepcjach „Kultury” związanych ze wschodnimi sąsiadami Polski, szczególnie tymi, które prezentowane były w latach siedemdziesiątych, akcentowano ich oparcie na zasadzie samostanowienia narodów, tak jak zakładał to Józef Piłsudski i PPS. Z haseł głoszonych przez socjalistów niepodległościowych wzięto zresztą dużo więcej w tym okresie, przede wszystkim postulat połączenia koncepcji walki o wolność narodu z koniecznością reform społecznych oraz wiele rozwiązań taktycznych (stąd też wczesny nacisk „Kultury” na kwestie robotnicze połączone z uznaniem demonstracji ulicznych i strajków jako środków walki o zmianę systemu i odzyskanie suwerenności). W koncepcjach pisma Korek dopatruje się nawet pewnych wątków charakterystycznych dla myśli narodowej, od której notabene zdecydowanie się ono odzegnoowało. Korkowi chodzi jednak o tę część myśli narodowo-demokratycznej, która formułowana u początku jej tworzenia (jeszcze w czasach zaborów) nie przybrała jeszcze szowinistycznej formy nadawanej jej później głównie przez Romana Dmowskiego. „Kultura” nawiązywała do niektórych rozwiązań i pomysłów z okresu walki o budzenie świadomości niepodległościowej Polaków (głównie „Ligi Narodowej”). Chodziło również o popieranie aktywizmu obywatelskiego, który miał ożywiać życie gospodarczo-społeczne w zniewolonym państwie (czy to przez zaborców czy to przez kontrolowaną przez Moskwę partię komunistyczną). Oddolne reformy wewnętrzne i działalność oświatowa miały pośrednio poszerzać sferę suwerenności, gdyż wiodły do wzmocnienia potencjału ekonomicznego, podniesienia świadomości narodowej społeczeństwa oraz tworzenia silnego, nowoczesnego państwa, które z czasem sięgnie po niepodległość. Z kolei w stosunku „Kultury” do destrukcyjnej tradycji powstań narodowych oraz na podstawie jej krytyki mentalności społeczeństwa polskiego autor odnajduje pewne podobieństwa z konserwatywnymi poglądami Stańczyków.

Korek poszukując ideowych korzeni pisma, zastanawia się czy (i w jaki sposób) pomogły one „Kulturze” w wypracowaniu oryginalnego na tle powojennej myśli politycznej stanowiska. Uważa, iż twórcom i autorom „Kultury” — w tym przede wszystkim Giedroycowi i Mieroszowskiemu — udało się przezwyciężyć istniejący w polskiej tradycji politycznej rozdźwięk między etycznym romantyzmem politycznym, a pragmatycznym realizmem (klasycznym przykładem tego rozdźwięku przed 1939 rokiem był zażarty spór między PPS-em a endecją). Właśnie dzięki usiłowaniom pogodzenia tych dwóch stylów myślenia i poprzez zmienne nawiązywanie do tych ich elementów, które zachowały aktualność po drugiej wojnie światowej „Kulturze” udało się — jak twierdzi Korek — wypracować odrębny i nowoczesny nurt ideowo-polityczny. Oparty na polityce racjonalnej (pragmatycznej) nie wyklucza on znaczenia etyki międzynarodowej i roli wizji ideologicznych wyprzedzających swój czas (co prowadzi do tradycji romantycznej i tłumaczy poniekąd specyficzną rolę literatury w „Kulturze”). Głównymi cechami tej polityki „imaginatywnej”, jak Korek nazywa to za Mieroszewskim, było więc nie zapominanie o zasadach sprawiedliwości międzynarodowej połączone z dbałością o interesy narodowe.

W rozdziale podsumowującym monografię jej autor stara się wyodrębnić podstawowe cechy światopoglądu „Kultury”, sięgając do tradycji różnych kierunków politycznych, pozornie sprzecznych ze sobą. Wyraźnie akcentowane tendencje niepodległościowe powiązane były w piśmie ze stanowiskiem demokratycznym (ale o silnym profilu państwowotwórczym; dla zachowania lub obrony suwerenności państwowej brano pod uwagę np. ograniczenie istotnych swobód obywatelskich). Specyficznym pojmowaniem liberalizmu uzależnienia więc wolność jednostki od siły państwa (które miało strzec „prywatnej” wolności obywatela i ją gwarantować), choć jednocześnie podkreślano szacunek dla indywidualizmu światopoglądowo-wyznaniowego i wolności myśli. Wśród idei do których „Kultura” nawiązywała odnaleźć można także — według Korca — ideę solidaryzmu narodowego, który przejawiać się miał we współpracy wszystkich grup społecznych pod ideowym przywództwem warstwy inteligentnej. Autor stwierdza, że w przypadku miesięcznika paryskiego możliwe było twórcze połączenie tych wszystkich elementów, co prowadzi go w rezultacie do paradoksalnego (podkreślonego w tytule książki) wniosku, że „Kultura” reprezentowała „konserwatywno-liberalny demokratyzm o socjalistyczno-narodowej orientacji i państwowotwórczym (niepodległościowym) imperatywie”.

W ostatecznej konkluzji autor stwierdza, że „Kulturze” udało się wykreować specyficzny styl myślenia politycznego, który był i jest nadal bardzo ważnym i nowym w tradycji polskiej zjawie-

skiem. Wydaje się, że środowisko „Kultury” i Instytutu Literackiego przez te wszystkie lata stanowiło najbardziej kreatywny polski ośrodek ideowotwórczy i kulturotwórczy. Powstanie fenomenu jakim był niewątpliwie analizowany przez Korkea miesięcznik stanowi argument na to, iż polskie wychodźstwo polityczne po raz pierwszy od czasów zaborów potrafiło wypracować śmiało i trafne koncepcje polityczne oraz plany skutecznego działania. Ich docieranie do kraju, głównego ich adresata było możliwe dzięki „nastawieniu na Kraj”, czyli wyborowi opcji, zgodnie z którą pismo pełniło bardzo istotną funkcję pośredniczącą na linii kraj-emigracja, czy w szerokim sensie kraj-Zachód. W okresie cenzury komunistycznej uniemożliwiającej ukazywanie się w kraju najciekawszych utworów polskiej literatury współczesnej oraz wykluczającej otwartą, oficjalną dyskusję polityczną, łamy „Kultury” spełniały rolę ważnego forum wymiany myśli (do połowy lat 70. pismo miało wręcz monopol w tej dziedzinie). Sprawy i problemy polskie potrafiono przy tym ujmować w szerszej perspektywie międzynarodowej i ogólnoswiatowej, przez co koncepcje „Kultury” nie stawały się utopijnymi mrzonkami lub pobożnymi życzeniami rozczarowanych do świata emigrantów. Korek udowadnia też iż fakt częstych zmian stanowiska i opcji politycznych pisma (tak często krytykowany), wynikający m.in. z założeń polityki „imaginatywnej” nie przeszkodził w perspektywie długofalowej a wręcz dopomógł w wypracowaniu trafnych koncepcji i skutecznych programów politycznego działania. Korek wylicza, że prawie wszystkie najważniejsze cele stawiane sobie przez „Kulturę” i Giedroycia zostały osiągnięte.

Ponieważ wielu polskich polityków i intelektualistów powołuje się obecnie na duchowe powinowactwo z politycznymi projektami „Kultury” wypadałoby ich zapytać, po lekturze monografii Korkea, o jaką część ideowego zaplecza „Kultury” im chodzi? Mimo tego można chyba zaryzykować twierdzenie, iż cały powojenny dorobek pisma traktować należy jako ideowy pomost łączący obecną III Rzeczypospolitą z przedwojennym niepodległym państwem polskim.

W świetle tych uwag wypadnie stwierdzić, że monografia Janusza Korkea stanowi jak na razie najobszerniejsze i najwszechstronniejsze opracowanie na temat myśli politycznej „Kultury” analizowanej w kontekście polityki międzynarodowej, europejskich sporów ideowych oraz polskiej historii powojennej i tradycji przedwojennej. Nie zmienia tego faktu ukazanie się już po wydaniu pracy Korkea kolejnych książek poświęconych bądź samej „Kulturze” bądź powojennej emigracji polskiej.

W zeszłym roku Andrzej Stanisław Kowalczyk wydał monografię poświęconą życiu i działalności twórcy pisma Jerzego Giedroycia, stanowiącą bardzo ciekawą pod względem edytorskim publikację. Ta, mająca charakter popularyzatorski, pozycja została wydana w bogato ilustrowanej serii Wydawnictwa Dolnośląskiego „A to Polska właśnie ...” Wybierając profil popularnonaukowy Kowalczyk świadomie omija bardziej kontrowersyjne punkty działalności ideowej pisma, korzystając ze źródeł już sprawdzonych (skupia się przy tym bardziej na literackiej działalności „Kultury”). Jest to mimo tego publikacja bardzo potrzebna i wartościowa, gdyż adresowana do szerokiej rzeszy czytelników dostarcza wiedzy o historii Instytutu Literackiego, która nie jest niestety zbyt rozpowszechniona. W zeszłym roku ukazał się także wybór artykułów Juliusza Mieroszewskiego (przygotowany przez Rafała Habielskiego) oraz antologia tekstów publicystycznych „Kultury”, opracowana przez Grażynę Pomian. Artykuły wstępne zamieszczone w systematycznie wydawanych przez „Czytelnika” zbiorach korespondencji Giedroycia ze współpracownikami oraz komentarze Rafała Habielskiego i Grażyny Pomian zamieszczone w opracowanych przez nich antologiach *Final klasycznej Europy* oraz *Wizja Polski na łamach „Kultury” 1947–76* są dosyć krótkie i, mając charakter wprowadzający, nie wyczerpują tematu. Na zakończenie wspomnieć należy o wydanej niedawno przez „Więź” obszernej trylogii pt. *Druga Wielka Emigracja. 1945–90*, (1999) autorstwa Andrzeja Friszke, Pawła Machcewicza i Rafała Habielskiego. Rozczarowuje niezbyt dużo informacji o Instytucie Literackim choć trzeba podkreślić i docenić fakt, że autorzy zdążyli już wykorzystać niektóre spostrzeżenia zawarte w *Paradoksach...* i powołują się wielokrotnie na tę pozycję.

Wydane ostatnio pozycje nie zastępują więc omawianej pracy Korkea, która ma zupełnie inny charakter i może służyć za pracę źródłową zarówno historykom emigracji jak też historykom literatury polskiej.

Mikołaj Tyrchan